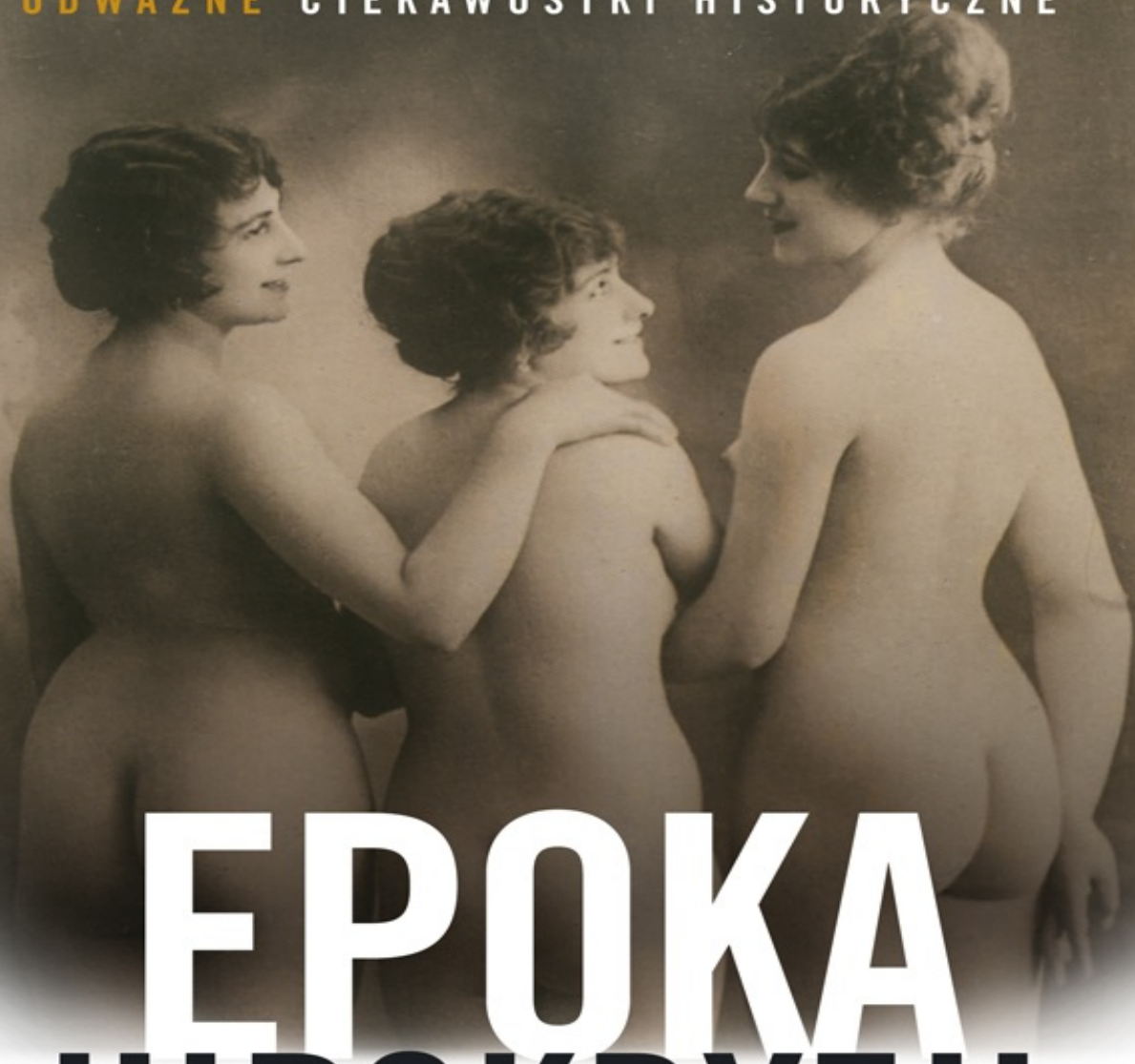


ODWAŻNE CIEKAWOSTKI HISTORYCZNE



# EPOKA HIPOKRYZJI

SEKS I EROTYKA  
W PRZEDWOJENNEJ POLSCE

*Najodważniejsza książka historyczna tego roku*

KAMIL JANICKI

Projekt okładki  
Mariusz Banachowicz

Fotografia na okładce  
Domena publiczna

Opieka redakcyjna  
Ewelina Olszek

Wybór ilustracji  
Kamil Janicki

Opracowanie ilustracji  
MELES-DESIGN

Ilustracje na stronach tytułowych części  
„Amorek”, „Nowy Dekameron” (1924–1925)

Adiustacja  
Aleksandra Ptasznik

Korekta  
Joanna Gaudyn  
Irena Gubernat

Konsultacja merytoryczna  
Rafał Kuzak

Copyright © by Kamil Janicki

© Copyright for this edition by SIW Znak Sp. z o.o., 2015

ISBN 978-83-240-3083-5



Seria wydawnicza [Ciekawostki Historyczne.pl](http://Ciekawostki.Historyczne.pl)

**znak**

Książki z dobrej strony: [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)

Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki  
37

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: [czytelnicy@znak.com.pl](mailto:czytelnicy@znak.com.pl)

Plik opracował i przygotował Woblink

**woblink**  
[woblink.com](http://woblink.com)

**KAMIL JANICKI**

# **EPOKA HIPOKRYZJI**

**SEKS I EROTYKA  
W PRZEDWOJENNEJ POLSCE**

**CIEKAWOSTKI HISTORYCZNE.PL**

# Spis treści

Karta redakcyjna

Karta tytułowa

Dla Taty,

Wszyscy jesteście zбочeńcami / PROLOG

I / Bunt młodzieży

„Służąca się nie opierała” / DOROSŁE ZABAWY  
GIMNAZJALISTÓW

„Zarys pączkujących piersi” / ŻYCIE SEKSUALNE  
DZIEWCZĄT

„Po prostu żyją ze sobą” / SEKS PRZED ŚLUBEM I SEKS BEZ  
ŚLUBU

„Panny zdeflorowane psychicznie” / GRA WSTĘPNA I NIE  
TYLKO

II / Pokusy samotności

„Żywe trupy” / ZGUBNA PLAGA SAMOGWAŁTU

„99% to robi. A ten setny kłamie” / POLACY ODKRYWAJĄ  
AUTOEROTYZM

„Wibracja to życie!” / ZABAWKI EROTYCZNE

III / Naga prawda

To był tylko seks / NOWE OBLCICZE ZDRADY MAŁŻEŃSKIEJ

„Koza na Marsie” / GDZIE SIĘ WOLNO KOCHAĆ, A GDZIE  
NIE WYPADA?

Podwiązka w tunelu / EROTYKA W PODRÓŻY, SEKS NA  
WAKACJACH

Utopia nad Wisłą / ULICZNICE, SYFILIS I KRAJ BEZ  
PROSTYTUCJI

IV / Kultura rozpusty

Moda na nagość / KULT CIAŁA CZY PORNOGRAFIA?

„Taką tanią moralność sprzedają na raty” / SEKS NA ŁAMACH  
PRASY

„Tresowany osioł i trzydzieści nagich ślicznot” / EROTYKA W  
FILMIE I NA SCENIE

„Och, mój skarbie, rozpustniku!” / POLSKI PRZEMYSŁ  
PORNOGRAFICZNY

V / Przedwojenna Kamasutra

„Pełna wrażeń pierwsza noc” / REGUŁY SEKSU I NOC  
POŚLUBNA

Liczy się technika / POZYCJE DLA POCZĄTKUJĄCYCH I  
ZAAWANSOWANYCH

„Waż kusiciel” / JAKI POWINIEN BYĆ MEŹCZYZNA W  
ŁÓŻKU?

Gdzie się podziały tamte prywatki... / SEKS ZBIOROWY

„W pocałunkach chciał ją zjeść” / MIŁOŚĆ FRANCUSKA

VI / Prędeż ci serce pęknie

Zatykadła, grzybki i cofanki / PO CO SIĘ ZABEZPIECZAĆ  
PRZED NIECHCIANĄ CIAŻĄ?

Paryskie pończochy gumowe od polskiego Żyda / NARODZINY  
NOWOCZESNEJ PREZERWATYWY

Chemia gospodarcza w twojej pochwie / POCZĄTKI  
KOBIECEJ ANTYKONCEPCJI

VII / Cena odmienności

Synowie innego boga / HOMOSEKSUALIŚCI

„Tu jest Warszawa, a nie wyspa Lesbos” / LESBIJKI

Poradnia ginekologiczna doktora Frankensteinia / EPILOG

Czym nie jest ta książka? / NOTA AUTORA

Wybrana bibliografia

Aneks / PRZEDWOJENNY SENNIK EROTYCZNY

*Dla Taty,*

*bo to dzięki niemu długo żyłem w beztroskim przekonaniu,  
że to rzeczywiście bocian przynosi dzieci  
i wrzuca do kapusty.*

Wszyscy jesteśmy zbrodźcami /  
**Prolog**





*Płciwo mi, doktorze kochany, goreje. Pochwianki nie brakuje, srom zaślimaczony i strzykam. Zwisak męża twardy. On się spuszcza, a ja się spuścić nie mogę.*

Stanisław Kurkiewicz o wstydzie wiedział wszystko. Kilkanaście lat praktyki zawodowej nauczyło go, że pacjenci rzadko się hamują, kiedy przychodzi im działać. Problemy pojawiają się, gdy o tym działaniu trzeba opowiedzieć. Wielu czuło, że prędzej spali się ze wstydu, niż zdradzi zwyczajnemu lekarzowi, co ich trapi. Tym bardziej bali się wizyty u specjalisty. Seksuolog, a nawet ginekolog – to przecież nie był typ, do którego mogłaby się udać porządna kobieta lub kulturalny mężczyzna. Syfilis, rzeżączka, impotencja i pochwica. Wszystko wydawało się lepsze od rozmowy o „tym” z obcym człowiekiem. A co dopiero tak trywialny problem, jak na przykład brak orgazmu przez całe życie.

Kurkiewicz czuł, że winny zażenowania pacjentów jest po pierwsze język. Słowniki nie zajmowały się seksem. Tym bardziej nikogo nie uczono w szkole, jak opowiadać o swoim życiu płciowym. W potocznej mowie funkcjonowały określenia niejasne lub wulgarne. W literaturze fachowej – terminy zapożyczone z zagranicy, hermetyczne i trudne do rozszyfrowania. Kurkiewicz marzył o świecie, w którym ludzie będą gotowi bez rumieńców opowiadać o swoich łóżkowych kłopotach. Będą mogli nawet „w towarzystwie” prowadzić „stateczną rozmowę z zakresu płciowego, nie rażącą ucha rubasznymi wyrażeniami”. Z tą właśnie myślą przystąpił do tworzenia pierwszego polskiego *Słownika płciowego*<sup>1</sup>.

Wyszczególnił ponad osiemdziesiąt rodzimych określeń na orgazm i okoliczności z nim związane. A to był tylko wierzchołek góry lodowej. Łącznie w jego publikacjach przewija się kilka tysięcy seksualnych definicji. Seks nosił dla Kurkiewicza miano „błogoszczenia”. Moment kulminacyjny stosunku mógł być „zbieraniem ckliwości” lub „spuszczeniem się”. Potencję nazywał „szczytliwością”, zaś osobę o przeciętnym libido – „średnio-szczytakiem” (lub „średnio-szczytaczka”). Groźnie brzmiący onanizm stał się „samieństwem”, zaś onanizm wzajemny – „samiarstwem”. Wszystko to miało się przydać ludziom „przy zeznawaniu przed lekarzem-płciownikiem”. Bo właśnie tak określał samego siebie.

Doktor przyznawał, że „wyrazotwórstwo” jest jedną z jego dwóch wielkich pasji. Drugą było obserwowanie życia. I pokazywanie go takim, jakie jest naprawdę. O sytuacjach, które zaobserwował na ulicach swojego rodzinnego Krakowa, pisał następująco:

*Pod wpływem niecierpliwości płciowej, wbiegła młoda dziewczyna (...) z ulicy do bramy i tu w ukryciu wykonała (...) samieństwo. Przy jednym z placów targowych (...) sprzedający ogórki na wozie parobek, leżał brzuchem na nich i miał wydobyty zwisak.*

*Na plantacjach [czyli Plantach – przyp. KJ] krakowskich pod murem opodal teatru miejskiego dawał nieświadomie przedstawienie swojego samieństwa pewien starszy robotnik. W Sukiennicach, przyglądając się sklepowej wystawie widokówek z podobiznami nagich kobiet, popełniał młody uczeń gimnazjalny samieństwo udowe przez spodnie.*

*Na Małym Rynku w Krakowie między rupieciami i gratami, służącymi do sprzedaży owoców, siedziało skrycie towarzystwo złożone z dwóch pijanych przekupek i jednego, także pijanego*

*towarzysza. Jedna z nich, starsza, wykonywała mu merdanę (...), a druga, znacznie młodsza, słowami „a odstrzyknijcież!” nawoływała go do wystrzyknięcia nasienia.*

*Na plantacjach krakowskich uczniowie szkoły realnej pod nakryciem rysownicami (...) popełniali na ławce gromadne samieństwo<sup>2</sup>.*

Autor nie ograniczał się tylko do Stołecznego Królewskiego Miasta Krakowa. W zasięgu jego zainteresowań znalazła się cała Małopolska. O uczestniku pewnego balu w Zakopanem („ubranym i uczesany po balowemu”) pisał: „Usadowił się na szereg godzin w wychodku i co która z pań do sąsiedniego wychodka przyszła w sprawie moczowania, to on ją szparami podpatrywał i z rozbudzenia popełniał samieństwo”. Pozostali uczestnicy zabawy też nie byli bez winy. „Po płużach (po tańcu) jest popełnianie samiarstwa zdarzeniem najzwyczajszym, tak u osób z »towarzyskim ułożeniem«, jak i u ludu wiejskiego” – podkreślał lekarz-płciownik.

Wszystkie te historie wydarzyły się zaraz przed wybuchem I wojny światowej oraz w jej trakcie. Kurkiewicz zebrał je i wydał drukiem w 1917 roku. Oburzano się, że sieje zgorszenie i zachęca do dawania upustu zbroczeniom. Nie brakowało komentarzy, że sam pan doktor jest zwyrodnialcem, znajdującym uciechę w podglądactwie. Kurkiewicz bronił się krótko: właśnie tak wygląda życie. I to życie zwyczajnych ludzi.

Wierzył, że ma przed sobą wielką misję. Chciał zebrać informacje o seksualności we wszystkich jej odmianach. W jego kolekcji znalazły się setki, a może nawet tysiące przypadków. Wiele z nich wypatrzył osobiście, wiele dodali do kartoteki współpracownicy z jego Poradni

Płciowniczey przy ulicy Stefana Batorego 20 w Krakowie. Kurkiewicz starał się też zaangażować społeczeństwo. W wydawanych własnym sumptem książkach zamieszczał ogłoszenia:

*Osoby (...) miłujące naukowość życia płciowego (...), wyszkalamy na SPOSTRZEGACZY(czki) i ZBIERACZY(czki) różnych płciowych zdarzeń, dziejących się na każdym kroku w otoczeniu (...) każdego człowieka. (...) Za takie dostarczenie nam zdarzeń (...) prawdziwie zasłużych, wynagradzamy według umowy.*

Postać Kurkiewicza przywodzi na myśl głównego bohatera głośnego serialu telewizyjnego *Masters of Sex*. To osadzona w latach pięćdziesiątych XX wieku i oparta na faktach opowieść o początkach amerykańskiej seksuologii. Widz poznaje doktora Williama Mastersa, kiedy ten – niedoceniany i niezrozumiany – siedzi w szafie, podglądając klientów domu publicznego podczas ich sesji z prostytutkami. W purytańskich Stanach Zjednoczonych jest to jedyny sposób na zebranie jakichkolwiek informacji o ludzkiej seksualności. Trudno nie czuć wobec niego współczucia. Nie miałyby aż takich problemów, gdyby tylko urodził się pół stulecia wcześniej w bardziej wyzwolonym seksualnie społeczeństwie. Na przykład na ziemiach polskich. I nawet nie musiałyby prowadzić żadnych badań – wystarczyłoby podjechać do Krakowa i zajrzeć do przepastnego archiwum doktora Kurkiewicza.

Małopolski lekarz-płciownik starał się zrozumieć, ale też – leczyć. Przyjmował pacjentów borykających się z „zaburzeniami w czynności spółkowania”, udzielał instrukcji wychowawczych i prowadził warsztaty dla narzeczonych oraz dla dziewic. Mógłby doradzić także pacjentce, która z pomocą jego słownika wypowiedziałaby zdanie

o „gorejącym płciwie” i braku „spuszczenia”. Być może stwierdziłby, że jej małorozkosz wynika z wnetyszczytliwego usposobienia męża. On jest dziarski płciowo, „na lada bodziec odpowiada od razu szczytowaniem”. Czyli rychłówką. Ona – przeciwnie, odznacza się usposobieniem trudnoszczytliwym. Problem dało się rozwiązać, namawiając męża do specjalnego treningu. Albo też – jeśli pacjentka okazałaby się łechtaczka – poprzez odpowiednie wzbogacenie pożycia płciowego. I proszę. Kolejny zadowolony klient.

Nie wiadomo, czy Kurkiewicz zdołał pomóc wielu osobom z podobnym problemami. Zaraz po odzyskaniu przez Polskę niepodległości zapadł na zdrowiu. Zmarł w 1921 roku w wieku zaledwie pięćdziesięciu czterech lat, a o jego niestrudzonej pracy natychmiast zapomniano. Zupełnie niesłusznie. Dzisiaj można powiedzieć, że był pierwszym, choć nieświadomym, kronikarzem wielkiego przewrotu obyczajowego. Rewolucji seksualnej w przedwojennej Polsce.

## **Tajemnica brudnych stóp**

Koniec nie był dla Kurkiewicza łatwy. Niedługo przed śmiercią opublikował desperacki apel o wsparcie do „ludzi dobrej woli”<sup>3</sup>. Wprawdzie nigdy nie blokowano jego badań, jednak środowisko naukowe i lekarskie traktowało go jak wyrzutka. Był święcie przekonany, że celowo odbiera mu się pacjentów. Żadne księgarnie nie chciały sprzedawać jego książek. A co najgorsze – musiał czuć, że wrócił do punktu wyjścia. Bo początki jego kariery prezentowały się równie mizernie. Może i nigdy nie krył się w szafie w domu

publicznym, ale podobieństwa do historii Billa Mastersa i tak są uderzające.



„Co która z pań do sąsiedniego wychodka przyszła w sprawie moczowania, to on ją szparami podpatrywał i z rozbudzenia popełniał samieństwo”. Przedwojenny voyeuzyzm w opisie Stanisława Kurkiewicza (rys. „Nowy Dekameron”, 1924).

Było lato 1900 roku, kiedy dwóch młodych, nikomu nieznanym lekarzy podjęło praktykę w szpitalu św. Łazarza w Krakowie<sup>4</sup>. O pierwszym natychmiast zrobiło się głośno. Dzięki notatkom drugiego – możemy się dzisiaj dowiedzieć, z jakiego powodu. „Z samym Kurkiewiczem zetknąłem się przed laty, kolegowaliśmy przez kilka miesięcy (...) na oddziale chorób wewnętrznych, gdzie Kurkiewicz był zresztą jedynie tolerowany (...). Była to osobliwa, nader charakterystyczna postać” – wspominał doktor numer dwa. I ciągnął dalej:

*Sławne w szpitalu były „statusy” (protokoły badania chorych) Kurkiewicza. Przywieziono, dajmy na to, kobietę chorą na zapalenie płuc, z gorączką [po]wyżej czterdziestu stopni; protokół pierwszego badania sporządził Kurkiewicz. Granice płuc były [jak] zwykle dość lichy oznaczone, natomiast już zdążył wydobyć z tej na wpół przytomnej istoty zeznanie, że się za młodu „samila”, oraz szczegóły tego zajmującego skądinąd, ale dla przebiegu zapalenia płuc dość obojętnego faktu. Nieodmiennie też w rubryce zewnętrznych oględzin (...) figurowała starannie notowana rubryka: „Stopy brudne”.*

*Ten specjalny typ badań stosowanych przez Kurkiewicza, te jego „psychoanalityczne” spowiedzi budziły taką nienawiść u władających w szpitalu zakonnic (zwłaszcza u sędziwej siostry Domiceli), iż używszy całych swoich wpływów wyświeciły go z oddziału [dla] kobiet<sup>5</sup>.*

Autorowi tych wspomnień Kurkiewicz wydawał się człowiekiem nieco śmiesznym, ale zarazem – niezwykle frapującym. Miał w sobie coś z szaleńca, to nie ulegało wątpliwości. Potwierdzał „teorię, że większość

psychiatrów ma »fioła«”. Lekarza nękała jednak inna myśl. Kurkiewicz był przede wszystkim niesamowitym pechowcem. Przez całe życie harował dla idei, wydając prywatny majątek na zgłębianie tajemnic seksualności. Umarł jako bankrut. I to „będąc niejako prekursorem specjalności, która dziś dla freudystów stała się kopalnią złota”. Oczywiście Kurkiewicz doszedł do całej góry błędnych, wręcz kuriozalnych wniosków. Zarazem jednak sformułował tezy prawdziwie pionierskie, wyprzedzające epokę. Przez jego zawodowe dziwactwa, przyprawione sporą dawką megalomanii i zamiłowaniem do słowotwórstwa, nikt tych ustaleń nie potraktował poważnie. Inni lekarze, z Polski i zagranicy, formułowali te same tezy. Wprawdzie sporo później, ale samodzielnie. I to oni figurują dziś w encyklopediach.

Dla doktora wspominającego młode lata Kurkiewicza, było oczywiste, że można go uznać za świadka pewnego przełomu, ale na pewno nie za jego współtwórcę. Mimo wszystko wiedza krakowskiego „płciownika” nikomu się nie przydała. Nie jest to jednak, jak się zdaje, słuszny wniosek. Autor nie wziął pod uwagę, że znajomość z Kurkiewiczem, zetknięcie się z jego niezwykłą pasją i gotowością do mówienia o seksie bez ogródek mogły wpłynąć na niego samego. Po latach to właśnie on, drugi młody lekarz ze szpitala św. Łazarza, stanie się największym w Polsce piewcą obyczajowego wyzwolenia. Dla wielu mieszkańców II Rzeczypospolitej rewolucja seksualna będzie nosić jego imię: Tadeusza Boya-Żeleńskiego.

Kraków przełomu wieków miał szczęście do obserwatorów życia. Kurkiewicz z determinacją przedstawiał to, jak świat wygląda naprawdę. Boy notował w myślach, pod iloma fałszywymi pozorami prawda jest



ukrywana. Po latach, będąc już popularnym publicystą „Kuriera Porannego” oraz „Wiadomości Literackich”, pokaże XIX-wieczną obyczajowość seksualną bez żadnej nostalgii i bez pardonu. Jako jedno z największych nieporozumień, żeby nie powiedzieć zbrodni, nowoczesnego świata.

## **Stare dobre czasy**

Gdyby ktoś poprosił Boya o wybranie dwóch słów najlepiej opisujących seksualność poprzedniego stulecia, raczej nie wahałby się z odpowiedzią. Narzeczeństwo i burdel. Ewentualnie jeszcze trzecie: strach. W tekście ze zbioru *Zmysły..., zmysły...*, wydanego w 1932 roku, felietonista wyjaśniał: „Małżeństwo ówczesne nie miało nic z miłej cyganerii dzisiejszych stadeł, było aparatem serio, ach, jak serio... prawie tak, jak wieko od trumny”<sup>6</sup>. Znajdowało to odbicie, po pierwsze, w długim i żmudnym okresie przygotowawczym. Pan młody musiał być bezsprzecznie gotowy do poświęcenia. Wymagano, by posiadał wykształcenie, zawód, pieniądze, by miał za sobą służbę wojskową, a w mieszkaniu postawił fortepian dla przyszłej żony. Ludzie, jak wspominał Boy, „byli wtedy wściekle przezorni”. Nikogo nie dziwiły narzeczeństwa trwające kilka, a nawet kilkanaście lat. Cały ten czas z jedną tylko rozrywką: rozmową.

„Dziś młodzi idą razem do kina, do dancingu, do kawiarni. Wówczas tego wszystkiego nie było, mogli się tłamsić tylko w domu, gdy matka drzemała w drugim pokoju” – tłumaczył. Do niczego więcej dojść nie mogło nie tylko ze względu na towarzystwo (przed tym na parę minut zawsze dałoby się uciec), ale – ze strachu. Po pierwsze,

strachu przed złamaniem zasad.

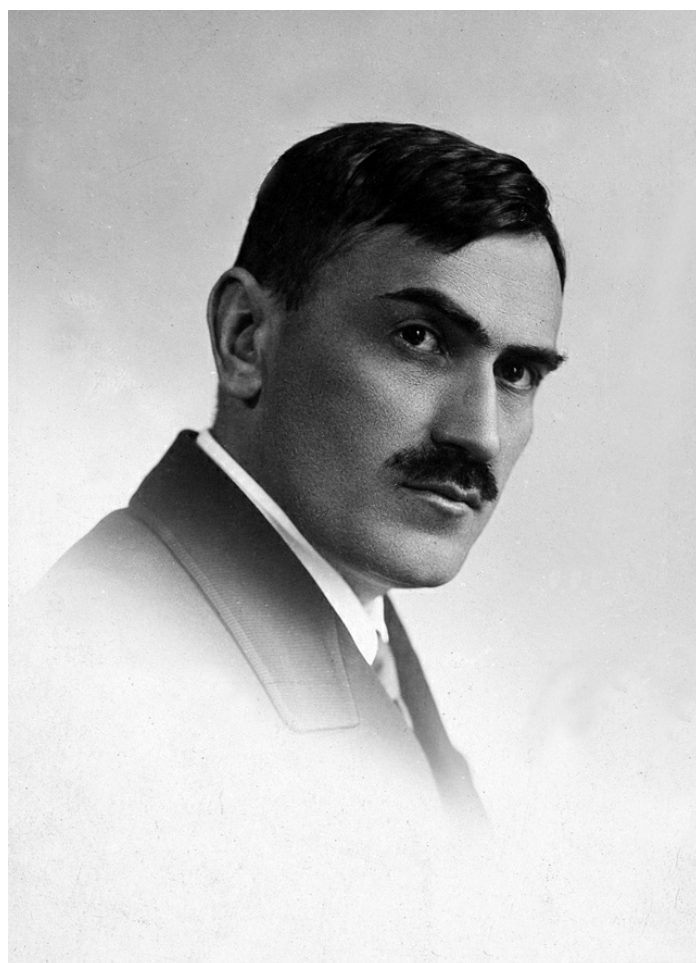
*Narzeczeństwa takie obowiązywała czystość. On nie mógł skalać tej, która miała być jego żoną; przestałaby go być godna. Takie były wówczas pojęcia. Ona bałaby mu się oddać – w formie zaliczki – bo na zasadzie wiekowych aforyzmów o mężczyznach, obawiałaby się – często słusznie – że się z nią wówczas nie ożeni. (...)*

*Rzecz prosta, że spędzali z sobą dużo czasu. (...) Wypełniały go rozmowy o przyszłości, co prawda coraz mniej entuzjastyczne, sprzeczki, dąsy, pojednania i mniej lub więcej zaawansowane pieszczoty. Czystość przy ciągłym towarzystwie kobiety...*

Nie było przebaczenia. Widmo ciąży – drugi wielki strach – skutecznie zniechęcało przed czymkolwiek więcej. „Ustrzec się [przed nią] było bardzo trudno, a (...) była niewiarygodną katastrofą, rzeczą wręcz nie do pomyślenia” – wyjaśniał Boy. Efekt mógł być, zdaniem publicysty, tylko jeden: „Kiedy nastrój był bardzo gorący, on szedł potem do domu publicznego”. I nawet się z tym nie krył. Młodzi chłopcy robili wypadki na prostytutki w środku miasta, wspólnie z kolegami, czasem nawet z ojcem. W całej Europie przyjęła się tradycja, że inicjacja seksualna mężczyzny powinna następować w burdelu. Przyzwolenie stopniowo zmieniało się w społeczny nakaz<sup>7</sup>.

Autor wydanego w 1909 roku poradnika *Hygiena miodowych miesięcy* wprost krytykował żonkosiów idących do ołtarza bez wcześniejszego treningu z prostytutkami. „Zdarzało się, że młodzi mężowie rozpoczynali swój miesiąc miodowy w niewiedzy (...). Winni byli uczyć się tego tam, gdzie mogli to czynić przed zawarciem związku małżeńskiego” – instruował<sup>8</sup>. Nikogo to nie szokowało. Medycyna skutecznie zabiła wstyd. W Polsce wciąż pokutowała archaiczna

wykładnia, zgodnie z którą organizm dojrzewającego chłopca (ale tylko chłopca) do prawidłowego funkcjonowania wymaga regularnych wytrysków. I to wyłącznie tych następujących podczas tradycyjnego stosunku płciowego. Spotkania z prostytutkami uchodziły za rodzaj terapii przeciwdziałającej bólom głowy, problemom z koncentracją, z kręgosłupem i koordynacją ruchową.



Tadeusz Boy-Żeleński w wieku około 35 lat.  
Fotografia sprzed pierwszej wojny światowej.

Z tym rysem rzeczywistości musieli się godzić nawet najbardziej radykalni publicyści przełomu wieków: ci propagujący abstynencję seksualną. W komentarzu do ankiety na temat życia płciowego, przeprowadzonej w 1903 roku wśród warszawskich studentów, podkreślali, że wstrzemięźliwość wymaga od mężczyzn prawdziwego męczeństwa. Respondenci, którzy nie uprawiali regularnie seksu, uskarżali się w związku z tym między innymi na „zanik zdolności”, ciężkie migreny i „częste zdenerwowanie”. Ci, których do abstynencji zmusiła bieda, otwarcie nawoływali do „zakładania dobroczynnych domów publicznych dla ubogich studentów”. Przytoczono też popularny pogląd, zgodnie z którym „prostytycja istnieje na to, by młodzieży zdrowie zapewnić”<sup>9</sup>.

Dopiero w 1905 roku doktor Eugeniusz Piasecki, jako pierwszy specjalista nad Wisłą, próbował zakwestionować medyczne uzasadnienie prostytucji<sup>10</sup>. Niewiele wskórał. Pismo „Kosmetyka” trzy lata później wciąż tłumaczyło: „Zupełne wstrzymanie się od stosunku płciowego jest dla kobiety rzeczą (...) dla zdrowia obojętną, podczas gdy u mężczyzny wywołać ono może pewne zaburzenia w sferze nerwowej lub psychicznej”<sup>11</sup>. Kolejne dwie dekady też nic nie zmieniały. Lekarze pierwszego kontaktu nadal będą leczyć migreny u mężczyzn właśnie prostytucją. O zetknięciu się z taką metodą wspomni w 1925 roku Cecylia Bańkowska, autorka książki *Jak uświadomiłam mojego syna*. Wprawdzie z dezaprobatą – jednak bez zdziwienia<sup>12</sup>.

„Prostytytka stała się na wiek cały filarem moralności społecznej, niemal urzędnikiem państwowym” – podkreślał Boy<sup>13</sup>. W polskich miastach pracowały dziesiątki, a może i setki tysięcy z nich. Z tego olbrzymia część – w samej Warszawie. Najodważniejsze statystyki

wskazywały, że nawet co trzecia kobieta w stolicy w wieku od dwudziestu do trzydziestu pięciu lat para się prostytutką<sup>14</sup>. Świat został podzielony pomiędzy cnotliwe i nietknięte narzeczone, z którymi mężczyźni spędzali popołudnia, oraz na kobiety upadłe, w których ramionach mijały im wieczory. Te drugie nie mogły liczyć nawet na status pełnoprawnych istot ludzkich. Uczestnicy ankiety z 1903 roku podkreślali, że czują „wstręt do kobiet sprzedajnych i publicznych”. Widzieli w nich ni mniej, ni więcej, tylko „wrzód społeczny”. A jednocześnie – przyznawali, że jak niemal każdy, korzystają z ich usług. Powstało przekonanie, że „pewne grupy ludzi, pozbawione są wszelkich praw ludzkich i niewarte żadnych względów, a żyją tylko dla użytku, rozrywki lub wygody ludzi uprzywilejowanych”<sup>15</sup>.

Na masową skalę przyjęto zasadę „podwójnej moralności”. Zjawisko to dzisiaj często tłumaczy się po prostu jako bezczelną dwulicowość XIX-wiecznych mężczyzn. Miałyby pod nią podpadać wszystkie ukrywane przed partnerkami zabawy w burdelach i związki pozamałżeńskie. W rzeczywistości niewiele ukrywano i wcale nie o to chodziło. „Podwójna moralność” polegała na przyjęciu przez społeczeństwo zupełnie różnych oczekiwań wobec kobiet i wobec mężczyzn. Tym drugim wolno było bezkarnie prowadzić życie seksualne przed i poza małżeństwem. Panny i mężatki miały z kolei być bezwzględnie cnotliwe i wierne<sup>16</sup>.

Feministka Iza Moszczeńska prezentowała ramy tego podziału już w 1904 roku w tekście *Cnota kobieta*: „Nie podlega najmniejszej wątpliwości, że kobieta, która miała kochanka, nie ma prawa wyjść za uczciwego mężczyznę, tj. takiego, który miał X kochanek przed ślubem – ale nie kradnie, nie rozbija, nie morduje”. Tak samo oczywisty miał

być fakt, że „godną pogardy jest taka, która zdradzi choćby najgorszego, moralnie i fizycznie bezwartościowego męża. Wszystkie odstępstwa od zasad czystości, wierności, stałości – popełniane przez kobietę – są gorszące i tragiczne”<sup>17</sup>.

U mężczyzn w ogóle trudno było mówić o jakiegokolwiek obowiązującej moralności. W broszurze *Czego nie wiemy o naszych synach* ta sama Moszczeńska pisała z przekąsem:

*Moralność męska! Toż i dzisiaj przeważająca większość czytelników (...) z bardzo dwuznacznym uśmiechem przyjmuje samo zestawienie tych dwóch wyrazów. Naturalnie i od mężczyzny wymaga się pewnego rodzaju moralności, mianowicie rzetelności w interesach, poszanowania cudzej własności, (...) trzymania się przepisów honoru itp. Ale w stosunkach płciowych stawiać jakieś reguły i zasady (...) to przecież śmieszna pedanteria lub rozczulająca naiwność.*

*Zupełnie inaczej traktowano kwestię moralności kobiecej. Tu obyczaj i opinia stawały się niezmiernie surowe i zbroiły się całym arsenałem zabójczych pocisków. Absolutna czystość, dziewictwo, anielstwo (...). Oto normalne wymagania, jakie stawiano przeciętnie przyzwoitym kobietom.*

Na skutek tego podziału ziszczał się jeszcze jeden wielki strach epoki industrialnej: trwoga przed chorobami wenerycznymi. Boy próbował nawet wyjaśniać tym strachem całą XIX-wieczną obsesję na punkcie kobiecej – i wyłącznie kobiecej – wstrzemięźliwości płciowej. „W epoce, gdy nieopanowany przez medycynę syfilis groźny był jak dżuma, jedyną gwarancją było zaślubić patentowaną dziewicę i trzymać ją pod kluczem. Mąż niewiernej żony nie był pewny dnia ani godziny”

– pisał<sup>18</sup>. Brzmi to trochę jak panika przed AIDS, tyle że w krzywym zwierciadle. Rzeczywiście czasy zaborów i królowej Wiktorii przypominają pod pewnymi względami lata osiemdziesiąte XX wieku. Seks bez zabezpieczeń postrzegano jako śmiertelnie niebezpieczny, a nie istniały żadne skuteczne zabezpieczenia. W efekcie metoda obronna zarysowana przez Boya szybko straciła rację bytu. Nawet on oceniał, że od 50 do 90% młodych mężczyzn zaraziło się od prostytutek kiłą. A następnie przekazywali ten „prezent ślubny” żonom.

Gdy ślub po paru latach dochodził wreszcie do skutku, w wielu przypadkach bardziej przypominał pogrzeb. To była transakcja, w której uczucia schodziły na dalszy plan w stosunku do kwestii majątkowych, towarzyskich czy nawet honorowych. Chodziło o zdobycie dobrej partii i ewentualnie posagu oraz o pozyskanie zdrowej, silnej matki dla przyszłego potomstwa. Boy półgębkiem wspomina o jakiejś tam, mimo wszystko, roli miłości, ale to z jego strony przejaw daleko posuniętego optymizmu. XIX-wieczni specjaliści małżeństwo traktowali jak handel. Doktor Baker, autor wydanego w 1809 roku poradnika *Tajemnice płci żeńskiej*, sugerował, żeby oblubienicę przed ślubem rozbierać do rosołu i kontrolować, czy nie ma żadnych defektów fizycznych. Zupełnie jakby była kłaczą na targu. Pomysł ten wracał wielokrotnie przynajmniej do lat sześćdziesiątych XIX wieku. Zawsze w odniesieniu do kobiet<sup>19</sup>.

Po nocy poślubnej w sytuacji mężczyzny niewiele się zmieniało. Miał odtąd zapewniony wikt i opierunek, ale życie seksualne prowadził tak jak zawsze. Głównie poza domem. Na uzasadnienie tego faktu znaleziono kolejny pseudonaukowy argument. Zgodnie z popularną teorią przytoczoną przez Izę Moszczeńską, każdy mężczyzna był

z urodzenia poligamistą, a każda kobieta – monogamistką. W efekcie wierność mężów uznawano za rodzaj zwyrodnienia i grzechu przeciwko naturze. W przypadku żon podobnym grzechem byłaby jakakolwiek próba szukania doznań seksualnych poza małżeństwem. Zresztą to ostatnie wydawało się wyjątkowo nieprawdopodobne. XIX-wieczni mężczyźni powszechnie przyjmowali, że seks to sprawa, która nie dotyczy ich partnerek. Jak wyjaśnia historyczka Bożena Urbanek, kobietom odmawiano prawa do jakiegokolwiek erotycznej satysfakcji. W świetle poważnych prac naukowych orgazmu doznawali wyłącznie mężczyźni. Przedstawicielki słabszej płci mogły liczyć zamiast tego na... radość z macierzyństwa<sup>20</sup>.

Dzieła literackie i cała obowiązująca kultura wpajały im zresztą przekonanie, że pożycie małżeńskie to w pierwszej kolejności forma poświęcenia. „Czystość jest czymś bezwzględnie dobrym, życie płciowe zaś w każdym razie plamą i poniżeniem” – instruowano dziewczęta, jak pisze Iza Moszczeńska w *Cnocie kobiet*. – „Nawet małżeńskie życie jest dla nich jakimś zstąpieniem z piedestału, a ich naturalne pragnienie ziemskiej miłości grzeszną żądzą (...). W świetle tak pojętej etyki im większą stosunek małżeński jest dla kobiety ofiarą, im większy w niej wstręt budzi, tym ona jest wyższą istotą”.

W jednym ze swoich esejów Boy stwierdził: „Takie małżeństwo nie było dobrowolnym związkiem dwojga ludzi, którzy wierzą, że się dobrali szczęśliwie i że im będzie z sobą dobrze, ale pułapką zastawianą przez »społeczeństwo« na głód serca mężczyzny”<sup>21</sup>. Jako mężczyzna, i to wychowany właśnie w XIX wieku, nie mógł chyba widzieć sprawy inaczej. Polskie feministki stawiały znacznie ostrzejsze diagnozy. W XIX-wiecznym modelu obyczajowym dostrzegały narzędzie



poniżenia i ubezwłasnowolnienia kobiet. A w seksbiznesie – cyniczny przemysł pogardy. Erotyczna emancypacja znalazła się na liście najważniejszych postulatów ich ruchu. Zaraz obok praw wyborczych i ekonomicznych. Najpierw musiały jednak udowodnić, że kobieca seksualność w ogóle istnieje. I że jest czymś więcej niż groźnym schorzeniem.

## **Pieszczoty surowo wzbronione**

Amerykański lekarz Russell Thatcher Trall był człowiekiem do bólu szczerym. Wiedział, że bez kobiet nie byłoby XIX-wiecznej medycyny. A on sam musiałyby pewnie zająć się uczciwą pracą. W 1873 roku pisał: „Ponad dwie trzecie wszystkich gabinetów lekarskich zajmuje się tylko chorobami kobiecymi”. Chodziło o naprawdę gigantyczne pieniądze. Rocznie doktorzy w Stanach Zjednoczonych zarabiali około dwustu milionów dolarów. „Za trzy czwarte tej sumy – sto pięćdziesiąt milionów – lekarze mogą dziękować kruchości kobiet” – dopowiadał Trall<sup>22</sup>. W przeliczeniu na dzisiejszą wartość dolara, były to przynajmniej trzy miliardy każdego roku<sup>23</sup>. I to za zajmowanie się przypadłościami, które w większości po prostu zmyślono.

„Kobiety chorowały, ponieważ były kobietami” – wyjaśnia historyczka Ann Douglas Wood<sup>24</sup>. W połowie XIX stulecia z tym bezczelnie prostym punktem widzenia zgadzały się nawet pierwsze lekarki i działaczki społeczne zajmujące się propagowaniem higieny. Każdej kobiecie uskarżającej się na nieudane pożycie małżeńskie przyczepiano łatkę „histeryczki”. Wielu innym też. Tajemnicza choroba wiązana z nieprawidłowym działaniem żeńskich narządów płciowych

miała dotyczyć dziesiątek milionów żon i narzeczonych na całym świecie. Lista symptomów hysterii była długa i elastyczna. Znajdowało się na niej wszystko: od uczucia ciężkości w brzuchu, przez problemy ze snem, podenerwowanie, bóle głowy, aż po budzące szczególnie niepokój lekarzy „pocenie się” pochwy na przykład na skutek niezdrowych fantazji. Dzisiaj naukowcy wiele z tych objawów wiążą po prostu z seksualną frustracją. Z brakiem zadowolenia z życia erotycznego lub też z zupełnym brakiem takiego życia<sup>25</sup>.

Nic dziwnego. Podczas gdy mężczyźni „leczyli” ból głowy w domach publicznych, kobiety były skazane na wspomniane przez Iżę Moszczeńską składanie „ofiary” z siebie. Fakt ten doskonale oddaje praca lwowskiego lekarza Artura Ligiszy z 1903 roku. W książce poświęconej tematowi zapobiegania ciąży udzielał on czytelnikom szeregu niezawodnych rad. Przykładowo wedle niemieckiego zwyczaju:

*Przed aktem płciowego obcowania zupełnie się nie podnieca nerwów u żony żadnymi pieszczotami, całusami lub objęciami, tylko wprost przystępuje się niespodzianie, zniemacka do aktu spółkowania.*

*Skutek przy tym głównie ma zależeć [od tego], aby zaraz od początku małżeństwa tak postępowano, aby młoda nie znała innego rodzaju wykonywania małżeńskiego obcowania, jak tylko ten jeden*  
<sup>26</sup>.

Inny sposób wymagał, by kobieta bacznie obserwowała, aż u mężczyzny zbliży się chwila orgazmu i na moment przed wytryskiem głęboko nabrała powietrza. Następnie powinna wstrzymać oddech na tak długo, jak tylko będzie w stanie. Szok i niedotlenienie powinno zniwelować ryzyko zapłodnienia. Prostsza metoda, podawana

w publikacjach innych autorów, zakładała po prostu zupełny, stuprocentowy bezruch kobiety w trakcie całego stosunku. Mąż niech robi swoje, a żona powinna leżeć niczym kłoda.

„Dla histeryczki akt seksualny musi być rozczarowaniem. Ona go nie rozumie” – pisał w 1895 roku francuski lekarz Georges Gilles de la Tourette<sup>27</sup>. I miał rację. Z tym, że należałoby jego twierdzenie nieco rozszerzyć. Powiedzmy wprost: dla niemal każdej XIX-wiecznej kobiety akt seksualny był rozczarowaniem. I nie mogło być inaczej, jeśli ówczesna kultura akceptowała wyłącznie dwa punkty widzenia. Albo kobiety były istotami zupełnie aseksualnymi, albo seksualnie popsutymi. I to do tego stopnia, że każdy przejaw potrzeb erotycznych wymagał interwencji lekarza.



„Prostytutka stała się na wiek cały filarem moralności społecznej, niemal urzędnikiem państwowym” – pisał Tadeusz Boy-Żeleński (rys. „Nowy Dekameron”, 1924).

Na obydwie te poglądy nakładało się dość powszechne przekonanie, że kobieta to człowiek, ale jednak nie do końca. August Czarnowski, redaktor broszury *Marnopłcenie – onanizm*, przestrzegał, by nie narażać systemu nerwowego dziewczynek na nadmierny wysiłek, bo ten po prostu nie jest do niego zdolny. „Nateżenie mózgu”, na przykład w toku edukacji szkolnej, niechybnie skutkowało „osłabieniem działalności żołądka, kiszek, wątroby, śledziony”. Przede wszystkim zaś – co dla podkreślenia powagi podano pismem rozstrzelonym – groziło bezpłodnością<sup>28</sup>. Kobiety mogły więc być albo mądre, ale chore, bezużyteczne i bezpłodne, albo głupie jak but – i przydatne dla społeczeństwa. Rolą rodziców i mężów było dokonanie za nie właściwego wyboru. Sprawę rzadko ujmowano równie drastycznie, ale ogólnej zasady do połowy stulecia niemal nikt nie kwestionował. Przykładowo Teodozy Sierociński, autor pracy *Pedagogika, czyli nauka wychowania*, tłumaczył w 1846 roku, że dziewczynek nie należy uczyć zbyt wiele, tak aby czasem nie osiągały tego poziomu intelektualnego, co mężczyźni. Przecież kobieta ma się: „zgadzać ze swoim losem i być gotową do znoszenia choćby najgorszej doli. Los jej (...) jest związany z losem męża i dzieci. Ma być całe życie uległą i posłuszną”<sup>29</sup>.

Pierwszy, głęboko symboliczny akt uległości – a często wręcz

poniżenia – następował podczas nocy poślubnej. Nieliczne panny młode wiedziały, czego oczekiwać po tej chwili. Nie była to rzecz, o której rozmawiało się w domu. Nawet przed samym ślubem mało która matka udzielała córce szerszych rad niż tylko: bądź dzielna, wytrzymaj. Żyjąca w pierwszej połowie XIX wieku Aleksandra Tarczeńska wspominała w pamiętniku: „Niech, co chcą, mówią kobiety, lecz podług mnie nie ma nic nieszczęśliwszego, jak skromnie wychowana dziewczyna przez pierwsze dni po ślubie. Kochałam zawsze Marcelka, ale taki żal do niego miałam, za różne mi po ślubie wyrządzone niecnoty, że w pierwszych dniach naszego związku nadzwyczajnie byłam smutna”<sup>30</sup>.

Pozbawione prawa do własnej opinii kobiety zaciskały zęby i czekały, aż w końcu ktoś dostrzeże, że nie tak to powinno wyglądać. Światelko w tunelu pojawiło się w latach osiemdziesiątych XIX wieku. Medycyna niespodziewanie zainteresowała się seksem<sup>31</sup>.

## **Zgubny uchwyt parobczaka**

Najlepsza biografia to ta, którą napiszesz sobie sam. W myśl tej prostej zasady Winston Churchill uczynił zwycięstwo w II wojnie światowej swoim jednoosobowym sukcesem. Ale nie był pierwszy. Niespełna pół wieku wcześniej to samo próbował osiągnąć Stanisław Kurkiewicz. Tyle że chodziło o wojnę z erotycznym zacofaniem, a nie z nazistami.

W 1916 roku cierpliwie instruował czytelników mogących nie mieć świadomości, z jak wybitnym autorem przyszło im obcować:

*Tę gałąź czynności (praktyki) lekarskiej, która zajmuje się życiem*

*płciowym (...) ja od lat kilkunastu ująłem w nową i oryginalną całość. Jestem więc twórcą i pierwszym dopiero przedstawicielem tak specjalistycznie wyodrębnionej lekarskiej praktyki (...). Tego nie wypowiadam jako reklamę i przechwałkę – jeno jako prawdziwy stan rzeczy w dziejowości (historii) wiedzy płciowej*<sup>32</sup>.

Rzeczywiście innych lekarzy-płciowników historia nie odnotowała. Kurkiewicz miał też rację, pisząc, że nie istnieją szkoły dla seksuologów, kursy ani oficjalne tytuły. Wszystkiego musiał uczyć się sam. Nie zauważył jednak, że wcale nie jest jedyny. Ani nawet pierwszy.

Zupełnie pierwszy rzecz jasna nie mógł być. Ludziom każdej kolejnej epoki wydawało się, że odkrywają seks. W rzeczywistości to, co człowiek potrafi robić w sypialni w XXI wieku, równie oczywiste wydawało się starożytnym Grekom, Rzymianom i Aztekom. Nie potrzebowali podręczników wychowania do życia w rodzinie ani *Kamasutry*, żeby dopasować jeden element układanki do drugiego. Ani seks oralny, ani zabawki erotyczne, ani taka czy inna pozycja nie miały nigdy swoich „wynałazców”. Nie da się ujmować naturalnych instynktów i wrodzonych potrzeb w ramy historii. Jeśli coś odkrywano na przestrzeni stuleci, to przede wszystkim nowe sposoby mówienia lub milczenia o seksie. Nowe obyczaje, uprzedzenia i granice tego, co wydawało się dopuszczalne. Schyłek XIX wieku był wyjątkowy, bo po raz pierwszy uczeni mogli wziąć życie erotyczne pod mikroskop. Świat jeszcze nigdy nie wydawał się równie mierzalny i policzalny. Człowiek ujarzmił elektryczność, odkrył genetykę i teorię ewolucji. Medycyna zaczęła wychodzić poza obszar przypadkowych prób i błędów. Powstawały pierwsze nowoczesne atlasy anatomiczne, promienie

Roentgena pozwoliły dosłownie spojrzeć w głąb człowieka. Tajemniczy obszar ludzkiej seksualności postrzegano jako nową, wymagającą opisaną rubież nauki. Tak brzmi optymistyczne wyjaśnienie narodzin seksuologii. Zapewne niektórych naukowców do badań w dziedzinie płciowości rzeczywiście pchała ambicja. Dużo większe znaczenie miał jednak strach – nieodłączny towarzysz XIX-wiecznego seksu.

Należałoby wręcz mówić o całej górze lęków, a nie o jednej, sprecyzowanej obawie. Po pierwsze, był strach przed degeneracją. Pobieżne uświadomienie sobie prawideł genetyki nadało zupełnie nowe znaczenie bezładnemu życiu płciowemu XIX stulecia. Choroby weneryczne, przypadkowe stosunki płciowe, nieślubne dzieci z nieznanymi partnerami. Z paniką skonstatowano, że to nie problem bieżącego świata, ale też każdego kolejnego pokolenia. Naukowcy i publicyści widzieli już oczami wyobraźni skarłale karykatury człowieka, zamieszkujące Europę za kolejne stulecie. „Co do obecnego stanu obyczajowego, nikt chyba nie zaprzeczy, że pod względem zwyrodnienia płciowego stoi on na samej krawędzi, poza którą grozi już chyba ludzkości pełna zagłada”<sup>33</sup>. Te słowa Marii Turzyny z 1906 roku doskonale oddają atmosferę przełomu wieków. Trwogę podsycił jeszcze niekontrolowany postęp w każdej dziedzinie. Rozrastające się miasta, niesprawdzone technologie, wywrotowe koncepcje polityczne, anarchia, rozkwit przestępczości. Seks wydawał się jeszcze jednym obszarem wymagającym poskromienia. Tym pilniejszego, odkąd człowiek uświadomił sobie za sprawą Darwina, że nie tak znowu wiele dzieli go od zwierząt<sup>34</sup>.

Nic dziwnego, że praca uznawana za fundament nowoczesnej seksuologii – *Psychopathia Sexualis* Richarda Krafft-Ebinga z 1886

roku – to przede wszystkim wielki spis dewiacji. Od zoofilii i onanizmu po sadyzm i masochizm. Epatowanie strachem stało się odtąd znakiem rozpoznawczym badań nad stosunkami płciowymi. Nawet pocieszny Stanisław Kurkiewicz przyznawał, że w niekontrolowanym życiu erotycznym widzi wielkie zagrożenie dla ludzkości. I że właśnie ta wisząca nad światem groźba skłoniła go, by poświęcić seksowi całe życie. W jednej z książek pisał: „Znanym mi jest przypadek nagłej śmierci u dziewczyny góralki, gdy przy źródle, czerpiąc wodę, została wzięta tak (...) najniewinniej za palec przez parobczaka, którego osoba ją bardzo silnie napinała. I napięcie to spowodowało wtedy udar mózgowy!”<sup>35</sup>.

Chwycenie za palec, niechwycenie za palec. Nadużywanie seksu albo i brak seksu. Nadmiar złych myśli i ich niedomiar. Każde odstępstwo od trudnej do zdefiniowania normy niosło za sobą opłakane skutki. Kurkiewicz strawił dziesiątki stron na wypisanie wszystkich możliwych schorzeń, biorących początek w nadużyciach płciowych. Na liście była zaćma, zaburzenie akcji serca i ogólna „mózgoniemoc”. Od „źle wykonywanego” seksu można się było nabawić nawet gruźlicy. I zdaniem Kurkiewicza często się to zdarzało nowożeńcom. Wprawdzie krakowski lekarz-płciownik działał w naukowej próżni, nieświadomy konkurencji i postępów w medycynie, ale inni badacze dochodzili do bardzo podobnych wniosków. Także Zygmunta Freuda należałoby wrzucić do tego samego worka z etykietą „straszenie seksem”. Może i ojciec psychoanalizy nie był na tyle zdesperowany, aby grozić pacjentom śmiercią, ale podobnie jak Kurkiewicz w erotyce dostrzegał głównie problemy. Zatajone przeżycia, krzywdy i wstrząsy seksualne z przeszłości uniemożliwiały człowiekowi normalne życie. Pomóc



mogła tylko kosztowna terapia i ujarzmienie własnej seksualności.



U schyłku XIX wieku uczeni po raz pierwszy mogli wziąć życie erotyczne pod mikroskop. Świat seksu jeszcze nigdy nie wydawał się równie mierzalny i policzalny (rys. „Amorek”, 1924).

Praca pierwszych seksuologów miała w sobie rys tragizmu. Wszyscy przyznawali, że nawet jeśli seks zabija, to nie da się przed nim uciec. Wielką popularność zdobywały sobie koncepcje filozoficzne, zgodnie z którymi światem i ludzką egzystencją rządzi wyłącznie ślepy, bezwzględny popęd płciowy. To za jego sprawą powstają cywilizacje i za jego przyczyny giną narody. Polski lekarz Michał Misiewicz referował w 1906 roku:

*Od pierwszych chwil rozwoju (...) mężczy miłość płciowa bezwiednym pragnieniem, do którego nakłania wszystkie dążenia*

*i czyny człowieka. Marne ideały przedstawia młodzieńcowi w aureoli nieskończonej doskonałości. (...) Skazuje go na męczarnie, doprowadzając nieraz do samobójstwa. W dojrzałym wieku geniusz gatunku występuje z jeszcze większą siłą i narzuca kajdany miłości, małżeństwa i ojcostwa. W małżeństwie rzadko urzeczywistnia się ideał (...), a ze swojej strony wymaga ono zapobiegliwości, pracy, poświęcenia. W starości zostawia brzemię opieki nad niedojrzałymi dziećmi i troski o ich byt. I jeszcze na łożu śmierci umiera człowiek z zeschniętymi od pragnienia wargami (...).*

*Wszystkie czynności i funkcje życiowe, a więc odżywianie, sen, trawienie, mają jedynie za cel zadośćuczynienie potrzebom rozplodu*  
<sup>36</sup>.

Nauka od pierwszej skrajności i zupełnego odrzucenia roli życia płciowego przeszła w skrajność drugą – bagatelizując całą resztę ludzkiej kultury. Liczyć miał się tylko seks. Ten skrajnie paniczny trend nie utrzymał się długo. Wystarczył jednak, by postawić pierwszą podwalinę rewolucji seksualnej. Przy całej nedorzeczności formułowanych poglądów wczesni seksuolodzy przynajmniej docenili rolę życia płciowego. I opisali jego mechanizmy.

Niemiecki dermatolog Iwan Bloch stwierdził odważnie, że „przyczyną dewiacji seksualnych nie jest degeneracja, ale pragnienie odmiany (...), właściwe dla każdego człowieka”. Brytyjczyk, doktor Havelock Ellis dopowiadał: pamiętaj, w życiu seksualnym „nie każdy jest taki jak ty”<sup>37</sup>. Dzięki nim propagatorzy zdrowego i pozbawionego kompleksów życia seksualnego będą mogli posunąć się w epoce międzywojennej jeszcze o krok dalej. I ogłosić, że wszyscy ludzie są trochę zбочeńcami. Tak właśnie w 1930 roku ujmie rzecz polski lekarz Paweł Klinger – jako stan zrozumiwały i zupełnie naturalny<sup>38</sup>.

Najważniejszy przełom dotyczył jednak kobiet. Badacze życia seksualnego wreszcie zauważyli, że erotyka wcale nie jest domeną jednej płci. Historyk medycyny Marcin Leśniewski szczególne zasługi przypisuje wspomnianemu już Havelockowi Ellisowi. W wydanej w 1896 roku pracy *Studium psychologii seksualnej* Ellis „stwierdził, że dziewczęta dojrzewają wcześniej niż chłopcy. Rozbił mit, jakoby kobiety nie miały popędu płciowego”. Stąd niedaleko już było do badań Hiszpana Gregoria Marañoña i do stwierdzenia, że macierzyństwo wcale nie uniemożliwia kobiecie rozwoju intelektualnego, a jej organizm – nie jest seksualnie upośledzony.

Wyjątkowe postępy odnotowała psychologia. Dostrzeżono, że stosunek płciowy to coś więcej niż dwójka ludzi wykonujących osobliwe ruchy i wydających zabawne odgłosy. Austriak Wilhelm Steckel rozwodził się nad psychiczną podbudowę seksu. To w umyśle widział źródło impotencji i seksualnych lęków. Nagle stało się jasne, że nie tylko mężczyzna powinien czerpać satysfakcję ze stosunku. A także, że to mąż ponosi w znacznym stopniu odpowiedzialność za niechęć, wstręt lub obojętność żony wobec życia płciowego<sup>39</sup>.

Na tym polu Polacy byli prawdziwymi prekursorami. Już w 1875 roku warszawski ginekolog Jakub Rosenthal pisał o popędzie seksualnym i związkach pomiędzy wyobrażeniami oraz pragnieniami a życiem erotycznym. Wszystko to w poradniku higienicznym dla niewiast<sup>40</sup>. Z kolei krakowski położnik Henryk Jordan w 1881 roku sporządził dokładny, biologiczny opis stosunku płciowego, także z perspektywy kobiety. Potwierdził tym samym, że w kwestii fizjologii seksu polscy lekarze z końca XIX wieku wiedzieli niemal tyle samo co dzisiejsi<sup>41</sup>. Dopiero za pięć lat miała się ukazać *Psychopathia Sexualis*,

rzekomo pierwsza praca nowoczesnej seksuologii, a dociekliwy krakus już odkrył kobiecy orgazm. Pisał:

*Podczas szczytu podrażnienia płciowego powstaje (...) skurcz, od ujść jajowodów ku ujściu zewnętrznemu się posuwający, skutkiem czego śluz (...) się wydziela i pojemność tej jamy się pomniejsza. Macica mocno skurczona napręża się, naprężają się i wargi maciczne wśród silnego bardzo nawału krwi <sup>42</sup>.*

Już ten jeden akapit powinien tłumaczyć, czemu Henryk Jordan ma park swojego imienia w samym środku Krakowa. Zasłużył.

Jeśli kobiecy orgazm istniał, należało wreszcie zapytać: dlaczego kobiety tak rzadko go miewają? Dzięki postępom seksuologii to też stało się możliwe. Lekarze, początkowo opierający się na dociekaniach teoretycznych lub danych zebranych przez ginekologów i wenerologów, na przełomie wieków zaczęli prosić o wyrażenie opinii zwyczajnych ludzi. Za pierwszego seksualnego ankietera uznaje się dość powszechnie niemieckiego naukowca Magnusa Hirschfelda. Na pewno był najgłośniejszą osobą w tym fachu. Za przepytывanie homoseksualistów trafił na dziesięć dni do aresztu. Mimo to nie zniechęcił się, a w 1918 roku założył Instytut Wiedzy Seksualnej w Berlinie. Podręczniki podają, że była to pierwsza tego typu instytucja na świecie, a sam Hirschfeld stworzył nawet termin „seksuologia”. I w pewnym sensie jest to prawda. Warto jednak przypomnieć, że sporo lat wcześniej własny instytut, własne ankiety i sztab „spostzegaczy zdarzeń płciowych” miał Stanisław Kurkiewicz. A poza tym – zupełnie niezależnie od Hirschfelda – ogłosił nazwę „seksuologia”. Choć oczywiście wołał swojsko brzmiące płciownictwo.

## Nasze macice, wasze kamienice

„Zawsze lub prawie zawsze”. Takiej odpowiedzi na pytanie „Jak często przeżywa Pani orgazm w trakcie stosunku” w 2005 roku udzieliło ponad 35% ankietowanych Polek. Sondaż przeprowadził profesor Zbigniew Izdebski. Łącznie 82% respondentek przyznało, że przynajmniej „czasami” zaznaje orgazmu. Odpowiedź „nigdy” podała jedna kobieta na sto<sup>43</sup>.

Podobną ankietę po raz pierwszy zorganizowano w Polsce już w 1908 roku. Autorem badania był warszawski lekarz oraz antropolog Walenty Miklaszewski. I trzeba przyznać: przez sto lat nastąpiła kolosalna zmiana. Doktor relacjonował: „Żona doznaje rozkoszy przy stosunkach płciowych stale w 7,5% [przypadków], zmiennie w 11,56% przypadków, a wstrętu w 8,3% przypadków”<sup>44</sup>. Łącznie dla zaledwie 19% kobiet życie seksualne było choć trochę satysfakcjonujące. Liczbę tę należałoby zresztą chyba jeszcze przyciąć. Miklaszewski zadał pytanie dość niekonkretne – o rozkosz, a nie o orgazm. W epoce, w której kobieca zdolność do szczytowania wydawała się absolutną nowinką, wiele respondentek mogło wręcz nie wiedzieć, co kryje się pod dziwnym słowem na „o”.

Nawet twórca ankiety przyznawał, że jej wyniki wołają o pomstę do nieba. „Jest oczywiste, że kobieta została podporządkowana mężczyźnie w myśl przysięgi posłuszeństwa i uległości. A taki stosunek stanowi wprost zaprzeczenie miłości. Ma on wszelkie cechy stosunku posiadacza, władcy” – pisał na łamach czasopisma „Czystość”. Coraz większa liczba specjalistów przyznawała, że trzeba zacząć działać. Do debaty włączyły się też, i to z wielką siłą, kobiety: polskie sufrażystki.

Dyskutowały na łamach własnych czasopism, wydawały książki. I spierały się – bo jednego wyjścia z sytuacji nie było.

Zgadzano się, że podwójna moralność musi zniknąć. Pytanie brzmiało: które jej oblicze należy zlikwidować? Historyczka Jolanta Sikorska-Kulesza podaje najpopularniejszy wśród aktywistek pogląd: „Mężczyźni powinni przyjąć rygorystyczny standard, obowiązujący dotąd kobiety – ascezę przedślubną i wierność w nowym małżeństwie”<sup>45</sup>. Zmienić miało się wszystko. W XIX-wiecznych małżeństwach feministki słusznie widziały tylko „sponiewieranie miłości” i „materialną transakcję”<sup>46</sup>. Pismo „Ster” wyjaśniało w 1907 roku, że związek sakramentalny to tak naprawdę „monogamiczna prostytutka dla majątku lub interesu”, a kobiety są w nim „płatnymi nałożnicami swoich mężów”<sup>47</sup>. Kazimiera Bujwidowa dopowiadała, że źródło problemu tkwi w sprowadzeniu kobiet do roli samic<sup>48</sup>. Maria Turzyma ujmowała sprawę nawet dosadniej. Pisała o „wybujałości uczucia”, która czyni z kobiet niewolnice. Szansę na wyzwolenie dawało tylko wyrwanie się z seksualnej matni. Całkowite odrzucenie erotyki jako obszaru życia.

Nowe małżeństwo miało znajdować pełnię we wzniosłym, czystym uczuciu, nie zaś w brudnej, poniżającej kobietę kopulacji. Seks należało zupełnie wyplenić z życia, tak by odtąd służył tylko płodzeniu potomstwa. Ten skrajny pogląd zdobył sobie sporą popularność. Kobiety, których pragnienia i potrzeby przez cały wiek trzymano pod kluczem, teraz chciały zamknąć w więzieniu i siebie, i mężczyzn. Tak żeby dla dobra sprawy cierpiał każdy.

Trudno im się dziwić. Ankieta Walentego Miklaszewskiego dowodzi, że większość z nich nawet nie wiedziała, że coś traci.

Wyrzekały się tego, czego i tak nigdy w życiu nie doznały. Ten ton dominował w debacie aktywistek przynajmniej od lat dziewięćdziesiątych XIX wieku. Dopiero w 1904 roku Iza Moszczeńska nieśmiało zapytała: „Czy mamy moralne prawo żądać od kobiet czystości przed ślubem, absolutnej stałości i wierności po ślubie, czy każde odstępianie od tych wymagań istotnie grozi społeczeństwu ruiną?”. Prawdziwa bomba wybuchła jednak w 1907 roku. Na Drugim Zjeździe Kobiet Polskich odważna młoda pisarka Zofia Nałkowska uderzyła pięścią w stół. „Chcemy całego życia!” – zaapelowała w imieniu swojego pokolenia.

*Poświęcić mamy wszelkie indywidualne dążenia erotyczne dla dobra dzieci. Tą drogą – odrzucając z życia całe piękno – cały poryw i żywioł uczucia, czynimy ze świata jedną wielką stajnię racjonalnej hodowli zwierząt ludzkich <sup>49</sup>.*

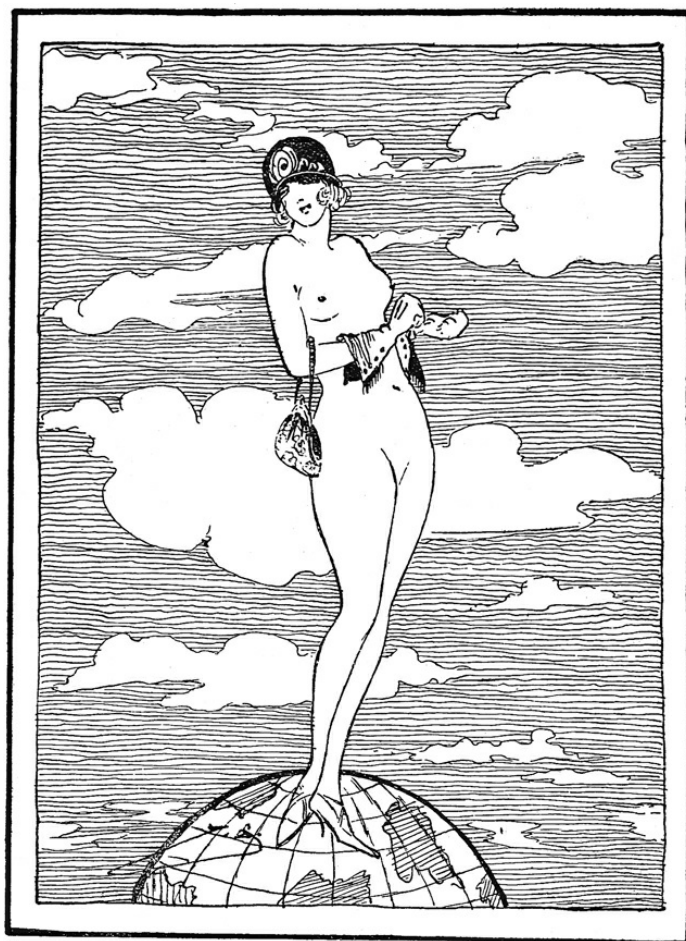
Dwudziestotrzyletnia Nałkowska domagała się wolności, prawa wyboru własnej ścieżki. I prawa do czerpania z życia przyjemności. Stojąca po drugiej stronie barykady czterdziestosiedmioletnia Maria Turzyna skomentowała cierpko, że to tak jakby żądać „prawa do oddawania się prostytutce”. Być może dla jej generacji inny punkt widzenia po prostu nie mógł istnieć. Dyskusje trwały nadal. Postępowa prasa drukowała coraz to radykalniejsze propozycje rozwiązania kwestii płciowej. Ale młode, uświadomione kobiety wybrały wizję Nałkowskiej. Zaczęły żądać od mężczyzn „całego życia”. Równouprawnienia w pracy, na ulicy, przy urnie – i w łóżku. To był drugi filar rodzącej się rewolucji seksualnej.

## Dwie Polski

Na dwóch chwiejnych podporach przewrót obyczajowy nie przetrwałby długo. Seksuologia była rozrywką dla elit, a feministki docierały ze swoimi postulatami głównie do kobiet już rozumiejących potrzebę emancypacji. Na tym jednak zmiany się nie zatrzymały. Każdy dzień przynosił nowe wynalazki w dziedzinie seksu. Innowacje pozwalające myśleć o fizycznej miłości bez strachu i bez wstrętu. W 1910 roku do aptek trafia pierwszy skuteczny środek przeciwko syfilisowi – salwarsan<sup>50</sup>. Seks bez zabezpieczeń nie oznacza już dłużej piętna na całe życie. Jednocześnie pojawiają się zabezpieczenia. Pod koniec XIX wieku rusza sprzedaż pierwszych nowoczesnych środków antykoncepcyjnych. O stuprocentowej pewności nie może być mowy, ale kobieta wreszcie sama decyduje, czy chce w danym momencie kolejnego dziecka, czy nie. „Opanowanie ciąży (...) stwarza w dziedzinie kształtowania się obyczajów nowy fakt niesłychanej doniosłości. Na tej zasadzie młode dziewczęta biorą dziś sobie same owo prawo do swobody” – wyjaśniał Tadeusz Boy-Żeleński<sup>51</sup>. I rzeczywiście swoboda staje się coraz wyraźniejsza w pierwszych latach XX wieku. Świat buzuje pragnieniem zmian. Nie chodzi tylko o przemiany polityczne. Na tle rewolucji 1905 roku polskie organizacje niepodległościowe i terrorystyczne otwierają się na kobiety. Socjaliści, anarchiści, działacze robotniczy. Wszyscy oni w seksualnym wyzwoleniu i równouprawnieniu obydwu płci widzą narzędzie postępu<sup>52</sup>. Niczym grzyby po deszczu wyrastają też odważne, erotyzujące pisemka. W cieniu patriotycznej literatury, w której pragnienie niepodległości spychało w niebyt każdą inną ludzką



potrzebę, rodzą się nowe, przesiąknięte erotyką ruchy artystyczne. Twórcy, kojarzeni z szeroko rozumianym modernizmem, nie boją się pokazywać, że seks ma dla nich znaczenie. I że wolą wolną miłość od wyzutego z emocji XIX-wiecznego małżeństwa. Zmieniają się też codzienne obyczaje i moda<sup>53</sup>. Poważna prasa coraz częściej pomstuje na rozluźnienie moralne, na zrzucanie przez kobiety kolejnych warstw ubrań. Już około 1910 roku gazety w rodzaju „Ilustrowanego Kuryera Codziennego” twierdzą, że nowoczesny damski styl to ni mniej, ni więcej, tylko nagość.



„Chcemy całego życia!” – zaapelowała Zofia Nałkowska w 1907 roku. Na ilustracji kobieta jako władczyni świata („Amorek”, 1924).

Wreszcie – wybucha wojna. I to jest ostatni gwóźdź do trumny XIX-wiecznej etyki seksualnej. Młode pokolenie, które w 1914 roku mimo wszystko godziło się na zastany porządek rzeczy, na sztywne konwenanse i wiktoriańskie narzeczeństwa, w 1918 roku nie wierzy już w robienie żadnych planów. Cztery lata w świecie pełnym bezsensownej śmierci, chorób i niepewności wystarczają, by młodzi zapragnęli wszystkiego tu i teraz. Chcą, jak ujął to Modris Eksteins, „celebrować życie”<sup>54</sup>. To bunt przeciwko staremu porządkowi w każdej jego odsłonie. Przeciwno zakłamanym rodzicom, męczącym się ze sobą bez miłości i bez celu, ale też przeciw dżentelmenom we frakach, którzy doprowadzili do samobójstwa Europy. To wreszcie pragnienie nowej wielkiej przygody. Mimo całej swej bezsensowności i całego bólu dla wielu wojna była także tym.

Młodzi mężczyźni, którzy w innych okolicznościach zdawaliby egzaminy na studia, wkuwali podręczniki i szukali stabilnej, monotonnej pracy, dostali szansę, by walczyć o niepodległość z karabinem w ręku. Do pewnego stopnia dostały ją też kobiety. Wiele dziewczyn działało w Legionach i innych organizacjach narodowych. Czuły, że wreszcie są potrzebne – że mogą zdjąć maskę apatii i przestać podporządkowywać się mężczyznom w każdej sferze życia. Obowiązujące jeszcze parę lat wcześniej przekonanie, że „kobieta jest istotą stworzoną dla mężczyzny”, zaczęło brzmieć absurdalnie.

Legionistki rzucały się w wir aktywności, a często także w wir erotycznych przeżyć. Wojna sprzyjała temu w sposób szczególny. Maria Dąbrowska, działająca w Oddziale Wywiadowczym, wspominała rozmowę na wojskowej kwaterze, do której raczej nie mogłoby dojść przed 1914 rokiem. „Po herbacie [gospodarz] zaproponował mi bez ogródek, że gotów zastąpić mi na tę noc »pana małżonka«” – zanotowała. Kiedy odmówiła, niezrażony mężczyzna zapewnił, że nie obrazi się, jeśli ona nagle zmieni zdanie. „Wystarczy zapukać” – mruknął, wychodząc do drugiego pokoju<sup>55</sup>. Odrzucenie konkurów nie wynikało z żadnych hamulców moralnych. Maria żyła w wyzwolonym małżeństwie, akceptującym ponadprogramowe aktywności obu stron. Taki model wspólnego życia był wśród Legionistów bardzo częsty. Józef Piłsudski w ogóle nie krył się z romanssem z przełożoną kurierką Aleksandrą Szczerbińską. Faktu, że ta urodziła mu nieślubne dziecko, też nie maskowano. Żona Komendanta Maria Piłsudska o wszystkim wiedziała. Wielokrotnie wypowiadała się publicznie na temat jego kochanki i to wydawało się nową normą<sup>56</sup>.

Po zakończeniu wojny trudno było wrócić do świata sztywnych ograniczeń. „Powojenne nasze nerwy, wciąż emocji nowych chcą. Silnych wrażeń chcą bez przerwy i do silnych wrażeń lgną, dzieci, panny i mężatki” – brzmiał niezwykle trafny wierszyk opublikowany w 1924 roku przez pismo „Amorek”<sup>57</sup>. Życie polegające na odhaczaniu długiej listy zobowiązań wydawało się teraz śmiesznie bezcelowe. Za zmianami nie nadążali prawodawcy ani publicyści. Chaotyczna rzeczywistość wymykała się próbom opisu. Trudno było stwierdzić, co jest zasadą przyjętą przez całe pokolenie, co chwilową modą, a co – wybrykiem zepsutych przez wojnę jednostek. Tylko sam fakt, że doszło

do przewrotu, nie ulegał wątpliwości dla obserwujących go ludzi. Tadeusz Boy-Żeleński pisał na początku lat trzydziestych:

*Chcesz wiedzieć, co to jest reforma seksualna? Spójrzaj dokoła siebie. Życie przeprowadza ją co dzień. Sam powiedz, czy podobne jest do tego, jakie było przed kilkunastu laty? Idź na plażę, do kawiarni, spójrz na taniec, na strój kobiety, posłuchaj rozmów. I spróbuj potem wziąć do ręki powieść sprzed lat dwudziestu, zając do teatru na przedwojenną sztukę. Jakże absurdalny, jak niepotrzebny wyda się niejeden najdramatyczniejszy konflikt bohaterów!* <sup>58</sup>

Co jeszcze się zmieniło? Historyczka Dobrochna Kałwa wymienia: „Z pejzażu codzienności znikła postać przyzwoitki. Kobiety zaczęły bywać samodzielnie w restauracjach, w kawiarniach – miejscach, do których dawniej uczęszczać mogły jedynie pod opieką męskich członków rodziny”<sup>59</sup>. Zachowania, które uchodziły za niemoralne i niedopuszczalne, teraz stały się zwyczajne i codzienne. A to miał być tylko początek. Dopiero co odesłano do historii trwający tysiąc lat „imponujący blef, mający na celu wyrobienie w kobietach (...) kompleksu niższości”, a feministki już zaczęły nawoływać do zupełnego obalenia starego porządku. „Cywilizacja męska, doprowadziwszy samą siebie do absurdu, przygotowała wszystko, aby sama się zniszczyć. Przeprowadziła (...) próbę generalną, ulepszyła to i owo... A teraz stop! Wracajcie do waszej Walhalli, głupi i dziecinni bogowie dotychczasowego świata! Czas zamknąć was tam na klucz” – postulowała w latach trzydziestych Irena Krzywicka<sup>60</sup>. Na miejsce kultury szowinistów miał przyjść nowy świat kobiecych zasad. Również – zasad seksu i miłości.

Skala transformacji była olbrzymia, ale wielu historyków wciąż twierdzi, że była też bardzo nietrwała. Piszą oni, że „emancypacja seksualna kobiet” skończyła się niemal tak szybko, jak się zaczęła, a o polskiej rewolucji seksualnej „na większą skalę” trudno mówić z absolutną pewnością<sup>61</sup>. Rzeczywiście, z perspektywy całego społeczeństwa II Rzeczypospolitej sprawa nie wygląda prosto. Wciąż utrzymują się ruchy wzywające do wstrzemięźliwości płciowej lub do ograniczania roli kobiet. Walka z prostytutką szybko przepoczwarza się w publiczne potępienie całej erotycznej sfery życia. Politycy i dziennikarze nawołują do usunięcia seksu z gazet, książek, ze sztuki scenicznej. Wśród tych, którzy krzyczą najgłośniejszy, nie brakuje dżentelmenów do niedawna otwarcie korzystających z uroków podwójnej moralności. Z drugiej strony wielu postępowców dostrzega, że posunęli się za daleko i przechodzą na drugą stronę barykady. W środowiskach o konserwatywnym, narodowym rysie powojenne zepsucie staje się głównym celem nowej obyczajowej krucjaty.

Bierze w niej udział między innymi Iza Moszczeńska, nie tak dawno nawołująca do zaakceptowania przedmałżeńskiej swobody kobiet. W 1904 roku naigrywała się: „U nas (...) jest niezmiernie wiele rzeczy świętych i nietykalnych, o których wcale dysputować nie wolno, bo sama dyskusja już jest zuchwałym targnięciem się na ich niewzruszoność i majestat”<sup>62</sup>. W roku 1928 ta sama Moszczeńska została uznana przez postępową prasę za uosobienie „zamaskowanej obłudy”<sup>63</sup>. Ludzie władzy przeszli podobną przemianę. Słynący z elastycznego podejścia do etyki seksualnej piłsudczycy w 1926 roku stanęli na czele ruchu wielkiej odnowy moralnej. W obyczajowym pejzażu II Rzeczypospolitej nie ma sztywnych granic. XIX wiek, epoka

otwartej pogardy, ustąpił miejsca epoce hipokryzji.

Te wszystkie zjawiska wcale jednak nie zaprzeczają istnieniu polskiej rewolucji seksualnej. Wręcz przeciwnie. Z rzekomą „rozpustą” walczone tak zaciekle właśnie dlatego, że było z czym walczyć. W 1918 roku narodziła się nie jedna Polska, ale przynajmniej dwie. Ta pruderyjna, a często także zakłamana. Polska, która zdelegalizowała domy publiczne i sutenerstwo, pozostawiając prostytutkę i udając, że problemu nie ma. Ta, w której życie płciowe funkcjonowało wyłącznie w kategoriach grzechu, zboczenia lub przykrych konieczności. Oraz druga Polska – domagająca się, w ślad za Zofią Nałkowską, „całego życia”. Ale domagająca się go w wielu przypadkach bezładnie, roszczeniowo i bez żadnej kontroli. Dla idei wolnej miłości gotowa akceptować rozpad rodzin, krzywdę kobiet, a nawet przypadki pedofilii.

Przedstawiciele pierwszej Polski już w międzywojniu odmawiali tej drugiej prawa do istnienia. W wyzwoleniu seksualnym widzieli wpływy żydowskie i działania wrogich agentur. Brudy moralne Polaków bali się wyciągać do tego stopnia, że zupełnie bagatelizowali seksualną przestępczość, plagę partaczonych aborcji i bezkarnych dzieciobójstw. Łatwo jest przyjąć ich wersję rzeczywistości. Od lat robią to historycy i publicyści rozkochani w micie II Rzeczypospolitej. Wolą opowiadać o kraju kulturalnych dam i idealnych dżentelmenów niż o państwie ludzi z krwi i kości. Idealna epoka, w której ekspedientki w sklepach były zawsze pomocne, politycy uczciwi, a obywatele zafiksowani na wspólnym, narodowym interesie ma nieprzemijający urok. Trudniej zajmować się państwem pełnym wewnętrznych konfliktów i palących problemów społecznych. Takim, w którym

chłopi na Kresach jedli korę z drzew, a urzędnicy państwowi byli wieszani na szubienicy za malwersacje. A już szczególnie problematyczne wydaje się wplecenie w ten obraz milionów ludzi żądających seksualnej swobody. Warto jednak to zrobić. Choćby po to, żeby spojrzeć z dystansem na obecną rzeczywistość.

Wychowanie seksualne, związki partnerskie, małżeństwa homoseksualne, życie bez ślubu, aborcja, seks w mediach i w sferze publicznej, sponsoring, swingersi, *stalking*, *mobbing*, legalność prostytutki, a nawet *gender*. Przedwojenna Polska zajmowała się każdym z tych tematów. W wielu z nich debata publiczna zabrnęła znacznie dalej niż w swojej XXI-wiecznej odsłonie. A przede wszystkim – dalej zabrnęło społeczne przyzwolenie. Seks w przedwojennej Warszawie czy Krakowie był wszędzie. Mażeńskie wielokąty, orgie, stosunek na ławce w parku i w wagonie pociągu. Do tego postulaty zupełnego zniesienia monogamii i tradycyjnej instytucji małżeństwa. Ale też: poważnego potraktowania potrzeb i oczekiwań kobiet. Postęp w skrajnej formie. Taki, który zawsze oznacza coś nowego. Ale nie zawsze – lepszego.

Dla obywateli drugiej – tylko tej drugiej – Polski to była codzienność. Na tle sytuacji w dużych miastach w latach trzydziestych to raczej III Rzeczpospolitą należałoby uznać za pruderyjną i wyzutą z seksu. Irena Krzywicka relacjonowała na gorąco w 1925 roku: „Obecnie w miłości panuje bunt, protest, zerwanie wszystkich więzów. Freud, homoseksualizm, kobieta w roli mężczyzny i mężczyzna w roli kobiety, słowem epoka burzy i naporu”<sup>64</sup>. Jedną z najodważniejszych polskich publicystek była przekonana, że „wszystko to się uciszy, ułoży, zastygnie, znajdzie swoją formę klasyczną i konwencjonalną,

stworzy nową moralność, którą znów zburzy epoka następna”. Nie miała racji. Losy II Rzeczypospolitej okazały się zbyt krótkie i zbyt niepewne, by kurz zmian zdążył opaść. Epoka „burzy i naporu” – okres unikalnego w naszych dziejach, nieskrępowanego chaosu i wyzwolenia obyczajów – skończyła się dopiero w 1939 roku, razem z wolną Polską. Ta książka ma na celu przypomnieć jej historię.

---

Pozycje są cytowane przy pierwszym wystąpieniu w danym rozdziale. Data ostatniego dostępu do wszystkich źródeł internetowych to 20 lutego 2015 roku.

- 1 Stanisław Kurkiewicz, *Słownik płciowy. Zbiór wyrażeń o płciowych właściwościach, przypadłościach i t.p.*, nakł. autora, Kraków 1913.
- 2 Tenże, *Samieństwo („Onania”): określenie, istota, znaczenie, skutki i t.p.*, nakł. autora, Kraków 1917.
- 3 Tenże, *Moja dola lekarska (Zwierzenia się i uwagi, przed ludźmi dobrej woli)*, nakł. autora, Kraków 1919.
- 4 Data ani miejsce nie padają wprost w tekstach Boya poświęconych Kurkiewiczowi. Jest to natomiast chyba jedyny moment, gdy dwaj lekarze mogli spotkać się w tym samym krakowskim szpitalu. Por. Józef Hen, *Boy-Żeleński. Błazen – wielki mistrz*, WAB, Warszawa 2008.
- 5 Tadeusz Boy-Żeleński, *Na marginesie „freudyzmu”*, w: Tegoż, *Reflektorem w mrok*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1985. Dla wygody czytelników odsyłam każdorazowo do zbiorczych wydań tekstów Boya. Cytowane felietony ukazywały się pierwotnie na łamach „Kurier Porannego” oraz „Wiadomości Literackich”.
- 6 Tenże, *Narzeczeni*, w: Tegoż, *Zmysły..., zmysły...*, Biblioteka Boya, Warszawa 1932.
- 7 Zob. Michel Foucault, *My, Wiktorianie*, w: *Historia seksualności*, Czytelnik, Warszawa 1995.
- 8 Carl Gelsen, *Hygiena miodowych miesięcy. Wskazówki dla nowożeńców*, Księgarnia Popularna, Warszawa 1909.
- 9 Iza Moszczeńska, *Czego nie wiemy o naszych synach*, Księgarnia Naukowa, Warszawa 1904.
- 10 Eugeniusz Piasecki, *W sprawie higieny płciowej młodzieży szkolnej. (Garść uwag*



wyłoszonych w pogadankach rodzicielskich w Gimnazjum III. i IV. we Lwowie), „Przegląd Higieniczny” 1906, nr 5.

11 O zawieraniu małżeństwa przez ludzi nerwowych i psychopatycznych, „Kosmetyka” 1908, nr 19.

12 Cecylia Bańkowska, *Jak uświadomiłam mojego syna*, Warszawa 1925.

13 Tadeusz Boy-Żeleński, *Ekonomia miłosna*, w: Tegoż, *Zmysły..., zmysły...*, dz. cyt.

14 Robert Blobaum, „Panika moralna” w polskim wydaniu. *Dewiacje seksualne i wizerunek przestępczości żydowskiej na początku XX wieku*, w: *Kobieta i rewolucja obyczajowa. Wiek XIX i XX*, red. A. Żarnowska, A. Szwarz, DiG, Warszawa 2006. Była to teza publicystyczna, popularna w pravicowej prasie. Rzeczywistej skali prostytucji, ze względu na brak rzetelnych danych statystycznych, nie sposób określić. W każdym razie legalnych prostytutek było około tysiąca, a cztery do pięciu tysięcy kobiet rocznie zatrzymywano w stolicy za świadczenie nielegalnych usług seksualnych. Por. Jolanta Sikorska-Kulesza, *Zło tolerowane. Prostytucja w Królestwie Polskim w XIX wieku*, Mada, Warszawa 2004.

15 Iza Moszczeńska, *Czego nie wiemy...*, dz. cyt.

16 Jolanta Sikorska-Kulesza, „W niewoli ciała i ducha” – organizacje kobiece wobec problemu seksualności na początku XX wieku, w: *Kobieta i rewolucja obyczajowa*, dz. cyt.

17 Iza Moszczeńska, *Cnota kobieca*, „Krytyka” 1904, nr 10.

18 Tadeusz Boy-Żeleński, *Ofensywa przeciw zazdrości*, w: Tegoż, *Zmysły..., zmysły...*, dz. cyt.

19 Bożena Urbanek, *Poradniki medyczne o seksualności kobiet i mężczyzn w XIX wieku*, w: *Kobieta i małżeństwo. Społeczno-kulturowe aspekty seksualności. Wiek XIX i XX*, red. A. Żarnowska, A. Szwarz, DiG, Warszawa 2004.

20 Tamże. Por. William Acton, *The Functions and Disorders of the Reproductive Organs in Childhood, Youth, Adult Age and Advanced Life*, Blakiston, Philadelphia 1865.

21 Tadeusz Boy-Żeleński, *Narzeczeni*, w: Tegoż, *Zmysły..., zmysły...*, dz. cyt.

22 Russell Thatcher Trall, *The Health and Diseases of Women*, Office of the Health Reformer, Battle Creek 1873.

23 Samuel H. Williamson, *Seven Ways to Compute the Relative Value of a U.S. Dollar Amount, 1774 to present*, [MeasuringWorth.com](http://MeasuringWorth.com).

24 Ann Douglas Wood, „The Fashionable Diseases”: Women’s Complaints and Their Treatment in Nineteenth-Century America, „The Journal of Interdisciplinary History” 1973, t. 4, nr 1.

25 Zob. Lydia Nead, *Myths of Sexuality. Representations of Women in Victorian Britain*, Basil Blackwell, Oxford 1988.

26 [Artur] S. Ligisz, *Maltuzyanizm w polityce ekonomii i higieny społecznej. Rzecz*

o zastosowaniu sztucznej niepłodności kobiety, nakł. autora, Lwów 1903.

27 Cyt. za: Rachel P. Maines, *The Technology of Orgasm. „Hysteria”, the Vibrator, and Women’s Sexual Satisfaction*, The Johns Hopkins University Press, 2001.

28 *Marnopłcenie – onanizm (samogwałt, samienie się, nijactwo). Objawy, przyczyny, następstwa, zapobieganie, leczenie. Wedle najnowszych postępów naukowych*, oprac. August Czarnowski, Hygiea, Berlin 1914.

29 Teodozy Sierociński, *Pedagogika, czyli nauka wychowania*, Warszawa 1846.

30 Aleksandra Tarczewska, *Historia mego życia. Wspomnienia warszawianki*, oprac. Izabela Kaniowska-Lewańska, Ossolineum, Wrocław 1967.

31 Zob. Małgorzata Cwetsch-Wyszomirska, *W drodze ku „małżeństwu doskonałemu”. Małżeństwo na początku wieku XX w świetle „Czystości” i „Kosmetyki”*, w: *Kobieta i małżeństwo...*, dz. cyt.

32 Stanisław Kurkiewicz, *Ludzkie życie płciowe jako gałąź wiedzy lekarskiej wzgl. wiedzy ogólnej, jako gałąź lekarskiej praktyki – i jako ruch społeczny: oświatowy, zapobiegawczy, i t.p.*, nakł. autora, Kraków 1916.

33 Maria Turzyna, *Wyzwalająca się kobieta*, Kraków 1906.

34 Zob. Ewa Paczoska, *Idea czystości i piekło mężczyzn w literaturze drugiej połowy XIX wieku*, w: *Kobieta i rewolucja obyczajowa...*, dz. cyt.

35 Stanisław Kurkiewicz, *Z docieków (studyów) nad życiem płciowym. Luźne osnovy (tematy). 2. Szczegółowe odróżnienie czynności płciowych*, nakł. autora, Kraków 1906.

36 Michał Misiewicz, *Samogwałt (onanizm) i jego skutki. Przewodnik dla młodzieży i rodziców*, oprac. Aleksander Parszewski, Siła, Warszawa 1929.

37 Cyt. za: Marcin Leśniewski, *Narodziny seksuologii – zarys stanu wiedzy lekarskiej o seksualności człowieka na przełomie XIX i XX wieku*, w: *Kobieta i małżeństwo...*, dz. cyt.

38 Paweł Klinger, *Vita sexualis. Prawda o życiu płciowym człowieka*, Księgarnia Karola Neumillera, Łódź 1930.

39 Zob. Kazimierz Imieliński, *Medycyna i seks*, Instytut Wydawniczy Związków Zawodowych, Warszawa 1987.

40 Jakub Rosenthal, *Poradnik lekarski dla kobiet*, Warszawa 1875.

41 Zob. Marcin Leśniewski, *Narodziny seksuologii...*, dz. cyt.

42 Henryk Jordan, *Nauka położnictwa dla użytku uczniów i lekarzy. Dział pierwszy*, Druk. Pobudkiewicza, Kraków 1881.

43 Zbigniew Izdebski, *Seksualność Polaków na początku XXI wieku*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2012.

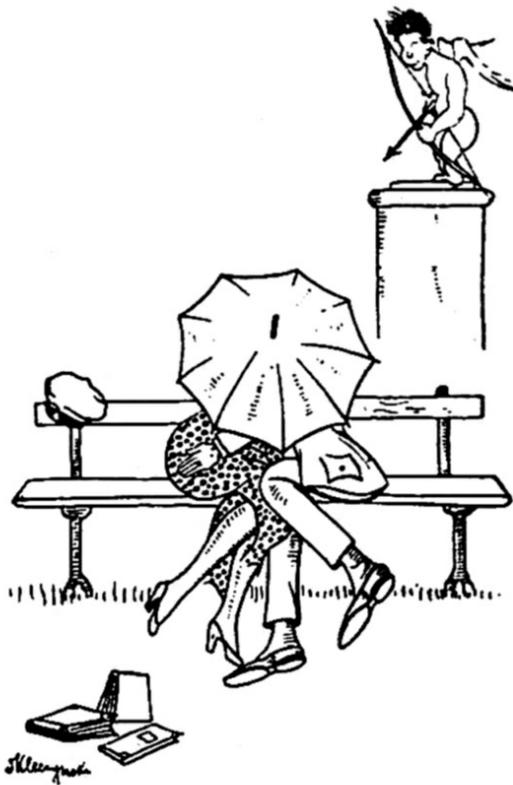
44 Walery Miklaszewski, *Życie płciowe w małżeństwie*, „Czystość” 1908, nr 5.

45 Jolanta Sikorska-Kulesza, „*W niewoli ciała i ducha*”..., dz. cyt.

46 Zob. tamże.

- [47](#) Z. Lamprecht, *O prostytutce w małżeństwie*, „Ster” 1907, nr 1.
- [48](#) Zob. *Chcemy całego życia. Antologia polskich tekstów feministycznych z lat 1870–1939*, red. Aneta Górnicka-Boratyńska, Res Publica, Warszawa 1999.
- [49](#) Cyt. za: tamże.
- [50](#) Zob. Lois N. Magner, *Diagnostics and Therapeutics*, w: *A History of Medicine*, CRC Press, New York 1992.
- [51](#) Tadeusz Boy-Żeleński, *Stulecie niezwyklej książki*, w: Tegoż, *Zmysły..., zmysły...*, dz. cyt.
- [52](#) Zob. Wojciech Lada, *Polscy terroryści*, Znak Horyzont, Kraków 2014.
- [53](#) Zob. Magda Gawin, *Kobieta na plaży. Przemiany modelu seksualności kobiecej w latach międzywojennych*, w: *Kobieta i kultura czasu wolnego. Wiek XIX i XX*, red. A. Żarnowska, A. Szwarc, DiG, Warszawa 2001.
- [54](#) Modris Eksteins, *Święto wiosny. Wielka wojna i narodziny nowego wieku*, Zysk i S-ka, Poznań 2014.
- [55](#) Maria Dąbrowska, *Dzienniki 1914–1945*, Czytelnik, Warszawa 1998.
- [56](#) Joanna Dufurat, *Wpływ wojny na załamanie się stereotypów społecznych ról mężczyzny i kobiet*, w: *Kobieta i małżeństwo...*, dz. cyt.
- [57](#) *Duchy*, „Amorek” 1924, nr 4.
- [58](#) Tadeusz Boy-Żeleński, *Walka o reformę seksualną*, w: Tegoż, *Zmysły..., zmysły...*, dz. cyt.
- [59](#) Dobrochna Kałwa, *Kobieca seksualność w świetle teorii Michela Foucaulta. Spojrzenie na Polskę międzywojenną*, w: *Kobieta i rewolucja obyczajowa...*, dz. cyt.
- [60](#) Irena Krzywicka, *Zmierzch cywilizacji męskiej*, w: Tejże, *Kontrola współczesności. Wybór międzywojennej publicystyki społecznej i literackiej z lat 1924–1939*, Feminoteka, Warszawa 2008.
- [61](#) Dobrochna Kałwa, *Kobieca seksualność...*, dz. cyt.
- [62](#) Iza Moszczeńska, *Cnota...*, dz. cyt.
- [63](#) Zob. Tadeusz Boy-Żeleński, *List otwarty do pani Izy Moszczeńskiej z „Kurjera Warszawskiego”*, w: Tegoż, *Pijane dziecko we mgle*, Instytut Wydawniczy „Biblioteka Polska”, Warszawa 1928.
- [64](#) Irena Krzywicka, *Piewca współczesnej miłości. Paweł Morand. Jego „L’Europe Galante”*, w: Tejże, *Kontrola współczesności...*, dz. cyt.

# I / Bunt młodzi



/ „Służąca się nie opierała” /

## **Dorośle zabawy gimnazjalistów**

*Cicho zapadał mrok... Jerzy leniwie zamknął książkę. W głowie mu szumiał straszny chaos: wzory, cyfry, daty i fakty mieszały się ze sobą, tworząc jakieś dziwne, potworne koła... Ociężale podniósł się z krzesła i doszedł do okna (...). Z dala szły dziwne, oszałamiające tchnienia rozbudzonej przyrody, wznecając w żyłach tajemne żądze i nieokreślone pragnienia... Wiosna! Dni gwarne, słoneczne (...), a noce ciche, pełne słodkich pokus i miłosnych dreszczy. (...)*

*Jerzy rozpaczliwym ruchem zatrasnął okno i zapaliwszy świecę znów siadł do nauki. Myśli jednak zebrać nie mógł. Monotonnym głosem powtarzane formułki geometryczne żadną miarą wejść nie chciały, tłukły się jeno beznadziejnie o ściany małego pokoju...*

*Nagle drzwi się otworzyły i wszedł Stach Wirski, przyjaciel Jerzego.*

*– Wkuwasz widzę, ubierz się prędzej i chodź ze mną! – krzyknął. (...)*

*– A jutrzejszy egzamin? – próbował oponować Jerzy.*

*– Pal to sześć! W taką noc ślęczyć nad książką – zbrodnia!*

*Szybko zbiegli ze schodów, natychmiast gwar i szum miasta otoczył ich. Ulicami przeciągały tłumy, dziwnie podniecone. Ogniste spojrzenia krzyżowały się bezustannie. Coś tajemniczego tętniło we krwi, w powietrzu i – wszędzie...*

*Matura.* Opowiadanie  
opublikowane przez „Nowy  
Dekameron” w czerwcu 1924  
roku. Fragment pierwszy <sup>1</sup>.

---

Wiek inicjacji seksualnej polskiej młodzieży obniża się! – alarmują media. Według badań przeprowadzonych w 2012 roku na zlecenie firmy Durex dzisiejsi trzydziesto-, czterdziestolatkowie swój „pierwszy raz” przeżyli, mając średnio dziewiętnaście lat. Ich młodsi koledzy, synowie i córki sporo wcześniej – bo jeszcze przed osiemnastymi urodzinami. Badania zdają się nie pozostawiać wątpliwości: im Polak starszy, tym później zetknął się z życiem erotycznym<sup>2</sup>.

Profesor Zbigniew Lew-Starowicz wyjaśnia: „Młodzież coraz wcześniej dojrzewa biologicznie. Hormonalne przyspieszenie sprawia, że wcześniej dochodzi również do zainteresowania seksem”<sup>3</sup>. Komentarze prasowe, zarówno te pisane przez laików, jak i profesjonalistów, sugerują, że mamy do czynienia z sytuacją wyjątkową w polskiej historii. Podobno dawniej „większość osób rozpoczynających życie seksualne miała dwadzieścia i więcej lat”<sup>4</sup>, a późna inicjacja seksualna była odwiecznym standardem. To nieprawda – przynajmniej w odniesieniu do mężczyzn.

W epoce międzywojennej tematem początku życia seksualnego zajmował się między innymi Albert Dryjski. Zebrał on informacje od łącznie sześciuset osiemdziesięciu uczniów uczęszczających do szkół średnich w pierwszych latach po odzyskaniu niepodległości. 75% ankietowanych zadeklarowało, że seks uprawiali po raz pierwszy jeszcze

przed osiemnastymi urodzinami<sup>5</sup>. Wyniki te można porównać z bardzo podobnym badaniem przeprowadzonym przez Zbigniewa Izdebskiego w 2004 roku. Seksuolog przepytął uczniów II klasy szkół ponadgimnazjalnych. Tylko 40% z nich przyznało, że ma za sobą pierwszy raz<sup>6</sup>.

Spadek jest niemal dwukrotny. I nic dziwnego. Gimnazjaliści przepytani przez Alberta Dryjskiego to pokolenie przełomu. Ostatnie roczniki, na które wciąż rzutowała XIX-wieczna moralność, dająca młodym mężczyznom prawo do zupełnej swobody. Dobrze widać to po liczbie deklaracji o bardzo wczesnym rozpoczęciu życia płciowego. Aż 15% pytanych stwierdziło, że zaczęli uprawiać seks jeszcze przed czternastymi urodzinami. Dzisiaj taka liczba byłaby zupełnie nie do pomyślenia. Według badań z 2004 roku 10% ankietowanych uczniów przyznało się do inicjacji przed piętnastym rokiem życia. I już ten wynik współcześni specjaliści uznają za wyjątkowo niepokojący.

---

*Stach i Jerzy szli szybko przez oświetlone lampami elektrycznymi ulice, aż doszli do bramy parku. Przystanęli. Jakaś tajemnicza siła zaległa wkoło. Księżyc srebrem swym oblewał klomby i drzewa, rzucając fantastyczne cienie na ziemię...*

*Udali się w głąb parku, gdzie splątane konary drzew tworzą zaciszne altanki (...). Wtem Stach szarpnął Jerzego za rękaw.*

*– Widzisz, tam na ławce siedzą dwie dziewczeczki, choć, dojdziemy.*

*Doszli do ławki:*

*– Można usiąść?*

*– Owszem! – Usiedli.*

*Powoli zawiązała się cicha, dyskretna rozmowa... Nieznajome były to siostrzyczki, śliczne brunetki o czarnych, wiele mówiących oczach. By nie przeszkadzać sobie wzajemnie, Stach przeprowadził się z jedną siostrzyczką – Lusią – na inną ławkę, zostawiając Jerzego z drugą – Niusią. Jerzy był bardzo podniecony. Bliskość ognistej brunetki, której włosy muskały mu rozpalone czoło, rozżętniła w nim krew i wzbudzała huragan pożądań... Rozmowa rwała się ciągle.*

*Matura.* Opowiadanie  
opublikowane przez „Nowy  
Dekameron” w czerwcu 1924  
roku. Fragment drugi.

## **Kieszon pełna jajek. „Pierwszy raz” sto lat temu**

„W dwunastym roku życia dowiedział się tajemnicy od kolegów i rówieśników i w tymże roku rozpoczął życie płciowe w towarzystwie tychże towarzyszy i dziewczynek na łące”<sup>2</sup>. To informacja podana w 1903 roku przez jednego z uczestników ankiety przeprowadzonej na Politechnice Warszawskiej. Albert Dryjski nie był pierwszym badaczem młodzieńczej seksualności. Przed nim temat ten podejmowało kilku innych lekarzy i higienistów. Dane, które uzyskali, trzeba jednak traktować z daleko posuniętą ostrożnością. Na politechnice kwestionariusz otrzymało tysiąc studentów. Zainteresowało się nim zaledwie stu czterdziestu. Tylko trochę lepiej było na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie najszersza ankieta z przełomu wieków objęła trzysta osób. Tam, gdzie przyjęto rzetelne metody badawcze (a więc na przykład nie sugerowano odpowiedzi ani nie ograniczano grupy



ankietowanych do zwolenników wstrzemięźliwości), wyniki były zbliżone do rezultatów Dryjskiego<sup>8</sup>. Od liczb dużo ciekawsze są jednak odpowiedzi otwarte.

Jedną z organizatorek ankiety z 1903 roku, Iza Moszczeńska, opatrzyła wyniki następującym komentarzem: „Utrata niewinności, nawet bardzo przedwczesna, nie świadczy jeszcze wcale ujemnie o skłonnościach wrodzonych ani nawet o charakterze chłopca”. Zastrzeżenie wydało jej się konieczne, bo wśród badanych byli tacy, którzy tracili niewinność w wieku ośmiu, a nawet i sześciu lat. W przypadku tych ostatnich należałoby mówić raczej o ofiarach molestowania. Ale już chłopcy, którzy odbyli pierwszy stosunek w wieku trzynastu, czternastu lat, sami przyznawali, że inicjatywa wyszła z ich strony. A partnerka często nie miała nic do gadania.

Największa grupa, bo aż dwudziestu dwóch uczestników ankiety, wyjaśniła, że inicjację seksualną przeszli z zatrudnioną w domu rodzinnym służącą lub kucharką. Jeden pisał o seksie „z namowy kolegów ze służącą”. Inny o stosunku „w warunkach pospolitych ze służącą moich rodziców”. Moszczeńska dopowiadała:

*Kilku wspomina o oporze ze strony służącej, albo też o biernym i niechętnym poddawaniu się, inni znów, że „nie dała się długo prosić”. (...) Niektórzy wprost mówią, że tego rodzaju kobiety uważają za najprzystępniejsze i zarazem najpewniejsze pod względem higienicznym. Jeden z nich na przykład, na pytanie czy stale z jedną kobietą utrzymuje stosunki, czy coraz to z inną? – odpowiada: „To zależy od każdorazowej zmiany służącej”.*

Drugą grupę partnerek przy pierwszym stosunku stanowiły prostytutki. Dziesięciu ankietowanych wspomniało, że straciło niewinność

z kobietami zatrudnionymi w domach publicznych. Ośmiu pisało o „rogówkach” – świadczących najtańsze usługi i najczęściej zarażonych syfilisem. Jeden nadmienił przy okazji, że boi się chodzić z kolegami na piwo, bo „najczęściej biba przechodzi w orgie w domach publicznych”.



„Najprzystępniejsze i zarazem najpewniejsze pod względem higienicznym”. Warszawscy studenci z początku wieku właśnie w ten sposób tłumaczyli,

dlaczego to ze służącą rodziców zdecydowali się przeżyć swój pierwszy raz (rys. „Amorek”, 1924).

---

*Nagle Jerzy, niby pantera, szybkim ruchem objął Niusię i zaczął ją całować. Szał ogarnął go... Całował czoło, oczy, usta pąsowe, szyję... Drżącymi rękoma odpiął bluzkę i całował jej piersi twarde jak granit, bez opamiętania, szalenie, jakby duszę chciał z niej wypić... Ona usiłowała się bronić, lecz jakieś potężne, słodkie omdlenie moc jej odbierało i słaniała się w objęciach Jerzego niby wonny, słaby kwiat (...).*

*– Ach, nie całuj tak strasznie! – błaga Nusia, lecz jego rozhukane zmysły nie znają granic (...). Coraz potężniej, coraz namiętniej ściska i całuje. Przed oczyma wirują mu w obłąkanym tańcu ogniste koła... Nusia czuje instynktownie, że zbliża się z każdą chwilą ku przepaści, lecz sił brak jej, by bronić się, a zresztą! A zresztą!*

*Matura.* Opowiadanie  
opublikowane przez „Nowy  
Dekameron” w czerwcu 1924  
roku. Fragment trzeci i ostatni.

---

Pierwszy raz z przyjaciółką lub ze szkolną miłością na przełomie wieków niemal się nie zdarzało. Już prędzej – z przypadkową nieznajomą. Jeden z chłopców cytowanych przez Iżę Moszczeńską stwierdził, że przestał być prawiczkim „pod wpływem chwili”. Akurat

„powracał z operetki”, kiedy zdarzył mu się pierwszy raz. Zupełnym przypadkiem. Ogółem tylko sześciu ankietowanych przyznało, że przeszło inicjację z osobą ze swojego „towarzystwa”. A zaledwie jeden na stu trzydziestu zrobił to „pod wpływem miłości z osobą kochaną”.

Te wyznania nie powinny dziwić. W pierwszych latach XX wieku młodzi mężczyźni potrafili widzieć w kobiecie tylko prostytutkę lub – nieosiągalny obiekt uczuć. Trzecia opcja nie istniała. Nie wiedzieli, jak nawiązywać relacje wykraczające poza koleżeństwo, a zarazem nieponiżające drugiej strony. Okazywali się brutalni lub żałośnie nieporadni. I w szczególności dotyczyło to chłopaków należących do rzekomo najbardziej postępowych warstw społeczeństwa. W teorii opowiadali się oni za równością płci. Ba, wciągali to hasło na swoje sztandary. Ale w praktyce – nijak nie potrafili pogodzić równouprawnienia z seksem. Irena Krzywicka (a w tym czasie jeszcze Irena Goldberg), urodzona w 1899 roku w niezamożnej, inteligenckiej rodzinie i dorastająca w otoczeniu warszawskich socjalistów, wspominała z pewną konsternacją, że chłopcy byli wówczas wyjątkowo powściągliwi. „Bez wyraźnej zachęty ze strony dziewczyny nie odważyliby się jej uściskać” – pisała<sup>9</sup>. W efekcie miała kilku bliskich przyjaciół, ale mimo gotowości z jej strony żaden nie potrafił posunąć się dalej niż do niewinnych pocałunków. Miała też chmarę zupełnie niezdarnych adoratorów. O pierwszym pisała: „Chodził za mną jak cień na uniwersytet, z uniwersytetu, po sprawunki, raz nawet polazł za mną na jakiś pogrzeb. Nigdy nie podszedł ani nie powiedział słowa”. Drugi amant nie tylko był fajtłapowaty, ale wręcz – budził litość. *Stalker* imieniem Leon stale śledził Krzywicką, a nawet nieproszony pojechał w ślad za nią na wakacje do Zakopanego. „A że wydał prawie

wszystkie swoje pieniądze na bilet, więc żywił się wyłącznie surowymi jajkami, których sporo nosił zawsze w kieszeniach – relacjonowała przysła publicystka. – Kiedy wchodziłam do jakiegoś sklepu czy kawiarni albo szłam z wizytą do znajomych, Leonek zostawał na zewnątrz, wyjmował jedno jajko po drugim, nakłuwał z obu końców i wypijał duszkiem. Nie zniechęcała go moja obojętność przez długi czas, chyba przez parę lat”.

Przez te wszystkie samotne miesiące Leonek na pewno jednak nie żył w celibacie. O tym, jak ciężko było utrzymać ówczesnym mężczyznom zamknięty rozporek – i jak wciąż ulotny był związek miłości z miłością fizyczną – Irena przekonała się jeszcze przed ukończeniem studiów. W 1922 roku przyjęła oświadczyzny jednego ze swoich kolegów, Jerzego Krzywickiego. Narzeczony z radością usłyszał od niej głośne „tak”. Zamiast jednak skonsumować związek – co postępowej dziewczynie raczej by nie przeszkadzało – cały w skowronkach poszedł do pierwszej lepszej ulicznicy<sup>10</sup>. I jeszcze tego samego dnia zaraził się wyjątkowo paskudną odmianą rzeżączki.

## **„Syfilisy, szankry, spalone laski...” Uświadamianie młodzieży**

„Czy w ogóle należy uświadamiać? Nad tą kwestią nie trzeba zatrzymywać się długo, jest ona jasna i oczywista. Dzieci nasze i młodzież jest [już] uświadomiona”. Te słowa postępową pedagog Teodora Męczkowska napisała w 1934 roku<sup>11</sup>. Równie dobrze mogłaby sformułować je trzydzieści lat wcześniej. Ankieta z 1903 roku, opracowana przez Iżę Moszczeńską, wskazywała na uderzająco wczesne

rozpoczynanie życia płciowego przez chłopców. Siłą rzeczy w jeszcze młodszych wiekach zdobywali informacje o nim. Typowy dwunastolatek wiedział już o seksie niemal wszystko.

Nie mając dostępu do internetu, jak dzisiejsza młodzież, chłopcy wyciągali fakty od lepiej zorientowanych kolegów. Takiej odpowiedzi na pytanie o sposób uświadczenia udzieliło 70% ankietowanych. Na drugim miejscu znalazła się służba domowa, a na trzecim – własne dociekania. O tym, jak mogły one wyglądać, opowiadał prosty robotnik i autor głośnego pamiętnika Jakub Wojciechowski. W wieku piętnastu lat wyjechał z rodzinnej wsi do Niemiec jako *gastarbeiter*. Był dostatecznie dojrzwały, by pracować i radzić sobie za granicą. Ale o seksie wciąż wiedział bardzo niewiele. Dopiero na miejscu, w Westfalii, poszedł na wystawę higieniczną. W sali stały nagie manekiny przedstawiające zdrowych, a przede wszystkim chorych ludzi obydwojga płci. „Syfilisy, szankry, spalone laski, trepry i inne zaraźliwe choroby (...). Zm też tam mógł figury widzieć, jak się dzieci rodzom z pomocom lekarza, kiedy żelaznymi narzędziami to dziecko z (...) matki będzie wyciągane” – pisał w *Życiorysie własnym robotnika*<sup>12</sup>. Ekspozycję opuścił z pewnością mądrzejszy. Ale czy o zwyczajnym życiu płciowym wiedział więcej, to akurat wątpliwe.

Na stu czterdziestu uczestników ankiety z 1903 roku tylko dwóch podało, że to rodzice powiedzieli im, skąd się biorą dzieci. Nic dziwnego. Jeszcze w 1925 roku Cecylia Bańkowska wyjaśniała: „Wielu bardzo ojców i matek uważa, że uświadczenie jest rzeczą zbyteczną, a raczej spóźnioną. (...) Zresztą [dzieci] nie proszą o nic rodziców, nie rozmawiają z rodzicami o tych sprawach drażliwych”<sup>13</sup>. Sprawę szerzej naświetlił Walery Miklaszewski. W *Odezwie do młodzieży*

dojrzewającej z 1905 roku ubolewał, że stare pokolenie w uświadamianiu widzi tylko gorszycielstwo. I zamiast mówić prosto, o co chodzi, ucieka się do „prawienia morałów, (...) bajeczek, lub całkiem niezrozumiałych katechizmów”<sup>14</sup>.

Większość chłopców nawet nie próbowała pytać rodziców. Zbyt dobrze wiedzieli, że ojciec lub matka wykręca się sianem. Historyczka Jolanta Sikorska-Kulesza podaje, jak brzmiało sto lat temu najpopularniejsze wyjaśnienie: przyniósł cię, synku, bocian. Często opowiadano też historyjkę o znalezieniu dziecka w kapuście. Oba wytłumaczenia cudu narodzin wciąż mają się doskonale w XXI wieku. Chyba tylko trzecie – o Bogu umieszczającym dziecko w brzuchu matki, jeśli ta wystarczająco żarliwie się modli – z czasem straciło na znaczeniu<sup>15</sup>.

Fakt, że bocian przetrwał aż do dzisiaj, wydaje się niezwykle zrzędzeniem losu. Pedagodzy i lekarze wypowiedzieli mu bezpardonową wojnę już w 1903 roku. Właśnie wtedy w Polsce ukazała się broszura angielskiej autorki Ellis Ethelmer zatytułowana *Skąd się wziął twój braciszek?* – pierwszy popularny poradnik uświadamiania. To, co dotąd wydawało się absurdem, szybko stanie się najnowszym krzykiem mody w nowoczesnych środowiskach. Posypią się kolejne książeczki i artykuły. Doktor Marek Babik, specjalista od *Polskich koncepcji wychowania seksualnego*, naliczył ich do 1939 roku łącznie dwieście<sup>16</sup>. W rzeczywistości mogło ich być nawet kilka razy więcej. Nabrzmiała dyskusja trwała kilkanaście lat. Napędzał ją ciągły strach przed chorobami wenerycznymi, następstwami onanizmu oraz źle wykonywanego seksu. I, co ciekawe, niemal wszyscy uczestnicy burzliwej debaty zgadzali się ze sobą. Nawet jeden

z największych autorytetów środowisk chrześcijańskich Friedrich Foerster opowiedział się za edukacją seksualną dzieci. „Słusznie się mówi, że wychowawcze uświadomienie powinno przeciwdziałać brudnemu uświadomieniu ulicy” – stwierdził na kartach swojej *Etyki płciowej i pedagogiki*<sup>17</sup>.

Spór nie dotyczył tego, czy należy uświadamiać, ale kiedy i w jaki sposób. Najprostszy wydawał się pierwszy etap. Specjaliści, szczególnie ci zafascynowani naturalizmem, sugerowali, żeby życie płciowe przedstawiać na przykładach zaczerpniętych z przyrody. Należało pokazać dziecku, jak bociany (a jakże) wiją swoje gniazda i jak rosną fasolki. Przykłady powinny być jak najbardziej abstrakcyjne. Drugi etap to przedstawienie roli matki, przebiegu ciąży i porodu. Dopiero na ostatniej prostej należało wprowadzić postać ojca. A razem z nią – wszystkie brudy moralne obrastające życie płciowe.

Cecylia Bańkowska, autorka książki *Jak uświadomiłam mojego syna* z 1925 roku, prowadziła na bieżąco dzienniczek wszystkich swoich rozmów z małym Jasiem dotyczących seksu. To mieszanka typowo XIX-wiecznego straszenia oraz postępowej wiary w związki budowane w oparciu o miłość. Wkradła się nawet nutka patriotyzmu. Jedna z rozmów z synem wyglądała następująco:

*Zainteresowała go znów kwestia ojcostwa. Przypomniałam mu wtedy (...) prowadzenie jałoszek do byków (...). „Teraz już się domyślasz, że to tak samo... Tylko, że zbliżenie to u ludzi wyższych duchowo, szlachetnych, następuje dopiero wtedy, gdy z ukochaną osobą zbliżyły nas pokrewne zapatrywania, dążenia, praca, gdy już tak blisko jesteśmy, że się nie wstydzimy wcale jedno drugiego (...). A wtedy (...) połączenie dwojga do zrodzenia trzeciej ukochanej*



*istotki następuje po prostu, za zgodą wzajemną.*

*Ale, by to zbliżenie było innym niż u zwierząt, podnioślejszym, by nas czyniło lepszymi, nie zaś gorszymi, trzeba (...) mieć w duszy wzniosły ideał, któremu byśmy w każdej chwili byli zdolni nawet to bliskie pożycie z istotą kochaną złożyć w ofierze. Takimi ideałami dla ludzi są miłość ojczyzny, Boga lub Idei”.*

Ta część brzmi nawet dość współcześnie. Nie licząc ostatnich zdań, mogłaby ją wypowiedzieć równie dobrze matka z XXI, co z XIX stulecia. Dalej jednak robi się coraz bardziej nieswojo.

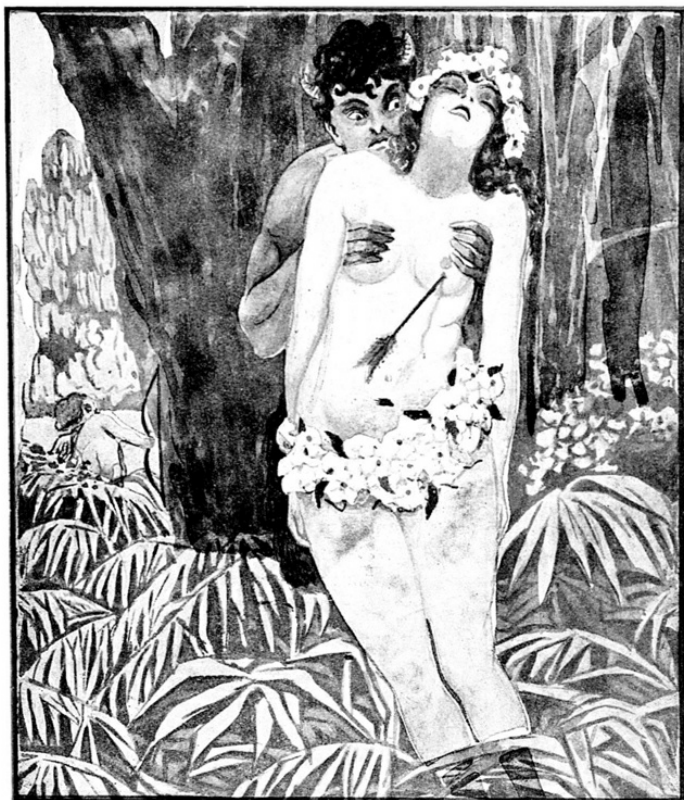
*Trzeba ci (...) wiedzieć, że są ludzie, którzy nie są zdolni do tak głębokiego zrozumienia miłości i małżeństwa. Są mężczyźni, którzy szukają tylko chwilowego zadowolenia i użycia: jak ten pijak czyha na każdą szklanekę piwa czy wódki, tak i on poluje na każdą dziewczynę, by ją posiąść, to znaczy zapłodnić ją (co mu sprawia chwilową rozkosz), a potem rzucić. I ta nieszczęśliwa porzuca dziecko (...), często je zabija (...). Niekiedy wstępuje [też] na drogę rozpusty tzw. sprzedanej miłości. Za kilka groszy służy każdemu panu, co nie mogąc się zdobyć na czystą miłość, szuka pokątnej i sprzedanej (...).*

*Jak Ci już mówiłam, takie zabawy najczęściej źle się kończą. Prędzej czy później jedna i druga strona zachorowuje na obrzydliwe choroby, bardzo trudno uleczalne i w nędzy i opuszczeniu, a pogardzie powszechnej umiera przedwcześnie (...). Są nawet, niestety, po miastach domy rozpusty, gdzie mężczyźni, szukający uciechy chwilowej, lub kobiety na bruk za swój błąd młodości wyrzucone, zabawiają się nawzajem, pijąc i hulając do późnej nocy.*

*Często bywa, że młodzież nawet szkolna, ledwie organy jej rozrodcze dojrzeją, podpiszy sobie na jakiejś bibce, daje się*

*uwiść starszemu (...) koledze, który ją prowadzi na zgubę, a czasem na przedwczesną śmierć, uważając czystość i niewinność za głupotę i brak doświadczenia. I znów tłumaczę mu czym jest syfilis, rzeżączka, onanizm...*

Słuchający tego wszystkiego Jaś miał dziewięć lat. Dopiero co skończył drugą klasę szkoły powszechnej. Jak zareagował? Bańkowska wspominała z rozrzewnieniem: „Janek mi się rzuca na szyję i ręce całuje, dziękując mi za to wszystko. »Jaki ja jestem szczęśliwy« – szepce – »że mam taką matkę!«”. Dla pewności autorka wróciła po jakimś czasie do sprawy, pytając już jedenastoletniego syna o to, co właściwie zapamiętał z ich rozmowy. Jaś zapewnił, że „poczuł wstręt okropny (...) do tych dziewcząt publicznych”. Kiedy matka napomknęła, że „to są swoją drogą bardzo nieszczęśliwe i pożałowania godne istoty”, chłopak poprawił się. „Wiem o tym, że są nieszczęśliwe, tym niemniej są wstrętne!” – oznajmił. Komentarz Bańkowskiej? „Zakończyłam na tym rozmowę, z której wyniosłam wrażenie, że cel (...), a więc wstręt do brudu i pociąg do czystości i piękna (...) osiągnięty został w zupełności”.



„Kiedy wchodziłam do jakiegoś sklepu czy kawiarni, Leonek zostawał na zewnątrz, wyjmował jedno jajko po drugim, nakłuwał z obu końców i wypijał duszkiem”. Irena Krzywicka o jednym ze swoich stalkerów (rys. „Nowy Dekameron”, 1924).

Odtąd spała już spokojnie. I to nawet wiedząc, jakie pokusy czekają na jej syna w murach szkoły.

## **Porządne przedwojenne gimnazjum**

Seksuolodzy z początku XX wieku jak ognia unikali sięgania po

przykłady z własnego życia. Ale był jeden rodzynek, który podobnych oporów nie odczuwał. Krakowski lekarz-płciownik Stanisław Kurkiewicz. W swoim najważniejszym dziele, siedmiusetstronicowym *Szczegółowym odróżnieniu czynności płciowych*, wspominał, jakim rozsadnikiem rozpusty potrafi być szkoła:

*Za moich, panie, czasów (...) w piątej (...) [klasie] gimnazjalnej pewien uczeń – wśród godzin nauki! – wykonywał samieństwo w ławce, za pomocą pętli z wiązaka (szpagatu) uwiązanej na gwoździu w ławce, założonej na żółdź zwisaka (...). My, z tej samej ławy i z ław sąsiednich, zapamiętaliśmy gapili[śmy] się na to, a pan nauczyciel (...) nic nie wiedział i nie słyszał <sup>18</sup>.*

Rok później inny kolega – określony przez Kurkiewicza mianem „zawziętego samieńca” – przynosił uczniom „na godzinie nauki, wracając z wychodka, swoje nasienie na palcu”. Te i inne osobliwe rozrywki odbywały się w jednej z najbardziej renomowanych szkół Krakowa – Gimnazjum św. Jacka. Placówkę zamknięto w 1950 roku po niemal stu latach działalności. Dzisiaj do jej tradycji nawiązuje VI Liceum Ogólnokształcące im. Adama Mickiewicza – dawna filia św. Jacka.

Próżno szukać drugiej równie odważnej relacji z życia dawnych gimnazjów. Nie brakuje natomiast źródeł potwierdzających, że poziom moralny uczniów w dwudziestoleciu międzywojennym budził wielkie obawy wśród pedagogów. Profesor z Poznania Ludwik Jaxa-Bykowski wydał w 1933 roku całą książkę poświęconą *Figlom i psotom młodzieży szkolnej*. Wspominał w niej szereg erotycznych „wygłupów”, do jakich dochodziło w przerwach między lekcjami lub

nawet na samych lekcjach. Uczniacy prowadzili swobodne rozmowy o seksie, przynosili do szkoły pornograficzne książki, pocztówki z gołymi dziewczynami, namiętnie oddawali się pisaniu zbereźnych wierszyków. Dla przykłądu autor zacytował jedno z takich dzieł – utwór o *Wieśku*. „Miast do książeczek, on do dziewczeczek i do majteczek, rwie się, co tchu. Lecz nieuczony, wie doświadczony, że bez mamony, nie pójdzie mu!” – biegły ostatnie strofy<sup>19</sup>.

Na podobne problemy zwrócił uwagę Michał Friedländer, publicysta „Ruchu Pedagogicznego”. W 1933 roku wymieniał, co dzieje się w typowym gimnazjum: „Tu znaleziono u któregoś z uczniów karteczkę frywolnej treści, (...) inny przyniósł do szkoły pornograficzne ilustracje, ówdzie spotkało się dwóch razem w ustępie i podejrzewa się [ich] o onanię wzajemną itp. Są to wypadki dość częste, niemiłe”<sup>20</sup>. Większość zagrożeń etycznych, które osiemdziesiąt lat temu elektryzowały specjalistów, dzisiaj brzmi dość trywialnie. Ale wierszyk, który na początku lat trzydziestych otrzymał Tadeusz Boy-Żeleński, nawet w 2015 roku musi budzić zdziwienie. Nastolatek marzący o karierze teatralnej pisał w utworze *Garsoniera*: „Nie ta, to inna – Nina czy Lila – czy innych dziewcząt sto! (...) Ile ich miałem – ile kochałem – czyżbym spamiętać mógł? Ile tu było – czas tu spędziło – wie tylko chyba Bóg. W garsonierze mej dziewczynki – przewijają się – to brunetki, to blondynki, co kto tylko chce...”.

Autor nie miał chyba nawet siedemnastu lat. Boy skomentował w swoim stylu: „Nie ma co, bogate przeżycia ma ten siódmoklasista... A może to tylko wyobraźnia?”<sup>21</sup>. Pedagodzy woleli nie dociekać, co jest wytworem fantazji, a co elementem rzeczywistości. Już od schyłku XIX wieku nawoływali, by wprowadzić edukację seksualną do szkół i tym

samym postawić tamę rozpuście. „Pracę tę musi i powinna do swego planu wychowawczego wciągnąć zarówno szkoła, jak i dom rodzinny. (...) Ale może przede wszystkim szkoła” – pisała Teodora Męczkowska. Podobne postulaty spotykały się początkowo z szeroką aprobatą. Zgadzano się na nie nawet w środowiskach kościelnych – choć oczywiście nie bez zastrzeżeń<sup>22</sup>. Znowu pytano, kto, jak i kiedy powinien edukować. Pomimo pojawiających się wątpliwości już przed 1904 rokiem przeprowadzono pierwszą na ziemiach polskich lekcję wychowania seksualnego. Wzięli w niej udział uczniowie Szkoły Handlowej Zgromadzenia Kupców w Warszawie<sup>23</sup>. I... to by było na tyle. Przynajmniej zdaniem większości historyków.

## **Lekcja seksu u premiera Witosa**

Opór przeciwko rzekomemu „ekshibicjonizmowi psychicznemu” narastał, a w 1929 roku głos w sprawie zabrał nawet papież Pius XI, krytykując głupców, którzy „propagują niebezpieczną metodę wychowawczą, którą określa się wstrętnym mianem wychowania seksualnego”<sup>24</sup>. To zdanie podobno uśmierciło polskie projekty upowszechnienia szkolnych lekcji o seksie. I to zanim którykolwiek wprowadzono w życie. Specjalista od przedwojennej oświaty Robert Kotowski podaje, że przez cały okres dwudziestolecia nie udało się określić, kto, gdzie i w jaki sposób powinien prowadzić lekcje wychowania seksualnego<sup>25</sup>. Nie jest to prawdą. Decyzja, jak zwykle w takich przypadkach, należała do polityków i została podjęta przez rząd Wincentego Witosa. Kilka lat temu Marek Babik natrafił na zupełnie zapomniany okólnik rozesłany 10 grudnia 1920 roku przez

Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego.  
Dokument o numerze 23329 II stanowił:

*W porozumieniu z dyrekcją szkoły i z wychowawcami lekarz szkolny winien w każdej klasie poświęcić kilka godzin w ciągu roku na wykłady z dziedziny higieny. (...) W ostatnich klasach, niezależnie od indywidualnego traktowania sprawy, [należy] rozpatrzyć w sposób jak najbardziej taktowny i liczący się z wrażliwością i pobudliwością dojrzewającej młodzieży zagadnienie płciowe pod względem biologicznym, etycznym, społecznym<sup>26</sup>.*

Babik nie ma wątpliwości: tego właśnie dnia, dziewięćdziesiąt pięć lat temu, rozpoczęła się edukacja seksualna w polskich szkołach. Dużo trudniej stwierdzić z całą pewnością, czy był to wyraz postępu. Dokument podawał zalecany podręcznik do wychowania płciowego. Pozycję, mówiąc ogólnie, osobliwą.

Dyrektor departamentu pisał, że w toku lekcji higienicznych „wzorować się można na odezwie do młodzieży męskiej prof. Herzena (wyd. »Książek dla wszystkich« Arcta)”. Dokładny tytuł książki brzmiał: *Odezwa do męskiej młodzieży. Odczyt D-ra Aleksandra Herzena wypowiedziany w Lauzannie i Genewie<sup>27</sup>*. Nie był to nawet podręcznik, ale rodzaj skrótowej pogadanki dla młodzieży. Wygłosił ją niewątpliwy autorytet medyczny, z tym że w dziedzinie neurofizjologii, a nie seksuologii. Co więcej, autorytet poprzedniej epoki. Odczyt Herzena powstał na przełomie wieków, a po polsku został wydany w 1904 roku. Jak na warunki początku XX stulecia był to tekst nawet dość nowoczesny, ale szesnaście lat później musiał wywoływać u czytających go specjalistów salwy śmiechu. Postępowo brzmiała głównie deklaracja otwierająca wykład. Autor oznajmiał, że rodzi się

„nowa moralność” i że stawia sobie za cel zdefiniowanie jej granic. Reszta stanowi mieszankę straszenia, XIX-wiecznego szowinizmu i pobożnych życzeń.

Dobrą połowę pogadanki Herzen poświęcił skutkom zarażenia syfilisem. Szczegółowo opisał odrażające symptomy choroby, pochylił się nad jej dziedzicznością, zrobił wszystko, by obrzydzić odbiorcom seks z przypadkowymi partnerkami czy nawet seks w ogóle. W 1904 roku skoncentrowanie się do tego stopnia na zagrożeniach – i to głównie na chorobach wenerycznych, a nie na ciąży – wydawało się zupełnie zrozumiałe. Ale dekadę później w powszechnym użyciu był już pierwszy skuteczny lek na syfilis – salwarsan. Dalsze wmawianie uczniom, że kiła zawsze stanowi śmiertelne, niezmywalne piętno, stało się zwyczajnym kłamstwem.

Herzen nawoływał, zgodnie z duchem epoki, by przestać traktować seks wyłącznie jako narzędzie zaspokojenia popędu. Pisał: „Zwierzę szuka pierwszej lepszej samiczki... Wielu mężczyzn czyni to samo. My jednak, moi panowie, nie jesteśmy ludźmi dzikimi, a przynajmniej niezupełnie dzikimi... Mężczyzna ma do wyboru: albo zadośćuczynić temu popędowi płciowemu w taki sposób, w jaki uczyniłoby to każde zwierzę, albo też ulec głosowi rozsądku czy uczucia”. Z ideą „uczłowieczenia” seksu trudno się kłócić. Zarazem jednak autor konsekwentnie skupiał się wyłącznie na męskim popędzie i męskich potrzebach płciowych. Tradycyjnie przyjmował, że „kobiety są bardziej bojaźliwe, wstrzemięźliwe, posiadają więcej wrodzonej wstydlivości i prawie zawsze mężczyzna jest uwodzicielem”. Czyli mówiąc krótko: seks nie jest ich sprawą. A jeśli będą mieć z nim do czynienia, to jako bierne żony lub jako ofiary gwałtu.



Wreszcie Herzen przestrzegał przed nadużyciami płciowymi. Stał na stanowisku, że jakiegokolwiek stosunki seksualne przed osiągnięciem całkowitej dojrzałości płciowej przynoszą krzywdę całemu organizmowi i uniemożliwiają „normalny rozwój”. Postulował: „Mężczyzna w naszej strefie osiąga zupełny rozwój dopiero pomiędzy rokiem dwudziestym i dwudziestym drugim. Dlatego też nie powinien żaden młody człowiek używać przed tym czasem swoich organów płciowych. Jeśli to czyni, godzien jest pożałowania, naraża się bowiem na osłabienie (...), którego skutków nie uniknie i które ponosić będzie przez całe życie, nie tylko on sam, ale i jego potomstwo, a tym samym i kraj cały!”.

To było typowe dla okresu przełomu wieków przejście ze skrajności w skrajność. Bezkarną rozpustę miała zastąpić stuprocentowa abstynencja płciowa. W 1904 roku taki postulat dało się traktować poważnie. Wielu lekarzy i higienistów wierzyło w tragiczne konsekwencje źle wykonywanego seksu. Wyznawcy tej teorii wciąż trafiali się nawet w latach trzydziestych. Co ciekawe, szczególnie licznie wśród specjalistów radzieckich. Grigorij Bruk w pracy *Ku zdrowemu życiu płciowemu* z 1935 roku zapewniał: „Wstrzemięźliwość płciowa przynosi nie szkodę, lecz pożytek. (...) Człowiek powstrzymujący się od przedwczesnych stosunków płciowych rozwija się lepiej zarówno pod względem fizycznym, jak i umysłowym”. Autor miał na to archaiczne wytłumaczenie naukowe: „Z nasieniem młodzieniec traci wiele cennych substancji, potrzebnych licznym organom człowieka dla ich prawidłowego rozwoju (...). Ucierpieć musi na tym mózg i szkielet”<sup>28</sup>. O mitycznych sokach pisał w tym samym roku także N.J. Safanow, autor *Mężczyzny i kobiety w życiu płciowym*. Postulował,

żeby każdy mężczyzna czekał z seksem co najmniej do dwudziestego piątego roku życia<sup>29</sup>. Bruk był tylko odrobinę bardziej wyrozumiały. Za okres graniczny uznał dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery lata. Żaden z nich nawet na marginesie nie zaznaczył, że istnieją inne możliwe stanowiska. Tymczasem już w latach dwudziestych do głosu doszedł pragmatyzm. Lekarze zaczęli zwracać uwagę, że bądź co bądź ludzkość nie wyginęła i to mimo „błędów młodości” setek pokoleń. Najwidoczniej młodzieńczy seks sam w sobie aż tak niebezpieczny nie był.

Przynajmniej kilku polskich badaczy mogłoby opowiedzieć o tym dzieciom. Z jakiegoś powodu nie zapytano ich jednak o zdanie. Wybór padł na egzotyczną, przestarzałą, zagraniczną broszurkę. I co szczególnie ciekawe – broszurkę napisaną przez Rosjanina, bo właśnie tej narodowości był Aleksandr Herzen. Merytorycznie ten fakt nie miał oczywiście znaczenia. Trzeba jednak pamiętać, że to był rok 1920, zaraz po wojnie z bolszewikami. W polskim prawodawstwie panowała tendencja do bezwzględnego usuwania wpływów byłych zaborców z każdego obszaru życia. Kiedy do kin wejdą filmy dźwiękowe, władze zakazą nawet puszczania wszystkich produkcji zawierających niemieckie słowa<sup>30</sup>. Jeśli mimo to za pierwszy podręcznik wychowania seksualnego uznano książkę Rosjanina, to najwidoczniej nikt sprawy głębiej nie przemyślał. Później natomiast, w typowy dla polskiego prawodawstwa sposób, nikt do niej nie wracał. I tylko wydawnictwo Michała Arcta mogło zacierać ręce. Jeszcze w 1928 roku – a więc ćwierć wieku od pierwszego wydania – oficyna wznowiła *Odezwę*, by sprostać zapotrzebowaniu ze strony szkół. Uproszczone i nieco unowocześniono tytuł książki. Teraz była to po prostu *Odezwa do*

*młodzieży męskiej*. Tekst pozostał jednak bez zmian. Autor nie mógł go zaktualizować, nawet gdyby chciał. Zmarł w 1906 roku<sup>31</sup>.

Kolejnego oficjalnego podręcznika do wychowania seksualnego już nie wprowadzono. Sprawa, szczególnie po krytycznych słowach papieża, stała się zbyt drażliwa. Nowe ministerialne okólniki regulowały kwestię lekcji higieny (miały się odbywać nawet raz w tygodniu), ale o seksie nie wspominały wprost ani słowem. W jednym z nich nadmieniono wręcz, że nie należy dawać uczniom do rąk atlasów anatomicznych – bo jeszcze dowiedzą się czegoś, czego wiedzieć nie powinni<sup>32</sup>.

Decyzja o zakresie edukacji seksualnej spadła ostatecznie na barki konkretnych dyrektorów szkół, kuratorów i nauczycieli – głównie biologii. Jedynym wyznacznikiem były listy książek dopuszczonych do użycia w placówkach oświatowych. W latach trzydziestych z roku na rok przybywało na nich pozycji poruszających, przynajmniej na marginesie, tematykę dojrzewania płciowego.

Czy zainicjowanie nawet tak okrojonego i archaicznego wychowania seksualnego w szkołach przyniosło efekty? Trudno odpowiedzieć wprost na to pytanie. Na pewno podejście młodzieży do seksu w połowie lat trzydziestych było już inne niż dziesięć lat wcześniej. Coraz większa była rzesza młodzieńców, którzy potrafili rozmawiać ze swoimi koleżankami – a nie tylko marzyć o nich i wypatrywać na ulicy najczystszych prostytutek. Zmiany znalazły odbicie także w liczbach. W 1934 roku z inicjatywy Polskiego Towarzystwa Eugenicznego przeprowadzono pierwszą naprawdę szeroko zakrojoną ankietę na temat inicjacji seksualnej Polaków. Wzięło w niej udział nie kilkaset, ale ponad dwa tysiące osób. Już tylko nieco

ponad połowa respondentów deklarowała, że pierwszy raz przeżyli przed osiągnięciem dziewiętnastego roku życia. Bardzo wyraźnie spadła też liczba osób, które seks uprawiały po raz pierwszy w szczególnie młodym wieku. W grupie „do piętnastu lat” znalazło się niespełna 9% respondentów<sup>33</sup>.

Dla przedwojennych specjalistów były to uspokajające dane. Zarazem są to liczby uderzająco wręcz bliskie tym, które seksuolodzy uzyskują w ostatnich latach. Te same statystyki, które dzisiaj skłaniają lekarzy do bicia na alarm, siedemdziesiąt lat temu pozwalały im odetchnąć z ulgą.

---

Pozycje są cytowane przy pierwszym wystąpieniu w danym rozdziale. Data ostatniego dostępu do wszystkich źródeł internetowych to 20 lutego 2015 roku.

<sup>1</sup> *Matura*, „Nowy Dekameron” 1924, nr 1.

<sup>2</sup> Łukasz Rogojsz, *Seks po polsku*, „Newsweek.pl”, 20 kwietnia 2013, [[www.polska.newsweek.pl/seks-po-polsku,103552,1,1.html](http://www.polska.newsweek.pl/seks-po-polsku,103552,1,1.html)].

<sup>3</sup> Tamże.

<sup>4</sup> Anna Darocha, *Inicjacja seksualna – coraz wcześniej*, Polki.pl, 14 lipca 2010, [[www./seks.wieszjak.polki.pl/pierwszy-raz/235556,Inicjacja-seksualna-coraz-wczesniej.html](http://www./seks.wieszjak.polki.pl/pierwszy-raz/235556,Inicjacja-seksualna-coraz-wczesniej.html)]. W artykule mowa o latach czterdziestych i pięćdziesiątych XX wieku, ale żaden wcześniejszy przykład nie pada.

<sup>5</sup> Albert Dryjski, *Zagadnienia seksualizmu dziecka i młodzieży szkolnej. Biologia, psychologia, pedagogika*, Nasza Księgarnia, Warszawa 1934. Dryjski podzielił swoje dane na dwie pule – uczniów z miast i z prowincji. Połączyłem je, by uzyskać bardziej wartościowy statystycznie i czytelniejszy wynik.

<sup>6</sup> Zbigniew Izdebski, *Seksualność Polaków na początku XXI wieku*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2012.

<sup>7</sup> Iza Moszczeńska, *Czego nie wiemy o naszych synach*, Księgarnia Naukowa, Warszawa 1904.

<sup>8</sup> Zob. Zdzisław Kowalski, *Stan zdrowia i warunki higieniczne studentów*

*Uniwersytetu Warszawskiego w świetle cyfr*, Warszawa 1899; Tadeusz J. Łazowski, Konrad Siwicki, *Życie płciowe warszawskiej młodzieży akademickiej według ankiety z roku 1903*, Księgarnia Naukowa, Warszawa 1906.

9 Irena Krzywicka, *Wyznania gorszytelki*, Czytelnik, Warszawa 1995.

10 Dla porządku wypada zaznaczyć, że sam Krzywicki zapewniał, iż nie była to *sensu stricte* prostytutka. A tylko bardzo wyzwolona, bliżej niesprecyzowana „znajoma”.

11 Teodora Męczkowska, *Wychowanie seksualne dzieci i młodzieży*, Nasza Księgarnia, Warszawa 1934.

12 Jakub Wojciechowski, *Życiorys własny robotnika*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1971.

13 Cecylia Bańkowska, *Jak uświadomiłam mojego syna*, Warszawa 1925.

14 Walery Miklaszewski, *Odezwa do młodzieży dojrzewającej*, odbitka z „Nowych Torów” 1906.

15 Jolanta Sikorska-Kulesza, „Skąd się wziął twój braciszek?”. *Początki dyskusji o wychowaniu seksualnym dzieci i młodzieży na ziemiach polskich*, w: *Kobieta i małżeństwo. Społeczno-kulturowe aspekty seksualności. Wiek XIX i XX*, red. A. Żarnowska, A. Szwarc, DiG, Warszawa 2004.

16 Marek Babik, *Polskie koncepcje wychowania seksualnego w latach 1900–1939*, Wyższa Szkoła Filozoficzno-Pedagogiczna „Ignatianum”/Wydawnictwo WAM, Kraków 2010.

17 Friedrich Foerster, *Etyka płciowa i pedagogika. Nowe uzasadnienie prawd starych*, Gebethner i Wolff, Kraków-Warszawa 1911.

18 Stanisław Kurkiewicz, *Z docieków (studyów) nad życiem płciowym. Luźne osnovy (tematy). 2. Szczegółowe odróżnienie czynności płciowych*, nakł. autora, Kraków 1906.

19 Ludwik Jaxa-Bykowski, *Figle i psoty młodzieży szkolnej*, Poznańskie Towarzystwo Psychologiczne, Poznań 1933.

20 Michał Friedländer, *Szkoła wobec zagadnień wychowania płciowego*, „Ruch Pedagogiczny” 1930, nr 3.

21 Tadeusz Boy-Żeleński, *Bunt młodzieży*, w: Tegoż, *Zmysły... zmysły...*, Biblioteka Boya, Warszawa 1932.

22 Zob. Marek Babik, *Polskie koncepcje...*, dz. cyt.

23 W. Jezierski, „Drażliwe kwestje” w *nauczaniu szkolnym*, „Nowe Tory” 1906, nr 3.

24 Encyklika *O chrześcijańskim wychowaniu dzieci i młodzieży*. Cyt. za: Marek Babik, *Polskie koncepcje...*, dz. cyt.

25 Robert Kotowski, *Dziewczęta w mundurkach. Młodzież żeńska szkół średnich w Polsce w latach 1918–1939*, Muzeum Narodowe w Kielcach, Kielce 2013.

26 *Dziennik Urzędowy Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego Rzeczypospolitej Polskiej*, r. 3, nr 14 (34), 1920, poz. 98.

27 Aleksandr Aleksandrovič Gercen, *Odezwa do męskiej młodzieży. Odczyt D-ra Aleksandra Herzena wypowiedziany w Lauzannie i Genewie*, M. Arct, Warszawa 1904.

28 Grigorij Bruk, *Ku zdrowemu życiu płciowemu. Praktyczne rady i wskazówki*, Księgarnia Popularna, Warszawa 1935.

29 N.J. Safanow, *Mężczyzna i kobieta w życiu płciowym. Przewodnik dla doskonałych małżeństw*, Księgarnia Popularna, Warszawa 1935.

30 Antoni Słonimski, *Nr 35, 31 sierpnia 1930*, w: Tegoż, *Kroniki tygodniowe. 1927–1931*, LTW, Warszawa 2003.

31 Zob. Tamara Petraszowa, *Alexander A. Herzen (1839–1906). Biography*, w: *Tomsk Polytechnic University*, [[www.portal.tpu.ru/SHARED/p/PETRASHOVA/study/page/](http://www.portal.tpu.ru/SHARED/p/PETRASHOVA/study/page/)].

32 Zob. Marek Babik, *Polskie koncepcje...*, dz. cyt.

33 Tadeusz Welfle, *Życie płciowe młodzieży akademickiej*, „Zagadnienia Rasy” 1938, nr 2.

/ „Zarys pączkujących piersi” /  
**Życie seksualne dziewcząt**

*Często wieczorem, gdy nikt nie widzi i srebrne światło księżyca zalewa pokój, leżę na łóżku bez koszuli i oglądam siebie. Swoją drogą ciało kobiety jest piękne (...). Ale chyba najpiękniejsze są piersi. Zawsze zachwycam się nimi... Kształtne, okrągłe i takie ałtasowe, ciepłe! Marzenie. (...) Czasami mam ochotę, aby ktoś je zobaczył, a jednocześnie nie chciałabym.*

Fragment z dziennika  
siedemnastoletniej licealistki,  
Michaliny Braun. 1938 rok<sup>1</sup>

---

Na przełomie XIX i XX wieku nikt nie pytał uczennic o wiek inicjacji seksualnej. Nawet nie chodziło o wstyd przed przeprowadzeniem podobnej ankiety wśród dziewcząt. Bądź co bądź w tym samym czasie Walery Miklaszewski bez skrępowania wyciągał od pacjentek informacje o tym, jak często mają orgazm. Ankieta na temat pierwszego razu u kobiet po prostu wydawała się lekarzom zupełnie bezcelowa. Nie mieściło im się w głowach, że którakolwiek z respondentek przyzna się do seksu przedmałżeńskiego. Jeszcze w 1904 roku Iza Moszczeńska

pisła z absolutną powagą o sytuacji dowolnej porządnej dziewczyny, która ulegnie erotycznej pokusie: „Jeśli, broń Boże!, nie czekała zawarcia prawomocnego małżeńskiego kontraktu, jeżeli zaufała człowiekowi, który się okazał tego zaufania niegodnym, wówczas musi pragnąć i błagać niby łaski, ażeby raczył naprawić złe, żeniąc się z nią, inaczej bowiem będzie nieodwołalnie zhańbioną”<sup>2</sup>. Dwadzieścia, trzydzieści lat później podobne myślenie obowiązywało w środowiskach ziemiańskich, na prowincji, czasem w dzielnicach robotniczych. Ale dla postępowej, miejskiej inteligencji to był ciemnogród.

Coraz głośniej nawoływano do zerwania z *Kultem błony dziewiczej*. Książkę pod takim właśnie tytułem wydał w 1934 roku doktor M. Gabriow<sup>3</sup>. Zaczął prowokacyjnie: od podania, jaka powinna być każda kobieta, by spełniać tradycyjne wymagania mężczyzny. „Uroda, niewinność, wierność. Oto trzy najcenniejsze zalety, które są niezbędnymi warunkami idealnej kandydatki na żonę (...). Są to zasadnicze warunki, *sine qua non*” – pisał. Szybko jednak zaczął podważać właściwie każde z tych oczekiwań. A szczególnie punkt drugi.

*Obłąkana cześć dla dziewictwa, która stanowi przyczynę tysięcznych i zgoła niepotrzebnych tragedii, ma swoje źródło jedynie w bezmyślnej tradycji. Odgrywa tu rolę (...) nieuzasadniona obawa, że niedziewica nie potrafi już kochać (...) czule, gdyż wyładowała (...) swą energię w pierwszym, wiośnianym uczuciu. Ponadto ma wskazywać na lekkomyślność charakteru, skłonność do zdrady małżeńskiej itp. Poza tym zaznała już rozkoszy płciowej, jest się [więc] narażonym na ewentualne fiasco przy porównaniu. Tyle*



*ze strony mężczyzn.*

No właśnie, ze strony mężczyzn. Autor był święcie przekonany, że kobiety podchodzą do sprawy o wiele mniej restrykcyjnie. Cenił sobie dziewictwo „jedynie dlatego, że mężczyźni go pragną”. I nawet to nie miało jego zdaniem żadnego sensu. Postulował: „Względy te – czyli uprawianie seksu przed ślubem – u ludzi, którzy osiągnęli już dojrzałość fizyczną i są już osobami ponoszącymi samodzielnie wszelkie konsekwencje swego postępowania, nie powinny grać takiej roli jak obecnie”. Innymi słowy, to, z kim, co i kiedy robi, jest indywidualną sprawą każdego człowieka.

Gabriow całą swoją uwagę poświęcał krzywdzie kobiet. Omotanych „sidłami wytrawnego donżuana”, tracących głowę w „miłosnym uniesieniu” czy wreszcie „zniewolonych gwałtem”. Podkreślał, że dla ich dobra i godności pora zerwać z legendą „wianka dziewiczego”. Bo spychanie tych ofiar poza nawias społeczeństwa „jest zbrodnią, równającą się zbrodni zepchnięcia bliźniego w przepaść”. Podobnego zdania był William Martin, autor pracy *Racjonalne życie płciowe*. W 1931 roku przekonywał, że fascynacja dziewictwem to tak naprawdę oznaka męskiego zwyrodnienia. I że chodzi o „rozkosz fizyczną mężczyzny przy przerywaniu błony, wzmożoną przez instynkt sadystyczny”. Nie wierzył, że do zmiany obyczajów wystarczą postulaty. Proponował rozwiązanie systemowe: obowiązkową, chirurgiczną deflorację wszystkich małych dziewczynek. „Operacyjne usuwanie hymenu zwalczyłoby ostatecznie szkodliwy, a tak rozpowszechniony przesąd dziewictwa” – wyjaśniał<sup>4</sup>.

Martin miał poglądy wyjątkowo futurystyczne. Gabriow mocniej stąpał po ziemi. Nie mieściło mu się w głowie, że może istnieć

odpowiedzialny, niewynikający z pomyłki stosunek seksualny kobiety przed ślubem. Albo że to kobieta może być stroną aktywną. Pod tym względem życie zdążyło wyprzedzić nawet najbardziej przytomne i chwalebne slogany.

## **„Z kim powinnam stracić cnotę?” Dylematy prababek**

Młode, wykształcone Polki z dużych miast po prostu uprawiały seks. Z miłości lub dla przyjemności. I wcale nie uważały, jak ich matki i babki, że to czyni z nich „kobiety upadłe”. Wśród uczestników ankiety na temat życia płciowego przeprowadzonej w połowie lat trzydziestych przez Polskie Towarzystwo Eugeniczne po raz pierwszy znalazły się także kobiety. Nie była to duża grupa – siedemdziesiąt dwie studentki. Ale właśnie dzięki nim historycy dysponują jakimikolwiek statystykami na temat seksualności młodych Polek przed wojną. Liczby opublikowano w 1938 roku i wywołały autentyczny szok<sup>5</sup>.

7% dziewcząt zadeklarowało, że uprawiało seks jeszcze przed piętnastymi urodzinami. W przypadku chłopców grupa ta była tylko nieznacznie większa. W sumie do dziewiętnastego roku życia prawie 20% ankietowanych dziewcząt rozpoczęło życie płciowe. Z pozoru niewiele, ale jeszcze dwie dekady wcześniej zakładano, że liczba ta powinna być na poziomie błędu statystycznego. Biorąc pod uwagę wiek i status społeczny uczestniczek badania, w zdecydowanej większości musiało chodzić o stosunki przedmałżeńskie.

Katarzyna Sierakowska, historyczka zajmująca się życiem codziennym przedwojennej inteligencji, potwierdza, że inicjacja

seksualna nastolatka często następowała jeszcze w szkole<sup>6</sup>. Informacje na ten temat można znaleźć także w pamiętnikach z epoki. Irena Grasberg, uczennica warszawskiego gimnazjum, wspominała: „Niektóre dziewczyny w naszej szkole miały już za sobą pierwsze doświadczenia seksualne, nie tak jak Szpilka i ja”<sup>7</sup>. Inna pamiętnikarka zwracała uwagę, że to, co było dawniej owocem zakazanym – młodzieńcze związki, wspólne pokazywanie się na mieście, w kawiarni, w kinie – teraz stało się niemalże obowiązkowym elementem szkolnego życia. „Chciałam mieć chłopaka, bo dziewczyna w moim wieku nie mogła nawet myśleć o jakimkolwiek życiu towarzyskim, jeśli nie była związana z młodym mężczyzną. Wkrótce Witek i ja zaczęliśmy obejmować się i całować w śmieszny, dziecinny sposób” – pisała Alicja Chwistek<sup>8</sup>. I nawet jeśli w jej przypadku skończyło się na „dziecinnych” pocałunkach, to nie zawsze tak było.

Wiele mówi przykład młodej Ireny Goldberg (przyszłej Krzywickiej). Miała ponad dwadzieścia lat, studiowała, obracała się w postępowym męskim towarzystwie, a wciąż jeszcze nie przeżyła pierwszego razu. I to nie z własnej woli: po prostu nie była w stanie znaleźć odpowiedniego kandydata (fakt, że miała minus osiem dioptrii i wstydziła się nosić okulary, na pewno nie pomógł jej w poszukiwaniach). Wreszcie podjęła decyzję. We wspomnieniach zanotuje: „Czas już był – moim zdaniem – stracić cnotę. Oczywiście z kimś pięknym i niezwykłym”<sup>9</sup>. Wybór padł na profesora Przychodzkiego. Eleganckiego mężczyznę w średnim wieku, na którego wykłady uczęszczała w Warszawie, a na wakacjach przypadkiem wpadła na niego w Zakopanem. Wszystko zostało skrętnie przemyślane: umówiła się z nim na podwieczorek, podczas

którego miała z kolei paść sugestia wspólnej, romantycznej wycieczki w góry. Uczucia nie odgrywały w całym przedsięwzięciu żadnej roli. A zresztą – ostatecznie nic nie odegrało roli, bo plany spaliły na panewce. O projekcie Ireny dowiedziały się jej koleżanki i nie mając żadnego poważania dla seksualnych potrzeb dziewczyny, wprosiły się gromadnie na jej randkę. W tych warunkach Irena stchórzyła i jednak nie zdołała wprost zaproponować profesorowi seksu. Dopiero paręnaście lat później wyznała Przychodzkiemu: „Czy pan zdawał sobie sprawę, że wybrałam pana jako tego, który ma mi odebrać cnotę, a pan się zręcznie od tego wykręcił?”. On z kolei – wciąż elegancki, ale już chyba staruszek – zaczął uderzać pięścią w czoło i krzyczeć: „Idiota! Co za koronny idiota!”.



„Kobieta leżąca na kanapie, z kotem na brzuchu”.  
Przedwojenna fotografia ze zbiorów Biblioteki  
Narodowej.

Bojownicza studentka pozostała dziewicą i to niemal do ślubu. Pomimo historii z rzeźniczką Irena zdecydowała się i tak wyjść za Jerzego Krzywickiego – choć dopiero po dwuletniej kwarantannie, która miała zagwarantować, że się od niego nie zarazi. Z seksem nie czekała do ostatniej chwili. Narzeczonego zaciągnęła do łóżka na tydzień przed planowaną ceremonią. „Zrozpaczona i pogardzająca sobą za to, że w wieku lat dwudziestu czterech byłam jeszcze dziewicą, oddałam mu się dość pospiesznie, żeby bodaj we własnych oczach ratować moją reputację »wolnej kobiety«” – wspominała. I nie omieszkała zaznaczyć, że jej wianek dziewiczy był dla partnera prawdziwym zaskoczeniem. Z przekąsem odnotowała, że Jerzemu „nawet przez głowę nie przeszło”, że mogła być w sprawach seksu tak bardzo pruderyjna. On był już jednak nowym typem mężczyzny. Właśnie o jemu podobnych dżentelmenach pisała w 1935 roku feministka Justyna Budzińska-Tylicka. Stwierdziła wówczas, że „w psychice współczesnego mężczyzny” następuje zasadnicza zmiana „co do żądania od przyszłej swej żony fizjologicznej niewinności”. „Obecnie zarówno mężatki, wdowy czy rozwódki są konkurencją dla tak zwanych cnotliwych panien i cieszą się takim samym popytem w zdobywaniu serc męskich – wyjaśniała. – Cnota dziewiczości powoli znika”<sup>10</sup>. To nie była jednak ewolucja pozbawiona ujemnych stron, o czym mogłaby zaświadczyć chociażby Krzywicka. Dla wielu jej nowoczesnych koleżanek, pragnących jak najszybciej stracić dziewictwo, decyzja ta pociągała za sobą katastrofalne skutki.

Seks we wczesnym wieku, przy bliskiej zeru wiedzy młodzieży na temat antykoncepcji, często kończył się niechcianą ciążą lub chorobą. O przypadkach, gdy w ciążę zachodziły gimnazjalistki, wielokrotnie

wspominało „Życie Świadome” – jeden z najodważniejszych obyczajowo periodyków epoki. Niemal zawsze była to wielka tragedia dla dziewczyny. Czekano ją wydalenie ze szkoły lub niebezpieczna i nielegalna aborcja. Endecka gazeta „Orędownik” alarmowała w 1936 roku: „Na terenie jednego tylko kuratorium szkolnego w ciągu roku zanotowano wśród młodzieży szkolnej siedemset wypadków chorób wenerycznych i około czterysta wypadków spędzenia płodu”<sup>11</sup>. Spodziewająca się dziecka nastolatka rzadko kiedy mogła liczyć na jakąkolwiek dozę zrozumienia lub litości ze strony otoczenia. Choć i to się zdarzało. Robert Kotowski, autor książki *Dziewczęta w mundurkach*, cytuje relację przedwojennej uczennicy M. Paszewskiej. Kiedy jej koleżanka, uczęszczająca do ostatniej klasy liceum, zaszła w ciążę, dyrektorka placówki: „pozwoliła dokończyć szkołę i zdać maturę. Zorganizowała nauczanie poza szkołą”<sup>12</sup>.

Polacy lubili powtarzać, że podobne historie to domena miast. Od XIX wieku powszechnie przyjmowano, że zepsucie cechujące epokę przemysłową rozlewa się po kraju za przyczyną przesiąkniętych moralną zgnilizną metropolii. Ale też – już wtedy publicyści stanowczo temu przeczyli. Stanisław Kurkiewicz z podobnym zapałem zbierał historie wiejskich i miejskich „zdarzeń płciowych”, nie znajdując pomiędzy nimi większej różnicy. „Wysyłanie młodzieży wiejskiej obu płci razem na pastwiska i w lasy jest dla nich doskonałą sposobnością do użycia na samieństwie gromadnym” – stwierdzał bez ekscytacji<sup>13</sup>. Z kolei Iza Moszczeńska pisała:

*Mylnym i niczym nieuzasadnionym jest (...) przekonanie, że tylko w Warszawie ogół młodzieży jest zepsuty, a prowincja jest krainą bojaźni bożej, tradycyjnej cnoty i czystych obyczajów. Pierwiastki*

*złego rozsiane są wszędzie, a różnica może tylko na tym polega, że w Warszawie przybiera ono bardziej uderzające i – że tak powiem – imponujące formy. Błyszczącego szykiem półświatka nie znajdują niewątpliwie ani dworki szlacheckie, ani małe miasteczka prowincjonalne. Ale znajdują zdrady małżeńskie, kawalerską swawolę, upadek i hańbę dziewcząt, a nawet choroby weneryczne, rozszerzające się czasem na całą wieś z głównego ogniska zarazy, jakim jest dwór<sup>14</sup>.*

Mieszkańcy prowincji rzecz jasna nie rozpatrywali swojego codziennego życia w szumnych kategoriach „zła”, „upadku” i „zepsucia”. O tym, jak w praktyce mogła wyglądać wiejska obyczajowość seksualna, mówią wspomnienia z epoki. Jan Zumbach, przyszyły as Dywizjonu Myśliwskiego 303, pisał o swoim pierwszym razie ze służącą w majątku rodziców:

*Pewnego letniego wieczoru poszedłem nad brzeg jeziora, aby postrzelać do kaczek (...). Nagle usłyszałem plusk; odwróciłem głowę w stronę, skąd go było słychać – i na tle światła odbijającego się od spokojnej powierzchni jeziora zobaczyłem naszą pomoc kuchenną wychodzącą nago z wody. Rozpostartymi płasko dłońmi ścierała krople wody błyszczące na skórze.*

*Zacząłem dygotać na całym ciele. Strzelba wypadła mi z rąk, serce waliło jak młotem (...). Ujrzała mnie, spuściła głowę. Wyciągnąłem rękę, pomogłem jej wejść na wysoki brzeg. Chwilę później padliśmy sobie, jak szaleni, w ramiona, potoczyliśmy się na trawę, tracąc głowy z pożądania. Pokryłem jej ciało pocałunkami. Gdy wreszcie szal minął i rozdzieliliśmy się, Mira zapłakała. Płakałem i ja. Ale od tego wieczoru spotykaliśmy się każdej nocy w jej izdebce. Była kochanką niedoświadczoną, ale pełną ognia.*

*Żądę moją rozpalala tak, że nie wygasala ona aż do rana <sup>15</sup>.*

O ekscesach chłopaka szybko dowiedział się domowy lekarz, ale poradził mu tylko, by sypiał sam... od północy. Wkrótce musiał zresztą zacząć sypiać zupełnie sam. „Mała Mira” niespodziewanie „przybrała na wadze”. Ojcu dziewczyny pospiesznie wypłacono kilkaset złotych. Tak żeby łatwiej mogła znaleźć sobie męża chętnego wychować nieswoje dziecko w zamian za „kilka krów”. Zumbacha natomiast przeniesiono do innego gimnazjum. I sprawa była skończona.

## **„Tylko ostatni niedołęga...” Nowe spojrzenie na dziewictwo**

Nawet jeśli pierwsze w życiu doświadczenia erotyczne nie doprowadziły do ciąży, wiele dziewczyn czekało jeszcze wytłumaczenie się z nich przed przyszłymi narzeczonymi. W latach dwudziestych ci ostatni nie zawsze byli równie otwarci, co Jerzy Krzywicki. I nie zawsze wyznawali tak postępowe opinie, jak oczekiwałyby ich partnerki.

Niedługo po odzyskaniu niepodległości jedno z pism codziennych opublikowało ankietę „z okazji jakiegoś pana Michała X., który zapytał redakcji, co ma uczynić wobec tego, że ukochana narzeczona przyznała mu się, iż miała »przeszłość«”. Tadeusz Boy-Żeleński wspominał: „Posypały się setki sprzecznych odpowiedzi: dawno w prasie nie było takiego ożywienia”<sup>16</sup>. Przed pierwszą wojną światową podobna debata w ogóle byłaby nie do pomyślenia. Wiele jednak mówi także fakt, że dyskusja okazała się tak bardzo burzliwa. Wymagania moralne względem kobiet przestały być sprawą oczywistą. Ludzie równie głośno



krytykowali przedślubną swobodę dziewcząt, co jej bronili. A za kolejne parę lat pan Michał pewnie w ogóle nie wysłałby swojego pytania. Bałby się, że wyśmieją go za wyciąganie sprawy trywialnej i dawno rozstrzygniętej.

Mógłby ewentualnie szukać pomocy w którymś z wychodzących w połowie lat dwudziestych polskich pisemek erotycznych. Sprawa dziewczęcej cnoty wracała na ich łamy jak bumerang. I to w raczej liberalnych tonach. „Amorek” radził na przykład, co powinien zrobić ojciec kilku córek w dobie kryzysu gospodarczego: „Mecenas X. pięć córek ma (dziś zamążpójścia marne szanse). W tygodniu przeto razy dwa, zaprasza młodzież na seanse. W salonie światło wkrótce gaśnie, nie tracą czasu młode zuchy. W nieładzie odzież, lecz to właśnie... zrobiły duchy”<sup>17</sup>.



„Obłąkana cześć dla dziewictwa, która stanowi przyczynę tysięcznych i zgoła niepotrzebnych tragedii, ma swoje źródło jedynie w bezmyślnej tradycji” – pisał M. Gabriow w 1934 roku (rys. „Nowy Dekameron”, 1924).

Dosadniej tematem młodzieżowych ekscesów zajął się Stanisław Bał, autor frywolnego zbioru opowiadań *Godzina życia mężczyzny*. W tekście *Przed ślubem* postawił tradycyjny system wartości na głowie. W przededniu wesela narzeczona wyznaje zdobywcy swojego serca, że musi koniecznie o czymś z nim porozmawiać, zanim wypowiedzą sakramentalne „tak”. On przez całą noc bije się z myślami. Zżerają go wątpliwości. Boi się, że ona wyzna mu prawdę o swojej

przeszłości, o erotycznych hulankach sprzed lat. „Posiąść ubóstwianą kobietę – decyduje wreszcie chłopak – to ideał każdego mężczyzny. Ale po trzykroć większym ideałem jest poślubić kobietę, którą się kocha i pożąda”. Nawet jeśli ona nie jest już dziewicą. Przybity, ale pogodzony z losem narzeczony idzie do niej na poranną, decydującą rozmowę. Gotów jest dowiedzieć się wszystkiego. Ona jednak wcale nie przystępuje do spowiedzi. Wręcz przeciwnie. Wyprowadza zupełnie niespodziewany atak. Ruga go za to, że przez dwa lata narzeczeństwa ani razu nie zaciągnął jej do łóżka. Sprawa jest jej zdaniem bardzo poważna i wymaga rozstrzygnięcia, nim zwiążą się na resztę życia. Przecież jeśli on „tak pięknej dziewczyny nie uwiódł”, to musi być z niego „albo inwalida... albo też... ostatni niedołęga!”<sup>18</sup>.

Książka Stanisława Bala ukazała się w 1930 roku. I można sobie łatwo wyobrazić, że podobne konwersacje odbywały się już wtedy w prawdziwym świecie. Dziewczęta zaczęły wymagać od swoich narzeczonych więcej niż tylko niekończących się pogaduszek, kiedy „matka drzemie w drugim pokoju”. Posmak realizmu miała także wymiana zdań opublikowana przez pismo „Nowy Dekameron” w maju 1925 roku. To również jest konwersacja pomiędzy narzeczonymi. Ona pyta:

– *Chciałabym wiedzieć, czy... przed naszymi zaręczynami bardzo hulałeś? Ale musisz mi powiedzieć prawdę, słyszysz? Szczerą prawdę!*

– *Po co właściwie chcesz to wiedzieć?*

– *Po co? Żeby być uspokojoną. (...)*

– *Tak, hulałem nieco... Ale nie znałem cię jeszcze wtedy i byłem młody... A młodzieńcy, jak wiesz, muszą się wyszumieć...*

– *A młode dziewczęta?*

– *Im tego zazwyczaj nie pozwalają. Pozwól, że ja na to pytanie nie dam ci odpowiedzi.*

– *A gdybym ja w młodości też hulala?*

– *Też bym cię wziął, bo cię kocham* <sup>19</sup>.

Historia zatoczyła koło. W XIX wieku mężczyźni mogli mieć dowolną przeszłość i żonie nie wolno było nawet o nią pytać. Jednocześnie kobietom pozwalano tylko na jeden wpis w historii życia płciowego – dwadzieścia lat cnoty. Kiedy na początku XX stulecia feministki zaczęły namawiać dziewczęta, by żądały od swoich przyszłych mężów „sprawozdania z ubiegłego życia”<sup>20</sup>, mało kto traktował ich postulat poważnie. Do czasu. W międzywojniu nie tylko wymiana informacji o dawnych doświadczeniach miłosnych stała się nowym standardem, ale mężczyźni – zostali wręcz zepchnięci do defensywy. Poradniki dla kobiet na każdym kroku wzywały, żeby narzeczonego prowadzić przed ślubem do lekarza. Przykładowo książeczka *Do młodej matki* opublikowana w 1933 roku przez Warszawskie Towarzystwo Ginekologiczne zalecała, „by sprawdzić [jego] (...) stan zdrowia, pamiętając zwłaszcza o niebezpieczeństwach przebytych chorób wenerycznych dla małżonki”<sup>21</sup>.

Sto lat wcześniej doktor Baker sugerował, żeby panny młode rozbierać przed lekarzem i sprawdzać, czy nie mają defektów. Teraz to żonkoś musiał udowodnić, że jest wystarczająco zdrowy, aby stanąć przed ołtarzem.

## **Dziewczęcy urok i męska prostytutcja**

„Czym się różni kobieta dzisiejsza od kobiety wczorajszej i przedwczorajszej?” Takie pytanie postawił autor artykułu pt. *Wpływ dziewictwa na dusze młodych dziewcząt doby obecnej* opublikowanego przez magazyn „Wytworny Styl” w 1936 roku. I z miejsca odpowiadał: „Kobiety są dzisiaj bardziej zróżniczkowane. Nie są już więcej tak skrojone na jedną modłę”. Dziennikarz dostrzegł, że wciąż zdarzają się takie nastolatki, które cenią dziewictwo i perspektywę statecznego, małżeńskiego życia. Ale nie była to już powszechna, obowiązująca wszystkich zasada. Ba – takie niewiasty należały chyba w jego opinii do ginącego gatunku. „Mimo wszystko jednak istnieją pewne właściwości typowe, występujące u przeważającej części dzisiejszych dziewcząt” – pisał. Jedną z tych powszechnych cech była jego zdaniem „chęć erotycznego eksperymentowania”<sup>22</sup>.

Publicysta z dezorientacją pisał o nowych dziewczęcych obyczajach. O usilnym zwracaniu na siebie uwagi, nawet próbach podrywu na ulicy lub w przejściu podziemnym. „Znam dużo dziewcząt, które świadomie robią doświadczenia, czy i jak działają na mężczyznę – pisał. – Pewna osiemnastolatka opowiadała mi, że (...) kokietuje zawzięcie obcych mężczyzn, bo chce, żeby ją zaczepiali. Pierwszych parę razy trud był nadaremny. W końcu próba się udała. Była bardzo uradowana, że (...) wywiera wpływ na mężczyzn i spieszenie się oddaliła, nie wyciągając z incydentu żadnych dalszych konsekwencji”. Dla niego był to dziwaczny, niezrozumiały spektakl. Może nawet oznaka zboczenia lub szczególnej chęci wyjścia za mąż. Nie potrafił, jak zresztą wielu mężczyzn urodzonych jeszcze w poprzedniej epoce, zrozumieć, że młode kobiety pragną także równouprawnienia towarzyskiego. Czy wręcz – równouprawnienia na

ulicy. Jeśli przez stulecia to mężczyźni byli stroną aktywną, przejęcie choć na moment inicjatywy wydawało się kobietom szczególnie nęcące. Podobnie jak wykorzystywanie w nowy, swobodny, pozbawiony kompleksów sposób swojego uroku. Nie dlatego, że ktoś każe to robić, ale dlatego, że po raz pierwszy nikt nie zakazuje.

Dziewczyny międzywojnia w stopniu, który dla ich matek byłyby nie do pomyślenia, odkrywają erotyczną stronę życia. Mają świadomość swojego ciała, którego nie muszą już ukrywać pod grubymi warstwami ubrań. Zaczynają też coraz bardziej otwarcie mówić o swoich emocjach i pragnieniach. „Zdawałam sobie sprawę, że przez kostium kąpielowy widać zarys mych pączkujących piersi, ale ze zdumieniem stwierdziłam, że sprawia mi to przyjemność”. Tak młodzieńczą lekcję pływania z przystojnym instruktorem wspominała przyszła lekarka, Irena Grasberg. W innym punkcie swoich pamiętników pisała też o panującej wśród młodych dziewcząt modzie na „obgryzanie ramiączek od stanika”. Zdaniem Roberta Kotowskiego nastolatki „chciały w ten sposób choć trochę zademonstrować swoją kobiecość i dyskretnie pochwalić się jej atrybutami”.

Spółeczeństwo różnie reagowało na podobne nowinki. Byli tacy, którzy bezkrytycznie godzili się ze swobodą obyczajową, a nawet głośno ją promowali. Wobec kobiet zaczęto na przykład stosować dokładnie ten sam rodzaj terapii, co przez cały wiek XIX wobec mężczyzn. Tadeusz Boy-Żeleński wspominał historię pewnej pacjentki cierpiącej na „zaburzenia układu nerwowego”. Poznał ją bezpośrednio od opiekującej się nią lekarki. „Nie widząc w swoim arsenale recept skutecznego lekarstwa (...), wysłała pacjentkę do Wiednia do wielkich magów »psychoanalizy« – opowiadał publicysta. – Trzymano tam

»chorą« przez parę miesięcy, notowano jej sny, najdrobniejsze zdarzenia z dzieciństwa, asocjacje, kompleksy (...). Wreszcie poradzono jej, aby sobie wzięła kochanka<sup>23</sup>.

Na tej samej zasadzie lekarze wysyłali (choć dużo rzadziej niż dawniej) chłopców z migreną do prostytutek. Różnica polegała wyłącznie na tym, że męska, heteroseksualna prostytutka stanowiła w międzywojniu wąski margines. Kobiecie w 1930 roku kazano szukać kochanka, a nie – usług seksualnych. Postępowcy wierzyli, że także to się wkrótce zmieni. Tadeusz Boy-Żeleński cytował pogląd zaczerpnięty z brytyjskiej literatury: „Ze wzrostem zarobkowania kobiet, wzmoże się prostytutka męska<sup>24</sup>. Pamiętniki z epoki potwierdzają, że proces ten już się rozpoczął. Warszawski taksówkarz Marian Sękowski wspominał: „Spostrzegano się, stojąc późnymi wieczorami na postoju, że i mężczyźni wynajmujący się polowali za klientkami (...). Byli oni przez prostytutki przeganiani. Niektóre salony piękności utrzymywały kontakty z takimi jegomościami<sup>25</sup>. Przynajmniej w Warszawie istnienie „facetów na telefon” nie było więc u schyłku dwudziestolecia niczym bardziej zaskakującym niż dzisiaj.

To była oczywiście instytucja stworzona z myślą o zamożnej klienteli. Warstwy robotnicze były zdane na sąsiedzką pomoc. Jakub Wojciechowski, autor *Życiorysu własnego robotnika*, wspominał: „Zaledwie zem (...) do łóżka wsed i zaledwie zem sie położył, to już moja gospodyni drzwi otwarła i sie do mego pokoju pakowała. I jego miała na sobie ładny biały spodnik, i już go ze siebie zwlekła i do mego łóżka wchodzi”. Wstyd było odmawiać. „No to pewnie zaczujemy” – szepnął Wojciechowski, na marginesie dodając, że mu się od razu „zimno i gorąco zrobiło<sup>26</sup>”.

## Hodowla naiwnych gąsek

Dużo częściej na emancypację obyczajową nastolatek reagowano strachem i zaprzeczeniem. Najlepiej widać to na przykładzie edukacji seksualnej. W odniesieniu do chłopców panował konsensus: trzeba uświadamiać. W przypadku dziewczynek, jeśli coś panowało, to tylko zamęt. Nie brakowało postępowych głosów. Pierwsze lekcje wychowania płciowego dla warszawskich uczennic odbywały się już w 1904 roku<sup>27</sup>. Niektórzy specjaliści postulowali wręcz, by dziewczęta informować o seksie wcześniej i dokładniej niż chłopców. Po pierwsze, dlatego że szybciej od nich dojrzewały płciowo. Ale też – żeby uchronić je przed ryzykiem uwiedzenia lub zgwałcenia.

Większość przestraszonych rozwiązłością nowej epoki rodziców opowiadała się za drugą opcją: nie chcieli uświadamiać w ogóle. W przypadku synów takie rozwiązanie zawsze spalało na panewce. Dziewczęta jednak miały znacznie mniejsze możliwości dowiadywania się o seksie na własną rękę. Podczas gdy w miastach rodziła się rewolucja seksualna, wiele kobiet z kręgów ziemiańskich i prowincjonalnych dorastało w zupełnej niewinności. Pojawili się nawet specjaliści popierający takie podejście. Wiele mówi przykład doktora Adama Karwowskiego, jednego z propagatorów wychowania seksualnego. Opowiadał się on za wczesnym i szczerym uświadamianiem. Za zrobieniem wszystkiego, by nie nadwyreżać zaufania dziecka. To jednak dotyczyło wyłącznie synów. Córkom należało zdradzać tylko fakt, że powinny utrzymywać higienę, bo kiedyś zostaną matkami. Pełną edukację seksualną Karwowski dopuszczał co najwyżej u dziewcząt z najbiedniejszych i najbardziej



narazonych na choroby weneryczne lub przestępstwa seksualne warstw. Mała dama o podobnych zberezeństwach nie musiała nic wiedzieć<sup>28</sup>.

Maria Czapska, urodzona w jednej z najzamożniejszych rodzin arystokratycznych w Polsce w 1894 roku, wspominała, jak wiele trudu kosztowało ją zdobycie jakichkolwiek informacji o życiu płciowym. Najpierw próbowała rozmawiać z ciotką, matką ośmiorga dzieci. Ta udzieliła jej wykładu „o Adamie i Ewie, zwłaszcza o Ewie, za której grzech pierworodny my, kobiety, musimy cierpieć. Powtarzała z patosem, a miała głos donośny: »To wszystko przez Ewę, wszystko przez tę Ewę!«<sup>29</sup>. Nastolatka wyszła z pokoju, zupełnie nic nie rozumiejąc. Książki, otoczenie, nawet świat przyrody niewiele mogły jej pomóc. Rodzice zadbali, aby reprodukcjom nagich posągów w podręczniku do starożytności dorysowano spodenki, podobnie zresztą jak Jezusowi w żłobie. W domu zakazane były takie słowa, jak „kochać się” czy „podkochiwać”. Były to niemalże przekleństwa. W majątku nie było też suczki, aby czasem dzieci nie zobaczyły niczego nieprzyzwoitego.

Pierwszych, bardzo lakonicznych szczegółów Maria dowiedziała się dopiero od starszej, zamężnej siostry, będącej właśnie w ciąży. Ale nawet ona nie chciała jej powiedzieć, jak rodzą się dzieci. Pamiętnikarka po latach przytomnie skomentowała, że pewnie „sama nie bardzo wiedziała”. Można zgadywać, że poród był dla wspomnianej siostry szokiem, podobnie jak wcześniej musiała nim być noc poślubna.

Historyczka Jolanta Sikorska-Kulesza podkreśla, że na przełomie wieków podobne przypadki wciąż były powszechne. Potwierdzają to także słowa Stanisława Kurkiewicza z 1906 roku. Na kartach *Szczegółowego odróżnienia czynności płciowych* pisał z typową dla

siebie dosadnością:

*Mimo wszystko (...) kobieta jest w zakresie płciowym bardzo ciekawą – tylko się z tym kryje. Swoją ciemnotę – którą jej świat narzucił – odczuwa jako szkodliwą, zwłaszcza, gdy w małżeńskim pożyciu przetrą się jej oczy, gdy wszystko zobaczy (...) i... przekona się, że nie jest czart tak strasznym, jak go malują*<sup>30</sup>.

Sytuacja zmieniała się bardzo powoli. Obok tych 20% dziewcząt, które otwarcie przyznawały się do życia seksualnego, żyło 80% wiedzących o tym życiu bardzo niewiele. W 1930 roku Paweł Klinger, postępowy seksuolog i autor książki *Vita sexualis. Prawda o życiu płciowym człowieka*, wciąż wspominał o „dotychczasowej hodowli naiwnych gąsek”. Oraz o przekazywaniu tym „gąskom” jakichkolwiek informacji o seksie dopiero w przeddzień zamążpójścia. Tak że w efekcie: „stają na ślubnym kobiercu ogłupiałe romansidłami i przerażone ogromem zadań, o których w pośpiechu (...) naszeptła im pani matka”<sup>31</sup>. William Martin pisał to samo, ale nawet bardziej dosadnie: „Dziewczyna (...) ma prawo i obowiązek wiedzieć z góry, co to jest akt płciowy, prawo – ponieważ się oddaje, a więc musi wiedzieć na czym owo oddanie się polega i jak przebiega. Obowiązek zaś, dlatego że małżeństwo nie może być trwałe, gdy kobieta jest kiepską kochanką”. Ani pierwszy, ani tym bardziej drugi punkt nie był w 1936 roku sprawą oczywistą. Z kolei obyczaj hodowania „głupich gąsek” nie mógł zniknąć, jeśli w tym samym czasie inni specjaliści, jak choćby zasłużony dla nauki Wilhelm Steckel, przestrzegali, że wystawienie dziewczynki na złe wpływy – a nawet zezwolenie, by bawiła się zbyt męskimi zabawkami – może z niej zrobić nimfomankę i lesbijkę. Tekst

na ten temat łódzka „Ilustrowana Republika” drukowała jeszcze w 1931 roku. I to bez żadnego komentarza<sup>32</sup>.

Poza tym granica pomiędzy dziewczętami uświadomionymi i „głupimi gąskami” wcale nie była łatwa do wyznaczenia. Irena Krzywicka wspominała, że w młodości prowadziła z matką długie nocne rozmowy o najintymniejszych sprawach. W żadnym razie nie wychowywała się w pruderyjnym domu. Mama i ojczym żyli w konkubinacie, a ten drugi okazał się tak bardzo „postępowy”, że w którymś momencie zaczął nawet zalecać się do swojej dojrzewającej pasierbicy. Młoda Irena była przekonana, że o seksie wie bardzo dużo. Jako dziecko na przyjęciach u znajomych wywoływała sensację (lub też konsternację) głośno się przechwalając, że „widziała akt zapłodnienia u psów”. Kiedy jednak przyszło co do czego, okazało się, że tak naprawdę nie wie prawie nic. Matka zdradziła jej teorię, ale pominęła nawet podstawowe szczegóły anatomiczne. W efekcie Irena przeżyła autentyczny wstrząs, zbierając materiały do doktoratu. Dopiero w Bibliotece Uniwersytetu Jagiellońskiego, w zakurzonej tomiszcze na temat antycznego teatru po raz pierwszy ujrzała penisa w erekcji. A z pomocą kolegów dowiedziała się, że to nie żadna artystyczna hiperbola, ale – odwzorowanie rzeczywistości.

Nic dziwnego, że po latach (i po tym, jak wreszcie zdoła doprowadzić do skutku swój plan utraty cnoty) Krzywicka sama stanie się wielką zwolenniczką edukacji seksualnej. Będzie przekonywać, że już w bardzo w młodym wieku dzieci obydwójga płci powinny poznawać twarde fakty. I tylko ostrzegała matki, by te zachowywały konieczną powagę. „Ubieranie w sentymentalne kwiatuszki tych poważnych spraw albo rozbuja dziecko i pobudzi do frenetycznych

marzeń, (...) albo w przeciwnym wypadku rozśmieszy – a wiele dzieci ma wyostrzony zmysł komizmu” – można przeczytać w jej artykule z 1933 roku<sup>33</sup>.

Zarazem Krzywicka nie łudziła się, że to placówki oświatowe wezmą na siebie ciężar uświadamiania. W innym felietonie rzuciła cierpko: „Póki nieczysta szmata obłudy nie zostanie zdarta z oficjalnego wychowania, muszą ten ciężar wziąć na siebie rozumni rodzice”<sup>34</sup>. Rzeczywiście, narastające lęki właściwie wykluczały prowadzenie otwartej edukacji seksualnej w żeńskich szkołach. Oficjalnie nic nie stało jej na przeszkodzie. Ministerialny okólnik z 1920 roku odnosił się tak samo do uczniów, jak i uczennic – nawet jeśli proponowany podręcznik adresowano tylko do tych pierwszych. Atmosfera robiła jednak swoje. Paweł Klinger wspominał historię, do której doszło w prywatnym gimnazjum w jednym z dużych miast. Dyrektorka placówki – „osoba światła, wybitnie inteligentna i na wskroś postępową” – z własnej inicjatywy prowadziła lekcje edukacji seksualnej dla najstarszych dziewcząt. Kiedy informacja o tym dotarła do kuratorium, kobieta została bezceremonialnie wyrzucona z pracy za gorszenie młodzieży. Rodzice przyklasnęli decyzji. I tylko uczennice niespodziewanie się zbuntowały. W długim liście adresowanym do Rady Pedagogicznej otwarcie ogłosiły, że seks ma dla nich znaczenie. I to nawet większe niż matematyczne formułki, których za parę lat w ogóle nie będą pamiętać.

*Zagadnienia z tym związane są dla nas najżywotniejsze. Przyczyną tego jest przede wszystkim nasz wiek, wiek dojrzewania, następnie pragnienie poznania spraw, co do których rodzice nasi nie potrafią nas należycie uświadomić i wreszcie różne wypadki zachodzące*

w domu czy na ulicy, których często jesteśmy świadkami. O kwestiach więc związanych z życiem seksualnym mówimy bardzo często.

*A któż do uświadomienia nas jest bardziej powołany niż szkoła? Dawniej sprawy dotyczące życia seksualnego pokrywano obłudnym milczeniem. Nam to jednak nie wystarcza. My chcemy wiedzieć. Dlaczego (...) o rzeczach najpoważniejszych, o rzeczach, które stanowią najgłębszą istotę życia ludzkiego, mamy się dowiadywać z ust ludzi zupełnie do tego niepowołanych?*

Nie wiadomo nic o reakcji na stanowczy list. Prawdopodobnie nie było żadnej. Pruderyjni pedagodzy doszli chyba do wniosku, że buntownicze nastolatki już zostały zepsute przez rozpustną nauczycielkę i nie ma o czym rozmawiać. Niewykluczone też, że od stanowiska zwolenników „reformy seksualnej” woleli zdanie prawicowych dziennikarzy. W 1936 roku autor tekstu *W sprawie zdziczenia seksualnego* stanowczo sprzeciwiał się podkopującej moralność młodego pokolenia „propagandzie życia ułatwionego”. Powołując się na Episkopat Polski i na innych katolickich publicystów, nawoływał do ratowania uczniów i uczennic. Co mogło im pomóc? Parę drobnostek. Lekcje religii w szkołach, zniesienie coraz popularniejszych klas koedukacyjnych oraz – bagatela – wielka, patriotyczna idea, „która by rozpłomieniła ich dusze pogardą dla obsesji seksualnej, a entuzjazmem dla prawdy, dobra i piękna”.

---

Pozycje są cytowane przy pierwszym wystąpieniu w danym rozdziale. Data ostatniego dostępu do wszystkich źródeł internetowych to 20 lutego 2015 roku.

- 1 Michalina Wiśłocka, *Miłość na całe życie. Wspomnienia z czasów beztroski*, Bertelsmann Media, Warszawa 2002.
- 2 Iza Moszczeńska, *Cnota kobieca*, „Krytyka”, nr 10 (1904).
- 3 M. Gabriow, *Kult błony dziewiczej*, Księgopol, Warszawa 1934.
- 4 William Martin, *Racjonalne życie płciowe*, Minerwa, Warszawa 1936.
- 5 Tadeusz Welfle, *Życie płciowe młodzieży akademickiej*, „Zagadnienia Rasy” 1938, nr 2.
- 6 Katarzyna Sierakowska, *Rodzice, dzieci, dziadkowie... Wielkowiejska rodzina inteligentka w Polsce 1918–1939*, Wydawnictwo DiG, Warszawa 2003.
- 7 Irena Koprowska, *O moim życiu i medycynie. Wspomnienia*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1998.
- 8 Alicja z Chwistków Dawidowiczowa, *Zeschnięte liście i kwiat*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1989.
- 9 Irena Krzywicka, *Wyznania gorszycielki*, Czytelnik, Warszawa 1995.
- 10 Justyna Budzińska-Tylicka, *Świadome macierzyństwo*, Rój, Warszawa 1935.
- 11 *W sprawie zdziczenia seksualnego*, „Orędownik”, 14 kwietnia 1936, nr 93.
- 12 Robert Kotowski, *Dziewczęta w mundurkach. Młodzież żeńska szkół średnich w Polsce w latach 1918–1939*, Muzeum Narodowe w Kielcach, Kielce 2013.
- 13 Stanisław Kurkiewicz, *Samieństwo („Onania”): określenie, istota, znaczenie, skutki i t.p.*, nakł. autora, Kraków 1917.
- 14 Iza Moszczeńska, *Czego nie wiemy o naszych synach*, Księgarnia Naukowa, Warszawa 1904.
- 15 Jan Zumbach, *Ostatnia walka. Moje życie jako lotnika, przemysłowca i poszukiwacza przygód*, Oficyna Wydawnicza Echo, Warszawa 2014.
- 16 Tadeusz Boy-Żeleński, *Ankieta dziennikarska z przed trzech wieków*, w: Tegoż, *Pijane dziecko we mgle*, Instytut Wydawniczy „Biblioteka Polska”, Warszawa 1928.
- 17 *Duchy*, „Amorek” 1924, nr 1.
- 18 Stanisław Bał, *Przed ślubem*, w: Tegoż, *Godzina życia mężczyzny*, Księgarnia Łódzka „Czytaj”, Łódź 1930.
- 19 *Na kawalerce*, „Nowy Dekameron” 1925, nr 6.
- 20 Jadwiga Mizerówna, *Czego wymagać może kobieta od mężczyzny jako rzecznika interesów swoich, rodziny i społeczeństwa? Odczyt wygłoszony na Kółku studentek „Czytelni Akademickiej” we Lwowie dnia 24 lutego 1906 r.*, Towarzystwo Młodzieży „Ethos”, Lwów 1906.
- 21 Piotr Mężyński, *Do młodej matki (kilka uwag z higieny kobiety)*, Wydawnictwo Sekcji Społecznej Warszawskiego Towarzystwa Ginekologicznego, Warszawa 1933.
- 22 *Wpływ dziewictwa na dusze młodych dziewcząt doby obecnej*, „Wytworny Styl” 1936, nr 1.

- [23](#) Tadeusz Boy-Żeleński, *Na marginesie „freudyzmu”*, w: Tegoż, *Reflektorem w mrok*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1985
- [24](#) Tenże, *Nieco pedagogii*, w: Tegoż, *Zmysły... zmysły...*, Biblioteka Boya, Warszawa 1932.
- [25](#) Marian Sękowski, *Pamiętnik warszawskiego taksówkarza*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1978.
- [26](#) Jakub Wojciechowski, *Życiorys własny robotnika*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1971.
- [27](#) W. Jezierski, „*Drażliwe kwestje*” w *nauczaniu szkolnym*, „Nowe Tory” 1906, nr 3.
- [28](#) Adam Karwowski, *O seksualnym wychowaniu młodzieży*, „Przegląd Hygieniczny” 1908, nr 5–6.
- [29](#) Maria Czapska, *Europa w rodzinie*, Znak, Kraków 2004.
- [30](#) Stanisław Kurkiewicz, *Z docieków (studyów) nad życiem płciowym. Luźne osnovy (tematy). 2. Szczegółowe odróżnienie czynności płciowych*, nakł. autora, Kraków 1906.
- [31](#) Paweł Klinger, *Vita sexualis. Prawda o życiu płciowym człowieka*, Księgarnia Karola Neumillera, Łódź 1930.
- [32](#) Wilhelm Stekel, *Nowoczesne małżeństwo*, „Ilustrowana Republika” nr 66, 6 marca 1932.
- [33](#) Irena Krzywicka, *Co odpowiadać dzieciom na drażliwe pytania*, w: Tenże, *Kontrola współczesności. Wybór międzywojennej publicystyki społecznej i literackiej z lat 1924–1939*, Feminoteka, Warszawa 2008.
- [34](#) Taż, *Dzieci a sprawy drażliwe*, w: Tenże, *Kontrola współczesności...*, dz. cyt.

/ „Po prostu żyją ze sobą” /

## **Seks przed ślubem i seks bez ślubu**

Z młodzieżą nie da się porozumieć. Dokładnie do tego wniosku doszedł w 1932 roku Tadeusz Boy-Żeleński. Nie on pierwszy i nie ostatni zauważył, że pokolenia stare i młode posługują się zupełnie innymi językami. „Zmienia się wszystko, nawet słownik. W dawne słowa weszły nieraz nowe pojęcia” – wyjaśniał. I miał pod ręką wprost idealny przykład. Narzeczeństwo.

*Małżeństwo stało się aparatem nieskończenie lżejszym. Nie ma już takich par czekających latami. A jeżeli są, to po prostu – co tu ukrywać – żyją ze sobą. (...) Jeżeli zaś się rozejdą, panna nie jest ani zhańbiona, ani nie ma złamanego życia. Znajdzie innego narzeczonego, czyli „chodzi” z kimś innym, aż wreszcie natrafi na swojego człowieka i wyjdzie za mąż i żyje szczęśliwie i ma piękne dzieci <sup>1</sup>.*

Żaden inny element XIX-wiecznej rzeczywistości nie zniknął tak szybko i tak doszczętnie. Rysem nowej epoki stał się nie tylko seks przedmałżeński, ale przede wszystkim otwarte, bezkarne życie bez ślubu. Na początku lat trzydziestych znany warszawski biznesmen Brunon Boy mógł bez obaw zaprosić do wspólnego mieszkania swoją



narzeczoną Zytę, córkę księżęcej rodziny Woronieckich herbu Korybut. Wszyscy jego współpracownicy wiedzieli, że młoda arystokratka mieszka w apartamencie nad warszawską firmą Boya, mimo że nie wzięli ślubu. Ale tak długo, jak nie wyniknęła na tym tle sprawa kryminalna, nikogo to nie bulwersowało<sup>2</sup>.

Nie ulegało wątpliwości, że świat się zmienił. Naukowcy próbowali zrozumieć to, co nastąpiło, ale bez szczególnego sukcesu. Definicja Życia na wiarę zamieszczona w *Encyklopedii wiedzy seksualnej* z 1937 roku brzmi nieudolnie, miejscami wręcz komicznie. Autor hasła usilnie dopatruje się drugiego dna. Nie potrafi przyjąć, że „dzikie małżeństwo” może być po prostu formą relacji dwojga ludzi. Szuka wyjaśnienia w „obniżeniu się moralności”, w „złych warunkach ekonomicznych”. Encyklopedysta podkreśla, że wprawdzie w Polsce konkubinat w żadnym wypadku nie stanowi przestępstwa, niezależnie od okoliczności, ale w wielu krajach rzecz ma się inaczej. Według niego związki niesakramentalne wciąż karano w Danii, Norwegii, Szwecji, niektórych kantonach Szwajcarii i części Stanów Zjednoczonych. W Polsce trend był wyjątkowo postępowy. Osoby pozostające w związkach nieformalnych posiadały pewną ochronę prawną. Zdarzyło się nawet, że Sąd Najwyższy przyznał konkubinie zmarłego mężczyzny prawo do wdowiego odszkodowania – uznając, że przecież prowadzili wspólne gospodarstwo domowe, a więc byli rodziną jak każda inna<sup>3</sup>.

Większość Polaków nie podchodziła do sprawy nowoczesnego narzeczeństwa aż tak radykalnie. Najczęściej przyjmowano, że „chodzenie ze sobą” to po prostu nowy, mniej restrykcyjny stopień na drodze do małżeństwa, a nie forma związku, która je zastąpi. Irena

Krzywicka przekonywała w tym duchu, że „ludzie nieświadomi życia i spraw płci” nie powinni łączyć się na stałe. Jej zdaniem dopiero wypróbowanie się z różnymi partnerami, poznanie własnych potrzeb i gustów pozwalało w dojrzały sposób podjąć decyzję o założeniu rodziny<sup>4</sup>. To była perspektywa feministki (i to takiej, która sama żałowała chyba swojego nieodpowiedzialnego małżeństwa). Autor hasła z *Encyklopedii wiedzy seksualnej* poniekąd się z nią zgadzał, choć z głęboko zakorzenionym szowinizmem nie zamierzał się żegnać. Niechętnie przyznał, że konkubinat jest „czymś wyższym niż korzystanie z usług prostytutki, ponieważ przyzwyczajają mężczyznę do pożycia z jedną kobietą, którą darzy uczuciem i zaufaniem, co nadaje przeżyciom płciowym odcień szlachetniejszy”. Opinie i potrzeby drugiej płci dla niego nie miały znaczenia.

Mało kto by protestował, gdyby rewolucja seksualna na tym właśnie się zatrzymała. Ograniczenie seksbiznesu i położenie nacisku na małżeństwa z miłości – to brzmiało dobrze nawet dla konserwatywnych środowisk. Piewcy postępu chcieli jednak zupełnego przetasowania dawnych norm. Jakby tego było mało, dalszych zmian żądali też ci, których one dotyczyły: młode pokolenie swobodnych, beztroskich narzeczeństw.

## **„Młodzi ludzie mogliby się wypróbować”.** **Koleżeńskie małżeństwa**

W 1930 roku w języku polskim ukazała się głośna książka amerykańskiego sędziego Bena Lindseya pt. *Bunt młodzieży*<sup>5</sup>. Nawiązując do niej, Tadeusz Boy-Żeleński pisał: „Młodzież dzisiejsza

pozwała starszym gadać, zrzedzić i łudzić się, sama zaś robi, jak uważa i przeprowadza reformę życia, często bezładnie, czasem dziko, ale zdecydowanie. To są fakty (...), nic nie wstrzyma ich biegu. Dowodzi to tylko, że stare formuły są nie do utrzymania”.

Lindsey podkreślał: „Jeżeli but nie wchodzi na nogę, należy przerobić but, nie nogę”. Mówił coś, z czym wcale nie każdy Polak się zgadzał – że „wszystkie formy społeczne są, ostatecznie, rzeczą umowną”. W swojej drugiej książce, *Małżeństwach koleżeńskich* wydanych nad Wisłą w 1932 roku, od luźnych postulatów przeszedł do konkretnych<sup>6</sup>. Proponował:

*Aby między młodymi ludźmi mogły być zawierane małżeństwa czasowo bezdzietne (...), z łatwością rozwodu i, w razie rozejścia się, brakiem zobowiązań i praw do alimentacji. W razie szczęśliwego pożycia małżeństwo takie mogłoby się zmieniać w małżeństwo stałe, z dziećmi i wszystkimi prawnymi konsekwencjami.*

*W ten sposób (...) młodzi ludzie mogliby się poznać, wypróbować. Chłopcy byłiby ocaleni od prostytutek i hulatyk, dziewczęta od przygodnych miłostek<sup>7</sup>.*

Dla Lindseya to właśnie były tytułowe „małżeństwa koleżeńskie”. Dzisiaj nazwano by je raczej „związkami partnerskimi”. Inny propagator reformy seksualnej William Martin używał określenia „małżeństwa próbne”. W książce *Racjonalne życie płciowe* z 1936 roku stanowczo sprzeciwiał się przedślubnej abstynencji: „Małżeństwo – jako fakt ważny i decydujący – powinienby poprzedzać okres próbny. Czasy narzeczeństwa ukazują niejako dusze kandydatów w odświeżonych szatach, nie dają żadnej możliwości poznania ich właściwego oblicza

i wypróbowania doboru cielesnego i duchowego”<sup>8</sup>. Dla wzmocnienia argumentów przypominał, że podobne rozwiązania proponowali już XIX-wieczni wywrotowcy. Johann Wolfgang von Goethe wierzył, że narzucenie małżonkom obowiązku „przedłużania” związku co dwa, trzy lata sprawiłoby, że ci traktowałiby się lepiej i nie brali swojego towarzystwa za pewnik niewymagający wysiłku. Z kolei Friedrich Nietzsche włożył w usta Zaratustry następujące słowa: „Dajcie nam termin i małe małżeństwo, abyśmy mogli zbadać, czy nadajemy się do małżeństwa wielkiego!”. Przed 1914, a może też przed 1900 rokiem, takie postulaty brzmiały absurdalnie. Mógł sobie na nie pozwolić filozof specjalizujący się w podważaniu porządku rzeczy albo awangardowy poeta. Ale nie zwyczajny człowiek. William Martin wiedział o tym i dlatego właściwą argumentację oparł na czym innym.

W gruncie rzeczy zawsze, gdy międzywojenni specjaliści od seksu mieli problem z ujmowaniem tematu wprost, odwoływali się do otoczonych aurą tajemniczości „dzikich plemion”. Wystarczyło, że pisali nie o Europejczykach, ale Aborygenach albo kongijskich Murzynach, a znikwały wszelkie tematy tabu. Weźmy przykład prasowy. Nikt nie odważyłby się umieścić na okładce poczytnego tygodnika zdjęcia gołej białej dziewczyny. Ale zdjęcie nagiej Aborygenki „Światowid” publikował bez najmniejszych oporów. W Polsce tarcza zapewniana przez „dzikość” miała szczególną siłę. Tęsknota za koloniami i imperialną Rzeczpospolitą pozwalała powiedzieć wszystko, o ile kontekstem był Madagaskar albo Angola. Można było wprost pisać o „rozsądnych”, „potwierdzonych przez tradycję” konkubinatach, o „odwiecznej” i „naturalnej” poligamii albo o walorach nagości.



„Bądź względem dziewcząt eleganckim. Ofiaruj raczej droższą broszkę z brylantami niż tani pierścionek zaręczynowy”. Porada z połowy lat dwudziestych (rys. „Amorek”, 1924).

Martin przytoczył historię pewnego amerykańskiego małżeństwa, które poświęciło się krzewieniu cywilizacji wśród ludów Amazonki. Kiedy zabrali się do propagowania monogamicznych małżeństw, miejscowa staruszka uświadomiła im, że próbują zamienić świetnie działający system na znacznie gorszy. „Ależ nie próbujcie nawet, senora, poddać im myśli, że czynią coś złego, żyjąc w wolnych związkach. Dopóki kobieta i mężczyzna współżyją ze sobą dobrowolnie, on ją szanuje, jest jej wierny i troszczy się należycie o dzieci – wyjaśniała kobieta. – Natomiast, gdy muszą żyć razem, mężczyzna obchodzi się z kobietą źle, zabiera jej pieniądze (...) i otwarcie utrzymuje kontakty z innymi”. Czyli zachowuje się jak

typowy europejski dżentelmen.

„Czyż nie widzicie, że my, kobiety, zażywamy więcej szczęścia i swobody i mężczyźni są dla nas lepsi, gdy nie jesteśmy z nimi związane i możemy w każdej chwili opuścić ich, jeżeli na to zasłużą?” – pytała retorycznie (zapewne zmyślona) starowinka. I tym samym podważała argumenty przeciwników wolnych związków, którzy widzieli w nich tylko nowe narzędzie pognębienia kobiet. Dla Martina sprawa była jednak jasna. „Życie na wiarę” to był „jakby demonstracyjny bunt wolnego ducha przeciw przestarzałemu przymusowi małżeńskiemu”.

## **Ekonomia miłosna. Nowy front rewolucji**

W pewnym sensie idea Bena Lindseya doczekała się realizacji, między innymi w formie obowiązujących obecnie we Francji „paktów solidarności” (*Pacte civil de solidarité*). Klimat polityczny w międzywojennej Polsce wykluczał przyjęcie podobnej ustawy. Postępowa część społeczeństwa była jednak coraz bardziej gotowa, by zastąpić małżeństwa konkubinami. Formalnymi bądź też nie.

W 1932 roku poznańska rentierka Maria Lewandowska mogła swobodnie pisać w wydanym drukiem pamiętniku: „Nie lecę jak inne panny w moim wieku na małżeństwo”. Mogła też przyznać się, że wspólnie z narzeczonym mieszka w garsonierze, gdzie odbywają się „pełne uroku »sam na sam« – nasze »małżeńskie kolacyjki«”. Pamiętnik ukazał się w toku grubszej sprawy karnej, a na celu miał pognębienie byłego partnera. Ale sam fakt utrzymywania przedmałżeńskich relacji i unikania ślubu nie stanowił podstawy

skandalu. Niewiele też osób zdziwił<sup>9</sup>.

Przypadek Lewandowskiej rzuca światło na umowność przedwojennych narzeczeństw. Jej konkubent, adwokat Henryk Bogdański, twierdził, że nigdy się dziewczynie nie oświadczył i że wcale nie był jej narzeczonym. Możliwe że kłamał w sprawie zażyłości związku. Ale równie prawdopodobne jest to, że Lewandowska po prostu rozumiała narzeczeństwo w nowy sposób. Nie miała pierścionka zaręczynowego, nie była też w stanie wskazać żadnego świadka obietnicy małżeństwa. Prawdopodobnie dlatego, że do tego rytuału w ogóle nie doszło. Narzeczonim w międzywojniu mógł być każdy stały partner seksualny. Narzeczoną – każda długotrwała partnerka. Tak sprawę rozumiał również autor wyjątkowo szczerego pamiętnika Marian Sękowski. Kiedy w latach dwudziestych porzucił karierę wojskową i bez grosza przy duszy wylądował na warszawskim bruku, pomocy szukał u narzeczonych. Miał przynajmniej dwie i nie były to w żadnym razie platoniczne związki. „Pod codziennym ubraniem pracownicy fizycznej kryły się wdzięki kształtne, jędrne, jedwabista skóra, której dotyk dawał wiele zadowolenia” – pisał na temat Marii, z którą spędził pierwszą noc w cywilu. Później zaglądał też do innych przyjaciółek. „Byłem zwolennikiem niezależności we wszystkim, a nawet i w kochaniu” – podkreślał. Wprawdzie w końcu „skuł się małżeństwem”, ale głównie po to, by jego dzieci nie nazywano bękartami<sup>10</sup>.

Od podobnych poglądów wprost kipiała międzywojenna prasa erotyczna. „Małżeństwo... ach, dziękuję. Podobno jest to to samo... tylko nie tak często” – brzmiał dowcip opublikowany w jednym z zeszytów „Nowego Dekameronu”<sup>11</sup>. W innym numerze

przestrzegano: „Małżeństwo jest hazardową grą życia, przy której najlepiej jest kibicować”<sup>12</sup>. Pojawiła się też rada z zakresu jubilerstwa: „Bądź względem dziewcząt eleganckim. Ofiaruj raczej droższą broszkę z brylantami niż tani pierścionek zaręczynowy”<sup>13</sup>. Dla mężczyzn wizja dożywotniego „narzeczeństwa” nie wydawała się już absurdem. Coraz więcej kobiet też akceptowało permanentne „życie na wiarę”. Propagatorom reformy seksualnej to jednak nie wystarczało.

Irena Krzywicka oczyma wyobraźni już widziała przyszłe, rozluźnione przepisy. „Życie nie da się zamknąć w żadne schematy – przekonywała na łamach „Kultury” w 1932 roku. – Społeczeństwo, chcąc uregulować sprawy nieuchwytnie i zmienne, jak sama przyroda, musi stworzyć prawa jak najbardziej liberalne, giętkie i celowe, aby, nadając życiu pewien kierunek, nie dławić go i nie łamać. Dawna moralność, wyrosła na podłożu odmiennej niż nasza cywilizacja, nie może dziś obowiązywać”<sup>14</sup>.

Tadeusz Boy-Żeleński snuł jeszcze bardziej radykalne wizje. Proponował wprowadzenie w życie „ekonomii miłosnej”. Przypominał, że podobno światem rządzą głód i miłość. Tak w każdym razie stanowił powtarzany do znudzenia komunał. Z głodem walczono w sposób stanowczy i bezkompromisowy. Społeczeństwo oburzało się, ilekroć ktoś spalił ileś ton zboża albo zaniedbał wykopania z pola ziemniaków. Opinia była jednoznaczna. Jeśli dzieci w Afryce – a na dobrą sprawę nawet dzieci na Kresach – głodują, to po prostu nie można marnować jedzenia. Zdaniem Boya tak samo należało obruszać się na marnowanie drugiego, kluczowego surowca: miłości.

Podawał przykład zupełnie typowy. Taki, który każdy czytelnik będzie w stanie skojarzyć z tym, co widuje we własnym sąsiedztwie.



W jednej kamienicy mieszka dwudziestoletni chłopak oraz jego sporo starsza kuzynka, trzydziestopięcioletnia, ale wciąż „dorodna pannica”. Jeśli ona stosuje się do tradycyjnych norm, jeśli jest cnotliwa w iście XIX-wieczny sposób, to jako „stara panna” nie wie nawet, czym jest seks. „Dziewictwo uderza jej na mózg, głód miłości skręca jej kiszki” – wyjaśnia Boy. Jeśli podobnym tradycjonalistą jest dwudziestolatek, to jako „smarkacz” erotycznych doznań może szukać co najwyżej u prostytutek lub u służącej rodziców. A przecież tak wcale nie powinno być. Publicysta snuje wizję lepszego porządku: „Oto dwoje ludzi, z których każdy ma nadmiar tego, czego potrzebuje drugi. Wedle zasad ekonomii, typowe warunki do wymiany”<sup>15</sup>. Starczy bez wstydu pohandlować – i problem rozwiązany.

## **Pragnienia pani Języczkowskiej**

Stefan „Wiech” Wiechecki, słynny kronikarz życia stołecznej biedoty, sugerował, że podobne pomysły nie były wyłącznie domeną zblazowanych myślicieli. Równie dobrze mogły rodzić się wśród warstw robotniczych. Zaświadcza o tym opowiadanie *Rada familijna*. To historia Agnieszki Dziecioł, „nieutulonej w żalu wdowy”, oraz Tomasza Ździebki – wyznaczonego przez bliskich na jej formalnego opiekuna po śmierci męża. Zarówno ta dwójka, jak i cała rada familijna, która podjęła decyzję o mianowaniu opiekuna, spotkała się w sądzie grodzkim przy ulicy Żłotej. Powód był prosty: pan Ździebko ponoć zbyt dosłownie „zrozumiał, że ma wdowie zastąpić przedwcześnie zgasłego nieboszczyka”. Dla rodziny to był skandal. Ale może główny zainteresowany po prostu chciał wprowadzić w życie „ekonomię

miłosną”?<sup>16</sup>



„Dawna moralność, wyrosła na podłożu odmiennej niż nasza cywilizacja, nie może dziś obowiązywać”. Irena Krzywicka o rewolucji seksualnej (rys. „Nowy Dekameron”, 1925).

Gdyby Boy usłyszał o tym przypadku, pewnie aż podskoczyłby z radości. Kropka w kropkę – jego prorocstwo! Pisał przecież, że postęp jest nieunikniony. W nowych narzeczeństwach widział praktyczną realizację „małżeństw koleżeńskich”. Na „ekonomię miłosną” też miała

przyjść pora. I to mniej więcej w naszych czasach. „Patrząc wstecz, widzimy, że wszystko się wciąż zmieniało i to raczej na lepsze. Tak samo i nasze życie zawiera rzeczy, które się wnukom naszym wydadzą potworne” – zapewniał. Wprawdzie nie stworzył kompleksowej wizji nowej rzeczywistości, ale zrobił to za niego anonimowy publicysta „Nowego Dekameronu”. Już w grudniu 1924 roku erotyczne pismo opublikowało odważną wizję przyszłości. Nawet nie odległego XXI wieku, ale po prostu – lat pięćdziesiątych XX stulecia.

Akcja opowiadania *Przed trybunałem miłości* rozgrywa się – zgodnie z nazwą – w sądzie. Ale nie jest to żaden sąd grodzki znany przedwojennym Polakom. Po pierwsze, poza mężczyzną w składzie orzekającym zasiadają dwie kobiety. Już ten szczegół mógł zbić czytelnika z tropu. Dopiero w 1936 roku pierwsza kobieta zostanie w Rzeczpospolitej prokuratorem. Sędziny były zupełnie nie do pomyślenia. A to wcale nie jest jedyna oznaka postępu. W 1950 roku mężczyźni są zobowiązani płacić za seks – i to każdej porządnej niewieście, która zgodzi się użyzyć im swoich wdzięków. Z drugiej strony mężczyzna musi być zawsze do dyspozycji kobiety. Nie wolno odmawiać seksu, nawet jeśli stosunku płciowego zażąda od niego zupełnie obca niewiasta. Taki właśnie błąd popełnił bohater opowiadania, „typowy czterdziestoletni mężczyzna bez znaków szczególnych”, pan Dudkowski. Nie zgodził się na natychmiastową schadzke z nieznaną, panną Języczkowską. Sąd nie znalazł żadnych okoliczności łagodzących. Nakazał, by Dudkowski natychmiast „oddał hold” ciału Języczkowskiej. Albo płacił skrzywdzonej powódce sto złotych grzywny za każdy dzień zwłoki<sup>17</sup>.

Podobne fantazje snuto, rzecz jasna, tylko w drugiej Polsce. Tej,

która, wyglądając za okno, widziała reformę seksualną, a nie – powojenne zepsucie. „Wiadomości Parafialne”, kościelny miesięcznik wydawany w Zagórzcu, prezentowały odmienną perspektywę. W lutym 1938 roku, a więc już u samego krańca epoki, redakcja pochyliła się nad różnorodnością domostw znajdujących się pod opieką miejscowego proboszcza. Była, rzecz jasna, siła mieszkań dobrych. Łatwo dało się je poznać po samych lokatorach. „Są religijni, spokojni, wszyscy wzięli ślub w kościele katolickim” – wyjaśniano. Po kamienicach kryły się jednak także prawdziwe gniazda grzechu i zepsucia. „Jest tam pijak, który po każdej wypłacie awantury urządza, żonę bije, a używa słów z kloaki. Znajdziemy również bezbożnika, który nie tylko sam w nic nie wierzy, ale jeszcze stara się wyszydzać praktyki religijne innych”. Wreszcie trzecia kategoria siedzib nieprzyzwoitości. Szczególnie wstrętne. „Mieszkają i tacy, którzy żyją bez ślubu i gorszą dzieci i starszych” – alarmowały „Wiadomości”.

Recepta była tylko jedna. W obliczu zagrożenia wiary nie wystarczyło już unikać żydowskich sklepów. Należało też zmusić kamieniczników, by wyrzucali z domów ludzi niegodnych przebywania w katolickim sąsiedztwie. Musieli zrozumieć, że rolą uczciwego gospodarza jest „dbać nie tylko o to, aby mu płacono lokatorne”, ale też o to, „kto lokatorne płaci”. I czy robi to „na chwałę Bożą, a nie na obrazę”<sup>18</sup>. W epoce kontrastów, jaką było dwudziestolecie międzywojenne, nie brakowało ludzi biorących sobie podobne wytyczne do serca. I często mieszkali przez ścianę z „koleżeńskimi małżeństwami”.

---

---

Pozycje są cytowane przy pierwszym wystąpieniu w danym rozdziale. Data ostatniego dostępu do wszystkich źródeł internetowych to 20 lutego 2015 roku.

- 1 Tadeusz Boy-Żeleński, *Narzeczeni*, w: Tegoż, *Zmysły..., zmysły...*, Biblioteka Boya, Warszawa 1932.
- 2 Historię głośnej morderczyni Zyty Korybut-Woronieckiej opisałem ze szczegółami w jednej ze swoich poprzednich książek: *Upadłe damy II Rzeczypospolitej*, Znak, Kraków 2013.
- 3 *Życie na wiarę*, w: *Encyklopedia wiedzy seksualnej*, t. III, oprac. Max Marcuse, oprac. wyd. pol. Stanisław Higier, Wydawnictwo Lekarskie „Eskulap”, Warszawa 1937.
- 4 Irena Krzywicka, *Szkoła moralności rozumowej*, w: Tejże, *Kontrola współczesności. Wybór międzywojennej publicystyki społecznej i literackiej z lat 1924–1939*, Feminoteka, Warszawa 2008.
- 5 Ben Lindsey, *Bunt młodzieży*, Renaissance, Warszawa 1930.
- 6 Tenże, *Małżeństwa koleżeńskie. Cz. 1*, Retor, Warszawa 1932; Tenże, *Małżeństwa koleżeńskie. Cz. 2. Dokończenie*, Retor, Warszawa 1932.
- 7 Tadeusz Boy-Żeleński, *Bunt młodzieży*, w: Tegoż, *Zmysły..., zmysły...*, dz. cyt.
- 8 William Martin, *Racjonalne życie płciowe*, Minerwa, Warszawa 1936.
- 9 Maria Dołęga-Lewandowska, *Pamiętnik „szantażystki”*, t. 1, nakł. E. Dołęga-Lewandowska, Poznań 1932. Sprawie Marii Lewandowskiej poświęciłem jeden z rozdziałów książki: *Upadłe damy II Rzeczypospolitej*, Znak, Kraków 2013.
- 10 Marian Sękowski, *Pamiętnik warszawskiego taksówkarza*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1978.
- 11 „Nowy Dekameron” 1925, nr 3.
- 12 „Nowy Dekameron” 1925, nr 5.
- 13 „Nowy Dekameron” 1924, nr 25.
- 14 Irena Krzywicka, *Nowe uroki małżeństwa*, w: Tejże, *Kontrola współczesności...*, dz. cyt.
- 15 Tadeusz Boy-Żeleński, *Ekonomia miłosna*, w: Tegoż, *Zmysły..., zmysły...*, dz. cyt.
- 16 Wiech [Stefan Wiechecki], *Rada familijna*, w: Tegoż, *Zakochany złodziej*, Vis-à-vis/Etiuda, Kraków 2013.
- 17 *Trybunały miłości*, „Nowy Dekameron” 1924, nr 25.
- 18 *Jaki pan taki kram*, „Wiadomości Parafialne. Miesięcznik Informacyjny” 1938, nr 2.

/ „Panny zdeflorowane psychicznie” /

## **Gra wstępna i nie tylko**

Póldziewica weszła przebojem do świata nauki. Kiedy w 1894 roku Francuz Marcel Prévost publikował powieść *Les Demi-Vierges* nie mógł przewidywać, że zachwieje nowoczesną seksuologią. Póldziewice niespodziewanie urosły do rangi symbolu epoki przemian. Burzliwego okresu pomiędzy światem tradycyjnej podwójnej moralności a rzeczywistością „reformy seksualnej”. *Encyklopedia wiedzy seksualnej* z 1937 roku objaśniała ten termin następująco: „Przez póldziewicę należy rozumieć pannę z lepszych sfer towarzyskich, zdeflorowaną, że tak powiemy, psychicznie, lecz nie fizycznie. (...) Póldziewica zachowaniem swym pod względem płciowym obraża obyczajność swego mieszczańskiego środowiska. Jednak ostrożność w stosunku do utraty błony dziewiczej zabezpiecza póldziewicę przed uwiedzeniem i podtrzymuje fikcję zachowanej niewinności”<sup>1</sup>.

Nad tematem tym pochyliło się wielu specjalistów. Stanisław Kurkiewicz jeszcze przed pierwszą wojną światową doszedł do wniosku, że na świecie nie ma prawdziwych dziewic. „Nikogo, kto się wydaje niewinnym, czystym nie uwielbiamy (...), póki z nim »beczki soli«, soli ŚLEDZENIA GO, nie zjemy – przestrzegał czytelników w typowym dla siebie, mętym stylu. – Nieraz ten czysty pokaże się

z czasem brudny: okaże się podstępnie, chytrze, od dawna, uprawiającym płciowy sposób, jakiś najmilszy sobie”<sup>2</sup>. Jean Fauconney, autor wydanego pod pseudonimem poradnika *Miłość małżeńska w świetle nauki* z 1931 roku stwierdził to samo, ale wprost: „Zdarza się często, że dziewiczość [dziewcząt] jest dobrze naruszoną, dzięki onanizmowi, przyzwyczajeniom lesbijskim i śmielszym flirtom”<sup>3</sup>.

Wizja niewinnych niewiast ubiegłej epoki stopniowo ustępowała miejsca nowemu wyobrażeniu o młodych kobietach: bezwzględnych *femmes fatales* i wiecznie niezaspokojonych nimfomankach. Już Richard von Krafft-Ebing, pionier nowoczesnej seksuologii, straszył czytelników dziewczętami o umysłach przezartych przez erotyczną żądzę – nieopanowanych w swojej kokieterii, skłonnych do uprawiania prostytucji dla samego zaspokojenia chorych ciągót, zamieniających się na oczach własnych ojców czy nawet mężów w nowoczesne Messaliny. W jego ślady poszli kolejni badacze seksu, a także – całe pokolenie artystów. Na przełomie wieków nic tak nie pociągało pisarzy i malarzy, jak właśnie wizja oszukańczych, skrytych i zniewalających kobiet-demonów. Robiących to, w czym przez stulecia specjalizowali się mężczyźni: sprowadzających drugą płć do upadku<sup>4</sup>.

Wielu specjalistów zupełnie nie zdawało sobie sprawy z faktu, że straszą czytelników tą samą grupą, w obronie której występowali w innych fragmentach swoich prac. Walczyli przecież o zrozumienie i docenienie kobiecej seksualności. Właśnie ten postulat po cichu realizowały demonizowane półdziewice. To były dziewczęta, które widziały w życiu płciowym coś więcej niż tylko formę daniny dla pana małżonka. W XIX wieku seks sprowadzano do krótkiego i brutalnego stosunku waginalnego. One chciały czegoś więcej... i czegoś wcześniej.

Nauka potwierdzała, że mają do tego prawo.

Nowoczesna seksuologia nie tylko z zaskoczeniem odkryła istnienie kobiecego orgazmu, ale też – rolę łechtaczki. U schyłku XIX wieku pisano o tym tajemniczym narzędziu z pewnym zakłopotaniem. Dwadzieścia, trzydzieści lat później – już się nie krępowano. William Martin, autor pracy *Racjonalne życie płciowe* wydanej po polsku w 1936 roku, ujął rzecz krótko i stanowczo: „Głównym ośrodkiem wrażliwości płciowej kobiety jest łechtaczka – organ bogato unerwiony”<sup>5</sup>. Podobnego zdania był nawet autor słowniczka dołączonego do brukowego sennika erotycznego *Miłość we śnie* z 1933 roku. O łechtaczce pisał: „Kształtem przypomina pręc męski w skróceniu, bierze ważny udział w stosunku płciowym, jako miejsce najbardziej wrażliwe, działa podniecająco”<sup>6</sup>.

Poza łechtawką zaczęto też dostrzegać cały kompleks sfer erogennych pokrywających kobiece ciało. William Martin pisał: „Pochwa (...) i dolna część macicy również są bardzo wrażliwe na podniety płciowe. To samo dotyczy mniejszych warg sromowych (...). Do sfer erogenicznych należy też zaliczyć piersi kobiety (...). Wargi również powszechnie uważane są za strefy erogeniczne, czego dowodem jest wielka rola pocałunku w życiu płciowym”. Dzisiaj wszystko to brzmi wyjątkowo trywialnie. Międzywojenni specjaliści czuli jednak, że odkrywają zupełnie nowy świat. I nawet całusom poświęcali złożone wywody naukowe. Zupełnie tak, jakby człowiek nie mógł zabrać się za nie bez przeczytania instrukcji obsługi.

---

*Jakże trudno jest nowoczesnemu człowiekowi wyzwolić się*



*z bezwiednego (...) kultu ascezy, wpajanego mu od wieków. Jakże trudno mu jest zdobyć się na wyznanie, że to wszystko, co lubi, czego pragnie, co mu daje szczęście, nie jest czymś gorszym, o ile nie sprawia nikomu krzywdy.*

*Irena Krzywicka, rok 1932*

*z.*

## **„Język jest tu niezastąpionym narzędziem”.** **Namiętne pocałunki**

Dla milionów osób na całym świecie tego typu instrukcją stało się *Małżeństwo doskonałe* holenderskiego ginekologa Theodoora Hendrika van de Veldego. Z pozoru – książka jakich wiele. Tylko w języku polskim w epoce międzywojennej ukazało się przynajmniej paręnaście zbiorów porad dla nowożeńców i drugie tyle – kompendiów z zakresu życia seksualnego. Ale ich autorzy mogli co najwyżej marzyć o sukcesie na miarę van de Veldego. Pierwsza edycja *Małżeństwa doskonałego* wyszła po niemiecku w 1926 roku, momentalnie zawojowując rynek wydawniczy. Do 1932 roku dodrukowywano ją czterdzieści dwa razy. Nie zaszkodził jej ani fakt umieszczenia w Indeksie Ksiąg Zakazanych, ani słowa oburzenia napływające z całego świata. W wersji angielskiej wydań było ponad czterdzieści, a sprzedanych egzemplarzy siedemset tysięcy<sup>8</sup>. W Polsce *Małżeństwo doskonałe* znajduje odbiorców nawet dzisiaj. Od 1990 roku wznawiano je już kilkakrotnie. Pierwsza nadwiślańska edycja ukazała się jednak w 1935 roku. Autor przedstawił w niej całą klasyfikację pocałunków. Znalazł się tam między innymi „maraichinage”:

*(...) Kiedy to przez czas dłuższy (nawet godzinami) wzajemnie wodzi się językiem, wsuniętym jak najgłębiej, po jamie ustnej partnera (...). Mistrzostwo pocałunku miłosnego przejawia się przede wszystkim w udatnym jego stopniowaniu (...). Język jest tu niezastąpionym narzędziem (...). Niekiedy, trochę energiczniej, wprowadza się język głęboko do ust partnera, ale pocałunek taki, delikatnie stopniowany, różni się zasadniczo od brutalnego maraichinage'u, który odpowiada jedynie ludziom na pół kulturalnym. Przeciwnie, pocałunek pobudza najsilniej, gdy koniuszek języka delikatnie łechce wargi i język partnera <sup>9</sup>.*

Dalej van de Velde wspomniał jeszcze o malinkach. Przestrzegał, by nie traktować ich lekko, bo „istnieje próg, po przekroczeniu którego wstępnie się w dziedzinę chorobliwej seksualności”. Z jego obserwacji wynikało, że „ukąszenia miłosne” są zwykle składane na lewym barku (u mężczyzn) lub z lewej strony szyi (u kobiet). Ciekawsza refleksja kryje się jednak już w pierwszym zdaniu powyższej definicji namiętnych pocałunków. Autor pisał o czynności wykonywanej godzinami. Seks bez pośpiechu? To był zupełnie nowy koncept, przynajmniej w literaturze fachowej. W tym samym 1935 roku radziecki specjalista N.J. Safanow przestrzegał: „Szkodliwym jest przeciąganie spółkowania (...). Wielu młodych ludzi jest (w tym wypadku) nader nieumiarkowanych. Wcześniej czy później wybryki płciowe odbiją się na ich zdrowiu”<sup>10</sup>.

Nawet ogółem postępowy Martin rzucił w jednym miejscu, że według prawideł higieny „akt płciowy krótki i intensywny jest zawsze najlepszy”. Ważniejsze od osiągnięcia perfekcji wydawało mu się jednak odpowiednie przygotowanie obydwójga uczestników stosunku.

Podkreślał, że pochwy i prącia to rodzaj maszynerii. I tak samo jak w fabryce tu także należało dbać o wystarczające naoliwienie. „Kobiece organy płciowe wydzielają rodzaj płynnego smaru, który obficie je pokrywa i niejako naoliwia. Jest to substancja jasna, przezroczysta, podobna do kurzego białka” – wyjaśniał w *Racjonalnym życiu płciowym*. Aby ją wytworzyć, należało odejść od tradycyjnych schematów. I traktować swoją partnerkę... właśnie jako partnerkę, a nie bezwładną kukłę z otworem pośrodku. Autor ciągnął dalej, przecząc samemu sobie: „Czyńcie jak czynią kochankowie – romansujcie ze sobą! Każdy wie, co to znaczy. Rzecz charakterystyczna – romansując, ludzie nigdy się nie spieszą. Przeciwnie, zwlekają, przedłużają każdą pieszczotę, zwodzą się kokieteryjnie, wyrażają swe uczucia w sposób najróżnorodniejszy”.

## **„Gryźć chyba nie lubię, ale muszę spróbować”.** **Erotyczna rola biustu**

Martin wiele uwagi poświęcił artystycznemu charakterowi gry wstępnej. To miała być tworzona z pasją, nieprzewidywalna sztuka, a nie zbiór drętwych schematów, powtarzanych za każdym razem. Jednak nawet w najwybitniejszej kompozycji trudno pominąć pewne nuty. Seksuolodzy podkreślali na przykład wielkie znaczenie dotykania piersi i sutków. Stanisław Kurkiewicz pisał w *Szczegółowym odróżnieniu czynności płciowych*: „Styczność płciowa (...) nie połączona z piersieniem bywa kobietom nie na rękę. Nawet przyzwoite narzeczone, wśród pieszczot nie sutczone, czują się markotne”. W innym miejscu podkreślił raz jeszcze, że każdy dobry seks powinien

zostać poprzedzony „omackami sutkowymi”.

Autor *Racjonalnego życia płciowego* także deklarował, że prawdziwy fachowiec od seksu nie może „przemilczeć pocałunku w pierś” – praktyki już dawniej cieszącej się dużą popularnością, zaś w epoce reformy seksualnej nic nietracącej ze swego uroku. „Kobieta o kształtnych piersiach wzbudza pożądanie” – wyjaśniał William Martin. A mimochodem zaznaczał, że przynajmniej wedle jego badań drobne piersi są bardziej pożądane od dużych: „We wszystkich krajach na całym świecie młode dziewczęta, a nawet szacowne matrony, masują swoje piersi, żeby były małe i jędrne”.

Do podobnej fascynacji erotyczną funkcją biustu przyznawał się van de Velde. Jako jeden z pierwszych specjalistów od seksu ze szczegółami opisał mechanizm erekcji sutków: „[Ich] zdolność erekcyjna jest taka sama, jak łechtaczki i penisa. Wzwód brodawek następuje bądź na skutek bezpośredniego mechanicznego drażnienia, bądź pod wpływem działania z oddali, przede wszystkim – poprzez narządy płciowe (łechtaczkę)”. Zdaniem Holendra kobiety szczególnie ceniły „drażnienie końcem języka, palców” oraz ssanie. Praktyki te pewną przyjemność powinny sprawiać także stronie aktywnej. Ale znacznie mniejszą niż biernej. Dla mężczyzn liczyły się przede wszystkim piersi jako całość. „Sam ich widok – wyjaśniał van de Velde – przyprawia mężczyznę o podniecenie seksualne; obmacywanie ich zaś, całą dłonią zwłaszcza, stan ten znacznie potęguje. Ugniatanie i dotykanie (niezbyt silne) piersi wywołuje i u kobiety przyjemne uczucie, jeżeli tendencja obustronna jest wyraźnie erotyczna”.

Pojawiały się także głosy krytyczne. Magnus Hirschfeld i Ryszard Linsert przestrzegali w książce pt. *Zapobieganie ciąży*, że w świetle

najnowszych badań: „częste drażnienie sutek np. ssanie sprzyja powstawaniu raka”<sup>11</sup>. To jednak był głos wołającego na puszczy. Pieszczenie piersi zdążyło wejść do mainstreamu. Popularny felietonista Antoni Słonimski żartował sobie w 1931 roku na temat swoich obyczajów twórczych. Na łamach „Wiadomości Literackich” pisał: „Lubię jeść gulasz, pić piwo grodziskie. Jeśli chodzi o ssanie przy pisaniu, to proszę o kawałek piersi. Gryźć chyba nie lubię, ale muszę spróbować”<sup>12</sup>.

Van de Velde też żadnego problemu nie widział. Zalecał nawet: „Najsilniejsze podniecenie osiągnąć można przy jednoczesnym drażnieniu brodawek i narządów płciowych (łechtaczki): jeden bodziec wzmacnia drugi, połączenie to zaś daje wielu kobietom maksimum tego, co osiągnąć mogą w grze miłosnej”. Było dla niego sprawą oczywistą, że pierś to tylko przystanek na drodze wiodącej niżej. „Niepewnie, lękliwie, zbliża się ręka coraz bardziej, gładzi brzuch, podbrzusze, powierzchnię wewnętrzną ud, gładzi mimochodem, od niechcenia jakby, genitalia, by jednak natychmiast przejść na drugie udo. Tak zwleka pewien czas, aż zatrzymuje się przy narządach płciowych” – instruował van de Velde. W jego opinii w tym momencie powinien nastąpić moment kulminacyjny „gry drażniącej”. Ale zdaniem Stanisława Kurkiewicza dla mężczyzny była to raczej... chwila szoku i obrzydzenia.

**„Kobieta przez igranie ze zwisakiem znakomicie się napina”.**

**Tajniki gry drażniącej**

„Płciowo kobiece nie budzi (...) ciekawości u młodzieńców – podkreślał krakowski seksuolog. – Widok umyślnie pokazanego sromu oddziałuje na świadka zwykle odrażająco”. Można by przyjąć tę opinię z pewnym zrozumieniem (czy może nawet współczuciem), gdyby nie to, że Kurkiewicz – nieustannie podający się za człowieka postępu – tym razem po prostu wyszedł na szowinistę. Obiekcje miał wyłącznie w stosunku do żeńskich narządów. O penisach pisał coś dosłownie odwrotnego. Dla kobiet miały być one najpiękniejszym widokiem pod słońcem. „Swoją drogą żywi kobieta (...) kult dla zwisaka jako ostatniego na pozór, ale w rzeczywistości pierwszego wdzięku w całości postaci mężczyzny” – oznajmiał.

Fascynacja prąciem przekładała się w opinii Kurkiewicza na naturalne u każdej kobiety pragnienie wykonywania „merdanki”, czyli „igrania ze zwisakiem”. Lekarz-płciownik zgadywał, że mogą istnieć mężczyźni, których niepokoi ta instynktowna tendencja, zabraniają jej realizowania, a nawet widzą w niej „wielkie wyuzdanie”. Uspokajał ich jednak, że kult zwisaka rozwija się u każdej niewiasty już w okresie dojrzewania. I nic nie można na to poradzić.

*Znam wypadki, że nawet starsze uczennice szkół wybierały się na naukę „na świeżym powietrzu” poza miasto, gdzie kąpali się wojacy. Dziewczęta w odległości (...) kilkunastu kroków przechadzały się z książką przed oczyma – ale bokami chciwie pozierały. Uczęszczanie ich na to miejsce odbywało się stale (...). Gdzie zaś kąpią się w domu chłopaczki małe – tam zlatują się dziewczęta i, nie zważając na domowników, wpatrują się z niezwykłym zajęciem w płciwo.*

Kurkiewicz uspokajał także najskromniejsze ze swoich czytelniczek. Te,

które nasłuchały się od koleżanek o „osobliwej sprawności zwisaka, tj. o zdolności twardnienia”, ale nigdy nie miały okazji zobaczyć go na własne oczy. Lekarz wyjaśniał, że nie ma absolutnie nic złego w poproszeniu pierwszego partnera, by pozwolił z bliska przypatrzeć się niezwykłemu mechanizmowi. W swoim wywodzie posunął się nawet dalej. Postulował, by z „merdanki” uczynić obowiązkowy element każdej gry wstępnej. Zyskiwać miały na tym obie strony. Kobieta, bo „przez igranie ze zwisakiem znakomicie się napina”. Oraz mężczyzna – bo „dostanie należytego wzwodu i należytej skłonności do płcenia”, jeśli partnerka zajmie się jego organem w sposób przypominający „samieństwo ręczne”, któremu się dotąd oddawał.

W seksualnej klasyfikacji Kurkiewicza poza „merdankami” znalazły się także „gmeranki” – czyli podobna czynność, ale „odnośnie do kobiet”. Autor nie poświęcił jej zbyt wiele uwagi. Wprawdzie przyznawał, że kobiety „szczytują wśród tych omacków bardzo łatwo”, ale dokładnie to samo miało się też dziać podczas wykonywania przez nie „merdanki”. Ogółem Kurkiewicz był zdania, że tylko kobiety mają tendencję do erotycznego „altruizmu” – czyli wykonywania czynności z myślą o rozkoszy drugiej strony. Gmeranki bagatelizował więc jako zjawisko wyjątkowo rzadkie. Być może była to kwestia epoki, w której tworzył. Dwadzieścia lat później van de Velde nie przeprowadzał już podobnego podziału. Jemu „gry drażniące” u kobiet wydawały się wręcz ważniejsze niż u mężczyzn. Swoich czytelników instruował:

*Jakby niechcący wślizguje się jeden z palców ręki gładzącej do sromu, gdzie napotyka sterczącą w środku glans clitoridis. (...) Palec z pewnością natrafi na przyczep wędzidełka [łechtaczki], które to miejsce jest zawsze, a zwłaszcza podczas erekcji,*

*najbardziej wrażliwe na bodźce erotyczne.*

*Mimowolne to, początkowo, dotknięcie potęguje podniecenie seksualne kobiety – tak jak świadomość udzielanej rozkoszy wzmaga w znacznym stopniu uczucia mężczyzny.*

Odważne porady van de Veldego mogłyby równie dobrze ukazać się w dzisiejszym podręczniku seksu. W wielu punktach nie straciły nic ze swojej aktualności. Choć chyba niewielu seksuologów w 2015 roku byłoby gotowych pisać z tą samą otwartością, co bezkompromisowy Holender w roku 1926, który za swoich czasów również był pewnym unikatem.





„Swoją drogą, we własnych sutkach kocha się kobieta zwykle. Zwłaszcza gdy je ma wydatne, nimi się rozkoszuje i po nich się sami” – pisał Stanisław Kurkiewicz w 1906 roku (rys. „Nowy Dekameron”, 1924).

Poważna (i przesiąknięta wpływami Zygmunta Freuda) *Encyklopedia wiedzy seksualnej* proponowała dużo bardziej powściągliwe spojrzenie na „*Digitatio*”:

*DIGITATIO – dosłownie palcowanie (paluszkowanie). Perwersyjne zaspokajanie popędu płciowego wyłącznie przez manipulację palcami w narządach płciowych partnera seksualnego; występuje zwłaszcza w infantyлизmie psychoseksualnym<sup>13</sup>.*

W jednym punkcie van de Velde okazywał się jednak zupełnym tradycjonalistą. Powtarzał do znudzenia, że każda omawiana przez niego technika musi koniecznie prowadzić do stosunku waginalnego. I ma na celu wyłącznie osiągnięcie jednoczesnego orgazmu przez obu partnerów. Zwyczajni czytelnicy niekoniecznie podzielali taką opinię.

## **„Łechtaczka przykryta kapiszonem”. Jak zdemaskować fałszywą dziewicę?**

W tej kwestii to Stanisław Kurkiewicz robił wrażenie większego postępowca. Już w 1906 roku pisał, że „u osób kulturalnych” różne wymyślne techniki seksualne, w których „nie ma wpustu zwisaka”, stają się rzeczą zupełnie zwyczajną. Jego zdaniem właściwie każde miejskie stadło dopuszczało się w sferze seksu nieprawidłowych czy po prostu nieszablonowych czynów. I w gruncie rzeczy nie winił za to ludzi. „Poszczególni spomiędzy nas (...) wyrabiają sobie różne przysmaki i przyprawy do owych potraw (sposobów płciowych) – podkreślał. – Do tego nie potrzeba żadnej chorobowości – chyba, że chorobowością będzie to, że człowiek w porównaniu ze zwierzęciem ma wyobraźnię wrażliwszą, bujniejszą, pomysłowszą”.

Nietypowe czynności mogły, ale wcale nie musiały prowadzić do tradycyjnego seksu. Lekarz-płciownik twierdził nawet, że istnieją

związki, które od stosunków waginalnych wolą wzajemną masturbację. Zauważył też jeszcze jeden nowy trend: że małżeństwo przestaje być jedynym obszarem erotycznych eksperymentów. Van de Velde pisał tylko i wyłącznie o małżeństwie idealnym, a nie o seksie idealnym. William Martin też skupiał się na legalnych związkach. Wyjaśniał: „Jeśli małżonkowie będą względem siebie swobodni, jeśli wyzbędą się całkowicie konwencjonalizmu i w obcowaniu z sobą iść będą bez zastrzeżeń za głosem chceń, impulsów, pragnień, skłonności, jeśli z prawdziwą zapamiętałością oddadzą się pieszczotom (...) wówczas szczęśliwie odegrają pierwszy akt wielkiej sztuki”. Narzeczeństwa, jego zdaniem, musiały brać pod uwagę „cały szereg względów towarzyskich”. W rzeczywistości, w epoce międzywojennej, coraz rzadziej brały. W odniesieniu do XIX wieku Tadeusz Boy-Żeleński pisał tylko o „mniej lub więcej zaawansowanych pieszczotach” pomiędzy zaręczonymi osobami. Stopniowo przyzwolenie rosło – tak że zwykłe pieszczoty zamieniały się w pełnoprawne „inne czynności seksualne”. I właśnie gotowe oddawać się im niezamężne kobiety nagminnie nazywano półdziewicami. Dla ich partnerów rzecz jasna żadnego nowego, chwytliwego terminu nie ukuto.

Powody unikania tradycyjnego seksu były różne. Najczęściej pisano o „ochronie wianka dziewiczego”. Oczywiście istniała grupa dziewcząt, dla których ten argument miał znaczenie. I nic dziwnego – mimo postępów rewolucji seksualnej wciąż nie brakowało mężczyzn zafiksowanych na punkcie defloracji. Z uporem maniaka poszukiwali „oznak dziewictwa”. Takich, które z całą pewnością potwierdzą lub zaprzeczą niewinności dziewczęcia nawet w przypadku, gdy błona okaże się przerwana. William Martin wspominał o oględzinach

łechtaczek. „U dziewicy łechtaczka jest mała i dokładnie przykryta swoim kapiszonem (...). U kobiety natomiast, która już współżyła płciowo, jest ona bardziej wystająca, miękka i nieprzykryta tak dokładnie (...). Cała skóra dziewicy jest napięta i świeża. Brodawki piersiowe są napięte i różowe” – pisał, choć nie wiadomo, czy sam w to wierzył. Uważał w każdym razie, że kult dziewictwa to „na poły barbarzyński fetyszyzm”.

Anglosaski autor przytoczył też zaczerpniętą z antyku opinię, jakoby „szyja kobiety grubiała po defloracji”. Wystarczyło więc zmierzyć ją dwa razy: przed i po nocy poślubnej. Polski dermatolog i profesor Uniwersytetu Warszawskiego Franciszek Giedroyć podobnym rozważaniom poświęcił całą pracę naukową – wydane w 1934 roku *Wiekowe spory o błonę dziewiczą*. Na kilkudziesięciu stronach wymienił łącznie ze dwa tuziny sposobów rozpoznawania dziewic. I również w tym przypadku trudno stwierdzić, które uznawał za kurioza, a które – za potwierdzone naukowo środki<sup>14</sup>.

Na pewno odrzucał najpopularniejszy dowód: krwawienie po pierwszej nocy. „Różne warunki mogą się złożyć na to, że nie będzie krwawienia u niewątpliwej dziewicy – podkreślał. – Nieufność lekarzy nie zachwiała [jednak] wiary wśród ogółu. Dziś jeszcze ślady na bieliźnie (...) uchodzą za nieomylny znak (...). Wyjątkowo mógł korzystać z tej wskazówki laik, a już lekarz sądowy stanowczo nigdy”. Dwa kolejne symptomy defloracji – ból i „zwartość wejścia do pochwy”, także nie były w stanie przetrwać w starciu z nauką dociekliwością. To były wybitnie subiektywne oznaki, niesprawdzalne medycznie. A na dodatek: każdą dało się zasymulować. Franciszek Giedroyć wyjaśniał, że kobiety robiły to od niepamiętnych czasów:

„Ból najłatwiej udawać, trzeba jednak wzbudzić zaufanie w poślubionym małżonku, że się go istotnie doznaje (...). Łatwo (...) [też] mieć we właściwej porze ślady krwi na bieliźnie, wkładając do pochwy gąbki we krwi zmaczane”. Wreszcie był nawet sposób na zwięzienie pochwy. Służyły do tego „liczne środki ściągające (...). Sztuką doprowadza się zwarcie pochwy do takiego stopnia, jakiego kobieta nie miała nawet przed rozdziewiczeniem”. Dodatkowe szczegóły podawał William Martin. „Która z kobiet nie wie, że wystarczy w ciągu ośmiu dni stosować przepłukiwanie pochwy zimną wodą z dodatkiem ałunu lub soku cytrynowego, aby ścieśnić kanał pochwy i przywrócić mu dziewiczą wąskość?” – pytał retorycznie.

Przedwojenne społeczeństwo potrzebowało innych symptomów i znajdowało je na pęczki. Wierzono na przykład w przemianę głosu związaną z utratą dziewictwa. Po pierwszym stosunku miał się on stawać „grubszym, chrypliwym”. Zmieniać miał się także wyraz oczu. „Utrata dziewictwa sprowadza zamglenie oka, ubytek blasku i sińce pod oczami” – wyjaśniał Giedroyć.

Najbardziej zdeterminowanym niedowiarkom zostawał cały szereg odstręczających metod związanych z moczem podejrzanej dziewczyny. „Mocz dziewic jest rzadszy i przezroczysty, męzatek zaś gęściejszy, zamacony, dający osad (...). Znaleziono w moczu jeszcze innego rodzaju wskazówki: kierunek prądu, siła rzutu, odgłos, dający się słyszeć przy jego oddawaniu” – cierpliwie wymieniał pan profesor. I dodawał do tego metodę znaną z niemieckich wsi, gdzie dziewczętom podaje się upalony korzeń bluszczu. Na dziewicę nie powinno to w żaden sposób wpłynąć. Ale zdeflorowana niewiasta niechybnie się posika.

Wyznawcy kultu błony dziewiczej wciąż grzebali w urynie, tymczasem nowoczesne dziewczęta miały zupełnie inne problemy. Klasycznych stosunków seksualnych unikały ze strachu przed ciążą.



„Niepewnie, lękliwie, zbliża się ręka coraz bardziej, gładzi brzuch, podbrzusze, powierzchnię wewnętrzną ud, gładzi mimochodem, od niechcenia jakby, genitalia”. Gra wstępna w opisie Theodoora Hendrika van de Veldego (fot. „Światowid”, 1929).

## **„Niekompletne orgazmy” i kompletna antykoncepcja**

Wyzwolenie seksualne, obyczajowe równouprawnienie płci i cała rewolucja miały sens tylko, jeśli nad kobietami nie wisało widmo niechcianego dziecka. Tak długo, jak musiały się z nim mierzyć, „życie na wiarę” było dla nich układem wybitnie niekorzystnym i niebezpiecznym. Wiele na wszelki wypadek wolało pozostać dziewicami. Czy też raczej: półdziewicami.

Lekarz medycyny sądowej Leon Wachholz wymieniał około 1900 roku cały szereg praktyk seksualnych wykonywanych przez pary w celu ustrzeżenia się ciąży. Wszystkie podał po łacinie, aby nie gorszyć czytelników. W przekładzie na polski były to kolejno: seks analny, stosunek udowy, stosunek międzypiersiowy i seks oralny<sup>15</sup>. W *Zapobieganiu ciąży* Magnusa Hirschfelda i Ryszarda Linserta pada też informacja o popularnej metodzie naturalnej antykoncepcji: „[Podobno] ssanie piersi kobiecej [podczas stosunku] (...) wyklucza możliwość zapłodnienia. (...) Wnioski te są jednak fałszywe”. Do tego wszystkiego Stanisław Kurkiewicz dodałby jeszcze „wzajemne omacki płciwa”.

Krakowski seksuolog zwracał też uwagę na dodatkowy motyw kierujący młodymi kobietami unikającymi stosunków waginalnych. Inne praktyki seksualne pozwalały im zachować kontrolę nad tym, co działo się podczas intymnym spotkań. „Rzeczywiste płcenie jest ze strony bardzo wielu mężów czynnością na wskroś wstrętną i przykrą” – wyjaśniał Kurkiewicz. Po całym stuleciu pogardy i podwójnej moralności przynajmniej część dziewcząt było tego samego zdania. Miały pełne prawo obawiać się brutalnych stosunków, w których

liczyła się satysfakcja wyłącznie jednej strony. Szczególnie że nie potrzebowały ich, aby bez strachu i ryzyka dojść do orgazmu.

Z różnych względów takie podejście do seksu spotykało się z głęboką dezaprobatą specjalistów. Po pierwsze, doktor Freud zrobił swoje teorią „infantylności” orgazmów łechtaczkowych. W 1936 roku William Martin wciąż pisał, że „orgazm wywołany tylko pobudzeniem łechtaczki (...) jest mniej kompletny, niż w wypadku równoczesnego zaangażowania pochwy”. Słynący z postępowych opinii Paweł Klinger także upierał się – w ślad za ojcem psychoanalizy – że „po rozpoczęciu naturalnego życia płciowego” powinna nastąpić „translokacja erogogenicznej strefy (...) z *clitoris* do *vaginy*”<sup>16</sup>. Inni seksuolodzy wypowiadali się jeszcze bardziej stanowczo. Po prostu nie mieściło im się w głowach, że może istnieć zdrowy, nieobciążony ryzykiem debilizmu i degeneracji, seks bez penisa w pochwie. Jakby tego było mało, dochodził cały problem samogwałtu. „Gry drażniące”, o których z taką swobodą pisał Theodoor Hendrik van de Velde, innym lekarzom wydawały się po prostu odmianą onanizmu. A tym samym: przejawem potwornej choroby i śmiertelnego zagrożenia dla całego społeczeństwa.

---

Pozycje są cytowane przy pierwszym wystąpieniu w danym rozdziale. Data ostatniego dostępu do wszystkich źródeł internetowych to 20 lutego 2015 roku.

<sup>1</sup> Póldziewica (*Demi-verge*), w: *Encyklopedia wiedzy seksualnej*, t. III, oprac. Max Marcuse, oprac. wyd. pol. Stanisław Higier, Wydawnictwo Lekarskie „Eskulap”, Warszawa 1937.

<sup>2</sup> Stanisław Kurkiewicz, *Z docieków (studyów) nad życiem płciowym. Luźne osnowy (tematy)*. 2. *Szczegółowe odróżnienie czynności płciowych*, nakł. autora, Kraków 1906.

<sup>3</sup> Jaf i Saldo [Jean Fauconney], *Miłość małżeńska w świetle nauki*, Księgarnia



Popularna, Warszawa 1931.

[4](#) Zob. Anna Tytkowska, *O modernistycznej demonizacji miłości i kobiecości*, w: *Kobieta i rewolucja obyczajowa. Wiek XIX i XX*, red. A. Żarnowska, A. Szwarc, DiG, Warszawa 2006.

[5](#) William Martin, *Racjonalne życie płciowe*, Minerwa, Warszawa 1936.

[6](#) G. Standley, *Miłość we śnie. Tłumaczenie snów erotycznych wedle nauki*, Drukarnia Handlowa, Poznań 1933.

[7](#) Irena Krzywicka, *Nowe uroki małżeństwa*, w: Tejże, *Kontrola współczesności. Wybór międzywojennej publicystyki społecznej i literackiej z lat 1924–1939*, Feminoteka, Warszawa 2008.

[8](#) Vern L. Bullough, *Van de Velde, Theodoor Hendrik*, w: *Human Sexuality. An Encyclopedia*, red. Vern L. Bullough, Bonnie Bullough, Routledge, New York 2014.

[9](#) Theodoor Hendrik van de Velde, *Małżeństwo doskonałe. Jego fizjologia i technika*, J. Przeworski, Warszawa 1935.

[10](#) N.J. Safonow, *Mężczyzna i kobieta w życiu płciowym. Przewodnik dla doskonałych małżeństw*, Księgarnia Popularna, Warszawa 1935.

[11](#) Magnus Hirschfeld, Ryszard Linsert, *Zapobieganie ciąży. Środki i metody*, Księgarnia Lwowska, Lwów 1933.

[12](#) Antoni Słonimski, *Nr 22, 31 maja 1931*, w: Tegoż, *Kroniki tygodniowe. 1927–1931*, LTW, Warszawa 2003.

[13](#) *Digitatio*, w: *Encyklopedia wiedzy seksualnej*, dz. cyt., t. I.

[14](#) Franciszek Giedroyc, *Wiekowe spory o błonę dziewiczą. Studium historyczno-lekarskie*, Warszawa 1934.

[15](#) Leon Wachholz, *Krytyczne uwagi w sprawie uranicznego poczucia płciowego*, „Krytyka Lekarska” 1900, nr 7–8.

[16](#) Paweł Klinger, *Vita sexualis. Prawda o życiu płciowym człowieka*, Księgarnia Karola Neumillera, Łódź 1930.

## II / Pokusy samotności



/ „Żywe trupy” /

## Zgubna plaga samogwałtu

Onanistów można wyleczyć doszczętnie. Co do tego doktor Michał Misiewicz nie miał najmniejszych wątpliwości. Wymienił cały szereg przetestowanych w wieloletniej praktyce sposobów. Lekarze oferowali „wprowadzenie pierścienia metalicznego w otwór napletka”. Praktykowali też „przypalanie napletka i *vulvae*”. Poza tym w asortymencie znajdowały się: „zakładanie penisa do drucianej klatki, koszulki pancerzowe, spodnie bez rozporka, przyrządy zegarowe, budziki dzwoniące przy naprężeniu prącia, pierścienie z kolcami do zakładania na takowe, zawiązywanie rąk itd.”. Słowem: nieszczęśnik, który pograżył się w odmętach samogwałtu, mógł przebierać w środkach. A jeśli w najgorszym razie przypalony narząd odpadł, to przynajmniej razem z nim odpadał też problem zboczonego nałogu.

Polski psychiatra nie był oczywiście prymitywem. Cytowane sposoby pochodziły od francuskich lekarzy epoki napoleońskiej i Misiewicz doskonale rozumiał, że zdążyły już pokryć się lekką patyną. Zgodnie z duchem czasów dodał do nich kilka zastrzeżeń i aktualizacji. Nie miał nic przeciwko drastyczności metod. Co to, to nie. Niepokoiła go natomiast krnąbrność potencjalnych pacjentów. „Wszystkie te środki mogą zawodzić, trudno bowiem ciągle śledzić [uzależnionego],

a tymczasem jeden moment dostateczny jest do popełnienia nowego samogwałtu. Dlatego też środki wyżej wymienione stosować zmuszeni jesteśmy tylko u dzieci” – stwierdzał wprost.

Wszystko to wydrukował na początku XX wieku w edukacyjnej broszurze pt. *Samogwałt (onanizm) i jego skutki. Przewodnik dla młodzieży i rodziców*. Ćwierć wieku później, u szczytu polskiej rewolucji seksualnej, dziełko ukazało się po raz drugi. W edycji z 1929 roku wprowadzono szereg uzupełnień odzwierciedlających postęp w nauce. Akapit poświęcony „przypalaniu napletka” i „pierścieniom z kolcami” pozostał jednak bez zmian. Może zresztą nie ma się czemu dziwić. Dla autorów podobnych broszur i dla ich odbiorców samogwałt był przecież zbrodnią równą ludobójstwu<sup>1</sup>.

---

„Lekarze wszystkich krajów zauważyli, do jakich zgubnych następstw doprowadza ten występek i opisywali jego symptomy” – stwierdził na temat onanizmu anonimowy autor wydanego w 1906 roku zeszytu pt. *Stosunki płciowe. Co o nich młodzież nasza wiedzieć może, a małżeństwo każde wiedzieć powinno*<sup>2</sup>. Na scharakteryzowanie zgubnych skutków samogwałtu miał tylko kilka stron. Pisał krótko i do rzeczy, ponoć cytując jakiegoś bliżej nieokreślonego niemieckiego specjalistę.

*Straszne jest piętno, jakie natura wyciska na nałogowym onaniście. Jest to zwiędły kwiatek, w zarodku uschnięte drzewo, jest to – żywy trup.*

*Wszelkie życie, zapal wszelki gaśnie w nim wskutek tego karygodnego przyzwyczajenia; pozostaje tylko słabość,*

*bezczywność, bladość śmiertelna, wychudnięcie całego ciała i przygnębienie duchowe. Oczy się zapadają i tracą blask i siłę; rysy wydłużają się, świeżość, właściwa młodości – znika, a kolor twarzy staje się bladożółtym lub szarawo-olowianym. Całe ciało cierpi na chorobliwą zmysłowość, siła mięśni ustaje, sen nie pokrzepia, każdy ruch staje się męczącym, nogi nie mogą unieść ciała, ręce drżą, zjawia się ból we wszystkich członkach, narządy zmysłów słabną.*

*Znika jednocześnie wesołość, chory jest ponury i milczący. Trawienie słabnie, powstaje wzdęcie żołądka i skurcze bolesne; krew psuje się, oddech jest utrudniony; na skórze występują wysypki i wrzody; ciało rujnuje padaczka, suchoty, męcząca febra, utrata przytomności i w końcu nieszczęśliwy umiera przedwcześnie.*

Żyjący sto lat temu Polacy nie potrzebowali filmów i seriali o umarłych wstających z grobów. Zombie to była dla nich rzeczywistość dnia codziennego. Powłócząca nogami, gnijąca od środka i charcząca na wpół zrozumiałe słowa skorupa człowieka? Każdy wiedział co to. Rzecz jasna, onanista.

## **Imię bestii**

Czym jest onanizm? Michał Misiewicz stwierdza co następuje: „SAMOGWAŁT lub MASTURBACJA jest sztucznym doprowadzeniem własnej osoby do orgazmu płciowego (nadmiernego dopływu soków żywotnych), kończącego się wytryskiem nasienia u mężczyzny, a najwyższym stopniem chuci u kobiety”. Za niemieckim badaczem Hermannem Rohlederem wyróżnia cztery formy onanizmu, w tym tę podstawową: „Zwyczajna zmasa ręczna, popełniana przez

osobnika na sobie samym, zwana SAMOZMAZĄ”.

Kilka szczegółów dopowiada jeszcze August Czarnowski, redaktor wydanej tuż przed wybuchem pierwszej wojny światowej broszury pod bardzo długim, iście barokowym tytułem: *Marnopłcenie – Onanizm (samogwałt, samienie się, nijactwo). Objawy, przyczyny, następstwa, zapobieganie, leczenie. Wedle najnowszych postępów naukowych*<sup>3</sup>. I właśnie według wspomnianych „najnowszych postępów” Czarnowski pisze:

*Cierpienie to zasadza się przeważnie na własnowolnym mechanicznym drażnieniu organów płciowych w celach lubieżnych. Chłopcy wywołują uczucie lubieżne i naprężenie członka pociąganiem, pocieraniem lub ugniataniem tegoż; dziewczęta drażnią zwykle łechtaczkę (clitoris) palcami lub przedmiotami twardymi, a jedni i drugie często tylko ściskaniem i pocieraniem ud o siebie.*

Autor podał całą listę możliwych określeń tego procederu. Osobiście opowiadał się za „marnopłceniem” (czyli marnowaniem sił płciowych), ale wspomniał też m.in. samopłcenie, samozmazę i rękozmazę. Żaden z przytoczonych terminów nie brzmi szczególnie groźnie. Podane nazwy dzisiaj mogą wywoływać chyba tylko śmiech. Tymczasem tak Czarnowski, jak i Misiewicz pisali w przekonaniu, że dotyczą jednego z najważniejszych i najtrudniejszych tematów epoki. Onanizm był dla nich wyrafinowaną i rozpustną formą samobójstwa.

Zwięźle ujęli to Jonathan Braun i Benjamin Rosenblum, autorzy wydanej w języku polskim na początku stulecia i wznawianej przynajmniej sześciokrotnie broszury pt. *Samogwałt (onanizm) u mężczyzn i kobiet i jego skutki*: „Nic nie wywiera tak okropnego

wpływu na organizm ludzki, nic tak nie skraca życia naszego, jak nadmierna utrata nasienia”<sup>4</sup>. W świetle podobnych opinii epidemia samogwałtu to zagrożenie nie tylko dla jednostek, ale wręcz dla całych narodów. Zamienia swoje ofiary w „żywe trupy”, wyjąłwia siły społeczeństwa, często zabiera najwartościowszy umysłowo, ale i zbyt słaby moralnie materiał.

„Chłopcy, wyróżniający się uprzednio znacznym utalentowaniem, przeradzają się w ludzi o średnim poziomie umysłowym, często nawet w idiotów; umysł onanisty nie jest w stanie zająć się zagadnieniami głębszymi, a wyobraźnia skierowuje się w jednym tylko kierunku” – wyjaśniali Braun i Rosenblum. W efekcie potencjalni odkrywcy, naukowcy, mężowie stanu, przekształcają się w półgłówków ogarniętych nieustanną, bezcelową żądzą. Chwila nieuwagi – i z potencjalnego następcy Józefa Piłsudskiego robi się kolejne zombie.

Krytyka masturbacji nie była w kulturze europejskiej niczym nowym. Już półtora tysiąca lat wcześniej św. Kasjan przestrzegał, że onanizm to grzech ciężki, odbierający człowiekowi szanse na wstęp do nieba. W podobnym tonie, choć z różną stanowczością, wyrażali się pobożni autorzy w okresie całego średniowiecza. Wreszcie, na przełomie XI i XII wieku w pismach Guiberta z Nogent, masturbacja urosła do rangi „płynnej ofiary składanej szatanowi”<sup>5</sup>. I można by odnieść wrażenie, że potem wszystko zostało już tak samo. Pomimo ośmiuset lat oddzielających benedyktyńskiego mnicha Guiberta i doktora Michała Misiewicza obaj tkwili w przekonaniu, że onanizm to akt skrajnego zezwierzecenia. I że człowiek nie może się dopuścić gorszej zbrodni względem samego siebie.

To błędna percepcja. W rzeczywistości zmieniło się wszystko, poza

samym faktem potępienia autoerotyzmu. Średniowieczna masturbacja była grzechem, występkiem o charakterze czysto duchowym. XIX-wieczni autorzy patrzyli na nią tymczasem przez pryzmat nowoczesnej nauki. Albo przynajmniej tak im się wydawało. Onanizm został wprzęgnięty w tryby raczkującej neurologii i szybko zajął pozycję zagadnienia numer jeden. Powody wzmożonego zainteresowania masturbacją wyłożył w skrócie August Czarnowski. Nie jest to jedyna koncepcja funkcjonująca przed stuleciem, ale w zupełności wystarczy do naświetlenia ówczesnego sposobu myślenia.



„Oddychanie jest przyspieszone, żyły nabrzmią, ciepło spotęgowane, a tętno częstsze i wydatniejsze”. Oznaki nałogu onanistycznego w opisie Augusta Czarnowskiego (rys. „Nowy Dekameron”, 1924).

Jak pisał redaktor *Marnopłcenia – Onanizmu*, narządy rozrodcze



człowieka stanowią w pewnym sensie „powtórzenie w mniejszym rozmiarze dwóch połówek mózgowych”. Mówiąc krótko: u mężczyzn jądra, a u kobiety jajniki to w rzeczywistości „mózg płciowy”. Te dwie „stacje końcowe” systemu nerwowego muszą pozostawać w idealnej równowadze. W przeciwnym razie organizm czeka katastrofa. Ponieważ to mózg właściwy, a konkretnie rdzeń kręgowy nazywany „mleczem pacierzowym”, wytwarzał zdaniem ówczesnych autorów spermę, to też sztuczne pobudzanie narządów płciowych musiało prowadzić do jego nadwyrężenia. W efekcie cierpiało wszystko leżące po drodze pomiędzy „stacjami końcowymi”. A więc – każdy narząd „podłączony” do kręgosłupa.

„Przez nadużywanie narządu płciowego odnośne nerwy tracą nareszcie zdolność do wypełniania rozkazów z centralnej stacji tj. z mózgu (...). Stąd takie nerwy można by nazwać głuchymi” – tłumaczył cierpliwie Czarnowski. Miało to prowadzić między innymi do ostrych schorzeń układu pokarmowego, epilepsji, astmy, halucynacji, zapalenia płuc, przewlekłych migren, zaników pamięci, chorób układu krążenia, podrażnień skóry i kataru macicy. W ostatecznym rozrachunku następowało „wyschnięcie mlecza” i „rozmiękczenie mózgu”. Potem była już tylko śmierć.

Różne warianty tej karkołomnej koncepcji pozostawały w obiegu nawet dziesiątki lat po tym, jak naukowcy ostatecznie udowodnili, że sperma powstaje w jądrach, a nie w mózgu. Dziwaczne teorie nadbudowywano jeszcze bardziej kuriozalnymi, tak by odpowiedzieć na wszystkie możliwe wątpliwości i uwzględnić każdy „wyjątek od reguły”. Przykładowo pisano o enigmatycznych „sokach życiowych”, a nie o spermie. Dzięki temu można było piętnować nie tylko męską,

ale i kobiecą masturbację. Szeroko rozważano też problem różnic pomiędzy onanizmem a zwyczajnym seksem.

Dlaczego pierwszy zabijał, a drugi, jeśli nawet nie był dobroczynny, to na pewno nie mógł też być śmiertelnie niebezpieczny? Braun i Rosenblum wiedzieli, jak zamknąć usta niedowiarkom. Wyjaśniali: „Zdrowy mężczyzna tylko wówczas czuje pociąg płciowy, kiedy w jego pęcherzykach nasiennych znajduje się dostateczna ilość nasienia, które przy tym musiało już dojść do zupełnej dojrzałości. Tylko w tych warunkach spółkowanie nie pociąga za sobą rezultatów szkodliwych”. Inaczej rzecz miała wyglądać w przypadku osób opanowanych przez chorobę onanistyczną, erotomanów czy wreszcie delikwentów zbyt wcześnie rozpoczynających życie płciowe. Innymi słowy: ludzi winnych źle wykonywanego seksu. Oni podrażniali swoje narządy niezależnie od tego, czy nasienie zdążyło już dojrzeć, czy nie. W efekcie: „soki nasienne wydzielają się coraz częściej, a wskutek tego organizm zaczyna odczuwać brak sił życiowych, przez co w dalszym ciągu inne funkcje ciała stają się nienormalne i słabe”.

Aby wykluczyć możliwość przytaczania pojedynczych przypadków zdrowych onanistów jako dowodu na nieszkodliwość całego procederu, samogwałt charakteryzowano też jako schorzenie szczególnie podstępne. O ile całe szeregi ofiar staczały się do rynsztoka ponurej, odartej z jakiegokolwiek sensu egzystencji w przeciągu paru miesięcy, o tyle nieliczni szczęściarze opierali się degeneracji przez całe lata. „Curchmann przedstawia [przykład] pewnego bardzo zdolnego pisarza, który pomimo spotęgowanego uprawiania onanizmu przez lat jedenaście, działał w swym zawodzie ze znacznym powodzeniem” – relacjonował Czarnowski. Autor przestrzegał jednak przed naiwnym

czerpaniem nadziei z podobnych, odosobnionych przypadków. „Oczywiście musiały to być osoby, które od rodziców odebrały w spadku silny organizm oraz wielki zapas siły nerwowej” – podkreślał. Zresztą, w ostatecznym rozrachunku, nawet ich czekała zguba.

Z pomocą przychodzili im „specjaliści”, tacy jak Misiewicz, Czarnowski, Braun czy Rosenblum. Każdy pisał o masturbacji jako o problemie zdrowotnym. Może i przewijały się w ich pracach określenia, takie jak „grzech” czy „podniesienie poziomu duchowego”, ale konsekwentnie przedstawiali siebie jako naukowców, a nie tylko moralistów. Podobne spojrzenie przeniknęło nawet do poradników o czysto religijnym charakterze. Związana ze środowiskiem kościelnym autorka pracy *Szkoła czystości życia* Emma Reichenbach-Pieczczyńska nie pochyłała się nad problemem grzechu, ale nad „chorobliwym pobudzeniem”, które „przez igranie z własnym ciałem wyczerpuje system nerwowy”. Czyli nad bolączką dotyczącą każdego – niezależnie od jego wiary i światopoglądu<sup>6</sup>.

---

*Rosier opowiada, że znał dwudziestoczworoletnią kobietę, która umarła wskutek onanizmu i która wyglądała na pierwszy rzut oka na lat pięćdziesiąt. Cera nie miała w sobie nic młodzieńczego; stan jej był skrzywiony, szczęki występowały wybitnie, koniec nosa był siny i blady, dwie głębokie zmarszczki szły naokół ust i warg; wargi obwisły, a usta wiecznie były otwarte. Najmniejszy ruch męczył ją bardzo i zaledwie była ona w stanie wymówić słów kilka. Chudość ciała była straszna, nogi zaś miała opuchnięte.*

Rosenblum *Samogwałt (onanizm) u mężczyzn i kobiet...*, Warszawa 1924.

*Trzeci przypadek spostrzegłem u pewnego telegrafisty, który po bachanalii nocnej udawał się do kobiety publicznej a odbywszy dziesięć stosunków, wracał nad ranem do domu, gdzie oddawał się namiętnie kilkakrotnemu onanizmowi, poczem zapadał w sen głęboki w którym bezwładnie przeleżał od osiemnastu do dwudziestu godzin. Wstawał do pracy zupełnie wyczerpany.*

Michał Misiewicz, *Samogwałt (onanizm) i jego skutki...*, Warszawa 1929.

## **Jak zdemaskować sprawcę?**

Dla wszystkich autorów było jasne, że w walce z onanizmem decydujące znaczenie ma szybkość reakcji. Trzeba działać, zanim nałóg bezpowrotnie zniszczy system nerwowy ofiary. Niestety, jak wyjaśniał Czarnowski, onaniści „czynią to niemal zawsze jak najskryciej”. Ze wzdargą dla własnego zdrowia ukrywają swoją chorobę nawet przed ludźmi, którzy mogliby przyjść im z odsieczą. Jeśli więc nie chcą ujawniać się sami, trzeba dla ich własnego dobra prowadzić szeroko zakrojoną akcję demaskatorską.

Czy ofiarę nałogowego samogwałtu można rozpoznać już na pierwszy rzut oka, bez lekarskiego badania? Zarówno Braun, Czarnowski, jak i Misiewicz odpowiadali z pełną stanowczością: tak.

Lista symptomów była długa. Dla przykładu wystarczy wymienić

kilka najbardziej charakterystycznych. Jak wyjaśniali autorzy *Samogwałtu (onanizmu) u mężczyzn i kobiet*, dzieci winne masturbacji „zawsze trzymają ręce w pobliżu organów płciowych; jednocześnie starają się przyjąć takie położenie ciała, aby narządy te mogły podlegać tarcu”. O masturbacyjnym nałogu niechybnie świadczył również młodzieńczy trądzik: „U dzieci-onanistów występuje na twarzy wysypka w rodzaju czerwonych pryszczów, zwłaszcza w okolicach nosa i koło ust”. Z pomocą szkła powiększającego można też dostrzec, że włosy onanistów rozdławiają się przy końcach.

Cały szereg oznak wiązał się ze stopniową transformacją młodocianego onanisty w „żywego trupa”. Misiewicz instruował:

*Dzieci, które wpadają w straszny nałóg samogwałtu, tracą swą świeżość i kwitnącą cerę dziecięcą, która od tej chwili staje się bladą i przezroczystą, a wokół oczu tworzą się wyraźne i z dniem każdym coraz wyraźniejsze brudnoczerwone lub sine obrączki, oczy zaś same stają się wklęsłymi, tracą swój blask żywości i humoru (...). Przymglone patrzą zwykle jak przez łzy. Wargi również tracą właściwą świeżość. Czerwoność koralowa ustępuje miejsca siności, wargi schną i pękają.*

Czarnowski dodawał do listy symptomów jeszcze brodawki tworzące się u onanistów na palcach i rękach. W żadnej z polskojęzycznych broszur nie pojawia się natomiast (do dzisiaj utrwalona w żartach) informacja, jakoby onanistom wyrastały włosy między palcami.

Rodzicom zalecano, by zwracali uwagę także na zachowanie swoich pociech pod osłoną nocy. „Czas przeznaczony do spoczynku i wstawania mieć trzeba szczególnie na uwadze, gdyż można tu

najpewniej się przekonać o tajemnej »pracy« młodych pacjentów. Zakrywają bowiem nawet głowę, udając głęboki sen. Wtedy trzeba ją nagle odkryć, a często można spostrzec rumieniec na twarzy i podpadające się pocenie. Oddychanie jest przyspieszone, żyły nabrzmią, ciepło spotęgowane, a tętno częstsze i wydatniejsze” – wyjaśnia Czarnowski. Niestety, nie dopowiada, czy objawy te występują zawsze, czy tylko w przypadku przyłapania onanisty na gorącym uczynku. Niepokojące ruchy można było dostrzec także za dnia. „Siedząc przy stole, pisząc itd., dziecko zaczyna coraz częściej chować jedną rękę pod stół” – przestrzegał redaktor *Marnopłcenia – Onanizmu*.

W przypadku, gdyby podejrzany okazał się wyjątkowo odporny na metody śledztwa i nie przejawiał stuprocentowo pewnych symptomów, Czarnowski polecał nakarmić go odpowiednią zupą. Przekonywał, że specjaliści dostrzegli u „młodzieży oddającej się marnopłceni” bezwarunkową reakcję na gorące, zwłaszcza kwaśne zupy w rodzaju barszczu. Wystarczy, że onanista weźmie do ust pierwszą łyżkę, a natychmiast zanieśie się duszącym kaszlem, trwającym nawet przez kilka minut. Autor tłumaczył tę zależność „wielkim współczuciem, które panuje między narządem płciowym a całym organem głosu”.

Prostszym sposobem (przynajmniej jeśli dziecko nie jadło barszczu) było poproszenie podejrzanego, aby potrzywał w rękach dowolny, nawet niezbyt ciężki przedmiot. Jak wyjaśniali Braun i Rosenblum, „z powodu niewiary w swą siłę onaniści nie władają z zupełną pewnością swymi narządami”, co przejawia się zwłaszcza w obecności świadków.

*Ręka zaczyna mu drżeć z obawy, aby nie upuścić tego przedmiotu.*

*To samo dzieje się i z jego głową: spójrzcie onaniście prosto w oczy, a głowa, poprzednio trzymana spokojnie, zacznie mu drżeć. To samo dzieje się z wargami, a szczególnie z oczami. Ciągłe mruganie jest stałą właściwością onanistów.*

Zmiany chorobowe dosięgały rzecz jasna także (a może przede wszystkim?) narządów płciowych. Misiewicz, jako lekarz, polecał uważne studiowanie ich wyglądu u podejrzanych. U onanistów: „Prącie [jest stale] na wpeł naprężone, jakby obrzękłe, pokryte zimną zmarszczoną skórą, żołędź obrzękła, sucha, wystaje ze zgrubiałego napletka, *corona glaudis* sucha i bez blasku”.

Oczywiście stuprocentową pewność dawało wyłącznie przyłapanie na gorącym uczynku. Czarnowski polecał: „W ciemności może ku temu posłużyć podsłuchanie ruchów lub przyspieszonego oddechu. Trzeba pilnie śledzić osobnika podejznanego, zwłaszcza gdy bywa na ustępie niezwykle często i długo (...). Zarazem u doroślejszych chłopców przy każdej sposobności wypada oglądać nieznacznie ich bieliznę i pościel. Jeśli się znajdą ślady, lecz nie dość pewne, to należy poddać je naukowemu badaniu pod mikroskopem”. Twarde dowody należało zachować i wykorzystać podczas specjalnie zaaranżowanej interwencji. Metodyczne podejście gwarantowało, że nałogowiec załamie się i wyzna prawdę.

Zdemaskowaniu onanistów miało służyć także zrozumienie źródeł nałogu. Autorzy wymierzonych w masturbację broszur nie mieli żadnych wątpliwości: samogwałt jest sprzeczny z naturą. Wprawdzie przyznawali, że w nielicznych przypadkach dochodziło do niego w sposób niezawiniony, ale nawet wtedy przyczyn doszukiwali się raczej w chorobach niż w ślepym trafie lub w ludzkiej fizjologii.

Czarnowski pisał na przykład, niezbyt subtelnie, o „swędzeniu spowodowanym przechodzeniem po płciwiu drobniutkich robaczków”. To był jednak jego zdaniem margines. Znacznie częściej od żyjątek winni byli źli ludzie.

## **„Chłopczykowanie”. Brudna tajemnica przedwojennych kobiet**

Każde dziecko jest z samej swojej natury cnotliwe – podaje jedna z najpopularniejszych przedwojennych koncepcji. Ktoś (lub coś) dopiero musi je „rozseksualizować” i sprowadzić na zgubną ścieżkę nałogu. Pytanie brzmiało: kto? Autorzy pokroju Misiewicza czy Czarnowskiego oddawali się mozolnym, iście detektywistycznym poszukiwaniom sprawcy. Kolekcjonowali doniesienia o przypadkach dziecięcej masturbacji, spotykali się z ofiarami. Ze zgrozą docierały do nich wiadomości o zaledwie pięcio- czy sześćioletnich onanistach. Wniosek nasuwał się sam. Plagę samogwałtu roznosił wróg wewnętrzny, obecny w bezpośrednim otoczeniu małego dziecka.

Podejrzanie padło w pierwszej kolejności na służące. W tej sprawie bił na alarm autor niemal każdej broszury. „Piastunki, niańki, a niekiedy i same matki, chcąc dziecko uspokoić, »zabawiają« je głaskaniem i łechtaniem płciwa lub otworu odchodowego – grzmiał Czarnowski. – Zdarza się nawet czasami, że osoba, zwłaszcza płci przeciwnej, pozostawiona bez dozoru, pozwala sobie pieścić się z płciwem dziecka dla własnej zabawy!”. Niemal słowo w słowo powtarza się ta opinia w książeczce Misiewicza. Także Braun i Rosenblum pisali o matkach, ciotkach i niańkach „z żartów drażniących narządy płciowe dzieci”.



Najdalej – jak zwykle – posunął się krakowski lekarz-płciownik Stanisław Kurkiewicz<sup>2</sup>.

Rozwijając swoją koncepcję „kultu zwisaka”, twierdził, że każda bez wyjątku kobieta jest przez całe życie opętana pragnieniem styczności z męskimi narządami płciowymi. „Posuwanie się aż do popełniania płcenia (...) z młodą istotą męską wcale nie przydarza się u jakichś ladacznic (...), ale jest wybrykiem nieraz tak skromnie i świętobliwie się przedstawiających osóbek. Po największej części pozwalają sobie na to służące i wychowawczynie (...), bony, guwernantki itp., jako też kobieciny przyjmujące na mieszkanie »pp. studentów« i zapewniające im »rodzicielską opiekę«” – wyjaśniał autor *Szczegółowego odróżnienia czynności płciowych*. W przypadku ostatniej grupy krzywdę dało się jeszcze przeboleć. Kurkiewicza bardziej interesował los małych, niewinnych dzieci. I pochylał się nad nim z uwagą wręcz jeżącą włosy na głowie. Pisał: „Doprowadzenie do odbycia płcenia połączone jest nierzadko z wielu trudami i zabiegami (manipulacjami), zwłaszcza z dzieciakami niżej lat dziesięciu – gdyż (...) mechanizm wzvodu może jeszcze nie działać”.

W efekcie częściej niż do gwałtów dochodziło jego zdaniem do masturbowania chłopców przez opiekunki, a nawet matki. Zdarzało się zarówno „ustowanie głębokie”, jak i „wargowe muskanie zwisaka na chłopaczkach małych lub jeszcze niemowlęciach”. Nieco starsi chłopcy byli z kolei przyuczani do wykonywania tych samych czynności na opiekującej się nimi kobiecie. „[Znana mi] pani majstrowa, kobieta młoda, popełniała na każdym uczniu (terminatorze) cudziny – przy czym kazała mu, aby ją cesał. Jeden młodzieniec za drugim tak tam terminowali” – pisał lekarz-płciownik, a pod „popełnianiem cudzin”

kryło się rzecz jasna „masturbowanie”. I jego zdaniem nie był to odosobniony przypadek. Kurkiewicz głęboko wierzył, że każda kobieta „ma na sumieniu” podobne czynności, a każdy mężczyzna mógłby zeznać, że gdy był mały, jakaś niewiasta „igrała z jego płciwem”. Doktor był tak bardzo przekonany o swojej racji, że wzywał do stawienia się u niego w gabinecie choć jednej niewinnej lub nieskrzywdzonej osoby.

Oczywiście można by cały ten wywód zrzucić na karb bujnej wyobraźni Kurkiewicza. Bądź co bądź ten człowiek uwiłdzał sobie, że gruźlica jest symptomem błędów w sypialni, a chwycenie za palec potrafi w chwili podniecenia zabić. Tak samo mógł wymyślić plagę – jak to ujmował – „chłopczykowania”. Problem polega na tym, że na pewno nie ubzdurał jej sobie w całości. Choćby dlatego, że pisał z prywatnego doświadczenia:

*Ja w swoich wspomnieniach z lat przed pierwszą dziesiątką życia mam zapamiętane zdarzenia: merdanki ze strony służącej Kasi, gdy miałem lat co najmniej pięć. I prawdziwego płcenia z piętnastoletnią piastunką Zosią, która mnie do tego namówiła, gdy miałem lat może osiem, i kilkakrotnie to ze mną popełniała.*

Trudno bez dogłębnych badań źródłowych rozstrzygnąć, czy ogólnokrajowa epidemia była projekcją doświadczeń Kurkiewicza, czy prawdziwym zjawiskiem. Mógł wyolbrzymić stan rzeczy, ale mógł też – jak często na kartach swoich książek – po prostu mówić, jak wygląda prawdziwe życie. Jakkolwiek by nie było, nie sposób pozbyć się wrażenia, że Polacy mieli sto lat temu problem raczej z molestowaniem dzieci niż z onanizmem<sup>8</sup>.

## Skąd ci wszyscy onaniści?

Za główny rozsadnik masturbacji moraliści uważali jednak szkołę i każde inne miejsce, gdzie dzieci spotykały się z rówieśnikami. „Wystrzegajcie dzieci od złego towarzystwa, gdyż jest ono gorsze od wszelkiej zarazy” – podkreślali Braun i Rosenblum. Czarnowski zaprezentował sprawę w jeszcze bardziej panikarskim tonie. Jego zdaniem zły przykład rówieśników prowadził do „masowego onanizmu”. Epidemia, niczym szalejący pożar, opanowywała całe klasy, szkoły i internaty. I chyba coś było na rzeczy. Przyszły satyryk i współtwórca Kabaretu Starszych Panów Jeremi Przybora zanotował, że kiedy miał dwanaście lat: „W tajniki samotnych rozkoszy wprowadził go młodszy o dwa lata wakacyjny kumpel”<sup>9</sup>. Z kolei niezawodny Stanisław Kurkiewicz pisał: „Jeszcze przed wstąpieniem do (...) gimnazjum (...) miałem domowego nauczyciela, który przy nauce ustawicznie trzymał dwa średnie palce w otworze spodni, przez które wystawał koniec zwisaka i był miętoszony nieznacznie”. A w innym miejscu dodał jeszcze: „Tak między uczniami, jak i między uczennicami (!) odbywają się wzajemne »wykłady«, »w godzinach osobnych«, ożywione i urozmaicone »demonstracjami« czyli: pouczeniem wykonywania samieństwa w ten lub ów sposób”.

Na tym lista zagrożeń się nie kończyła. Na dobrą sprawę jeden moment nieuwagi mógł zwichnąć malcowi życie. Niedobór snu, długotrwałe przebywanie w pozycji siedzącej, nieostrożne ćwiczenia gimnastyczne. Wszystko to prowadziło zdaniem moralistów do zbrodni. Kwestią kluczową było znalezienie ulotnego, złotego środka

w wychowaniu młodzieży. Nie było to łatwe. Do onanizmu prowadził zarówno niedobór higieny, jak i nadmiar dbałości o czyste ciało. Tak samo rzecz się miała z wysiłkiem umysłowym. Jeden autor mógł przekonywać, że poświęcanie uwagi nauce ratuje przed onanizmem, a kilka stron dalej twierdzić, że jest wręcz przeciwnie. Wystarczało odrobinę przeholować, a nawet przygotowania do egzaminów szkolnych lub „popisywanie się przed gośćmi deklamacjami” kończyły się „przyzwyczajaniem pacjenta do marnopłcenia”.

Szczególnie niebezpieczne wydawały się pierzyny i ubrania. Wystarczyło, że były zbyt ciasne, zbyt miękkie, zbyt ciepłe lub za szorstkie. I samogwałt gotowy. To samo tyczyło się butów. „Ciasne obuwie utrudnia należyty dopływ krwi do nóg, a skutkiem tego jest zbyt niska temperatura w kończynach dolnych (zimne stopy!), a za wielkie przekrwienie narządu płciowego, wywołujące podrażnienie płciwa, a zarazem też zaburzenie (gorączkę) mózgu” – instruował Czarnowski. Nie mniej pilną uwagę należało zwracać na dietę. Prostą drogą do masturbacji prowadziło częstowanie potomstwa jakimikolwiek cukierkami lub czekoladkami. „Słodyczne uważać należy za szkodliwą ze wszech miar truciznę. Z niej to pochodzą rozmaite pasożyty wewnętrzne czyli »robaki«” – pouczał Misiewicz. U Brauna i Rosenbluma lista niebezpiecznych używek obejmowała także kawę i mocne przyprawy. Moraliści zachęcali wprost, by przyzwyczajać dzieci do wegetarianizmu. „Ostatnie badania naukowe wykazały, że mięso działa drażniąco na popęd płciowy” – podkreślał Czarnowski.

Choroba onanistyczna była tak groźna, że przynajmniej równie ważna co leczenie wydawała się profilaktyka. Moraliści przestrzegali ojców i matki, by nie zapominali o wciąż nieskalanych dzieciach. Za

najskuteczniejszą metodę zapobiegania samogwałtowi uznawano stały, dwudziestoczerogodzinny dozór. Misiewicz przekonywał, że rodzice „nie powinni nigdy zostawiać dzieci samych ani przy zabawach, ani przy nauce”. Jak widać nadopiekuńczość i „*helicopter parents*” nie są wynalazkiem XXI wieku.

Należało koniecznie wprowadzić w domu wojskowy rygor. Dziecko powinno wstawać z łóżka natychmiast po obudzeniu się, tak by uniknąć „szkodliwego oddychania własnymi wyziewami”, a przede wszystkim „czczych rozmyślań samotnych, podniecających jeszcze ciepłym zaduchem”. Należy rozplanować każdą minutę dnia latorośli – od świtu do zmroku. Nauka powinna przeplatać się z ciężką pracą fizyczną, oczywiście odpowiednią dla płci dziecka. „Chłopcom wybornie służy piłowanie, rąbanie, kopanie w ogródku; dziewczętom (...) uprzątanie izb, pranie, maglowanie, rozwieszanie bielizny” – wyliczał Czarnowski. Obciążenie dziecka obowiązkami gwarantowało, że braknie mu sił do jakichkolwiek zbereźnych czynów, a wieczorem wycieńczone natychmiast zaśnie.

Autorzy doskonale zdawali sobie sprawę z faktu, że diabeł tkwi w szczegółach. Stąd wiele drobnych, ale istotnych pouczeń. „Trzeba zakazywać wszelkich drażniących ruchów: jeżdżenia na kiju, huśtania się, kołysania się na krzesłach, suwania się na poręczach przy schodach, siadania konno na inne dzieci lub starsze osoby, tarcia się o meble albo drzwi” – tłumaczył cierpliwie Czarnowski. O unikaniu trzymania rąk pod kołderką chyba nie trzeba wspominać. Każdy z tych czynów mógł nieopatrznie sprowadzić na malca żądę. Inkryminowane było nawet zakładanie jednej nogi na drugą i trzęsienie kolanami. Jeśli dzieci poruszały się już jak automaty, to należało jeszcze zadbać, aby nigdy

nie miały sposobności przebywać w cieniu. O zupełnej ciemności nie było nawet mowy. Postęp techniczny i upowszechnienie energii elektrycznej rodzice byli zobowiązani zaprząć w służbie cnoty.

Każdy autor przestrzegał także przed podawaniem małym dzieciom alkoholu – wódki, likierów, piwa, wina. Dzisiaj podobne zalecenie wychowawcze wydaje się zupełnie oczywiste, niezależnie od tematu masturbacji. W dwudziestoleciu międzywojennym wcale jednak takim nie było. Badania przeprowadzane wśród uczniów warszawskich szkół przez księdza Aleksandra Sopoćkę wykazały, że wszyscy siedmiolatkowie piją. Większość wódkę, niektórzy nawet denaturat. Jakby tego było mało, dzieci otwarcie deklarowały, że dostają czystą od własnych rodziców<sup>10</sup>. Dla autorów w rodzaju Misiewicza czy Czarnowskiego dziecięcy alkoholizm – sam w sobie – nie był jednak problemem. Chodziło tylko o to, by czasem nie sprowadził szkrabów na ścieżkę onanizmu.

## **Na ratunek masturbantom. Niezawodne recepty**

Wielu autorów powtarzało za swoimi XIX-wiecznymi autorytetami, że skutki trwonienia „soków życiowych” są nieodwracalne. Jeśli nałóg posunie się zbyt daleko, ofiarę można już tylko spisać na straty, niezależnie od tego, czy zaprzestała masturbacji, czy nie. Inni dawali czytelnikom większą nadzieję. Czarnowski zapewniał, że krótkotrwały lub mało intensywny samogwałt może pozostać wyłącznie przykrym wspomnieniem – oczywiście pod warunkiem niezwłocznego podjęcia środków zaradczych. „Nie godzi się rozpaczać, a należy wziąć się do walki oburącz jak najprędzej! – podkreślał z werwą (i z zastosowaniem

niezbyt fortunnej gry słów). – Nijak nie jest ani wyrzutkiem społeczeństwa, ani zbrodniarzem, lecz tylko zbłąkanym chorym, MOGĄCYM SIĘ WYLECZYĆ!”.

Pierwszym krokiem, zaraz po zdemaskowaniu pacjenta, powinna być jego edukacja. „W tym celu może dobrze się przysłużyć danie do przeczytania tej lub podobnej książki, zaopatrzonej w odpowiednie, bezstronne wskazówki” – sugerował Czarnowski. I czytając jego pracę, nie sposób pozbyć się wrażenia, że nie tylko ideały skłoniły go do podjęcia tematu nijactwa. Samogwałt jest dla autora biznesem jak każdy inny. Na co drugiej stronie sugeruje przydatne lektury, najczęściej pod własną redakcją albo przynajmniej wydane nakładem tej samej oficyny. Czy palenie tytoniu przez onanistów jest szkodliwe? Odpowiedź znajdziesz w osobnej broszurce, jedyne czterdzieści fenigów. Jak uświadamiać wciąż niewinne rodzeństwo nijaka? Lista instruktażowych pogadanek już w sprzedaży. Jesteś gotowy przejść na wegetarianizm dla dobra uzależnionego dziecka? *Nowa jarska kuchnia* nie dość, że niedroga, to i nazwisko autorki znajome. Też Czarnowska.

Misiewicz pisał ze swojej strony, że umoralniające broszury należy koniecznie rozrzucać w szkołach. „Nowoczesna pedagogika traktuje ten przedmiot po macoszemu, a tymczasem samogwałt grasuje między młodzieżą” – ubolewał, niewątpliwie rachując po cichu, ile mógłby sprzedać instytucjom oświatowym egzemplarzy *Samogwałtu i jego skutków*. Jeśli nie zamienił całej swojej książki w jedną wielką reklamę „biblioteczki byłego masturbanta”, to chyba tylko dlatego, że mógł zarobić więcej na terapiach niż na tantiemach. Z broszury jasno wynika, że to przede wszystkim długa ulotka promująca jego własne kuracje samogwałtu.

U Czarnowskiego metody leczenia są subtelne. To samouczek niewymagający interwencji lekarza. Dla łżej chorych (mających za sobą tylko sporadyczny samogwałt) autor polecał Przepis 1:

*Potrawy roślinne (patrz Nowa Ilustr. Jarska Kuchnia), codzienne całkowite obmywanie ciała zimną wodą; prócz tego co tydzień dwie lub trzy półkąpiele (...). Te półkąpiele powinny być tak zimne, jak je tylko chory może znieść (...). Po tym, bez wycierania się, iść natychmiast do łóżka.*

Przepis 2 był zarezerwowany dla przypadków ciężkich, czyli dla ofiar tak rozbudzonych erotycznie, że „obmywania i półkąpiele są [dla nich] zbyt silną podniętą”. Autor zalecał:

*Trzeba najprzód oswoić chorą osobę z zimną wodą za pomocą stopniowego zamaczania nóg: przez pierwszy tydzień, co dzień po jednej minucie do kostek; przez drugi tydzień – do łydek, a w ciągu trzeciego tygodnia, po dwie minuty do kolan. W czwartym tygodniu można będzie przejść stopniowo do kuracji właściwej.*

Jednocześnie należało wprowadzić odpowiednią, kojącą dietę. Braun i Rosenblum proponowali własną wersję współczesnej kampanii „Pij mleko – będziesz wielki”. Tyle tylko, że w ich wersji brzmiałaby ona raczej: „Pij mleko – wyleczysz się z onanizmu”. Autorzy wyjaśniali, że: „Ten pokarm niewyszukany najłatwiej przechodzi w krew i dlatego też lepiej od innych może przyczynić się do poprawienia poderwanych sił”.

Oczywiście warunkiem skuteczności dowolnej terapii było zaprzestanie onanizmu. W scenariuszu optymistycznym miała do tego wystarczyć uświadamiająca rozmowa. „Należy omawiać z nałogowcem jego chorobę zupełnie spokojnie, jasno i z ciepłym przyjaźni. Trzeba



głosić ludziom »dobrą nowinę!«” – podkreślał egzaltowanym tonem Czarnowski, myląc chyba na moment leczenie samogwałtu ze świętowaniem Wielkanocy. Zresztą sam szybko zwątpił w „dobrą nowinę” i przeszedł do długiej listy sposobów zabezpieczających chorego przed ulegnięciem pokusie. Po pierwsze, należało uniemożliwić masturbację nocą. Najlepiej przy użyciu kaftana bezpieczeństwa domowej roboty:

*Zapobiegać temu można za pomocą przysposobionej w tym celu zwykłej koszulki nocnej, do której każda matka łatwo może przyszyć lub przypiąć na guzikach paski, kończące się łapkami w rodzaju oddzielnych rękawków. W łapki te wsuwa się ręce dziecka i przymocowuje tak, aby w potrzebie swobodnie dotykało głowy lub piersi, lecz nie mogło rąk ani wydstać, ani opuścić do podbrzusza.*

Czarnowski wspominał też o „otaczaniu części płciowych pancerzem ze skóry albo metalu”. Metodę tę zalecali inni autorzy, on sam był jednak sceptyczny. Jak wyjaśniał, pancerze „nie zawsze [są] dość skuteczne, gdyż nie strzegą bynajmniej od pewnych ruchów ciała, mogących wywołać zmasę dobrowolną”. Sugerował raczej „zakładanie szerokiego pasa na brzuch i na krzyż”. Wspomnił też o najnowszym trendzie w leczeniu samogwałtu: kąpielach słonecznych. W latach dwudziestych staną się one istnym panaceum. Bez związku z onanizmem będzie je promować jedna z kochanek Józefa Piłsudskiego, lekarka Eugenia Lewicka<sup>11</sup>. Czarnowski poświęcił tej terapii cały osobny rozdział, polecając na marginesie nacieranie ciała specjalnym olejkiem czosnkowym. Rzecz jasna, do nabycia u wydawcy jego książki.

Misiewicz proponował drastyczniejsze, a na pewno bardziej złożone

metody. Tutaj bez interwencji lekarza już nie dało się obejść. Przede wszystkim chorego trzeba było publicznie ujawnić i odpowiednio zmotywować. „Za pokusę i naukę złego winna byćznaczona wysoka kara. Osobniki onanizujące się należy wydalać ze szkół na równi z zakażonymi chorymi” – pisał. Leczenie, szczególnie w ciężkich przypadkach, miało się koniecznie odbywać w zakładach zamkniętych. Swoistych więzieniach dla onanistów. Powinna tam być: „nieodstępna straż, nie tylko w klasach szkolnych, ale specjalnie w ustępach, sypialniach i pokojach mieszkalnych. Młodzież winna być pod ciągłą, nieustanną kontrolą, za dnia i w nocy”. Co do metod leczenia Misiewicz chwalił się, że osiąga doskonałe efekty przy zastosowaniu hipnozy wspomagananej elektrowstrząsami. Zgodnie z duchem epoki nie zabrakło też inspiracji Freudem i wzmianek o „psychoterapii”. Braun i Rosenblum dodawali do tego zestawu jeszcze leczenie farmakologiczne. Polecali na przykład, by co trzy godziny dodawać do kawy pacjenta pół łyżeczki rozcieńczonej chininy. W świetle dzisiejszej wiedzy medycznej długotrwała terapia tego rodzaju mogła prowadzić do ślepoty, głuchoty i zapalenia wielonerwowego. O tym jednak autorzy się nie zająknęli.

Raczej na prawach anegdoty moraliści wspominali o najbardziej stanowczej kuracji – interwencji chirurgicznej. Misiewicz poświęcił jej parę słów. Czarnowski – kilka długich akapitów, przekładając fragment bliżej nieokreślonego, zagranicznego podręcznika:

*Prostym pierścieniem, jakich używają złotnicy dla przedziurawienia uszu dziewczynom (...) przeprułem napletek tuż przy wiązadelku tak, że w obwodzie pierścienia została zamkniętą cała wolna część napletka. Następnie zamknąłem otwór pierścienia na głucho (...).*

*Obecność pierścienia wywołała lekko zaognione nabrzmienie w tej części napletka, która odpowiada wiązadełku; trwało to pięć do dziesięciu dni, po czym nabrzmienie znikło (...).*

*Od chwili założenia dziecko już nigdy nie poprowadziło ręki ku częściom płciowym i co więcej: poprzednio tępego umysłu, obecnie jest wesołe, ożywione i kwitnącego zdrowia, a matka odzyskała spokój ducha.*

*Wprowadzenie pierścienia przez napletek przy wiązadełku zdaje mi się dobrym do zastosowania w razach masturbacji, nie dających się przewyciężyć w żaden inny sposób, gdyż operacja to całkiem nieszkodliwa, niekosztowna i na pewno skuteczna. Chłopczyk, (...) którego za przykład przytoczyłem, ma zwyczaj masturbować się po osiem do dziesięciu razy na dzień. W pierwszych dniach po założeniu pierścienia naturalnie zgoła nie może popełniać brzydkiego postępuku, gdyż ból mu tego nie pozwala, (...) wskutek czego stopniowo zapomina złego przyzwyczajenia.*

*Później, jeżeli nałóg miałby się ponowić, obecność pierścienia w najczulszej części napletka, w razie ruchów onanistycznych, sprawiłaby przy wiązadełku i przy osadzie żołądki takie szarpanie, że chłopak musiałby się powstrzymać od obrzydliwego zamiaru. Po takich próbach nastąpiłoby zaognione nabrzmienie, które zwróciłoby uwagę rodziców i poczynanie dziecka udaremniło.*

Istniał także wariant terapii przewidziany dla masturbujących się dziewczynek. Czy, a jeśli tak, to jak często metoda ta była stosowana w Polsce? Nie wiadomo. Można tylko zgadywać, że sama wizja podobnej terapii potrafiła w mig uleczyć każdego onanistę.

---

Pozycje są cytowane przy pierwszym wystąpieniu w danym rozdziale. Data ostatniego dostępu do wszystkich źródeł internetowych to 20 lutego 2015 roku.

1 Wydanie pierwsze: Michał Misiewicz, *Samogwałt (onanizm) i jego skutki. Przewodnik dla młodzieży i rodziców*, K. Fiszler, Warszawa 1906. Wydanie drugie: oprac. Aleksander Parszewski, Siła, Warszawa 1929.

2 *Stosunki płciowe. Co o nich młodzież nasza wiedzieć może, a małżeństwo każde wiedzieć powinno*, przedm. Lew Tokstoj, tłum. Anna L., i Zygmunt Stankiewicz, K. Fiszler, Warszawa 1906.

3 *Marnopłcenie – Onanizm (samogwałt, samienie się, nijactwo). Objawy, przyczyny, następstwa, zapobieganie, leczenie. Wedle najnowszych postępów naukowych*, oprac. August Czarnowski, Hygiea, Berlin 1914.

4 Wydanie szóste: Jonathan Braun, Beniamin Rosenblum, *Samogwałt (onanizm) u mężczyzn i kobiet i jego skutki. Środki wyleczenia się z onanizmu bez pomocy*, Księgarnia Popularna, Warszawa 1908. Broszura została wznowiona w nieznacznie uzupełnionej wersji w 1924 roku.

5 Przeczytaj więcej w artykule: *Cała prawda o masturbacji w średniowieczu* w portalu [Ciekawostkihistoryczne.pl](http://Ciekawostkihistoryczne.pl) [[Ciekawostkihistoryczne.pl/?p=14002/](http://Ciekawostkihistoryczne.pl/?p=14002/)].

6 *Szkoła czystości życia według dzieła Emmy Reichenbach-Pieczyńskiej*, oprac. Jadwiga Surzycka-Chałubińska, Posiew, Warszawa 1909.

7 Stanisław Kurkiewicz, *Z docieków (studyów) nad życiem płciowym. Luźne osnovy (tematy). 2. Szczegółowe odróżnienie czynności płciowych*, nakł. autora, Kraków 1906.

8 W literaturze seksuologicznej natrafiłem na jeszcze wiele innych przykładów „chłopczykowania”. Por. np. historię ortodoksyjnego Żyda borykającego się z impotencją, który w dzieciństwie był masturbowany przez starszą o kilkanaście lat służącą: Stanisław Higier, *Niemoc płciowa i bezpłodność u mężczyzn*, Wydawnictwo Lekarskie „Eskulap”, Warszawa 1934.

9 Jeremi Przybora, *Przymknięte oko opatrności. Memuarów cz. I*, Tenten, Warszawa 1992.

10 Edward Rosset, *Alkoholizm w miastach polskich*, Sekcja do walki z alkoholizmem przy magistracie miasta Łodzi, Łódź 1927.

11 Zob. Kamil Janicki, *Dwa wesela i pogrzeb*, „Newsweek Historia”, 2013, nr 4.

/ „99% to robi. A ten setny kłamie” /

## **Polacy odkrywają autoerotyzm**

„Czy zdarza się Panu masturbować? Czy zdarzało się to Panu w przeszłości?” Z opublikowanego w 2012 roku raportu Zbigniewa Izdebskiego wynika, że nie jest to pytanie, na które Polakowi łatwo przychodzi odpowiadać. 73% mężczyzn przyznało się do przynajmniej jednego w życiu przypadku onanizmu. Zdecydowana większość zapewniła jednak, że obecnie aktywność ta jest im zupełnie obca. Respondenci deklarujący, że wciąż się masturbują w drugiej dekadzie XXI wieku, to zaledwie 21% wszystkich przebadanych<sup>1</sup>.

Niemal równo sto lat wcześniej podobną ankietę przeprowadzono wśród krakowskiej młodzieży akademickiej. W tym nigdy nieopublikowanym sondażu 92,89% respondentów otwarcie przyznało, że się masturbuje<sup>2</sup>. Albo więc liczba miłośników autoerotyzmu spadła nad Wisłą czterokrotnie, albo cały wiek temu więcej osób niż dzisiaj było gotowych otwarcie powiedzieć, czy „trzymają ręce na kołderce”.

Można by też zaproponować trzecie rozwiązanie zagadki: co jeśli krakowscy studenci w 1910 roku po prostu robili sobie żarty z ankieterów? A zresztą, czy ta grupa była w ogóle reprezentatywna dla całego społeczeństwa? W gruncie rzeczy odpowiedź nie ma znaczenia. Z każdego innego badania i z każdej próby oszacowania skali zjawiska

wynikały bardzo zbliżone liczby. Paweł Klinger, autor książki *Vita sexualis. Prawda o życiu płciowym człowieka*, zestawiał w połowie lat trzydziestych wyniki sondaży przeprowadzonych w kilku różnych krajach. Niemcy – 96% onanistów wśród mężczyzn. Węgry – 97%. Anglia – 90-95%. Stany Zjednoczone – 95%<sup>3</sup>. Podobny wykaz, głównie niemieckich badań, pojawia się także w pracy Alberta Dryjskiego<sup>4</sup>. Żadna z cytowanych przez niego ankiet, nawet ta przeprowadzona w uważanej za szczególnie pruderyjną carskiej Rosji, nie przyniosła równie niskich wyników, co XXI-wieczny polski sondaż.

Olbrzymia popularność autoerotyzmu nie była tajemnicą także dla najbardziej radykalnych pogromców samogwałtu. Michał Misiewicz przyznał posepnie: „W zakładach naukowych, szkołach i internatach onanizm przybiera rozmiary przestraszające, staje się istną epidemią, której podlega, według moich obliczeń, 80% ogólnej liczby uczącej się młodzieży”<sup>5</sup>. Później pożałował pewnie swojej zdecydowanej wypowiedzi. Właśnie tego rodzaju deklaracje wrogów onanizmu stały się wodą na młyn dla zupełnie nowej grupy. Jego obrońców.

## **Kiedy nadejdzie Armagedon?**

Zasługę podważenia ugruntowanych poglądów na masturbację przypisuje się powszechnie Zygmuntowi Freudowi. I nic dziwnego. Takie włożenie kija w mrowisko idealnie by przecież do niego pasowało. Wydaje się jednak, że prawda wyglądała nieco inaczej. Fundamentalna publikacja Freuda dotycząca tematu autoerotyzmu, jego *Trzy rozprawy z teorii seksualnej*, ukazała się dopiero

w 1905 roku. Tymczasem już cztery lata wcześniej polski seksuolog z Lwowa Czesław Józef Uhma wydał pracę *Popęd płciowy i niektóre jego zboczenia*. W niej zaś stwierdził odważnie, że przynajmniej na wybranych etapach życia onanizm jest zupełnie naturalnym „objawem fizjologicznym”. Stąd był już tylko krok do stwierdzenia, że każdy to robi – i że pora przemyśleć liczby<sup>6</sup>.

Nowe spojrzenie przyjmuje się powoli. Z jednej strony autorzy poradników obyczajowych, a nawet prac seksuologicznych widzą, że obraz rzeczywistości nie jest już tak prosty, jak jeszcze parę lat temu. Z drugiej – nikt nie chce wprost opowiedzieć się po stronie schorzenia uważanego dotąd za największą plagę ludzkości. Jak jednak wytłumaczyć fakt, że w społeczeństwie jest dobre 90% onanistów, a jednak świat wciąż nie stanął na głowie? Jakim cudem ci ludzie żyją, pracują, oddychają i płodzą dzieci, zamiast pluć krwią i trząść się w przedśmiertnych drgawkach? Wielu publicystów szuka złotego środka. Seved Ribbing, szwedzki lekarz i autor wydanej po polsku w 1928 roku książeczki *Życie płciowe przed małżeństwem*, skrupulatnie przytacza postępowe opinie. „Zwykło się uważać onanię za coś znacznie niebezpieczniejszego niż naturalny stosunek. Nie wydaje nam się to słusznym” – pisze. Zaraz jednak przechodzi do defensywy: „Muszę się tu z całym naciskiem zastrzec przeciwko przypuszczeniu, jakobym usprawiedliwiał onanię, albo jej bronił”<sup>7</sup>.

Polski seksuolog Albert Dryjski też ewidentnie nie jest pewien, co właściwie chciałby wykazać. W *Zagadnieniach seksualizmu dziecka i młodzieży szkolnej* potępia samogwałt i wylicza jego konsekwencje tylko po to, żeby stronę dalej przyznać, że chodzi o zjawisko normalne i raczej nieszkodliwe. Dopiero Paweł Klinger decyduje się powiedzieć

w swojej *Vita sexualis* głośno to, co każdy z jego kolegów i tak od dawna myślał. W rozdziale poświęconym rozpowszechnieniu onanizmu przytacza „znany aforyzm Bergera”: „99% uprawia onanizm, a ten setny też, tylko ukrywa prawdę”. Dalej idzie już z góry.

„Nie ma chyba w życiu seksualnym człowieka drugiego zjawiska, które by odgrywało poważniejszą rolę niż onanizm – pisze Klinger w wydaniu z 1930 roku. – Jest to zagadnienie, które poruszało już od wieków i porusza dotychczas zarówno umysły najświetniejszych badaczy, jak i mózgi »maluczkich«. Literatura na ten temat rozrosła się do tak niebywałych rozmiarów, że ogarnięcie całego materiału staje się wprost fizyczną niemożliwością. Jest to temat najbardziej popularny i najwięcej roztrząsany, a najmniej dotychczas wyjaśniony”.

Powody wielkiego zainteresowania masturbacją są dla autora oczywiste. Bez skrupowania przyznaje: „Nie ma [przecież] człowieka, którego by kwestia ta bezpośrednio nie dotyczyła”. A następnie, niczym operator walca, rozjeżdża jedną po drugiej wszystkie tezy moralistów. Cytując Freuda, podkreśla, że „nie potrzeba wcale uwiedzenia, by obudzić seksualne życie dziecka”. Stwierdza wprost, że „popęd do onanizmu jest popędem wrodzonym, który najsilniej objawia się w latach dojrzewania płciowego”. Przytacza najnowsze zagraniczne badania: „Umiarkowany onanizm u zdrowych [osób], nie ma żadnych ujemnych skutków”. Pisze o tym, co dotąd było absolutnym tabu: onanizmie dorosłych, a nawet onanizmie małżonków. Żona, która masturbuje się w tajemnicy przed mężem, nie jest dla niego zdegenerowaną nimfomanką, ale ofiarą kiepskiego pożycia. Najwidoczniej mąż nie jest w stanie odpowiednio wykazać się w łóżku, przez co sama musi zapewniać sobie orgazmy.



Wreszcie autor rozkłada na części pierwsze całą koncepcję „trwonienia soków życiowych”:

*Oczywiście utratę tak drogocennej substancji [jak sperma wypływająca prosto z mózgu – przyp. KJ] musiano odpowiednio potraktować i wymyślono bajkę o „wyschnięciu mlecza”, do dnia dzisiejszego pokutującą wśród ogółu. Jeśli zaś utrata nasienia nie powoduje, jak to wiemy już dziś, utraty substancji nerwowej, to cóż ma szkodzić właściwie przy umiarkowanym onanizmie?*

*Wszak wstrząs systemu nerwowego przy akcie onanistycznym jest identyczny z tym, jakiego doznajemy przy normalnym spółkowaniu. A jeśli chodzi o fantazję, której onanista zazwyczaj daje wodze, to znamy moc wypadków normalnego coitusu, który dochodzi do skutku li tylko przy pomocy fantazji. Nie ma więc i w tym kierunku zasadniczej różnicy.*

Na tym obrona samogwałtu się kończyła. Powiedziawszy swoje, Klinger ruszył do ataku.

## **Wielka trwoga hipokrytów**

„Żadna wojna ani epidemia nie poczyniła takich spustoszeń wśród młodych pokoleń!” – brzmiało wielkie oskarżenie pod adresem pogromców samogwałtu i ich mrówczej pracy. Klinger nie miał wątpliwości, że w onanizmie kryje się olbrzymie zagrożenie. Nie dotyczyło ono jednak samego aktu, lecz towarzyszącej mu otoczki obłudy i świętoszkowatego oburzenia. „Szkodliwy jest strach przed domniemanymi skutkami, o których młodzież ciągle słyszy i czyta. Nie ulega kwestii, że wpajanie w dzieci przekonania, że onanizm jest hańbą

i »grzechem« śmiertelnym przynosi straszliwe skutki i jest powodem tak częstej wśród młodzieży depresji, hypochondrii, a nawet samobójstw” – pisał.

Tragizm sytuacji, o którym musieli wiedzieć hipokryci znajdujący źródło utrzymania w broszurkach „leczących” z samogwałtu, wynikał zdaniem Klingera z beznadziejności zmagania z rzekomym nałogiem. „Młody człowiek walczy, co sił starczy, lecz w końcu zawsze ulega naturalnemu popędowi, co w konsekwencji tak silnie działa na psychikę młodzieńczą, iż nie dziwota, że pozostawia w niej trwałe ślady” – wyjaśniał. W wielu przypadkach na poczucie winy nakładała się jeszcze świadomość popełnienia grzechu. Masturbacja stanowiła kluczowe zagadnienie w chrześcijańskiej pedagogice. Zwracano też na nią wyjątkowo baczną uwagę podczas spowiedzi. „Panna M.”, anonimowa autorka *Pamiętnika pacjentki*, wydanego w 1926 roku przez psychiatrę Adama Wizela, twierdziła, że każdy ksiądz „specjalnie przy spowiedzi kładł nacisk” na naruszanie przez młodzież szóstego przykazania.

*Chodziłyśmy cztery razy na rok do spowiedzi. (...) Wierzyłam w spowiedź i panicznie się bałam, żeby nie popełnić świętokradztwa. Gdy przychodziła kolej na szóste przykazanie, stawałam się nieprzytomna ze wstydu, na głos szlochając, opowiadałam księdzu o sobie niestworzone brednie. Dopiero teraz widzę, jak się nie orientowałam w niczym.*

*W książce do nabożeństwa przeczytałam takie pytanie przy rachunku sumienia: czy dotykałaś się miejsc nieprzyzwoitych? Myślałam, że chodzi o przelotne, powierzchowne dotknięcia. Naturalnie, że się z tego zaczęłam spowiadać. Niektórzy księża gniewali się, inni łagodnie tłumaczyli, czasem i straszili mnie*

*najrozmaitszymi chorobami w przyszłości. Nie wiedziałam, co mam z sobą robić, w jaki sposób uchronić się od mimowolnych dotknięć, w jaki sposób się myć, wstydziłam się kogokolwiek o taką rzecz zapytać.*

*Dopiero przy jednej spowiedzi ksiądz mi kazał dokładnie opowiedzieć, jak ja to robię. Zupełnie zgłupiałam, bo nie wiedziałam, o co mu chodzi. Sam zaczął pytać (...). Nigdy tak [tego] nie robiłam, ale w tejże chwili pomyślałam, że może tylko nie pamiętam, i będę na wieki przeklętą, jeżeli powiem, że nie robiłam. Przyznawałam się więc na wszelki wypadek do wszystkiego<sup>8</sup>.*

Paweł Klinger religijną stroną zagadnienia w ogóle się nie zajmował. Korzeni antymasturbacyjnej krucjaty szukał w świecie nauki. Było dla niego oczywiste, że to nie jakiś tam Misiewicz czy inny Czarnowski skalał się grzechem pierworodnym walki z onanizmem. Kuriozalna moda miała znacznie głębsze korzenie.

Sięgała, jak na ironię, aż do wieku oświecenia. W połowie XVIII stulecia w Lozannie niejaki Samuel-Auguste Tissot wydał traktat naukowy pod zwięzłym tytułem: *Onanizm*. Szybko stał się on międzynarodowym bestsellerem, a list z osobistymi wyrazami podziwu wysłał do szwajcarskiego neurologa nawet sam Napoleon Bonaparte. W ten oto sposób Tissot stał się, jak wyjaśnił Klinger, „ojcem straszącej literatury, która od owego czasu napłodziła się ze względów czysto handlowych w zastraszający sposób”. Właśnie doktorowi Tissot świat zawdzięczał: „termin onanizm, który niby miecz Damoklesa, wisiał nad głowami całego szeregu pokoleń i na jego rachunek wpisać należy setki tysięcy tych nieszczęśliwców, którzy padli ofiarą masowej sugestii”.

Klinger nawoływał do zerwania z archaicznymi teoriami na temat

samotnych stosunków płciowych. Zdroworozsądkowo (i bardzo podobnie do dzisiejszej literatury seksuologicznej) tłumaczył, że onanizm może być szkodliwy, ale tylko w nadmiarze. Jeśli staje się główną aktywnością seksualną danej osoby, jeśli ogranicza jej kontakty z otoczeniem, zniechęca do utrzymywania relacji rodzinnych – wtedy należało, rzecz jasna, interweniować. Jednak uderzanie obuchem w każdy akt autoerotyzmu i skazywanie na potępienie każdego onanisty tylko utrudniało działanie w uzasadnionych przypadkach. „Stokroć lepiej by się rzecz przedstawiała, gdyby młodzieniec wiedział, że umiarkowany onanizm (jeden-dwa razy na tydzień) ujmy jego zdrowiu nie przynosi” – podkreślał raz jeszcze autor.



„Pani w buduarze” (rys. „Nowy Dekameron”, 1925).

Walczył też ze wszystkimi pogardliwymi słowami, które same w sobie utrudniały mówienie o autoerotyzmie. Onanizm? Jak tu nie myśleć o karze boskiej. Zresztą ten biblijny termin bardziej pasował mu do stosunku przerywanego. Masturbacja? „Bezczeszczenie ręką”, bo tyle to znaczy po łacinie, ani nie brzmi neutralnie, ani nie obejmuje każdego możliwego, samotnego aktu. Tym bardziej Klingerowi nie pasował „samogwałt”. Przecież „nie ma w tym przypadku mowy

o żadnym gwałcie” – komentował zirytowany.

Proponował zupełnie inny, niepodszyty wstrętem, a na dodatek wymyślony przez Polaka termin: „Ipsacja” (od „ipse” – sam, „ipsa” – sama). Był to kolejny z językowych wynalazków Stanisława Kurkiewicza, który poza słowami polskimi tworzył też łacińskie. Podczas gdy dzieł krakowskiego lekarza-płciownika nie znał niemal nikt na świecie, ten jeden wyraz dotarł aż do Magnusa Hirschfelda i momentalnie przypadł mu do gustu. Pomysł podchwyciło jeszcze kilku zagranicznych seksuologów, ale wiatru w żagle ipsacja nie złapała. Choć i tak była chyba największym życiowym sukcesem Kurkiewicza.

Czy cała kampania na rzecz odczarowania autoerotyzmu przyniosła większe efekty? Bardzo trudno odpowiedzieć na to pytanie. Na dobrą sprawę nie sposób zweryfikować nawet skali stuipięćdziesięcioletniej onanistycznej paniki. Klinger pisał wprawdzie o „setkach tysięcy” nieszczęśliwców, którzy ulegli zbiorowej sugestii, to jednak była teza publicystyczna. Jako temat wstydlivy onanizm nie trafiał na łamy prasy. Nie pisano o nim w poradnikach higienicznych, nikt też nie poświęcał mu uwagi w XIX-wiecznych pamiętnikach. Milczenie samo w sobie dowodzi, że masturbacja nie była w tym stuleciu akceptowana. Nikt nie chwalił się tym, co robi za zamkniętymi drzwiami wychodka. Ale też – nikt nie zapisywał, czy wierzy, że w efekcie swojego samogwałtu oślepie, oszaleje i umrze. Być może sądziło tak 10% młodzieży, a może 50. Na pewno podobne przekonanie było powszechne w środowiskach konserwatywnych, szczególnie wśród matek i pedagogów. Na przełomie wieków groźba onanizmu po raz pierwszy weszła do debaty publicznej – i stała się jednym z głównych

argumentów przemawiających za upowszechnieniem wychowania seksualnego.

Wciąż jednak najczęściej pisano o masturbacji w panikarskich broszurkach. To źródło, do którego trzeba podchodzić z daleko posuniętym sceptycyzmem. Kilka faktów nie ulega jednak wątpliwości. „Straszące” publikacje znajdowały odbiorców, były wielokrotnie wznawiane aż do wybuchu drugiej wojny światowej, a lekarze pokroju Michała Misiewicza prowadzili całe praktyki wyspecjalizowane właśnie w zwalczaniu onanizmu. Najwidoczniej był popyt na ich usługi. Potwierdza to także pięćdziesiąt mrozących krew w żyłach przykładów napotkanych onanistów, które Misiewicz zawarł w swojej broszurze.

Nie tylko on cytował masturbacyjne historie z życia wzięte. Pojawiają się one także w publikacjach obrońców ipsacji. Klinger przytacza list zdesperowanego siedemnastolatka. Chłopak wyznaje, że od ósmego roku życia „cierpi na najstraszniejszą chorobę – na onanizm”. Wprawdzie solennie zapewnia adresata, że „wszystko [co] nieczyste jest obce jego naturze”, i deklaruje, że zerwał już z upodlającymi czynami, wie jednak, że nie ma dla niego ratunku. „Cóż mi z tego, [jeśli] to [cierpienie] zrujnowało mój organizm, a przede wszystkim mój system nerwowy, mój mózg. (...) To, co pozostało, jest dość smutne. Jest tak, jakbym żyjąc, był martwym” – rozpacza. Podobnych listów pełne jest *Poradnictwo płciowe*, wydany w 1935 roku w języku polskim zbiór korespondencji postępowego edukatora seksualnego Maxa Hodanna. Jeden z zaniepokojonych młodzieńców wierzy, że „dawne poczynania” na zawsze będą odbijać się na jego organizmie. Kolejny wpada na skutek rozmyślań o masturbacji w depresję. Wreszcie jest i taki, który boi się ślubu przez swój nałóg

onanistyczny. Na wszelki wypadek nawet nie dotyka narzeczonej. Nie wie też, czy w chwili próby sprawdzi się jako mężczyzna.



„Zuzanna w kąpeli” (rys. „Nowy Dekameron”, 1924).

Dzisiejsi seksuolodzy wciąż cytują podobne wypowiedzi. I odpowiadają mniej więcej tak samo jak Hodann w 1935 roku: „Dlaczego myśli Pan nad sprawami, których nie warto nadmieniać? 95% wszystkich ludzi onanizuje się i nie mają żadnych dolegliwości. A więc:



wiele szczęścia z okazji małżeństwa i polecam Panu należycie wyczuwać dziewczynę, w przeciwnym bowiem razie ucieknie od Pana”<sup>9</sup>. Zmieniło się tylko tyle, że zdesperowani onaniści wylewają żale w internecie, a nie w listach. Według badań profesora Izdebskiego jeszcze w 2006 roku 40% Polaków było przekonanych o szkodliwości onanizmu. Jak widać, duch doktora Tissota i strach przed „rozmiękczeniem mózgu” trwają w narodzie.

## ***Coming out onanistów***

Kiedy przynajmniej połowa społeczeństwa wciąż panicznie bała się masturbacji, druga grupa niespodziewanie „wyszła z szafy”. Zdezorientowany Albert Dryjski relacjonował na początku lat trzydziestych: „Niedawno zapytał mnie słuchacz I-go kursu medycyny Uniwersytetu Poznańskiego, czy prawdą jest, że masturbacja wpływa dodatnio na zdrowie, takiego bowiem zdania był jeden z jego kolegów, słuchacz piątego kursu medycyny tegoż uniwersytetu”. Zdaniem autora przekonanie, że onanizm „dodaje siły i inteligencji”, rozprzestrzeniało się z siłą huraganu. Dryjski rzecz jasna kategorycznie zdementował zasłyszaną plotkę. Klinger nie byłby równie pewny odpowiedzi. W *Vita sexualis* napomknął na marginesie: „Poczyniono obserwacje, że onanizm działa kojąco na bóle i bezsenność, albowiem z osłabieniem seksualnego napięcia zmniejsza się na przykład ból (jajników), nierzadko towarzyszący menstruacji”. Podobne opinie funkcjonują także w dzisiejszej literaturze naukowej.

Dyskusje o pozytywnych skutkach ipsacji rzadko wychodziły poza mury uczelni. Polacy odkrywali autoerotyzm powoli i ostrożnie. Jeśli

można tu mówić o rewolucji, to chyba tylko raczkującej. Prezydent Mościcki, po przeczytaniu *Vita sexualis*, nie ruszył prosto do sali sejmowej, by zadeklarować z dumą, że on też się masturbuje. Onanizm, tak teraz, jak i wcześniej, był „na cenzurowanym”. A jednak – pierwsze jaskółki zmiany wychyliły dzioby ze swoich gniazd. Książka Klingera spotkała się z entuzjastycznym przyjęciem w niemal wszystkich postępowych gazetach. „Hasło” przekonywało, że „czyta się [ją] jak sensacyjną powieść”. Dziennik zapewniał, że to praca, która pozwoli „wychować nowe, zdrowe i realnie myślące pokolenie”. „Echo” zachwalało „szczerłość” wykładu. Nawet ostrożny w kwestiach obyczajowych „Ilustrowany Kuryer Codzienny” stwierdzał wprost: „Dr Klinger odpowiada w swej książce na wszystkie najintymniejsze i drastyczne wątpliwości przeciętnego człowieka, wyprowadza go z labiryntu przesądów i płonnych, a często szkodliwych obaw”. Nigdzie nie padała wzmianka o samogwałcie, ale każdy wiedział, że chodzi także o to. A może nawet – przede wszystkim o to.

Niektórzy byli znacznie odważniejsi. W 1930 roku Tadeusz Boy-Żeleński zdradził się czytelnikom ze swoimi pierwszymi doświadczeniami z autoerotyzmem. Na kartach książki *Marzenie i pysk* pisał: „Pamiętam jak mnie, dziesięcioletniego malca, niewinnego jak zeszłoroczna Malicka, przypierał ksiądz natarczywymi pytaniami »czy nie było jakich nieskromnych dotknięć«, przy czym zupełnie nie wiedziałem o co mu chodzi? Zaintrygowany, zwierzyłem się koledze... i dowiedziałem się”<sup>10</sup>.

Wybitny filolog, działacz społeczny i komentator życia publicznego pisał o onanizmie wprost i bez skrępowania. Coś podobnego w XIX wieku byłoby nie do pomyślenia. W XXI chyba też. Bo kto dzisiaj

mógłby opowiadać w kolorowych gazetach o masturbacji? Znany z niezbyt inteligentnych wypowiedzi bokser – jasne. Skandalizująca dziennikarka – czemu nie. Ale wpływowy publicysta na miarę Boya? Trudno znaleźć choćby jeden przykład.

---

Pozycje są cytowane przy pierwszym wystąpieniu w danym rozdziale. Data ostatniego dostępu do wszystkich źródeł internetowych to 20 lutego 2015 roku.

1 Zbigniew Izdebski, *Seksualność Polaków na początku XXI wieku*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2012.

2 Wyniki ankiety podał po wielu latach Albert Dryjski: *Zagadnienia seksualizmu dziecka i młodzieży szkolnej. Biologia, psychologia, pedagogika*, Nasza Księgarnia, Warszawa 1934. Zdawkowa wzmianka o nich pojawia się także w pracy: Jan Stanisław Bystron, *Szkoła i społeczeństwo*, Naukowe Towarzystwo Pedagogiczne, Lwów 1930.

3 Paweł Klinger, *Vita sexualis. Prawda o życiu płciowym człowieka*, Księgarnia Karola Neumillera, Łódź 1930.

4 Albert Dryjski, *Zagadnienia seksualizmu dziecka i młodzieży szkolnej. Biologia, psychologia, pedagogika*, Nasza Księgarnia, Warszawa 1934.

5 Michał Misiewicz, *Samogwałt (onanizm) i jego skutki. Przewodnik dla młodzieży i rodziców*, K. Fiszler, Warszawa 1906.

6 Czesław Józef Uhma, *Popęd płciowy i niektóre jego zboczenia*, Towarzystwo Wydawnicze, Lwów 1901.

7 Seved Ribbing, *Życie płciowe przed małżeństwem. Książka o higienie seksualnej*, Eros, Warszawa 1924.

8 *Pamiętnik pacjentki*, oprac. Adam Wizel, Księgarnia F. Hoesicka, Warszawa 1928.

9 Max Hodann, *Poradnictwo seksualne*, Udziałowa Spółka Wydawnicza, Kraków 1935.

10 Tadeusz Boy-Żeleński, *Rozmyślania przed popielcem*, w: Tegoż, *Marzenie i pysk*, Rój, Warszawa 1930.

/ „Wibracja to życie!” /

## **Zabawki erotyczne**

„Czegóż to nie znajdowano już w pochwie, cewce, a nawet w pęcherzu moczowym? Ołówki, świece, szpulki do nici, marchew, szpilki różnego rodzaju (...), korki, szklaneczki, szczoteczki do zębów” – wymieniał doktor Paweł Klinger tonem znawcy<sup>1</sup>. Dla czytelników, którym lista przypominała raczej asortyment sklepu wielobranżowego niż zbiór kobiecych zabawek erotycznych, miał krótkie wyjaśnienie. Kiedy chodzi o onanizm – wszystko jest możliwe.

„Wśród płci żeńskiej bardzo był i jest rozpowszechniony sposób używania w celach onanistycznych przedmiotów obcych, najczęściej imitujących męski organ płciowy (...). Hirschfeld opisuje nawet wypadek ugrzęźnięcia w pochwie onanistki butelki, którą po wielkich móżołach udało się lekarzowi stamtąd wyciągnąć” – kontynuował. Dla niego była to ciekawostka z dziedziny seksuologii. Dla pogromców samogwałtu – autentyczny problem. Choć na pewno nie problem życia i śmierci.

Twórcy umoralniających broszur konsekwentnie spychali zagadnienie kobiecej masturbacji na drugi plan. Poświęcali mu jeden, dwa rozdziały, zwykle na samym końcu swoich bełkotliwych tekstów. Można by to nawet zrozumieć. W przeciwieństwie do męskiego

samogwałtu temat nie dotyczył ich osobiście. Poza tym mieli za sobą ponad tysiącletnią tradycję. W epokach, gdy masturbację wiązano ściśle z utratą nasienia i z historią biblijnego Onana, „kobięcy onanizm” brzmiał jak kuriozalny oksymoron. Zjawisko niemożliwe i nieistniejące. Autorzy książeczek, takich jak *Samogwałt (onanizm) i jego skutki* czy *Samogwałt u mężczyzn i kobiet* nie do końca wiedzieli, co z tym fantem zrobić. Z jednej strony nie przejawiali szczególnego zainteresowania przestrzeganiem dziewcząt przed odkrywaniem własnego ciała. Z drugiej – nie mogli się powstrzymać przed ich postraszeniem.

„Onanizm, jak i w ogóle nadużycia płciowe, połączony jest u kobiet z równie groźnymi, jak i u mężczyzn skutkami. Niektórzy zaś lekarze twierdzą, że dla kobiet jest on nawet szkodliwszy” – podkreślali niemieccy pseudoeksperci, Jonathan Braun i Benjamin Rosenblum<sup>2</sup>. Ich polski kolega August Czarnowski znał nawet rozwiązanie tej zagadki. Po prostu „kobiety onanizujące [się] wstydzą się zwykle mniej niż mężczyźni”<sup>3</sup>. W efekcie puszczają im jakiegokolwiek hamulce moralne i ekspresowo staczają się na dno onanistycznej przepaści.

Redaktor *Marnopłcenia – Onanizmu* był głęboko przekonany, że statystycznej masturbantce nie wystarczały do tego własne palce. Dziewczęta ulegały nałogowi właściwemu wyłącznie ich płci – ZMAZIE NARZĘDZIOWEJ. Zgodnie z klasyfikacją stworzoną przez Hermanna Rohledera była to jedna z czterech odmian onanii – obok samozmazy, zmazy wzajemnej oraz zmazy duchowej. Kobiety upodobały ją sobie już na skutek „samej budowy żeńskich narządów płciowych”. Aby zaspokoić swój popęd, chwyciły się „najrozmaitszych podręcznych przedmiotów”. Inny moralista, anonimowy autor wydanej

w 1928 roku książki *Grzechy młodości*, wspominał o używaniu m.in. „kluczków, patyków i tym podobnych rzeczy, co sprawia, iż następstwa ich lekkomyślności są jeszcze bardziej odrażające i straszne”<sup>4</sup>. Jeśli to wszystko wciąż nie wystarczało, onanistki zabierały się na przykład do... krawieckich poprawek. I wcale nie chodziło o odpędzenie zbereźnych myśli. Czarnowski wyjaśniał, że „w zamiarze onanizowania się, płeć żeńska nieraz umyślnie, gorliwie nadeptywa nogami maszynę do szycia i jeździ na kole”. Podobnie miały działać karuzele („kołowroty”) i sztuczne wierzchowce.

W rzeczywistości mało która kobieta miała równie bujną wyobraźnię, co wybitni (inaczej) teoretycy samogwałtu. Konik, z drzewa koń na biegunach – po prostu jej nie wystarczał. Jeśli jednak pragnęła sięgnąć po bardziej wyrafinowane zabawki erotyczne, musiała się w tym celu nieco napracować. Sztuczne penisy nie były niczym nowym. O ich dostępności zaświadcza już średniowieczne prawodawstwo kościelne. W XI wieku za używanie dilda kobiecie groziła trzyletnia pokuta<sup>5</sup>. Dziewięćset lat później w Polsce podobne przedmioty uchodziły jednak za... egzotyczne eksponaty. Paweł Klinger pisał o sztucznym członku niczym o św. Graalu. „Sam miałem możliwość oglądania tego rodzaju aparatu u pewnego optyka (!) na prowincji” – chełpił się przed czytelnikami.

Być może natrafiłby na więcej zabawek erotycznych, gdyby wiedział, gdzie ich szukać. Zamiast do optyka powinien się udać do najbliższego sprzedawcy prezerwatyw i poprosić o coś specjalnego. „Charakterystycznym jest, że cały szereg »tajemnych środków« reklamowanych jako zapobiegające zapłodnieniu, służy w rzeczywistości do celów ipsacji (onanii)” – wyjaśniali Magnus

Hirschfeld i Ryszard Linsert, autorzy wydanej w 1933 roku pracy *Zapobieganie ciąży. Środki i metody*<sup>6</sup>. Wprawdzie ich książka traktowała o sytuacji w Niemczech, w Polsce musiało jednak być podobnie. O jednym z odkrytych przyrządów pisali, co następuje:

*Z wielu stron donoszono nam o tajemniczych gałkach, które po zanurzeniu w kwaśnej cieczy wprowadza się do pochwy. Dokładniejsze jednak badania wykazały, że chodzi tu o gałki masturbacyjne, rozpowszechnione na Wschodzie, znane każdemu etnologowi (...). Wprowadzone do pochwy uderzają jedna o drugą, wywołując wstrząs i działając tym samym podniecająco.*

Działanie przeciwciażowe – jeśli w ogóle można było o nim mówić – nie było niczym więcej, jak tylko wisienką na torcie. Podobny kamuflaż, rzecz jasna, ułatwiał dotarcie do klientek. Kulturalna pani domu prędzej była gotowa poprosić sprzedawcę o nietypowy środek antykoncepcyjny niż o fikuśną zabawkę erotyczną. To był jednak argument uboczny. Przede wszystkim sprzedaż jakichkolwiek akcesoriów seksualnych była w Niemczech surowo zabroniona. Traktowano ją dokładnie tak samo jak dystrybucję pornografii. Punkt 3 paragrafu 184 Kodeksu Karnego Rzeszy Niemieckiej z 1871 roku stanowił:

*Kto przedmioty do nierządneho użytku służące, w miejscach dla ogółu dostępnych wystawia lub o takich przedmiotach publiczności ogłasza lub je zachwala (...) ulegnie karze więzienia do roku i grzywnie do marek tysiąca<sup>2</sup>.*

Przepisy nie precyzowały, czym dokładnie jest „nierządny użytek” i jakie obejmuje on przedmioty. W przypadku kulek masturbacyjnych

władze śledcze nie miałyby raczej żadnych wątpliwości. Ale już na środki antykonceptyjne były gotowe przymknąć oko. Byle tylko nikt ich nie reklamował w prasie lub na plakatach. Paragraf 184 obowiązywał także Polaków. Przez niemal czternaście lat po odzyskaniu niepodległości kodeks Bismarcka był podstawą systemu prawnego w Wielkopolsce i na Górnym Śląsku. Wreszcie w 1932 roku zastąpiono go nowym, ogólnopolskim kodeksem karnym. Wiele się w nim zmieniło, ale nie przepisy dotyczące zabawek erotycznych. Za sprzedawanie sztucznych członków nadal można było trafić do więzienia – i to nawet na dwa lata. Mimo to chętnych, by zaryzykować, nie brakowało.

Stanisław Trzeciak, autor wydanej w 1938 roku broszury *Pornografia narzędziem obcych agentur*, wyliczał przykłady. Jakób Dobrzyński prowadził zwyczajny biznes: „rozsylał katalogi z książkami i zabawkami o charakterze pornograficznym – karany za to sądownie”. Nieznany z imienia kupiec Modzelewski posunął się o krok dalej. Z dystrybucji akcesoriów seksualnych uczynił sposób reklamy: „W sklepie z zabawkami dla dzieci i sztukami magicznymi (...) znaleziono zabawki tzw. figliki pornograficzne, które właściciel rozdawał jako premie kupującym”<sup>8</sup>.

W obawie przed zdemoralizowaniem czytelników autor nie podał szczegółów i nie wyjaśnił, jakie dokładnie przedmioty trafiły w ręce policji. Nieco bardziej wygadany okazał się Michał Misiewicz. Na marginesie swojego poradnika przeciwmasturbacyjnego przestrzegał odbiorców przed „nakładaniem na prącie obrączek gumowych na nasadę, w celu utrzymania dłużej naprężenia”<sup>9</sup>. Sprzeciwiał się także używaniu „kołnierzyków zębatych w celu wzmożenia podrażnienia



pochwy”<sup>10</sup>. Najwidoczniej obydwie te środki były w sprzedaży na ziemiach polskich już u schyłku XIX wieku. Zdaje się, że sprowadzono je głównie z Niemiec. Świadczyłyby o tym terminologia podana przez Stanisława Kurkiewicza. W 1906 roku pisał, że kwitnie handel „drażnidłami, np. gumowymi palcami z grzebieniem wkoło (»Reizringe«)”. Wspominał też o zabawce sprzedawanej pod nazwą „Reizfinger”, czyli „naparstku z kolistą ostrogą gumową”. Nie miał o tym akcesorium dobrego zdania. „Trzeba chyba kobiety o zupełnie stępiełej uczuciowości sromu, aby zniosła to przykre muskanie” – stwierdził<sup>11</sup>. Możliwe że opierał się na opinii zaczerpniętej od swoich pacjentek. Ale równie prawdopodobne, że po prostu ta konkretna zabawka nie pasowała do jego ogólnej koncepcji (tak – na zabawki erotyczne Kurkiewicz też miał teorię; jak na wszystko). Twierdził, że „wytwornym (eleganckim) drażnidłem” jest tylko „naśladowina (imitacja) zwisaka: t. zw. *priapus*, *phallus*, pochwidło”. Choć przy okazji podał, jak można stworzyć imitację... teje imitacji: „U wiejskich kobiet i dziewcząt bywa patyk, opatrzony na przednim (wolnym) końcu gałką ze szmaty”. Autor znał także wersje przeznaczone do seksu lesbijskiego. „Rzadszym jest sposób tego rodzaju, że pomiędzy obu płciowami jest POŚREDNIK w postaci samidła długiego – tłumaczył – jak na przykład świeca giętka, którego każdy z dwóch końców tkwi w jednej z obu pochew”.

Dildo przedwojenna Polka mogła więc zrobić sobie sama. Czy w takim razie kupne zabawki erotyczne zyskały sobie większą popularność? Trudno powiedzieć. Procesy przeciwko handlarzom zdarzały się o wiele zbyt rzadko, aby wyciągać z nich ogólne wnioski. Fakt, że o „kołnierzykach” i „obrączkach” wspomiano w krytycznym

tonie, również niewiele znaczy. Autorzy broszur na temat samogwałtu specjalizowali się w zmyślaniu zagrożeń i sianiu paniki. Nagminnie mieszały zjawiska powszechne z zupełnie sporadycznymi. Nikt też nie przeprowadzał w międzywojniu ankiet na temat zabawek erotycznych. A tym bardziej – nie grzebał setkom kobiet w szufladach w poszukiwaniu podłużnych i gładkich przedmiotów.

## **Ruchy potarćne, poprzeczne i koliste**

O skali zainteresowania akcesoriami przeznaczonymi dla par nie wiadomo właściwie nic. W przypadku przedmiotów sprzedawanych z myślą o indywidualnym użytkowaniu jedyny trop stanowi powszechność kobiecej masturbacji jako takiej. Niestety badacze wiedzieli na ten temat bardzo niewiele. Międzywojenna rewolucja seksualna miała swoje granice. Wypadało zapytać o onanizm studentów czy też mężczyzn ogółem. W odniesieniu do kobiet wciąż był to jednak temat tabu. Seksuolodzy mogli bazować wyłącznie na domysłach.

Paweł Klinger zestawiał w swojej pracy szereg często sprzecznych opinii. Rosyjski uczyony Miecznikow konserwatywnie przyjmował, że dziewczęta onanizują się bardzo rzadko „ze względu na mniejszą aktywność i napięcie ich popędu płciowego”. Iwan Bloch i Magnus Hirschfeld, być może z uwagi na brak twardych danych, podawali, że pomiędzy mężczyznami i kobietami nie ma żadnej różnicy w temacie masturbacji. Zdaniem Klingera najbliższej prawdy był jednak pionier brytyjskiej szkoły seksuologicznej Havelock Ellis. „Według niego u dziewcząt onanizm zdarza się rzadziej do okresu dojrzałości niż u chłopców, a za to po tym okresie jest on częstszym zjawiskiem wśród

płci żeńskiej niż męskiej” – czytamy na kartach *Vita sexualis*. Autor podał też szacunek doktora Hirschfelda dotyczący technik masturbacji. Zdaniem tego szanowanego niemieckiego znawcy seksu wyłącznie „około 50% płci żeńskiej posługuje się do swych celów rękoma”. Wreszcie wypowiedział swoje własne, jak zwykle radykalne zdanie:

*Można przyjąć bez przesady za pewnik, że prawie wszystkie niewiasty do zamążpójścia, względnie do rozpoczęcia normalnego życia płciowego, stale drażniły clitoris, jedna mniej, druga więcej.*

W długim przeglądzie stanowisk zabrakło tylko jednego specjalisty. Aż do końca epoki międzywojennej żaden lekarz nie poświęcił tyle uwagi i czasu na zbadanie kobiecej masturbacji, co Stanisław Kurkiewicz. Ogólną opinię miał on bardzo podobną do Klingera: uważał, że masturbuje się każdy, niezależnie od płci. Kobiety może nawet częściej niż mężczyźni. Akurat u niego takie zdanie nie powinno zupełnie dziwić. Kurkiewicz widział seks wszędzie. Samo wyjrzenie za okno już groziło jego zdaniem popełnieniem nowego samieństwa. Był jednocześnie przekonany, że praca kobiet w pozycji siedzącej to niechybnie pierwszy krok do onanizmu. Podobnie zresztą jak dowolna praca w towarzystwie przystojnych „napinających ją” mężczyzn. Człowiek ten wierzył zarazem, że „na skutek nadużyć” lechtaczka może urosnąć do długości szesnastu centymetrów, a nawet osiągnąć „rozmiary głowy dziecka”.

Absurdalnymi pomysłami mógłby obdarzyć całe środowisko naukowe świata. Ale w gąszczu idiotyzmów i nieporozumień, jakim jest jego *Szczegółowe odróżnienie czynności płciowych*, trafiło się też kilka przytomnych uwag na temat autoerotyzmu. Przede wszystkim

Kurkiewicz zwrócił uwagę, że przekonanie o powszechności „zmazy narzędziowej” wśród dziewcząt nie do końca współgra z wciąż przejawianą przez nie troską o fizyczne oznaki dziewictwa. „Wydatne drażnienie pochwy może się odbywać tylko (...) naśladownicą [prącia]; no a na to nie pozwala kobieta, jeżeli dba o cały wianek. Więc (...) instynktownie ima się bezpieczniejszych, czyli zewnętrznych sposobów, tj. sromienia lub łechtaczka” – wyjaśniał. Technikom tym poświęcił *gros* uwagi, opisując każdą w najdrobniejszych detalach. Przykładowo o „łechtaczce” pisał: „Odbywa się zwykle jako palcowina, najczęściej palcem wskazującym. Ruchy potarćne bywają wzdłuż górnego (...) odcinka szpary – lub poprzeczne – lub – koliste. Przy poprzecznych lub kolistych kobieta ugadza (natrafia) głównie przywiązkę łechtawkową”.

Dopiero po utracie dziewictwa niezadowolone z pożycia małżeńskiego (czyli – w opinii Kurkiewicza i szeregu innych specjalistów – prawie wszystkie) kobiety sięgały po bardziej wyrafinowane środki. I to właśnie one stanowiły grupę klientek dla nielegalnego przemysłu erotycznego. Ale tylko – potencjalnych klientek.



„Można przyjąć za pewnik, że prawie wszystkie niewiasty do zamążpójścia, względnie do rozpoczęcia normalnego życia płciowego, stale drażniły *clitoris*, jedna mniej, druga więcej”. Paweł Klinger o kobiecej masturbacji (rys. „Nowy Dekameron”, 1924).

Paweł Klinger, a nawet hochsztaplerzy pokroju Czarnowskiego i Misiewicza z pewnością mieli rację, podając, że najczęściej to przedmioty codziennego użytku pełniły w chwilach słabości funkcję zabawek erotycznych. Obok nich należałoby też wspomnieć

o irygatorach – bardzo popularnych przed wojną przyrządach służących do higieny intymnej. Hirschfeld i Linsert zdradzali w *Zapobieganiu ciąży*, że dla wielu kobiet irygator, podający wodę pod ciśnieniem i przypominający nieco dzisiejszą słuchawkę prysznicową, mógł jednocześnie pełnić rolę narzędzia masturbacji. Sprzedawano nawet specjalne modele przeznaczone wyłącznie do zaspokajania potrzeb seksualnych:

*W pewnym wypadku chodziło o natrysk, który mimo kilkakrotnych prób nie spełniał swego zadania. Konstrukcja jego natomiast wskazywała wyraźnie na to, że ma on służyć w pierwszym rzędzie do celów masturbacyjnych.*

Na tym nie koniec. Przynajmniej niektóre dobrze sytuowane damy trzymały w swoich toaletkach nowoczesne wibratory. I tylko nie do końca wiadomo, co właściwie z nimi robiły.

## **Mój pierwszy przedwojenny vibrator**

*Histeria*, wyświetlana w polskich kinach w marcu 2012 roku, nie była wybitnym dziełem światowej kinematografii. Naiwne, dość sztampowe romansidło z oczywistym od pierwszych minut filmu zakończeniem. Jeśli coś zwracało w nim uwagę, to tylko tło historyczne. „Prawda o tym jak Mortimer Granville, w imię nauki, wynalazł pierwszy vibrator” – zachwalały materiały promocyjne filmu. Zaraz przed pierwszą sceną wyświetlano też krótki napis: „Historia oparta na faktach. Naprawdę”.

Jeden szczegół bez wątpienia się zgadza. Doktor Granville istniał

w rzeczywistości i nawet wyglądał dość podobnie do grającego go Hugh Dancy'ego. Wprawdzie na pierwsze imię miał Joseph (z perspektywy Hollywoodu gorzej brzmiałoby chyba tylko John), a wynalazcą został dopiero jako podtatusiały pięćdziesięciolatek (tak więc był od Dancy'ego ponad piętnaście lat starszy), ale naprawdę zaprojektował elektryczny wibrator. W filmie ten majstersztyk nowoczesnej myśli technicznej służy jednemu celowi: szybkiemu i łatwemu leczeniu kobiet z hysterii. Tajemniczej choroby, szerzącej się wśród zamożnych warstw wiktoriańskiego społeczeństwa niczym dżuma. Granville aplikuje swoim zdesperowanym pacjentkom masażę łechtaczki. Kuracja wydaje mu się męcząca i uciążliwa. Przed wszystkim zaś – nie ma żadnego erotycznego podtekstu. Poczciwy doktor niemal do samego końca nie zauważa, że „histeryczny paroksyzm”, do którego doprowadza odwiedzające go damy, to w rzeczywistości orgazm. Podobnie postępują dziesiątki innych lekarzy<sup>12</sup>.

Z dzisiejszej perspektywy wszystko to brzmi niedorzecznie i nieprawdopodobnie. Rachel P. Maines, autorka książki *Technologia orgazmu. „Histeria”, wibrator i zaspokojenie seksualne kobiet*, twierdzi jednak, że rzeczywistość filmowa niewiele odbiega od tej historycznej<sup>13</sup>. W pierwszej edycji książki wydawca przedstawił ją jako „niezależną badaczkę” i „asystentkę ds. procesów technicznych” w bibliotece wydziału hotelarskiego Uniwersytetu Cornella. Jednocześnie Rachel P. Maines to właściwie jedyny na świecie autorytet w dziedzinie historii wibratorów. Wszędzie gdzie jest mowa o powstaniu nowoczesnych zabawek erotycznych, musi przewinąć się jej nazwisko. Wprawdzie tylko niewielka część *Technologii orgazmu*

traktuje o wibratorach, ale – zupełnie dosłownie – książka jest niezastąpiona. Po prostu nikt inny nie próbował pochylić się na poważnie nad tym wdzięcznym zagadnieniem.

„Masaż pacjentek aż do orgazmu stanowił kluczowy element praktyki lekarskiej z pewnością nie dla wszystkich, ale dla części lekarzy świata Zachodu. Było tak od czasów Hipokratesa aż do lat dwudziestych XX wieku – wyjaśnia rzeczowo Maines. – Mechanizacja tej czynności w istotny sposób zwiększyła liczbę pacjentek, które doktor był w stanie przyjąć w ciągu jednego dnia. (...) Wzrost wydajności w medycznej produkcji orgazmów za pieniądze prowadził do zwiększenia przychodów. Lekarzom udostępniono narzędzia pozwalające na zmechanizowanie tej praktyki. Ale też czuli się do tego zmotywowani”.

Autorka krócej ujęła sprawę w jednym z udzielonych wywiadów: „Histerię leczono poprzez masaż [łechtaczki]. I wibrator został wynaleziony do tego samego celu”<sup>14</sup>. Co ważne, terapia nie budziła niczyjego sprzeciwu, a sami lekarze uparcie twierdzili, że wprawia ich ona co najwyżej w znużenie.

Jak w przypadku większości przełomowych odkryć w dziejach, trudno dzisiaj stwierdzić, kto tak naprawdę był ojcem nowoczesnego wibratora. Na początku XVIII wieku we Francji powstało tajemnicze urządzenie pod nazwą „Tremaussoir”. Miał to być swego rodzaju mechaniczny wibrator – nie wiadomo jednak ani jak dokładnie działał, ani jak wyglądał. Znacznie więcej informacji przetrwało na temat „Manipulatora” – aparatu napędzanego silnikiem parowym i zaprojektowanego przez Amerykanina George’a Taylora. Ta niezbyt poręczna maszyna trafiła do sprzedaży w 1869 roku. Zanim zdążyła



zdobyć większą popularność, już stała się przestarzała. Latem siedemdziesiątym towarzyszyła prawdziwa obsesja na punkcie urządzeń elektrycznych. I właśnie na tej fali powstał wynalazek Josepha Mortimera Granville'a – wibrator elektryczny opatentowany na początku lat osiemdziesiątych XIX wieku. Słynny „Percateur” prawdopodobnie był pierwszy, ale na pewno nie jedyny.

Rachel P. Maines podaje, że w 1900 roku na rynku były już dostępne dziesiątki innych modeli – napędzane na różne sposoby i wyposażone w wymienne końcówki („wibratody”) w najbardziej fantazyjnych kształtach. Kilkanaście z nich zaprezentowano na odbywającej się w tym właśnie roku Wystawie Światowej w Paryżu. Asortyment przeznaczony dla profesjonalistów szybko uzupełniły tanie wibratory dla każdego – niewymagające pomocy lekarza ani ponoszenia dodatkowych kosztów. „Liczba i siła ruchów, jakie można zaaplikować dłonią, jest niezwykle ograniczona. Doskonale dostosowany Amerykański Wibrator działa tymczasem bez końca” – podkreślano w jednej reklamie, publikowanej w Stanach Zjednoczonych w 1906 roku. „Wibracja to życie. Odpędzi lata z magiczną siłą. Każdy nerw, każde włókno twego ciała zdrzży mocą twych własnych, przebudzonych sił. Z całym swym powabem, zatętni w tobie na nowo radość chwil młodzieńczych” – ekscytowali się autorzy innego amerykańskiego ogłoszenia, z 1913 roku. Cała linia domowych wibratorów trafiła nawet do katalogu Searsa – jednego z najszlachetniejszych biuletynów handlowych na świecie. Pod nagłówkiem „Pomoc, którą doceni każda kobieta” promowano prawdziwą ikonę postępu: robota kuchennego pełniącego jednocześnie rolę miksera, blendera, młynka i... wibratora<sup>15</sup>.

Był rok 1918 roku i każda szanująca się pani domu w Ameryce dysponowała jakąś wariacją wynalazku Josepha Mortimera Granville'a. Jeśli tak było za oceanem, to trudno powstrzymać się przed porównaniami z Polską. Czy nad Wisłą niczego niepodejrzewający lekarze też aplikowali pacjentkom masażę łechtaczki? Czy poprzez „histryczne paroksyzmy” rozładowywali ich napięcie po upadku powstania styczniowego? Czy kilkadziesiąt lat później nowoczesne Polki, w wolnych chwilach pomiędzy świętowaniem niepodległości i walką o prawa wyborcze, zaszywały się w sypialni z wibratorem w dłoni? Czy takie wibratory dało się kupić w kraju? Może trzeba było je sprowadzać? Jak działały, jak wyglądały? No i czy w ogóle przypominały to, co dzisiaj określamy tym samym słowem?

Pytania mnożą się bez końca. I każde domaga się odpowiedzi. Zamiast w bibliotece szukam ich na stacji benzynowej w Krakowie. Jest niedzielny wieczór, jeden z najbardziej nieprzyjemnych tej zimy. Ulice są zupełnie puste. Wprawdzie to koniec stycznia, ale trwająca od rana śnieżycą i tak zaskoczyła drogowców. Jeden rzut oka na przywaloną białym puchem drogę i już wiem, że samochodu nawet nie ma sensu odśnieżać. Mógłbym po prostu zadzwonić i zmienić termin. Zamiast tego ruszam pieszo w godzinny spacer śliskim poboczem. Lepiej nie ryzykować, że on zmieni zdanie.



Przedwojenny wibrator marki „Vibrofix”.  
Urządzenie ze zbiorów autora.

Sprzedawca odpisał niemal natychmiast i to mimo że pytanie dotyczyło aukcji sprzed roku. Dalej ma przedmiot. Po tym, jak nikt się nim nie zainteresował, zamierzał go sobie zostawić. Ale ostatecznie jest gotowy mi go sprzedać. Mam tylko dopłacić piątaka za fatywę. I zbierać się do wyjścia. Do ostatniej chwili nie jestem pewien, czy nie pomylił ceny. Pisał o siedemdziesięciu pięciu złotych, ale równie dobrze mógł mieć na myśli siedemset pięćdziesiąt. To samo urządzenie, na dodatek mocno sfatygowane, na zagranicznych aukcjach osiąga takie właśnie ceny – i to w dolarach. Sprzedawca zapewnia tymczasem, że jego maszyna jest w idealnym stanie. „To co, stówka?” – pytam niepewnie.

Bez słowa bierze banknot. W zamian otrzymuję brudną, nieco zmietoszoną i mokrą kopertę bąbelkową. Ciągłe sypie śnieg. Przy takiej pogodzie lepiej nie sprawdzać na wolnym powietrzu, co dokładnie jest w środku. Dopiero w domu, bez wielkich nadziei, wyciągam zawartość koperty na biurko. Na monitorze komputera otwieram stronę internetową Państwowego Muzeum Historycznego w Lipsku. Dla porównania. Mają w swoich zbiorach dokładnie ten sam model<sup>16</sup>.

Oznaczenia producenta, numer seryjny – wszystko się zgadza, podobnie jak najdrobniejsze detale konstrukcji. To bez dwóch zdań oryginał, choć spoglądając na niego, trudno uwierzyć, że urządzenie ma przynajmniej osiemdziesiąt lat. Według katalogu muzealnego produkcja „Przyrządu do masażu wibracyjnego VIBROFIX” trwała od 1920 do 1929 roku. Inne źródła podają nieco dłuższy okres – niewykraczający jednak poza 1935 rok. Na eleganckiej, czarnej ręczce z tworzywa sztucznego nie widać ani jednej rysy. Fakturą materiał przypomina ebonit. Korpus maszyny, wykonany z gładkiego, srebrzystego metalu wygląda, jakby dopiero co opuścił fabrykę. Nie zdziwiłbym się, gdyby osiemdziesiąt lat temu nieznana mi właścicielka aparatu używała go również w roli podręcznego lusterka. „VIBROFIX Patent” – głosi dumny napis wyryty szykowną czcionką. Wszystkie śruby przylegają perfekcyjnie. Przyrząd leży pewnie w dłoni, nic w nim nie trzeszczy ani nie chybocze. Całości dopełnia elegancka porcelanowa wtyczka i gustowny przełącznik na kablu, wykonany z chropowatego plastiku wysokiej jakości. Nie ulega wątpliwości, że w dwudziestoleciu był to produkt dla zamożnej klienteli – prawdziwy Apple wśród wibratorów. Nawet waga przyrządu przywodzi na myśl urządzenia z kultowym jabłuszkiem. Nieco ponad siedemset gramów – tyle samo co iPad

pierwszej generacji. Choć żona mówi mi, że Vibrofix nie przypomina jej ani zabawki erotycznej, ani żadnego gadżetu. Już prędzej pistolet laserowy żywcem wyjęty ze starego filmu science-fiction.

O tym, że aparat nie przeleżał stulecia na dnie żadnej szuflady, świadczy tylko gumowa końcówka – założona trochę jak wiertło w młocie udarowym. Według muzealników z Lipska oryginalny zestaw zawierał trzy wymienne „wibratody”. Mój egzemplarz ma tylko jedną. Małą kuleczkę, służącą do masażu punktowego. Jest mocno sfatygowana i popękana. Ewidentnie ktoś spędził z nią sporo czasu. Vibrofixy produkowano w wersjach przeznaczonych dla różnych sieci elektrycznych. Istniały zarówno odmiany europejskie, jak i amerykańska. Na mojej pisze wyraźnie „250V”. Niecierpliwie podłączam aparat do jedyne w domu bezbolcowego gniazdka. I o dziwo, urządzenie natychmiast ożywa. Wibracje są równe i intensywne. Znaczenie stabilnego uchwytu momentalnie staje się zrozumiałe. Bez niego nie dałoby się precyzyjnie manipulować tak ciężkim aparatem. Nawet z nim trudno mi się pozbyć wrażenia, że w dłoni trzymam raczej wspomniany młot udarowy niż wibrator. Ale żona zapewnia mnie, że teraz to kuriozum już jej nie wygląda na spluwę jak ze *Star Treka*.

## **Sztuka miętoszenia**

W poszukiwaniu kolejnych odpowiedzi sięgam do przedwojennej prasy. Polskich reklam wibratorów nie brakuje, choć z zawodem stwierdzam, że daleko im do wzniosłej poetyki amerykańskich handlowców. „Komu nie pomogły najwięcej zalecane i najdroższe maści na cerę – piękny kształt – wypadanie włosów, reumatyzmy itp.,

niechaj zażąda ilustr. broszurki darmo o przyrządzie KALO-WIBRATORZE” – informowało ogłoszenie z 1909 roku. Nieco żywiej i pięć lat później krakowska firma Sporn&Spółka (siedziba przy ulicy Floriańskiej 14, tam gdzie dzisiaj znajduje się Empik) zachwalała swój hydro-aparat:

*!!! WIBRATOR !!! wzruszany prądem wody z wodociągu jest jednym z najidealniejszych i najlepszych środków kosmetycznych, gdyż działa cudownie na cały organizm, uzdrowia go z różnych chorób, jak przypadłości nerwowych, bólu głowy etc. Szczególnie zaś przywraca zdrową i piękną cerę, czyniąc całe ciało jędrnym i zdrowym<sup>17</sup>.*

Jędrna skóra, reumatyzm, wypadanie włosów? Wszystko pięknie. Ale przecież miał być masaż łechtaczki. Podobno zupełnie powszechna i niekontrowersyjna terapia XIX stulecia. Rachel P. Maines spieszy z wyjaśnieniem. Tłumaczy, że to, co uchodziło za rzecz przyzwoitą i zdrową w gabinecie lekarskim, niekoniecznie było równie oczywiste na oczach męża i w prywatnym mieszkaniu. Od kobiet oczekiwano pewnej zdolności kojarzenia faktów. I pewnej dyskrecji. Maines nie ma jednak wątpliwości, że dla każdej damy język ezopowy reklam był zupełnie zrozumiały. Kupowały maszynkę do orgazmów, a nie na korzonki.

Z szacunku dla wiedzy pani Maines jestem skłonny przyjąć, że Amerykanki i Brytyjki rzeczywiście wiedziały, o co chodzi. Ale czy Polki też? Wolę się upewnić. W rodzimej literaturze medycznej szukam wzmianek o wibratorach. Skupiam się na przełomie stuleci. Maines wyjaśnia w swojej książce, że w późniejszych rocznikach nie ma sensu

grzebać. Moda na wibratory zniknęła niemal równie szybko, jak się pojawiła. W latach dwudziestych przestano je reklamować, a stopniowo także sprzedawać. Wróciły dopiero w latach sześćdziesiątych, wraz z kolejną rewolucją seksualną. Autorka przypuszcza, że winne były wczesne filmy pornograficzne, w których aktorki doprowadzały się do orgazmu właśnie przy użyciu wynalazku doktora Granville'a. Oburzeni widzowie natychmiast skojarzyli widziany na srebrnym ekranie przyrząd z najlepszym przyjacielem swoich małżonek. I kategorycznie żądali jego wyrzucenia. Być może to dlatego nigdzie w polskich gazetach nie natrafiłem na ogłoszenie mojego Vibrofixa. Tłumaczyłoby to też, dlaczego ten Apple wśród wibratorów nie przetrwał lat trzydziestych.

Trafiam wreszcie na publikację doktora Zygmunta Ashkenazego wydaną w 1892 roku we Lwowie<sup>18</sup>. *Leczenie ruchowe i mięsienie* to przewodnik po sztuce nowoczesnego masażu z wykorzystaniem mechanicznych wibratorów. Autor opisuje się mętnym, barokowym stylem, ale kompetencji nie można mu odmówić. Zgłębiając tajniki wibracji, zjeździł Europę. W tekście padają nazwiska największych sław. Jest doktor Granville i jego „Percateur” (przyrząd „zbyt jednostajny”), doktor Ewers z „Concussorem” (aparat „zupełnie taki, jakiego dentyści używają celem wiercenia otworu w zębie”) czy wreszcie doktor Zander z tradycyjnym wibratorem „potrzebującym motoru”. Opisy i ryciny nie pozostawiają wątpliwości – to dokładnie te same przyrządy, o których pisze Rachel P. Maines w *Technologii orgazmu*. I tylko tego orgazmu uparcie brakuje.

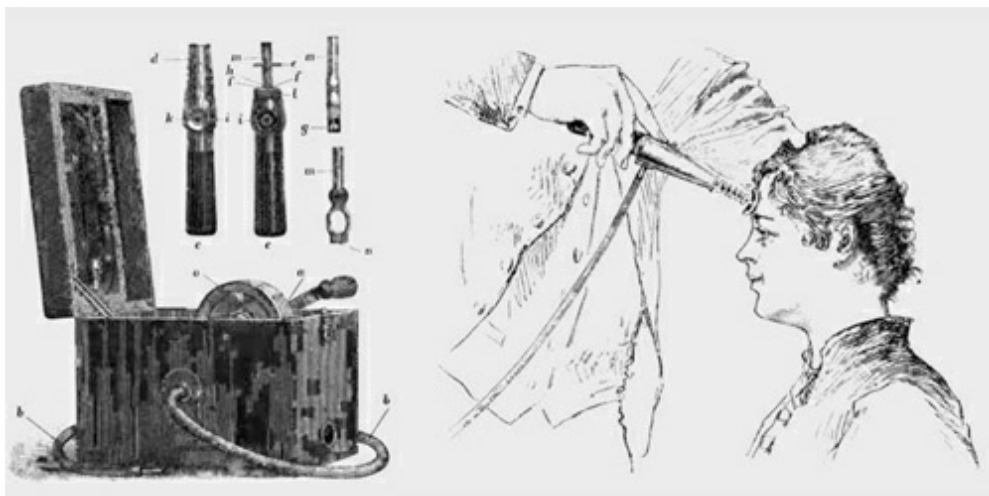
Zygmunt Ashkenazy swoją uwagę skupia przede wszystkim na nowym wynalazku niejakiego Liedbecka. To wibrator wprost

wymarzony dla polskiego odbiorcy. Podczas gdy Vibrofix ciągnie tyle prądu, co dzisiejsze kuchenki mikrofalowe, opatentowany w Austro-Węgrzech „Vibrator” Liedbecka jest aparatem na korbkę. „Przenośny, mały, pojedynczy, a w działaniu znakomity” – zachwalał Ashkenazy i można zgadywać, że ktoś mu za to zapłacił. Jeśli tak było, to tym lepiej. Mamy przykład maszynki, którą rzeczywiście sprzedawano nad Wisłą.

Prostotą odznaczała się ona chyba tylko w opisie opakowania. Wszystko inne było wybitnie zagmatwane. Ashkenazy wspominał o szufladkach na sprężyny, o dokręcaniu śrub po zauważeniu „tarcia lub klekotania” i o pojeniu od czasu do czasu maszyny „oliwą z koneweczki” umieszczonej „wewnątrz skrzyneczki”. Kręcenie korbą też do łatwych zadań nie należało. „Ruch drżący wywołany aparatem powinien być zawsze jednostajny i z pewną wskazaną chyżością [wykonywany]” – instruował autor.

Prawdziwe komplikacje zaczynały się jednak przy doborze końcówek. Aparat miał nie jedną, nie trzy, ale łącznie dwanaście nasadek. Niektóre można było składać ze sobą i montować po dwie lub trzy naraz. Na opisanie ich funkcji Ashkenazy strawił kilkadziesiąt stron. To tekst dla specjalistów, o żadnych niejednoznacznościach nie może być mowy. Autor wyklada kawę na ławę. I jasno stwierdza, że „Vibratora” wcale nie wynaleziono z myślą o wspomaganiu masturbacji.





Aparat wibracyjny na korbkę „Vibrator” oraz technika masażu czoła z jego wykorzystaniem (rys. Zygmunt Ashkenazy, *Leczenie ruchowe i mięsienie*).

To samo ma się też tyczyć każdego innego, podobnego urządzenia. Broszura traktuje o masowaniu czoła, mięśni rąk, brzucha, oczodołów, klatki piersiowej. Możliwych wariantów terapii jest całe mnóstwo. I nic dziwnego. Wbrew temu, co pisze Rachel P. Maines, informacje o leczeniu wibracjami zmarszczek, brzydkiej cery czy reumatyzmu wcale nie stanowiły formy kamuflażu. W epoce, gdy nowoczesna medycyna dopiero raczkowała, powstał cały wachlarz alternatywnych kuracji. Codzienne dolegliwości próbowano leczyć słońcem, promieniowaniem, świeżym powietrzem czy wreszcie – wibracjami. „Mięsienie” na kilkadziesiąt lat stało się osobną specjalizacją lekarską. Prawdziwi fachowcy, poświęcający badaniu masażu całe swoje życie, szczerze wierzyli, że jeśli ciało zostanie odpowiednio wytelepane, to komórki samoistnie się ożywią. Jak to się ma do masażów łechtaczki?

Nijak. Te ostatnie praktykowała raczej niewielka grupa lekarzy i hochsztaplerów. Nawet jeśli w połowie XIX wieku niektórzy z nich nie dostrzegali prawdziwej natury swoich zabiegów, to u schyłku epoki istnienie kobiecego orgazmu dawno przestało być tajemnicą. Może i większość pacjentek wciąż nie doznawała w domu seksualnej satysfakcji, ale jednak wiedziała, do czego służą ich narządy płciowe. I ich doktorzy też<sup>19</sup>.

## Otwocka technika masażu

Masaże łąchtaczki stanowiły w wiktoriańskiej Anglii margines, a nie „kluczowy punkt” medycyny. Tym bardziej było tak poza granicami Wielkiej Brytanii. Stanisław Kurkiewicz, który najprędzej wypatrzyłby to „zdarzenie płciowe” w polskim krajobrazie obyczajowym, na siedmiuset stronach swojej pracy wspominał wyłącznie o jednym przypadku erotycznego masażu. Na dodatek był to zabieg tradycyjny, nijak mający się do nowoczesnej medycyny: „Po wsiach [zdarza się] wzywianie »kobiet smarowaczek« (...) [wywołane] chęcią zostania samioną. A ja znam zdarzenie, że te smarowaczki swój na wszystko pomagający proceder zakończają wysamieniem lub pocieractwem”. O elektrycznym wspomaganium i wiktoriańskich pomysłach – ani słowa.

Kurkiewicz przytaczał informacje z początku wieku. Później erotyczne masaże były w Polsce stosowane, ale z zupełnym rozmysłem. Nikt już nie udawał, że nie wie, do czego służy łąchtaczka. Irena Krzywicka wspominała, z jakim zdziwieniem odkryła pod koniec lat dwudziestych, na czym polega kuracja na depresję w sanatorium w Otwocku. „Dom był akustyczny, więc słyszałam jak doktor zaczynał

obchód – relacjonowała. – Słyszałam kroki, głos, skrzypienie łóżka, to w tym, to w innym pokoju, westchnienia, ciche jęki, słowem wszystko, co świadczyło, że był on niestrudzony, godny podziwu i nie zanedbywał swoich pacjentek pod żadnym względem. A że było ich sporo, więc *chapeau*”<sup>20</sup>. Chodziło o naczelnego lekarza w popularnym ośrodku. Można go bez trudu zidentyfikować. Był to wówczas już ponad pięćdziesięcioletni, zasłużony kardiolog, profesor Jerzy Jakubowski. Według biogramu opublikowanego przez Muzeum Ziemi Otwockiej, niedługo po wizycie Krzywickiej w sanatorium, pan doktor przeniósł się do stolicy i otworzył bliżej niesprecyzowaną praktykę prywatną. Pod koniec lat trzydziestych prokuratura zarzucała mu propagowanie komunizmu. Ale do tego, co i w jaki sposób leczy, nikt nie zgłaszał uwag<sup>21</sup>. Trzeba tylko podkreślić, że także w tym przypadku chodziło o kurację niemającą absolutnie nic wspólnego z histerią i z wibratorami.

Wracając do tych ostatnich, wypada dodać, że także Zygmunt Ashkenazy doskonale wiedział, co znajduje się między kobiecymi nogami. W stanowczych słowach przestrzegał, że nawet przy masowaniu wibratorem ud zawsze należy wystrzegać się dotykania ich wewnętrznej strony. Wychodzenie „poza linię środkową” było zabronione „celem uniknięcia zbytniego drażnienia części rodnych”. Jeśli lwowski lekarz rozumiał zależność pomiędzy wibracjami a pobudzeniem seksualnym w 1892 roku, to tak samo musiał ją rozumieć Joseph Mortimer Granville dziesięć lat wcześniej. I rzeczywiście rozumiał. W jednej ze swoich książek stanowczo podkreślił, że ani nie wynalazł „Percateur” z myślą o masowaniu łechtaczek, ani też nigdy nie leczył żadnej kobiety przy wykorzystaniu

wibracji. Wiedział, że podobne praktyki mają miejsce, ale stanowczo je potępiał<sup>22</sup>. Podobnie czynili inni pionierzy medycyny wibracyjnej.

Co na to wszystko Rachel P. Maines? W wywiadzie udzielonym serwisowi [BigThink.com](http://BigThink.com) stwierdziła szczerze: „To, co napisałam, niesamowicie spodobało się ludziom, ale to jest tylko hipoteza, nic więcej. (...) W końcu ktoś nad tym przysiądzie i stwierdzi »Ok, może jednak na te dane trzeba spojrzeć inaczej«. Ale w międzyczasie po prostu mam frajdę z tego, że zwróciłam na siebie tyle uwagi”<sup>23</sup>.

Nie dałoby się tego ująć trafniej. I chyba tylko w jednym punkcie Maines miała rację. Lekarze mogli wynaleźć wibratory do upiększania cery, ale kobiety szybko odkryły, że pomysłowe aparaty mają też inne zastosowanie. Jedne używały ich zgodnie z instrukcją. Inne przeżywały dzięki nim często pierwsze w życiu orgazmy. Okazuje się więc, że mój Vibrofix mógł być równie dobrze zabawką erotyczną, co masażerem do stóp. I może nie powinienem o tym pisać. Bo kto wtedy będzie chciał kupować stare wibratory po siedemset pięćdziesiąt dolarów sztuka?

---

Pozycje są cytowane przy pierwszym wystąpieniu w danym rozdziale. Data ostatniego dostępu do wszystkich źródeł internetowych to 20 lutego 2015 roku.

<sup>1</sup> Paweł Klinger, *Vita sexualis. Prawda o życiu płciowym człowieka*, Księgarnia Karola Neumillera, Łódź 1930.

<sup>2</sup> Jonathan Braun, Benjamin Rosenblum, *Samogwałt (onanizm) u mężczyzn i kobiet i jego skutki. Środki wyleczenia się z onanizmu bez pomocy*, Księgarnia Popularna, Warszawa 1908.

<sup>3</sup> *Marnopłcenie – Onanizm (samogwałt, samienie się, nijactwo). Objawy, przyczyny, następstwa, zapobieganie, leczenie. Wedle najnowszych postępów naukowych*, oprac. August Czarnowski, Hygiea, Berlin 1914.

- 4 *Grzechy młodości. Jak uchronić siebie od przedwczesnego wycieńczenia i upadku sił*, Wilno 1928.
- 5 Przeczytaj więcej w artykule: *Cała prawda o masturbacji w średniowieczu* w portalu [Ciekawostkihistoryczne.pl](http://ciekawostkihistoryczne.pl) [[ciekawostkihistoryczne.pl/?p=14002/](http://ciekawostkihistoryczne.pl/?p=14002/)].
- 6 Magnus Hirschfeld, Ryszard Linsert, *Zapobieganie ciąży. Środki i metody*, Księgarnia Lwowska, Lwów 1933.
- 7 *Kodeks Karny Rzeszy Niemieckiej z dnia 16 maja 1871 r. z późniejszymi zmianami i uzupełnieniami po rok 1918 wraz z ustawą wprowadczą do Kodeksu Karnego dla Związku Północno-Niemieckiego (Rzeszy Niemieckiej) z dnia 31 maja 1870 r.*, Spółka Pedagogiczna, Poznań 1920.
- 8 Stanisław Trzeciak, *Pornografia narzędziem obcych agentur*, Biblioteka „Jutra Pracy”, Warszawa 1938.
- 9 Por. Ampallang, w: *Encyklopedia wiedzy seksualnej*, t. I, oprac. Max Marcuse, oprac. wyd. pol. Stanisław Higier, Wydawnictwo Lekarskie „Eskulap”, Warszawa 1937.
- 10 Michał Misiewicz, *Samogwałt (onanizm) i jego skutki. Przewodnik dla młodzieży i rodziców*, oprac. Aleksander Parszewski, Siła, Warszawa 1929.
- 11 Stanisław Kurkiewicz, *Z docieków (studyów) nad życiem płciowym. Luźne osnowy (tematy). 2. Szczegółowe odróżnienie czynności płciowych*, nakł. autora, Kraków 1906.
- 12 Por. Alex von Tunzelmann, *Hysteria: I'm feeling good vibrations*, „The Guardian”, 31 października 2013.
- 13 Rachel P. Maines, *The Technology of Orgasm. „Hysteria”, the Vibrator, and Women's Sexual Satisfaction*, The Johns Hopkins University Press, 2001.
- 14 *The Study That Set the World Abuzz*, [Big Think.com](http://BigThink.com), [[www.bigthink.com/videos/the-study-that-set-the-world-abuzz](http://www.bigthink.com/videos/the-study-that-set-the-world-abuzz)].
- 15 Zob. Rachel P. Maines, *The Technology of Orgasm...*, dz. cyt.
- 16 *Vibrations-Massage-Gerät „VIBROFIX” in Originalverpackung, mit Beschreibung und Zubehör*, w: *Stadtgeschichtliches Museum Leipzig*, [[www.museum.zib.de/sgml\\_internet/sgml.php?seite=5&fld\\_0=z0023203](http://www.museum.zib.de/sgml_internet/sgml.php?seite=5&fld_0=z0023203)].
- 17 Cyt. za wycinkami opublikowanymi na blogu: *Stare reklamy*, [[starereklamy.blox.pl](http://starereklamy.blox.pl)].
- 18 Zygmunt Ashkenazy, *Leczenie ruchowe i mięsienie (massage)*, Drukarnia W.A. Szyjkowskiego, Lwów 1892.
- 19 Por. Adolf Winawer, *O zastosowaniu mięsienia w chorobach kobiecych podług metody Thure Brandt'a*, „Kronika Lekarska”, 3 (15) stycznia 1889, nr 1; Adolf Winawer, *O zastosowaniu elektryczności w ginekologii. Metoda Prof. Apostoli'ego*, „Kronika Lekarska”, 3 (15) lipca 1888, nr 7.
- 20 Irena Krzywicka, *Wyznania gorszycielki*, Czytelnik, Warszawa 1995.
- 21 Witold Trybowski, *Muszkatenblit Maurycy Jerzy vel Jakubowski Jerzy (1887–1967)*, w: *Otwock-HiStory. Blog Muzeum Ziemi Otwockiej*, [

history.blog.pl/2015/02/13/muszkatenblit-maurycy-jerzy-vel- -jakubowski-jerzy-1887-1967/].

22 Joseph Mortimer Granville, *Nerve-Vibration and Excitation as Agents in the Treatment of Functional Disorder and Organic Disease*, wyd. J&A. Churchill, London 1883.

23 *The Study That Set the World Abuzz...*, dz. cyt.

### III / Naga prawda



/ To był tylko seks /

## **Nowe oblicze zdrady małżeńskiej**

Trwa karnawał. To lata dwudzieste, jeszcze przed wielkim kryzysem. Blichtr, szyk i huczna zabawa. Marian Sękowski, zwyczajny warszawski taksówkarz, zatrzymuje samochód na placu Teatralnym. Od strony Sal Redutowych dobiegają przytłumione odgłosy muzyki. To miejsce najbardziej wysmakowanych zabaw w stolicy, a zarazem jedyna część Teatru Wielkiego, która przetrwa niemiecką okupację. W tym momencie odbywa się maskarada połączona z loterią dobroczynną. Nagle z budynku wypada ewidentnie roztrzęsiona, elegancko ubrana kobieta w futrze. Zmierza prosto do taksówki. „Kazała się na spacer wieść w Aleje Ujazdowskie – wspomina Sękowski. – Zdziwiłem się, że tak rozgrzanej chce się na mroźnym powietrzu spacer urządzać. Samochód był torpeda, odkryty”. Pasażerka jednak wcale nie chodzi o spacer.

„Gdy się zatrzymałem, nie wysiadła, a przesiadła się na przednie siedzenie obok mnie (...). Zaczęła mi się bacznie przyglądać. Zmieniając dyspozycje, kazała pojechać do jakiegoś nocnego lokalu poza miasto. Nie mając jeszcze pewności, o co jej chodzi, postanowiłem ją zawieźć do oddalonego najdalej od stolicy interesu nocnego, do »Czarnej Strugi«. W czasie jazdy pasażerka wypytywała mnie, czy



jestem żonaty i dzieciaty, ile mam lat, jakie wykształcenie”. Sękowski był żonaty, w tym czasie miał też już przynajmniej jedno dziecko. Co do edukacji – nic, czym można by się chwalić. Trudno jednak podejrzewać, by taksówkarz na którekolwiek z pytań odpowiedział szczerze.

„O sobie mało mi powiedziała. Tylko, że ma lat dwadzieścia dwa, jest meżatką zdradzaną przez męża i czuje się przez to samotną i opuszczoną. (...) Teraz ja przyjrzałem się jej badawczo, ale trzymałem się sztywno. Może to tylko prowokacja z jej strony. Gdy oparła swą ufryzowaną główkę na moim ramieniu i przytuliła się do mnie, to zapach jej perfum odurzył [mnie] o tyle, że pomyślałem: »Dzierlatka warta grzechu. Kujmy żelazo póki gorące«<sup>1</sup>.”

---

Zdrada małżeńska istniała zawsze. Rewolucja seksualna lat międzywojennych przyniosła jednak ze sobą zjawisko bezprecedensowe w europejskiej kulturze: zdradę w wykonaniu kobiet. Oczywiście, w ukryciu zdarzała się ona, podobnie jak zdrada męska, od zarania cywilizacji. W polskich dziejach znamienny jest przykład dynastii Jagiellonów. Na dobrą sprawę nie wiadomo, czy ten dom panujący w ogóle istniał. Nie licząc małoletniej Jadwigi, wszystkie żony Władysława Jagiełły oskarżano o niewierność. A szczególnie – Zofię Holszańską, która w ostatniej możliwej chwili obdarzyła stetryczalego, dobiegającego siedemdziesiątki króla dwoma synami. Historię tę znamy w związku z wielkim skandalem politycznym. Królowa musiała przez lata walczyć o własną pozycję i o przyszłość swoich dzieci. Ośmieszono ją, a jej rzekomych kochanków skompromitowano w publicznych

procesach. I to mówi wszystko o tradycyjnym podejściu do kobiecej zdrady<sup>2</sup>. Mogło do niej dochodzić tylko w atmosferze hańby lub – w całkowitej tajemnicy<sup>3</sup>.

Teraz to się zmieniło. Z początkiem XX wieku niewierność kobiet weszła do debaty publicznej. Dyskutowano o niej na łamach prasy, żartowano z niej, godzono się z tym, że dotyczy wielu, a może nawet większości żon. Charakterystyczne opowiadanie opublikował w 1931 roku Stanisław Bal. W utworze *Trzy cienie* spotykają się w parku trzej – a jakże – emeryci. Grzejąc łyse głowy na oblanej słońcem ławeczce, dyskutują o instytucji małżeństwa. Pierwszy z nich, Mecenas Z., twierdzi, że mimo wszystko związki sakramentalne mają dobre strony. Tyle tylko, że ich urok można poznać dopiero po... dwudziestu pięciu latach. Odnawiając przysięgę podczas srebrnych godów, mąż wreszcie wierzy, że żona szczerze ślubuje mu wierność i dozągonną miłość. Drugi dyskutant, doktor G., przytakuje:

*Prawda to... szczerą prawdą. Po dwudziestu pięciu latach mąż przychodzi do przekonania, że żona jest najbliższą dlań istotą. A dlaczego? Bo jest zupełnie SPOKOJNY, że nic mu ze strony małżonki NIE GROZI. Że nikt mu jej nie sprzątnie sprzed nosa. (...)*

*Oblubienica srebrnoweselna jest jeszcze przez pewien czas w rozterce duchowej ze sobą. Trudno biedaczce pogodzić się z myślą, że nastąpiła pora, kiedy trzeba stać się wierną swemu mężowi. Ale po pewnym czasie przyzwyczajając się zaczyna do swej nowej roli – wiernej małżonki. Nawet staje się cnotliwa. Bogobojna*  
<sup>4</sup>.

Słowem, sielanka. Wpierw tylko mężczyzna musi przetrwać ćwierć wieku poniewierki, kłamstw, samotności i niepewności. Bo, jak ze

smutkiem stwierdził trzeci uczestnik rozmowy, emerytowany radca ministerialny Anicet Stęchlicz, pojęcie małżeństwa dwojga ustąpiło małżeństwu trojga.

Można by oczywiście zbagatelizować całą tę historyjkę, przyjmując, że Stanisław Bał tylko sobie żartował. Dla rozbawienia czytelników obsadził mężczyzn w dokładnie tej roli, w jakiej przez stulecia znajdowały się kobiety. Dziesiątki innych tekstów wskazują jednak, że to nie był kawał. Początki trendu dostrzegł jeszcze przed pierwszą wojną światową Stanisław Kurkiewicz. Pisał, że po trzydziestym roku życia u mężatek rodzi się „większa śmiałość płciowa”. To zaś często prowadzi do wiarołomności<sup>5</sup>. W dwudziestoleciu międzywojennym motyw kobiecej niewierności do znudzenia eksploatowały tabloidy i erotyzujące pisemka. „Niektóre mężatki dlatego tylko nie zdradzają mężów, że nie mają ku temu sposobności” – zapewniał „Amorek” w 1924 roku<sup>6</sup>. W innym numerze to samo pismo wyjaśniało, jak należy rozumieć określenie „słaba płeć”: „Miała trzech starających się. Najbogatszego wybrała na męża, pozostałych zrobiła swymi kochankami. Cóż mogła uczynić słaba kobieta wobec trzech mężczyzn?”<sup>7</sup>. Można by się śmiać. Lepiej jednak przeczucić parę stron i spojrzeć do rubryki ogłoszeń. Na przykład na anons: „MAŻ WYJECHAŁ, nudzę się sama. Pragnę nawiązać korespondencję w celu ewentualnej znajomości”<sup>8</sup>. To już nie był dowcip.

Kobiecej niewierności poświęcano także całe opowiadania. Powszechność zjawiska była już sprawą oczywistą. Zamiast je prezentować, autorzy zgłębiali technikę zdrady, związane z nią obyczaje i instytucje. Utwór *Niespodzianka* rzuca światło na terminologię obowiązującą ludzi angażujących się w pozamałżeńskie relacje.

Przykładowo „kobieta światowa” to mężatka potrafiąca zachować dyskrecję i oddzielić życie rodzinne od niezobowiązujących zabaw z przyjacielem. *Przygoda Pani H.S.* pokazuje, w jaki sposób można zdobyć kochanka lub kochankę<sup>9</sup>. Główna bohaterka wychodzi na spacer po Alejach Ujazdowskich, najlepszym miejscu podrywu i nieprzyzwoitych propozycji w całej Warszawie. Dokładnie takim, w jakie – zdaniem autora – powinna udać się kobieta „potrzebująca nadzwyczajnych podniet”. Kolejne opowiadanie, *Szacunek względem kobiet*, traktuje o seksie na pierwszej randce z potencjalnym kochankiem<sup>10</sup>. Zdaniem autora kobiety mogą się wzbraniać przed stosunkiem, ale w rzeczywistości właśnie tego oczekują. Z opowiadania *Silniejsze niż miłość* wynika wręcz, że mężatka powinna przejąć inicjatywę i zaciągnąć pożądanego mężczyznę prosto do jego mieszkania. W przeciwnym razie ten zapali papierosa, obróci się na pięcie i pójdzie „grać w karty ze znajomymi”<sup>11</sup>.

Niezwykle popularnym motywem były także restauracyjne „gabinety”. Obecnie większość restauracji posiada jedną lub kilka publicznych sal z ustawionymi obok siebie stolikami. Przybytki z osobnymi pokojami przywodzą na myśl raczej nagrywanie nieostrożnych polityków niż romantyczną kolację. Przed wojną było inaczej. Wielką popularnością cieszyły się restauracje z dyskretnymi „gabinetami”. To tam pan mógł zabrać panią – albo pani pana – na intymne spotkanie w cztery oczy. Nie musieli obawiać się, że ktoś ich zauważy lub rozpozna. Obsługa zapewniała pełną dyskrecję. Często tak daleko posuniętą, że restauracja przemieniała się w hotel na godziny z wyżywieniem<sup>12</sup>.

Wreszcie były też opowiadania pokazujące, jak daleko może

posunąć się swoboda obyczajowa nowoczesnych kobiet. W jednym dama w towarzystwie własnego męża przystępuje do podrywania przystojnego aktora<sup>13</sup>. W innym kobieta z własnej inicjatywy sypia z szefem swojego męża, by zapewnić mu szybszy awans<sup>14</sup>. Jest również i Janina uprawiająca seks z Makssem – kolegą męża z pracy. I nie byłoby w jej historii nic wyjątkowego, gdyby nie fakt, że przypadkiem spotyka się na jednej orgietce z Makssem, swoim mężem i jego kochanką...<sup>15</sup>

Czytając podobne utwory, łatwo zapomnieć, że stanowią odbicie realiów epoki. A nie zupełną, literacką fikcją. Ponury, osadzony w prozaicznej codzienności przykład kobiecej zdrady przedstawił Tadeusz Boy-Żeleński. W zbiorze *Dziewice konsystorskie* zacytował list, który pewien prosty rolnik wysłał do kurii biskupiej, bezskutecznie prosząc o unieważnienie swojego małżeństwa:

*W roku 1912 (...) zawarty został związek małżeński pomiędzy mną a pozwaną. W krótkim czasie po ślubie zauważyłem, że jawnie jestem zdradzany przez żonę, która zaczęła prowadzić życie rozpustne, nawiązując coraz to nowe znajomości z rozmaitymi podejrzanymi osobnikami. W roku 1914 (...) powołali mnie do czynnej armii (...). Wówczas pozwana, korzystając z mojej nieobecności, nadal uprawiała stale orgię pijacką i rozpustę, żyjąc na zmianę coraz to z kim innym (...). Żadne perswazje, tak ze strony mojej, jak i rodziny jej oraz znajomych, ażeby powróciła do życia legalnego, skutku nie odniosły<sup>16</sup>.*

Temat kobiecej zdrady trafiał rzecz jasna również na karty poradników. Zajmowali się nim tak postępowcy, jak i zwyczajni szowiniści. M. Gabriow przestrzegał w *Kulcie błony dziewiczej* przed braniem za żonę atrakcyjnej kobiety:

*Uroda jest dość rzadkim zjawiskiem i mniej dostępnym dla celów matrymonialnych ze względu na duży popyt w dziedzinie luźnych stosunków płciowych. Wprowadza raczej za sobą do małżeństwa (...) pewne ujemne wpływy (...). Odznaczająca się niepospolitą pięknnością żona zwraca ku sobie oczy innych, staje się celem pożądania wielu lepiej fizycznie i materialnie usytuowanych [mężczyzn], którzy czekają tylko na sposobność, aby wykorzystać pierwszą lepszą słabą chwilę kobiety*<sup>17</sup>.

Dla Gabriowa kobiety były ofiarami, tak w tym, jak i każdym innym przypadku. Uwodzicielem mógł być wyłącznie mężczyzna. Inni autorzy nie byli co do tego równie przekonani. J.A. Boswer, odpowiedzialny za poradnik *Jak unikać zdrady i rozczarowań w małżeństwie* przestrzegał przed „zarozumiałymi i próżnymi” żonami. „W wielu wypadkach, co zostało stwierdzone statystycznie, zaobserwowano u kobiet zbyteczną kokieterię, obłudę i skłonność do kłamstwa, co jest pierwszym krokiem do zdrady” – pisał<sup>18</sup>. I łatwo poznać, że jego tyrada przeciwko kobietom to nie tyle objaw obrzydzenia kokieterią, co raczej efekt strachu przed zachwianiem się męskiej dominacji w świecie seksu.

Z tą nową rzeczywistością można było albo walczyć, albo się z nią pogodzić. Marian Sękowski wybrał drugą opcję. „Nie łudziliśmy się, że cnota kobieca może być opoką. W hotelach, salonach piękności, gabinetach restauracyjnych, a nawet w taksówkach uprawiały nierząd panie, obnoszące na zewnątrz swoją cnotę” – wspominał. A przy okazji przyznawał: „Kierowcy korzystali ze sposobności przeżycia przygody z obcą kobietą. Czerpali z tego doświadczenia dla przekazania własnej żonie”. W przygodnym seksie w godzinach pracy nie widział nic złego. Przecież sam też go uprawiał.

---

Samochód podskakiwał na wybojach, wzbijając tumany pyłu zmieszanego ze śniegiem. Do „Czarnej Strugi”, położonej pod Wołominem, było dwadzieścia pięć kilometrów. Przy stawkach z lat dwudziestych za taki kurs można było dostać ponad dziesięć złotych. Świetny interes. Nawet w najlepszych latach szoferzy zarabiali nie więcej niż trzysta złotych miesięcznie. A tym razem Marian Sękowski liczył jeszcze na kurs powrotny. Rozsiadł się wygodniej w fotelu i objął pasażerkę w pół, tylko lewą rękę pozostawiając na kierownicy. „Tak dojechaliśmy pod restaurację w Strudze” – wspominał.

„Wysiadła, polecając postawić mi samochód (...) [i] przyjść do restauracji na wspólną kolację. Zapłaciła, co wybił taksometr, a ja w tym momencie zajrzałem jednym okiem do portmonetki. Zobaczyłem niezły pakiecik banknotów. Więc dama ma pieniądze. Inaczej bym nie poszedł. (...)”



„W gabinecie” (rys. „Nowy Dekameron”, 1924).

Umyłem się, oczyściłem i poszedłem do swej pasażerki, która zajęła stolik w gabinecie. Dla pewności szepnąłem jej, żeby dała mi pieniądze na uregulowanie rachunku, bo to nie wypada, by kobieta w towarzystwie mężczyzny płaciła (...). Na tyle jestem »gentlemenem«. Bardzo jej się to podobało, wręczyła mi trzysta złotych. Teraz byłem spokojny. To była suma wystarczająca. Tak się zaczęła moja pierwsza i nie ostatnia taksjarska przygoda z kobietą mi nie znaną”.

## **Małżeństwo czworga**

Skąd brała się fala kobiecej niewierności? Podejrzanych nie szukano daleko. Po pierwsze, publicyści zrzucali winę na szeroko rozumiany postęp. Te same przyczyny, które doprowadziły do seksualnego



wyzwolenia drugiej płci, miały też skłaniać ją do zdrady. Justyna Budzińska-Tylicka, jedna z pierwszych polskich sufrażystek, a w wolnej Polsce swoista nestorka ruchu feministycznego, pisała w 1935 roku: „My, (...) pionierki i emancypantki wyzwalających się kobiet, pragnęłyśmy, lat temu trzydzieści-czterdzieści, rozstrzygnąć kwestię istniejącej innej moralności dla mężczyzn i innej dla kobiet, przez podniesienie mężczyzn do wyżyny cnoty niewieściej (...). Życie idzie drogą łatwiejszą: kobieta współczesna (...) ześlizguje się w dół do mężczyzny, ku nizinom zabłoconym”<sup>19</sup>. Autorka miała już wówczas prawie siedemdziesiąt lat. Mimo to z łatwością dostrzegała nowe trendy w polskiej obyczajowości. Pisała o życiu „na przełomie”, „w momencie przewartościowania nowych wartości erotycznych obojga płci”. Nie była w stanie ocenić, czy swoboda seksualna kobiet to efekt „nowego dziejowego zwrotu”, czy tylko „patologiczne, przejściowe zjawisko”. Ale sam fakt, że żony zaczęły na potęgę szukać odpowiadających im „duchowo i fizycznie” mężczyzn poza małżeństwem, nie ulegał dla niej wątpliwości.

Stanisław Bal zwrócił uwagę na to samo zjawisko w zakończeniu *Trzech cieni*. Opowiadanie zamyka wzmianka o losach bratanka ostatniego z dyskutantów, Aniceta Stęchlicza. Przezorny chłopak po ślubie trzymał swoją żonę przez rok pod kluczem, nie wypuszczając jej nawet do kawiarni, nie mówiąc o kinie czy dancingu. Ta wreszcie nie wytrzymała i zagroziła separacją. Dopiero wtedy bratanek wyjaśnił: „Widzisz ja kocham cię i szanuję (...). Uchroniłem od karykatury małżeństwo nasze. Nikt o nas nie może powiedzieć: oto małżeństwo współczesne... trojga”. Żona nie przyjęła argumentacji. Ripostowała, że przecież „świat cały używa i bawi się”. A poza tym: nie można żyć samą

miłością. Mężczyzna wreszcie uległ, zabrał żonę do kawiarni... i to wystarczyło. Dosiadł się do nich dawny przyjaciel i już zadbał, aby połowicy młodego Stęchlicza nie brakowało rozrywek. Na koniec powstało „małżeństwo trojga”, którego tak bardzo bał się główny bohater i które podobno było nowym rysem rzeczywistości. Ta historia nie jest jednak kompletna. W rzeczywistości „małżeństwo trojga” musiało istnieć już wcześniej. Jeśli Stęchlicz był typowym przedwojennym mężczyzną, to sam też miał kochankę. Albo i kilka kochanek.

Pod koniec 1925 roku „Nowy Dekameron” opublikował krótki dowcip. Niewierna żona mówi do swojego małżonka: „Dlaczego nie miałabym mieć kochanka? Twoja kochanka ma przecież jednego, nie licząc tych, których nie znam”<sup>20</sup>. Niby to tylko zwyczajny kawał, a jednak wskazuje na kolejny, nie mniej istotny aspekt kobiecej niewierności. Wiele żon zdradzało, bo to samo bezkarnie robili ich mężowie. Działy w poczuciu, że im się należy. Albo nawet – że to ich mężom należy się nauczka.

W numerze z końca 1924 roku „Nowy Dekameron” wyjaśniał: „Mężczyzna dotrzymujący wierności pięknej kobiecie podobny jest milionerowi, który nie kradnie”<sup>21</sup>. Z kolei „Amorek” prezentował notatnik zamożnego warszawiaka. Zeszyt, w którym wydatki na żonę i teściową mieszają się z kosztami utrzymania kochanki. Jednego dnia złotówka na dorożkę dla żony jadącej do teatru, drugiego sześćdziesiąt złotych na kolację z Helcią. Jednego sześćdziesiąt dla żony na bieżące wydatki, drugiego sześćset na potrzeby Helenki...<sup>22</sup> Ponownie był to raczej komentarz do rzeczywistości niż dowcip. Jeszcze w 1931 roku poradnik *Miłość małżeńska w świetle nauki* podawał: „Mężczyźni są

(...) przeświadczeni, że w okresie małżeństwa mogą korzystać z wolności płciowej i że to się nie nazywa zdradą żony. Wielu ma już w chwili ślubu gotowy plan jakiejś małej zdrady, inni mają zamiar wykorzystać pierwszą okazję, która się nadarzy”<sup>23</sup>. Brzmi to jak kalka dziewiętnastowiecznej „podwójnej moralności”; zupełnie jakby od 1850 roku nic się nie zmieniło. W rzeczywistości jednak w męskiej zdradzie także nastąpiła mała rewolucja. W poprzedniej epoce to był temat, o którym się nie rozmawiało. Teraz stał się sprawą równie publiczną, co niewierność kobiet.

Mężowie nie mogli już dłużej liczyć, że żony będą się na wszystko milcząco zgadzać. Moment przełomu perfekcyjnie uchwycił Stanisław Bal w opowiadaniu *Złote gody*. Główny bohater Kalikst przygotowuje się właśnie do pięćdziesiątej rocznicy ślubu, jednocześnie układając plany nowego romansu. Niespodziewanie jego projekty w drobny pył rozbija żona – posłuszna i cicha istota, która nigdy nie wchodziła mu w drogę. W dniu hucznej uroczystości mężczyzna dokonuje szokującego odkrycia. Okazuje się, że ona wcale nie była głupią i ślepą gąską. O wszystkim wiedziała, bacznie obserwowała każdy jego romans w ciągu półwiecza. I teraz przystępuje do bezlitosnej, moralnej chłosty. Wylicza wszystkie jego potknięcia, kłamstwa, grzechy i kompromitacje. Nie przebiera w słowach. Pokazuje Kalikstowi, jakim był i jest bydlakiem. Nawet wyśmiewa go, że kiedyś miał takie powodzenie u kobiet, a teraz próbuje uwieść sześćdziesięciolatkę z sąsiedztwa. Wreszcie jasno oznajmia, że czas romansów dobiegł końca: „Widzę z twych oczu, że mi przyznajesz rację i że (...) wyrzekniesz się tej jubileuszowej miłości. Łzy, jakie zabłyśły w twych oczach upewniają mnie, że od dnia dzisiejszego ostatecznie staniesz się wzorowym

i kochającym wyłącznie mnie – małżonkiem”<sup>24</sup>.

Małżeństwo Kaliksta to jeszcze związek w starym stylu. Dziewiętnastowieczne, pragmatyczne stadło. Zarazem to jedno z tych małżeństw, które moralisci stawiają za wzór młodemu pokoleniu. W tekście pada wzmianka o gratulacjach od najwyższych władz państwowych. „Pan Prezydent Rzeczypospolitej przez swego adiutanta ma przesłać nam wyrazy życzeń, jako tym, którzy wyrażać mają symbol wierności małżeńskiej. Zdeprawowane wojną społeczeństwo i rozluźnione węzły małżeńskich ogniw – za przykładem nas – bardziej zazębią się i utrwala to, co stanowi podstawę społeczeństwa, rodzinę” – relacjonowała żona Kaliksta. Jej słowa to tak naprawdę otwarte szyderstwo autora z międzywojennej hipokryzji. Z ludzi gotowych przekuć przykład zupełnego zepsucia i kłamstwa na wzór do naśladowania. Zarazem jednak *Złote gody* to przestroga na przyszłość. Bo autor wie, że młode żony nie będą już czekać pięćdziesiąt lat, by powiedzieć swoim Kalikstom, co myślą. Wyłożą kawę na ławę od razu. Albo – same zaczną zdradzać.

---

Marian Sękowski w Czarnej Strudze spędził całą noc. Wspominał, że do Warszawy wracał „podkarmiony” i „syty wrażeń”. Jako dżentelmen żadnych dodatkowych szczegółów nie zdradził – przynajmniej tym razem. „Co było dalej między nami, o tym się nie pisze – zadeklarował. – Podwiozłem ją pod postój taksówek, gdzie się przesiadła, bo nie chciała widocznie, bym znał jej adres. Zwykła mężatki ostrożność. Nie miałem jej tego za złe, bo wystarczyły mi przeżyte chwile i to, że przygoda była z damą. Nie traktowałem takich sytuacji inaczej, jak

tylko przygodę seksualną, dlatego nie uważałem tego za zdradę żony”.

## **„Wszystkie są potworami, kłamczynie zepsute”**

Zemsta była wyjaśnieniem prostym i przekonującym, ale nie każdemu wystarczała. Wielu publicystów wierzyło, że zjawisko to ma o wiele poważniejsze podstawy. „Nowy Dekameron” poświęcił tej kwestii jeden ze swoich najbardziej wnikliwych tekstów. *Kronika sercowa* to spojrzenie na niewierność kobiet z dwóch perspektyw – wytrawnego, niemalże zawodowego amanta oraz zdradzającej żony<sup>25</sup>. Pierwszy przyznaje wprost: wina leży niemal zawsze po stronie męża. I nie chodzi tylko o jego skoki w bok. „Jedni naprzykrzają się połowicom swoimi ciągłymi zdradami, drudzy chłodem, inni znowu brutalnością. Doprawdy niewielu jest takich, którzy wzbudzają litość – tłumaczy bohater utworu. – Nie sądzicie, że biorę w obronę sentymentalne i histeryczne krówki, które przy lada okazji wznoszą oczy do sufitu i zwierają się swym przyjaciółkom »że są osamotnione«.



„Współczesna moda” (rys. „Nowy Dekameron”, 1924).

Ale jest mnóstwo małzonek, którym zarzucić nie można fałszywego kroku, a które jednak nie mają tej pociechy, aby ich pan i władca był im przyjacielem. Między nimi wznosi się mur tajemniczy, który przekroczyłyby chętnie przy czyjejś pomocy. Na nieszczęście nikt nie podaje im dłoni. Zmuszone są przebywać po tamtej stronie muru...”  
Zaczynają szukać towarzystwa, wrażeń, odrobiny życia, której tak bardzo brakuje im w domu. A mężowie uparcie niczego nie zauważają.  
Amant pisze dalej:

*Nie ma nic komiczniejszego nad zdumienie [jednego z] tych panów, kiedy wychodzi na jaw (...), że był oszukiwany. Ta żonka, którą wyobrażał sobie, iż jest niezmysłowa, ponieważ co wieczór, kiedy kładła się spać, odwracała się natychmiast, ta kobieta, która była tak spokojna w jego ramionach, była zakochana do szaleństwa w ramionach innego mężczyzny!*

*Można się wściec! Na tym padole tylko kłamstwa i obłuda! I rogacz rzuca przekleństwa na wszystkie córy Ewy. Wszystkie są potworami, kłamczynie zepsute. Nawet na chwilę nie przyjdzie mu na myśl, że jest więcej winny aniżeli połowica jego.*

Doświadczony podrywacz był zdania, że część zasług (winy?) leży także po stronie ludzi takich jak on – uwodzicieli potrafiących obudzić w kobiecie seksualną pasję, przyciągnąć ją do siebie, skłonić do przełamania barier pruderii. Z tego błędu wyprowadziła go wreszcie jedna z kochanek. Po pierwszej, upojnej nocy wysłała do niego długi list, wyjaśniający, dlaczego zdecydowała mu się oddać po trzech miesiącach zdecydowanych odmów.

*Przyjacielu mój, (...) sądziłeś niezawodnie, że zjednałeś mnie sobie (...). Na tym polega błędna droga rozumowania, której unika niewielu mężczyzn. Chętnie sobie wyobrażają, że są wielkimi uwodzicielami i że mężatki rzucają im się w ramiona z miłości. (...)*

*[Tak naprawdę] najczęściej nie szukamy kochanka, a oddalamy się od męża. Wtedy [dopiero] znajdujemy na naszej drodze kochanka. Bez wątplenia od dłuższego już czasu znajdował się na tej drodze, ale nie spostrzegłyśmy go i może byśmy go nadal nie zauważyły, gdyby mąż potrafił zdobyć nasze zmysły i umysł.*

Autorka listu nie ukrywała, że źródła problemu tkwią jej zdaniem

w tradycyjnym podejściu do małżeństwa. W dwudziestoleciu wielu mężów wciąż bagatelizowało rolę seksu z żoną. Wydawało im się nawet, że w ten właśnie sposób chronią swój związek przed kłótniami i groźbą zdrady. W razie potrzeby mogli powołać się na fachową literaturę. Jeszcze w 1931 roku autor poradnika *Miłość małżeńska w świetle nauki* przestrzegał przed robieniem z żony kochanki. Z oburzeniem pisał o mężczyznach, którzy „zamiast stosować w chwilach szału pewną powściągliwość i otaczać swą żonę pewnym szacunkiem, zaznajamiają ją ze wszystkimi rozkoszami miłości”. A tym samym sprowadzają ją do roli miłośnicy i skazają jej instynkt macierzyński. „Kobieta, która jest kochanką swego męża, o wiele łatwiej da się skusić i pozwoli się opanować przez innego mężczyznę niż żona chłodna i czysta” – przekonywał autor. Bohaterka utworu „Nowego Dekameronu” była dokładnie odwrotnego zdania.

*Przyjacielu mój, kiedy ci się oddałam, powiedziałeś mi komplement, który mnie zachwycił i zmieszał niezwykle. Rzekłeś wtedy, iż jestem „piękną kochanką”. Uśmiechnęłam się, przyjąłam tę pochwałę bez drgnienia powiek, jakbym już od dawna zdawała sobie sprawę z moich zalet. A jednak było zupełnie inaczej (...).*

*Kilkakrotnie usiłowałam przekonać męża, że obowiązek małżeński staje się pańszczyzną (...). Obraził się. Pewnego wieczoru w zdenerwowaniu nazwałam go egoistą i niezręcznym. Cała pycha męska wzburzyła się w nim. Odpowiedział słowami obraźliwymi. Mówił mi o licznych kochankach, jakie miał przed ślubem, i chlubił się, że je wszystkie uszczęśliwiał. Rzekł mi i to z jaką goryczą! – że (...) dowodzi to, iż nie jestem podobna do innych kobiet.*

W odpowiedzi stała się podobna do innych kobiet. Zaczęła odgrywać



komedie szczęśliwej małżonki, jednocześnie szukając prawdziwych uciech „po drugiej stronie muru”. W ostatnich zdaniach listu zapewniała swojego przyjaciela: „Nie odczuwam wyrzutów sumienia, że mam kochankę. Nie moja w tym wina, że tym kochankiem nie jest mój mąż!”. Autor *Kroniki sercowej* sugerował, że wystarczy otworzyć oczy mężczyznom, a ci sami będą w stanie utrzymać żony przy sobie. Wielu specjalistów było podobnego zdania.

Sprawę obracano na różne strony. Po pierwsze, szukano nowych, lepszych pretekstów dla małżeństwa. Dla wszystkich publicystów było już jasne, że związek na całe życie nie może opierać się wyłącznie na transakcji handlowej, w której mężczyzna kupuje sobie gospozię i nawet nie musi jej płacić pensji. Popularnym argumentem stała się miłość, w tym także miłość fizyczna. Wiara w to, że małżeństwa powinny opierać się na uczuciach wcale jednak nie była powszechna. Paweł Klinger z jednej strony podawał, że „prawie wszystkie niedole małżeńskie, a więc zdrada, zazdrość, nuda, obojętność, nienawiść lub chłód” dają się wytłumaczyć „przez czynniki seksualne”. Z drugiej – ponuro stwierdzał, że każda „miłość się zmienia, jak wszystko na świecie. Płonne są przeto nadzieje wiecznej miłości”<sup>26</sup>. Autorka wydanego w 1921 roku poradnika *Przy kądzieli. Pogadanki dla kobiet o ważnych sprawach* przekonywała, że w takim razie małżeństwo powinno opierać się na stabilnym fundamencie obopólnej przyjaźni<sup>27</sup>. Wreszcie był też argument rasowy. Dwudziestolecie międzywojenne to okres olbrzymiej fascynacji eugeniką. Nie tylko w Niemczech, ale też w Polsce nawoływano do podporządkowania działań całego społeczeństwa idei stworzenia doskonalszego człowieka przyszłości<sup>28</sup>. Już na początku wieku lekarka Justyna Budzińska-Tylicka

przekonywała, że dobierając się w pary, należy w pierwszej kolejności uwzględniać „zdrowie cielesne i moralne” oraz „obciążenia dziedziczne”. „Staramy się wszelkimi środkami i sposobami udoskonalać rasy naszych zwierząt domowych i widzimy pod tym względem ogólny postęp. A co się robi dla udoskonalenia rasy ludzkiej?” – pytała retorycznie<sup>29</sup>.

Propagatorzy reformy seksualnej nie wierzyli, że którakolwiek z tych recept zadziała. Skala problemu ich zdaniem dawno wymknęła się spod kontroli, a jego korzenie tkwiły nie w męskiej nieudolności, ale w samej instytucji małżeństwa.

---

*Dziś, jak głosi plotek wieść, spadły mocno akcje żony.  
Gdy go prosi – „mężu pieść”, odpowiada, że... zmęczony  
Gdy zaś on w natchnieniu był, ona była niewzruszona,  
„Daj mi spokój, brak mi sił, widzisz, jestem dziś zmęczona”.*

*Żyją z sobą od niechcienia, dziwnie im się życie plecie.  
On ma ciągle... posiedzenia, gdzieś z dziewczynką w gabinecie.  
I gdy pełen, wrażeń syty, z rana wraca do swej żony,  
To śpi potem, jak zabity, bo szalenie jest zmęczony.*

*Gdy zaś męża nie ma w domu, żona ma dzień pracowity.  
W tajemnicy, po kryjomu, wciąż intymne ma wizyty.  
To przychodzi pan Antoni, chłopczyk zgrabny, ładny, zwinny,  
Lub pan Adam do drzwi dzwoni, ale typ to całkiem inny...”*

*Los typowego, starego  
małżeństwa w utworze*

*Małżeństwo XX wieku  
opublikowanym przez  
„Amorka” w 1924 roku<sup>30</sup>.*

## **Ofensywa przeciw zazdrości. Poligamia dla każdego**

Na sto tysięcy małżeństw tylko trzynaście jest naprawdę szczęśliwych – 0,013%. Dokładnie do takich wniosków doszli autorzy szeroko zakrojonego badania przeprowadzonego w 1928 roku we Francji. Szczegółowe wyniki przytoczył Paweł Klinger. Z ankiety wynikało, że na wspomniane sto tysięcy legalnych związków:

*Od mężów uciekło żon: 1 131*

*Od żon uciekło mężów: 2 348*

*Prawnie rozwiedzionych: 4 175*

*W jawnej wojnie żyje: 13 345*

*W wojnie „podjazdowej”: 13 278*

*Nawzajem obojętnych: 55 250*

*Uważanych za szczęśliwe: 3 175*

*Prawie szczęśliwych: 127*

*Naprawdę szczęśliwych: 13*

*Bliżej nieustalonych: 7 158*

Zarówno Klinger, jak i Tadeusz Boy-Żeleński postulowali, by poddać weryfikacji podstawowe założenia małżeństwa. Ewidentnie przecież nie działały. Ważnym źródłem inspiracji dla zwolenników „reformy seksualnej” były prace angielskiego filozofa Bertranda Russella. W książce *Małżeństwo i moralność* – wydanej w języku polskim

w 1931 roku – głosił pogląd, że monogamiczne, trwałe związki to piękny ideał<sup>31</sup>. Ale właśnie – ideał. A więc rzecz, do której większość ludzi po prostu się nie nadaje. Podobne zdanie miał też Ben Lindsey, znany dzięki swoim *Małżeństwom koleżeńskim*<sup>32</sup>. Boy wyjaśniał w 1932 roku:

*Lindsey i Russell wypowiadają się przeciwko tyranii zazdrości, tyranii odziedziczonej w znacznej mierze po innych stadiach cywilizacji. Lindsey dopuszcza śmiało możliwość stadła, które się kocha [na]wzajem, ale w którym każda strona odczuwa potrzebę nowych przeżyć. (...) „Gdyby więcej ludzi zerwało z tradycjami i żyło wedle własnego tajemnego przekonania, wówczas byłoby więcej szczęśliwych małżeństw i mniej rozwodów; gdyby małżeństwa kierowały się indywidualnymi skłonnościami, a nie rutyną, przyniosłoby to nieobliczalne korzyści” – powiada ten sędzia<sup>33</sup>.*

Sam Boy oceniał, że właśnie zazdrość jest przyczyną nawet 90% małżeńskich nieszczęść. Był głęboko przekonany, że z niewiernością nie da się wygrać. A nawet nie ma sensu wygrywać, bo to świadczyłoby o hołdowaniu prymitywnym obyczajom rodem z wieków średnich. Lepiej ją zaakceptować i stawić opór „podejrzliwemu, brutalnemu egoizmowi” wyniesionemu do rangi „kardynalnej cnoty”. „Naturalnym jest pragnienie zajmowania jedyne miejsce w sercu ukochanej istoty, ale szpetnym egoizmem jest bronić tego miejsca siłą. Miłości nie da się wymusić” – podkreślał.

Głos zabrała także Irena Krzywicka. Wiedziała, o czym mówi. Żyła w środowisku, w którym rozkład tradycyjnego małżeństwa był faktem dokonany. „Każda prawie z moich znajomych (...) miała takie

podwójne stosunki, nie mówiąc już o mężczyznach” – wspominała otwarcie<sup>34</sup>. Dotyczyło to także jej najbliższej rodziny. Pewnego dnia Krzywicką odwiedziła szwagierka, ale nie z mężem, tylko z kochankiem. Na dodatek ten „piękny chłopak (...) z miejsca zaczął się przystawiać” do samej Krzywickiej. Kiedy indziej publicystka wpadła podczas spaceru nad Wisłą na swojego (oczywiście żonatego) wujka w towarzystwie obcej kobiety. Okazało się, że nie tylko jest związany z mężatką, ale też – ma z nią kilkuletniego synka. Ireny to nie dziwiło, a już na pewno nie gorszyło.



„Dotychczas w dobrym tonie było uważać, że tylko wstępne stadia miłosne są ważne, że z chwilą oddania się już coś umiera, już się coś kończy... Nonsens oczywisty: zespolenie się ciał jest

początkiem każdej prawdziwej miłości”. Irena Krzywicka o znaczeniu seksu (rys. „Amorek”, 1924).

W artykule z 1931 roku przekonywała, że wraz z postępowaniem cywilizacji: „kiedy życie nastęrcza więcej możliwości, kiedy fantazja ludzka, wspomagana przez literaturę, coraz silniej działa na psychikę ludzką, niepodobna poprzestać na jednym mężczyźnie albo na jednej kobiecie, zwłaszcza że przeżycia zmysłowe mają nieszczęsną skłonność do blaknięcia z czasem”<sup>35</sup>. Krzywicka nie była przeciwniczką małżeństw ani ich trwałości. Wręcz przeciwnie. Przekonywała, że nie należy rozwodzić się z błahych powodów, a już tym bardziej wtedy, gdy przyczyną nieporozumień jest „tzw. niewierność – brzydkie słowo i głupie pojęcie”. Realizowała te postulaty we własnym życiu. Z mężem z góry umówiła się, że będą stanowić otwarte małżeństwo, pozbawione zazdrości i wzajemnych roszczeń. Propozycja takiego układu wyszła od Jerzego, ale w praktyce skorzystała na nim chyba tylko Irena. Pierwszy romans przydarzył jej się już paręnaście miesięcy po ślubie. Z przypadkowo poznanym we Francji poetą wyjechała na miesiąc na Korsykę. A mężowi nawet nie powiedziała, gdzie znikła.

Slogany Krzywickiej brzmiały łądząco podobnie do tych, formułowanych przez Tadeusza Boya-Żeleńskiego. Tak jak on wzywała chociażby do odrzucenia dotychczasowego słownika „Przestarzała terminologia miłosna: »odda się«, »wziął ją«, »zdradził« dziś nic już nie oznacza” – podkreślała w 1932 roku<sup>36</sup>. Zbieżność czasu i argumentów nie była przypadkowa. Ale nie był to też w żadnym razie

plagiat. Boy również podejmował temat zazdrości w oparciu o własne przeżycia. Był żonaty, ale niedawno poznał niezwykłą kobietę, dzięki której poczuł się o kilka dekad młodszy. On był już po pięćdziesiątce, ona – ledwo skończyła studia. Była to właśnie Irena Krzywicka. Na długie lata połączył ich bliski i zupełnie jawny związek.

Sama Krzywicka przyznawała, że w praktyce aż do wybuchu drugiej wojny światowej miała dwóch mężów. Nic więc dziwnego, że z całą stanowczością popierała najbardziej radykalne stanowisko w debacie obyczajowej. Bertrand Russell pisał w tym czasie wprost o wprowadzeniu zasady, że każde małżeństwo to związek poligamiczny:

*Obecność dzieci powinna łączyć małżeństwo na zawsze, ale nie musi to być zaporą dla innych przeżyć miłosnych. (...) Można patrzeć pobłażliwie na wszystkie dywersje. Fałszem jest zasada, że, jeśli się kogoś kocha, nie można odczuwać pociągu do kogo innego*  
<sup>37</sup>.

Przekładając rzecz na język XXI wieku, Russell postulował, by każdy bez wyjątku został swingersem. A przynajmniej bez protestów pozwolił na to małżonkowi. Krzywicka dopowiadała, że „tendencja monogamii świadczy raczej o ubóstwie życia psychicznego, możliwa jest w pełni może tylko u niektórych zwierząt i u ludów stojących na dość niskim szczeblu rozwoju”<sup>38</sup>. I nie była w swojej opinii odosobniona. To, co z dzisiejszej perspektywy może wyglądać na skrajne, hedonistyczne stanowisko, sto lat temu było tematem otwartej dyskusji w całej Europie. Przeróżne ruchy społeczne i polityczne wprost prześcigały się w promowaniu „wolnych małżeństw”, a nawet – wielożeństwa.

Pionierzy eugeniki twierdzili, że „monogamiczna moralność podkopuje fizyczny ustrój rasy”. Już na początku stulecia zgłosili pomysł tworzenia „stowarzyszeń niewieścich”. Dzięki nim uprzywilejowani rasowo mężczyźni mogliby na potęgę płodzić dzieci poza małżeństwem, a tym samym – dać odpór rosnącej w siłę „rasie wschodnioazjatyckiej”. Poligamię w zbiór swoich postulatów wplekli socjaliści. „Podobnie jak nie ulega wątpliwości, że własność prywatna jest chwilową formą ekonomiczną i z czasem ustąpi formom innym, tak samo monogamia jest tylko przejściową formą życia płciowego, po której nastąpią inne zwyczaje i obyczaje” – oznajmiano<sup>39</sup>. Wśród feministek porzucenie tyranii zazdrości promowała znana również nad Wisłą Ellen Key<sup>40</sup>. Poligamię na swoje sztandary brali też najbardziej zaciekli zwolennicy demokracji. Miała być jeszcze jednym przejawem wolności jednostki i prawa każdego człowieka do własnego zdania<sup>41</sup>.

W wielu krajach podjęto dyskusję nad legalizacją poligamii. Nawet przeciwnicy tego pomysłu często przyznawali, że zgadzają się z nim co do zasady, ale boją się społecznych konsekwencji. William Martin pisał w *Racjonalnym życiu płciowym*: „Jest faktem niezaprzeczalnym, że małżeństwo monogamiczne nie odpowiada całkowicie (...) naturze zarówno mężczyzny, jak kobiety”. W klasycznym małżeństwie widział, podobnie jak inni, przede wszystkim niedościgniony ideał. Receptę też proponował iście utopijną: „Gdyby ludzkość stłumiła przez szereg pokoleń swe skłonności poligamiczne i ściśle przestrzegała monogamii, wyschłoby bagno, które zasila i podtrzymuje niszczycielską chmurę chorób wenerycznych”<sup>42</sup>.

O zaletach monogamicznych małżeństw pisali wprost właściwie tylko publicyści ze środowisk chrześcijańskich. Na skalę całej Europy



ich głos nie był szczególnie donośny i prawdopodobnie nie byłby w stanie zatrzymać postępowych postulatów. Jednak w świetle wielkiego kryzysu gospodarczego, dojścia Hitlera do władzy i zaniku demokracji na kontynencie o sprawie po prostu zapomniano. W pewnym sensie naziści i Wall Street uratowali małżeństwo.

## **Przerabiać but czy nogę? Polskie rozwody i swingersi**

W Polsce uratował je także komunizm. W sytuacji, gdy bolszewicy zaraz za wschodnią granicą otwarcie promowali hasła wolności seksualnej, trudno było opowiadać się za nimi warszawskim politykom. Co więcej, dużo istotniejszą rolę niż w krajach Zachodu odgrywało stanowisko Kościoła. Ben Lindsey pisał: „Jeżeli but nie wchodzi na nogę, należy przerobić but, nie nogę”<sup>43</sup>. W Polsce nie ruszono ani nogi, ani buta. Po prostu nic nie robiono. Aż do 1939 roku nie udało się wprowadzić żadnej reformy prawa małżeńskiego. Nie licząc byłego zaboru pruskiego, w Polsce nie było ani cywilnych rozwodów, ani nawet cywilnych ślubów. W tym kryła się kolejna tajemnica zdrady małżeńskiej. Nieszczęśliwe pary nie miały wyjścia. Musiały męczyć się z sobą do śmierci lub szukać sposobu legalnego rozstania, obrażającego ich wiarę i zwyczajną przyzwoitość. Tadeusz Boy-Żeleński wyjaśniał, że „rozwiązanie jest u nas trojakię”:

*Jeżeli małżonkowie nie mają pieniędzy, wówczas w ogóle są poza prawem, nie mają u nas prawa do niczego. Nie ma dla nich żadnego godziwego rozwiązania sytuacji.*

*Jeżeli mają pieniądze na opłacenie adwokatów i kosztów, mogą, przy zmianie religii, przeprowadzić rozwody i „zarejestrować” się*

na nowo.

*Jeżeli mają dużo pieniędzy, w takim razie mogą sobie oszczędzić zmiany religii. Wówczas, przy pomocy paru fałszywych świadków i fałszywych zeznań, popartych w potrzebie krzywoprzysięstwem za cichą zgodą organizatorów tej komedijki, mogą po kilku latach mozołów uzyskać szczęśliwe [kościelne] unieważnienie małżeństwa*  
44.

W praktyce rewolucja i tak trwała, z tym że poza prawem. Nawet politycy bez mrugnięcia okiem przechodzili z katolicyzmu na protestantyzm, by łatwo pozbyć się pierwszej żony lub zawrzeć związek umożliwiający rozwód. Na taki manewr zdecydował się na przykład Józef Piłsudski. Wśród warszawskich elit nowym standardem stały się także zupełnie jawne małżeńskie wielokąty. Stołecznych milionerów otaczał wianuszek kochanek, a ich żony – zgraja przystojnych amantów. Obie strony wiedziały o wszystkim i nie wchodziły sobie w drogę. Ekscytowali się wyłącznie dziennikarze brukowców. I to tylko jeśli w świecie *high life*'u doszło do afery pozwalającej na moment zerwać zasłonę hipokryzji<sup>45</sup>.

Nie mniejszy skandal potrafiły wywołać małżeństwa z miłości. Także w tej dziedzinie prym wiedli przedstawiciele elit. Nawet gazety w Australii i Ameryce pisały o sprawie ślubu prezydenta Ignacego Mościckiego z sekretarką własnej, dopiero co zmarłej żony. Był rok 1933<sup>46</sup>. Pięć lat wcześniej z inną sekretarką Michaliny Mościckiej ożenił się Kazimierz Świtalski – sanacyjny polityk, minister, szef rządu<sup>47</sup>. Prawdziwym pionierem związków z miłości był jednak urodzony w tradycyjnej, ziemiańskiej rodzinie Władysław Grabski. Już w 1903 roku wbrew własnej matce poślubił Katarzynę Lewandowską –

dziewczynę skromnego pochodzenia, pracującą we dworze jako panna do towarzystwa<sup>48</sup>. Dwójka ich dzieci urodziła się jeszcze przed ślubem – ani ten fakt, ani cały mezalians w niczym jednak nie zaszkodził karierze Grabskiego jako polityka prawicy.

Tadeusz Boy-Żeleński był przekonany, że to dopiero początek zmian w polskich małżeństwach. Wieszczył, że „wychowanie dzieci przejdzie zapewne (...) na państwo, co zmieni (...) ducha małżeństwa, uprawniając wielożeństwo i wielomęstwo”. Przepowiedział nawet powstanie „sztucznego zapłodnienia” jako metody przeznaczonej dla kobiety, „która chce dziecka, a nie chce mężczyzny”<sup>49</sup>. To wszystko były dla niego elementy tego samego, nieuniknionego procesu dziejowego. „Trzeba by chyba być ślepym lub kłamcą, aby nie uznać, że porządek społeczny, że »moralność« to coś, co (...) przechodzi ciąglą ewolucję (...). Dzisiejszy bunt jest jutrzejszym prawem; dzisiejsze bluźnierstwo jutrzejszym komunalem”<sup>50</sup>.

Publicysta bardzo by się zdziwił, gdyby przeniesiono go w czasie do 2015 roku. To, co było buntem za jego życia, jest nim też dzisiaj. A to, co było bluźnierstwem – teraz jest nawet większym. Polska nie doczekała się ani legalizacji poligamii, ani nowej „ekonomii miłosnej”. O zamknięciu zainicjowanej przez Boya dyskusji na temat aborcji w ogóle nie ma sensu wspominać. Pojawiły się tylko rozwody i wciąż budzące kontrowersje in vitro. Boy nie nazwałby tego nawet planem minimum.

---

Pozycje są cytowane przy pierwszym wystąpieniu w danym rozdziale. Data ostatniego dostępu do wszystkich źródeł internetowych to 20 lutego 2015

roku.

1 Marian Sękowski, *Pamiętnik warszawskiego taksówkarza*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1978.

2 Zob. np. Bożena Czwojdrak, *Zofia Holszańska. Studium o dworze i roli królowej w późnośredniowiecznej Polsce*, DiG, Warszawa 2012.

3 Zob. np. Nina Kapuścińska-Kmieciak, *Zdrada małżeńska w dziewiętnastowiecznych pałacach i dworkach ziemiańskich*, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2013.

4 Stanisław Bal, *Trzy cienie*, w: Tegoż, *Godzina życia mężczyzny*, Księgarnia Łódzka „Czytaj”, Łódź 1930.

5 Stanisław Kurkiewicz, *Z docieków (studyów) nad życiem płciowym. Luźne osnovy (tematy). 2. Szczegółowe odróżnienie czynności płciowych*, nakł. autora, Kraków 1906.

6 „Amorek” 1924, nr 8.

7 *Słaba płeć*, „Amorek” 1924, nr 7.

8 *Ogłoszenia matrymonjalne*, „Amorek” 1924, nr 5.

9 *Przygoda Pani H.S.*, „Amorek” 1924, nr 8.

10 *Szacunek względem kobiet*, „Nowy Dekameron” 1925, nr 3.

11 *Silniejsze niż miłość*, „Amorek” 1924, nr 11.

12 Zob. np. *Rendez-vous*, „Nowy Dekameron” 1925, nr 4.

13 *Silniejsze niż miłość*, dz. cyt.

14 *W poczekalni pana dyrektora*, „Nowy Dekameron” 1925, nr 2.

15 *Niespodzianka*, „Nowy Dekameron” 1925, nr 5.

16 Tadeusz Boy-Żeleński, *Mędrzec wśród bogaczy*, w: Tegoż, *Dziewice konsystorskie*, Księgarnia Robotnicza, Warszawa 1929.

17 M. Gabriow, *Kult błony dziewiczej*, Księgopol, Warszawa 1934.

18 J.A. Boswer, *Jak unikać zdrady i rozczarowań w małżeństwie*, Lwów 1936.

19 Justyna Budzińska-Tylicka, *Świadome macierzyństwo*, Rój, Warszawa 1935.

20 „Nowy Dekameron” 1925, nr 2.

21 „Nowy Dekameron” 1924, nr 25.

22 *Romans w cyfrach*, „Amorek” 1924, nr 8.

23 Jaf i Saldo [Jean Fauconney], *Miłość małżeńska w świetle nauki*, Księgarnia Popularna, Warszawa 1931.

24 Stanisław Bal, *Złote gody*, w: Tegoż, *Godzina życia mężczyzny*, dz. cyt.

25 *Kronika sercowa*, „Nowy Dekameron” 1924, nr 25.

26 Paweł Klinger, *Vita sexualis. Prawda o życiu płciowym człowieka*, Księgarnia Karola Neumillera, Łódź 1935.

- [27](#) Antoszka, *Przy kądzieli. Pogadanki dla kobiet o ważnych sprawach*, Księgarnia Polska, Warszawa 1922.
- [28](#) Zob. np. Magdalena Gawin, *Rasa i nowoczesność. Historia polskiego ruchu eugenicznego (1880–1952)*, Neriton, Warszawa 2003.
- [29](#) Justyna Budzińska-Tylicka, *Hygiena kobiety i kwestje społeczne z nią związane*, S. Orgelbranda Synowie, Warszawa 1909.
- [30](#) *Małżeństwo XX wieku*, „Amorek” 1924, nr 4.
- [31](#) Bertrand Russell, *Małżeństwo i moralność*, Rój, Warszawa 1931.
- [32](#) Ben Lindsey, *Małżeństwa koleżeńskie. Cz. 1*, Retor, Warszawa 1932; Tenże, *Małżeństwa koleżeńskie. Cz. 2. Dokończenie*, Retor, Warszawa 1932.
- [33](#) Tadeusz Boy-Żeleński, *Ofensywa przeciw zazdrości*, w: Tegoż, *Zmysły..., zmysły...*, Biblioteka Boya, Warszawa 1932.
- [34](#) Irena Krzywicka, *Wyznania gorszycielki*, Czytelnik, Warszawa 1995.
- [35](#) Taż, *Szkoła moralności rozumowej*, w: Tejże, *Kontrola współczesności. Wybór międzywojennej publicystyki społecznej i literackiej z lat 1924–1939*, Feminoteka, Warszawa 2008.
- [36](#) Taż, *Nowe uroki małżeństwa*, w: Tamże.
- [37](#) Cyt. za: Tadeusz Boy-Żeleński, *Ofensywa przeciw zazdrości*, dz. cyt.
- [38](#) Irena Krzywicka, *Szkoła moralności rozumowej*, dz. cyt.
- [39](#) Cyt. za: Friedrich Foerster, *Etyka płciowa i pedagogika. Nowe uzasadnienie prawd starych*, Gebethner i Wolff, Kraków-Warszawa 1911.
- [40](#) Zob. np. Ellen Key, *Miłość i małżeństwo*, Księgarnia Polska B. Połanieckiego, Lwów 1905.
- [41](#) Por. np. Marek Babik, *Polskie koncepcje wychowania seksualnego w latach 1900–1939*, Ignatianum/WAM, Kraków 2010.
- [42](#) William Martin, *Racjonalne życie płciowe*, Minerwa, Warszawa 1936.
- [43](#) Cyt. za: Tadeusz Boy-Żeleński, *Bunt młodzieży*, w: Tegoż, *Zmysły..., zmysły...*, dz. cyt.
- [44](#) Tenże, *Od Autora*, w: Tegoż, *Dziewice konsystorskie*, dz. cyt..
- [45](#) Tak było na przykład po głośnym morderstwie inżyniera Gierszewskiego. Sprawę tę opisałem w książce: *Upadłe damy II Rzeczypospolitej*, Znak, Kraków 2013.
- [46](#) Historię życia dwóch małżonek Ignacego Mościckiego przedstawiłem w książce: *Pierwsze damy II Rzeczypospolitej*, Znak, Kraków 2012.
- [47](#) Zob. np. Tomasz Serwatka, *Kazimierz Świtalski. Biografia polityczna (1886–1962)*, LTW, Warszawa 2009.
- [48](#) Maciej W. Grabski, *Genealogia Pomianów z Grabi Grabskich*, nakł. autora, Warszawa 2012.
- [49](#) Tadeusz Boy-Żeleński, *Nieco pedagogii*, w: Tegoż, *Zmysły..., zmysły...*, dz. cyt.

50 Tenże, *Od Autora*, w: Tegoż, *Dziewice konsystorskie*, dz. cyt.

/ „Koza na Marsie” /

## **Gdzie się wolno kochać, a gdzie nie wypada?**

*Pani Madrygałowa wynajmuje swój lokal na metry kwadratowe. Początkowo nazywało się, że wynajmuje tylko kawalerom. Potem przybyły dwie pary małżeństw. Z małżeństwami – ci trzeci. Nocują pod łózkami. Ale nocują. Przecież w dzień mąż idzie do pracy, a żona też ma pewne prawa. W tej chwili u pani Madrygałowej mieszka już w jednym pokoju dwanaście osób. Ani swarów, ani kłótni. Jakoś się układa.*

Przedwojenne mieszkanie  
robotnicze. Opis zaczerpnięty  
z opowiadania Stanisława Bala pt.  
*Dwie kwestie* (1930)<sup>1</sup>

---

„W domu nie mają co jeść, wędrują w obce strony, kołaczą o drobne zarobki, proszą o chleb” – donosiły „Ostatnie Wiadomości Krakowskie” w artykule *Dzieci, które koczują po Polsce. Kryzys pomnożył legion „trampów”*<sup>2</sup>. Był rok 1932, ale data nie ma tu żadnego znaczenia. Informacja o kryzysie właściwie też. Każdy rocznik

każdej przedwojennej gazety jest pełen podobnych materiałów. W 1936 roku „Dziennik Poranny” donosił o wysiedleniu około dwóch tysięcy bezdomnych osób z terenu dawnego wesołego miasteczka w Poznaniu<sup>3</sup>. Z kolei już w roku 1927 tygodnik „Światowid” oznajmiał: „Nowo wybrany prezydent miasta Warszawy (...) jako najważniejszą troskę określił budowę mieszkań dla wielu tysięcy bezdomnych”<sup>4</sup>.

Z ust polityków i działaczy społecznych padały tylko puste frazesy. W najlepszym razie mężowie stanu decydowali się na pokazową, ale bezcelową wycieczkę do baraku dla „trampów”<sup>5</sup>. Bezdomność aż do końca epoki pozostała jedną z największych bolączek II Rzeczypospolitej. Problem dotyczył każdego obywatela – nie tylko nieszczęśliwców pozbawionych dachu nad głową. Mieszkania w wielkich miastach były drogie, trudno dostępne, ciasne i zdezelowane. I nikomu nie opłacało się zmieniać tego stanu rzeczy. Prawo mieszkaniowe niemal uniemożliwiało eksmisję, a przez to rosła armia lokatorów odmawiających płacenia czynszu. Wielu z nich przyjmowało do mieszkań sublokatorów. Ci też mieli własnych lokatorów. Jedną ciasną kamienicę potrafiło zamieszkiwać nawet kilkaset osób, a jej właściciel nie miał z tego ani grosza. Nic dziwnego, że poza zamożnymi dzielnicami domy bardziej przypominały ruiny niż siedliska ludzkie. I nawet takich budynków było jak na lekarstwo.

Peerelowscy historycy, traktujący przedwojenną Polskę jak chłopca do bicia, eksploatowali ten temat do znudzenia. Mieszkańcy II Rzeczypospolitej pisali o nim nawet częściej. Nic dziwnego. Gniewienie się z rodziną w kącie wiejskiej chaty i codzienne dojeżdżanie trzydzieści kilometrów do Warszawy stanowiło los wielu tysięcy z nich. I tylko na jeden szczegół niemal nikt nie zwrócił uwagi: bieda mieszkaniowa nie



do poznania zmieniła życie seksualne Polaków. Dla naukowców to mało wdzięczny temat. A przed wojną? Tylko erotyczne pisemka miały odwagę bić na alarm.

*Nie dość być właścicielem serca, trzeba przede wszystkim wystarać się o chałupę. (...) A w dzisiejszych czasach kryzysu mieszkaniowego nie sposób znaleźć mieszkania w całym mieście.*

*Oto dlaczego kochankowie dziś są w nie lada kłopotcie. Nie wiedzą, gdzie złączyć swe serca. Wszak nie można ciągle kręcić się po ulicy; musi wreszcie wybić godzina, kiedy człowiek dąży do zupełnego zadowolenia przyjemności (...).*

*Co za rozkosz mieć własne mieszkanko, łóżko szerokie (metr czterdzieści), w którym Zuzanna miałaby prawo przyjmować Janka lub Andrzej mógłby przyjmować Marychnę, a w razie potrzeby przyjaciółkę Marychny! <sup>6</sup>*

Tak wyglądała sytuacja w połowie lat dwudziestych według anonimowego publicyisty „Nowego Dekameronu”. Autor nie krył się ze swoim pesymizmem. „To wszystko stało się dziś niedoścignionym snem, bajką” – podkreślał. Własny kąt, możliwość spędzenia czasu sam na sam z ukochaną osobą? „Młode pokolenie powojenne zna to jedynie z opowiadań starszych osób” – biadolił dziennikarz. Jego zdaniem istniały tylko dwa wyjścia z sytuacji, obydwie tragiczne. Abstynencja lub prostytutka. Bo można albo wyrzec się miłości i wrócić do swojego dziecięcego, ciasnego łóżka w domu rodzinnym, albo pójść do burdelu. Tam przynajmniej dziewczyna dostanie własny pokój. A towarzystwo pojawi się już samo.

W rzeczywistości warunki aż tak żałosne nie były. Gdyby publicysta „Nowego Dekameronu” miał rację, także dzisiaj miliony

młodych Polek musiałyby szukać schronienia w salonach masażu. Według najnowszych danych, zebranych przez Instytut Millward Brown w 2014 roku, ponad połowa dorosłych Polaków w wieku do trzydziestu pięciu lat wciąż mieszka z rodzicami<sup>7</sup>. I jakoś sobie radzą. Dziewięćdziesiąt lat temu też sobie radzili. Tyle tylko, że ówczesne metody dzisiaj raczej nie znalazłyby uznania. Bądź co bądź prawdziwa rewolucja seksualna już się skończyła.

Po pierwsze, próbowano wykorzystywać te lokale, które z trudem dało się zdobyć na swoje potrzeby. Często właśnie ta żywiłowa eksploatacja napędzała biedę mieszkaniową wśród wyzwolonych seksualnie młodych ludzi. Irena Krzywicka wspominała, jak wielkim utrapieniem okazało się odnajmowanie jednego z pokoi w apartamencie, który otrzymali z mężem od teścia po paru latach mieszkania osobno. „Przyszły dwie młodziutki, prześliczne panie, jednak eks-hrabina, druga eks-generałowa – czytamy na kartach *Wyznań gorszycielki*. – Przede wszystkim (...) obie panie się eteryzowały (to był narkotyk, wcale nierzadki w użyciu przed marihuaną i LSD), tak, że całe mieszkanie śmierdziało jak szpital. Poza tym obie uważały łazienkę za swoją wyłączną własność, wycierały się w nasze ręczniki i pozostawiały liczne ślady swej bardzo kobiecej obecności (...). Wreszcie nie można ich było skłonić, aby spuszczały po sobie wodę w klozecie i by nie zostawiały drzwi otwartych korzystając z tegoż. Nie wspominam już nawet o korowodzie mężczyzn, który je odwiedzał”<sup>8</sup>. Po dwóch miesiącach Krzywicka straciła cierpliwość i wyrzuciła eleganckie damy na bruk. Ich miejsce zajęła „samotna, zimna, wyniosła sekretarka jakiejś dużej instytucji”. I zapanował spokój, bo do tej pani zaglądał tylko co jakiś czas jej podstarzały szef – na małą

„konsultację” poza godzinami pracy.

W świetle powyższej historii nie mogą dziwić dane opublikowane przez Magnusa Hirschfelda i Ryszarda Linserta. W wydanej w 1933 roku książce *Zapobieganie ciąży. Środki i metody* podawali: „Na sto trzydzieści przypadków obcowania pozamałżeńskiego, tylko w ośmiu, wedle wiarygodnych zapodań, użyto mieszkań jednego z partnerów”<sup>9</sup>. Liczby dotyczyły Republiki Weimarskiej, ale w Polsce było bardzo podobnie. W jednym z numerów z 1925 roku „Nowy Dekameron” drukował tekst *Szkoda, że to nielegalne*. „Podczas gdy nie można czynić tego, co się zowie miłością, otwarcie, na ławce w parku, w tramwaju, lub na platformie autobusu... Znalazłoby się wielu amatorów. Szkoda wielka, że wzbraniają tego... Może jednak nadejdzie czas, dzięki postępowi cywilizacji, miejmy nadzieję” – skarżył się autor<sup>10</sup>.

Z dzisiejszej perspektywy brzmi to jak litania żalów mało elokwentnego erotomana. Ale to tylko dlatego, że zmienił się świat, w którym żyjemy. Każdy, kto czytał *Szkoda, że to nielegalne* w 1925 roku, wiedział, że ma przed sobą komentarz do rzeczywistości – a nie jej krytykę. Nawet jeśli pewne zachowania nie mieściły się w granicach kodeksu, to ludzie i tak sobie na nie pozwalali. Nieoficjalne prawo brzmiało: w epoce kryzysu mieszkaniowego każde miejsce na seks jest dobre.

---

*Czuję w sobie wiosny zew, miłość w sercu moim wzbiera.*

*Czuję, w żyłach kipi krew, coś dziwnego pierś rozpiera.*

*Niebadana wiosny moc, skierowała mnie w aleje.*

*Bo tam zawsze, w dzień i noc, zimne serca Amor grzeje.  
Tłumy ludzi, parok rój i samotne też dziewoje.  
Słysząc szepty „Skarbie mój” lub „Kochane dziecię moje”.*

*Januszek, Taka inna*

*Wśród cyprysów, palm i róż, w parku pięknym – istny raj  
U konarów starych grusz, rzekłem do niej – „Usta daj”  
Kiedy usta mi podała i zacząłem słodycz pić,  
Moja mała cała drżała, ja też począłem drżyć...  
A gdy pełen upojenia, byłem blisko, już tuż, tuż...  
Spośród gruszy, głębi cienia, wyszedł nagle parku stróż!*

*Luc D’or, Niespodzianki*

Fragmenty dwóch wierszy  
opublikowanych w pierwszym  
numerze „Amorka” (1924) <sup>11</sup>.

## **Ksiuty w Oleandrach**

„Express Poranny”, wysokonakładowy stołeczny tabloid, alarmował w 1924 roku: „Coraz częściej można zauważyć, że zakochane parki, przesiadujące nocami w Alejach Ujazdowskich, pozwalają sobie na daleko posuniętą poufałość. Wobec tego władze wydały rozporządzenie, aby policja ściśle przestrzegała przepisów dotyczących moralności”<sup>12</sup>. Sprawa musiała być poważna, jeśli obruszyła się nawet bulwarówka pokroju „Expressu” – pismo żyjące z informowania o krwawych zbrodniach i pikantnych skandalach obyczajowych.

Obruszali się też rodzice dzieci wystawionych ponoć na widok niekontrolowanej rozpusty. Zatroškany ojciec pisał w liście do czasopisma „Rodzina i Dziecko”: „Te włóczęgi się np. w Alejach Ujazdowskich bandy uczniaków, zaczepiających w cyniczny sposób przechodzące dziewczęta, te całe »towarzystwa« hałaśliwe na ławkach, a w cieplejszej porze roku »parki« przytulone do siebie, zapełniające ławki źle oświetlonych alejek w ogrodach jest to aż nadto niepokojące”<sup>13</sup>.

Na doniesienie „Expressu Porannego” natychmiast zareagowała redakcja „Amorka”, proponując wprowadzenie do użytku policyjnego... specjalnej maszyny do rozdzielania par<sup>14</sup>. Na dołączonych rysunkach widać jak gdyby olbrzymie szczypce. Policjant zakrada się z nimi do przytulonych na ławeczce par, po czym brutalnie rzuca zarówno kobietę, jak i mężczyznę na ziemię. Taki środek byłby oczywiście pewną przesadą, gdyby chodziło wyłącznie o niewinne uściski. W rzeczywistości w parkach, a szczególnie we wspomnianych Alejach Ujazdowskich, działo się znacznie więcej. Sugerują to chociażby teksty publikowane przez tego samego „Amorka”.

Wierszyk *Pani Stacha* zawiera historię dość natarczywego podrywu w wykonaniu obcego mężczyzny. Wydarzenia prezentuje napastowana kobieta. I szybko potwierdza, że na flircie i całusach rzecz się nie skończyła:

*Moralności w panu zanik, widzę straszne są wyniki.*

*Rozpiął mi pan całkiem stanik, poobrywał mi guziki!*

*Dosyć tego... Jak to można! To za wiele... Pan wybacz!*

*Muszę... przecież być ostrożna. A nuż, jeszcze kto zobaczy.*

*Ale panie! No... no... panie, no... daj spokój chłopcze miły,*

*Jeszcze się co złego stanie, opuszczają już mnie siły <sup>15</sup>.*

Obawy Stachy nie powinny dziwić. Przecież za każdym drzewem mógł się kryć posterunkowy. Wzmoczone kontrole policyjne z dnia na dzień coraz bardziej dawały się we znaki warszawiakom gustującym w intymnych spotkaniach pod gołym niebem. Nie wypleniły jednak parkowych schadzek. Te po prostu przeniosły się w inne miejsca. Potwierdzenie znajdujemy w pamiętnikach jak zawsze niezawodnego Mariana Sękowskiego – zwyczajnego warszawskiego taksówkarza. Cały rozdział książki poświęca on swojej relacji z Piękną Stasią. „Bardzo przystojną i zgrabną fordanserką”. A zarazem – prostytutką. Sękowski za powód do wielkiej dumy poczytuje sobie fakt, że zdołał wyciągnąć ją na randkę, i to zupełnie za darmo. Któregoś wieczoru pojechali na „ksiuty w oleandrach”. Mieszkańcy stolicy tak właśnie określali frywolne zabawy w parkowej scenerii. Sękowski nie mógł jednak liczyć ani na romantyczną atmosferę, ani na dyskrecję. Pod naporem działań policji „ksiuty w oleandrach” przemieniły się w nową gałąź warszawskiego seksbiznesu.

*Niestety i tu była organizacja zabezpieczająca samotnym parkom spokój i swobodę w czynieniu powinności naturze. W pobliżu Klubu Wodnego „Sokół” zastałem wiele samochodów, taksówek, dorożek konnych, oczekujących na towarzystwo zabawiające się na dancingu i na parki, które łódkami lub pieszo udały się w zarośla pokrywające mielizny wiślane tzw. łachy.*

*Za skrycie się w tej wiklinie płaciło się pięć złotych od parki. Cwaniacy, którzy wykorzystali to dyskretne miejsce na bajzel pod gołym niebem, mieli również do wynajęcia koce do rozpościerania na ziemi <sup>16</sup>.*

Nie każdy był gotowy płacić tak wygórowaną cenę. Nawet w drogiej Warszawie pięciozłotówka pozwalała opłacić spotkanie z dość czystą prostytutką. Tymczasem przy klubie wodnym – zapewniała wyłącznie miejsce w krzakach. Oczywiście istniały inne, odludne lokalizacje. Entuzjazm oszczędnych ryzykantów studziły jednak historie, w rodzaju tej opublikowanej przez „Ostatnie Wiadomości” w listopadzie 1932 roku. Bohaterem artykułu jest policjant-dżentelmen, patrolujący późnym wieczorem Wybrzeże Gdańskie. Dociera do mostu kolejowego, czyli nieistniejącego już dzisiaj mostu przy Cytadeli. Dziennikarze relacjonują: „Nagle zatrzymał się. W świetle latarki ujrzał parę damskich pantofli, kawałek spódnicy i kolano w pończosze. Przesunął latarkę w prawo – męska para obuwia i dwie nogawki, spod których wyglądały tasiemki od kalesonów”.

Stróż prawa zamierzył się już do wykonania obowiązku służbowego, gdy wtem zamarł. Do jego uszu dotarły ściszone szepty:

– Antoś...

– Czego?

– Nareszcie cichy kącik znaleźliśmy. Tu nam nikt nie przeszkodzi...

– Owszem... Spokojne miejsce tylko mokro... Łamanie w kościach można dostać... (...)

Rozmowę przerwał dźwięk pocałunku.

– Antoś!

– Czego?

– Słyszysz? Pociąg na most wjeżdża.

– Boisz się?

– Nieee... Lubię jechać...

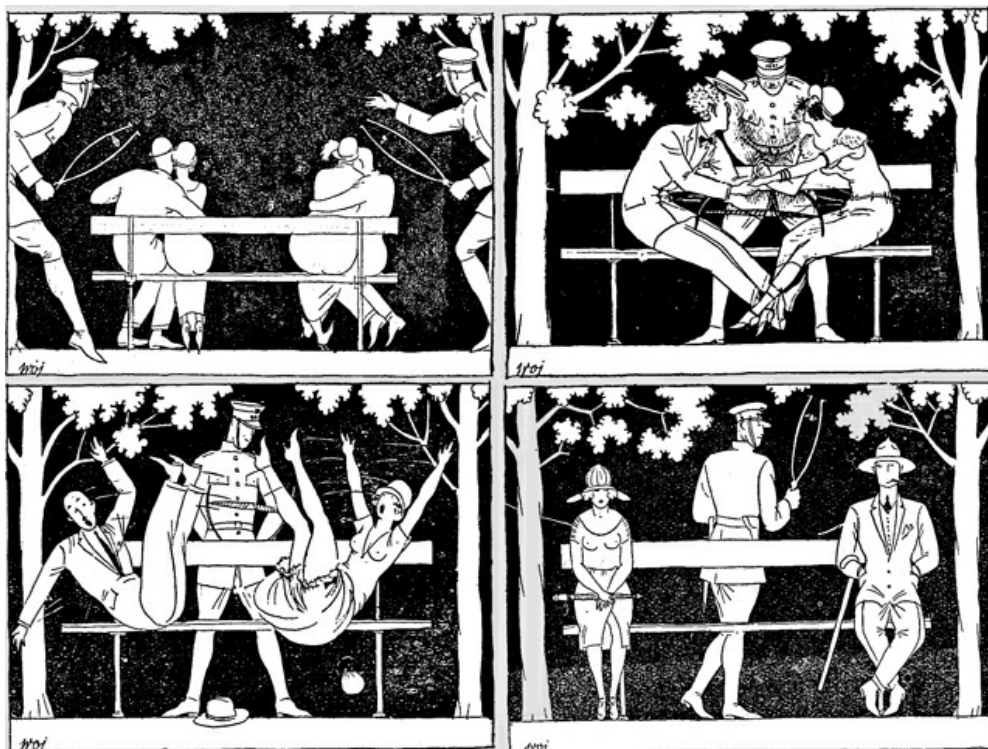
– No to jedziem.

*Znów rozległ się pocałunek. Posterunkowy zataił oddech. Był człowiekiem z sercem.*

*– Po co im przeszkadzać? – myślał. – Jak mają siedzieć, niech przynajmniej wiedzą za co. Pomimo zimna czekał. Wreszcie, kiedy parka przerwała gruchanie, wyrósł przed nimi w całej okazałości <sup>17</sup>.*

Gazeta podaje, że uczestnicy zajścia zostali aresztowani i odprowadzeni do komisariatu. Wydrukowano nawet ich nazwiska i adresy. Antoś, czyli Antoni Rusiniak, okazał się bezdomnym, mieszkającym tymczasowo w noclegowni przy ulicy Dzikiej<sup>18</sup>. Historia rozegrała się niedługo po wejściu w życie Kodeksu Karnego, można więc przyjąć, że pechowych kochanków zatrzymano na podstawie artykułu 213: „Kto dopuszcza się czynu nierządnego publicznie (...) podlega karze aresztu do roku”<sup>19</sup>. Jeśli do podobnych interwencji nie dochodziło w okolicach Klubu „Sokół”, to powód mógł być tylko jeden. Ktoś z policji wziął za to pieniądze.





„Separator”. Niezawodny przyrząd gwarantujący zachowanie moralności w miejscach publicznych („Amorek”, nr 5, 1924).

Propozycje innych miejsc nadających się do zorganizowania intymnego spotkania przemycają publiczności „Amorka”. Weźmy na przykład utwór *Ach! Upały!* To historia radosnego wypadu do podwarszawskiego lasu. Stasio i Jadzia biorą prowiant i ruszają na majówkę „jak to czyni osób wiele”:

*Słońce zbytnio im doskwiera, Stasio z musu się rozbiera,  
 Jadzi upał też przeszkadza, bez sukienki w lesie chadza.  
 Stasio zgrzany, Jadzia zgrzana, w lesie siedzą aż do rana.  
 Różne były tam kawały, Ach! Upały – te upały!* <sup>20</sup>

Dla mniej wymagających par miejscem schadzki mógł być dowolny słabo oświetlony zaułek. „Nowy Dekameron” drukował w 1925 roku zabawną rozmowę męża i żony. On narzeka: „To oświetlenie ulic niżej wszelkiej krytyki!”. Ona odpiera z nostalgią: „Tak, a jakeśmy byli zaręczeni, to ci było zawsze za widno...”<sup>21</sup>. Stefan Wiechecki pisał z kolei o mało znanej ulicy Kłopot: „Tym się jeszcze różni od innych ulic stolicy, że posiada krzaki, a zatem jak żadna inna nadaje się do romantycznych spacerów przy księżycu”<sup>22</sup>. Najlepiej rzecz jasna w te noce, kiedy akurat księżyc brakuje.

## **Nocne życie miasta**

Warszawiacy doskonale wiedzieli, że lepiej nie afiszować się na ulicy ze swoimi erotycznymi potrzebami. Przyjezdni – niekoniecznie. Szczególnie często prasa donosiła o ziemianach przybywających do stolicy na „gościnne występy” i za nic mających normy obyczajowe europejskiej metropolii. Przykładem takiego właśnie delikwenta był Stanisław Kotlarski, „znany i szanowany obywatel z powiatu łęczyckiego”.



„Pocałunek pod mostem Warszawy” (rys. „Nowy Dekameron”, 1924).

Zgodnie z artykułem z „Ostatnich Wiadomości” w 1931 roku przyjechał on do „starej, kochanej Warszawki”, by zabawić się „godnie a przystojnie”. Sytuacja niespodziewanie jednak wymknęła się spod kontroli:

*Idąc Krakowskim Przedmieściem, podszedł do „lotnej restauracji”, której specjalnością są parówki (...). Kotlarski z miną wielkopańską zażądał parówki, po czym otrzymawszy żądany smakołyk, jadł go z apetytem. W tym momencie do obywatela zbliżyły się trzy dziewczoje*

*(...). Jedna z nich, snać ogromnie przedsiębiorcza, odgryzła kawałek serdelka spożywanego przez Kotlarskiego. Ten ostatni obraził się, ale po chwili zrozumiał, że jest to zaczepka... miłosna.*

*Zażądał nowej porcji parówek i włożywszy jedną z nich do ust, pozwolił dziewczynce gryźć parówkę z drugiej strony. Gdy wreszcie spożyto parówkę, para zaczęła się całować <sup>23</sup>.*

Pan Kotlarski był rzecz jasna dżentelmenem. Nie chcąc, aby koleżanki miłośniczki parówek poczuły się odtrącone, również na ich ustach zaczął składać namiętne pocałunki. Nie wiadomo, jak całe zajście by się skończyło, bo właśnie w tej chwili zainterweniował policyjny patrol. Jeden całus był do zaakceptowania. Ale miłosny czworokąt na środku głównego deptaka Warszawy – już niekoniecznie.

Wszystkiemu winien był brak obycia. Kotlarskiemu upiekłoby się, gdyby tylko wezwał taksówkę. „Samochody kryte, w rodzaju karet czy limuzyn, przejęły po konnych ekwipażach rolę dyskretnych kącików miłosnych uniesień” – wspominał Marian Sękowski. Także Irena Krzywicka odnotowała ze smutkiem w felietonie z 1932 roku, że w wielu przypadkach „pełną ręką w ciemnościach taksówki” to jedyna oznaka uczuć współczesnego mężczyzny<sup>24</sup>.

Pojazdy te bardziej przypominały dzisiejsze taksówki z Londynu lub Nowego Jorku niż te jeżdżące po ulicach polskich miast. Kierowcę oddzielała od klientów gruba szyba. Co więcej, wszystkie okna, po bokach i z tyłu, były wyposażone w zasłonki. Z zewnątrz nic nie było widać. Pasażerów mógł podglądać wyłącznie szofer. I często rzeczywiście to robił, o czym świadczą dziesiątki wypadków samochodowych na skutek „zagapienia się”. Marian Sękowski rzecz jasna wypierał się podobnych praktyk. Przynajmniej do czasu. „Nie

zwracałem uwagi na to, co się dzieje wewnątrz taksówki (...). Gdy mi jednak raz wieczorem jakaś para kazała jechać na spacer po Wybrzeżu Kościuszkowskim (...) zaintrygowało mnie, jak oni się zachowują. Mijając uliczną latarnię, spojrzałem w lusterko. Oburzyło mnie to, co zobaczyłem” – stwierdził pruderyjnie. Ale chyba nieszczerze, bo odtąd już stale podpatrywał pasażerów. Skonstruował sobie nawet specjalny lewarek, pozwalający niepostrzeżenie opuszczać lusterko, dla dokładniejszej obserwacji. „Ciekawostki się tam nieraz odbywały, że od patrzenia aż gorąc mnie oblewał” – przyznał pamiętnikarz. I jak z rękawa zaczął sypać kolejnymi historiami. A to o tym, jak wiózł bardzo rozpustnego sanacyjnego dygnitarza, a to znowu – o niespodziewanej kontroli policyjnej. „Spojrzałem za siebie i aż zakrzyknąłem, widząc, w jakim położeniu pasażerka jechała. (...) Nogi wyciągnęła do góry, opierając je o dach otwartej karety. Oczywiście sukienki, hałeczki i majteczki zsunęły się w dół...” – wspominał.

W taksówce można było się zabawić, ale też dojechać na miejsce kolejnej, nieprzyzwoitej zabawy. Już w latach dwudziestych erotyczne ekscesy na widowni powszechnie kojarzono z wyrastającymi jak grzyby po deszczu kinami. Bywalcy teatrów też musieli się liczyć z niegrzecznym towarzystwem. Tadeusz Boy-Żeleński przytaczał w książce *Pijane dziecko we mgle* „autentyczną historię”, podobno bardzo głośną w kołach literackich stolicy:

*Podczas antraktu w Teatrze Narodowym podszedł do woźnego starszy jegomość i oświadczył: „Proszę pana, niech pan coś poradzi: ja siedzę w krzesłach z córką – młodziutka panienska, prawie dziecko – a przede mną siedzi jakiś jegomość, który się ze swoją damą przez cały akt zachowuje tak niemożliwie, że po prostu*

*nie wiem, co począć z dzieckiem”.*

*Woźny udał się we wskazanym kierunku. Po chwili wraca nieco pomieszany i mówi szeptem: „Proszę pana, nic się nie da zrobić. To jest sam redaktor »Kuriera Warszawskiego«” <sup>25</sup>.*

Chodziło o Konrada Olchowicza – wydawcę i szefa jednej z głównych gazet Warszawy. Akurat tej, która najgłośniej ze wszystkich sprzeciwiała się ofensywie rozputy i nowej, niemoralnej obyczajowości.

## **Paryż w Krakowie**

Warszawa uchodziła w Polsce za miasto grzechu i rozpasania. Inne metropolie niewiele jej jednak ustępowały. We Lwowie głośnymi zabawami w towarzystwie dzierlatek zasłynął Henryk Zaremba. Zamożny architekt i birbant, całymi nocami przesiadujący w najlepszych restauracjach i kawiarniach. A od 1931 roku – także najbardziej znany ojciec w kraju, po tym, jak ofiarą krwawej zbrodni padła jego nastoletnia córka Lusiana<sup>26</sup>.

Lublin też się bawił znakomicie. Marian Sękowski miał przez parę tygodni przyjemność pracować dla mieszkającego pod miastem ziemianina. A przede wszystkim wspólnie z nim imprezować. „Dziedzic spędzał noce na hulankach z kolegami i panienkami z dancinów, a we dnie spał w hotelu do późnego południa” – wspominał szofer. I tylko epilog historii był cokolwiek nieszczęśliwy: „Dziedziczka nas przywitała z nabitą fuzją w rękę; wypaliła śrutem do nas”.

Wreszcie Kraków. Miasto królów, a zdaniem lokalnych dziennikarzy – także polski Paryż. „Nie śmiećcie się proszę... istotnie

tak jest – zapewniała „Gazeta Poniedziałkowa” w 1924 roku. – Paryż ma swoje Bulwary, Kraków nie powstydy się swoich abecadłowych ulic. Wyjdź bracie o dwunastej godzinie na naszą kochaną A-B, a choćbyś odmrożone miał serce, uczujesz wiosnę, kiedy zobaczysz wystrojone, rozbawione, jasne, czarne i rude piętnastolatki. Sunie to, chichocze, rzuca niebieskimi, czarnymi, fiołkowymi i zielonymi oczyma na wszystkie strony, uśmiecha się obiecująco. Słowem... robisz podboje”<sup>27</sup>.

W innym numerze gazeta zachwalała miejskie dancingi. Nie tylko jako miejsce do zabawy, ale też... receptę na pomnożenie populacji państwa. „Ma się odbyć »kręcik« na dzieci nieostrożnych matek z prawem dansera do przyszłego potomstwa. Słowem tańczą na wszystkie sposoby” – donoszono. Ten sam artykuł zawierał także anegdotyczną wymianę zdań:

*Panna Amalia spotkała się z panną Różą i pyta: – Czy ty, Amalciu, potrzebujesz na wszystkie chodzić dancingi? – No dlaczego nie mam chodzić? – No bo jak ty będziesz tak ciągle tańczyła, to albo wyjdiesz do przyszłego roku za mąż, albo zostaniesz matką*<sup>28</sup>.

To były dowcipy, ale jednak oparte na faktach. Do takiego wniosku na pewno doszedłby niestrudzony krakowski lekarz-płciownik Stanisław Kurkiewicz. Kilka lat wcześniej wyjaśniał z absolutną powagą, że sale balowe i dancingi niewiele różnią się od domów publicznych. „Szczytowanie może mieć miejsce albo jeszcze wśród płasów, albo zaraz po nich” – czytamy na kartach *Szczegółowego odróżnienia czynności płciowych*<sup>29</sup>.

Dokąd można było się udać po tańcach? Wobec braku własnego

mieszkania zostawały jeszcze hotele. I to niekoniecznie całonocne. W 1933 roku „Ostatnie Wiadomości Krakowskie” przedstawiły sposób funkcjonowania coraz popularniejszej, kryzysowej instytucji. „Mury hotelów osłaniają często niejedną tajemnicę. Szczególnie małe hoteliki, które nie mogą liczyć na frekwencję zwykłych podróżnych, uciekają się do innych źródeł dochodu i służą swymi pokojami... na godziny – wyjaśniano. – Te pojedyncze godziny nie zawsze mijają w upojnej ciszy. Ale jeśli rozlegnie się w zamkniętym pokoju krzyk trwogi czy rozpaczy – jest natychmiast tłumiony. Granatowy mundur policjanta jest niechętnie widziany”<sup>30</sup>.





„Zażądał nowej porcji parówek i włożywszy jedną z nich do ust, pozwolił dziewczynce gryźć parówkę z drugiej strony”. Stolica nocą według „Ostatnich Wiadomości” (rys. „Nowy Dekameron”, 1925).

Podobne przybytki istniały w każdym dużym mieście. Równie często były to podrzędne domy schadzek, co ekskluzywne hotele

w finansowych tarapatach. Usług na godziny nikt nie reklamował, nie można ich też było znaleźć w oficjalnych cennikach. Każdy czytelnik prasy brukowej wiedział jednak, gdzie powinien się udać. Przy okazji pikantnych afer gazety zawsze podawały dokładny adres i nazwę miejsca. I tak na przykład para młodych warszawiaków spragnionych małego *tête-à-tête* udałaby się na ulicę Bielańską 7 do hotelu Krakowskiego. Właśnie tam w 1931 roku pewien szanowany lekarz nakrył swoją żonę... w ramionach dwóch przystojnych fordanserów. Rzecz jasna – w pokoju na godziny<sup>31</sup>.

## Świat marzeń

Największe marzenie typowego, przedwojennego kawalera? Narzeczona z własnym mieszkaniem. Marian Sękowski w pierwszych rozdziałach swoich wspomnień nie kryje, że lokal odgrywa dla niego ważniejszą rolę niż wygląd wybranki. Nic dziwnego. Sam jest zmuszony mieszkać kątem u macochy. Śpi na zimnej podłodze, w izbie pozbawionej wody, światła, a nawet okna. Razem z nim mieszkają cztery stare kobiety. Miłosna selekcja jest brutalna. Nie ma pokoju – nie ma przebaczenia.

*Zaprowadzony raz przez kolegów do Zakładu Wodoleczniczego przy ulicy Nowowiejskiej, poznałem tam pielęgniarkę (...). Zamieszkiwała w służbowym pokoiku, więc przeżyłem z nią niejedną miłą chwilę. (...) Była dobrą partnerką do figlów i zabawy. Poznałem przez podrywkę [także] pracownicę fabryki żarówek tzw. „zatapiarkę”. Imponowała mi swoją tuszą. Mieszkała sama, więc mogłem pławić się w jej falistych wdziękach.*

Wreszcie wybór padł nie na nią, ale na „kucharkę u profesora Uniwersytetu Warszawskiego”. Ta nie tylko miała pokój, ale jeszcze – miała gary. Była też, jak podkreśla Sękowski, „miłą babką”. Więc się z nią ożenił.

Podobne podejście do sprawy musiał przejawiać również Franek Ciupał. To bohater opowiadania Stanisława Bala, zamieszkujący w dwunastoosobowym pokoiku u pani Madrygałowej. Tak, jak i pozostali „trzeci”, śpi pod małżeńskim łóżem swojej kochanki. A wreszcie – doprowadza do pierwszej wielkiej awantury w lokalu. Wszystko przez kozę, którą wygrał na loterii.

*Na jedną noc pani Madrygałowa godzi się. Sublokatorzy protestują. Buntuje się też Franek Ciupał. Kozą stworzenie boskie. Mleko daje. Szczęście przynosi. Zresztą sprzedam kozę i wyprowadzę się od pani Madrygałowej. Całe życie spać na podłodze nie będę. Taki Iwan Wziatkin, były rewirowy – miejsce na szafie wynajął i śpi. A znów Zawada Zawadiacki, eks-szlagon, wynajął fotel. I dobrze mu i wygodnie. A tu awantura o głupią kozę. (...) W rozterce duchowej zasnął.*

*Śniło mu się, że przebywa na Marsie. Gigantycznych rozmiarów drapacze, o tysiącach mieszkań powstają, jakby za uderzeniem różdżki czarodziejkiej. Na dwadzieścia tysięcy przybywających mieszkańców, rocznie powstaje nowych czterdzieści tysięcy mieszkań.*

Z przydziału, bez formalności przestronny apartament trafia się też Franciszkowi Ciupałowi. Marsjańskie mieszkanie, i to z komórką dla kozy. Mokry sen przedwojennych Polaków.

---

---

Pozycje są cytowane przy pierwszym wystąpieniu w danym rozdziale. Data ostatniego dostępu do wszystkich źródeł internetowych to 20 lutego 2015 roku.

1 Stanisław Bał, *Dwie kwestie*, w: Tegoż, *Godzina życia mężczyzny*, Księgarnia Łódzka „Czytaj”, Łódź 1930.

2 *Dzieci, które koczują po Polsce. Kryzys pomnożył legion „trampów”*, „Ostatnie Wiadomości Krakowskie”, 13 listopada 1932, nr 316.

3 *Po zlikwidowaniu „wesołego miasteczka”*, „Dziennik Poranny”, 30 stycznia 1936, nr 24.

4 *W barakach dla bezdomnych na Żoliborzu w Warszawie*, „Światowid” 1927, nr 41.

5 W takim wypadzie wzięła udział między innymi Michalina Mościcka – druga polska prezydentowa. Pisałem o tym więcej w książce: *Pierwsze damy II Rzeczypospolitej*, Znak, Kraków 2012.

6 *Leonka znalazła mieszkanie*, „Nowy Dekameron” 1925, nr 2.

7 Marek Wielgo, *Z rodzicami mieszka się oszczędniej*, „Gazeta Warszawska”, 25 maja 2015.

8 Irena Krzywicka, *Wyznania gorszycielki*, Czytelnik, Warszawa 1995.

9 Magnus Hirschfeld, Ryszard Linsert, *Zapobieganie ciąży. Środki i metody*, Księgarnia Lwowska, Lwów 1933.

10 *Szkoda, że to nielegalne*, „Nowy Dekameron” 1925, nr 2.

11 *Taka inna*, „Amorek” 1924, nr 1; *Niespodzianki*, „Amorek” 1924, nr 1.

12 Cyt. za: „*Separator*”, „Amorek” 1924, nr 5.

13 „Rodzina i Dziecko” 1937, nr 2.

14 „*Separator*”, dz. cyt.

15 *Pani Stacha*, „Amorek” 1924, nr 3.

16 Marian Sękowski, *Pamiętnik warszawskiego taksówkarza*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1978.

17 *Posterunkowy dżentelmen. Jesienna idylla pod mostem kolejowym*, „Ostatnie Wiadomości Krakowskie”, 24 listopada 1932, nr 327.

18 Przy ulicy Dzikiej 4 rzeczywiście znajdował się pierwszy dom noclegowy dla bezdomnych w Warszawie. Zob. Mateusz Rodak, *O „Cyrku”, który nie był cyrkiem – rzecz o warszawskim międzywojennym domu noclegowym*, „Praca Socjalna” 2010, nr 4.

19 *Rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 11 lipca 1932 r. – Kodeks karny*, Dz.U. 1932, nr 60, poz. 571.

[20](#) *Ach! Upały!*, „Amorek” 1924, nr 2.

[21](#) *Późnica*, „Nowy Dekameron” 1925, nr 1.

[22](#) Wiech [Stefan Wiechecki], *Fatalna ulica*, w: Tegoż, *Zakochany złodziej*, Vis-à-vis/Etiuda, Kraków 2013.

[23](#) „Gościnne występy” obywatela ziemskiego w stolicy, „Ostatnie Wiadomości”, 20 listopada 1931, nr 323.

[24](#) Irena Krzywicka, *Śmierć Lowelasa*, w: Tejże, *Kontrola współczesności. Wybór międzywojennej publicystyki społecznej i literackiej z lat 1924–1939*, Feminoteka, Warszawa 2008.

[25](#) Tadeusz Boy-Żeleński, *List otwarty do pani Izy Moszczeńskiej z „Kurjera Warszawskiego”*, w: Tegoż, *Pijane dziecko we mgle*, Instytut Wydawniczy „Biblioteka Polska”, Warszawa 1928.

[26](#) Mowa o sprawie Rity Gorgonowej. Zob. np. Edmund Żurek, *Gorgonowa i inni*, Książka i Wiedza, Warszawa 1975.

[27](#) *Z tygodnia*, „Gazeta Poniedziałkowa”, 10 listopada 1924, nr 5.

[28](#) *Z tygodnia*, „Gazeta Poniedziałkowa”, 1 grudnia 1924, nr 7.

[29](#) Stanisław Kurkiewicz, *Z docieków (studyów) nad życiem płciowym. Luźne osnowy (tematy). 2. Szczegółowe odróżnienie czynności płciowych*, nakł. autora, Kraków 1906.

[30](#) *W pokoju... na godziny*, „Ostatnie Wiadomości Krakowskie”, 4 stycznia 1933, nr 4.

[31](#) *Zdradzony mąż-doktor zastał swą żonę w hotelu z dwoma fordanserami*, „Ostatnie Wiadomości”, 18 listopada 1931, nr 321.

/ Podwiązka w tunelu /

## Erotyka w podróży, seks na wakacjach

Roberta spotykamy, kiedy wielkimi susami przemierza dworzec kolejowy. Spieszy się na pociąg, choć trudno powiedzieć, dokąd konkretnie. Autor podaje tylko, że jest to skład pospieszny odjeżdżający w kierunku „N...”. Może więc Nicea, a może zwykły kamuflaż. Bo równie dobrze mogło chodzić o Kraków lub Warszawę. Nie ma sensu roztrząsać tej kwestii. Robert żył chwilą i większe znaczenie miała dla niego przyjemna droga aniżeli jej cel. „Wyszedłszy na peron, zauważył *coupé*, w którym znajdowała się tylko jedna kobieta. Szybko wskoczył, zatrzasnąwszy drzwi, aby nikt więcej nie mógł wejść, gdyż takie *tête-à-tête* jest zawsze przyjemnym, szczególnie w podróży” – wyjaśnia narrator.

Pasażerka prezentowała się wspaniale: „Miała na sobie kostium podróżny, elegancki kapelusik z woalką, opadającą na twarz oraz śliczne pantofelki na zgrabnych nóżkach”. Robert zmierzył ją wzrokiem i już wiedział, że musi choć na krótką chwilę zdobyć serce pięknej nieznajomej. Przez długie godziny wypatrywał okazji, by nawiązać rozmowę lub chociaż przesiąść się bliżej ponętnej damy. Wszystko na nic. Zaczął już tracić nadzieję, gdy nagle pociąg gwałtownie zahamował. I to pośrodku długiego, ciemnego tunelu. Śnieg zasypał

obydwa wyjścia. Nie sposób było ani jechać dalej, ani się cofnąć. Po kwadransie obsługa kolejowa doniosła podróżnym, że przestój może potrwać cały wieczór, a nawet pół nocy. I Robert przyjął tę wiadomość z wielką... wyrozumiałością.

Oddajmy głos narratorowi. „Dama otuliła się mocniej w futro, a że było bardzo zimno, Robert zaofiarował jej swą derę. Z początku odmówiła, nie chcąc mu odebrać okrycia, Robert jednak znalazł wyjście. Dera była dosyć duża, aby się mogły zmieścić pod nią dwie osoby. Tym bardziej, gdy te osoby się bardzo ścisnęły...

Na domiar wszystkiego, migocąca lampka elektryczna (...) zgasła, tak że było zupełnie ciemno. Pociąg stał trzy godziny w tunelu, na co Robert wcale, a wcale się nie skarżył...”<sup>1</sup>.

---

Z podróży do „N...” Robertowi zostały gorące wspomnienia i zdobiona podwiązka. Można by powiedzieć: podobne historie się zdarzają, ale w opowiadaniach erotycznych. Byłoby to prawdą. Właśnie taki tekst, opublikowany w 1925 roku przez „Nowy Dekameron”, prezentuje losy podatnego na kobiece wdzięki klienta kolei państwowych. Mieszkaniec przedwojennej Polski nie musiał jednak sięgać po rubaszne gazetki, by zapoznać się z kolejową erotyką. Już od XIX wieku powszechne było przekonanie, że jazda pociągiem i seks to dwa bardzo sobie bliskie obszary ludzkiej aktywności.

Skojarzenia funkcjonowały nawet na podświadomym poziomie. *Miłość we śnie*, wydany w 1933 roku sennik erotyczny, podaje: „POCIĄG KOLEJOWY oznacza męskie organy płciowe”. Jeśli kobieta widziała w marzeniach sennych pociąg w biegu, miało to sygnalizować

niezaspokojony popęd płciowy. Jeśli to samo przyśniło się mężczyźnie: zdradzało „objawy i początki silnego erotyzmu”<sup>2</sup>. Z drugiej strony pociąg na stacji miał wieszczyć impotencję, a u kobiet – niekoniecznie wyczekiwaną ciążę. Lepiej więc już było wskakiwać do wagonu. I jechać dokądkolwiek.

Przytoczone wróżby można by wyśmiać, jak setki innych, drukowanych w popularnych przed wojną sennikach. Tym razem jednak coś ewidentnie było na rzeczy. Historyk Marek Olkuśnik rzuca światło na literacką stronę zagadnienia. W XIX-wiecznych powieściach niemal każda podróż pociągiem jest przesączona erotyzmem. Przyciemnione światła, miarowy turkot kół na torach i towarzystwo zupełnie obcych ludzi. A wszystko to – w pozbawionym nadzoru plotkar z sąsiedztwa miejscu, gdzie nikt nie będzie gadać i wytykać palcami. Przemieszczanie się drogami żelaznymi samo w sobie uchodziło za „wstęp do ulegania większej swobodzie obyczajowej”<sup>3</sup>. A podróż samotnej kobiety w jednym przedziale z obcym mężczyzną – właściwie gwarantowała, że na rozmowie się nie skończy.

Mieszanina fascynacji nowym środkiem transportu i strachu przed postępem wylewała się poza ramy literatury. XIX-wieczna obyczajowość zupełnie wykluczała samotne podróże kobiet. Na trasie niewinnej damie grozili złodzieje, oszuści, uwodziciele i gwałciciele. Poruszać więc powinna się wyłącznie pod ochroną męża, ojca albo innego krewnego płci męskiej. W wyzwolonym międzywojniu pomysł podobnych restrykcji nikomu nie przeszedłby przez gardło. Sam problem kobiecych podróży wydawał się jednak nawet bardziej palący niż dawniej. Teraz wyemancypowane Polki rzeczywiście zaczęły na potęgę jeździć pociągami. Nieprzypadkowo właśnie na dworcach



kolejowych swoją działalność skoncentrował Polski Komitet Walki z Handlem Kobietami i Dziećmi. Organizacja, utworzona w 1923 roku pod patronatem Ministerstwa Pracy, miała wspierać „kobiety narażone na niebezpieczeństwo porwania lub sprowadzenia na drogę nierządu”. Innymi słowy: pasażerki pociągów. Badacze tej inicjatywy podają, że specjalne punkty pomocy, nazywane „misjami dworcowymi”, powstały w dwudziestu dwóch różnych miastach. W Warszawie były aż cztery – na każdym dworcu dalekobieżnym<sup>4</sup>.

Całe zagadnienie miało jeszcze aspekt zdrowotny, żeby nie powiedzieć – seksuologiczny. XIX-wieczni lekarze prowadzili zażarte dyskusje na temat wpływu potrząsania i ruchów wibrujących na żeński organizm. Wielu dostrzegało w tych zjawiskach zagrożenie dla cnoty niewieściej. I było to zagrożenie prawdziwie globalne. Nawet modny przed wojną rower znalazł się na cenzurowanym. Żurnal medyczny amerykańskiego stanu Georgia na przełomie wieków podawał przykład pacjentki, która w ciągu godzinnej jazdy osiągała nawet cztery satysfakcjonujące orgazmy. Biorąc pod uwagę alarmistyczny tytuł artykułu – *Przejażdżki rowerowe. Ich moralny wpływ na młode dziewczęta oraz na choroby kobiece* – nie była chyba (zdaniem lekarzy) jedyna<sup>5</sup>. Za metodę masturbacji tym bardziej uchodziła jazda trzęsącym się wagonem kolejowym. Choć z jakiegoś powodu – tylko „przy siedzeniu nogami ku przodowi”<sup>6</sup>.



Plaża w Warszawie (rys. „Amorek”, 1924).

Nic dziwnego, że spotkanie w przedziale kolejowym stało się jednym z ulubionych motywów w przedwojennej prasie erotycznej. Od biedy, zamiast pociągu mógł być także tramwaj. O tym, że pasażerowie popularnych w polskich miastach „ogórków” nie zawsze zachowywali się przyzwoicie, informuje proza, ale też materiały z prasy. Jesienią 1932 roku „Ostatnie Wiadomości Krakowskie” donosiły:

*Pan Antoni Widrek (ul. Szczęśliwa 5) jechał w wagonie przyczepnym tramwaju linii 8 i paląc papierosa, nieostroźnie strzepnął popiół na kolana sąsiadki, panny Wandy K. – Przepraszam za nieporządek – poderwał się grzecznie p. Widrek*

*i ofiarnie zaczął czyścić powalane kolano.*

*Okrągłe kolanko sąsiadki miało widocznie w sobie coś przyciągającego, bo po chwili znów spadł na nie popiół z papierosa p. Antoniego, który znów zabrał się energicznie do czyszczenia. Tym razem jednak czyścił wolniej i dłużej<sup>2</sup>.*

Pani Wanda wreszcie nie wytrzymała i kazała wzywać policjanta. Przed sądem pan Widrek uparcie tłumaczył, że akurat założył nowe, czyściutkie spodnie, a coś z popiołem musiał zrobić. Pech chciał, że padło na współpasażerkę. Ale żadnego podtekstu erotycznego rzecz jasna w sprawie „magnetycznego kolanka” nie było.

---

– *Czy wyjeżdżając do Włoch, zabierasz z sobą i żonę?*

– *Dziwne pytanie! Czy jak idziesz do kąpieli, to i wodę z sobą bierzesz?*

Dowcip opublikowany przez „Amorka” w 1924 roku <sup>8</sup>.

– *A więc po dwóch miesiącach gwałtownej miłości porzuciłaś go?*

– *Przyzwoitość tego wymagała. Jestem wszak mężatką, wzięłam go na kochanka tylko na czas wakacji.*

Dowcip z „Nowego Dekameronu”, 1925 rok <sup>9</sup>.

## **Co się zdarzyło na plaży, to zostaje na plaży**

Do (nie)moralnego wpływu podróży przywiązywano wielkie znaczenie.

Równie ważne wydawało się jednak to, co następowało już po dotarciu do celu. W niebezpieczeństwie były rzecz jasna głównie kobiety. „Panienska, dla której wakacje zimowe i wakacje letnie (...) stały się rzeczami koniecznymi, nieodzownymi, nie tak łatwo zdecyduje się na ciche, domowe życie żony i matki” – ostrzegała Helene Haluschka w poradniku *Słuchaj Ewo! Nowoczesnym pannom ku rozwadze*<sup>10</sup>. I była to książka z 1938 roku, a nie 1850. Juliusz Makarewicz, główny twórca Kodeksu Karnego z 1932 roku, też nie mógł znieść tego, co dzieje się wśród polskich urlopowiczów. Najchętniej zakazałby „tańców o charakterze wybitnie seksualnym”, „nieprzyzwoitych strojów” i plażowania w sposób pozostawiający „wiele do życzenia pod względem przyzwoitości”. Politycy mu na to nie pozwolili. Ale mógł przynajmniej sobie ponarzekać na czyny „nieuchronnie prowadzące do demoralizacji”<sup>11</sup>.

Za drugą skrajnością opowiadał się Paweł Klinger. Rzucił postulat obowiązkowych „urlopów małżeńskich” dla każdego stałego związku. „Uważam za konieczność, aby małżeństwa przynajmniej raz do roku rozstawały się na przeciąg miesiąca. Zrobi to bardzo dobrze tak jednej, jak i drugiej stronie” – wyjaśniał. Rozwiązanie to miało pozwolić każdej ze stron na wypoczęcie od codziennych trosk i kłopotów, a przede wszystkim – od ciągłego towarzystwa męża lub żony. Klinger był głęboko przekonany, że „wspólne podróże są dla szczęścia małżeńskiego bardzo szkodliwe”. Wyjątek był gotów zrobić tylko dla podróży poślubnej, choć nawet ta była jego zdaniem niepotrzebnym wybrykiem. „Bardziej wygodnie [można] spędzić miodowy miesiąc w domu” – twierdził.



„Kobieta siedząca na leżaku”. Poczтівka ze zbiorów Biblioteki Narodowej.

W propozycji „urlopów małżeńskich” autor nie wspomina ani słowem o seksie. Nie ma jednak się co łudzić – doskonale wiedział, że taki urlop w wielu przypadkach będzie się równać romansowi. Sam napisał kilka linijek dalej: „Potrzeba zmiany *in modo*, a nieraz, niestety, *in objecto* leży w naturze człowieka i jest koniecznym warunkiem harmonii seksualnej”<sup>12</sup>.

Ostatecznie można było postawić na rozwiązanie pośrednie: urlop z mężem, ale też z kochankiem. Irena Krzywicka wspominała historię opowiedzianą jej przez Tadeusza Boya-Żeleńskiego. Dobre parę lat przed tym, jak w ogóle się poznali, Boy stracił głowę dla pięknej aktorki Jadwigi Mrozowskiej. To dla niej napisał większość swoich

erotyków, ale Mrozowska od związku z ekscentrycznym literatem wolała małżeństwo z milionerem. Wyszła za finansistę Józefa Toeplitza, po czym zaprosiła Boya na wspólną, trzyosobową wyprawę samochodową po Włoszech. Jak wyjaśniała Krzywicka: „Mężowi szepnęła, że ten męski, zdrowy na pozór Boy jest niestety impotentem i że z jego strony żadne niebezpieczeństwo jej nie grozi. Boyowi powiedziała na ucho to samo o mężu, cierpiąc rzekomo, że małżeństwo jej jest tylko pozorne. Obaj panowie dali się zbujać i od czasu do czasu poklepywali się nawzajem ze współczuciem po ramieniu”<sup>13</sup>. A zarazem – obaj doskonale się podczas tej wycieczki bawili.

Konstancja Hojnacka, autorka jedyne prawdziwie międzywojennego kodeksu towarzyskiego, nie interesowała się ekscesami milionerów. Pisała przed tym, co mogło dotyczyć każdej niezłe sytuowanej dziewczyny. Ostrzegała przed relacjami nawiązanymi pod naporem chwili, na plaży lub na lotnisku. Na kartach *Współzycia z ludźmi* wydanego w 1939 roku czytamy:

*Czasem ktoś, kto się okazał czarującą znajomością w tych okolicznościach, może się okazać nie do zniesienia w mieście, gdzie obowiązuje inna forma współzycia. Licząc się z przelotnością takich związków towarzyskich, zbliżają się czasem ludzie do siebie poufniej, niż by na to pozwalała ostrożność, niezbędna w tych warunkach. Haracz płacony później za tę chwilową przyjemność może wypaść za drogo*<sup>14</sup>.

Dobrze wychowana Konstancja Hojnacka nie powiedziała niczego wprost, ale chodziło jej o wakacyjny seks i ryzyko niechcianej ciąży. A na marginesie przemyciła też informację, że nawet dla grzecznej starszej pani, jaką była, rozluźnienie gorsetu obyczajowego podczas

urlopu uchodziło za sprawę oczywistą. Co innego plaża, a co innego miejska „forma współżycia”. Choć ta druga do cnotliwych też rzecz jasna nie należała.

Jak zwykle prościej rzecz ujęła redakcja „Nowego Dekameronu”. W kawale opublikowanym w 1925 roku jedna koleżanka pyta drugiej: „Czy pojedziesz w tym roku do Jastarni Józieczko?”. Druga odpowiada: „Iiii... kiepska plaża... tam może kobietę uszczypnąć – najwyżej rak morski!”<sup>15</sup>. A zresztą, może to wcale nie był dowcip.

---

Pozycje są cytowane przy pierwszym wystąpieniu w danym rozdziale. Data ostatniego dostępu do wszystkich źródeł internetowych to 20 lutego 2015 roku.

1 *Przygoda w pociągu*, „Nowy Dekameron” 1925, nr 5.

2 G. Standley, *Miłość we śnie. Tłumaczenie snów erotycznych wedle nauki*, Drukarnia Handlowa, Poznań 1933.

3 Marek Olkuśnik, *Kobieta w podróży na przełomie XIX i XX wieku. Między próbą emancypacji a presją „podwójnej moralności”*, w: *Kobieta i małżeństwo. Społeczno-kulturowe aspekty seksualności. Wiek XIX i XX*, red. A. Żarnowska, A. Szwarc, DiG, Warszawa 2004.

4 Paweł Grata, Patrycja Bielec-Cząstka, *Misje dworcowe w byłej Galicji jako element opieki nad kobietą w podróży w Drugiej Rzeczypospolitej*, w: *Galicyjskie drogi i bezdroża. Studium infrastruktury, organizacji i kultury podróżowania*, red. Jolanta Kamińska-Kwak, Instytut Historii Uniwersytetu Rzeszowskiego, Rzeszów 2013.

5 W.E. Fitch, *Bicycle Riding. In Moral Effect upon Young Girls and Its Relation to Diseases of Women*, „Georgia Journal of Medicine and Surgery” 1899, nr 4.

6 Michał Misiewicz, *Samogwałt (onanizm) i jego skutki. Przewodnik dla młodzieży i rodziców*, K. Fiszer, Warszawa 1906 (wydanie drugie: oprac. Aleksander Parszewski, Siła, Warszawa 1929).

7 *Magnetyczne kolanko. Skutki braku popielniczek w tramwajach*, „Ostatnie Wiadomości Krakowskie”, 21 listopada 1932, nr 324.

8 *Dziwne pytanie*, „Amorek” 1924, nr 7.

9 *Uczciwa mężatka*, „Nowy Dekameron” 1925, nr 3.

- 10 Helene Haluschka, *Słuchaj Ewo! Nowoczesnym pannom ku rozwadze*, Wydawnictwo Księży Jezuitów, Warszawa 1938.
- 11 Komentarz prof. Juliusza Makarewicza, w: Adam Brzostyński, *Ochrona religii i tępienie pornografii przez ustawodawstwo polskie*, Drukarnia i Księgarnia św. Wojciecha, Poznań 1937.
- 12 Paweł Klinger, *Vita sexualis. Prawda o życiu płciowym człowieka*, Księgarnia Karola Neumillera, Łódź 1930.
- 13 Irena Krzywicka, *Wyznania gorszycielki*, Czytelnik, Warszawa 1995.
- 14 Konstancja Hojnacka, *Współżycie z ludźmi. Kodeks towarzyski*, nakł. i dr. A. Krzycki, Żnin 1939.
- 15 *Kiepska plaża*, „Nowy Dekameron” 1925, nr 4.



/ Utopia nad Wisłą /

## **Ulicznice, syfilis i kraj bez prostytutki**

Ćwiartka wódki i parówki. Nawet po kilkudziesięciu latach zwyczajny warszawski taksówkarz Marian Sękowski doskonale pamiętał, od czego zaczęło się jego upojne spotkanie z „Piękną Stasią”. Dziewczyna pracowała w „Narcyzie”, podrzędnej knajpie na rogu Kruczej i Nowogrodzkiej. Oficjalnie była fordanserką, a tak naprawdę – wprawna damą do towarzystwa. Zabawiała się z gośćmi przybytku, ale tylko z tymi, którym nie brakowało pieniędzy. Żądała od nich najbardziej wyszukanych drinków, dań. Słono liczyła za każdą minutę swojego towarzystwa. Potrafiła zarazem wylewać za kołnierz, podczas gdy rozochoceni jej wdziękami amanci pili zdrowo i bez ograniczeń. Niemal każdy wytaczał się z lokalu zalany w trupa, zanim w ogóle zdążył dojść ze Stasią do czegoś więcej niż zagrycha. Ona albo delikatnie popychała go w stronę przechadzających się ulicą tańszych koleżanek, albo kierowała prosto do taksówki prowadzonej przez zaprzyjaźnionego szofera. Sama wracała do środka i zabierała się za kolejnego naiwnego delikwenta z portfelem wymagającym odchudzenia. Sypiała, jak się zdaje, tylko z tymi, którzy pociągali ją fizycznie lub – wciąż mieli okrągłą sumkę za pazuchą. Dla pozostałych miała zarezerwowane krótkie pożegnanie: „Spływaj, frajerze”.

Jednym z taksiarzy współpracujących ze Stasią był właśnie Marian Sękowski. Choć może trafniej byłoby powiedzieć, że współpracował nie z nią, ale z jej chłopakiem i alfonsiem. O tym ostatnim pisał: „Jej kochanek, zawodowy złodziej, powierzył ją mojej opiece; przy nim była potulna jak baranek. Jakaś moc miał nad nią, bo i przy mnie dostała parę razy od niego po buzi”. Rolą szofera było między innymi dbanie o to, by Stasia nie przeholowała. Jeśli za bardzo „się naoliwiła” i zaczynała urządzać w barze awantury, Sękowski pakował ją pod przymusem do taksówki i odwoził „kochankowi jak bagaż”. I o dziwo, ta właśnie relacja zbliżyła ich do siebie. Którejś nocy wybrali się wspólnie nad Wisłę, na „ksiuty w oleandrach”. Pamiętnikarz wspominał to spotkanie z rozrzewnieniem: „Pokazała mi, jak to może kobieta wywołać podniecenie u mężczyzny i podtrzymać go przez dłuższy czas urozmaiconymi pozami swego ciała. Znajdując się w częściowej ciemności, bo tylko księżyc nam przyświecał, wyczułem opływowe jej kształty i jędrne pagórki piersi”.

O partnerce wypowiadał się w samych superlatywach. Podkreślił, że nigdy wcześniej „tak długo nie utrzymywał się w napięciu z kobietą”. A okazji chyba nie brakowało, bo w tym samym rozdziale podkreślał, że przez całe życie nie uznawał „platonicznej miłości”. Wychodził z założenia, że „gdy zaistnieje między mężczyzną i kobietą sympatia, to zawsze się kończy stosunkiem cielesnym”. Słuszność tej hipotezy sprawdzał przy każdej okazji, z jednej strony „powiększając swój almanach sposobów prowadzenia gier miłosnych”, z drugiej zaś – zyskując sobie „u kobiet miano erotomana”. Stacha to był jednak przypadek wyjątkowy, a nie tylko kolejna dziewczyna na długiej liście podbojów miłosnych Mariana Sękowskiego. Taksówkarz relacjonował,

że tym razem po prostu nie podołał zadaniu. „W końcu odczułem takie wyczerpanie i bezsilę, że ledwo mogłem stanąć na nogi” – stwierdził. Ze spotkania wrócił półżywy i... głęboko zdumiony.

„Nie spodziewałem się tak czystego ciała u zarabkującej na swych wdziękach kobiety” – zanotował. Wiedział, co mówi. Trafił na dziewczynę atrakcyjną i zadbaną w kraju, w którym prostytutki były niemal zawsze brzydkie, brudne, śmierdzące i przymierające głodem<sup>1</sup>.

---

Maria Grzywo-Dąbrowska byłaby pewnie jeszcze bardziej zdziwiona. Ta zapomniana specjalistka od ciemnych stron ludzkiej natury (pisała prace poświęcone między innymi trucicielkom, samobójstwom połączonym z morderstwami, aborcji) przeprowadziła badanie bez precedensu w polskiej historii. W 1915 roku niemieckie władze okupacyjne zarządziły utworzenie pod Łodzią specjalnego szpitala, w którym odizolowano ponad sześćset pięćdziesiąt miejscowych prostitutek, tak by ograniczyć plagę chorób wenerycznych w mieście. Zakład funkcjonował przez osiem miesięcy, a pracowała w nim między innymi Grzywo-Dąbrowska – wówczas początkująca, trzydziestoletnia lekarka. Skrupulatnie notowała wszystkie swoje spostrzeżenia na temat pacjentek. Przeprowadzała z nimi szczegółowe wywiady, dzień w dzień obserwowała ich życie i obyczaje. Wnioski zebrała w książce *Psychologia prostytutki* opublikowanej w 1928 roku. I nie były one szczególnie budujące<sup>2</sup>.

Prostytutki poddane obserwacji były zdaniem autorki dziecinne, leniwe, rozkapryszone i niezdolne do życia w społeczeństwie. Zdecydowana większość była analfabetkami. Niektóre nie wiedziały

nawet, ile mają lat, nie potrafiły też powiedzieć, na ile kopiejek dzieli się rubel, a na ile groszy złotówka. Możliwość zdobywania wiedzy pod okiem lekarzy zupełnie ich nie interesowała. Tylko nieco ponad sto kobiet zdecydowało się brać udział w lekcjach, a niespełna pięćdziesiąt wyszło ze szpitala, nauczywszy się pisać i czytać. Wolały się bawić lub całymi dniami wylegiwać w łóżku. „Najulubiejsza [z ich zabaw] to wesele. Jedna z dziewcząt jest przebrana za pannę młodą, druga za pana młodego. Jest orszak weselny, złożony czasem z kilkunastu par. Kostiumy są bardzo nieskomplikowane: jedno prześcieradło przypięte do koszulki szpilkami zastępuje suknię ślubną, drugie, upięte na głowie, ma być welonem (...). Pan młody i drużbowie ubrani po męsku, z wąsami i brodą z sadzy lub węgla” – relacjonowała Grzywo-Dąbrowska. Wiele podobnych gier kończyło się bijatykami. Pacjentki okładały się pięściami i gryzły. I tak aż do chwili, gdy przypominały sobie, że prawdziwym wrogiem jest personel szpitala. Awantury niejednokrotnie wybuchały podczas posiłków. „My nie krowy, żeby nam kaszę dawano, chcemy mięsa” – krzyczały prostytutki, rzucając sztucce i talerze na ziemię. Zdarzyło się też, że jedna z nich podbiegła do kranu, odkręciła go do oporu i podstawiła palec, tak by skierować strumień wody prosto na pielęgniarki.

Autorka mimo to podkreślała, że wszystkie pacjentki bez wyjątku miały „dobre serca”. Wyrzucały na przykład przez okna własne porcje jedzenia dla biedaków zbierających gałęzie na opał w okolicach szpitala. Ich dobroć była jednak – jak wynika z relacji Grzywo-Dąbrowskiej – bliższa dobroci małych, nierozgarniętych dzieci niż dorosłych kobiet (a niektóre miały nawet i ponad czterdzieści lat!). Stale były rozedrgane nerwowo. Kiedy którejś powiedziano, że musi kilka tygodni dłużej

zostać w szpitalu ze względu na swoją chorobę, zdarzało się, że wyciągała z kieszeni z góry przygotowaną fiolkę jodiny lub wiotriolu i groziła, że odbierze sobie życie. „Raz nawet był wypadek dość poważnego poparzenia jamy ustnej w ten sposób” – wspominała lekarka. Z drugiej strony, pomimo napomnień personelu, chore kobiety kładły się do łóżek wspólnie ze zdrowymi. „Jeśli ja mam syfilis, to i ona może go dostać” – stwierdzały beztrósco.



O wielkich pieniądzech przedwojenne prostytutki mogły tylko marzyć (rys. „Amorek”, 1924).

Niejednokrotnie znajdowano rankiem połamane stoły i łóżka, bo pacjentki nagle postanowiły zapalić nimi w piecu. Nagminne były kradzieże i oszustwa. „Co się tyczy kradzieży, to nie minął dzień, by jednej lub nawet kilku poszkodowanych się nie znalazło. Kradły, gdzie tylko mogły. Często, szczególnie w dni odpustowe, prosiły, by je puścić do kościoła; kiedyś jedna z nich otwarcie się przyznała, że chodziła do kościoła po to tylko, by coś »zarobić« w tłoku” – pisała Grzywo-Dąbrowska. Do uczciwej pracy się nie garnęły, choć proponowano im, żeby przyuczały się do przydatnych zawodów. Do udziału w warsztatach udało się przekonać około setki, ale większość zaraz się znudziła. Pozostałe padły ofiarą szykan koleżanek. Wyzywano je od szpitalnych utrzymanek, śmiano się, że są z nich brzydule i to dlatego zamierzają porzucić prostytucję. Z drugiej strony, kiedy garstkę naprawdę pracowitych chciano nagrodzić pamiątkowym zdjęciem, wszystkie inne też nagle postanowiły, że muszą się znaleźć na fotografii potwierdzającej, że szyły i haftowały. Prostytutki nie miały serca do pracy, za to do picia pchały się jedna przez drugą. „Wszystkie prawie lubią wódkę” – podkreślała autorka. Nawet piętnasto-, szesnastoletnie dziewczyny błagały, by dać im trochę alkoholu. Nie dostawały, więc tak jak wszystko inne – kradły. Z laboratorium szpitalnego raz po raz znikwały fiołki spirytusu, a jedyny ślad po nich stanowiły awantury i rzygowiny.

„W ogóle kobiety te czyniły na mnie prawie że stale wrażenie dzieci, a często istot nienormalnych” – podkreślała Grzywo-Dąbrowska. Liczby zestawione przez autorkę nie pozostawiały wątpliwości. Swoje pacjentki podzieliła na cztery grupy, oceniając – zgodnie z eugenicznym duchem epoki – stopień zwyrodnienia i dziedzicznego

obciążenia każdej z osobna. W pierwszej, najliczniejszej klasie znalazły się „kobiety z wyraźnym obarczeniem psychopatycznym”. Łącznie 34% zasłużyło sobie na taką etykietkę, w tym osiemnastoletnia dziewczyna wyznania katolickiego, oznaczona inicjałami D.M.:

*W trzynastym roku chora namówiona przez starszą koleżankę uciekła z domu. Przyszła do Łodzi i tutaj znalazła sobie służbę [czyli zatrudniła się jako służąca – przyp. KJ]. Szybko zawarła znajomość na ulicy z jakimś „kawalerem”, który, zaproponowawszy spacer za miasto, zgwałcił ją w lasku, w skutek czego w czternastym roku życia zaszła w ciążę. Dziecko żyje; poszła za mamkę, potem za pokojówkę. Służbę często zmieniała, dopomagając sobie prostytutką. Zachowanie chorej jest bardzo dziecinne (...). Razu pewnego postanowiła uciec ze szpitala, a gdy jej w tym przeszkodzono, weszła szybko na drzewo, na sam wierzchołek i pozostała tam przez kilka godzin.*

Druga grupa obejmowała „kobiety, których obarczenia dziedzicznego nie stwierdzono, które jednak na podstawie wywiadów lub obserwacji w szpitalu wykazują rozmaite cechy psychopatyczne”. Grzywo-Dąbrowska zakwalifikowała do tej kategorii 10% pacjentek, na przykład dwudziestoczteroletnią ewangeliczkę Sz.O.:

*Chora, rodziców nie pamięta, do dwudziestego trzeciego roku życia pasła na wsi krowy, „poniewierając się po ludziach”. Wobec tego, że wszyscy we wsi z niej się wyśmiewali, postanowiła przenieść się do miasta. W Łodzi dostała się do jakiegoś przytułku (...). Namówiona przez koleżanki, zaczęła się zajmować prostytutką, na pytanie jednak, jak dawno się tym trudni, odpowiedzieć nie umie. Chora jest analfabatką, nie posiada żadnych wiadomości szkolnych,*

*nie wie ile jest dni w tygodniu, ile miesięcy w roku.*

Do grupy trzeciej autorka zaliczyła „kobiety z dziedziczną psychopatyczną, które zdradzały rozmaite cechy psychopatyczne”. Do czwartej – „urodzone” prostytutki. Wiele było tutaj przykładów wykorzystywania seksualnego w młodości, przymusowych ślubów w wieku parunastu lat, nierządu wywołanego skrajną biedą, ale też – uprawianego w celu kupienia sobie łakoci. Łącznie te dwie grupy Grzywo-Dąbrowska szacowała na 20% wszystkich prostytutek. Nie licząc przypadków trudnych do sklasyfikowania, zostawała już tylko ostatnia, najbardziej optymistyczna kategoria: kobiety, „u których wywiady i obserwacja nie wykazały cech wybitnie patologicznych”. Stanowiły zaledwie 15% pacjentek, ale nawet tę smutną statystykę autorka obłożyła dodatkowymi zastrzeżeniami. Podkreślała, że może i „wybitnych” zwyrodnień opisane delikwentki nie wykazały, zarazem jednak – żadna nie była zupełnie zdrowa na umyśle. Nawet te najbardziej obiecujące spośród sześciuset prostytutek cechowała podatność na wpływ innych ludzi, niezdolność do samodzielnego myślenia, brak poszanowania cudzej własności, impulsywność reakcji i próżniactwo. Słowem: każda ulicznica była, zupełnie dosłownie, tak w sensie moralnym, jak i umysłowym, kobietą upadłą. Z taką wizją prostytutki i parających się nią kobiet w 100% zgadzały się polskie feministki. I na swój pierwszy, podstawowy postulat wybrały zupełną likwidację płatnej miłości.

## **Kartki ze stempelkiem**



Tadeusz Boy-Żeleński wcale nie przesadzał, kiedy pisał, że XIX-wieczna prostytutka była swego rodzaju „urzędnikiem państwowym”<sup>3</sup>. Industrialna Europa, nękana plagą chorób wenerycznych wprowadziła kompleksowy mechanizm rejestracji usług seksualnych – „system reglamentacyjny”. Zaczęto bodaj w Niemczech w 1769 roku, później podobne rozwiązania przejął niemal cały kontynent<sup>4</sup>. Domy publiczne znalazły się pod ochroną prawa, stały się zupełnie legalnymi, działającymi jawnie przedsiębiorstwami. Warunek ich funkcjonowania był jeden: wszystkie prostytutki podlegały kontroli policyjnej, posiadały specjalne legitymacje i regularnie zgłaszały się na badania lekarskie. Koszt tych ostatnich pokrywano z dodatkowych podatków pobieranych od sutenerów. System w żadnym razie nie był doskonały – ani na papierze, ani tym bardziej w rzeczywistości.

Kobieta, która raz wpadła w tryby „reglamentacji”, na zawsze traciła prawo do normalnego życia. Zależnie od kraju odbierano jej paszport i w zamian wręczano hańbiącą „czarną książeczkę” albo też – to w paszporcie wpisywano, że jest i musi być prostytutką. Z taką adnotacją nie mogła liczyć ani na żadną inną pracę, ani na ludzkie traktowanie w relacjach z władzą. Jakby tego było mało, w cieniu oficjalnej ochrony prowadzono bezkarny handel kobietami. Wiele z nich żyło w warunkach zakrawających na niewolnictwo. „Sutener to ten, co nazbiera dziewczyn i za ką, za łyżkę stawy odbiera wszystko, co zarobią. Nie da, to bije, grozi zemstą” – wspominała Marysia, zwyczajna warszawska prostytutka w średnim wieku. W 1933 roku dyskretny wywiad z nią przeprowadził lekarz i publicysta Herman Rubinraut, wyciągając informacje na temat tego, jak prostytutka wygląda w wolnej Polsce, ale też jak wyglądała jeszcze pod zaborami<sup>5</sup>.



Praca czy poniżenie? prostytutka i jej klient według „Amorka” (1924).

Kontrole medyczne w XIX-wiecznych domach publicznych – prowadzone zbyt rzadko, na wrywki, niedokładnie – też nie przynosiły większych efektów, szczególnie w epoce, gdy nie istniało skuteczne lekarstwo na syfilis. prostytutki przerażone wizją utraty pracy (a może przede wszystkim alfonsi niechący tracić personelu) robiły wszystko, by ukryć swój stan zdrowia lub uniknąć badania. Jednocześnie klienci trwali w złudnym poczuciu bezpieczeństwa.

Rubinraut wyjaśniał: „Reglamentacyjna prostytutka, zarejestrowana w poniedziałek jako zdrowa, od wtorku może, za pozwoleniem władzy, zarażać świeżo nabytą chorobą aż do dnia najbliższej kontroli. Gdyby nie miała przy sobie kartki ze stempelkiem wypisanej przez władze, może klient, przerażony ryzykiem, wyrzekłby się kupnej miłości, może użyłby środków zabezpieczających i uratował zdrowie”.

Wielu sutenerów, zasłaniając się tarczą legalności, na boku prowadziło ciemne interesy, a podrzędne burdele przepoczwarzały się w przestępcze meliny. Wielu innych – ignorowało prawo i organizowało domy schadzek po staremu. Według ostrożnych szacunków prostytutek nielegalnych było przynajmniej kilka razy więcej niż tych wyposażonych w „czarne książeczki” i poddawanych badaniom.

Ten podły system mimo wszystko miał także dobre strony. Wprowadzając reglamentację, władze dawały sygnał, że nie chowają głowy w piasek. Niechętnie przyznawały, że we współczesnym społeczeństwie usługi seksualne istnieją, a może nawet muszą istnieć, natomiast obowiązkiem państwa jest zagwarantowanie, by były realizowane w sposób w jak najmniejszym stopniu urągający ludzkiej godności. prostytutki przynajmniej w teorii miały możliwość zgłaszania się po pomoc do policji. Istniały poza nawiasem społeczeństwa, ale system nie pozwalał zupełnie zapomnieć o ich krzywdzie. Dzięki legalizacji seksbiznesu wytworzyła się też pewna stratyfikacja w branży erotycznej. Obok wiecznie głodnych i brudnych „rogówek” działały także ekskluzywne kurtyzany cieszące się dobrymi zarobkami i komfortem życia. Mogły one swobodnie zmieniać pracę i decydować o tym, z kim zamierzają spędzić noc. Z drugiej strony zamożny klient,

który tak czy siak był zdeterminowany skorzystać z prostytucji, mógł być pewien, że zrobi to w towarzystwie pracownicy seksualnej, a nie niewolnicy. Reglamentacja upadła tysiące kobiet, ale przynajmniej niektórym zapewniała ograniczoną ochronę. Była przesiąknięta patologiami, zarazem jednak stanowiła wyłom w wielkim murze hipokryzji. Środowiska kobiece, lekarze i społecznicy nie chcieli jednak poprawiać tego systemu. Zbyt silne było przekonanie, że prostytucja jest gangreną niszczącą polskie społeczeństwo, domy publiczne natomiast – żydowskim wynalazkiem służącym osłabianiu woli narodu i szerzeniu deprawacji. Do tego dochodziło jeszcze wyobrażenie o bezwzględnych żydowskich porywaczach, którzy na wzór swoich przodków – wytaczających smalec z chrześcijańskich niemowląt – parali się porwaniami i handlem polskimi dziewczętami, wywożonymi następnie do burdeli w Ameryce Południowej. Każdego roku ten tragiczny los miał spotykać tysiące, jeśli nie dziesiątki tysięcy chrześcijańskich dziewcząt z Galicji i Kongresówki. Takie w każdym razie krążyły legendy<sup>6</sup>.

Początkowo feministki mówiły przede wszystkim o zniesieniu systemu rejestracji, który poniżał ich zdaniem kobiety i sprowadzał je do roli znakowanego bydła. „Prostytuowanie się jest hańbą, korzystanie z łask prostytutki jest rzeczą haniebną. Obie strony muszą ponosić ryzyko i konsekwencje swego postępowania” – brzmiało krótkie i dosadne uzasadnienie<sup>7</sup>. Na tym jednak sprawa się nie skończyła. Postulaty środowisk postępowych szybko zaczęły zlewać się z argumentami konserwatystów. Nowe państwo miało zlikwidować nie tylko reglamentację, ale też całe zjawisko nierządu<sup>8</sup>. W przededniu wyborów do pierwszego parlamentu niepodległej Rzeczypospolitej

Władysława Weychert-Szymanowska apelowała: „Z moralnego punktu widzenia, my, kobiety (...) musimy domagać się w Sejmie, by młode państwo polskie nie plamiło się sankcjonowaniem rozpusty. (...) Kontroli sanitarnej muszą podlegać (...) mężczyźni. (...) Tędy droga, a nie przez wyłączną kontrolę nad kobietami”<sup>9</sup>. Z kolei wpływowa feministka Kazimiera Bujwidowa oznajmiała, że właśnie po to są potrzebne kobiety w sejmie, by wypłenić płatną miłość z polskiego krajobrazu<sup>10</sup>. Na prawicy i wśród ludowców nastroje były takie same. Kobiety wszystkich partii w sprawie prostytucji mówiły jednym głosem.

Na tym etapie nie było wcale jasne, ile posłanek trafi do sejmu i jaki będzie nowy układ polityczny. Polki właśnie otrzymały prawa wyborcze i to jako jedne z pierwszych na świecie. Zarazem nadal trwały walki o granice, a zgodnie z przyjętą ordynacją żołnierzom w służbie czynnej nie wolno było głosować. W efekcie zdecydowaną większość elektoratu w styczniu 1919 roku stanowiły kobiety – i nikt nawet nie podejrzewał, że wybiorą one do parlamentu zaledwie osiem polityczek.

Być może właśnie w obawach przed skutkami równouprawnienia kryje się tajemnica ekspresowej realizacji postulatów dotyczących nierządu. Mężczyźni woleli pozbyć się systemu reglamentacyjnego, niż ryzykować, że żony i córki odsuną ich od władzy. Ledwie Polska wróciła na mapę Europy, a już – bez żadnej dyskusji, bez konsultacji społecznych – zaczęto demontować seksbiznes. 12 grudnia 1918 roku minister spraw wewnętrznych Stanisław Thugutt zniósł dotychczasowe zasady nadzoru nad prostytutkami. W lipcu kolejnego roku wprowadzono nowy system, ale już tylko o charakterze sanitarnym. Ten etap reformy spotkał się z powszechną aprobatą, tak wśród

działaczek społecznych, jak i samych prostytutek. Nie było już czarnych książeczek ani związanego z nimi piętna. Oficjalnie policja miała się odtąd interesować prostytutkami w takim samym zakresie, jak wszystkimi innymi obywatelami. Warunek był tylko taki, by „dziewczyna miała kartkę w porządku”, jak wyjaśniała przepytana przez Hermana Rubinrauta Marysia. Chodziło o kartkę z kontroli lekarskiej przeprowadzanej w Urzędzie Obyczajowo-Sanitarnym przy ulicy Daniłowiczowej. To ta instytucja przejęła teraz, w znacznie złagodzonej formie, nadzór nad prostytutkami w Warszawie. Swoje odpowiedniki miała też w każdym innym dużym mieście.

Ten szeroko akceptowany stan rzeczy nie trwał długo. W 1922 roku zdelegalizowano sutenerstwo i domy publiczne. Nie tylko te, w których pomiatano kobietami i okradano je z zarobku, ale wszystkie bez wyjątku. Nowe przepisy były przesiąknięte bojowym radykalizmem. W wolnej Polsce w jednym budynku mogły mieszkać maksymalnie dwie prostytutki<sup>11</sup>. Jakakolwiek ich współpraca, zrzeszanie się, próby wspólnego występowania w swoim interesie były odtąd wykluczone. Wszystko to mogło podpadać pod przepisy o stręczycielstwie i kończyć się więzienną odsiadką. Co więcej, w obliczu biedy mieszkaniowej delegalizacja sutenerstwa oznaczała dla tysięcy kobiet utrzymujących się z handlu własnym ciałem utratę dotychczasowego domu. Decyzją władz wylądowały na bruku, tracąc jednocześnie legalną pracę. W pośpiechu, w jakim odbywał się cały proces walki z prostytutką, w ogóle nie pomyślano o tym, by chronić upadłe kobiety przed jeszcze większą krzywdą.

Orędownicy nowych przepisów bagatelizowali problem. To miało być tylko drobne potknięcie na drodze do nowego porządku

społecznego. Snuto wizję resocjalizacji prostytutek, sprowadzania ich na drogę uczciwego życia i porządnej pracy. Miały powstać kolejne ustawy, o walce z nierządem i o przeciwdziałaniu chorobom wenerycznym. Całe społeczeństwo miało się zjednoczyć w walce o bardziej moralne jutro. Witold Chodźko, lekarz, polityk i idealista, snuł iście utopijną wizję: „Z chwilą, kiedy projekty [te] (...) zostaną przyjęte przez nasze ciała ustawodawcze, Polska (...) zdejmie resztę więzów, krępujących i kaleczących jeszcze ciała i dusze kobiet polskich. O krok jeden zbliżymy się (...) w naszej Ojczyźnie do owego Królestwa Bożego, do którego ludzkość cała wśród mąk i udręczeń nieustraszenie i nieustannie, choć powoli, się zbliża”<sup>12</sup>.

## **Czterysta warszawskich burdeli**

Żaden kolejny krok nie został jednak wykonany. Bezlądny entuzjazm i radykalizm pierwszych miesięcy wolności zniknął bez śladu. Ustawy utknęły w sejmie aż do końca epoki, a problem prostytucji szybko zamieciono pod dywan. Oficjalnie nie istniał już żaden zorganizowany seksbiznes – można więc było udawać, że problem się zdezaktualizował. Zapal wygasł nawet w środowiskach kobiecych. W 1929 roku wielką ankietę na temat zwalczania prostytucji próbował przeprowadzić Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet. W teorii organizacja miała doskonałe warunki, by zainicjować ogólnokrajową debatę: zrzeszała aż trzydzieści jeden tysięcy osób działających w trzystu sześćdziesięciu oddziałach. A jednak kampania zakończyła się kompromitującą klapą. Do centrali odesłano zaledwie czterdzieści formularzy. Reszta lokalnych komórek zupełnie zignorowała prośby

o wzięcie udziału w dyskusji<sup>13</sup>.

Podobnie potoczyły się losy policji kobiecej. W 1925 roku z wielką pompą ogłoszono utworzenie specjalnych brygad żeńskich, które miały przejąć od mężczyzn zadanie walki z handlem żywym towarem i stręczycielstwem. Przepowiadano, że kobiety – lepiej rozumiejące grozę sprzedajnej miłości – skutecznie położą kres chorobie toczącej stolicę i inne wielkie miasta. Może rzeczywiście tak by się stało, gdyby nie fakt, że władze niemal natychmiast zapomniały o całej inicjatywie. Po czterech latach w warszawskiej policji służyło zaledwie siedemnaście policjantek. Zbyt mało, żeby skutecznie patrolować kilka ulic w śródmieściu, a co dopiero – wywrzeć wpływ na obyczaje mieszkańców stolicy<sup>14</sup>.

Aby cokolwiek zmienić, kobiece oddziały musiałyby liczyć nawet nie dziesiątki czy setki, ale tysiące funkcjonariuszek. Wbrew znowie milczenia, która zapadła w temacie prostytucji, zjawisko to wcale nie uległo ograniczeniu na skutek „postępowych” regulacji z pierwszych lat niepodległości. Wręcz przeciwnie. Pozbawiony kontroli seksbiznes funkcjonował dalej, ale w ukryciu. Nieobciążony podatkami i pozbawiony kontroli władz mógł swobodnie rozkwitać. Sutenerzy opłacali się stróżom prawa i działali zupełnie bezkarnie. W Warszawie doszło do tego, że jeden z popularnych burdeli otwarto w domu sąsiadującym z komisariatem przy ulicy Poznańskiej 11. Policjanci zarzekali się, że o niczym nie wiedzieli<sup>15</sup>. W rzeczywistości komisarz musiał wziąć okragłą sumkę do kieszeni, a podwładni pewnie dostali rabat na całą ofertę. „Rozpoczęta w swoim czasie przez władze administracyjne walka z (...) nierządem doprowadziła do smutnego doświadczenia, iż plan (...) okazał się niedostatecznie obmyślany. (...)”



Nierząd i pornografia uszły w podziemia, uniemożliwiając ich wykrycie, a co gorsza, demoralizując mniej odpornych funkcjonariuszy policji” – komentowali w 1925 roku dziennikarze „Ilustrowanego Kuryera Codziennego”<sup>16</sup>. Zgodna z prawdą była właściwie tylko ostatnia informacja – sutenerstwo ukryło się, ale w bardzo płytkich podziemiach. Waław Zalewski, jeden z pierwszych badaczy stołecznej prostytucji, w 1927 roku łatwo oszacował, że w mieście jest około czterysta różnego rodzaju domów schadzek<sup>17</sup>. Trafienie do nich wcale nie było wielką sztuką. Można było zapytać samych prostytutek. Tak właśnie w 1934 roku zrobiła Irena Surmacka. Na podstawie rozmów z sześciuset „ćmami nocnymi” stworzyła szczegółową mapę usług seksualnych w Warszawie. Okazało się, że najwięcej kobiet zarabia w ten sposób w rejonie Woli, Muranowa i Powiśla oraz Starego Miasta. Tam, gdzie przez ulice przetaczał się tłum przyjezdnych i gdzie pracowali dysponujący stałą pensyjką urzędnicy<sup>18</sup>. Można też było sięgnąć do prasy. Pismacy, może z własnej inicjatywy, a może za pieniądze alfonsów, kierowali czytelników w objęcia płatnej miłości. Antoni Słonimski naigrywał się z mody na „reklamy negatywne” – piętnujące prostytucję, ale tylko z pozoru. Wspominał, że „przez pewien czas zjawiały się w prasie brukowej ostre i napastliwe wzmianki pod adresem policji i władz miejskich”. Pytano na przykład retorycznie: „Jak długo jeszcze władze tolerować będą istnienie całą noc otwartego domu schadzek przy ul. Kruczej czterdzieści dwa, mieszkanie pięć, parter w oficynie na lewo?”<sup>19</sup>. Oczywiście burdel na takich materiałach tylko korzystał, władze natomiast niezmiennie trwały w letargu. Przyjmowano, zgodnie z zamysłem ustawy, że sutenerstwo przestało istnieć. A że nie było stręczycieli, to też nikt nie musiał głowić się nad

tym, jak traktują zatrudnione (a równie często więzione) kobiety. W XIX wieku seksbiznes przenikał się ze światem przestępczym. Teraz po prostu stał się jego częścią. I na tym wszystkim cierpiały tylko same kokoty.

Być może nieprzypadkowo Maria Grzywo-Dąbrowska opublikowała swoją pracę na temat *Psychologii prostytutki* dopiero w 1928 roku. Podczas pierwszej wojny światowej obserwowała zbiorowisko kobiet zepchniętych na absolutny margines. Prostytutek najbiedniejszych, najbardziej zdegenerowanych i pozbawionych jakiegokolwiek nadziei na poprawę swojego losu. W poprzedniej epoce to była jedna z wielu grup. W połowie międzywojnia – podstawowa, a w wielu miastach i dzielnicach właściwie już jedyna. Tak na pewno wyglądała sytuacja w aglomeracji dzierżącej niechlubny tytuł polskiej stolicy chorób wenerycznych – Łodzi. To tutaj żyło najwięcej osób zarażonych syfilisem i rzeżączką. Tutaj też pracowała szczególnie duża liczba „ciem nocnych”. Poświęcona im książka Edwarda Rosseta z 1931 roku podaje, że egzystowały w koszmarnych warunkach<sup>20</sup>. 97% łódzkich prostytutek żyło w nędzy. Nie było ich stać nawet na eleganckie ubranie, dlatego większość nazywano pogardliwie „chustkowymi”. Co więcej, połowę tych kobiet stanowiły analfabetki. Wszystko to były dane dotyczące wyłącznie prostytutek zarejestrowanych w lokalnym Urzędzie Obyczajowo-Sanitarnym. Kokot nielegalnych było przynajmniej kilka razy więcej. W Warszawie, według niektórych doniesień, nawet dwadzieścia pięć tysięcy<sup>21</sup>. W Łodzi – być może kilkanaście<sup>22</sup>. I wolno zgadywać, że ich życie układało się nawet podlej niż w przypadku legalnych koleżanek.

Policja dbała, by obywatele nie uskarżali się na plagę prostytucji.

W Warszawie przynajmniej od początku lat trzydziestych brudne i nachalne ulicznice – a niekiedy też zwyczajne kobiety, które zapomniały dokumentów, wychodząc na wieczorny spacer – pakowano do białych ciężarówek i przymusowo odstawiano do izolatki w gmachu na Daniłowiczowej. Potencjalni klienci kokot też byli zadowoleni. Tanią prostytutkę dało się namówić na wyprawę w krzaki już za złoty pięćdziesiąt, czyli za cenę litra śmietany<sup>23</sup>. Uskarżać mogliby się przedstawiciele warstw uprzywilejowanych, ale oni po prostu przestali szukać uciech w ramionach ulicznic. Równolegle z tanią prostytucją rozwijał się sponsoring. Nikt nie zastanawiał się, czy wypada płacić pensję utrzymanie, wynajmować dla niej garsonierę lub spędzać z nią upojne chwile na zapleczu teatryku rewii. To po prostu była nowa norma. A może nawet – wyznacznik statusu.

---

Pozycje są cytowane przy pierwszym wystąpieniu w danym rozdziale. Data ostatniego dostępu do wszystkich źródeł internetowych to 20 lutego 2015 roku.

1 Marian Sękowski, *Pamiętnik warszawskiego taksówkarza*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1978.

2 Maria Grzywo-Dąbrowska, *Psychologia prostytutki. prostytutka w literaturze pięknej, w świetle badań naukowych i obserwacji szpitalnej*, Polskie Lekarskie Towarzystwo Wydawnicze, Warszawa 1928.

3 Tadeusz Boy-Żeleński, *Ekonomia miłosna*, w: Tegoż, *Zmysły... zmysły...*, Biblioteka Boya, Warszawa 1932.

4 Witold Chodźko, *Prostytucja i choroby weneryczne jako zjawiska społeczne*, „Opiekun Społeczny” 1939, nr 3.

5 Herman Rubinraut, *Prostytutka i my, ludzie porządni*, „Wiadomości Literackie” 1933, nr 7.

6 Zob. np. Robert Blobaum, „Panika moralna” w polskim wydaniu. *Dewiacje seksualne i wizerunek przestępczości żydowskiej na początku XX wieku*, w: *Kobieta*

*i rewolucja obyczajowa. Wiek XIX i XX*, red. A. Żarnowska, A. Szwarc, DiG, Warszawa 2006; Stanisław Milewski, *Ciemne sprawy dawnych warszawiaków*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1982.

7 Herman Rubinraut, *Prostytutka i my, ludzie porządni*, dz. cyt.

8 Robert Blobaum, „*Panika moralna*” w polskim wydaniu, dz. cyt.

9 Władysława Weychert-Szymanowska, *W sprawie reglamentacji prostytucji*, „*Kobieta w Sejmie*” 1919, nr 3.

10 Jolanta Sikorska-Kulesza, „*W niewoli ciała i ducha*” – organizacje kobiece wobec problemu seksualności na początku XX wieku, w: *Kobieta i rewolucja obyczajowa. Wiek XIX i XX*, dz. cyt.

11 Rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 11 lipca 1932 r. – Kodeks karny, Dz.U. 1932, nr 60, poz. 571.

12 Witold Chodźko, *Prostytucja i choroby weneryczne*, dz. cyt.

13 Zob. Jolanta Sikorska-Kulesza, „*W niewoli ciała i ducha*” – organizacje kobiece wobec problemu seksualności, dz. cyt.

14 H. Siemieńska, *Policja kobieca*, „*Praca Obywatelska*” 1930, nr 8; Halina Ceyssingerówna, *Za mało policjantek!*, „*Praca Obywatelska*” 1928, nr 2.

15 Paweł Rzewuski, *Warszawa – miasto grzechu. Prostytucja w II RP*, Promohistoria, Warszawa 2014.

16 *Nieudolna walka z nierządem*, „*Ilustrowany Kurjer Codzienny*”, 5 lutego 1925, nr 36.

17 Wacław Zaleski, *Prostytucja powojenna w Warszawie*, Stowarzyszenie Pracowników Księgarskich, Warszawa 1927.

18 Irena Surmacka, *Czynniki prostytucji oraz charakterystyka prostytutek. Ankieta zebrana wśród prostytutek warszawskich*, Warszawa 1939. Por. Robert Kowalczyk, Katarzyna Korzeniewska, Violetta Skrzypulec, *Psychologiczne funkcjonowanie prostytuujących się kobiet*, „*Przegląd Seksuologiczny*” 2009, nr 17.

19 Antoni Słonimski, *Nr 50, 13 grudnia 1931*, w: Tegoż, *Kroniki tygodniowe. 1927–1931*, LTW, Warszawa 2003.

20 Edward Rosset, *Prostytucja i choroby weneryczne w Łodzi*, Wydział Zdrowotności Publicznej Magistratu m. Łodzi, Łódź 1931.

21 Takie liczby podawała prasa. Legalnych prostytutek w Warszawie w 1926 roku było niespełna trzy i pół tysiąca. Zob. Józef Macko, *Prostytucja. Nierząd – handel „żywym towarem” – pornografia ze stanowiska historii, etyki, higieny i prawa*, Polski Komitet Walki z Handlem Kobietami i Dziećmi, Warszawa 1927.

22 W Łodzi rejestracji poddawało się – zależnie od roku – od niespełna dwustu do ponad czterystu pracownic seksualnych. Pewne pojęcie o skali nielegalnej prostytucji dają aresztowania kobiet oddających się nierządowi bez „stempelka”. W latach dwudziestych w Łodzi „wpadły” w ten sposób prawie trzy tysiące kobiet. Zob.

Edward Rosset, *Prostytucja i choroby weneryczne w Łodzi*, dz. cyt.

23 Takie malownicze porównanie podaje: Monika Piątkowska, *Życie przestępcze w przedwojennej Polsce*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2012.

## IV / Kultura rozpusty



/ Moda na nagość /

## **Kult ciała czy pornografia?**

Warszawa, schyłek lat dwudziestych. Marian Sękowski, zwyczajny stołeczny taksówkarz, opowiada o swoich horyzontach intelektualnych. Obrusza się na samą sugestię, jakoby był tępakiem lub analfabetą. Chętnie podkreśla, że nawet jako prosty robociarz na literaturze zna się nie gorzej od profesora uniwersytetu. I podobno wśród taksówkarzy to rzecz zupełnie zwyczajna. „Na temat przeczytanych książek dyskutowaliśmy na postojach. Jednych autorów krytykowaliśmy, innych gloryfikowaliśmy – wyjaśnia nasz bohater. – Wymiana zdań podnosiła naszą kulturę. Brałem w tym żywy udział. Odczuwałem, że jeszcze mi wiele brakuje do rozeznania się, jak żyjemy na tej ziemi. Stawałem się marzycielem, nawet sentymentalnym”.

Sękowski nie czyta byle czego. Jego gusta poczęły kształtować się już w wieku szkolnym. I wtedy też na policzki wystąpiły mu pierwsze rumieńce. Ze wstydu i z podniecenia. „Chodząc do gimnazjum, wczytywałem się w romanse *Rodziewiczówny*, *Orzeszkowej* i *Mniszkówny*, przez co stałem się sam romansowego usposobienia” – tłumaczy tonem znawcy. W ciągu lat flirtował też z innymi gatunkami: od sensacyjnych zeszytów *Jacka z Teksasu* po detektywistyczne przygody Sherlocka Holmesa. Do dziś jednak to literaturę miłosną

darzy szczególnym upodobaniem. Tyle tylko, że za sprawą dwóch napotkanych koneserów od subtelnych powieści dla pensjonarek przeszedł do pozycji cokolwiek bardziej dosadnych.

„Dwóch przedsiębiorczych Żydków rozpoczęło między nami kolportaż książek” – wspomina. Serca taksówkarzy podbiły przede wszystkim powieści włoskiego autora Pitigrillego. Jak wyjaśnia Sękowski, były to: „na pół pornograficzne romanse, co swą treścią podniecały”. Same ich tytuły mówią wszystko: *Pas cnoty*, *Kokaina*, *18 karatów dziewictwa...*

Ktoś mniej doświadczony mógłby się zachnąć, że takie szmiry to nawet nie literatura. Nasz bohater wie jednak swoje. „Z lektur wyciągałem praktyczne wnioski dla zachowania kultury w życiu!” – podkreśla. I od wynurzeń książkowych płynnie przechodzi do przechwałek na temat swoich najbardziej zuchwałych podbojów miłosnych.

---

We wspomnieniach Mariana Sękowskiego wzmianka o literaturze erotycznej pojawia się bez żadnego zażenowania, w zasadzie mimochodem<sup>1</sup>. Konserwatywnym publicyście włosy stanęłyby dęba na samą myśl o podobnej nonszalancji. Nic dziwnego. Aż do wybuchu II wojny światowej popularne było przekonanie, że „zła książka” to nie tylko zagrożenie duchowe, ale też – czysto zdrowotne. Prostą drogą prowadzi do samogwałtu, osłabienia organizmu, a wreszcie do śmierci.

Niektórzy autorzy szli nawet dalej (tak: dało się pójść dalej!). August Czarnowski, redaktor broszury *Marnopłcenie – Onanizm* wydanej w 1914 roku, podkreślał, że ofiara pornografii wcale nie musi



sięgać do rozporka. Już z chwilą otwarcia nieprzyzwoitej książki jest zgubiona. Wszystko za sprawą tak zwanego onanizmu duchowego. „Onania duchowa jest możliwą bez żadnej zmazy cielesnej; zawiera się ona w zapełnianiu i rozpalaniu mózgu lubieżnymi obrazami” – biegła definicja stworzona jeszcze u schyłku XVIII wieku przez niemieckiego lekarza Christopha Hufelanda. „Ta postać onanii jest niewątpliwie najbardziej rozpowszechnioną i większa część ludzi zaledwie się domyśla, do jakiego stopnia jest szkodliwe wszeteństwo duchowe, które się uprawia przez czas dłuższy. Pobudzamy się do niego czytaniem gorszących pism, przyglądaniem się nęcącym baletom, sprośnym obrazom” – grzmiał Czarnowski<sup>2</sup>. Podobnych opinii nie brakowało. Seved Ribbing, szwedzki lekarz i autor przetłumaczonej na język polski w 1928 roku książeczki *Życie płciowe przed małżeństwem*, ostrzegał: „Jeżeli umysł człowieka jest przeładowany zmysłowymi obrazami, wywołanymi rozczytywaniem się w pornograficznej literaturze – to należy sobie samemu przypisać winę, że zdrowie i siły zostają narażone na szwank wskutek nadmiernych polucji”<sup>3</sup>.

Autorzy, dla których argumenty moralne brały górę nad higienicznymi, straszili w nieco inny sposób. Co tam zdrowie i życie jednostki. Na skutek styczności z pornografią w śmiertelnym zagrożeniu znajdowała się cała Polska. „Wszelkie wydawnictwa [pornograficzne] (...) przynoszą duszom nieśmiertelnym ogromne straty, nie dające się objąć żadną statystyką i niszczą zdrowie oraz energię narodu” – brzmiała odezwa Ligi Katolickiej sformułowana w Poznaniu w 1932 roku<sup>4</sup>.

Rzucona na koniec wzmianka o energii narodu tylko wygląda na

przypadkowy frazes. W rzeczywistości nawiązywała do prawdziwego monstrum przedwojennej myśli konserwatywnej – eklektycznej wizji rzeczywistości, w której pocztówki z gołymi paniami, masoneria i żydowskie spiski tworzyły spójną, złowieszczą całość. Najpełniejszy wyraz znalazła ona w pracach księdza Stanisława Trzeciaka. Niewiele było równie barwnych postaci w przedwojennym polskim Kościele. Z jednej strony – niekwestionowany erudyta, znawca literatury hebrajskiej i doktor teologii wykształcony na trzech europejskich uniwersytetach. Z drugiej – jeden z najbardziej agresywnych polskich antysemitów, podpierający się na każdym kroku *Protokołami mędrców Syjonu* i przedstawiający całą społeczność polskich Żydów jako zaciętrzewionych degeneratów, dążących do obalenia niepodległości.

W przerwie między nawoływaniami do wprowadzenia „getta powszechnego” i odizolowania Żydów od Polaków w każdym obszarze życia Stanisław Trzeciak wyjaśniał: „O ile zło w tym kierunku wzbiera i rozpusta w jakimś narodzie rozszerza się swobodnie (...), to naród taki ginie. Dlatego każdy naród, pragnący zapewnić sobie byt i przyszłość, musi strzec swojej młodzieży nie tylko przed rozpustą, ale i przed wszystkim, co do rozpusty prowadzi”. Do tego punktu brzmi to jak dowolna broszura przeciwko pornografii. Jednak doktor Trzeciak nie bez powodu nadał swojej publikacji tytuł: *Pornografia narzędziem obcych agentur*<sup>5</sup>. Było dla niego rzeczą oczywistą, że Polacy nie mogą odpowiadać za falę erotyki zalewającą kraj. I że w żadnym razie nie chodzi tutaj o biznes.

„Mówiąc o pornografii, nie można nie mówić o Żydach, bo to proceder żydowski” – podkreślał. Uzasadnienie znajdował

w niezawodnych *Protokołach mędrców Syjonu*. Zgodnie z jego wywodem pornografia to: „zbrodniczy, szatański system demoralizowania młodzieży, prowadzony w ohydny sposób przez Żydów, obcych nam etyką, a wyrafinowanych w rozpuście”. Cel całego przedsięwzięcia był jasny niczym słońce. Przecież identyczny mechanizm przeciwiczo już wielokrotnie, z porażającą skutecznością. „Tej metody używali wobec Rosji Żydzi w czasie wielkiej wojny, przygotowując rewolucję [październikową]” – wyjaśniał Trzeciak, gładko łącząc sukces bolszewizmu z inwazją żydowskich prostytutek na garnizony pułków kozackich. Jakby tego było mało, żydowscy kolporterzy pornografii doprowadzili też do upadku I Rzeczypospolitej:

*My możemy powiedzieć także, że masoneria i rozpusta zgubiły Polskę w XVIII wieku i doprowadziły do jej rozbiorów. Jeśli zaś masoneria była i jest na usługach Żydów, a szerzenie rozpusty od pornografii począwszy do handlu żywym towarem jest procederem żydowskim, to jasną jest rzeczą, że i z tego punktu widzenia musimy jasno i stanowczo określić nasz stosunek do Żydów.*

Przekładając na współczesną polszczyznę: Żydzi i pornografia sprowadzili na Ojczyznę stuletnią niewolę, dlatego trzeba im wypowiedzieć bezpardonową wojnę. Był tylko jeden problem. O ile, z trudem i po długich dyskusjach, konserwatywni publicyści byli w stanie określić, kto właściwie jest ich zdaniem Żydem, o tyle próby zdefiniowania drugiego zjawiska konsekwentnie spełzały na niczym. Aż do 1939 roku w Polsce brakowało jednej definicji pornografii, na którą każdy byłby gotowy się zgodzić.

## **Pornosy. Wszędzie pornosy**

Jan Parandowski, Zofia Nałkowska, Henryk Sienkiewicz. To tylko kilka przykładów pisarzy, którym przed wojną dorobiono łatkę „pornografów”. Jeśli na listę inkryminowanych mógł trafić nawet prezes PEN Clubu i przyszły profesor filologii klasycznej, znany głównie jako autor *Mitologii*, to najwidoczniej kryteria nie były zbyt restrykcyjne. Sama pornografia zaś oznaczała coś zupełnie innego niż dzisiaj<sup>6</sup>.

Nic dziwnego. To popularne w XXI wieku słowo dwieście lat temu nawet nie istniało. Ukuto je dopiero w XIX stuleciu jako sztuczną zbitkę greckich wyrazów *porne* i *graphos*. Co więcej, neologizm ten nie miał nawet specjalnego sensu. Pornografia to dosłownie „pisanie o nierządnicach”. A przecież chyba nie do końca o to chodzi. Określenie zrodziło się w literaturze fachowej i tam też w niekontrolowany sposób się rozpleniało. Czesław Lechicki – antysemita na miarę Stanisława Trzeciaka, natomiast grafoman zupełnie bezkonkurencyjny – pisał nie tylko o pornografii, ale też „pornologii” (pornografii naukowej) i „pornofilii” – „upodobaniu w sprośnościach”<sup>7</sup>. Niestrudzony konserwatywny publicysta sporządził łącznie sześć tysięcy analiz besztających zbereźne utwory autorstwa tysiąca dziewięćdziesięciu dwóch różnych pisarzy. Ale klarownie wytłumaczyć, czym właściwie jest sama pornografia – nie zdołał<sup>8</sup>.

W środowiskach katolickich dużą popularnością cieszyła się restrykcyjna wykładnia księdza Mariana Pirożyńskiego. „Literacką pornografię tworzy każdy opis stylizowany sfery erogennej u ludzi, tudzież wszelkich cielesnych objawów miłości” – pisał w artykule *W obronie ładu moralnego*<sup>9</sup>. Zgodnie z taką definicją na cenzurowanym musiała się znaleźć dowolna publikacja, w której pojawi się choćby subtelną wzmianką o namiętności występującej między

kobietą i mężczyzną. Jakikolwiek opisy scen intymnych czy choćby sugestie, że bohaterowie książki prowadzą życie seksualne, były z gruntu wykluczone.

Do pewnej liberalizacji poglądów doszło w kręgach związanych z Kościołem dopiero w latach trzydziestych. Postępowcy zaczęli nieśmiało sugerować, że można zgodzić się na literackie wzmianki o fizycznej miłości, byle uczucia były kierowane ku kawalerom, pannom lub wdowcom. I koniecznie kończyły się małżeństwem.

Popularność zyskiwała złagodzona wykładnia, według której za pornografię uznawano wyłącznie to, co mogło wywoływać u czytelnika podniecenie i nieczyste myśli. Oczywiście takie kryterium nie było łatwe do zastosowania w praktyce. Ktoś przecież musiał zdecydować, że dzieło X jest zbredne, a Y – co najwyżej niesmaczne. Ewentualnie należało z góry przyjąć, że każdy człowiek operuje tym samym systemem wartości i każdego podniecają identyczne sprośne słowa. Podobna koncepcja była, szczególnie w warunkach kiełkującego społeczeństwa obywatelskiego, cokolwiek karkołomna. Konserwatywni publicyści wcale się tym jednak nie przejmowali. Adam Brzostyński, autor broszury pt. *Ochrona religii i tępienie pornografii przez ustawodawstwo polskie*, przyznawał, że nie wszyscy ludzie mają identyczny kompas moralny. Ale ludzie kulturalni – już bez wątpienia tak<sup>10</sup>.

*Najprostszą odpowiedź na pytanie, co jest pornograficzne, daje nam wrodzone uczucie wstydu. (...) A na argument, że uczucie to jest u różnych ludzi rozmaite, odpowiadać [należy], że: 1) wyłącza się oczywiście ludzi pozbawionych wstydu, bądź z przyrodzenia, bądź dla braku wychowania, bądź wreszcie wskutek rozwiązłego życia; 2)*

*brać należy pod uwagę wstydlivość ludzi rozwiniętych i duchowo wyrobionych, a [zarazem] normalnych.*

Słów dużo, ale jednoznacznego testera obsceniczności – wciąż brak. Autorom, przerzucającym się wzajemnie oskarżeniami o szerzenie deprawacji, podsunęło go wreszcie samo życie. Maryse Choisy, francuska reporterka, znana z tego, że spędziła miesiąc jako sprzątaczką w burdelu, by opisać tamtejsze realia, w następujący sposób broniła swojego kolegi po fachu: „Nigdy nikt nie onanizował się po książce Delteila”<sup>11</sup>. Oto kryterium niezawodne i proste jak budowa cepa. Jeśli po przeczytaniu podejrzanej książki choć jeden człowiek się masturbował – niechybnie jest to pornografia. Jeśli nie – pora wydać wyrok uniewinniający.

Oczywiście za sprawą tego złotego środka dyskusje wcale nie ucichły. Wiele z nich przybierało wprost komiczny obrót. Tadeusz Boy-Żeleński, na którego wylewano wiadra pomysł za sam fakt, że śmiał tłumaczyć na język polski dzieła Honoriusza Balzaka, żartował sobie: „I tak ciągle. Kiedy zacząłem wydawać moje przekłady z literatury francuskiej, obwołano mnie pornografem. Dziś pan minister spraw zagranicznych mieni mnie publicznie swoim najużyteczniejszym współpracownikiem. Więc właściwie w czym?”<sup>12</sup>. Popularność i poczytność łatwo mogły przemienić pogardzanego zboreźnika w artystę. Ta sama droga nobilitacji była otwarta także dla malarzy i rzeźbiarzy. Choć względem nich konserwatyści okazywali się jeszcze mniej wyrozumiali.



„Akt kobiety siedzącej”. Przedwojenna pocztówka ze zbiorów Biblioteki Narodowej.

Najwięksi radykałowie nie godzili się na żadne przedstawienia nagości w sztuce. Wyjątek robili co najwyżej dla rzeźb antycznych, choć nawet im najchętniej dorobiliby opaski i listki figowe. Wśród kościelnych liberałów golizna znajdowała przyzwolenie, ale pod ścisłymi warunkami. Musiała być przejawem „uduchowionego” arcyzmu, musiała stanowić wyłącznie tło dla szerszego konceptu, swoistą wisienkę na skromnie przybranym torcie. I wreszcie – nie mogła być pokazywana wprost. Wymagała odpowiednio zawilego i abstrakcyjnego pretekstu. Tak więc mityczną Afrodytę ostatecznie wolno było namalować. Ale blondwłosą Stefcię z sutereny na parterze – absolutnie nie.

---

*Jeden z szampionów futbolu zaczynał noc w noc cierpieć na polucje i to przed rozstrzygającą walką. I on, i jego towarzysze bardzo byli tym zmartwieni, dlatego, że coraz słabiej grał. Pewnego razu jeden z kolegów przyszedł do niego i ujrzał w pokoju na ścianie przy łóżku obraz nagiej, ślicznej dziewczyny. Natychmiast zerwał ten obraz i ostro rozmówił się z kolegą. Oto gdzie była przyczyna nienormalnych polucji.*

Umoralniający przykład z książki  
*Życie seksualne i życie miłosne  
mężczyzny (1936)*<sup>13</sup>.

## **Sztuczne biusty i prawdziwa nagość**

Cała ta kazuistyka dzisiaj może wywoływać co najwyżej śmiech. W dwudziestoleciu międzywojennym też sobie z niej żartowano – ale dopiero poza granicami tego, co Tadeusz Boy-Żeleński określał mianem „okopów Świętej Trójcy”<sup>14</sup>. Trudno się dziwić. Podczas gdy konserwatyści dywagowali nad przyodziewkiem biblijnej Ewy, resztę Polski opanowała bezprecedensowa obsesja na punkcie nagiego ciała.

Zaczęło się na plaży. Jeszcze u schyłku XIX wieku moda kąpielowa była paskudna i niepraktyczna, a letniskowe obyczaje – wprost groteskowe. Pisała o tym znana satyryczka Magdalena Samozwaniec: „W sumie wszyscy razem mogli być śmiało uważani za »płec brzydką«, do czego przyczyniły się ówczesne kąpielowe stroje, odznaczające się horrendalną brzydotą i brakiem smaku”<sup>15</sup>. Długie, męskie trykoty, zwykle w paski, przypominały raczej nocną bieliznę niż ubiór sportowy. Dziewczyny były w jeszcze gorszej sytuacji. Kombinezony



z drelichu opatulały je od stóp do głów i zupełnie nie nadawały się do pływania. „Z daleka kąpiące się kobiety wyglądały jak nadmuchane, kolorowe półkule” – podkreśla historyczka Magda Gawin<sup>16</sup>. Do tego dochodziły jeszcze archaiczne obyczaje. Kobieta mogła wyjść z wody tylko, o ile natychmiast podbiegła do niej służąca z rozpostartym prześcieradłem. Nie wolno było dopuścić do pokazania żadnego skrawka nagiego ciała. I to mimo że wszystkie plaże dzieliły się na trzy ściśle odseparowane części: dla kobiet, dla mężczyzn i dla małżeństw z dziećmi.

Pierwsze jaskółki zmian pojawiły się jeszcze przed wybuchem wojny w 1914 roku. W Warszawie zorganizowano plażę koedukacyjną. Stopniowo zaczęto też upraszczać stroje kąpielowe. Plażowiczki z lat dwudziestych wciąż wyglądają dość obco. Odśłoniły uda i ramiona, jednak ich strój niewiele ma w sobie kobiecości. Właściwie tak samo do kąpeli ubierają się mężczyźni. Ale lata trzydzieste to już zupełnie co innego. W ściśle przylegających do ciała, elastycznych kostiumach z głębokim dekoltem na plecach przedwojenne miłośniczki opalania mogłyby zawitać również na dzisiejszą plażę – i łatwo zginąć w tłumie.

Moda miejska pozostawała tylko kilka kroków za tą wakacyjną. W 1925 roku „Express Wieczorny Ilustrowany” donosił: „Nikt nie wątpi, że w tegorocznym okresie karnawałowym najbardziej pięknym tematem dyskusji balowych jest ustalenie granicy między tą partią ciała, która ma być ubrana, a tą, która ma być wystawiona na pożądliwe spojrzenia mężczyzn. Głos zabierze w tej sprawie nie Moralność, ale zwyczajna handlowa Konkurencja”<sup>17</sup>. Musiały to być wyjątkowo zaciekle zawody, bo na placu boju została głównie golizna. Kilka lat później Antoni Słonimski stwierdzi szczerze: „Żyjemy dzisiaj w epoce

krótkich sukienek i kostiumów sportowych. Widok trzewiczka nie wywołuje już u nas obłądnych uniesień ani tzw. purpurowej mgły przed oczami. Noga się zdewaluowała. Nogę i jej okolicę zna już każdy sztubak chodzący do kina czy na boisko sportowe”<sup>18</sup>.

Nie był to wcale trywialny problem. Jeden z najlepszych nad Wisłą specjalistów od seksu, Paweł Klinger, mógłby wręcz powiedzieć, że w zagrożeniu znajduje się polska tradycja. Przy okazji stwierdzenia, że wszyscy ludzie są po trosze zboczeńcami, pan doktor zajął się dewiacjami typowymi dla poszczególnych narodów. Zwrócił uwagę, że Francuzi specjalizują się w seksie oralnym, Niemcy mają fioła na punkcie włosów, a Rosjanie – toną w czarnych oczach swoich dziewcząt. Co z Polakami? Naszym „polskim fetyszem” była zdaniem Klingera – nóżka.

*Na kogo z Polaków nie działa mała, piękna nóżka kobieca? Czyż nie spoglądamy na nóżki częściej niż na buzię? Nasze pierwsze spojrzenie pada stanowczo na nóżkę, a potem dopiero na twarzyczkę. To też Polki słyną na świat cały ze swych nówek, albowiem w końcu musiało nastąpić przystosowanie się do ogólnonarodowego fetyszu <sup>19</sup>.*

Rewolucja obyczajowa z jednej strony wystawiła piękne nogi Polek na pokaz publiczny. Z drugiej – odsłoniła też wiele innych, dotąd niedostępnych partii ciała. „Nie reporterski to jest wic, lecz mody to ostatni krzyk. I z przodu nic, i z tyłu nic, a jednak całość ef-ef szyk” – żartował w 1924 roku „Amorek”<sup>20</sup>. Na łamach „Nowego Dekameronu” przytoczono z kolei małżeńską dyskusję na temat nowoczesnej mody:

*– Czy moja nowa suknia nie podoba Ci się?*

– *Twoja suknia!... Twoja suknia!... Przecież jej właściwie nie masz!*

...

– *Dlaczegoż mi więc scenę robisz dla takiej drobnostki?* <sup>21</sup>

Zafascynowana nagością redakcja gazety „Dobry Wieczór! Kurier Czerwony” – jednego z głównych tabloidów stolicy – opublikowała nawet dwuczęściowy reportaż z francuskiej kolonii nudystów. Miejsce pobytu dziennikarza wprost nazwano „rajem”<sup>22</sup>.

W świetle prasy satyrycznej niezadowoleni z przewrotu w modzie byli tylko żydowscy handlarze. W dowcipie rysunkowym opublikowanym przez „Sowizdrzała” w 1919 roku rozmawia dwóch mężczyzn stylizowanych na stereotypowych, ortodoksyjnych Żydów. Jeden wypomina drugiemu, by nie gapił się na półnagie gojki. Drugi odpiesza, że wcale nie patrzy na goliznę, ale na straconą okazję biznesową. „Ja widzę, że jeżeli ta sprośna moda zrobi postępy, to nasz pasek na manufakturę diabli wezmą!” – użala się<sup>23</sup>.

Z drugiej strony dziennikarze przekonywali, że nikt nie jest bardziej uradowany nowymi obyczajami niż same kobiety. Rzeczywistość nie była wcale tak prosta i jednoznaczna. Za akceptacją nagości przyszła też – tyrania pięknej sylwetki. Od kobiety oczekiwano szczupłego, wysportowanego ciała. Codzienna gimnastyka stała się nie tylko nową modą, ale wręcz społecznym nakazem. I na niej wcale się nie kończyło. W dwudziestoleciu nie było już miejsca na żadne fizyczne defekty. Każda kobieta powinna mieć:

*Trzy białe: skóra, zęby, dłonie; trzy czarne: oczy, brwi, rzęsy; trzy czerwone: wargi, policzki, paznokcie; trzy długie: tułów, włosy, ręce; trzy krótkie: zęby, uszy, stopy; trzy szerokie: klatka piersiowa,*

*czoło, przestrzeń między brwiami; trzy wąskie: usta, kostki u nóg, talia (...); trzy cienkie: palce, włosy, wargi; trzy małe: piersi, nos, głowa*<sup>24</sup>.

„Zasadę trójek” przytoczył w 1936 roku William Martin. Dla niego był to chyba rodzaj żartu, ale bardzo wielu mężczyzn traktowało tę listę z zupełną powagą. Kobiety natomiast widziały w niej wzór niedoścignionego ideału. Wiele wierzyło, że uda im się go zrealizować dopiero dzięki operacjom plastycznym. Już w latach dwudziestych poświęcano tej sprawie dziesiątki artykułów – zupełnie jakby kosmetyczne interwencje chirurgów stanowiły zwyczajną, codzienną praktykę. „Nowy Dekameron” w jednym ze swoich opowiadań deklarował, że *Wszystkie kobiety mogą być piękne*. A na dowód przedstawił historię mężczyzny zdradzającego swoją szpetną żonę... z nią samą. Tyle tylko że zmienioną nie do poznania dzięki staraniom lekarzy. Mąż niczego się nie domyślił i jeszcze na dodatek zapłacił kobiecie całe sto złotych, zupełnie jakby była bardzo drogą prostytutką<sup>25</sup>. Morał z opowieści nie jest zbyt budujący (zmień sobie twarz, to mąż zrobi z ciebie ulicznicę?), ale – mogło być znacznie gorzej. W innej historii „Nowego Dekameronu” kobieta ugryziona przez psa w policzek przechodzi przeszczep skóry. Materiału, pobranego prosto z pośladek, w tajemnicy użycza jej były kochanek. I to tylko po to, by we właściwej chwili powiedzieć nowemu narzeczonemu swojej utraconej miłości, że ten może go pocałować... prosto w dupę<sup>26</sup>.

Oba te rubaszne utwory ukazały się w połowie lat dwudziestych. Dziesięć lat później raczej żadna gazeta by ich nie wydrukowała. Nie tylko dlatego, że zmienił się rynek prasy, ale też – bo zmieniła się

medycyna i operacje plastyczne stały się smutną rzeczywistością. W 1934 roku przekonała się o tym cała Warszawa na skutek głośnego procesu wytoczonego dwóm lekarzom. W mieszkaniu doktora Feliksa Rostkowskiego odbyła się operacja zmniejszenia piersi. Pacjentka – Aleksandra Ufnowska – uskarżała się, że duży biust przeszkadza jej w „schylaniu się, prowadzeniu auta i w uprawianiu sportów”. Pewnie przeszkadzał jej też w dobrym samopoczuciu. Wprawdzie międzywojenna moda miotła się pomiędzy uznaniem dla małych piersi i fascynacją dużymi, ale zwykle stawiano na te pierwsze. Ufnowska też chciała mieć dwie drobne, gustowne półkule i zapłaciła za to życiem. Umarła na stole chirurga, który, jak wyszło wkrótce na jaw, znał się wyłącznie na operacjach laryngologicznych<sup>27</sup>.

Czytające o tej aferze Polki wołały nie ryzykować. Zbyt obfity biust maskowały odpowiednim strojem. A zbyt skąpy uwydatniały ówczesną wersją „push-upów” – gumowymi protezami. Właśnie takie akcesoria zyskały sobie przed wojną miano „sztucznych biustów”. „Amorek” poświęcił tej sprawie cały szereg tekstów. Udzielający w każdym numerze porad miłosnych „Don Juan” przestrzegał czytelników: „Wszystko wybaczę kobiecie, ale nigdy sztucznego biustu”<sup>28</sup>. Pewien amant pytał napotkaną kobietę: „Mając takie cudne kształty, które wielbią ludzi tłumy... Wszak mi powiesz, gdzie kupujesz, te półkule różne... z gumy?”<sup>29</sup>. Wreszcie była też historia fabrykanta piersi i jego klientki:

*Ira w środkach nie przebiera, bo zna dobrze mężczyzn gust.*

*Będąc szczupłą, u Drehera zamówiła sobie biust.*

*Jest. Do domu szybko zmierza (...). I gumowy biust przymierza. (...)*

*Tak przytyka, tak przytyka, lecz pasować ani chce.*

*Odnosi więc do optyka, ten się na subiekta drze.*

*– Panie Wacław! Do cholery, coś pan wtedy we łbie miał?*

*Zamiast frontu numer cztery, sztuczną talię pan żeś dał <sup>30</sup>.*

## **Rzeczy sprośne i wszeteczne**

Obsesja na punkcie ciała trwała w najlepsze i tylko dwóch bastionów pierwsza rewolucja seksualna nie zdołała zdobyć. Karmienie małych dzieci piersią w miejscach publicznych wciąż uznawano za nienaturalne i odstręczające. I to mimo że już w 1906 roku Stanisław Kurkiewicz walczył z matkami, które „nawet wobec innych kobiet zwlekają z podaniem piersi głodnemu dziecięciu”<sup>31</sup>. Drugą niezdobytą twierdzą była intymna depilacja. W połowie lat trzydziestych wielu Polaków w ogóle nie wiedziało, co to takiego. Autorzy brukowego słowniczka wydanego w tym czasie czuli, że sprawę trzeba wyjaśnić możliwie szczegółowo. I pokazać, że chodzi o praktykę bliższą mieszkańcom Mekki niż Warszawy: „DEPILACJA – golenie włosów na organach rozrodczych, często spotykany zwyczaj u ludów wschodnich, szczególnie Koran wymaga tego od wiernych mu kobiet”<sup>32</sup>.

Przynajmniej samo odsłanianie ciała nie było już na polskich ulicach żadną sensacją. W 1936 roku nawet mało postępowy autor książki *Sztuka przypodobania się kobietom*, niejaki doktor Tardieu, oznajmiał: „Nagość jest wstrętna [wyłącznie] dla tych, którzy stracili siłę, a stąd i wdzięki pożądania, i jeszcze dla tych, którzy mają gusta zboczone. Ich wyobraźnia przeżywa tylko emocje brutalne (...). Potrzebują oni ladacznicy, by się bawić z nimi bez przerwy”<sup>33</sup>.

Nie licząc impotentów i erotomanów, mężczyznom nic nie groziło,

nawet jeśli jakaś nieznajoma obnażyła przed nimi sutki. Oczywiście obowiązywał jeszcze jeden, niedopowiedziany warunek. Informacja o tych sutkach nie mogła zostać przelana na papier. A tym bardziej nie wolno ich było fotografować. To już podpadałoby pod prawo. Mętne i ogólnikowe – ale jednak prawo.

Uznanie dowolnej książki za pornograficzną otwierało drogę do objęcia jej Indeksom Ksiąg Zakazanych. Spis dzieł zabronionych przez Kościół przywodzi na myśl XVI stulecie i narodziny kontrreformacji. Myliłby się ten, kto uznałby, że wraz z kasatą zakonu jezuitów i z wiekiem Oświecenia zniknął także *Index librorum prohibitorum*. Ten był ciągle wznawiany i aktualizowany, a XIX wiek przyniósł istny renesans zainteresowania spisem. Od 1819 roku wypuszczono osiem jego edycji – połowę wszystkich istniejących w dziejach. Nowe wersje zawierały istotną innowację. Poza imienną listą autorów niewłaściwych dla katolickiego odbiorcy umieszczono w nich także wykaz ogólnych kryteriów. Kiedy książka je spełniała – należało uznać, że podpada pod reguły Indeksu, nawet jeśli teoretycznie w nim nie widnieje. To, czym konkretnie jest „zła książka”, definiował Kodeks Prawa Kanonicznego z 1917 roku. Robił to jednak nad wyraz lakonicznie. Kanon 1933 wskazywał między innymi na dzieła „zajmujące się rzeczami sprośnymi, czyli wszetecznymi, mówiące o nich, albo ich nauczające”<sup>34</sup>.

Autorzy, którzy z rozmysłem poruszali tematykę erotyczną, rzecz jasna niewiele robili sobie z umieszczenia swojej książki na kościelnym Indeksie. Nie groziła im za to ani grzywna, ani więzienie, ani nawet – przynajmniej w postępowych, miejskich środowiskach – krytyka otoczenia. Podobne wyróżnienie mogli wręcz poczytywać sobie za sukces. Skandal wokół książki i miażdżące recenzje w prasie katolickiej

dawały szansę na zwiększenie sprzedaży. Z drugiej jednak strony – ściągały na pisarza niepotrzebne zainteresowanie władz i przypominały o istnieniu innego, dużo surowszego zbioru przepisów. Kodeksu Karnego.

---

Pornograficzne dzieła i pornograficzni autorzy zdemaskowani przez Czesława Lechickiego w monumentalnej pracy *W walce z demoralizacją*:

*Że to powieść nie dla młodych panien, że nie można dać im jej do ręki, ale trzeba dla nich czytać, opuszczając wiele, to jasne jak słońce.*

(*Quo vadis* Henryka Sienkiewicza)

*„Rekord pornografii (...). Cenny materiał dla psychopatologów, atoli przed szerokim ogółem winien być na klucz zamknięty”.*

(twórczość Witkacego)

*Chroniczna rozwiązłość zdecydowanego sensualisty o pornograficznym sposobie myślenia nosi pewne nieomyślne cechy duchowego kuplerstwa.*

(Tadeusz Boy-Żeleński i wszystko, co z nim związane)

## **Podniecanie surowo wzbronione**



Artykuł 214 Kodeksu Karnego z 1932 roku stanowił: „§ 1. Kto rozpowszechnia pisma, druki, wizerunki lub inne przedmioty, mające charakter pornograficzny, podlega karze aresztu do lat 2. § 2. Tej samej karze podlega, kto w celu rozpowszechnienia takie pisma, druki, wizerunki lub przedmioty sporządza, przechowuje lub przewozi”<sup>35</sup>. Nie było żadnych wątpliwości – prawodawca traktował zagrożenie ze strony pornografii ze śmiertelną powagą. Ciężkie uszkodzenie ciała, spowodowanie katastrofy komunikacyjnej, wyjawienie tajemnicy państwowej – wszystkie te przestępstwa były obłożone niższą sankcją niż sprzedawanie „świerszczyków”. Drakoński artykuł 214 wyróżniał się na tle innych europejskich kodeksów, a nawet – przepisów odziedziczonych w spadku po zaborcach i obowiązujących do 1932 roku. Kodeks poaustriacki przewidywał za naruszenie „wstydlivosti w sposób gruby” do pół roku aresztu, a w sytuacjach skrajnych – rok. Kodeks pruski standardową sankcją ustalał na maksymalnie rok więzienia, natomiast carski karał „rozpowszechnianie wizerunków świadomie bezwstydnym” zaledwie trzema miesiącami odosobnienia<sup>36</sup>. W stosunku do ustawy z czasów carskiej niewoli przepisy wolnej Polski przybrały na wadze, i to ośmiokrotnie. Na dodatek nie padała w nich jakakolwiek definicja pornografii. Nie było też żadnych ograniczeń wiekowych. Prawodawca nie rozróżniał treści właściwych dla każdego i tych „dozwolonych od lat osiemnastu”. „Co jest gorszące do dwudziestego pierwszego roku życia, nie stanie się nagle w dwudziestym drugim wartościowe” – wyjaśniał krótko Czesław Lechicki.



„Kobieta z szminką” (rys. „Nowy Dekameron”, 1925).

Komisja Kodyfikacyjna mogłaby dorzucić garść szczegółów w opublikowanym komentarzu do kodeksu, ale zamiast tego tylko zaciemniła sprawę. Juryści stwierdzili, że każdy sędzia i prokurator powinien sam oceniać, „czy dana książka, rycina może wywołać

zgorzenie”. Co ważne, tryb dokonany nie był konieczny. Do skazania sprawcy wystarczała czysto teoretyczna możliwość obrażenia publicznej wstydlivosti. Granice artystycznej ekspresji w sztuce również pozostawały niejasne. „Rozstrzygnięcie kwestii, czy dana rycina, rzeźba itp. wywołuje lub wywołać może podniecenie, czy też jest to przede wszystkim dzieło sztuki (przyroda widziana przez oczy talentu), jest to sprawa często trudna do rozstrzygnięcia, dlatego dyrektywą dla sędziego musi być subiektywny nastrój woli sprawcy” – brzmiała mętna instrukcja<sup>37</sup>.

Samo posiadanie, na prywatny użytek, materiałów pornograficznych teoretycznie nie podlegało karze. Dla własnego dobra lepiej było się tym jednak nie chwalić. Chęć zysku nie była warunkiem koniecznym do skazania. Tak więc bezpłatne pokazanie lub podarowanie erotycznej pocztówki znajomemu już dało się teoretycznie podciągnąć pod rozpowszechnianie pornografii. Podobnie zresztą jak przechowywanie rozbieranych zdjęć w zbyt łatwo dostępnym dla postronnych miejscu. Wszystko zależało od widzimisię władz śledczych i od poglądów aktualnego ministra spraw wewnętrznych.

## **Pięćdziesiąt twarzy Żeromskiego. Złe książki**

Przez lata utarły się oczywiście pewne schematy postępowania. Władze niemal zawsze przymykały oko na niegrzeczne książki. W raportach sytuacyjnych z województwa krakowskiego z lat 1935–1938 pojawia się wzmianka o zaledwie dziesięciu konfiskatach „z powodu tendencji pornograficznej”. Dziewięć z zatrzymanych książek było w języku niemieckim i chyba wpadły w pojedynczym nalocie na jakiś skład

zagranicznej literatury. Dziesiąty rodzynek został wydany po polsku, ale trudno oprzeć się wrażeniu, że chodziło o naprawdę sprośne dziełko. Autor: „Dziki”. Inkryminowany tytuł: *Na granicy wstrętu*<sup>38</sup>.



„Powiadam Ci, kochana Syreno, że jeżeli nie postarasz się o to, byś obrastała łuską, poczynając od samej brody, to niechybnie każę Cię skonfiskować!”  
Cenzura w wolnej Polsce według pisma satyrycznego „Sowizdrzał” (1919).

Podobnie sytuacja musiała wyglądać w Warszawie. Konserwatywne obyczajowo gazety stale nawoływały do konfiskowania zbereźnych książek. Władze przystępowały jednak do działania tak rzadko, że o każdym przypadku informowano w triumfalnym tonie. „Echo” donosiło przykładowo o zajęciu książek Urke Nachalnika – bezkompromisowego kronikarza realiów polskiego półświata. „Nachalnik dość już gorszył młodzież i nieświadomego robotnika, dość sączył jadu (...). Wreszcie nadszedł czas, że sfery decydujące postanowiły rozpocząć czystkę wśród wydawnictw” – podawali dziennikarze. Na koniec padała radosna konkluzja: „Walka z pornografią rozpoczęta!”<sup>39</sup>. I to zdanie mówi wszystko. Był rok 1938, a zdaniem dziennikarzy władze dopiero teraz dostrzegły problem.

Konfiskaty literatury to był po prostu bardzo grząski grunt – zbyt wielu znanych i zasłużonych twórców grzeszyło przesiąkniętymi erotyką tekstami. Można było niechcący narazić się autorowi, który miał wpływowych przyjaciół. Jednocześnie trzeba było zmarnować multum czasu. Pełna kontrola rynku wydawniczego przekraczała możliwości logistyczne każdego państwa, nawet najbardziej paranoicznych dyktatur w dziejach. W Związku Radzieckim zawsze więcej można było powiedzieć w powieściach i pamiętnikach niż w prasie. Podobnie jest dzisiaj w putinowskiej Rosji. Po prostu nie da się stworzyć armii cenzorów, która wnikliwie i ze zrozumieniem przyswoi sobie każdą książkę, zrozumie każdą grę słów i nawet najbardziej zawiłą alegorię. Trudno w ogóle uzasadnić podobną skrupulatność w odniesieniu do tysięcy niszowych dzieł, o nakładach niższych od liczby stron. Tym trudniej angażować się w tę zabawę wyłącznie dla wyśledzenia paru scen łózkowych.

W Polsce dochodził jeszcze jeden, koronny argument. Nie sposób walczyć z gustami całego społeczeństwa. Badania przeprowadzane wśród młodzieży szkolnej nie pozostawiały wątpliwości. To właśnie książki uznawane przez konserwatystów za obsceniczne cieszyły się największą popularnością. Dwunastolatkowie z wypiekami na twarzy zaczytywali się w romansach i odważnych powieściach sensacyjnych. W tajemnicy przed rodzicami sięgali po brudne moralnie dzieła Władysława Reymonta (ach, ci pornograficzni *Chłopi!*) i Aleksandra Dumasa. Nawet XIV-wieczny *Dekameron* Boccaccia uchodził za swego rodzaju podręcznik młodego onanisty. Wśród dorosłych sytuacja wyglądała podobnie. Tyle tylko że nie wystarczały im poetyckie wywody o erotycznych ekscesach Włochów żyjących sześćset lat wcześniej. Oczekiwali więcej<sup>40</sup>.

Przedwojenni pisarze nagminnie narzekali na katastrofalną kondycję rynku wydawniczego. Księgarnie świeciły pustkami, z pisania żadnym cudem nie dało się wyżyć, a jeśli ktoś kupował książki, to głównie po to, by dobrze wyglądały na półce. Antoni Słonimski żalił się szczerze na łamach „Wiadomości Literackich”: „Nakłady poważnych książek jak na trzydziestomilionowy naród są po prostu rozpaczliwe. Właściwie pisze się dla paruset osób, które się zna osobiście i dla paruset innych, które pozna się przy najbliższej okazji”<sup>41</sup>. Zupełnie jak dzisiaj. I podobnie jak dzisiaj wyjątek od smutnej reguły stanowią dzieła pokroju *Pięćdziesięciu twarzy Greya*, tak przed wojną prawom rynku wymykały się naprawdę obsceniczne powieściopisarstwa wydawane w formie tak zwanych „zeszytów”. W ich przypadku pięćdziesięciotysięczne nakłady były standardem. Całe wydawnictwa znajdowały źródło utrzymania w odważnych publikacjach, żeby wymienić tylko związaną

z Boyem „Alfę” czy kierowany przez Melchiora Wańkowicza „Rój”. I to właśnie te książki, a nie twórczość Słowackiego, Mickiewicza czy Żmichowskiej, kształtowały obyczaje II Rzeczypospolitej. Nazwisko naczelnego włoskiego pornografa Pitigrillego weszło nawet do codziennego języka. „A on był łajdak i straszna świnia, i pitigrilił się z tom Wiśniewskom” – biegły strofy znanej przedwojennej ballady. Trudno o lepszy symbol oczekiwań ówczesnych Polaków. Bezpruderyjna, wielkowiejska ulica domagała się coraz to nowych określeń na seks. A przede wszystkim – więcej samego seksu i erotyki w kulturze.

---

Pozycje są cytowane przy pierwszym wystąpieniu w danym rozdziale. Data ostatniego dostępu do wszystkich źródeł internetowych to 20 lutego 2015 roku.

1 Marian Sękowski, *Pamiętnik warszawskiego taksówkarza*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1978.

2 *Marnopłcenie – Onanizm (samogwałt, samienie się, nijactwo). Objawy, przyczyny, następstwa, zapobieganie, leczenie. Wedle najnowszych postępów naukowych*, oprac. August Czarnowski, Hygiea, Berlin 1914.

3 Seved Ribbing, *Życie płciowe przed małżeństwem. Książka o higienie seksualnej*, Eros, Warszawa 1924.

4 *Liga Katolicka w walce z pornograficzną i sekciarską literaturą*, „Dziennik Poznański”, 11 marca 1932.

5 Stanisław Trzeciak, *Pornografia narzędziem obcych agentur*, Biblioteka „Jutra Pracy”, Warszawa 1938.

6 Zob. np. Agnieszka Kopeć, *Książka zakazana w opinii Kościoła i odbiorze czytelnictwem w okresie dwudziestolecia międzywojennego*, „Kieleckie Studia Bibliologiczne” 2000, t. 5; Andrzej Szwarc, *Spory o granice pornografii – XIX i początek XX wieku*, w: *Kobieta i rewolucja obyczajowa. Wiek XIX i XX*, red. A. Żarnowska, A. Szwarc, Trio, Warszawa 2006.

7 Czesław Lechicki, *W walce z demoralizacją*, t. 1–2, Towarzystwo św. Michała

Archanioła, Miejsce Piastowe 1932–1933.

8 Sylwester Dziki, Marek Glogier, *Czesław Lechicki (1906–2001) – religioznawca, prasoznawca*, „Rocznik Historii Prasy Polskiej” 2001, t. 4, z. 2.

9 Marian Pirożyński, *W obronie ładu moralnego*, „Duszpasterz” 1937, nr 2.

10 Adam Brzostyński, *Ochrona religii i tępienie pornografii przez ustawodawstwo polskie*, Drukarnia i Księgarnia św. Wojciecha, Poznań 1937.

11 Cyt. za: Tadeusz Boy-Żeleński, *Zmysły... zmysły...*, w: Tegoż, *Zmysły... zmysły...*, Biblioteka Boya, Warszawa 1932.

12 Tenże, *List otwarty do pani Izy Moszczeńskiej z „Kurjera Warszawskiego”*, w: Tegoż, *Pijane dziecko we mgle*, Instytut Wydawniczy „Biblioteka Polska”, Warszawa 1928.

13 M. Eksner [Max Exner], *Życie seksualne i życie miłosne mężczyzny. O czym każdy mężczyzna wiedzieć powinien*, Wiedza Współczesna, Warszawa 1936.

14 Tadeusz Boy-Żeleński, *Konsystorskie dziewice*, w: Tegoż, *Dziewice konsystorskie*, Księgarnia Robotnicza, Warszawa 1929.

15 Magdalena Samozwaniec, *Maria i Magdalena*, Świat Książki, Warszawa 2010.

16 Magda Gawin, *Kobieta na plaży. Przemiany modelu seksualności kobiecej w latach międzywojennych*, w: *Kobieta i kultura czasu wolnego. Wiek XIX i XX*, DiG, Warszawa 2001.

17 *Dwa rodzaje nagości*, „Express Wieczorny Ilustrowany”, 23 stycznia 1925, nr 18.

18 Antoni Słonimski, *Nr 48, 1 grudnia 1929*, w: Tegoż, *Kroniki tygodniowe. 1927–1931*, LTW, Warszawa 2003.

19 Paweł Klinger, *Vita sexualis. Prawda o życiu płciowym człowieka*, Księgarnia Karola Neumillera, Łódź 1935.

20 „Amorek” 1924, nr 3.

21 *Współczesna moda*, „Nowy Dekameron” 1924, nr 4.

22 *Piękna pani wśród nagusów*, „Dobry Wieczór! Kurier Czerwony”, 1 października 1932, nr 226; *Konflikt moralności z nagością*, „Dobry Wieczór! Kurier Czerwony” 3 października 1932, nr 227.

23 „Sowizdrzał” 1919, nr 34.

24 William Martin, *Racjonalne życie płciowe*, Minerwa, Warszawa 1936.

25 *Wszystkie kobiety mogą być piękne*, „Nowy Dekameron” 1925, nr 4.

26 *Straszna zemsta*, „Nowy Dekameron” 1925, nr 4.

27 Zob. Stanisław Milewski, *Ciemne sprawy międzywojnia*, Iskry, Warszawa 2002.

28 *Z pamiętników Don Juana*, „Amorek” 1924, nr 3.

29 *Piękność*, „Amorek” 1924, nr 8.

30 *Fatalne nieporozumienie*, „Amorek” 1924, nr 2.



- [31](#) Stanisław Kurkiewicz, *Z docieków (studyów) nad życiem płciowym. Luźne osnovy (tematy). 2. Szczegółowe odróżnienie czynności płciowych*, nakł. autora, Kraków 1906.
- [32](#) G. Standley, *Miłość we śnie. Tłumaczenie snów erotycznych wedle nauki*, Drukarnia Handlowa, Poznań 1933.
- [33](#) Tardieu, *Sztuka przypodobania się kobietom*, Księgopol, Warszawa 1934.
- [34](#) Przekł. za: Agnieszka Kopeć, *Książka zakazana w opinii Kościoła...*, dz. cyt.
- [35](#) *Rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 11 lipca 1932 r. – Kodeks karny*, Dz.U. 1932, nr 60, poz. 571.
- [36](#) Zob. *Obowiązujące na terenie Polski przepisy karne*, w: Adam Brzostyński, *Ochrona religii i tępienie pornografii...*, dz. cyt.
- [37](#) *Motywy ustawodawcze Komisji Kodyfikacyjnej*, w: Tamże.
- [38](#) Sprawozdania sytuacyjne wojewody krakowskiego z lat 1935–1938 w opracowaniu Rafała Kuzaka. Materiał niepublikowany, przygotowany w oparciu o dokumenty dostępne w Archiwum Narodowym w Krakowie.
- [39](#) *Konfiskata książek Urke Nachalnika*, „Echo”, 29 kwietnia 1938, nr 118.
- [40](#) Zob. np. J. Wuttkowa, *Czytelnictwo dzieci w świetle nowych badań*, „Polonista” 1931, nr 5/6; Grzegorz Nieć, Grażyna Wrona, „Walka z lekturą zakazaną”. *Bibliologiczne spojrzenie na dyskusje wokół książki „zakazanej” i jej wpływu na dzieci i młodzież w końcu XIX w. i na początku XX w.*, „Toruńskie Studia Bibliologiczne” 2013, nr 2.
- [41](#) Antoni Słonimski, *Nr 29, 17 lipca 1927*, w: Tegoż, *Kroniki tygodniowe. 1927–1931*, dz. cyt.

/ „Taką tanią moralność sprzedają na raty” /

## Seks na łamach prasy

*W kraju naszym coś zawrzało świętym, mocnym oburzeniem:  
Oto w pismach się panoszy pęd do rui i rozkoszy.  
Malarz pacykuje śmiało gołe, zdrowe, babskie ciało,  
Pieśniarz, pełen namiętności, śmie wychwalać czar miłości,  
A poeta w rymach gładki opisuje damskie zadki.*

*Wiersz Precz z pornografią  
opublikowany w „Nowym  
Dekameronie” w grudniu  
1924 roku. Strofa  
pierwsza<sup>1</sup>*

---

Dla prasy nie przewidywano taryfy ulgowej. Każda odważniejsza wzmianka o seksie oznaczała ryzyko starcia z cenzurą. I to – nieistniejącą cenzurą. II Rzeczpospolita była oficjalnie państwem demokratycznym. Jako takie, rzecz jasna, nie stosowała cenzury prewencyjnej. Każdy miał prawo napisać, co mu się żywnie podoba, byle tylko był gotowy bronić swoich słów przed obliczem sądu. Tak rzecz wyglądała w teorii. Codzienna praktyka ukształtowała się zupełnie

inaczej.

Wydawcy przed puszczeniem numeru pisma w obieg mieli obowiązek przekazać do odpowiedniego urzędu egzemplarz kontrolny. Na tej podstawie starosta lub prokurator mógł wnioskować o „tymczasową konfiskatę” nakładu. Niezawisły sąd zgadzał się na to lub wnioski odrzucał. „Prawny mechanizm pozostawał w zgodzie z demokratycznymi standardami” – podkreśla profesor Andrzej Paczkowski<sup>2</sup>. Był tylko jeden problem. Policja nigdy nie czekała na formalne rozstrzygnięcie. Wydrukowane egzemplarze rekwirowano natychmiast. Dla wydawców, szczególnie pism codziennych, oznaczało to olbrzymie straty finansowe. Nawet jeśli po paru tygodniach sąd zezwolił na zwrot zajętego nakładu, to redakcja mogła go już tylko zmielić. Kosztów druku, straconych zysków ze sprzedaży i nadwyreżonego zaufania czytelników nikt jej nie rekompensował. Niektóre pisma rekwirowano dziesiątki, a nawet setki razy. Pod groźbą bankructwa wydawcy zmienili taktykę. Z własnej woli zaczęli przedkładać egzemplarze pism do akceptacji. Jeśli określony akapit lub artykuł został odrzucony przez cenzorów, na jego miejscu pojawiała się biała plama, a cały numer i tak szedł do druku. W trakcie głośnych procesów sądowych lub afer politycznych z głównych pism potrafiły zniknąć całe szpalty i strony. Czasem nawet czołówka gazety ukazywała się w formie białej plamy, a czytelnikom zostawało domyślać się, w czym leży przyczyna wzmożonej ostrożności władz.

Najczęściej chodziło o partyjne gierki, ale pikantne szczegóły z życia znanej osoby też potrafiły rozsierdzić cenzorów. Przed wszystkim jednak cały ten system kontroli był dla polskiego środowiska dziennikarskiego piekielnie skuteczną lekcją konformizmu.

Wysokonakładowe, apolityczne pisma dla świętego spokoju narzucały sobie autocenzurę. Efekty do dzisiaj zakłamują przedwojenną rzeczywistość. Przeglądając numery „Ilustrowanego Kuryera Codziennego”, „Dziennika Poznańskiego” czy nawet tabloidów pokroju „Expressu Porannego”, można odnieść wrażenie, że w Polsce właściwie nikt poza przestępcami seksu nie uprawiał. I że XIX stulecie wcale się nie skończyło<sup>3</sup>.

## **Dziewczyna z ostatniej strony**

Jedyną wyłom stanowiła fascynacja kobiecym sportem. Antoni Słonimski nie wierzył, że jego koledzy ze środowiska dziennikarskiego mają czyste intencje – i że chodzi im tylko o promowanie nowych dyscyplin wśród piękniejszej płci. „Podejrzane jest zainteresowanie wszystkich pism świata sportem kobiecym i kąpielami morskimi. W każdej ilustracji, ba, w każdym piśmie codziennym pokazują nam pod różnymi pretekstami jakieś fajne nóżki, tłumacząc się, że to z okazji meczu, który się nie odbył w Filadelfii” – pisał w 1927 roku<sup>4</sup>. Parę lat później redakcje brukowców nie szukały już nawet podobnych pretekstów. Na przykład „Dobry Wieczór! Kurier Czerwony” zamieszczał na ostatnich stronach numerów zdjęcia roznegliżowanych pań z dopiskiem *Z galerii piękności*<sup>5</sup>. Zupełnie jak niektóre pisma codzienne dzisiaj. To jednak była granica swobody w dużych mediach. Na naprawdę odważną obyczajowo linię redakcyjną decydowały się przede wszystkim niskonakładowe brukowce, agresywnie rozpychające się na rynku i poszukujące własnej niszy.

„Ostatnim Wiadomościom Krakowskim” przez kilka lat udawało się

prowadzić *Intymne rozmowy z czytelnikami*. Poruszano w nich zupełnie otwarcie tematy życia bez ślubu, rozwodów, separacji. W dyskusji brały nawet udział kobiety podające się za „nielegalne żony” mężczyzn już uwikłanych w inne związki. I wcale nie zawsze ściągały na siebie krytykę. W tej jednej rubryce z całą mocą dawała o sobie znać międzywojenna rewolucja seksualna. Nie tylko jej dobre strony, ale też te, dla których dzisiaj trudno znaleźć uzasadnienie. Promując pełną swobodę i indywidualizm, redaktorzy udzielali często zupełnie bezdusznych porad. Kobięcie chcące wyjść za hazardzistę i zazdrośnika trzeźwo dano do zrozumienia, że powinna przemyśleć to, co robi. Ale już kiedy dziewczyna wyznała, że została zgwałcona w dzieciństwie, a po wykryciu tego faktu konkubent wyrzucił ją na bruk, powiedziano jej, że zamiast się mazać, powinna się więcej uśmiechać<sup>6</sup>.



Dziewczyna z rozkładówki Dekameronu. Polska pin-up girl? (rys. „Nowy Dekameron”, 1924).

Inny tabloid, wydawany w Poznaniu „Rekord Polski”, przez parę miesięcy szokował Wielkopolan zupełnie zbereźnymi nagłówkami. W mieście słynącym z najbardziej drętwych dzienników w kraju teksty, takie jak *Rafinowana rozpusta starych lowelasów* czy *Niesłychane orgie z nieletnimi dziewczętami* niosły ze sobą niewątpliwy powiew świeżości<sup>7</sup>. A redakcja właściwie niewiele ryzykowała. Władze takimi plotkami się nie interesowały. Na pewną taryfę ulgową mogły też liczyć

pisma satyryczne – szczególnie te niezahaczające o politykę. Wyjątkowo sprzyjająca koniunktura dla takich tytułów panowała w Łodzi. Przez niemal całe dwudziestolecie ukazywał się tygodnik „Wolna Myśl. Wolne Żarty”, a w drugiej połowie lat trzydziestych także „Wesoły Bocian”.

Z erotyczną tematyką próbowały flirtować nawet wielkie koncerty prasowe. Krakowski IKC od 1931 roku wydawał „Tajnego Detektywa”. Po każdy numer bogato ilustrowanego magazynu poświęconego sprawom kryminalnym ustawiały się do kiosków prawdziwe kolejki. Z komercyjnej perspektywy był to niekwestionowany sukces. Z wizerunkowej – wręcz przeciwnie. Nawet najpotężniejszy polski baron prasowy, zasiadający w sejmie i zaprzyjaźniony z członkami rządu Marian Dąbrowski, nie był przygotowany na zmasowany atak konserwatywnych środowisk. Redakcji „Tajnego Detektywa” zarzucano demoralizację młodzieży, kształcenie przyszłych przestępców, a wreszcie – epatowanie pornograficznymi motywami. Zdaniem dziennikarzy „Myśli Narodowej” z „Tajnego Detektywa” na całą Polskę wylewała się „cuchnąca ciecz kryminału, smrodu, domu publicznego, handlu żywym towarem, przemytnictwa, zbrodni seksualnych, narkomanii”<sup>8</sup>. Miażdżącą krytykę tygodnika opublikował także Stefan Wyszyński. Wówczas młody dziennikarz i redaktor naczelny „Ateneum Kapłańskiego”<sup>9</sup>. Wreszcie Dąbrowski się ugiął i po niespełna czterech latach zlikwidował pismo. Na miejsce magazynu lubującego się w publikowaniu zdjęć na wpół roznegliżowanych pańienek, wprowadził „Asa” – grzeczny do granic absurdu tygodnik dla dżentelmenów.

## Sztuka kamuflażu

Problemy „Tajnego Detektywa” były niczym w porównaniu z wyzwaniami stojącymi na drodze każdego biznesmena pragnącego stworzyć czasopismo o naprawdę wyzywającym charakterze. Podjęto kilka takich prób. W Warszawie ukazywał się „Amorek”, a w Łodzi „Nowy Dekameron”. Dość odważny profil miały też stołeczna „Rakietą” i lwowska „Winnica”. Żadne z tych pism nie zagościło w kioskach na stałe. Nie jest nawet pewne, czy zagościły tam w ogóle. Tytuł traktujący o seksie w otwarty i bezpruderyjny sposób był stale zagrożony konfiskatą. Padał też na niego długi cień artykułu 214. Twórcy Kodeksu Karnego nie byli wybredni. Adam Brzostyński wyjaśniał: „Jeśli treść druku zawiera istotę przestępstwa, karze podlega redaktor odpowiedzialny, nakładca, drukarz, a wreszcie ten, kto druk zarobkowo sprzedawał”<sup>10</sup>. Słowem, pociągnięty do odpowiedzialności może być każdy, kto miał do czynienia z podejrzaną publikacją i nie wyrzucił jej natychmiast ze wstrętem. Zwykły gazeciarz niekoniecznie miał ochotę narażać się na zatarg z prawem tylko po to, żeby zarobić parę złotych więcej. Drukarze też mogli kręcić nosem na tego rodzaju gorącego kartofla. Nic dziwnego, że na przykład „Nowy Dekameron” odbijano na maszynach należących do jego wydawcy. Dystrybucja tak samo wymagała pewnych kombinacji i pokątnych metod.

Każde pismo na swój sposób broniło się przed oskarżeniami o szerzenie rozpusty. Przede wszystkim w polskiej prasie erotycznej właściwie nigdy nie publikowano zdjęć. Nad Wisłą nie miał szans powodzenia patent wykorzystywany w Paryżu. Tam już w XIX wieku magazyny dla panów sprzedawano jako wzorniki dla artystów



ćwiczących wykonywanie aktów kobiecych. W Warszawie i Łodzi miejsce zdjęć zajęły rysunki. Zawsze frywolne, często z erotycznym akcentem. Nigdy jednak nieprzekraczające tego, co dzisiaj uznalibyśmy za granicę pornografii. Nagie lub przysłonięte zwiewną halką biusty pojawiały się na każdym kroku. Pełne akty kobiece – tylko w niewinnych pozach lub na czysto schematycznych ilustracjach. Rysunki odznaczały się charakterystycznym, figlarnym stylem. Niektóre przywodzą na myśl słynne *pin-up girls* z lat czterdziestych i pięćdziesiątych, które już na stałe weszły do amerykańskiej kultury. Być może gdyby wspomniane pisma przetrwały dłużej, Polak też mógłby dzisiaj pomyśleć z nostalgią o gustownej, niewinnej erotyce sprzed dziesięcioleci – o „króliczkach Amorka” i „dziewczynach z rozkładówki Dekameronu”.

„Amorek” erotyczną tematykę ukrywał pod maską żartu. Na każdym kroku podkreślano, że jest to pismo humorystyczne i matrymonialne. „Dobroduszny »Amorek« ma pieprzyk figlarny. Nie sieje pornografii, nie krzywdzi nikogo” – podkreślała redakcja w jednym z pierwszych numerów<sup>11</sup>. „Nowy Dekameron” wybrał inną formę kamuflażu. Postawił na poetycki charakter pisma, a swoje opowiadania erotyczne niemal zawsze osadzał w zagranicznych, francuskich lub brytyjskich realiach. Tak by czasem nikogo nie urazić opisywaniem życia seksualnego Polaków. W praktyce, pośród dowcipów z brodą, anegdot i pouczających historyjek, trudno natrafić na naprawdę pieprzne opowieści. Pewnej granicy dziennikarze po prostu nie wazyli się przekraczać. A jeśli ktoś to robił – to tylko „Nowy Dekameron”. Mimo to właśnie on ukazywał się najdłużej. „Rakieta” i „Winnica” to zupełne efemerydy. „Amorek” wyszedł nieco ponad

dziesięć razy na przestrzeni 1924 roku. „Nowy Dekameron” miał przynajmniej trzydzieści jeden numerów – od lata 1924 do wiosny 1925 roku.

Strach przed konfiskatą stale dawał o sobie znać na łamach „Amorka”. Już w drugim numerze redakcja broniła się przed atakami jednej z warszawskich bulwarówek: „Ej, Gazetko, wychodzi Twoje szydło z worka, taką tanią moralność sprzedają na raty”. Beztronski ton słabo maskował realne obawy. Później ślady autocenzury wielokrotnie przenikały do rubryki z odpowiedziami na listy czytelników. „Nie nadaje się do druku”, „zbyt kawalerskie”, „zbyt cyniczne i nieprzyzwoite” – komentowano literackie wypociny miłośników „Amorka”<sup>12</sup>. Mimo tych zabiegów pismo znikło z rynku bez śladu i bez pożegnania. Los „Nowego Dekameronu” jest lepiej znany. Władze straciły wreszcie cierpliwość i magazyn został przymusowo zamknięty<sup>13</sup>. Razem z nim do historii odszedł ulotny moment, gdy w międzywojennej Polsce wydawanie erotycznego pisma w ogóle było możliwe. Starczyło, że obóz piłsudczykowski przejął władzę na skutek zamachu majowego w 1926 roku, a na lewo i prawo zaczęto trąbić o „sanacji”. W pierwszej kolejności chodziło o odnowę moralną w życiu publicznym. Ale obnażone piersi wykonanych ołówkiem dam też oberwały rykoszetem. Najbardziej zaś ze wszystkiego ucierpiał polski film.

---

Pozycje są cytowane przy pierwszym wystąpieniu w danym rozdziale. Data ostatniego dostępu do wszystkich źródeł internetowych to 20 lutego 2015 roku.

- 1 *Precz z pornografią*, „Nowy Dekameron” 1924, nr 25.
- 2 Andrzej Paczkowski, *Cenzura*, w: *Węzły pamięci niepodległej Polski*, Fundacja Węzły Pamięci/Znak, Warszawa 2014.
- 3 Zob. Michał Pietrzak, *Reglamentacja wolności prasy w Polsce 1918–1939*, Książka i Wiedza, Warszawa 1963; Jacek Lachendro, *Prasa województwa krakowskiego w latach 1918–1939*, Historia Jagellonica, Kraków 2006.
- 4 Antoni Słonimski, *Nr 24, 12 czerwca 1927*, w: Tegoż, *Kroniki tygodniowe 1927–1931*, LTW, Warszawa 2003.
- 5 Zob. np. *Z galerii piękności*, „Dobry Wieczór! Kurier Czerwony”, 3 października 1932, nr 227.
- 6 Przykłady za: *Intymne rozmowy z czytelnikami*, „Ostatnie Wiadomości Krakowskie”, 13 listopada 1932, nr 316.
- 7 *Rafinowana rozpusta starych lowelasów w apartamentach „Hotelu Polonia” w Poznaniu*, „Rekord Polski”, 24 marca 1932; „*Pokój miłości*” w Hotelu „Polonja”. *Niesłychane orgje z nieletnimi dziewczętami*, „Rekord Polski”, 25 marca 1932.
- 8 *W sprawie szerzonej drukiem demoralizacji*, „Myśl Narodowa”, 17 lipca 1932.
- 9 Małgorzata Laskowska, *Postulaty etyczne dla mediów w publicystyce ks. Stefana Wyszyńskiego*, „Kultura Media Teologia” 2010, t. 3.
- 10 Adam Brzostyński, *Ochrona religii i tępienie pornografii przez ustawodawstwo polskie*, Drukarnia i Księgarnia św. Wojciecha, Poznań 1937.
- 11 *Odpowiedź „Dwugroszówce”*, „Amorek” 1924, nr 2.
- 12 Wybrane odpowiedzi z numerów 2, 3 i 5.
- 13 Marian Filar, *Pornografia a prawo*, „Prawo i Życie” 1982, nr 23.

/ „Tresowany osioł i trzydzieści nagich ślicznot”

/

## **Erotyka w filmie i na scenie**

*Wszyscy, którym już nie stanie (...) robią powstanie,  
Wrzeszcząc (tylko to potrafią): Precz z rozpustą, z pornografią!  
Gdy tak jesteś oburzony, człeku zacny, a uczone,  
Obstaluj dla swojej żony, z twardej blachy pantalony,  
By do jej cennego ciała, rozpusta się nie dobrała.*

*Wiersz Precz z pornografią  
opublikowany w „Nowym  
Dekameronie” w grudniu  
1924 roku. Fragment strofy  
trzeciej<sup>1</sup>*



To nie były łatwe czasy dla kinematografii. Filmy dźwiękowe zdobyły szturmem serca widzów. Pierwsze popularne produkcje z pełną ścieżką dźwiękową trafiły na ekrany kin w 1927 roku. Pięć lat później ludzie nie chcieli już oglądać niczego innego. Technika z trudem nadążała za oczekiwaniami mas. Problemów było multum, ale nic nie sprawiało

reżyserom takiego kłopotu jak pocałunki. „Prawdziwy pocałunek wychodzi przed mikrofonem jak grzmot albo jak zgrzyt noża po szkłe, albo nawet jak turkot lekkiej bryczki” – wyjaśniał w październiku 1932 roku dziennikarz brukowca „Dobry Wieczór! Kurier Czerwony”. – „Dotychczas nie pomogły liczne próby z wszystkimi artystami i artystkami Hollywood. Dość powiedzieć (...), że pocałunek Ramona Navarro brzmi w filmie dźwiękowym jak... świst pary z wybuchającego kotła”. Receptę opracowano po wielu latach starań: „Trzeba wziąć tafelkę szklaną o powierzchni dwudziestu kwadratowych centymetrów, posmarować grubo na centymetr żywicą i zwykłym korkiem pociągnąć po niej rytmicznie, żeby skrzypiało. Aparatura dźwiękowa przerabia to skrzypienie na idealnie namiętny pocałunek”<sup>2</sup>. Technika wreszcie pozwoliła zawrzeć na filmowej taśmie scenę prawdziwej pasji. Dużo trudniej było jednak przekonać polską cenzurę, by pozwoliła na jej pokazanie.

Kontrola prasy funkcjonowała w sferze niedopowiedzeń, nieformalnych zasad i kompromisów. W przypadku filmów o żadnych niejasnościach nie było mowy. Już 7 lutego 1919 roku Józef Piłsudski wydał *Dekret o widowiskach*<sup>3</sup>. I jak na Piłsudskiego przystało – nie zamierzał się cackać z filmowcami. Warunkiem wyświetlania jakiegokolwiek produkcji było uzyskanie w Wydziale Prasowym Ministerstwa Spraw Wewnętrznych specjalnej „karty filmowej”. Wszystko odbywało się na koszt petentów: zarówno za ocenowanie filmu, jak i wydanie karty urzędnicy pobierali specjalne opłaty. Zgodnie z art. 6 przepisów wykonawczych surowo wzbronione było wystawianie filmów o „treści pornograficznej i w ogóle przeciwnych moralności lub prawu”. Bardziej beztrąsko nie dałoby się tego ująć.

Film mógł być grzeczną komedyjką w 100% zgodną z przepisami karnymi, ale określenia „w ogóle” i „lub” robiły swoje. Jeśli cenzorowi materiał się nie spodobał i nie przypasował jego prywatnej moralności – to łądował w koszu<sup>4</sup>.

Podobne restrykcje dało się zrozumieć w warunkach chaosu i niepewności panujących w pierwszych latach wolnej Polski. Wszystkie powstania, plebiscyty i walki z bolszewikami wpędzały polityków w osobliwy stan umysłu. W 1920 roku w Sejmie przeszła nawet ustawa wprowadzająca w Polsce częściową prohibicję alkoholową<sup>5</sup>. O ile jednak ten niesławny bubel prawny nigdy nie był traktowany serio, o tyle cenzura filmowa z roku na rok tylko przybierała na sile.

## **„Mętny umysł urzędnika”. Kinowa cenzura**

Anonimowa grupa nieudolnych skreślaczy na przestrzeni lat przepoczwarzyła się w klub hipokrytów z politycznego nadania, którzy wedle własnego gustu próbowali rozdawać karty w świecie filmu. Wszystkim trząśł Leon Łuski – emerytowany pułkownik znany z napisania piosenki *Piechota, ta szara piechota* i z porażającej pruderii. Tygodnik „Jutro Pracy” nazwał jego ludzi „filmową Ochroną”<sup>6</sup>. Antoniemu Słonimskiemu jawili się oni jako największe zagrożenie dla rodzimej kinematografii. W felietonie z maja 1931 roku przekonywał, że nie ma nic gorszego niż „urzędnik działający w myśl mętnych rozporządzeń albo własnego mętnego umysłu. Cenzura w Polsce jest ostatnią instancją i nie ma apelacji od jej wyroków, wydawanych z całą nonszalancją i pełnym brakiem

odpowiedzialności”<sup>7</sup>. Publicysta wyliczał, że filmy podlegają cenzurze każdego możliwego rodzaju: politycznej, obyczajowej, wojskowej, religijnej. A nawet zupełnie beczelnej cenzurze artystycznej. Wiedział, że czytelnicy nie potraktują jego wywodów poważnie. Informacje o działaniu cenzury nie docierały do widzów. Wszystko działo się za zamkniętymi drzwiami i bez żadnej kontroli, a do kin trafiały filmy pozbawione jakiegokolwiek sensu lub jakiegokolwiek podobieństwa do wyświetlanych za granicą oryginałów. W tekście z września 1931 roku Słonimski podał przykład niemieckiej produkcji *Spór o sierżanta Griszę*. „Wszystko to razem trwało czterdzieści minut. Nie było ani sporu, ani sierżanta, ani Griszy, było tylko jedno »o«. Jeżeli cenzura zostawiła jedną trzecią filmu, zwyczajnym oszustwem jest pokazywać taką brednię za biletami kosztującymi normalnie. Trzeba ogłaszać, że dzisiaj pół porcji i cena biletów wynosi złoty dwadzieścia pięć” – pisał. Dalej dodał jeszcze, że dobrze by było, „gdyby widz po cenie biletu orientował się, w jakim stopniu okradają go skreśleniami”<sup>8</sup>. Niekoniecznie był to żart. W prasie czytelnik widział przynajmniej białe plamy – dawano mu do zrozumienia, że cenzura interweniowała i że coś zostało wykrojone. Czasem dostawał nawet tytuł usuniętego tekstu lub dwa zdania wyjaśnienia od redakcji. W kinach nikt nie puszczał białej taśmy w miejsce wyciętych scen. Po prostu udawano, że te fragmenty nie istniały. Pole do jeszcze większych przekrętów dawały filmowe napisy. W pewnym filmie historycznym cenzor wykreślił całe zdanie na temat pychy Napoleona Bonaparte. Stwierdził, że cesarz Francuzów tak naprawdę był bardzo skromny. A poza tym – polski interes narodowy nie pozwala na szerzenie krzywdzących plotek o sojusznikach.

Jeśli tak postępowano z tematami przeterminowanymi od stulecia,

to co dopiero z wątkami erotycznymi. W przypadku produkcji zagranicznych nożyczki cenzorów rozgrzewały się do czerwoności. Jednak to przy polskich filmach absurd sięgał zenitu. Jeszcze zanim kamera poszła w ruch, cenzorzy obsadzali samych siebie w roli reżyserów. To oni decydowali, co wolno w filmie powiedzieć, jak daleko mogą posunąć się bohaterowie i jakie zakończenie fabuły będzie właściwe.

W lokalnej kinematografii rewolucja seksualna poczyniła niewiele większe postępy niż w konserwatywnej prasie. Drażliwe obyczajowo kwestie wolno było poruszać, o ile w ostatniej scenie bohaterowie grzecznie szli do ołtarza, by wziąć katolicki ślub. Ewentualnie „brudy życia codziennego” można było odmalować po to, by na koniec filmu wyszydzić je lub napiętnować. Weźmy na przykład film *Moi rodzice rozwodzą się* z 1938 roku. Na pierwszy rzut oka – realistyczny obraz podwójnej moralności przedwojennych elit. Zamożny dyrektor banku Józef Nałęcz sypia ze swoją sekretarką; jego sporo młodsza żona Ada wplątuje się w romans z popularnym aktorem. W ich małżeństwie od lat brakuje jakiegokolwiek iskry. Męczą się ze sobą i to tylko ze względu na córkę Stasię. Wreszcie Ada odchodzi do kochanka. Rozstanie jest kulturalne i zupełnie cywilizowane. Obie strony mogą odetchnąć z ulgą. Matka przygotowuje się do złożenia wniosku o rozwód, ale jednocześnie dokłada starań, by nie zrywać kontaktów z dzieckiem. Ojciec oświadcza się własnej kochance. Każdy chce pójść w swoją stronę i żyć dalej. I właśnie w tym momencie scenarzyści, dotąd twardo stąpający po ziemi, wyrzucają cały zdrowy rozsądek za okno. Bliska pełnoletności córka bohaterów przeżywa załamanie nerwowe. Jest zdecydowana zrobić wszystko, byle zmusić rodziców do pojednania.



Kradnie rewolwer, urządza publiczną awanturę i dokonuje nieudolnej próby samobójczej. To otwiera matce oczy. „Nie wolno mi tak krzywdzić mego dziecka. Wiem, że sprawiam ci tym dużą przykrość, ale zrozum, ta przykrość jest taka mała wobec tego wielkiego obowiązku. Obowiązku matki. Żegnaj!” – mówi do zakochanego w niej na zabój partnera. Porzuca go i pokornie wraca do domu. Skazuje samą siebie na fikcję rodziny; na życie w związku z człowiekiem, którego nie darzy żadnym uczuciem. Byłe Stasia już nie narzekała. Podniosła muzyka. KONIEC. A morał? Nie próbuj rozstawać się z mężem, bo twoje dziecko palnie sobie w łeb. I nie wysyłaj go do psychiatry. Wystarczy, że pójdziesz po rozum do głowy, a wszystko będzie dobrze.

Z większą frywolnością motywy erotyczne można było traktować właściwie tylko w komediach. W dramatach często nie wykraczały one nawet poza... tytuł filmu. Polscy producenci doskonale wyczuwali rynkowe zapotrzebowanie. Na potęgę wykupywali prawa do ekranizowania odważnych obyczajowo powieści. Na srebrny ekran trafiły *Dzieje grzechu*, *Dziewczęta z Nowolipek*, *O czym się nie mówi*. Tyle tylko że pod naciskiem ludzi Łuskiny filmowcy rzeczywiście bali się powiedzieć cokolwiek nieobyczajnego. Nawet myśleć o tym nie chcieli. Najbardziej skandalizujące pozycje ubiegłej epoki, bezlitośnie punktujące obłudę mieszczańskiego społeczeństwa, przerobili na wykastrowane opowiadki o niczym.

## **„Tango na głowie, nogami do góry”**

Prasa grzmiąca, że postęp i wynalazki demoralizują ludzi. Nic bardziej

mylnego. Odbiorcy spragnieni naprawdę mocnych wrażeń ruszali do zupełnie tradycyjnych przybytków kultury. Nawet w zwyczajnym, państwowym teatrze więcej można było zaznać swobody niż w objętym cenzurą kinie. Jednych to rozochocąło, a innych gorszyło, ale dla wszystkich było jasne, że w kasowej sztuce musi być seks. „Niezmiennie ważną, wręcz decydującą okolicznością dla szerokiej publiczności jest sprawa erotyczna” – pisał Antoni Słonimski w 1927 roku. I w krótkich słowach poinstruował początkujących artystów, jak stworzyć autentyczny bestseller. Zaznaczył, że swój sekret jest gotów sprzedawać „za osiemdziesiąt groszy, kwartalnie złotych dziewięć. Za granicą dwa dolary”. Ale czytelnicy niniejszej książki dostaną go za darmo.

*Zawsze zazdrościłem autorom sensacyjnych powieści i sztuk tej tajemniczej zdolności frapowania czytelnika i umiejętności „trzymania w napięciu” uwagi słuchacza. Teraz już wiem, na czym to polega. Trzeba pokazać parę młodych ludzi, którzy się mają ochotę ze sobą pocałować. Przeszkadzać im w tym może wojna, porwanie (jak zawsze u Sienkiewicza) lub jakiegokolwiek najbliższe zdarzenie. Przejścia i przygody mogą być nieprawdopodobne i wręcz głupie. Grunt to płęć.*

*Jeśli zaś pragnie się mieć opinię pisarza poważniejszego, tzw. myślącego – zamiast stosunku płciowego można pokazać na końcu sztuki śmierć jednej albo obu kochających się osób.*

„Oto jest sekret powodzenia!” – triumfował felietonista<sup>9</sup>. I rzeczywiście, popularny był ten teatr, w którym nie brakowało wątków seksualnych. Zresztą nie brakowało ich chyba w żadnym teatrze, choć widzowie niekoniecznie o tym wiedzieli. Irena Krzywicka jako studentka

zamarzyła o karierze aktorskiej. Po pomoc udała się do prawdziwej gwiazdy, swojej imienniczki Ireny Solskiej. Usłyszała, że ma ładny głos, doskonałą prezencję, może nawet jakieś zaciągnięte talenty. Ale wybitna aktorka wcale nie zachęcała studentki do pogoni za marzeniami:

*Moim obowiązkiem jest cię ostrzec. Czy rozumiesz, co pociąga za sobą wstąpienie na scenę? Przede wszystkim trzeba spać ze wszystkimi. Ze wszystkimi, rozumiesz? Bo czasem ktoś podrzędny nawet, sufler czy maszynista, może ci zrobić taki kawał, że to przekreśli całą twoją dalszą karierę. Nie mówiąc już o kolegach, o reżyserze, o dyrektorze teatru.*

*Ja przeszłam to wszystko, ale że wyszłam za mąż za dyrektora (Solskiego), więc teraz mam spokój. W dodatku byłam brzydka, więc jeszcze musiałam się starać o względy tych różnych. Ty jesteś ładna, więc w tym sensie będzie ci łatwiej. Ale i trudniej jednocześnie, bo więcej będziesz miała kandydatów, a jeżeli zaczniesz robić grymasy, to lepiej od razu zrezygnuj ze sceny <sup>10</sup>.*

Krzywicka nie była w stanie uwierzyć, że to wszystko prawda. Solaska „wystraszyła ją śmiertelnie”, ale mimo to dziewczyna po jakimś czasie spróbowała swoich sił w teatrze. Nie w wielkiej, przesiąkniętej układami instytucji, ale w eksperymentalnym Teatrze Reduta założonym przez Juliusza Osterwę i Mieczysława Limanowskiego. Ten pierwszy żadnych awansów do niej nie robił. Ale drugi postawił sprawę jasno. Jeśli chciała, by jej „żydowska twarz” kiedykolwiek została pokazana publiczności, to wprawdzie musiała się z nim przespać. Nawet nie zastanawiała się nad tą propozycją – w jednej chwili jej fantazje na temat świata sztuki zostały rozbite w drobny mak. Zrezygnowała.



„Kobieta, wino, śpiew” (rys. „Nowy Dekameron”, 1925).

W klasycznych przybytkach kultury i tak prawdziwej sławy by już nie zdobyła. Na sztukach Juliusza Słowackiego nie było kompletu nawet w czasie, gdy z pompą sprowadzano jego zwłoki do Polski. W 1927 roku barka z trumną wieszczka przemierzyła cały kraj, z Gdańska do Krakowa, na długie tygodnie skupiając uwagę gazet. Tymczasem wystawianego jednocześnie *Samuela Zborowskiego* trzeba było zdjąć z desek teatru po trzynastu spektaklach. Z braku

zainteresowania<sup>11</sup>. Gdzie się podziiali wszyscy widzowie? W kabaretach, operetkach, nocnych klubach z wodewilem. Miejsca, gdzie czas zamożnych panów, ale często i pań, umilały skąpo ubrane, szczupłe, długonogie girlsy, noc w noc pękały w szwach.

Dziennikarze „Amorka” trafnie wyczuli, czego naprawdę oczekuje publika. I na tym skupili się w swoich recenzjach bieżącego repertuaru. „Dyrektor Ferner, nie pozostając w tyle, wprowadził do teatrów miejskich – nagość. Tak, nagość, którą niedbale zakrywa pyjama! Różycki ukazuje swe wdzięki spod przezroczystej jedwabnej pyjamy. Kamińska czyni to samo, bo nawet wychodzi na scenę prosto z kąpieli” – pisano na temat wystawianej w Teatrze Letnim sztuki *Dwaj mężowie pani Marty*. Oferta teatryku Qui-Pro-Quo spotkała się z nie mniejszą aprobatą erotycznego pisma: „Zaćmiewa oczy programem *Przeczek z nagością*, pokazując przy tym tajniki pełnych krasy artystek bez neglizju. W następnym programie mają być wprowadzone promienie »X«, aby widzowie mogli oglądać wszystko, co się dzieje wewnątrz każdej artystki”<sup>12</sup>.

Nawet tak odważne przedstawienie nie mogło się jednak równać ze scenicznymi ekscesami w lokalu pod mówiącym wszystko szyldem „Wodewil”.

*Czego tam nie ma! Najgwiazdziwsza z gwiazd Niewiarowska tańczy z Luzzińskim tango na głowie. Tak, na głowie, nogami do góry. Nagość, ach nagość – trzydzieści nagich ślicznot, przybranych w strzępy wstążeczek. Palarnia opium, tresowany osioł, tresowane samochody i niezliczona ilość niespodzianek, od których w głowie się kotłuje. Powodzenie zdobyte szturmem<sup>13</sup>.*

I rzeczywiście, krew buzowała w żyłach, a wino lało się strumieniami. Zarazem nikt nie przejmował się faktem, że to wszystko jest nielegalne. Od października 1933 roku obowiązywało rozporządzenie prezydenta Ignacego Mościckiego, zgodnie z którym zakazane były: „przedsięwzięcia rozrywkowe (...) mogące przyczynić się do zdziczenia obyczajów lub demoralizacji”<sup>14</sup>. Co z tego. Politycy i wojskowi też lubili zabawić się na wodewilu. Tego konkretnego przepisu policja więc nie egzekwowała.

---

Pozycje są cytowane przy pierwszym wystąpieniu w danym rozdziale. Data ostatniego dostępu do wszystkich źródeł internetowych to 20 lutego 2015 roku.

<sup>1</sup> *Precz z pornografią*, „Nowy Dekameron” 1924, nr 25.

<sup>2</sup> *Recepta na pocałunek. Nawet Ramon Navarro świszcze...*, „Dobry Wieczór! Kurier Czerwony”, 4 października 1932, nr 228.

<sup>3</sup> *Dekret w przedmiocie przepisów tymczasowych o widowiskach*, Dz.U. 1919, nr 14, poz. 177.

<sup>4</sup> *Rozporządzenie Ministra Spraw Wewnętrznych w przedmiocie przepisów wykonawczych do dekretu z dnia 7 lutego 1919 roku o widowiskach*, „Monitor Polski. Dziennik Urzędowy Republiki Polskiej”, 15 lutego 1919, nr 37.

<sup>5</sup> Więcej na ten temat pisałem w artykule: *Chicago nad Wisłą. Prohibicja w II Rzeczypospolitej*, „Newsweek Historia” 2015, nr 3.

<sup>6</sup> *Tajemnica „Ochrany” filmowej*, „Jutro Pracy” 1931, nr 8.

<sup>7</sup> Antoni Słonimski, *Nr 18, 3 maja 1931*, w: Tegoż, *Kroniki tygodniowe 1927–1931*, LTW, Warszawa 2003.

<sup>8</sup> Antoni Słonimski, *Nr 37, 13 września 1931*, w: Tamże.

<sup>9</sup> Tenże, *Nr 14, 2 października 1927*, w: Tamże.

<sup>10</sup> Irena Krzywicka, *Wyznania gorszycielki*, Czytelnik, Warszawa 1995.

<sup>11</sup> Antoni Słonimski, *Nr 28, 10 lipca 1927*, w: Tegoż, *Kroniki tygodniowe 1927–1931...*, dz. cyt.

<sup>12</sup> *Gdzie się bawi Warszawa*, „Amorek” 1924, nr 1.

13 *Gdzie się bawi Warszawa*, „Amorek” 1924, nr 2.

14 *Rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 27 października 1933 r. – Prawo o publicznych przedsięwzięciach rozrywkowych*, Dz.U. 1933, nr 85, poz. 632.

/ „Och, mój skarbie, rozpustniku!” /

## **Polski przemysł pornograficzny**

Ewa jest według opisu „przestraszona”, choć prawdę mówiąc, wygląda raczej na speszoną. Stoi z dłońmi splecionymi na wysokości twarzy, zupełnie naga. Eteryczna uroda, włosy sięgające do pasa i drętwa poza tworzą trudne do zwalczenia wrażenie, że tak naprawdę jest to obraz malarza, a nie zdjęcie. Wiosna wygląda nawet bardziej nienaturalnie. Nogi splecione niczym w tańcu, ręce niezdarnie trzymane nad głową, a do tego zwiewna szarfa przysłaniająca najbardziej intymne części ciała. Jakikolwiek posmak autentyzmu ma tylko portret Snu. Kobieta siedzi swobodnie na eleganckim fotelu. Noga założona na nogę, przymknięte oczy. Zdaje się, że odpoczywa. Dłonie trzymane za głowę i lekko pochylona w bok sylwetka subtelnie kierują uwagę widza na biust modelki.

*Ewa*, *Wiosna* i *Sen* to tytuły, a zarazem tematy trzech grafik należących do kolekcji najstarszych pocztówek erotycznych w zbiorach Biblioteki Narodowej w Warszawie<sup>1</sup>. Wszystkie znajdowały się w obiegu na ziemiach polskich, a przynajmniej dwie zostały też u nas wydrukowane – w wysoko cenionych i uważanych za najnowocześniejsze w kraju Zakładach Graficznych B. Wierzbicki i S-



ka. Właśnie pocztówka stała się podstawową formą dla nowoczesnej erotyki. Nazwę tę należy jednak traktować umownie. Raczej nie zdarzało się, by ktokolwiek wysyłał rozbierane zdjęcie pocztą i to bez koperty. Jak wyjaśniał znawca dawnej fotografii Szymon Bojko, w pierwsze lata „sprzedaż tych »artystycznych« pocztówek często odbywała się tylko spod lady, w sklepach o specjalnej reputacji, księgarniach mniej szanowanych”<sup>2</sup>.

Widokówki z kluczem, gdzie modelki wcielały się w antyczne boginie i postacie biblijne, to domena przełomu XIX i XX stulecia. W dwudziestoleciu międzywojennym standardem stają się akty zupełnie swobodne. Z ciałem jako takim w roli głównej – a nie ciałem Afrodyty czy Heleny Trojańskiej. Biblioteka Narodowa przechowuje w swoich magazynach serie fotografii „kobiety w szuwarach” oraz „kobiety opartej o krzesło”. Dzisiaj te grafiki mogą się wydawać zupełnie niewinne. Jednak sto lat temu przyprawiły panów o przyspieszone bicie serca.

Wyzwolone lata dwudzieste stały się idealnym podłożem dla rozwoju obrazkowej erotyki – to nie ulega wątpliwości. Tadeusz Boy-Żeleński pół żartem, pół serio alarmował w 1932 roku: „Zmysły, wszędzie zmysły! Czy nigdzie im nie ujdę, czy nigdzie się przed nimi nie schronię?”<sup>3</sup>. I ewidentnie coś było na rzeczy. Odważna, prowokatorska sztuka, której nie brakowało przecież także przed I wojną światową, dopiero teraz wyszła poza pracownie zbuntowanych artystów. Boyowi nie mieściło się w głowie, aby dziesięć czy dwadzieścia lat wcześniej szanowany filozof i profesor matematyki w wolnych chwilach rysował rozebrane kobiety w niedwuznacznych pozach. Tym trudniej było sobie wyobrazić profesora z dumą

rozdającego pornograficzne rysunki gościom i to w towarzystwie swojej uśmiechniętej małżonki. Czasy się zmieniły. Leon Chwistek z Lwowa rysował i rozdawał. Ba, w gołych paniach na papierze widział też klucz do zrozumienia wszechświata i cechującej go „wielości rzeczywistości”. W tym samym czasie Benedykt Jerzy Dorys, właściciel najpopularniejszego atelier portretowego w stolicy, tworzył wysmakowane, operujące na wąskich kadrach i zupełnie bezwstydne akty. Tak kobiece, jak i męskie.

Granice pornografii niepostrzeżenie się rozmywały. To, co w 1900 roku skutkowałoby wizytą policji, w 1920 posiadało ochronną etykietkę „sztuki”. Już w 1917 roku Stanisław Kurkiewicz wspominał, że erotyczne pocztówki są sprzedawane zupełnie jawnie w krakowskich Sukiennicach<sup>4</sup>. Pornografia musiała być łatwo dostępna, bo masowo trafiała chociażby do szkół i to nie tylko w dużych miastach. W 1934 roku dziennik „Echo” donosił o procesie przeciwko niejakiemu Henochowi Warmanowi prowadzącemu księgarnię w Kurowie pod Puławami. Aby zwiększyć swoje dochody, obrotny biznesmen zaczął sprzedawać pocztówki erotyczne i to – jeśli wierzyć gazecie – bardzo odważne. Księgarnia stała się nagle ulubionym miejscem wizyt młodych uczniów. Tajemnicę ich wzmożonego zainteresowania literaturą wyjaśniła wreszcie policja. U Warmana znaleziono kilkadziesiąt pornograficznych zdjęć. Sąd uznał go winnym deprawowania młodzieży, ale kara była zupełnie symboliczna. Dwieście złotych grzywny<sup>5</sup>.

Sędziowie często zupełnie nie wiedzieli, jak postępować w podobnych sprawach. Działali nie tylko na styku sztuki i pornografii, ale też nauki. Konserwatywne środowiska każdą pracę seksuologiczną

określały mianem pornografii. Tak było już na przełomie wieku, kiedy lekarze rzadko wykraczali poza ogólnikowe porady higieniczne. Stopniowo jednak coraz trudniej było określić, co jest pracą ściśle naukową i drażni tylko wybrane środowiska, a co naprawdę przekracza granice prawa. Stanisław Kurkiewicz już podczas I wojny światowej zapowiadał, że zamierza wydać album prezentujący w realistyczny sposób „wykonanie różnych rodzajów samieństwa u mężczyzn i kobiet”<sup>6</sup>. Chciał też przygotować, rzecz jasna dla dobra nauki, kolekcję „darów urody” – serię zdjęć atrakcyjnych kobiet i ich narządów płciowych<sup>7</sup>. Kontrowersyjny lekarz-płciownik nie zdążył zrealizować żadnego z tych projektów. Gdyby jednak mu się udało, prokurator miałby twardy orzech do zgryzienia. Czy to jeszcze seksuologia, czy już rozpusta?

Jeśli wierzyć Stefanowi Wiecheckiemu, lepiej znanemu jako Wiech, również warszawska ulica natychmiast podchwyciła nowe trendy. Bywalcy salonów mogli sączyć wino i kiwać z uznaniem głowami na widok gołej modelki Dorysa? W takim razie identyczne prawo przysługiwało też gościom Kercelaka. Z tym, że kiwali nie w salonie, a w robotniczej melinie, zaś w dłoniach mieli raczej kubki z czystą niż kryształowe kieliszki. Podziwiane ilustracje też się trochę różniły. Pochodziły z „wystaw obrazów” w wersji dla ubogich – rozkładanych na rogach ulic, pod gołym niebem, pięć metrów od kiosku z papierosami i dziesięć od monopolowego. „Najwięcej u nas odchodzą obrazy, na których gołe kobiety figurują w stanie leżącym nad wodą, z różą w zębach, albo też przed lustrem taka sobie stoi i perskie oko zaiwania” – wyjaśniał prawa rynku właściciel „sztucznego salonu z lanszaftami” występujący w opartym na faktach opowiadaniu Wiecha.

Kanwą historii był proces sądowy, ale w żadnym razie nie o pornografię. Poszło o bójkę między malarzem a sprzedawcą. Pierwszy po pijaku namalował modelkę gołą, zgrabną i ponętą – ale z isticie profesorską brodą. Drugi, zamiast wybaczyć koledze skutki zbyt długiej libacji, zażądał w nerwach, by malarz sam sobie kupił nieszczęsny obraz. Bo przecież wąsata baba wygląda kubek w kubek jak jego teściowa<sup>8</sup>.

Motyw przewodni innej historyjki Wiecha musiał być dla wielu warszawiaków boleśnie znajomy. Artysta wynajmujący mieszkanie w kamienicy nie jest w stanie opłacić czynszu. W akcie desperacji proponuje właścicielowi budynku, że pięknie odmaluje całą klatkę schodową – byle ten umorzył mu zaległości. Kamienicznik niechętnie przystaje na taki układ. I niemal natychmiast zaczyna pluć sobie w brodę. W sądzie będzie opowiadać o pseudoartystycznym dziele, które z dnia na dzień pokryło ściany korytarza: „Na pierwszym [piętrze] była, zdaje się, łaźnia mieszana, męsko-damska. Trzy młode kobiety stojeli przed młodym facetem, także samo rozebrany do rosołu, i o czymś z nim rozmawiali”. Malarz stanowczo zaoponuje, że to przecież był mitologiczny sąd Parysa. Pan Ogórek, do którego należy dom, ma jednak inne skojarzenia. „Przypominało to żywo scenkę, jakich mnóstwo zaobserwować można późnym wieczorem w okolicach dworca głównego” – stwierdzi w sądzie wstydliwie ściszym głosem. Także tym razem nie będzie jednak chodzić o naruszenie artykułu 214. Panowie spotkali się przed trybunałem z uwagi na epilog sporu. Obrażony i niezrozumiany malarz scenę usunął, a na jej miejsce namalował wielkiego, nadętego ogórka otoczonego girlandami. Jak nic – zniesławienie<sup>9</sup>.

Postęp w technice, coraz większa dostępność małych aparatów fotograficznych i ich spadające ceny sprawiły, że erotyka dotarła nie tylko na klatki schodowe. Weszła też do samych mieszkań. Nie trzeba już było stać przez kwadrans nieruchomo ani wynajmować profesjonalnego fotografa, by zrobić zdjęcie w intymnej sytuacji. Uśmiech, rozłożone nogi, pstryk – i gotowe. Istniejący od kilkudziesięciu lat obyczaj odsyłania zdjęć narzeczonej w przypadku rozstania z nią nabrał zupełnie nowego znaczenia. Nie chodziło już o rozmazane portretowe miniaturki, ale często o zupełnie wyzwoloną prywatną erotykę. Niezawodny Wiech pisał o jednym takim zdjęciu w opowiadaniu *Zyskowny fotos*. Główni bohaterowie: „zimny łobuz” Kuba Waks i piękna córka kupca Henia Szpigelman. Scena początkowa: szumne zaręczyny z panną mającą dziesięć tysięcy „do – la – rów. Prawdziwych dolarów po osiem osiemdziesiąt pięć”. Scena druga: głośne rozstanie, gniewny list i bezceremonialne żądanie zwrotu „fotografii takowej”. Kuba jednak zdjęcia eksnarzeczonej nie zwrócił. Zamiast tego chodził od sklepu do sklepu i prezentował ją znajomym kupcom. Nie dość, że słuchał wyrazów uznania dla swoich talentów uwodziciela, to gdzieniegdzie dostawał nawet towar na kreskę. I trwało to tak długo, aż zyskowny proceder ukrócił sędzia grodzki. Kuba fotografię zwrócił, a sąd sprawę (chyba pierwszą w Polsce dotyczącą problemu *revenge porn*) umorzył. *Fin*<sup>10</sup>.

Znacznie większą pomysłowością odznaczał się Jan Filoch – bohater opowiadania opublikowanego przez „Nowy Dekameron” w grudniu 1924 roku. O ile postaci odmalowywane przez Wiecha miały zwykle pierwowzory z krwi i kości, o tyle Filocha można bez wahania uznać za bohatera fikcyjnego. Nie znaczy to jednak, że

podobny landrynek nie mógł istnieć w prawdziwym życiu. Przedwojenne autorytety stanowczo twierdziły, że każdy człowiek ma swoje drobne perwersje. Janek na przykład – lubił słuchać kobiecych jęków. Właśnie dlatego pod tapczanem w swojej kawalerce ukrył fonograf z funkcją nagrywania. „Wystarczało, aby puścić aparat w ruch w odpowiedniej chwili...” – wyjaśniał autor opowiadania.

*Skoro tylko jego partnerka oddaliła się, mógł słuchać dalej palących słów, które dopiero co wygłaszała. „Och! Mój skarbie!... Rozpustniku... Łechcesz mnie... Poczekaj... Ja...”. Najdrobniejsze westchnienia, aż do skrzypnięć kozetki włącznie, wszystko to było utrwalone za pomocą fonografu.*

*Filoch posiadał ogromną kolekcję płyt, zaopatrzonych w kartki z imionami i nazwiskami osób płci pięknej, z którymi spędzał błogie chwile. Czasem lubił po wizycie pani Z. przypomnieć sobie okrzyki mniej wyraźne, ale nie mniej miłe panny Zuzi lub Irki. Porównywał je, śmiał się do siebie ze zwyczajów tej, z przesadnej wstydlivosti tamtej lub udanego szału innej, która w istocie nie posiadała żadnego temperamentu. Czasami nawet zapraszał swych przyjaciół na intymne „koncerty” <sup>11</sup>.*

Ze strony technicznej nic nie stało na przeszkodzie urzeczywistnieniu opisanego hobby. Co najwyżej pocałunki brzmiały trochę jak... turkot lekkiej bryczki. To też jednak, w epoce opanowanej przez obsesję na punkcie postępu i nowoczesności, musiało mieć swój niezaprzeczalny urok.

Pierwsza rewolucja seksualna zbiegła się z rewolucją technologiczną. Ludziom, którzy jednocześnie odkrywali radio, telefon, motoryzację i kobiecą seksualność, jeden trend łatwo mieszał się

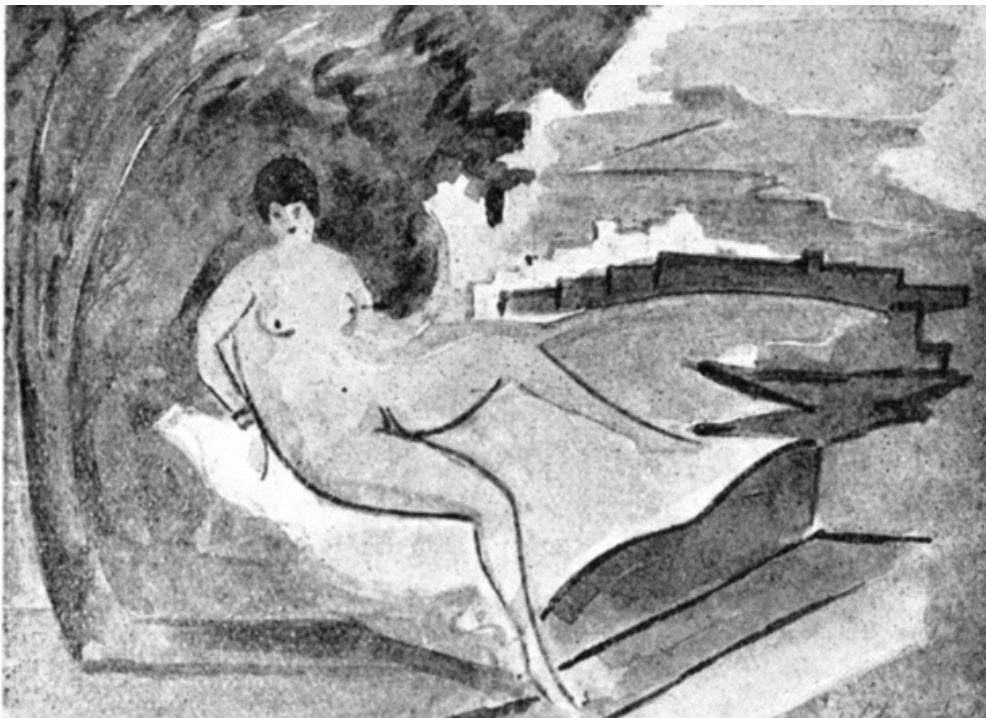
z drugim. W maju 1925 roku publicysta „Nowego Dekameronu” proponował, jak należy zalecać się do kobiety w XX-wiecznym stylu: „Proszę cię więc: antenę włóż, bym dostał połączenie. Usłyszym pieśń miłosną wnet, już mnie ogarnia drzenie...”<sup>12</sup>. Rok wcześniej „Amorek” porównywał stosunek seksualny do działania telegrafu, próbując przy okazji znaleźć erotyczne akcenty w odkryciach Alberta Einsteina i Heinricha Hertza<sup>13</sup>. Niespodziewanie technika stała się afrodyzjakiem. Mogła być też argumentem przy podrywie. Magazyn satyryczny „Sowizdrzał” przytaczał w 1919 roku rozmowę naczelnika biura z młodą maszynistką:

*Naczelnik biura: Wszak żyjemy w „wieku maszynowym”...*

*Maszynistka: Tak proszę pana naczelnika, ale cóż to ma wspólnego z zalecankami?*

*Naczelnik biura: Maszyna wyręcza człowieka we wszystkim. Robota maszynowa stanowi wielki plus w budżecie, więc sądzę, że moje maszynistki powinny też stanowić wielki plus w moim budżecie... kawalerskim. Chyba pani to rozumie, panno Jadziu? <sup>14</sup>*

Cytowany kierownik był, jak widać, nie mniejszym dżentelmenem niż Jan Filoch. Ale może nie należy się dziwić temu, z jaką łatwością przychodziło mu łączenie pracy z pozamałżeńskim seksem. Stanisław Bał pisał przecież na temat nowych czasów: „Wiek dziewiętnasty był wiekiem elektryczności i pary. Wiek dwudziesty radia i trojga”<sup>15</sup>.



Erotyczna (?) akwarela, którą Tadeusz Boy-Żeleński otrzymał od profesora Chwistka, a następnie przedrukował w książce *Zmysły..., zmysły...*

Co zaś do nagrywania jęków kochanek ukrytym pod łóżkiem gramofonem, już tylko krok dzielił podobne hobby od produkcji prywatnych filmów pornograficznych. Polska historia nie odnotowała żadnego Jana Filocha z kinematograficznym fetyszem. Pośród rozpustnych elit przemysłowej Łodzi i małżeńskich wielokątów warszawskiej arystokracji taka postać jak najbardziej mogła się jednak ukrywać. I jej zabawy po godzinach niewielu kolegów by zszokowały. Jeśli podobny jegomość nie chwalił się swoimi produkcjami, to tylko ze strachu przed prawem. Kabarety, erotyczne widowiska, przyprawiające o dreszcze książki – na to wszystko można było przymknąć oko. Ale



nie na jednoznaczną, ostrą pornografię.

## **Sławoj na tropie. Państwo wypowiada wojnę pornografii**

„W związku z koniecznością jak najskuteczniejszej walki z degeneracją moralną i fizyczną narodu należy jak najenergiczniej przeciwdziałać takim przejawom, które degenerację tę powodują. Polecam niezwłocznie i energicznie przystąpić do walki z pornografią, podejmując właściwe i stanowcze środki” – pisał w 1936 roku Felicjan Sławoj Składkowski w okólniku Ministerstwa Spraw Wewnętrznych adresowanym do wojewodów<sup>16</sup>. Jednym ze środków miało być skrupulatne i natychmiastowe przesyłanie rekwizowanej pornografii prosto na adres ministerstwa. „Jeśli ilość zajętych przedmiotów jest niewielka lub z innych względów wyłączenie kilku z nich jest niemożliwe”, wówczas należało przesyłać je już po zakończeniu procesu sądowego. Jak ta procedura miała przyczynić się do zwalczania pornografii i co dokładnie premier planował robić ze zbiorom erotycznych pocztówek – nie wiadomo.

Badacze nigdy o to nie pytali, bo większość z nich bagatelizowała sam fakt istnienia w Polsce jakiegokolwiek przemysłu pornograficznego. Wiadomo, że taki przemysł opanował szturmem zachodnią Europę. Prasa katolicka podawała, że rocznie we Francji i Niemczech produkowano nawet pięć miliardów wszelkiego rodzaju wydawnictw pornograficznych. Nakłady erotycznych publikacji miały nierzadko sięgać setek tysięcy egzemplarzy. „Liczby te wydają się znacznie przesadzone, gdyby bowiem uznać ich autentyczność,

okazałoby się, że tamtejszy rynek wydawniczy zdominowany został całkowicie przez pornografię” – komentuje współczesna prasoznawczyni Agnieszka Kopeć<sup>17</sup>. Nie należy jednak posuwać się do skrajności. Oczywiście konserwatywni publicyści uderzali w panikarskie tony. Oczywiście zakłamywali liczby i dopisywali zera. To nie znaczy jednak, że pornografia stanowiła mało znaczącą niszę. Dzisiaj też w debacie na ten temat pojawiają się przesadzone, alarmistyczne liczby. Skrajna prawica w Stanach Zjednoczonych podaje, że na jednego Amerykanina przypada... jedna pornograficzna strona internetowa. Łącznie ma ich być dwieście sześćdziesiąt milionów. Ta bzdura nie zmienia jednak faktu, że według najszerszych dostępnych danych, upublicznionych w 2012 roku w książce *A Billion Wicked Thoughts* (Miliard zbereźnych myśli), nawet 15% ruchu w internecie wiąże się z erotyką<sup>18</sup>. Nie byłoby niczym zaskakującym, gdyby sto lat temu podobny udział erotyka miała wśród publikacji drukowanych. I chyba nie tylko we Francji i Niemczech.

Na temat rodzimej sytuacji Agnieszka Kopeć pisała: „Polska, w porównaniu z wyżej wspomnianymi krajami, własnej pornografii produkowała stosunkowo niewiele i, jak podkreślają komentatorzy katoliccy, raczej nigdy nie osiągała ona granicy ostatecznej, perwersyjnej”. Podobnie wyglądało oficjalne stanowisko polskich władz. Kiedy w 1929 roku Liga Narodów zgłosiła się do swoich członków z prośbą o raporty z ostatniej dekady walki z pornografią, Wielka Brytania doniosła o tysiąc siedemdziesięciu czterech przestępstwach na tle rozpowszechniania nieobyczajnych publikacji. Austria pochwaliła się skonfiskowaniem niemal dziesięciu tysięcy druków. Niemcy – połową tysiąca spraw karnych. Tymczasem polski

rząd udał, że nie rozumie, o co chodzi – i zacytował wyłącznie dwa przypadki zahaczające jakkolwiek o pornografię<sup>19</sup>.

Zarówno opinia współczesnej prasoznawczyni, jak i przedwojennych władz nie wytrzymuje starcia z rzeczywistością. Mieszkańcy Polski nie byli, wbrew opiniom niektórych zachodnich polityków, dzikusami Europy. Też mieli aparaty fotograficzne i wiedzieli, jak ich używać. A w efekcie pornografia wyskakiwała z niemal każdego kąta. Już przed I wojną światową Wincenty Rapacki pisał: „Kiedy jeszcze pornografia była w kolebce, przysmaki te kosztowały drogo. Dziś... za parę rubli lub taniej można mieć cały »komplet«”<sup>20</sup>. W kolejnych latach podaż stale rosła, a ceny spadały. Mimo to nie brakowało chętnych do produkcji rozbieranych widokówek. Gazety donosiły o dziesiątkach spraw tego rodzaju, choć ze strachu przed cenzurą nie przytaczały zbyt wielu szczegółów. Pewną próbkę erotycznych inicjatyw biznesowych zestawiał Stanisław Trzeciak. I, rzecz jasna, całą swoją uwagę skupił na Żydach.

*Komisariat Rządu na m. st. Warszawę zlikwidował ostatnio trzy firmy żydowskie w Warszawie, które się trudniły sprowadzaniem z Wiednia i z Paryża wielkiej ilości pocztowych kart pornograficznych.*

*W r. 1930 żyd, student, sprowadzał do mieszkania młode dziewczęta dla zdjęć pornograficznych nago, sprzedawał później te zdjęcia i kolportował (...).*

*Żyd na ul. Świętokrzyskiej w składzie z bielizną kolportował karty pornograficzne – karany sądownie.*

*Przy ul. Żabiej w sklepie spożywczo-kolonialnym i materiałów piśmiennych Żyd właściciel sprzedawał karty pornograficzne – karany sądownie<sup>21</sup>.*

Lista ciągnęła się dalej. Żyd po Żydzie, Żyd po Żydzie. Nawet skrajny antysemita w rodzaju Trzeciaka nie mógł jednak ukryć faktu, że wycinek z erotycznego tortu próbowali też wykroić dla siebie Polacy. Nieśmiało wspominał na kartach *Pornografii narzędziem obcych agentur* o niejakim Modzelewskim – „niestety podobno chrześcijaninie”. „Z nazwiska wygląda on na Polaka, który wraz z Żydami demoralizuje i zatruwa jadem rozpusty dusze polskiej młodzieży” – ubolewał autor. Można by odnieść wrażenie, że w ten sposób piętnował kreaturę zupełnie unikalną. Jedyne go zdrajcę religii i narodu. Ponownie jednak fakty mówią za siebie.

W lipcu 1927 roku „Ilustrowany Kuryer Codzienny” donosił o „fabryce zdjęć pornograficznych” funkcjonującej w Piotrkowie. Nie jest jasne, czy właściciel nielegalnego concernu był Żydem. Nosił dość osobliwą ksywkę „Polski Kazik”. Na pewno natomiast wśród jego partnerów biznesowych, a tym bardziej modelek byli niemal sami Polacy. „Policja przystąpiła do szczegółowej rewizji, której rezultaty były wprost niewiarygodne, a jednak prawdziwe – donosił krakowski dziennik. – W czasie rewizji znaleziono około stu zdjęć na pocztówkach. Kobiety z różnych sfer (...) zdejmowane były bez listka figowego i to w najmniej przyzwoitych pozach”. Odkryto też „sto odbitek pornograficznych, które przedstawiały sceny ohydne” oraz bliżej nieokreślone „zdjęcia migawkowe, dokonane na ulicach miasta”<sup>22</sup>.



„Fotografowanie na plaży” (rys. „Nowy Dekameron”, 1924).

W innych sprawach wątpliwości narodowościowych nie ma żadnych. W 1929 roku zatrzymano Polaka z dziada pradziada, doktora Stanisława Kossowskiego. Za dnia zajmował posadę dyrektora fabryki karabinów „Arma” we Lwowie. Wiezorami natomiast handlował ostrą pornografią. W jego domu policja znalazła kilkadziesiąt albumów. Pan dyrektor sprzedawał je po sześćdziesiąt złotych sztuka<sup>23</sup>. Równie oczywista jest historia Mieczysława Iżyckiego, Jerzego Włodarskiego i Mariana Dederke. Tych trzech panów zatrzymano w 1925 roku

w Warszawie. Produkcją pornografii na masową skalę zajmowali się przy okazji pracy w wytwórni filmowej „Paw Film”. Co znamienne – filmów pornograficznych nie próbowali kręcić. Wiedzieli, że na ten rodzaj pornografii w Polsce wciąż jest bardzo mały rynek zbytu<sup>24</sup>. Z podobnego założenia wyszło dwóch łódzkich cwaniaków, którzy na początku lat trzydziestych naciągali „młode i przystojne niewiasty z uboższych sfer miasta”, obiecując im karierę filmową. „Ilustrowana Republika” donosiła 13 marca 1931 roku:

*W ubiegłym tygodniu oszuści przystąpili do nakręcenia pierwszego filmu. (...) Wszystkie zdjęcia nosiły charakter pornograficzny. Oszuści nie zdejmowali na taśmach filmowych, lecz zwykłych kliszach fotograficznych i później sporządzili kilka tysięcy pocztówek. Pocztówki te, wybitnie pornograficzne, sprzedawali następnie sami na mieście, zyskując sobie kilku hurtowych odbiorców<sup>25</sup>.*

Podobnych spraw były dziesiątki i szybko znikwały one ze szpalt gazet. Tego samego nie można powiedzieć o historii Feliksa Piekuckiego – bez wątplenia najgłośniejszej aferze obyczajowej dwudziestolecia międzywojennego. Współorganizator powstania wielkopolskiego, pierwszy komendant miasta po odzyskaniu niepodległości, wpływowy polityk wielkopolskiej endecji i gwiazda radiowa. Piekuckiego nikomu nie trzeba było przedstawiać. Jego poglądy też były doskonale znane. Podczas swoich krótkich rządów przemienił Poznań w prawdziwą stolicę pruderii i purytańskich obyczajów. Ludzie kojarzyli go jako przykładnego ojca, patriotę, a przede wszystkim konserwatystę stojącego za każdą akcją „służącą podniesieniu ducha religijnego”. Nikt nie podejrzewał, że ten chodzący ideał to jednocześnie zdeprawowany

pedofil, gwałciciel, współtwórca sieci seksualnych usług i prawdopodobnie największy w zachodniej Polsce producent ostrej pornografii.

Piekucki, we współpracy z poznańskimi biznesmenami i politykami prawicy, niemal przez dekadę prowadził dom publiczny. Wykorzystywano w nim, często w zbiorowych orgiach, upijano i fotografowano dwunasto-, trzynastoletnie dziewczynki. Sprawa wyszła na jaw zupełnym przypadkiem. Policja zarekwirowała sto pięćdziesiąt zdjęć i rysunków pornograficznych. Fotograf zatrudniony przez Piekuckiego zeznał szczerze, że: „Dokonywał zdjęć nagich małoletnich dziewczynek, a przy tych zdjęciach całował je i głaskał po ciele”. W całej aferze przewijał się co najwyżej jeden Żyd. Wszyscy inni bohaterowie byli Polakami, katolikami i wielkimi moralistami<sup>26</sup>.

Tyle w kwestii Polski jako kraju bez rodzimej pornografii. I w kwestii Żydów jako jedynych jej siewców. Stanisław Trzeciak pewnie spaliłby się ze wstydu, gdyby przyszło mu kiedykolwiek pisać o sprawie poznańskiego pedofila. Aż do wybuchu II wojny światowej konsekwentnie unikał jednak tego tematu. Był zajęty tworzeniem kolejnych antysemickich prac oraz odbieraniem wysokiego odznaczenia państwowego z rąk Adolfa Hitlera. Po przegranej przez Polskę kampanii wrześniowej współtworzył kolaborancką Narodową Organizację Radykalną. Jak na ironię zginął z rąk szeregowego niemieckiego żołnierza – w sierpniu 1944 roku.

---

Pozycje są cytowane przy pierwszym wystąpieniu w danym rozdziale. Data ostatniego dostępu do wszystkich źródeł internetowych to 20 lutego 2015

roku.

- 1 Agnieszka Barlak, *Dawne pocztówki barwione erotyką*, „Biuletyn Informacyjny Biblioteki Narodowej” 2004, nr 3 (170).
- 2 Szymon Bojko, *Pocztówki spod znaku Erosa*, „Fotografia” 1984, nr 3.
- 3 Tadeusz Boy-Żeleński, *Zmysły..., zmysły...*, w: Tegoż, *Zmysły..., zmysły...*, Biblioteka Boya, Warszawa 1932.
- 4 Stanisław Kurkiewicz, *Z docieków (studyów) nad życiem płciowem. Luźne osnowy (tematy). 2. Szczegółowe odróżnienie czynności płciowych*, nakł. autora, Kraków 1906.
- 5 *Pornograficzne pocztówki przynęta dla młodzieży szkolnej*, „Echo”, 9 października 1934, nr 277.
- 6 Tenże, *Samieństwo („Onania”): określenie, istota, znaczenie, skutki i t.p.*, nakł. autora, Kraków 1917.
- 7 Tenże, *Podziwiamy dary urody*, nakł. autora, Kraków 1915.
- 8 Wiech [Stefan Wiechecki], *Kobieta z brodą*, w: Tegoż, *Zakochany złodziej, Vis-à-vis/Etiuda*, Kraków 2013.
- 9 Tenże, *Sąd Parysa*, w: Tamże.
- 10 Tenże, *Zyskowny fotos. Dobre interesy pięknego Kuby*, „Dobry Wieczór! Kurier Czerwony”, 3 października 1932, nr 227.
- 11 *Fonograf miłości*, „Nowy Dekameron” 1924, nr 25.
- 12 *Radjo*, „Nowy Dekameron” 1925, nr 6.
- 13 *Einstein, Steinach i Herz*, „Amorek” 1924, nr 8.
- 14 *Zalecanki przełożonego*, „Sowizdrzał” 1919, nr 35.
- 15 Stanisław Bał, *Raz, kotlet cielęcy!*, w: Tegoż, *Godzina życia mężczyzny*, Księgarnia Łódzka „Czytaj”, Łódź 1930.
- 16 *Okólnik Min. Spraw Wewnętrznych o zwalczaniu pornografii*, w: Adam Brzostyński, *Ochrona religii i tępienie pornografii przez ustawodawstwo polskie*, Drukarnia i Księgarnia św. Wojciecha, Poznań 1937.
- 17 Agnieszka Kopeć, *Książka zakazana w opinii Kościoła i odbiorze czytelnicy w okresie dwudziestolecia międzywojennego*, „Kieleckie Studia Bibliologiczne” 2000, t. 5.
- 18 Ogi Ogas, Sai Goddam, *A Billion Wicked Thoughts. What the Internet Tells Us About Sexual Relationships*, Plume, 2012.
- 19 Stanisław Okęcki, *Walka z pornografią w Polsce*, w: Adam Brzostyński, *Ochrona religii i tępienie pornografii*, dz. cyt.
- 20 *Pornografia. Głosy polskie w najważniejszej sprawie moralności społecznej*, Towarzystwo im. Piotra Skargi, Lwów 1909.
- 21 Stanisław Trzeciak, *Pornografia narzędziem obcych agentur*, Biblioteka „Jutra



Pracy”, Warszawa 1938.

22 *Fabryka zdjęć pornograficznych w Piotrkowie*, „Ilustrowany Kurjer Codzienny”, 29 lipca 1927, nr 207.

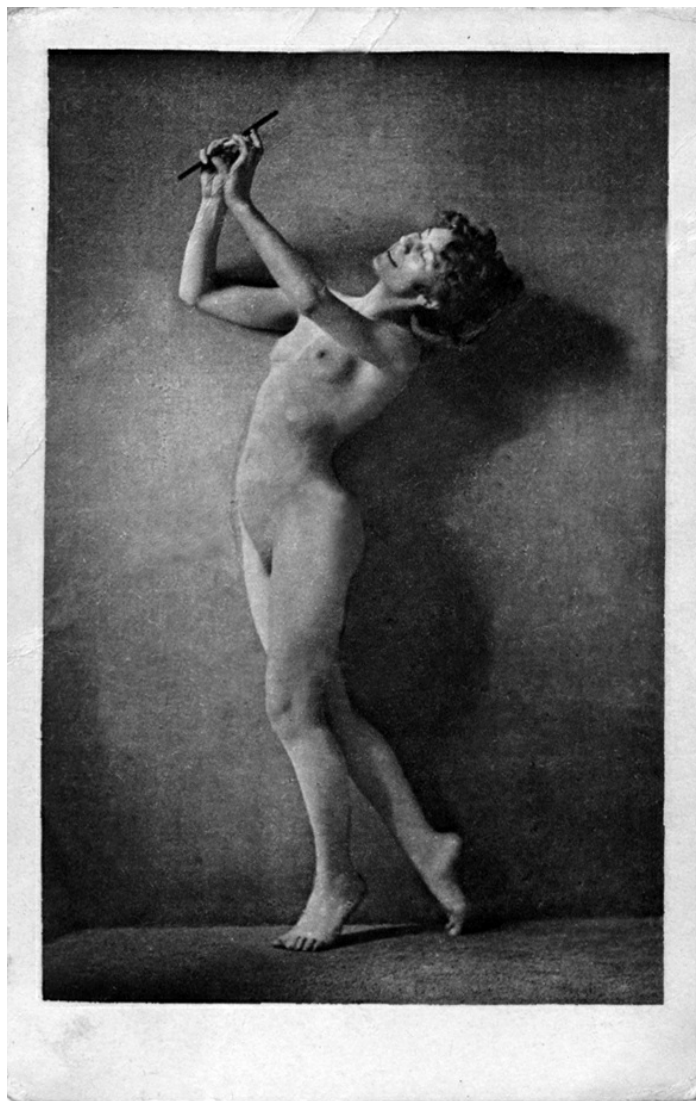
23 *Wielki skład wydawnictw pornograficznych w mieszkaniu dyrektora fabryki karabinów*, „Echo”, 15 listopada 1929, nr 299.

24 *5000 fotografii pornograficznych skonfiskowała policja warszawska*, „Express Wieczorny Ilustrowany”, 26 sierpnia 1925, nr 197.

25 *Wielka afera filmowa w Łodzi*, „Ilustrowana Republika”, 13 marca 1931, nr 71.

26 Sprawę Feliksa Piekuckiego opisałem ze szczegółami w jednej ze swoich poprzednich książek: *Upadłe damy II Rzeczypospolitej*, Znak, Kraków 2013.

*Kolekcja anonimowych, przedwojennych  
pocztówek erotycznych w zbiorach Biblioteki  
Narodowej*



*„Akt kobiecy”*



*„Akt kobiety w szuwarach”*



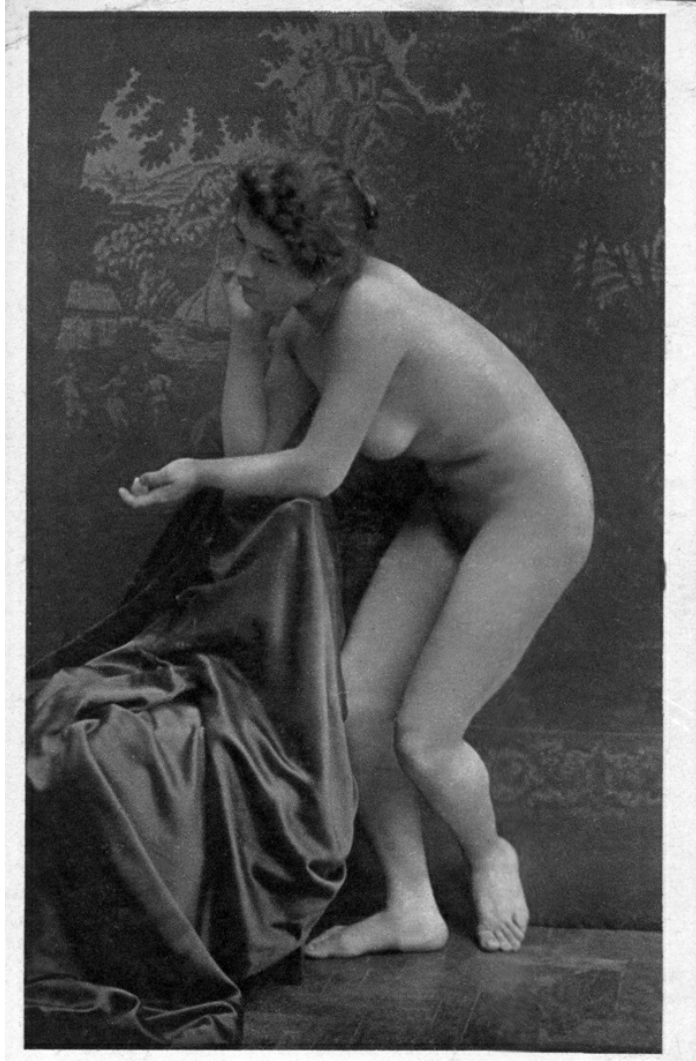
*„Akt kobiety w szuwarach”*



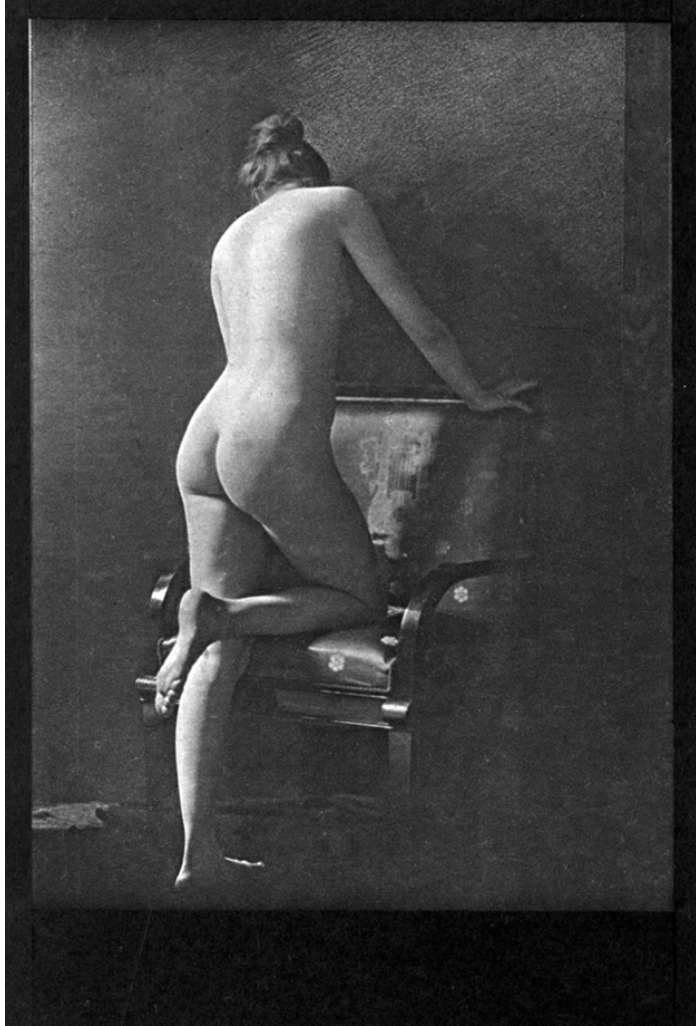
*„Akt kobiety tyłem”*



*„Akt kobiety stojącej z rozłożonymi rękoma”*



*„Akt kobiety opartej o krzesło”*



*„Akt kobiety opartej o krzesło”*



## V / Przedwojenna Kamasutra



/ „Pełna wrażeń pierwsza noc” /

## **Reguły seksu i noc poślubna**

*Żenił się, w dom swój wprowadził dziewicę. (...) Miał lat sześćdziesiąt i dwie kamienice oraz wspaniałą fabrykę odcisków. Ona dwadzieścia jeno miała latek, z zawodu była, cóż, manikiurzystką. (...)*

*Noc. On i ona. Sypialnia. Dwa łóżka. Półmrok. Na szafce tylko świeca płonie. Ona spogląda na swego staruszka. Wzdycha. Serduszko tęsknie bije w łonie. On milczy. Frak zdjęł. Zdejmuje i dalej. Włazi pod kołdrę swego łóżka. Ona na swoim siedzi. Świeca wciąż się pali, ona z utęsknień tajemniczych kona. Zdjęła już suknie. Kładzie się. Cóż? Leży. Mąż na swym łożu się kręci. O, Boże! Nagle przez półmrok zapytanie bieży:*

- Można już, żonuś?*
- Wszak mąż wszystko może. (...)*
- Powiedz, bo mogę jeszcze czekać.*
- Drogi, wszak to rzecz piękna, szlachetna, nie zdrożna.*
- On spuszcza z łóżka swoje długie nogi.*
- Więc można?*
- Proszę.*

*Wstał z łóżka, wciąż sapie. Zdmuchnął świecę, wlaźł znów w łóżko. Leży. Chrapie.*

Jerzy Wrzos, *Noc poślubna*. Utwór opublikowany przez „Nowy Dekameron” w styczniu 1925 roku<sup>1</sup>.

---

Tradycja nocy poślubnej odchodzi do lamusa. A przynajmniej do takich właśnie wniosków prowadzą organizowane w ostatnich latach sondaże. W Polsce nikt dotąd nie próbował zapytać reprezentatywnej grupy nowożeńców o seks podczas ich pierwszej nocy. W Wielkiej Brytanii robiono to już wielokrotnie. W 2009 roku ponad 25% respondentów przyznało, że po weselu nie było żadnych amorów<sup>2</sup>. W ankiecie z 2013 roku grupa ta urosła do 52%<sup>3</sup>. I nie był to wynik błędnej metodologii, bo sondażem objęto aż dwa tysiące osób. Wreszcie w 2014 roku przepytano pięć tysięcy pań i panów młodych. 67% przyznało, że w noc poślubną tylko smacznie spali<sup>4</sup>.

Osiemdziesiąt lat temu podobne liczby byłyby zupełnie nie do pomyślenia. Pasowałyby do żartów, a nie do opisu rzeczywistości. „Pełną wrażeń pierwszą noc” przeżywał niemal każdy nowożeniec i miała nieporównywalnie większe znaczenie niż dzisiaj. W rytuale tym wcale nie chodziło o seksualną przyjemność. Specjaliści od stosunków płciowych robili wszystko, by przekonać czytelników swoich prac o wadze czekającego ich sprawdzianu. Od tej jednej nocy mogło zależeć całe ich pożycie małżeńskie.

Coraz więcej młodych dziewcząt eksperymentowało z seksem jeszcze przed ślubem. To nie ulega wątpliwości. 20% miało nawet odwagę przyznać się do tego w ankiecie z 1934 roku. Większość narzeczonych wciąż jednak działała w myśl tradycji – stawały przed

ołtarzem w mniejszym lub większym stopniu „niewinne”. Seks znalazły z opowiadań koleżanek lub z książkowych definicji. Mogły na przykład kojarzyć opis zamieszczony w *Hygienie miodowych miesięcy* Maxa Exnera wydanej po polsku w 1936 roku: „Łechtaczka (...), natrafiając na grzbiet żółędzi i trzon prącia, trze o niego tak, że każdy ruch wykonany podczas spółkowania wywiera wpływ na jedną i drugą płć. Wreszcie, odczuwając wrażenia rozkoszy, prowadzi do owego wysokiego stopnia orgazmu, który powoduje z jednej strony ejakulację, a z drugiej strony przyjęcie nasienia do ujścia zewnętrznego macicy”<sup>25</sup>. Z pozoru wszystko się zgadza. Ale teoretyczny wywód tak naprawdę nic nie wyjaśniał. A pytać o dalsze szczegóły po prostu nie wypadało.



„Nie warto było się rozbierać, aby usłyszeć potem, że panu doktor zabronił mięsa i że maluje pan tylko jarzyny!” Jarskie malarstwo w interpretacji „Nowego Dekameronu” (1924).

William Martin, autor *Racjonalnego życia płciowego*, przedstawiał sytuację we wzniosłych tonach: „Pierwsza noc poślubna oznacza tę upragnioną, nieraz długo oczekiwaną chwilę, w której ma nastąpić wtajemniczenie oblubienicy w wielkie misterium miłości”. Nawet on zwracał jednak uwagę, że „nie jest to bynajmniej łatwe zadanie”. Tłumaczył, że młode, nieuświadomione płciowo kobiety instynktownie boją się seksu:

*Dziewczyna wie ze słyszenia, że pierwszy akt płciowy powoduje przerwanie jakiejś błony; nie zna wszystkich szczegółów anatomicznych, lecz ten „pierwszy raz” wydaje jej się jakąś małą operacją, żeby użyć terminu medycznego; boimy się przecież zastrzyku podskórnego, cóż więc dziwnego, że wzbudza lęk akt fizyczny, który dokonywa się w okolicy ciała tak wrażliwej i tajemniczej? <sup>6</sup>*

Rolą mężczyzny było przezwyciężenie obaw małżonki, uspokojenie jej i stworzenie atmosfery sprzyjającej bliskości. Ponownie – teoria wygląda doskonale. Każda publikacja dotycząca kwestii nocy poślubnej sugeruje jednak, że statystyczny żonkoś nie potrafił stanąć na wysokości zadania. Martin przestrzegał: „Niedopuszczalne jest użycie podstępów lub siły. Nie wolno mu być brutalnym”. Doktor Tardieu, autor wydanej w 1934 roku *Sztuki przypodobania się kobietom*,

opisał z kolei typowego nowożeńca: „Męża gorącego, a niezręcznego”<sup>7</sup>. Był to człowiek, który: „Zaledwie znajdzie się na łożu małżeńskim, już chciałby posiąść żonę (...). W wielu wypadkach próby spółkowania powodują bóle tak ostre, krzyki tak gwałtowne, że mąż nie śmie dalej kontynuować aktu”. Na kolejnej stronie raz jeszcze pada ostrzeżenie: „Impet i brutalność powinny być wykluczone przy pierwszym zbliżeniu”. I można się domyślać, że w większości przypadków właśnie te dwa słowa najlepiej opisywały wrażenia żony z nocy poślubnej. Zresztą, autor broszury *Miłość małżeńska w świetle nauki* wydanej po polsku w 1931 roku pisał o tym zupełnie wprost:

*Trzeba przyznać, że mąż prawie zawsze nie umie sobie dać rady z tą trudną i delikatną rolą. Zabiera się do wypełnienia swego obowiązku małżeńskiego niezręcznie, gburowato, beznamiętnie, jakby chciał jedynie zaspokoić swoją obskurną żądzę. Czyni wszystko, aby nie zaoszczędzić swej towarzyszce żadnej przykrości związanej z tym pierwszym zbliżeniem. Nie ma w jego postępowaniu niczego, co by pozwalało zapomnieć lub wybaczyć nieprzyjemność spółkowania <sup>8</sup>.*

Specjaliści mieli świadomość, jak głębokie szramy na psychice może pozostawić takie doświadczenie. Dziewczyna oczekiwała wspaniałego aktu zjednoczenia, dla którego strzegła swej cnoty przez całą młodość. A skończyło się niemalże na gwałcie. Tak samo było w XIX wieku, ale dopiero teraz naukowcy zaczęli zastanawiać się nad skutkami tragedii nocy poślubnej. W 1900 roku większość lekarzy zbywała temat, twierdząc, że typowa kobieta to jednocześnie histeryczka. Istota z natury oziębła lub wręcz aseksualna, której po prostu nie da się zadowolić. W 1930 roku wzmianki o hysterii padały już tylko w cudzysłowie i to

głównie w pracach wyjątkowo wstecznych autorów. Nawet umiarkowani konserwatyści – nie mówiąc o piewcach obyczajowego wyzwolenia – źródeł kobiecych problemów z seksem zaczęli szukać u mężczyzn.

„Brutalne postępowanie może zrazić kobietę, zranić ją moralnie, a takie uczucia zostawiają niezatarty ślad we wspomnieniu pierwszego zbliżenia cielesnego z mężem” – podkreślał William Martin. Kończyło się to wstrętem do seksu, psychiczną blokadą uniemożliwiającą jakiegokolwiek dobrowolne stosunki, a w najlepszym wypadku – zupełną obojętnością na sprawy płciowe. Paweł Klinger przytaczał za innym autorem, że nawet 50% płci żeńskiej to tak zwane zimne kobiety<sup>9</sup>. W zdecydowanej większości ich chłód dało się zniwelować. Nie psychoanalizą, hipnozą ani tabletkami, ale nowym podejściem do seksu zarówno podczas nocy poślubnej, jak i każdego kolejnego zbliżenia.

---

*Pełna wrażeń pierwsza noc. (...)*

*On ją pieścić ciągle chce, Ona by go wciąż pieściła.*

*Krew nie woda w żyłach była, w pocałunkach zjeść chcę się.*

*Często szepce „mężu, pieść”, tuląc doń główeczkę swą.*

*W pocałunkach chciał ją zjeść, Ona też zjeść chciała go.*

*Małżeństwo XX wieku.*

*Wierszyk opublikowany*

*przez „Amorka” w 1924*

*roku<sup>10</sup>.*

**„Mąż powinien być mentorem”**

Paweł Klinger wyjaśniał: „Tego rodzaju pożycie małżeńskie, gdzie mąż myśli tylko o swoim zadowoleniu, »gasi tylko swój ogień« (...) lub (...) »przybija sam do portu«, prowadzi do tego, że żona (...) pozostaje stale w stanie silnego napięcia i podrażnienia systemu nerwowego bez naturalnego odprężenia. Oczywiście, że taki stan rzeczy ujemnie odbić się musi nie tylko na jej zdrowiu fizycznym, lecz i na całej psychice, co w konsekwencji prowadzi do nieszczęśliwego pożycia małżeńskiego”.

Już te parę zdań u wielu mężczyzn musiało wywoływać szok. A co dopiero – terapia przepisana ich żonom. Nawet J.A. Boswer, autor wydanej w 1936 roku broszury *Jak unikać zdrady i rozczarowań w małżeństwie*, pisał: „Obowiązkiem [mężów] jest w pierwszym rzędzie zadowolić kobietę, a później dbać o własne zadowolenie. Gdy jest przeciwnie, żona nie będzie pożądać stosunku i stanie się oziębłą”. I to były słowa człowieka, który w tej samej publikacji stwierdził, że zna tylko trzy rodzaje kobiet: „1) zarozumiałe i próżne”, „2) chciwe na pieniądze, materialistki” i „3) niezaspokojone seksualnie”<sup>11</sup>. A więc – nie jakoś bardzo postępowego. Sprzeczność jest jednak wyłącznie pozorna. W rzeczywistości recepta na oziębłość kobiet była w równym stopniu nowoczesna, co osadzona w XIX-wiecznym sposobie myślenia. Opierała się na dwóch fundamentalnych założeniach. Po pierwsze, to mąż kontroluje wszystko, co dzieje się w łóżku. Po drugie, kobieta z samej swojej natury jest w seksie tą gorszą czy wręcz upośledzoną stroną.

Doktor Ksawery Sieńko pisał w 1936 roku: „Zasadniczym rysem odrębności popędu płciowego kobiety pozostanie bierność. Oprócz bierności (...) [cehuje go] brak samorodności w powstawaniu. Te z nich, które w ogóle nie rozpoczęły normalnego życia płciowego, nie



rozumieją istoty popędu”<sup>12</sup>. Zdaniem autora dopiero spotkanie z mężczyzną pozwalało kobiecie odkryć w sobie potrzeby seksualne, a za jego radą i przykładem – mogła nawet nieśmiało zacząć je realizować. Doktor Tardieu dodał ze swojej strony kilka komentarzy natury handlowej: „Nie trzeba zapominać, że jeżeli kontrakt daje mężczyźnie posag, to kobieta winna mu dać miłość. Jeżeli więc [on] będzie umiał dobrze się do niej zabrać (...), jej serce będzie szczęśliwe oddać się temu, który tak dobrze umiał ją posiadać”. Padł też krótki postulat szkoleniowy: „Kobieta (...) powinna być gotowa przyjąć każdą lekcję, jaką mężczyzna zechce jej udzielić”.

Paweł Klinger nie posunąłby się pewnie w swoich wnioskach aż tak daleko. Stwierdził za to, że w zakresie życia płciowego: „Mąż powinien być przewodnikiem i mentorem swojej żony”. I dodał jeszcze, dla ostudzenia zapалу czytelników: „Nieraz dużo trzeba czasu, zanim mąż wychowa żonę o »słabym temperamencie« i nauczy ją techniki spółkowania”. W międzywojennym seksie zapanowało szumnie rozgłaszane równouprawnienie. Ale w wielu związkach to był pozór. Dokładnie takie samo równouprawnienie obowiązywało w polityce II Rzeczypospolitej: połowę elektoratu stanowiły kobiety, a po władzę i tak sięgali sami mężczyźni.

---

*Natura mężczyzny jest agresywna, progresywna, różnorodna –  
natura kobiety bierna, wrażliwa, jednostajna.*

Max Exner, *Hygiena miodowych  
miesiący*, 1936.

## „Zwierzyna tropiona przez drapieżnika”

Wywody seksuologów tylko potwierdzały panujące w społeczeństwie opinie na temat kobiet. Mężczyzn międzywojnia fascynowały partnerki niezależne, wyzwolone, filuterne. Ale to nie był jedyny ani nawet dominujący wzorzec zachowań. O *femmes fatales* dżentelmeni lubili czytać, jednak gdy przychodziło co do czego – oczekiwali, że ich własna kochanka będzie nieśmiała i skrępowana. Jeden z wierszyków „Amorka” sugeruje, że taką maskę powinna przywdziewać nawet mężatka zdradzająca męża. „W buduarze ją zastałem, taką skromną jak dziewicę. Zawstydzona, w pąsach lice, aż z zachwytu oszalałem”<sup>13</sup> – biegną wersy utworu *Niespodzianki* poświęconego właśnie romansowi pozamałżeńskiemu. Ten sam motyw pojawia się w wierszu *Taka inna*:

*Zawstydziła się dziewczyna, twarz pokryły cudne pąsy.*

*„Panie... Pan się zapomina!”*

*Nalegałem więc wytrwale, i to cudne, rajskie dziecię,*

*Było ze mną za chwil parę, gdzieś w ustronnym gabinecie.*

*Taka dziwna... Taka inna... Jadła mało, piła skromnie.*

*Pąsowiła – twarz niewinna, gdy zwracała oczy do mnie.*

*Uchwyciłem ją za dłonie, taka była cała drżąca...<sup>14</sup>*

Historię kończy odkrycie, że dziewczyna przypadkiem napotkana w parku to tak naprawdę przebiegła prostytutka, doskonale wiedząca, jaką dzierlatkę udawać, by skusić nieznajomego. Warto zwrócić uwagę na pierwszy akt tego spektaklu. Opór kobiety, „wytrwale” nalegania czy wręcz naciski amanta kończące się niechętną zgodą. Na łamach magazynów dla panów konsekwentnie powtarzano, że właśnie na tym

polega sztuka uwodzenia. Kobiety trzeba zdobyć choćby wbrew jej woli, bo ta tak naprawdę zawsze sprzeciwia się tylko dla wywarcia lepszego wrażenia. „Skromność i wstyd u kobiety znikają – gdy przestaje grać komedię” – zapewniał „Amorek”<sup>15</sup>. Były też inne złote myśli. „Jeżeli nie przekonasz kobiety słowem, zrobisz to pocałunkiem”. „Kobieta broni się, a pragnie”<sup>16</sup>. Wyrafinowana technika podrywu, żywa nawet w obmierzłym obyczajowo XIX wieku, niepostrzeżenie się przeterminowała. Mężczyzna miał działać szybko, prosto i bez ceregieli. Bo kobiecie i tak przecież chodziło tylko o seks.

Irena Krzywicka wypowiadała się o tym nowym spojrzeniu na relacje płciowe z wyraźnym rozżaleniem. „Otóż trzeba wyznać, że obecny poziom wzajemnego zdobywania się i uwodzenia nie sięga wyżej metra ponad podłogę, czyli nie wyżej pasa. Brutalność i prymitywizm panującej dziś formy zalotów może zmartwić aż do płaczu” – skomentowała.

*Taki wyzwolony barbarzyńca – nie mylicie się, o was mówię, znajomi i nieznajomi panowie – przede wszystkim ogłusza kobietę rąbniętą bez ogródek propozycją. Jest niecierpliwy: każe się prędko zdecydować. Jest prymitywny: bawi go tylko efekt końcowy miłości. Jest wyrachowany: szkoda mu czasu na spacer, na rozmowę, na poznanie się wzajemne. Jest pewny siebie: nie wątpi o powodzeniu, wie, że zawsze znajdzie inną, nie przecenia różnic między kobietami*  
<sup>17</sup>.

Krzywicka była zdania, że to rewolucja seksualna – w niezamierzony czy może wręcz sprzeczny z zamierzeniami sposób – zniszczyła instytucję „donżuanów” i „lowelasów”. Stary rytuał miłosny przestał obowiązywać – nowego nie stworzono. „Będzie nam wstyd, jeżeli to

nie my, ale nasze córki lub wnuczki rozpoczną nieuchronną i konieczną tresurę barbarzyńcy, jakim zawsze w tych sprawach pozostanie mężczyzna” – przestrzegała. Nie zdobyła sobie jednak zbyt wielu zwolenników. Wypowiadający się w tym temacie specjaliści od seksu nie mieli nic przeciwko upraszczaniu obyczajów. Licząc, że wszyscy bez wyjątku byli mężczyznami, i to zmęczonymi życiem panami w średnim wieku, trudno im się chyba dziwić. William Martin doradzał czytelnikom: „Bywa tak, że kobieta pragnie być przez danego mężczyznę pocałowana, a jednak nadal udaje opór; wtedy można sobie pozwolić na pocałunek niespodziany”. Havelock Ellis porównywał wręcz rolę kobiety w „grze miłosnej” do roli zwierzyny tropionej przez drapieżnika. Z tym, że była to zwierzyna szczególnego rodzaju. Uciekała zawsze tylko po to, by po chwilowym i udawanym oporze z rozmysłem wpaść w łapy swojego oprawcy<sup>18</sup>. W wielu przypadkach pewnie rzeczywiście tak było. Seksuolodzy nie pisali jednak o jednej z możliwości, ale jedynej.



Napad, próba gwałtu czy... podryw na ulicy? Nocne życie miasta w wyobrażeniu „Nowego Dekameronu” (1925).

W efekcie przyczyniali się do tworzenia takiej wizji świata, która wykluczała istnienie przestępczości seksualnej. Jeśli kobiece protesty i krzyki były tylko elementem gry wstępnej, trudno było mówić o próbach gwałtu. Według tej wykładni były to raczej – udane lub nie – próby podrywu. Międzywojenna prasa zgodnie przyjęła tę interpretację. W gazetach jak ognia unikano pisania o gwałtach. Gdy z rzadka seksualne sprawy karne trafiały na ich łamy, to nie nazywano ich po imieniu. Dziennikarze pisali enigmatycznie o „przypadkach

uwiedzenia”. Słowo „gwałt” było zarezerwowane dla niepełnoletnich ofiar czy wręcz dzieci. Nawet wtedy jednak mało brutalne czy niejasne sprawy traktowano z daleko posuniętą pobłażliwością. Zupełnie jakby przyjmowano, że oprawca zrobił ofierze przysługę, poświęcając swój czas na wprowadzenie jej w świat seksu.

Ostatecznie z każdej z takich spraw można było sobie po prostu zażartować. W październiku 1924 roku krakowskie „Nowości Ilustrowane” ubolewały, że w mieście zapanował zupełny letarg, a życie zwolniło tak bardzo, że można by je pomylić z tramwajem nr 2. Przykłady? Nikt nic nie tworzy, nikt się nie spiera i nawet... zabrakło wujków molestujących „nieletnie dziewczątka”<sup>19</sup>. Tego rodzaju dowcip w poczytnym magazynie nikogo specjalnie nie raził. Co zaś do meritum, wszystko, co ciekawe, działało się najwidoczniej w Warszawie. W tym samym czasie „Amorek” opublikował długą historię roztrzęsionej kobiety, która przysłała na komisariat, by zgłosić, że właśnie została zgwałcona. Komisarz okazał zainteresowanie zajściem właściwie tylko po to, by później przekazać pikantne szczegóły „uwiedzenia” kolegom. W toku krótkiego śledztwa szybko doszło do fatalnego nieporozumienia. Kobieta zapamiętała metkę z nazwiskiem, którą oprawca miał na koszuli. Okazało się jednak, że zawierała ona dane krawca, a nie – właściciela ubioru. Dla policjantów był to przedni dowcip i doskonały temat docinków. Kobieta została otwarcie wyśmiana i poniżona, a wreszcie uciekła z komisariatu. Na tym historia się kończy. A dziennikarze oczekują, że czytelnik też będzie się śmiał do rozpuku. Zgodnie z duchem epoki<sup>20</sup>.

**„Żonie trzeba dawać fory”**

Przynajmniej porady kierowane przez seksuologów do panów młodych były – w mniejszym lub większym stopniu – przytomne. Paweł Klinger pisał: „Mężowie, którzy nie posiadają wrodzonej intuicji pod tym względem, a tych jest większość, muszą przynajmniej nabrać trochę wiedzy. Talentu nabyć nie można; wiedzę można i trzeba”. Po tym wstępie autor przeszedł do szczegółowego opisu „techniki małżeństwa”. W praktyce sprowadzała się ona przede wszystkim do tego, co Klinger nazywał „dawaniem forów” żonie. Czyli do docenienia roli gry wstępnej i dostrzeżenia odmiennych potrzeb kobiet i mężczyzn.

Kobiety ze swojej strony dysponowały narzędziem, którego istnienia dawniej nawet nie dostrzegano. Mogły ogłosić cichy strajk. O tym też pisał Paweł Klinger:

*Nie wystarczy być potentnym, aby zadowoliwszy swą chuć samca i zapłodniwszy żonę, przewrócić się na drugi bok i usnąć snem sprawiedliwego w głębokim przeświadczeniu, iż uczyniło się zadość wszelkim „obowiązkom” małżeńskim. (...)*

*Właśnie w tych chwilach, kiedy pan małżonek tak smacznie chrapie, w duszy jego żony rodzi się pierwszy bunt przeciwko mężowi. Niedoświadczona małżonka nie wie, co się z nią właściwie dzieje, lecz rozedrgane nerwy, nie znalazłszy w akcie płciowym naturalnego odprężenia, długo jeszcze pozostają w napięciu, pobudzając fantazję kobiety do najdziwniejszych i niesamowitych pomysłów.*

*Niejedna niewiasta igrała już w takich chwilach z myślą zbrodniczą, póki wreszcie dobroczynny sen, często dopiero po przymusowym akcie onanistycznym, nie przyniósł umęczonej kobiecie zapomnienia i ukojenia...*

Wielu zresztą wcale tego ukojenia nie przynosił. W II Rzeczypospolitej – wobec braku legalnych środków zerwania więzów małżeńskich – często jedyną dostępną formą rozvodu było zamordowanie swojego męża. Oczywiście takie sytuacje zdarzały się tylko z rzadka i na bardzo różnorodnym tle. Ale jednak artykuł Leona Radzinowicza opublikowany w 1934 roku przez „Gazetę Sądową Warszawską” jasno wskazywał, że międzywojenne morderczynie to jednocześnie mężatki. Niemal w każdym notowanym przypadku<sup>21</sup>.

---

Pozycje są cytowane przy pierwszym wystąpieniu w danym rozdziale. Data ostatniego dostępu do wszystkich źródeł internetowych to 20 lutego 2015 roku.

<sup>1</sup> *Noc poślubna*, „Nowy Dekameron” 1925, nr 1.

<sup>2</sup> Vikki Champion, *One in four married couples don't have sex on their wedding night*, „Daily Telegraph”, 31 lipca 2009, [<http://www.dailytelegraph.com.au/lifestyle/one-in-four-married-couples-dont-have-sex-on-their-wedding-night/story-e6frf00i-1225756561766>].

<sup>3</sup> Deni Kirkova, *More than half of couples DON'T have sex on their wedding night – mostly because the groom is too drunk*, „Mail Online”, 9 października 2013, [<http://www.dailymail.co.uk/femail/article-2450993/More-half-couples-DONT-sex-wedding-night-groom-drunk.html>].

<sup>4</sup> Siam Goorwich, *Most British couples don't have sex on their wedding night*, „Metro.co.uk”, 3 października 2014, [<http://metro.co.uk/2014/10/03/most-british-couples-dont-have-sex-on-their-wedding-night-4891391/>].

<sup>5</sup> M. Eksner [Max Exner], *Hygiena miodowych miesięcy, czyli Etyka stosunków płciowych. Poradnik dla młodych małżeństw*, Wiedza Współczesna, Warszawa 1936.

<sup>6</sup> William Martin, *Racjonalne życie płciowe*, Minerwa, Warszawa 1936.

<sup>7</sup> Tardieu, *Sztuka przypodobania się kobietom*, Księgopol, Warszawa 1934.

<sup>8</sup> Jaf i Saldo [Jean Fauconney], *Miłość małżeńska w świetle nauki*, Księgarnia Popularna, Warszawa 1931.

<sup>9</sup> Paweł Klinger, *Vita sexualis. Prawda o życiu płciowym człowieka*, Księgarnia Karola Neumillera, Łódź 1935.



- [10](#) *Małżeństwo XX wieku*, „Amorek” 1924, nr 4.
- [11](#) J.A. Boswer, *Jak unikać zdrady i rozczarowań w małżeństwie*, Lwów 1936.
- [12](#) Ksawery Sieńko, *Zagadnienia seksualne*, Polskie Towarzystwo Eugeniczne, Warszawa 1937.
- [13](#) *Niespodzianki*, „Amorek” 1924, nr 1.
- [14](#) *Taka inna...*, „Amorek” 1924, nr 1.
- [15](#) *Z notatek Don Juana*, „Amorek” 1924, nr 7.
- [16](#) „Amorek” 1924, nr 2; „Amorek” 1924, nr 5.
- [17](#) Irena Krzywicka, *Śmierć Lowelasa*, w: Tejże, *Kontrola współczesności. Wybór międzywojennej publicystyki społecznej i literackiej z lat 1924–1939*, Feminoteka, Warszawa 2008.
- [18](#) Cyt. za: William Martin, *Racjonalne życie płciowe*, dz. cyt.
- [19](#) *O czym się mówi, a o czym się nie pisze. Niedyskrecje tygodniowe*, „Nowości Ilustrowane” 1924, nr 42.
- [20](#) *Języczek, czyli fatalne nieporozumienie spowodowane nieznaną bielźniarstwą*, „Amorek” 1924, nr 2.
- [21](#) Leon Radzinowicz, *Morderstwo w świetle danych statystycznych*, „Gazeta Sądowa Warszawska”, 24 grudnia 1934.

/ Liczy się technika /

## **Pozycje dla początkujących i zaawansowanych**

W 1883 roku pozycje seksualne to była rozrywka dla zbereźnych starszych panów z grubymi portfelami. A przynajmniej na to wskazywałoby pierwsze w zachodnim świecie wydanie słynnej *Kamasutry*. Powstało ono z inicjatywy znanego podróżnika i skandalisty sir Richarda Burtona. Strona tytułowa sugerowała, że to on jest jednym z tłumaczy dzieła, choć w rzeczywistości gros pracy wykonało dwóch słabo opłacanych Hindusów – urzędnik niskiego szczebla i student.

Praca ukazała się w formie siedmiu zeszytów, wysyłanych kolejno do wąskiego grona subskrybentów. Odbiorców było zaledwie dwustu pięćdziesięciu, a każdy egzemplarz zawierał adnotację: „Wyłącznie do prywatnego obrotu”. Zarówno ograniczenie nakładu, jak i specjalna formuła zabezpieczały wydawcę przed oskarżeniem o sianie zgorzenia. W świetle obowiązującego prawa pornograficzne treści były w Wielkiej Brytanii dozwolone, o ile tylko nie trafiały do publicznego obiegu. Co do tego, że Burton widział w *Kamasutrze* właśnie egzotycznego pornososa, nie można mieć najmniejszych wątpliwości. Opatrzył dzieło szeregiem przypisów, częstokroć balansujących na granicy

przyzwoitości lub tę granicę przekraczających. W posłowniu zaznaczał, że w tym rzadkim traktacie młodzi czytelnicy odnajdą lekcje, których mogliby inaczej nigdy sobie nie przyswoić. Albo też – przyswoić, kiedy będzie już za późno na wykorzystanie ich w praktyce. Historyk Ben Grant potwierdza, że chodziło o zaprezentowanie *Kamasutry* jako unikalnego, kolekcjonerskiego dzieła erotyki. Burton zadbał nawet o takie przeredagowanie tekstu, by jak najbardziej odpowiadał odbiorcom. Kobiety w jego edycji były o wiele bardziej uległe i podporządkowane mężczyznom niż w oryginale. Wyuzdany seks ukazano jako aktywność dzikich z dalekiego kraju, a cały aparat towarzyszący oryginałowi miał na celu dodatkowe „podkręcenie” wrażeń. Burton wiedział, że jego subskrybenci nie zapłacą za nic bardziej wyważonego i hermetycznego. Bądź co bądź jednotomowa wersja, którą wydrukował w 1884 roku, kosztowała dwa funty i dziesięć szylingów. Czyli bagatela jakieś tysiąc trzysta dzisiejszych złotych<sup>1</sup>.

W kolejnych latach zachodni świat zalała fala tanich, pirackich edycji książki. Funkcjonowały w podziemnym obiegu, traktowane tak samo jak pierwsze filmy pornograficzne. W Stanach Zjednoczonych można było trafić do aresztu nie tylko za wydawanie *Kamasutry*, ale też za samą próbę przesłania jej egzemplarza pocztą. Było tak nadal nawet pod koniec lat dwudziestych XX wieku<sup>2</sup>. Wtedy jednak nikt już nie musiał koniecznie sięgać do hinduskiego traktatu. Na rynku pojawiło się *Małżeństwo doskonałe* Theodoora Hendrika van de Velde – pierwszy we współczesnej Europie podręcznik seksu, zawierający szczegółowy przewodnik po erotycznych technikach i pozycjach<sup>3</sup>.

## Pozycja misjonarska. Wielki polski wynalazek

Oszałamiający sukces książki holenderskiego ginekologa potwierdził, że Europejczycy chcą być w łóżku bardziej otwarci i kreatywni. Ale – nie wszyscy Europejczycy. William Martin jeszcze w 1936 roku pisał: „Wśród narodów cywilizacji zachodniej panuje przekonanie, że istnieje tylko jedna właściwa pozycja podczas aktu płciowego, że wszelkie inne odmiany są nieprzyzwoite i nie wypada nawet o nich wspominać”<sup>4</sup>. To był pogląd bardzo umiarkowany. Wielu specjalistów twierdziło, że szukanie urozmaiceń w życiu miłosnym prowadzi nie tylko do rozpusty, ale wręcz do utraty zdrowia. Przykładowo autorzy pracy *Samogwałt (onanizm) u mężczyzn i kobiet* z 1908 roku przyrównywali seks w jakiegokolwiek innej pozycji niż tradycyjna do masturbacji – najgorszej plagi trapiącej ludzkość<sup>5</sup>.

Van de Velde rozpoczął krucjatę przeciw ciemnocie, a w imię trwałości małżeństwa. Przekonywał, że bez urozmaiceń w sypialni żaden związek sobie nie poradzi. „Wszelka rozkosz, co stwierdzili już starożytni (...), może wtedy być trwała, gdy nie jest jednostajna. Z tego punktu widzenia więc ma omawiana tutaj sprawa bardzo duże znaczenie dla szczęścia małżeńskiego” – pisał. W tym samym tonie wypowiadał się także William Martin. Wyjaśniał, że „bardzo poważne względy higieniczne przemawiają za wypróbowaniem szeregu innych pozycji”. To charakterystyczna argumentacja. Propagowana w epoce międzywojennej „technika miłosna” miała wybitnie pragmatyczny wydźwięk. Chodziło o polepszenie kondycji małżeństw, o ułatwienie procesu zapłodnienia, ochronę w okresach choroby. I dopiero na ostatnim miejscu – o fizyczną przyjemność. Holenderski ginekolog

zwracał na przykład uwagę, że „ułożenie, pozwalające na wytrysk nasienia w głębi pochwy, sprzyja natychmiastowemu wtargnięciu plemników do macicy”. Ten sam skutek miało nieść ze sobą „pozostawienie po akcie członka przez pewien czas w pochwie”. Na szczęście wśród tych wywodów nie zapomniał zupełnie o erotycznej stronie zagadnienia:

*Intensywność rozkoszy jest w znacznej mierze zależna od ułożenia przy spółkowaniu. Zależność ta zresztą jest wieloraka, gdyż jakość podniet i miejsca ich działania zmieniają się jednocześnie z ułożeniem ciał przy stosunku. (...) Skala odmian rozkoszy spółkowania jest więc bardzo duża.*

Autor wyszczególnił dziesięć podstawowych pozycji seksualnych. O kilku kolejnych wspomniał na marginesie. Zaczął rzecz jasna od „ułożenia normalnego”. Czyli tego, co dzisiaj określane jest mianem pozycji misjonarskiej. W dwudziestoleciu międzywojennym nikt nie użyłby tej drugiej nazwy, choć to za sprawą żyjącego wówczas polskiego antropologa upowszechniła się ona na całym świecie. Bronisław Malinowski wykładał na Uniwersytecie Londyńskim, a w 1929 roku wydał przełomową pracę *Życie seksualne dzikich w północno-zachodniej Melanezji*. Dwie dekady później kontrowersyjny amerykański seksuolog Alfred Kinsey postanowił dodać kolorytu własnej książce, przytaczając z pamięci ustalenia Polaka. Napisał, że według Malinowskiego tubylcy uprawiali przy ogniskach seks na sposób białych i żartowali, iż jest to właśnie pozycja misjonarska. W rzeczywistości wybitny antropolog nigdy czegoś takiego nie napisał. Ale nie był w stanie opublikować sprostowania.

Zmarł w 1942 roku, nie mając pojęcia, że przejdzie do historii jako wynalazca najbardziej znanego określenia z zakresu technik seksualnych<sup>6</sup>.

William Martin o „ułożeniu normalnym” pisał, co następuje: „Pozycja leżąca – mężczyzna na kobiecie – jest naturalną pozycją ludzi podczas spółkowania. Zdarza się jednak często, że wskutek stałego stosowania tej samej pozycji następuje przesyty”. Van de Velde zgadzał się, że jest to technika stosowana przez właściwie każdą parę. Mimo to zdecydował się szczegółowo ją opisać: „Kobieta leży na grzbiecie z lekko zgiętymi i rozsuniętymi udami. Mężczyzna leży na kobiecie, przy czym nogi jego znajdują się między jej nogami. Mężczyzna stara się zmniejszyć ciężar swego ciała, opierając się łokciami i kolanami na materacu”. Werdykt był taki, jak można by się spodziewać: „Podniety powstające przy »normalnym« stosunku, w położeniu »normalnym«, u »normalnie« pobudliwych małżonków – są »normalne«, to znaczy przeciętne (...). Intensywność rozkoszy jest również przeciętna”. Prawdziwych fajerwerków należało szukać gdzie indziej.

## **„Podniety prymitywne, ale skuteczne”. Warianty pozycji klasycznej**

Ewolucja, a nie rewolucja. Z pozoru w takim hasle zamykało się podejście van de Veldego do pozycji seksualnych. Sporo uwagi poświęcił modyfikowaniu „ułożenia normalnego”. Każdy z wariantów opisał ze szczegółami, ale wobec braku jakichkolwiek pomocy graficznych (autor seks pokazywał tylko na... matematycznych wykresach dochodzenia do orgazmu) nie wszystkie jego instrukcje

brzmia intuicyjnie. Jako pierwsze podał „położenie wyprostne”. I to mimo że wcale nie wydaje się ono rozwiązaniem dla początkujących.



„Siłaczka miłości” (rys. „Amorek”, 1924).

*W położeniu normalnym, po wprowadzeniu członka do pochwy, kobieta zwiera i wyprostowuje nogi – tak, że uda mężczyzny obejmują uda kobiety. Wypływają stąd dla mężczyzny duże korzyści: spotęgowanie podnieć działających na prącie (w sposób prymitywny, ale skuteczny) i pewność, że penis nie wyslizgnie się*

*z pochwy.*

Autor polecał ten wariant szczególnie „w przypadkach, w których penis nie jest za mały, lecz wzwód jest niedostateczny – bądź stale, bądź przypadkowo”. Podawał, że „położenie wyprostne” zaczerpnął „z praktyk miłosnych Bliskiego Wschodu”. Druga odmiana na jego liście to „położenie zgięte” – rzekomo wybitnie dalekowschodnie („[lubiane] np. u Chińczyków, jak to wynika z rysunków w ich »podręcznikach dla zakochanych«”). Opisywał je następująco:

*Wykonanie maksymalne polega tutaj na tym, że kobieta, leżąc na grzbiecie, zarzuca nogi na ramiona mężczyzny, przy czym nogi jej zgięte są w stawach biodrowych. W ten sposób mężczyzna, leżąc na kobiecie, składa ją niejako we dwoje podczas immissio penis.*

Dla van de Veldego był to wariant dobry szczególnie dla kobiet w dojrzałym wieku, mających za sobą szereg porodów. Takich „o pochwie zwiotczalej i szerokiej”. Wolał jednak wygodniejsze rozwiązanie. Określał je mianem „zwykłej pozycji ginekologicznej”. O ile cała jego terminologia seksualna trąci dzisiaj nieco myszką, o tyle ten jeden termin brzmi wprost dziwacznie. Raczej żaden autor XXI-wiecznego podręcznika seksu by go nie zastosował.

*Położenie ginekologiczne jest położeniem grzbietowym, z możliwie mocno zgiętymi nogami, rozstawionymi o tyle, o ile jest to wygodne, przy czym jednocześnie nogi zgięte są w stawach kolanowych. O tym, jak bardzo ułożenie to udostępnia okolice sromu i krocza, świadczy szerokie jego zastosowanie w ginekologii operacyjnej.*

**„Łagodny spazm rozkoszy”. Seks na boku**



Gros swojej uwagi autor *Małżeństwa doskonałego* poświęcił takim właśnie pozycjom. Posiadającym dobre uzasadnienie medyczne. O technice bocznej, z mężczyzną z tyłu pisał: „*Coitus* w położeniu tym może istotnie być formą spółkowania najbardziej oszczędzającą i żonę, i męża, ułożenie to bowiem dla każdego z małżonków jest najwygodniejsze, a wysiłek najmniejszy”. Jedyne problem miał polegać na tym, że pozycja sprawia partnerce niewiele przyjemności: „Najsilniejsze tarcie i drażnienie części płciowych kobiety skierowane jest na tę okolicę narządów płciowych (...), w której jest najmniej skuteczne. Ponieważ zaś *clitoris* nie ma styczności z penisem, ilość podnieć, których przy tym rodzaju spółkowania doznaje kobieta, jest znikoma”. Van de Velde był zdania, że kłopot jest jednocześnie błogosławieństwem. Zwracał uwagę, że to pozycja dobra w przypadku osłabienia lub choroby kobiety. Kiedy mężczyźni bardzo potrzebują seksu, a ona jednak nie powinna się nadwyręzać. „Powstający w tych warunkach łagodny spazm rozkoszy jest jednak, jako odruch, wystarczający i daje odprężenie zaspokajające” – zapewniał.

Orgazmu w ułożeniu bocznym od tyłu miały doznawać kobiety „łatwo pobudliwe”. Kochanki „mało pobudliwe” w ogóle nie powinny eksperymentować z tym ułożeniem. Van de Velde gwarantował, że nie będzie mieć ono dla nich „żadnego prawie znaczenia”. Zostawała jeszcze trzecia grupa, najbardziej problematyczna: kobiety o średniej pobudliwości. Holender zalecał wobec nich praktykę, która w latach dwudziestych wciąż szokowała nawet specjalistów. Ci powoli godzili się z „technikami drażniącymi” w ramach gry wstępnej. Van de Velde polecał jednak mężom, by także w trakcie właściwego stosunku sięgali palcem do łechtaczki. Konkretnie palcem prawej dłoni, bo jak wyjaśniał

autor: „Lewe [ułożenie boczne] jest częściej stosowane, gdyż mężczyzna stara się mieć wolną rękę prawą, aby móc przyciągnąć i pieścić kobietę”. Parę lat później podobne wytyczne sformułował także Paweł Klinger. Podkreślał, że „*clitoris* należy drażnić nie tylko *ante coitum*, lecz i podczas *coitu*”. Przewidywał wprawdzie, że pojawią się głosy sprzeciwu, ale był pewien, że to po jego stronie leży racja. „Powiedzą mi może, że jest to anormalne, ale proszę nie zapominać o różnicy, jaka zachodzi w tym wypadku, jeśli robi to mąż roznamiętniony i podczas aktu płciowego czy też sama kobieta na zimno, już po wszystkim. Różnica w psychice niewiasty ogromna i oczywista” – asekurował się<sup>7</sup>.

W świetle *Małżeństwa doskonałego* pozycja boczna miała tę dodatkową zaletę, że dobrze sprawdzała się podczas ciąży. Na aspekt ten zwrócił uwagę także francuski autor poradnika *Miłość małżeńska w świetle nauki* z 1931 roku. „Mężczyzna celem dopełnienia aktu umieszcza się z boku lub z tyłu kobiety, unikając starannie nacisku na jej brzuch i podniecania jej gwałtownymi ruchami” – polecał<sup>8</sup>. Dla wielu czytelników był to instruktaż nie mniej kontrowersyjny niż sugestia dotycząca drażnienia łechtaczki w trakcie seksu. Inni specjaliści tłukli im przecież do głów, że jakiegokolwiek czynności seksualne podczas ciąży są śmiertelnie niebezpieczne i zwyczajnie bezcelowe. August Czarnowski przestrzegał w 1914 roku:

*Przez obecność płodu w macicy soki płciowe (...) znajdują się w zamknięciu tamującym pożądany odpływ ich przy spółkowaniu. Wskutek tego, mimo najwyższych wysiłków ze strony męża w celu doprowadzenia wspólnej rozkoszy do szczytu, kobieta ze swojej strony szczytu tego nie doznaje i pozostaje niezadowolona!*<sup>9</sup>

W przypadku powtarzania prób u kobiety musi narastać frustracja przeradzająca się wreszcie w ciężki stan chorobowy. Przyszła matka „stopniowo traci zdrowie, humor oraz wszelkie zalety i prawidłowe władze, krótko mówiąc – zmienia się do niepoznania, jakby za jakimś tajemniczym przekleństwem!”. Uchronić przed upadkiem może ją wyłącznie ścisła abstynencja do czasu urodzenia dziecka. A jeśli wierzyć Jeanowi Fauconney – znacznie dłużej. Autor *Miłości małżeńskiej w świetle nauki* pisał: „Przyjemności płciowe są [nawet] bardziej szkodliwe w czasie karmienia niż w czasie ciąży. Zdarza się dość często, iż dziecko wymiotuje mleko matczyne po lubieżniejszym spółkowaniu lub cierpi na przejściową, lecz gwałtowną biegunkę”. Współczesna nauka związku pomiędzy spermą w pochwie i trucizną w mleku rzecz jasna nie potwierdziła.

Pozycja boczna tylna cieszyła się aprobatą specjalistów. Tego samego nie można powiedzieć o jej odwrotności – czyli położeniu, w którym partnerzy są do siebie zwrócenii przodem. Van de Velde nie poświęcił tej technice zbyt wiele uwagi. Przyznał, że pozwala uniknąć zgniecenia kobiety przez zbyt ciężkiego partnera. Zarazem jednak pojawiał się problem „ucisku na nogę podłożoną”, a mężczyzna miał ograniczoną swobodę ruchów. Mimo to pozycja ta była prawdopodobnie bardzo popularna na początku XX wieku. Polski autor Aleksander Parczewski wspominał, że zdaniem wielu osób ułożenie boczne przednie działało antykoncepcyjne. W 1935 roku pisał: „Spółkowanie na boku polega na tym, że mężczyzna kładzie się na prawy bok, zaś kobieta na lewy. Wskutek leżenia na boku członek męski nie dochodzi do szyjki macicy i ścianki pochwy wzajemnie się uciskają”<sup>10</sup>. W rzeczywistości takie zabezpieczenie miało zerową

wartość. I przyznawał to nawet szarlatan, jakim bez dwóch zdań był Parczewski.

## **Stosunek w stylu retro. Pozycje „od tyłu”**

Zalety ułożenia bocznego tylnego William Martin rozciągał też na każdą inną technikę, w której mężczyzna znajduje się za kobietą. W *Racjonalnym życiu płciowym* wyjaśniał: „Istnieją trzy wypadki, w których tzw. pozycja »retro« (»od tyłu«) jest nie tylko dozwolona, lecz nawet wskazana. Są nimi: ciąża, nadmierna otyłość kobiety oraz zbyt krótki członek męski”. W trzecim wypadku chodziło, rzecz prosta, głównie o zwiększenie szans zajścia kobiety w ciążę, a nie o spotęgowanie przyjemności: „Gdy członek męski jest nieproporcjonalnie krótki w stosunku do długości kanału pochwowego, nasienie nie dosięga szyjki macicznej, lecz wypływa z pochwy (...). Pozycja »retro« pozwala członkowi przeniknąć głębiej do pochwy, jednocześnie szyjka maciczna, nieuciskana ciężarem mężczyzny, przybiera kierunek ułatwiający wchłonięcie nasienia”. Martin był głęboko przekonany o skuteczności tego środka. Pisał, że naukowe obserwacje wykazały, iż „wiele małżeństw bezdzietnych wydawało na świat potomstwo po zastosowaniu pozycji »retro«”. W rzeczywistości nawet przy dzisiejszym stanie wiedzy medycznej specjaliści nie są w stanie wskazać z całą pewnością żadnej pozycji wyraźnie zwiększającej szanse zapłodnienia. Nikt nie przeprowadził rzetelnych, szeroko zakrojonych badań w tym kierunku.

Van de Velde był nastawiony do seksu „od tyłu” dużo bardziej sceptycznie niż Martin. Po pierwsze, kompletnie odrzucał pozycję „w

położeniu brzuszny”. Wyjaśniał, że to technika, która dla większości par jest zupełnie niewykonalna. Wykluczała ją zarówno otyłość, jak i nawet „podściółka tłuszczowa na pośladkach kobiecych”. Co więcej, autor przestrzegał, że: „Tylko doświadczona i pobudliwa kobieta może w położeniu tym osiągnąć zaspokojenie. Kobieta niedoświadczona i niepobudliwa pozostanie niezaspokojona, tym bardziej że okolica łechtaczki nie jest zupełnie lub prawie drażniona – co jest wadą każdego stosunku odwróconego, we wszystkich jego odmianach”.

Ostatni komentarz tłumaczy, dlaczego inne warianty „retro” też niezbyt się podobały holenderskiemu panu od seksu. W technice określanej dzisiaj kolokwialnie „pozycją na czworaka” widział przede wszystkim... narzędzie diagnostyki. Wyjaśniał, że w ułożeniu tym „cała pochwa napętnia się (...) powietrzem, ściany rozciągają się i narząd ten tworzy – co w innych przypadkach nie zdarza się nigdy – prawdziwą przestrzeń jamistą o ścianach względnie gładkich”. Ginekolodzy korzystali z tego faktu przy niektórych badaniach i zabiegach operacyjnych. Van de Velde podkreślał, że wypięcie przez pacjentkę pośladków nadaje się do tego celu dużo bardziej niż zwykła „pozycja ginekologiczna”. Mniej natomiast nadawało się jego zdaniem do seksu. Wszystko przez wspomniane już dostawanie się powietrza do pochwy. „Mogą powstać nieprzyjemne szmery. Szmery takie, zbyt głośne i bardzo rażące, wystąpić mogą również po dokonaniu aktu i powrocie do bardziej normalnego położenia ciał (niekiedy zaś nawet po kilku godzinach)” – przestrzegał. W efekcie pozycja, którą nazywał „położeniem kolankowo-łokciowym”, wydawała mu się dopuszczalna tylko w jednym wypadku: jeśli „*phallos* szczelnie zamyka wejście do pochwy”, zapobiegając nieoczekiwanym hałasom.

Nawet w takim przypadku w seksie od tyłu widział przede wszystkim ślady zwierzęcych odruchów. Przyznawał, że „położenie kolankowe, jako odmiana, jest bardzo chętnie stosowane. Szukając odmiany stosunku płciowego, dochodzi się do niego zazwyczaj jako do pierwszej nowej pozycji”. Z czego mogła wynikać ta tendencja? „Czy bodźce są tu tak silne? Czy ułożenie to jest tak wygodne i obiecujące – a widok tak estetyczny?” Na wszystkie pytania van de Velde odpowiadał przecząco. Dla niego to był po prostu efekt bezmyślnego naśladowania przyrody, atawizm dający o sobie znać, kiedy człowiek nie wie, czego dokładnie pragnie. I wcale nieprzynoszący nowego odcienia upragnionej ekstazy.

## **Prącie zgubi drogę. Techniki stojące i siedzące**

Od pozycji bezcelowych dużo gorsze były te zupełnie błędne. Van de Velde w ogóle nie zajął się seksem na stojąco, trudno więc stwierdzić, jakie miał do niego nastawienie. Dla pozostałych autorów to była ta jedna technika wykluczona w absolutnie każdych okolicznościach. Nawet postępowy William Martin – piewca wolnej miłości i wielki przeciwnik „kultu błony dziewiczej” – twierdził, że pozycja stojąca powinna zostać „surowo zakazana”. „Wywołuje [ona] u mężczyzny ogólne osłabienie organizmu, drżenie nóg i inne, nie mniej przykre dolegliwości. Często obserwowane wypadki paraliżu nóg u starszych mężczyzn są właśnie skutkiem stosowania tej szkodliwej pozycji” – straszył czytelników. Podobnego zdania był także Michał Misiewicz, autor prawdopodobnie najpopularniejszej polskiej broszury poświęconej zgubnym skutkom samogwałtu. „Odbywanie stosunku

w pozycji stojącej prowadzi do niemocy rdzeniowej” – przekonywał<sup>11</sup>. Ale akurat po nim należało się tego spodziewać, bo w niemal każdej niestandardowej technice seksualnej widział zagrożenie.

Van de Velde także dostrzegał ślepe zaułki seksu. Techniki niewarte eksperymentowania i nakładu sił. Jedną z nich miała być „tylna pozycja siedząca”. Autor *Małżeństwa doskonałego* opisał ją następująco: „Mężczyzna, siedząc, bierze żonę zwróconą tyłem do niego, na kolana. Uda mężczyzny muszą być lekko rozstawione, uda kobiety natomiast rozstawione szeroko, tak, aby srom był łatwo dostępny”. Autor przyznawał, że w idealnych okolicznościach pozycja ta może przynieść sporą satysfakcję. „Dobrze wyćwiczona kobieta może w ułożeniu tym, podczas podnoszenia i opuszczania (...) wykonywać ruchy eliptyczne” – pisał. Większość partnerek, według jego wiedzy, wcale jednak nie była do tego zdolna. Dużo częstszym efektem „tylnej pozycji siedzącej” było więc „gubienie drogi” przez prącie i jego „wyślizgiwanie się” z pochwy. Jeśli już koniecznie partnerzy chcieli siedzieć, to van de Velde proponował raczej pozycję „siedzącą przednią (*vis à vis*)”:

*Spółkowanie odbywa się w ten sposób, że mężczyzna siedzi, a kobieta okrakiem zwisa na jego udach. Umyślnie używam wyrażenia „zwisa”, ponieważ kobieta właściwie nie siedzi. Jej guzy kulszowe (siedzeniowe) nie znajdują oparcia, ponieważ mężczyzna rozkracza kolana. Mężczyzna uzyskuje w ten sposób szerokie rozstawienie nóg swojej żony i udostępnienie jej narządów płciowych. Może on też dowolnie miednicę jej podnosić lub opuszczać.*

Van de Velde cenił tę pozycję, ponieważ zapewniała mężczyźnie niemal pełną kontrolę nad sytuacją. Widział w niej swoiste narzędzie

treningowe. Optymalną technikę podczas seksu z „niedoświadczoną kobietą, tj. taką, której pobudliwość jest jeszcze poniżej normy”. Z pozoru komentarz ten brzmi zupełnie niewinnie. Co najwyżej, jak kolejny postulat odnośnie większej siły seksualnej mężczyzn i konieczności objęcia przez nich roli „nauczycieli swoich żon”. W opinii Holendra kryje się jednak coś więcej. Dowód, że granica pomiędzy obyczajowym postępem a zaprzaństwem była w epoce międzywojennej bardzo cienka i płynna. Jeszcze lepiej widać to na przykładzie „pozycji jeźdźca”. Ulubionej techniki van de Veldego, a zarazem najbardziej przez niego krytykowanej.

## **„Pozycja jeźdźca”. Owoc zakazany szowinistów**

„Ułożenie to (...) jest następujące: mężczyzna leży na grzbiecie (...) z lekko zgiętymi nogami. Gdy członek został wprowadzony do pochwy, kobieta, wyprostowana, siada na mężczyznę okrakiem, jak jeździec, (...) zwrócona twarzą do mężczyzny. Mężczyzna leży zupełnie spokojnie, a kobieta wykonywa powolne, systematyczne ruchy trące o dużej rozpiętości, przy czym, pozostając przez cały czas w pozycji wyprostowanej, opuszcza i wznosi się na przemian”. Autor *Małżeństwa doskonałego* zauważał w „ułożeniu jeźdźca” całe mrowie zalet. Kobieta mogła wykonywać bardzo różnorodne ruchy, sprawiające przyjemność obydwu stronom. Mężczyzna nie musiał podejmować żadnego wysiłku, leżał nieruchomo, przeżywając rozkosz. I to rozkosz na unikalną skalę:

*Nie ulega (...) kwestii, że stosunek w postawie jeźdźca może rzeczywiście dać maksimum bodźców i uczuć rozkoszy, zarówno*



*mężczyźnie, jak i kobiecie; ułożenie to bowiem sprzyja wszystkim rodzajom podniet (...). Pozwala ono (...) na doprowadzenie bodźców do największej intensywności, w dowolnej odmianie, kombinacji, przy różnym stopniowaniu i potęgowaniu podniet.*

Brzmi to wszystko jak jedna wielka reklama. Tyle tylko, że wywód o zaletach „pozycji jeźdźca” Holender zamknął stanowczym nakazem: „Powtarzam i podkreślam, że ułożenie to, w regularnym współżyciu małżonków, powinno być stosowane [tylko] jako wyjątkowe!”. Nie chodziło nawet o trudności techniczne – choć van de Velde wyrażał opinię, że wiele kobiet nigdy nie będzie w stanie nauczyć się uprawiania miłości w ten sposób. Główny problem wynikał z odwrócenia naturalnych jego zdaniem ról płciowych. Amerykańska badaczka Ann Goodwyn Jones zwraca uwagę, że pod maską seksualnej awangardy krył się człowiek o zaskakująco tradycyjnych poglądach<sup>12</sup>. Już przy okazji opisu pozycji „misjonarskiej” van de Velde wyraził opinię, że zarówno dla kobiet, jak i mężczyzn „męskość” ma podstawowe znaczenie podczas stosunku. On pragnie „wziąć kobietę w posiadanie”. Ona – oczekuje dokładnie tego samego. Tymczasem w pozycji jeźdźca kobieta sprowadza partnera do zupełnie biernej roli. „Jest to sprzeczne z naturą i mści się przy długotrwałym stosowaniu tej postawy” – podkreślał van de Velde.

U schyłku XIX wieku Michał Misiewicz pisał jeszcze bardziej stanowczo: „Zmiana roli, tj. męskiej na kobiecą w stosunku, przyprawia kobietę o silne podrażnienie splotu kulszowego, a nawet doprowadzić może do nerwicy rdzeniowej”. Niby coś się w poglądach zmieniło na lepsze. Prawdziwa rewolucja w perspektywie na stosunki płciowe wymagałaby jednak chyba uwzględnienia opinii samych kobiet. Tego

epoka międzywojenna już się nie doczekała – a w każdym razie nie powstał żaden podręcznik seksu autorstwa kobiety. Żadna nowoczesna, żeńska *Kamasutra*.

Polacy mogli ewentualnie zajrzeć do oryginalnego hinduskiego traktatu. Niby Tadeusz Boy-Żeleński krytykował obyczajowe zacofanie Rzeczypospolitej – fakt, że tematy przepracowane na Zachodzie już na przełomie wieków do polskiej debaty wchodziły z dwudziestoletnim opóźnieniem<sup>13</sup> – jednak pod tym względem jego ojczyzna zdecydowanie wyprzedziła resztę świata. W krajach anglosaskich wciąż za dystrybuowanie dzieła *Vātsyāyana* można było trafić za kratki. W Polsce tymczasem *Kamasutra* trafiła do publicznego obiegu. Pierwsze wydanie ukazało się już w 1922 roku. Drugie – w 1933<sup>14</sup>. Obydwie wersje były skrócone i mocno niedopracowane, ale każdy mógł pójść do księgarni i zaopatrzyć się we własny egzemplarz. Zupełnie jawne reklamy zachęcały: „Oryginalne przepisy hinduskie normujące stosunki erotyczne w pożyciu małżeńskim i prostytucji publicznej!”. Cena – jedyne pięć złotych<sup>15</sup>.

---

Pozycje są cytowane przy pierwszym wystąpieniu w danym rozdziale. Data ostatniego dostępu do wszystkich źródeł internetowych to 20 lutego 2015 roku.

<sup>1</sup> Zob. Ben Grant, *Postcolonialism, Psychoanalysis and Burton. Power Play of Empire*, Routledge, New York-London 2008; James McConnachie, *The Book of Love: In search of the Kamasutra*, Atlantic Books, London 2007. Przeliczenie wartości funta na podstawie: Lawrence H. Officer, Samuel H. Williamson, *Purchasing Power of British Pounds from 1270 to Present*, w: „[MeasuringWorth.com](http://MeasuringWorth.com)”.

<sup>2</sup> Zob. np. Jay A. Gertzman, *Bookleggers and Smuthounds: The Trade in Erotica 1920–1940*, University of Pennsylvania Press, 2011.

- 3 Theodoor Hendrik van de Velde, *Małżeństwo doskonałe. Jego fizjologia i technika*, J. Przeworski, Warszawa 1935.
- 4 William Martin, *Racjonalne życie płciowe*, Minerwa, Warszawa 1936.
- 5 Jonathan Braun, Beniamin Rosenblum, *Samogwałt (onanizm) u mężczyzn i kobiet i jego skutki. Środki wyleczenia się z onanizmu bez pomocy*, Księgarnia Popularna, Warszawa 1908.
- 6 Robert J. Priest, *Missionary Positions. Christian, Modernist, and Postmodernist*, „Current Anthropology” 2001, t. 42, nr 1.
- 7 Paweł Klinger, *Vita sexualis. Prawda o życiu płciowym człowieka*, Księgarnia Karola Neumillera, Łódź 1930.
- 8 Jaf i Saldo [Jean Fauconney], *Miłość małżeńska w świetle nauki*, Księgarnia Popularna, Warszawa 1931.
- 9 *Marnopłcenie – Onanizm (samogwałt, samienie się, nijactwo). Objawy, przyczyny, następstwa, zapobieganie, leczenie. Wedle najnowszych postępów naukowych*, oprac. August Czarnowski, Hygiea, Berlin 1914.
- 10 Aleksander Parczewski, *Życie płciowe kobiety. Tajemnice (bólczki) małżeńskie. Co? – co? – co? Co panna przed ślubem, mężatka po ślubie wiedzieć powinna!*, nakł. autora, Warszawa 1935.
- 11 Michał Misiewicz, *Samogwałt (onanizm) i jego skutki. Przewodnik dla młodzieży i rodziców*, K. Fiszler, Warszawa 1906.
- 12 Ann Goodwyn Jones, *Faulkner and the Ideology of Penetration*, w: *Faulkner and Ideology*, red. Donald M. Kartiganer, Ann. J. Abadie, University Press of Mississippi, 1992.
- 13 Tadeusz Boy-Żeleński, *Od Autora*, w: Tegoż, *Dziewice konsystorskie*, Księgarnia Robotnicza, Warszawa 1929.
- 14 *Kāmasūtram Vātsyāyany. Indyjska ars amatoria wraz z kompletnym komentarzem*, Kultura i Sztuka, Lwów 1922; Vātsyāyana, *Kamasutra. Oryginalny tekst przepisów religijnych hinduskich, normujących stosunki erotyczne w pożyciu małżeńskim i prostytucji publicznej*, Księgopol, Warszawa 1933.
- 15 Reklama zamieszczona na okładce książki: M. Gabriow, *Kult błony dziewiczej*, Księgopol, Warszawa 1934.

/ „Wąż kusiciel” /

## **Jaki powinien być mężczyzna w łóżku?**

Jaki powinien być mężczyzna w łóżku? Przede wszystkim w ogóle nie powinno go tam być. Autorzy postępowych, przedwojennych poradników byli w tym punkcie zgodni. Już w 1906 roku Auguste Forel postulował: „Mąż powinien być dla żony czymś więcej aniżeli ziewającą i nudną figurą w szlafroku i pantoflach”<sup>1</sup>. Redakcja czasopisma „Kosmetyka” patrzyła na sprawę z drugiej strony: „Nie mówcie mi, że każdy szczegół i moment płciowego życia kobiety jest dla jej małżonka równie piękny i miły. (...) Czyż wyobrażacie sobie stosunek Romea i Julii (...) we wspólnej sypialni dzisiejszego małżeństwa mieszczańskiego?!”<sup>2</sup>. Oczywiście takiej wizji nie była w stanie sprostać nawet najbujniejsza fantazja.

Zwolennicy postępu stanowczo występowali przeciwko wspólnym sypialniom małżeńskim. Widzieli w nich relikwiarz obumierających, XIX-wiecznych obyczajów. Małżeństwo nowoczesne – a więc zawarte z miłości i kładące nacisk na zmysłową stronę związku – opierało się na ciągłym uroku odkrywania intymności. Czymś, co wydawało się niemożliwie, jeśli para stale przebywała w jednym pomieszczeniu. Wyjątkowo wiele uwagi poświęcił temu tematowi Paweł Klinger<sup>3</sup>. Walczył o podział sypialni z zapalem godnym zeloty. „O ile

dysharmonia seksualna jest grobem małżeństwa, to wspólna sypialnia jest trumną, w której małżeństwo do grobu się układa!” – przestrzegał. Przedwojenny pan od seksu był głęboko przekonany, że niemal nic tak nie poniża małżonków we własnych oczach, jak „ciągłe obnażanie się przed sobą”. Większą degradacją pożycia mogło być wyłącznie spanie w jednym łóżku. Klinger ze zgrozą stwierdzał, że nawet to wciąż się zdarza pomimo postępów reformy seksualnej. W 1930 roku niezmiennie istnieli ludzie żądający, jak ich ojcowie i dziadkowie, „wspólnego łoża, gdyż twierdzą, że szpara między łóżkami może być przepaścią nie do przebycia”.

Autor wydanego rok później poradnika *Miłość małżeńska w świetle nauki* wyrażał głębokie przekonanie, że ten prymitywny, wprost barbarzyński obyczaj będzie musiał zniknąć wraz z rozwojem cywilizacji. „Za jakieś lat pięćdziesiąt wyda się naszym potomkom kwestią podziwu godną, iż ludzie mogli się przyzwyczaić do podobnego jarzma” – wieszczył<sup>4</sup>. Bo oczywiście Polacy żyjący w roku 1981 mieli już doskonale rozumieć korzyści, jakie odosobnienie przynosi małżeństwu.

*Nie ma bowiem nic bardziej niewygodnego, niż spać i próbować wypocząć w towarzystwie innej istoty, posiadającej zgoła odmienne przyzwyczajenia, rozkładającej się na całą szerokość łoża, wiercącej się, mruczącej, kaszlącej, sapiącej i chrapiącej, wstającej kiedy tobie się chce jeszcze leżeć, śpiącej pod trzema kołdrami, podczas gdy ty możesz spać tylko pod jedną (...) i nieznoszącej snu przy otwartym oknie, choć jest to niezbędne dla Twoich płuc.*

Na tym etapie już właściwie nikt nie bronił wspólnego spędzania nocy. Przeciwno łóżom małżeńskim wypowiedali się nawet najbardziej

nieufni wobec życia płciowego konserwatyści. I tylko powody podawali zupełnie inne od postępowców. Bali się, że mężowi i żonie, którzy ciągle przebywają obok siebie, mogą puścić hamulce. I bez zastanowienia lub nawet wbrew własnej woli zaczną uprawiać seks. Max Exner doradzał w *Hygienie miodowych miesięcy*: „Ponieważ kobieta jest czynnikiem podniecającym mężczyznę, a on dla kobiety – jeśli podnieta obojgu nadmiernie się udziela, małżonkowie powinni sypiać każde w oddzielnym pokoju”<sup>5</sup>.

Argumentacja była prosta. Choć seks małżeński uważano za najbezpieczniejszą i najlepszą formę stosunków płciowych, to nawet on mógł nieść ze sobą istotne zagrożenia. Taka opinia czasy świetności miała już za sobą. Około 1900 roku wierzył w nią niemal każdy seksuolog. W połowie lat trzydziestych – może co drugi lub co trzeci. „Źle wykonywanym seksem” wyjątkowo przejmował się wspomniany Max Exner. W 1936 roku ostrzegał nowożeńców: „Jeśli pieszczoty, uściski i pocałunki przybierają nadmierne formy (...), nie sprzyja [to] dobrze samemu spółkowaniu, przez nienależyte natężenie siły, mocy. Wskazane więc tutaj jest również umiarkowanie, jak i w okresie narzeczeństwa. Jeśli tego umiarkowania nie będzie, zostanie poderwany system nerwowy, co musi oddziaływać i na mlecz piersiowy i na mózg”.

Exner bał się przede wszystkim nieodpowiedzialnego zachowania kobiet. Żona mogła nawet nie robić zupełnie nic, a i tak doprowadzić męża do zguby. Należało uważać na partnerki chłodne i obojętne. Delikwentka tego rodzaju „nie reagując na zapal męski, może znieść wielokrotność aktów płciowych małżonka, nie wyczerpując się sama. Następuje wtedy, wskutek braku protestów ze strony kobiety, nadmiar spółkowania”. Równie groźne były kobiety „z dużym temperamentem,

silnie rozwiniętą zmysłowością”. Exner tłumaczył, że lekkomyślnie pobudzają one mężczyzn, narzucając im się „z pocałunkami i uściskami, co w rezultacie prowadzi do aktu płciowego”. Nie pozostawało to bez szkody dla samych nimfomanek. Autor wyjaśniał, że nadpobudliwe seksualnie żony cierpią na choroby jajników, miednicy i pochwy. Najgroźniejsze konsekwencje ponosił jednak mężczyzna, którego czekała utrata pamięci, bóle głowy i „ogólny rozstrój” – „aż do zupełnego wycieńczenia i upadku sił”.

Oczywiście tylko sam mężczyzna mógł uratować swoje życie i uchronić małżeństwo przed zgubą. Cały szereg specjalistów pouczał czytelników, by ograniczali liczbę odbywanych stosunków płciowych. Jean Fauconney zapewniał na stronach *Miłości małżeńskiej w świetle nauki*, że „zdaniem większości lekarzy i biologów mężczyzna może mieć najwyżej trzy, cztery stosunki płciowe na tydzień”<sup>6</sup>. To i tak było dość wyrozumiałe stanowisko. Grigorij Bruk opowiadał się w 1935 roku za jednym stosunkiem na trzy, cztery dni. Tłumaczył, że młody i silny organizm jest wprawdzie w stanie przetrwać seks nawet co czterdzieści osiem godzin, ale przynosi to stratę społeczeństwu. Bo w końcu, „jeśli małżonkowie będą hamowali nieco swoje żądze płciowe, to część swej energii płciowej będą mogli wykorzystać dla pracy pożytecznej”. W podobnym tonie, i w tym samym czasie, wypowiadał się N.J. Safonow. Twierdził, że jeden, dwa stosunki na tydzień to zupełnie wystarczająca liczba. A wszystko powyżej niej – to już „nadużycie”.

*Należy wszelkimi sposobami wstrzymać [się] od nieumiarkowania w życiu seksualnym. Pewien uczony powiedział: „Kto obżera się lub upija się, ten nie umie ani jeść, ani pić”. Można tak samo*

*powiedzieć: kto nieumiarkowanie (nazbyt często) oddaje się życiu płciowemu, ten nie umie żyć*<sup>7</sup>.

Spożywczych porównań jest w książce Safonowa – *Mężczyzna i kobieta w życiu płciowym* – znacznie więcej. Autor podkreślał, że nie wolno przystępować do seksu „bez wyraźnego pociągu”. Zupełnie tak samo jak nie wolno się obżerać, jeśli człowiek nie jest głodny. „Nie należy każdej erekcji (napęcznienia) członka uważać za sygnał do stosunku” – karmił czytelników. Kolejne jego rady już znacznie trudniej przenieść do świata kulinariów. Nawet dziecko wie, że kulturalny człowiek powinien jeść powoli. Opychanie się na wyścigi nie jest ani grzeczne, ani tym bardziej zdrowe. Co innego seks. Konserwatywni specjaliści przestrzegali przed przeciąganiem stosunków, przed robieniem w ich trakcie przerw, a tym bardziej – przed kilkukrotnymi orgazmami u mężczyzny w trakcie jednego, długiego zbliżenia. Mogło to w opinii Safonowa „doprowadzić do złych następstw – do impotencji i rozstroju nerwowego”. O tragicznych skutkach powtarzanego seksu pisał także Michał Misiewicz, przestrzegając przede wszystkim przed powtarzaniem stosunku „bez wyjmowania prącia”. Niebezpieczne wydawało mu się nawet zasypianie „z naprężonym członkiem”, co musiało prowadzić do „nasieniotoku i niemocy”, czyli impotencji<sup>8</sup>.





„Kto nieumiarkowanie (nazbyt często) oddaje się życiu płciowemu, ten nie umie żyć” – podkreślał N.J. Safonow (rys. „Amorek”, 1924).

Wszystkie te przestrogi składały się na obraz życia seksualnego, w którym powinno być jak najmniej seksu, a jak najwięcej wstrzemięźliwości. To nie było jedyne możliwe stanowisko. Dokładnie w tym samym czasie postępowy William Martin oznajmiał, że „rola ascetyzmu jest skończona”. I że o to, jaki powinien być mężczyzna w łóżku, należy zapytać także kobiet<sup>9</sup>.

*Jestem Ewa. Cóż mi z męża, który chrapie całe noce.  
Kusiciela szukam węża, rajske poznać chcę owoce.*

*Wąż-Kusiciel. Wierszyk  
opublikowany przez  
„Amorka” w 1924 roku<sup>10</sup>.*

## ***Perpetuum mobile – co nigdy nie staje***

Nie było to łatwe zadanie. W gronie pierwszych seksuologów kobiety stanowiły ewenement. Tak wyglądała sytuacja na całym świecie, a co dopiero nad Wisłą. Pojedyncze polskie specjalistki od życia płciowego zajmowały się higieną, antykoncepcją i wychowaniem seksualnym, ale nie samym seksem. W efekcie to autorzy w rodzaju Martina i Klingera brali na siebie ciężar pisania o tym, czego pragną w łóżku kobiety. Pierwszy z nich snuł wizję cokolwiek idealistyczną. Zaczął od zapewnienia czytelników, że „kobietę inteligentną może oczarować rozum mężczyzny znacznie silniej niż [jego] walory fizyczne”. Z drugiej strony nie bał się też sięgać do tradycji. „Kobieta lubi napotykać w życiu codziennym objawy siły męskiej i pędu do panowania” – podkreślał z absolutnym przekonaniem.

Na marginesie psychologicznego wywodu zwrócił także uwagę na czynniki dużo bardziej przyziemne. Mężczyzna mógł być mądry lub głupi, przystojny lub brzydki jak noc listopadowa, ale jeden warunek po prostu musiał spełniać. Oczekiwano, że w chwili próby będzie w stanie wykazać się sprawnością. Martin wyjaśniał, że człowiekowi, który zauważy u siebie oznaki impotencji, nie wolno wchodzić w związek małżeński. „Jeżeli ma podstawy do przypuszczenia, że nie

posiada zdolności do pełnej erekcji, powinien przedsięwziąć odpowiednie kroki, zanim oświadczy się o rękę ukochanej kobiety” – czytamy na kartach *Racjonalnego życia płciowego*. Tego samego zdania była „pani Zofia”, anonimowa dziennikarka brukowca „Dobry Wieczór! Kurier Czerwony”, prowadząca niezwykle popularną rubrykę *Dobre rady pani Zofii*. Na jej łamach odpowiadała na często bardzo intymne pytania czytelników dotyczące ich codziennego życia. Wielokrotnie zmuszona była doradzać dziewczętom, czy warto wchodzić w związek małżeński z określonym mężczyzną. Zdarzyło się też, że sytuacja była odwrotna. Z pytaniem do pani Zofii zwrócił się starszy kawaler przyznający się do zupełnej niemocy płciowej. Oświadczył się on młodej, pełnej życia przyjaciółce. I po prostu nie był pewien, czy dobrze robi, biorąc pod uwagę, że nie będzie w stanie zadowolić jej w łóżku. Pani Zofia, na co dzień odznaczająca się niezwykłym talentem do udzielania odpowiedzi serdecznych, ale wymijających (tak, by nikt jej nie pociągnął do odpowiedzialności), tym razem była wyjątkowo stanowcza. Nakazała dokładne przemyślenie całej sprawy. Bo jednak impotent nie powinien się żenić<sup>11</sup>.

O wadze sprawności seksualnej mężczyzny do znudzenia rozpisywały się pisma erotyczne. W opowiadaniu *Zła diagnoza* z 1925 roku główny bohater słyszy od lekarza, że w ciągu paru miesięcy straci siłę w prąciu. Natychmiast postanawia przehulać cały majątek na dziewczyny, a kiedy tylko dopadnie go niemoc – popełnić samobójstwo<sup>12</sup>. Tak dramatyczny ton był rzadkością. Zwykle z impotentów po prostu się naśmiewano. W tekście *Kandydat do nagrody* kilku uczestników rautu dyskutuje o rządowych grantach na wynalazki. A szczególnie o potrzebie stworzenia „*Perpetuum mobile* –

co nigdy nie staje”. Słyszając to zdanie, do rozmowy włącza się jedna z kobiet uczestniczących w zabawie. Robi smutną minę i pyta: „Czy by się mógł mój mąż podać do nagrody?”<sup>13</sup>.

Pełno drukowano też erekcyjnych złotych myśli. „Kobiecie więcej imponuje twoja wytrzymałość niż inteligencja, wykształcenie i wychowanie razem wzięte” – brzmiała jedna z nich. „Póty cię kobieta kocha, póki ci sił nie braknie” – biegła druga<sup>14</sup>. „W miłości przebacza kobieta wszystko, z wyjątkiem próżniactwa” – podawano w kolejnej<sup>15</sup>. Podobne formułki poprawiały humor młodym mężczyznom. A tym nieco starszym mogły się przydać na przykład... podczas podrywu. Irena Krzywicka wspominała, w jaki sposób Tadeusz Boy-Żeleński próbował przekonać ją do nadania ich relacji bardziej fizycznego charakteru<sup>16</sup>. Straszyl, że jest już staruszką i niedługo albo umrze, albo stanie się impotentem. „Iruszko, tak mi już niewiele czasu zostało, to nie może trwać długo, dlatego chce mnie pani pozbawić szczęścia, którego nie miałem w życiu za dużo – prosił żartobliwie ten wciąż bardzo żywotny pięćdziesięciolatek. – To już mój schyłek i jedyna radość, jaka mnie jeszcze czeka”. Boy, rzecz jasna, zmyślał, mówiąc, że nie zaznał w życiu fizycznego szczęścia. Warszawa aż huczała od plotek o jego dawnych romansach. Krzywicka też doskonale zdawała sobie z nich sprawę, ale po takich błaganiach nie mogła dłużej się opierać. I też, prawdę mówiąc, nie chciała. Zadurzyła się w Boyu na każdej płaszczyźnie. Podobał jej się fizycznie, imponował swoją inteligencją. Ale to nie znaczy, że publicystka byłaby gotowa zgodzić się z Williamem Martinem i jego zdaniem, iż porządne kobiety zwracają uwagę na umysł, a nie na ciało. Kiedy parę lat wcześniej zastanawiała się, którego ze swoich przyjaciół powinna poślubić, wybrała tego, który

był dla niej „najbardziej pociągający fizycznie”. I jak szczerze wspominała, to właśnie – a nie inteligencja czy urok osobisty – była sprawa „decydująca”.

Nie tylko ona zwracała uwagę na wygląd mężczyzn. Dwudziestolecie międzywojenne było epoką fascynacji ciałem – każdym, a nie kobiecym. Wskazuje na to także dowcip opublikowany przez „Nowy Dekameron” w 1924 roku. W rozmowie kochanków pada komentarz: „To doprawdy dziwne, że ty, mając taki ładny lont, masz tak mało oliwy!”<sup>17</sup>. Zależnościom pomiędzy budową ciała i cechami wyglądu a sprawnością w łóżku poświęcano coraz więcej uwagi. Za niekwestionowanego eksperta w tej dziedzinie już na początku wieku podawał się Stanisław Kurkiewicz. Imponujący wycinek swoich badań nad seksem poświęcił właśnie urodzie – u mężczyzn i u kobiet<sup>18</sup>. Jeśli chodzi o płęć piękną, stanowczo odradzał wiązanie się z blondynkami. „Osoby czarnowłose (brunetne) bywają pod każdym względem (...) płciowo silniejszymi niż osoby jasnowłose” – podkreślał. W ostateczności można się było zdecydować jeszcze na partnerkę „ziemiastowłosą (szatynną)”. Ta powinna według Kurkiewicza lokować się gdzieś pośrodku skali seksualnej wydolności. W przypadku mężczyzn lekarz-płciownik przestrzegał przed robieniem sobie nadziei w związku z atletycznie zbudowanymi panami. Siłacze nie odznaczyli się jego zdaniem szczególnymi predyspozycjami seksualnymi. Pisał, że wprawdzie ma świadomość, iż kobiety oglądające atletów w cyrkach popełniają na skutek tego widoku „samieństwo marzenne”, podkreślał jednak, że gdyby góra mięśniów zdjęła spodnie, mogłyby się poczuć srogo zawiedzione. Radził zwracać uwagę raczej na zarost. I to ten typowo polski. „Wąs ładny odgrywał

rolę przed królem Sobieskim, słynnym wążalem i po nim, aż do skończenia świata, odgrywać będzie. I prawdą jest, że »bożek miłości na wążach siada«” – wyjaśniał pompatycznie.

Uwagze krakowskiego specjalisty nie umknął także temat samych narządów płciowych mężczyzny. Kurkiewicz prowadził systematyczne badania długości polskich penisów. I można otwarcie powiedzieć, że był w tej dziedzinie pionierem. Jeszcze przed I wojną światową informował czytelników, że średnio prącie ma długość trzynastu centymetrów we wzwodzie. Przy okazji otwarcie narzekał, że kobiety mają nierealistyczne wymagania i dla wielu z nich podobny narząd jest zupełnie niesatysfakcjonujący. Nawet pomimo faktu, iż „przesadny zwisak prawie każdej kobiecie szkodzi”. Kurkiewicz podawał też skrajne przykłady z kartoteki swojej poradni płciowniczej. „Z pomiarów MOJEGO zbioru najwspanialszym jest pomiar wiotkiego zwisaka o długości (...) przeszło 12,5 cm” – chełpił się. Dla innych specjalistów to był temat marginalny. Już w epoce międzywojennej od długości penisa seksuologom ważniejsze wydawało się to, co mężczyźni potrafią z nim zrobić.

## **Kung-fu, czyli metoda na przedwczesny wytrysk**

„Choroba współczesnej cywilizacji”. Dokładnie tak William Martin określił problem przedwczesnego wytrysku. Liczby były alarmujące. Według danych opublikowanych w latach trzydziestych przez Roberta Dickinsona 40% mężczyzn nie było zdolnych do stosunku dłuższego niż trzy minuty. 12% w ogóle nie potrafiło angażować się w seks waginalny. Deklarowali, że wytrysk następuje u nich „natychmiast”<sup>19</sup>.

Paweł Klinger nie przytoczył równie dokładnych statystyk, ale też podkreślał, że *ejaculatio praecox* zdarza się niezmiernie często. Specjaliści sugerowali, że jest to problem „nowoczesnych małżeństw” i środowisk inteligenckich; zjawisko, którego nie znały bardziej tradycyjne społeczności. W rzeczywistości ten domysł nie miał żadnych podstaw. Sami seksuolodzy natomiast błędzili po omacku. William Martin przyznawał z pewnym zakłopotaniem, że przedwczesny wytrysk „nigdy jeszcze nie spotkał się z poważnym i szczerym traktowaniem lekarskim”.

Nawet Stanisław Kurkiewicz niezbyt wiedział, co zaproponować pacjentom. Mógł ich tylko pocieszyć, że według jego badań śmierć podczas seksu grozi głównie osobom mającym problem z dojściem do orgazmu, a nie tym, które szczytują zbyt szybko. Z drugiej strony miał też dla mężczyzn cokolwiek konfudującą nowinę. Jako jeden z pierwszych badaczy w Polsce zajął się zagadnieniem wielokrotnego szczytowania u kobiet, i to zaledwie paręnaście lat po tym, jak medycyna w ogóle przyjęła istnienie orgazmu u płci żeńskiej. „Ta wydolność mnogiego, a zawsze rychłego szczytowania wykazuje bajeczne prawdy ilościowe” – pisał. Podawał przykłady nawet dwudziestokrotnych orgazmów, co prowadziło go do opinii, że kobieta odpowiednio rozbudzona zdecydowanie „góruje” seksualnie nad mężczyzną. Dla Kurkiewicza było to fascynujące odkrycie. Dla mężczyzn, którzy mieli problem z zapewnieniem swojej partnerce jednego orgazmu, a co dopiero dwudziestu – znacznie bardziej ponure.

Tradycjoniści proponowali im takie samo lekarstwo jak i na każdą inną łóżkową dolegliwość – przynajmniej kilkutygodniową abstynencję seksualną i całkowite zarzucenie onanizmu. Do tego dochodziła jeszcze

ewentualnie „flaszka lekarstwa na uspokojenie nerwów”. Dopiero epoka międzywojenna przyniosła pierwsze, bardziej życiowe – choć też wprost trywialne – sposoby leczenia. William Martin sugerował, żeby kochać się raczej częściej niż rzadziej, a w razie nieudanego stosunku odczekać chwilę i spróbować drugi raz. Z kolei Paweł Klinger sięgał (rzekomo) do zbioru dalekowschodnich mądrości. Wyjaśniał, że „chiński zwyczaj Chong-fou” nakazuje „nastawiać myśli” podczas seksu na „rzeczy przykre”. To miało pozwolić na opóźnienie orgazmu aż do chwili, gdy kobieta sama zdoła dojść do celu. Dzisiaj trudno uwierzyć, że podobna rada wymagała odwoływania się aż do mędrców Azji. Z drugiej strony Klinger podawał też wiele rodzimych czy też nawet jego własnych sposobów postępowania w życiu seksualnym. Przykładowo sugerował mężczyznom, by ci symulowali podczas seksu swoje wielokrotne orgazmy. Taki teatrzyk miał pomóc kobiecie w pójściu w ich ślady. Przynajmniej według mojej wiedzy ten jeden zwyczaj nie przetrwał do XXI wieku.

## **Czarna kawa na erekcję**

Medycyna знаła znacznie więcej sposobów leczenia impotencji. Choć także w tym przypadku – żadnego naprawdę skutecznego. Stanisław Kurkiewicz zajął się tym problemem raczej z pozycji wiejskiego guślarza niż człowieka nauki. Skomponował długą listę afrodyzjaków wspomagających potencję. Niektóre z tych chałupniczych prototypów viagry stosowano już od setek lat, raczej z mniejszymi niż większymi sukcesami. Na samym szczycie rankingu znalazły się jedne z ulubionych używek nowoczesnego świata. „Mają kawa i zielka (czaj,



herbata) takie płciowe działanie, że w mocnym naparze (...) podane, podbudzają wyobraźnię – wyjaśniał lekarz-płciownik. – Nadto kawa mocna wywołuje czasem wzwoły (...), u mężczyzn”. Za kluczowe należy tu pewnie uznać słowo „czasem”. Czarna istota nie zapewniała najwidoczniej swoim sługom wystarczającej mocy, skoro uważali za konieczne sięganie po bardziej wyrafinowane środki. Kurkiewicz wspominał między innymi o substancji otrzymywanej z „hiszpańskich much” (kantaryd) – popularnej i stosowanej już od XVI wieku, a zarazem działającej zabójczo na nerki. Tę ostatnią jej cechę miała równoważyć wprost magiczna skuteczność. Autor przytaczał historię „jakiegoś mężczyzny”, który „po zażyciu kantaryd miał przez noc popełnić osiemdziesiąt przeszło czynów (aktów) płcenia; a konając rano, lubieżnie obejmował słup w boku łóżka – przy czym zwisak jego był jeszcze naprężonym”. Opowiadka ta była zapewne równie przekłamana, jak cały Kurkiewiczowy opis słynnego afrodyzjaku. W rzeczywistości nie pochodził wcale z Hiszpanii, a wyrabiano go nie z much, lecz z odmiany chrząszczy, zresztą występującej także w Polsce. Nawet historię specyfiku autor pokręcił. Stosować miała go już żona rzymskiego cesarza Oktawiana Augusta, rzecz jasna sporo wcześniej niż w XVI wieku. Zgadzało się jedno: wystarczyła odrobina nieuwagi i wyciąg z kantaryd zabijał<sup>20</sup>.

Na kolejnych pozycjach listy też nie brakowało niebezpiecznych, a przynajmniej kontrowersyjnych specyfików. Kurkiewicz podawał, że „za dźwigające siłę płciową, a może tylko dźwigające zwisak” uznaje się między innymi opium, arsenik, kokainę i haszysz. Zdesperowany pacjent mógł też zdecydować się na bardziej inwazyjne kuracje. Nawet w latach trzydziestych w leczeniu impotencji wciąż na masową skalę

stosowano elektrowstrząsy, przyżeganie i bliżej nieokreślone „sondy”. I warto przy okazji wspomnieć, że dokładnie tymi samymi środkami próbowano też „leczyć” homoseksualizm.

Prawdziwych specjalistów od impotencji było w Polsce tyłu, co kot napłakał. Trudno się temu dziwić, bo nowoczesne, naukowe podejście do problemów z erekcją dopiero rodziło się w bólach. Za najlepszego polskiego eksperta w tej dziedzinie należałoby uznać Stanisława Higiera. W 1934 roku wydał opasłą pracę naukową poświęconą ściśle impotencji i sposobom jej leczenia<sup>21</sup>. Sprawę traktował w sposób bardzo bliski współczesnej nauce. Przyjął odważnie, że „przynajmniej 80% przypadków impotencji ma charakter psychorodny”. To problemy powstające w głowie pacjenta. I wymagające taktownej, przemyślanej interwencji, a nie podpinania elektrod. Higier postulował między innymi bliską współpracę z partnerką seksualną pacjenta. Zgadzał się na daleko idące odstępstwa od seksualnej normy – wzajemną masturbację, stosunki udowe. Cokolwiek, co mogło wywołać erekcję. W przypadku jednego pacjenta, młodego ortodoksyjnego Żyda zaraz po ślubie, posunął się dla dobra sprawy nawet dalej:

*Dla przekonania się o rodzaju i stopniu „niepobudliwości” pacjenta, zaleciłem mu udanie się (po raz pierwszy w życiu) do teatru rewii. Pacjent stwierdził wówczas u siebie wyraźną erekcję, a najbliższej nocy miał sen erotyczny z polucją. Następne odwiedzenie tegoż lokalu spowodowało, według słów pacjenta, tak znaczne i długotrwałe podniecenie płciowe, że po powrocie do domu dokonał po raz pierwszy udanego aktu spółkowania.*

Higier wspominał też o eksperymentach z pierwszymi środkami hormonalnymi oraz o... metodach mechanicznych. I tylko te ostatnie

budziły u niego wyraźne wątpliwości. Nie chodziło nawet o to, czy są skuteczne, czy nie. Raczej o sposób ich rzeczywistego stosowania.

## **Przedwojenne sztuczne pochwy**

„Aparaty typu »saneczkowego« (...) ujmują prącie tylko od dolnej powierzchni jego nasady i pozwalają mu się wślizgnąć w stanie wiotkim do pochwy, jak gdyby na płozach. Obecne postępy w budowie aparatów tego typu polegają na tym, że płozy są możliwie najwęższe i najlżejsze i pozostają w łączni ze specjalnym »umocnieniem« dla żołędzi, tak, że przy pomocy układu małych dźwigni mogą się wyciągać, pozwalając na zjawienie się wzwodu w prąciu”. W ten złożony sposób autor *Niemocy płciowej i bezpłodności u mężczyzn* opisał jeden z rozlicznych mechanizmów służących wspomaganie erekcji. Podobnych urządzeń było bez liku. Higier podawał, że na rynku pojawiły się przed czterdziestu laty, a więc około 1890 roku. W czasie gdy przygotowywał swoją książkę, w krajach Zachodu opatentowano już kilkaset różnych ich wersji. Aparaty saneczkowe akurat Higierowi za bardzo nie przeszkadzały. Co najwyżej obawiał się uszkodzeń ciała w przypadku nieudolnego używania tak skomplikowanej maszyneryi.

Inne środki były, z technicznego punktu widzenia, o niebo prostsze. Po pierwsze, Higier pisał o „aparacie, sprowadzającym się do pompy ssącej”. Sprzedawano też na przykład mechanizmy „sprowadzające się do nałożenia sztywnej, walcowatej (...) pochewki na prącie”. Autor przyznawał, że każdy z tych aparatów może przynosić pewne „efekty lecznicze”, choć wynikające głównie z poczucia pewności siebie

i autosugestii. Problem zdaniem Higiera polegał na tym, że równie dobrze sztucznych pochew i pompek można było używać bez jakiegokolwiek udziału partnerki, po prostu jako zabawek erotycznych. Doktor podkreślał, że trzeba brać pod uwagę: „element masturbacyjny, jaki do właściwego działania aparatu się przyłącza”. I akceptowanie takiego stanu rzeczy po prostu nie mieściło mu się w głowie.

---

Pozycje są cytowane przy pierwszym wystąpieniu w danym rozdziale. Data ostatniego dostępu do wszystkich źródeł internetowych to 20 lutego 2015 roku.

- 1 Auguste Forel, *Myśli utopijne o idealnym małżeństwie przyszłości*, „Czystość” 1906, nr 5.
- 2 *Kwestie drażliwe w oświeceniu etycznym. Cz. IV. Z estetyki pożycia małżeńskiego*, „Kosmetyka” 1908, nr 11.
- 3 Paweł Klinger, *Vita sexualis. Prawda o życiu płciowym człowieka*, Księgarnia Karola Neumillera, Łódź 1930.
- 4 Jaf i Saldo [Jean Fauconney], *Miłość małżeńska w świetle nauki*, Księgarnia Popularna, Warszawa 1931.
- 5 M. Eksner [Max Exner], *Hygiena miodowych miesięcy czyli Etyka stosunków płciowych. Poradnik dla młodych małżeństw*, Wiedza Współczesna, Warszawa 1936.
- 6 G.J. Bruk [Grigorij Bruk], *Ku zdrowemu życiu płciowemu. Praktyczne rady i wskazówki*, Księgarnia Popularna, Warszawa 1935.
- 7 N.J. Safonow, *Mężczyzna i kobieta w życiu płciowym. Przewodnik dla doskonałych małżeństw*, Księgarnia Popularna, Warszawa 1935.
- 8 Michał Misiewicz, *Samogwałt (onanizm) i jego skutki. Przewodnik dla młodzieży i rodziców*, K. Fiszler, Warszawa 1906.
- 9 William Martin, *Racjonalne życie płciowe*, Minerwa, Warszawa 1936.
- 10 *Wąż-kusiciel*, „Amorek” 1924, nr 1.
- 11 *Dobra rady pani Zofii*, „Dobry Wieczór! Kurier Czerwony”, 5 października 1932, nr 229.
- 12 *Zła diagnoza*, „Nowy Dekameron” 1925, nr 1.
- 13 *Kandydat do nagrody*, „Amorek” 1924, nr 4.

[14](#) „Amorek” 1924, nr 2.

[15](#) *O kobiecie*, „Amorek” 1924, nr 8.

[16](#) Irena Krzywicka, *Wyznania gorszytelki*, Czytelnik, Warszawa 1995.

[17](#) „Nowy Dekameron” 1924, nr 25.

[18](#) Stanisław Kurkiewicz, *Z docieków (studyów) nad życiem płciowym. Luźne osnovy (tematy). 2. Szczegółowe odróżnienie czynności płciowych*, nakł. autora, Kraków 1906.

[19](#) Cyt. za: William Martin, *Racjonalne życie płciowe*, dz. cyt. Dickinson był jednym z pionierów amerykańskiej seksuologii – prawdopodobnie najbardziej zasłużonym w pierwszej połowie XX wieku. Żadna z jego prac nie została jednak przetłumaczona na język polski, w związku z czym nie poświęcam mu osobnego fragmentu książki. Zob. np. Christina Simmons, *Making Marriage Modern: Women’s Sexuality from the Progressive Era to World War II*, Oxford University Press, 2009; Vern L. Bullough, *Dickinson, Robert Latou*, w: *Human Sexuality. An Encyclopedia*, red. Vern L. Bullough, Bonnie Bullough, Routledge, New York 2014.

[20](#) Zob. np. David J. Karras, Susan E. Farrell, Richard A. Harrigan, Frederick M. Henretig, Laura Gealt, *Poisoning from „Spanish fly”*, „The American Journal of Emergency Medicine” 1995, t. 14, nr 5; Peter James, Nick Thorpe, *Ancient Inventions*, Ballentine Books, 1995.

[21](#) Stanisław Higier, *Niemoc płciowa i bezpłodność u mężczyzn*, Wydawnictwo Lekarskie „Eskulap”, Warszawa 1934.

/ Gdzie się podziały tamte prywatki... /

## **Seks zbiorowy**

Ludzie międzywojnia uwielbiali orgie. Przynajmniej jako temat literacki. Nic tak nie podkreślało atmosfery perwersji i erotycznego rozpasania, jak właśnie wzmianka o zbiorowym seksie. Najlepiej – w kontekście szczególnie makabrycznego przestępstwa. Weźmy głośną sprawę z 1930 roku. Na przełomie sierpnia i września Polską wstrząsnęła historia sekty satanistów działającej rzekomo w stolicy i odpowiedzialnej za serię niewyjaśnionych samobójstw o okultystycznym podłożu. Pisały o tym niemal wszystkie media. Łącznie trzysta dwadzieścia dwa różne dzienniki, stołeczne i prowincjonalne<sup>1</sup>. Najdalej posunęły się „Wiadomości Codzienne”. Na pierwszej stronie drukowały relację anonimowego świadka, który twierdził, że wziął udział w tajnym rytuale czcicieli diabła. A za namową gazety – i raczej nie za darmo – opisał go w najdrobniejszych szczegółach.

Wydarzenia rozgrywały się w budynku przy ulicy Puławskiej w Warszawie. Na ścianach wisiały „trójkąty ze szpicami odwrócone do góry” oraz „wielki wizerunek Bafometa, czyli ohydneho kozła siedzącego na ziemskim globie”. Ceremonii przewodniczył kapłan W. przyodziany w czarny omat. U jego stóp legły trzy, odurzone

narkotykami, nagie kobiety. „W. wszedł w ich środek, rozejrzał się po zgromadzonych, którzy przyklękli i zapalili kadzidła, począł odmawiać modlitwy. Modlitwy te były tak bluźniercze i tak profanowały religię katolicką, że uważam za niemożliwe je przytaczać” – relacjonował świadek. Ostatni etap rytuału? Rzecz jasna ofiara z własnego ciała. Kapłan: „powiódł obłądnym wzrokiem i nieludzkim jakimś głosem wycharczał: »W jego imię błogosławię was! Składajcie ofiarę!«». Dotychczasową ciszę przerwały piski, krzyki i histeryczne wołania kobiet. (...) Trzy nagie kobiety, tworzące trójkąt zerwały się i pobiegly do mistrza. Rozpoczęła się ohydna, powszechna orgia”<sup>2</sup>.

Tego typu historie do dzisiaj rozpalają wyobraźnię pisarzy. Wyuzdana, przedwojenna orgia pojawia się chociażby na kartach *Śmierci w Breslau* – pierwszej powieści Marka Krajewskiego. Czy jednak do podobnych ekscesów dochodziło w rzeczywistości? Doktor Zbigniew Łagosz, który badał szczegółowo sprawę z 1930 roku, jest przekonany, że cała afera została sfabrykowana<sup>3</sup>. Nie było żadnej szajki satanistów. I w tym punkcie trudno z nim polemizować. Świadek cytowany przez „Wiadomości Codzienne” podawał, że uczestnikom rytuału udało się... przyzwać najprawdziwszego diabła. „Spostrzegłem na ścianie przed W. jakiś ciemny, formujący się kontur. Kontur ten początkowo niewyraźny – wreszcie zarysował się jako postać mglista człowieka o gorejących oczach i wykrzywionych złością ustach” – opowiadał. Wiarygodnie to nie brzmi. W całej relacji właściwie tylko dwa motywy wydają się prawdopodobne. Okultystyczny rytuał jakiegoś rodzaju – bo Polacy przed wojną kochali się w magii. Oraz seks zbiorowy. Bo wspomnienia z epoki potwierdzają, że orgie były popularną rozrywką w II Rzeczypospolitej. I to nie tylko wśród

zblazowanych elit.

## Kozetki w formie półksiężycy

Marian Sękowski, zwyczajny warszawski taksówkarz, przytoczył w pamiętniku historię swojego zmiennika. „Wesoły to był kumpel” – podkreślał<sup>4</sup>. Dzięki niemu poznał jedną ze stołecznych zabaw, określaną mianem „rajskiego wesela”. Miało to miejsce gdzieś na początku lat trzydziestych. Szofer był kawalerem, mieszkał kątem u matki. Wystarczyło jednak, że rodzicielka wyjechała w odwiedziny do córki, a natychmiast biegł do cukierni „Krakowskiej” (ulica Marszałkowska, róg Nowogrodzkiej). Stamtąd, jak relacjonuje Sękowski, „sprowadzał sobie [do mieszkania] dzierlatki, takie po lat szesnaście”. Na prywatkę spraszał także kolegów, tak by żadna z miłośniczek słodczy nie czuła się samotna.

*Rozpoczynano od picia alkoholu. Pito, by utracić wstyd i nabrać odwagi. Tańczono pod muzykę z gramofonu, alkohol rozgrzewał, stawało się upalnie. Wierzchnie szmatki z wolna zrzucali z siebie, zostawali w negliżu. Następowaly poklepywania, oblapywania i uściski. W końcu padali na podłogę lub otomanę parami.*

*Zaczynał się punkt kulminacyjny, współzawodnictwo w seksualnych wybrykach. Każda para prześcigała się w wyszukiwaniu figur w czasie stosunku. Chyba wyczerpywali cały „almanach chiński”.*

Sękowski wspominał, że dwa razy dał się skusić do udziału w „weselu rajskim”. „Bywalczyńnie wciągały tu nowe koleżanki. Żadne uczucia głębsze nie odgrywały roli, dlatego nie było tu zazdrości. Wymieniali



się partnerzy, kto którą czy którego chciał, to brał” – zanotował taksówkarz, raczej z nostalgią niż ze zgorzeniem. A jeśli nie zjawił się już więcej na „rajskim weselu”, to chyba tylko dlatego, że zmienił pracę. Z taksówki przesiadł się na samochód ciężarowy.

Oczywiście nic nie stało na przeszkodzie, by bawił się dalej w innym miejscu. Jednak za darmo i bez odpowiednich kontaktów nie było to wcale łatwe. Teoretycznie własne „rajskie weselo” mógł sobie zorganizować każdy. W praktyce najczęściej robili to przedstawiciele półświatka – w domach schadzek lub w palarniach opium. W październiku 1924 roku „Stołeczny Kurier Wieczorny” informował czytelników o instytucji łączącej obie te funkcje. Działała ona podobno „przy jednej z zacisznych ulic śródmieścia”, w wytwornym, sześciopokojowym apartamencie. Bywali tam członkowie ściśle wyselekcjonowanego klubu. Bez rekomendacji od jednego z nich można było tylko pomarzyć o prawie wstępu. Niewtajemniczonym pozostawało zapoznanie się z relacją dziennikarzy:

*Ściany obite [są] pstrymi kilimami o motywach wschodnich. W formie półksiężyca ustawione są leżaki i kozetki, pokryte jaskrawą materią, a tuż obok sterczą lampki do palenia opium. Z lękiem stąpasz po miękkich perskich dywanach (...). Spośród bladych twarzy mężczyzn wзира tu w całej pełni zwyrodnienie ludzkie. (...)*

*W speluncie tej (...) uprawiane są również orgie na tle zwyrodnienia seksualnego. Smakosze opium są ospali, znać po nich osłabienie, po którym jednak następują rozkoszne widziadła. Tu i tam krząta się posługacz, który rozdaje niekształtne zlepkki koloru brunatnego z wielką ostrożnością, gdyż zdarzały się już tu podobno wypadki śmierci z powodu zbyt wielkiej dawki opium<sup>5</sup>.*

Redakcja dziennika zapewniała, że opiera swój materiał na relacji jednego z członków klubu. Jeśli tak było naprawdę, to musiała to być wysoko postawiona osoba. W gronie „opiożerców” byli rzekomo znani artyści, literaci, „wybitni politycy” i „utytułowani panowie”. Marian Sękowski nie należał do żadnej z tych grup. Jako prosty szofer musiał obejść się smakiem.

## **„Nie trzeba się krępować, zapoznaliśmy się wszyscy”**

Na otarcie łez zostawało mu chyba tylko sięgnięcie po jedno z polskich czasopism erotycznych. Nie licząc zdrad małżeńskich, seksualne wieloboki stanowiły bodaj ich ulubiony motyw. Rzućmy okiem na utwór *W pociągu Łódź – Warszawa* zamieszczony w marcu 1925 roku w „Nowym Dekameronie”<sup>6</sup>. Opowiada on historię Dominika B. Człowieka, jak podaje autor, „bardzo wrażliwego na wdzięki kobiece”, a zarazem: bardzo bezpośredniego. Na stacji Łowicz do jego przedziału wsiada olśniewająca, młoda dama. „Na pierwszy rzut oka wydała mu się miłą, na drugi rzeczywiście piękną, na trzeci wzbudziła w nim wielką pożądlivość”. Nie wypowiada do niego ani słowa, za to on – mówi bez przerwy. Namawia nieznajomą do nawiązania romansu, proponuje, by została jego utrzymanką, podaje nawet adres swojej kawalerskiej garsoniery. Współpasażerka odpowiada na te wszystkie propozycje dopiero na stacji końcowej. „Jestem w istocie uczciwą kobietą – oznajmia. – Dobrze pan uczynił, że nie tracił na próżno czasu, gdyż mój kochanek oczekuje mnie na peronie. Nie mogę się z panem dziś zobaczyć. Ale jutro odwiedzę pańskie mieszkanie. A nawet, ponieważ

nie jestem egoistką, przyprowadzę przyjaciółkę”.



Skomplikowane gry miłosne w wyobrażeniu „Amorka” (1924).

*Burzliwa noc*, wydrukowana miesiąc później przez to samo pismo, to z kolei historia młodego porucznika zakwaterowanego w okazałym domu eleganckiej wdówki nazwiskiem Lorsay. Gdy w nocy rozpętuje się nawałnica, gość wykorzystuje tę okazję, by zakraść się do goszczącej na tym samym piętrze przyjaciółki gospodyni. Następnie łąduje także w łóżku samej pani Lorsay. „Ponieważ burza wciąż trwa jeszcze, musi się pani przyjaciółka bardzo obawiać” – stwierdza w pewnym momencie troskliwy oficer. „Nie mogę jej przecież zaprosić do pokoju...” – waha się gospodyni. Porucznik rozwiewa jednak wszelkie wątpliwości. Nachyla się do jej ucha i szepcze: „Moja droga pani Janko, nie potrzebujemy się krępować, zapoznaliśmy się już wszyscy”<sup>7</sup>.

Tematem seksu zbiorowego zajęli się także autorzy czterotomowej *Encyklopedii wiedzy seksualnej* z 1937 roku. Poświęcili mu aż dwa hasła. Definicja „Spintrii” (od łacińskiego *spinter*, czyli naramiennika) miała charakter historycznej anegdoty. Chodziło o czynności „zbożeńców rzymskich uprawiających współzycie w ten sposób, że równocześnie pełnili rolę czynną wobec jednego ze współpartnerów i podlegali pederastii (...) ze strony drugiego partnera. To dwustronne niejako zamięszanie cielesne przedstawiające analogię do połączeń trzech obręczy naramiennika, tłumaczy pochodzenie wyrazu”. Autor hasła nie wspomniał, czy z podobną konfiguracją spotkał się w swojej praktyce seksuologicznej. Zważywszy na fakt, że tekst urywa się na Tacycie i Senecie – raczej tak nie było<sup>8</sup>.

Bardziej życiowo do sprawy podszedł Arthur Kronfeld odpowiedzialny za hasło „Triolizm”. Miała to być „skłonność do wykonywania aktu płciowego z kilkoma partnerami lub też w obecności kilku partnerów”. Czyli, mówiąc prościej, skłonność do

orgii. Niemiecki psychoterapeuta nie był nawet pewien, czy jest to zboczenie. W jego opinii triolizm można było równie dobrze zakwalifikować jako niegroźne „wyrafinowanie płciowe, którego istota polega na niezbędności szczególnych podniet”. Osobiście spotkał się „z przypadkami dotyczącymi wyłącznie ludzi zdrowych, z wyjątkiem dwóch pobudliwych głuptaków lekkiego stopnia”. Takie doświadczenie skłaniało Kronfelda do wyrozumiałego traktowania pacjentów lubiących uczestniczyć w orgiach. A zresztą – miał chyba świadomość, że chodzi o naprawdę powszechne zjawisko<sup>9</sup>.

„Wieczorem, kiedy ja i trzech suplikatorów położyliśmy się spać, wrócił czwarty, Marcel Kużochoszczak. Nie mogę powiedzieć, żeby był zalany, w każdym razie owszem, równy. Przyszedł zaraz do mnie. Pożogie czuję! – krzyczy. – Pożogie zazdrości na ten widok”. Tymi słowami miała zeznawać przed sądem panna Skubiszewska, bohaterka jednego z opowiadań Stefana Wiecheckiego „Wiecha”. Podobnie jak w innych swoich tekstach, Wiech przedstawiał może nie faktyczne sprawy karne, ale pejzaż prawdziwych obyczajów i palących problemów robotniczej Warszawy. W tym przypadku problemem był spór na tle erotycznym. Skubiszewska zajmowała jeden niewielki pokój razem ze swoimi czterema sublokatorami. Mężczyźni nie tylko z nią mieszkali, ale też stale konkurowali o jej względy. Biorąc pod uwagę, że w trakcie rozpatrywanej przez sąd awantury „suplikatory nagie i bose jak szatany latały po mieszkaniu”, łatwo zgadnąć, że Skubiszewska miała w sobie coś z „triolistki”<sup>10</sup>.

*Bój sublokatorów* tylko sugeruje, co mogło dziać się w biednych dzielnicach stolicy. Marian Sękowski pisze o tym, z czym zetknął się w zupełnie namacalny sposób. W innej partii swoich wspomnień

opowiada o warunkach życia zaraz po odejściu z wojska. Najpierw sypiał na podłodzie w ciasnej, ciemnej i śmierdzącej izbie u swojej macochy. Następnie narzeczona załatwiła mu lokum w ruderze zajmowanej przez „samotną kobietę na wpeł niewidomą”. Nie mógł liczyć na własny ką, ale przynajmniej dostał barłóg udający łóżko. „Byłoby wszystko dobrze, gdyby nie wyskoki mojej nowej gospodyni” – wspominał.

*Mimo kalectwa, żyła wesoło. Odwiedzała ją siostra – handlarka bazarowa – a z nią jej koleżanki i koledzy [z] tej samej branży. Wszyscy w podtatusiałym wieku. Gdy się obłowili, urządzali popijawy. Izba zamieniała się wtedy w spelunkę i bajzel. Raczyli się alkoholem i czułościami. Cechowała ich w tym zachłanność. Mną się nie krępowali, uważali mnie za swojego. Nie mogąc się na nogach utrzymać, bo ich alkohol łamał, walili się na łóżka, na podłogę, gdzie odbywał się już akt kulminacyjny ubawu.*

*Smród rynsztoków, zgniłych warzyw i śledzi, którymi w dni powszechnie się karmili, raził mnie do tego stopnia, że dotąd nie znoszę zapachu śledzi. Mnie też chcieli wciągnąć do swojej gry, ale idący od nich smród, pijackie wyziewy, ślinienia i mało zrozumiałe bełkoty odstraszały mnie.*

Autor nie podaje w tym miejscu wprost, jak daleko towarzystwo posuwało się w swoich zabawach. Do sprawy wraca jednak przy okazji szczegółowego opisu „rajskich wesel”. „Sama gra miłosna mnie zaciekawiała, ale niektóre perwersyjne sposoby podniecania się tak mi zbrzydły, że przypomniałem sobie odbywające się na Czerniakowskiej bachanalia handlarzy straganowych” – wspomina. Nie można mieć wątpliwości, że także w tym przypadku chodziło o pełnoprawną orgię.

I tylko trudno stwierdzić, co właściwie tak bardzo zgorszyło pruderyjnego Mariana Sękowskiego.

---

Pozycje są cytowane przy pierwszym wystąpieniu w danym rozdziale. Data ostatniego dostępu do wszystkich źródeł internetowych to 20 lutego 2015 roku.

1 Liczba pada w artykule: *Wtajemniczenie może być na raty*, „Express Poranny”, 10 września 1930.

2 Cyt. za: Zbigniew Łagosz, *Mit polskiego satanizmu. Czesław Czyński – proces, którego nie było*, „Hermaion” 2012, nr 1.

3 Tamże.

4 Marian Sękowski, *Pamiętnik warszawskiego taksówkarza*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1978.

5 *Odsłaniamy tajemnicę palarni opium w Warszawie*, „Stołeczny Kurier Wieczorny”, 1 października 1924, nr 1.

6 *W pociągu Łódź-Warszawa*, „Nowy Dekameron” 1925, nr 3.

7 *Burzliwa noc*, „Nowy Dekameron” 1925, nr 4.

8 *Spintria*, w: *Encyklopedia wiedzy seksualnej*, t. 4, oprac. Max Marcuse, oprac. wyd. pol. Stanisław Higier, Wydawnictwo Lekarskie „Eskulap”, Warszawa 1937.

9 Arthur Kronfeld, *Triolizm*, w: Tamże.

10 Wiech [Stefan Wiechecki], *Bój sublokatorów*, w: Tegoż, *Zakochany złodziej*, Vis-à-vis/Etiuda, Kraków 2013.

/ „W pocałunkach chciał ją zjeść” /

## **Miłość francuska**

Rubryka dowcipów w „Nowym Dekameronie”. Tekst z dopiskiem: autentyczne. Rozmawia dwóch bywalców teatru.

*I-szy gość: Czy można wiedzieć gdzie pan mieszka?*

*II-gi gość: O, w adresie moim jest trochę patriotyzmu i trochę pornografii.*

*I-szy gość: Co znaczy?*

*II-gi gość: No tak, bo mieszkam na Alei Kościuszki nr 69<sup>1</sup>.*

Przed wojną mało który seksuolog byłby gotów stwierdzić: wszystko jest dla ludzi. Nie znaczy to jednak, że brakowało ludzi podzielających takie zdanie. W warunkach obowiązującej cenzury (i autocenzury) swoje przekonania przemycali w żartach, jak ten powyższy. Albo w wierszykach – jak opublikowany w styczniu 1925 roku utwór *Pięćdziesiąt sześć kawałków do całowania*<sup>2</sup>. Już w pierwszej strofie pada ostrzeżenie: „Mam pięćdziesiąt sześć kącików, godnych całowania. I zaraz się pragnę zebrać do ich wyliczania. Jeno chłopcze mój kochany, nie bądźże łakomy, i czytając o tych miejscach, nie nabierz oskomy”. Autorka, tworząca pod pseudonimem „Kate”, wylicza:



*A więc słuchaj! Jedno miejsce, za uszkiem się mieści. Tak miło, gdy wąż jedwabny tamten kącik pieści (...). A gdy ciarki elektryczne przebiegną po skórze, wtedy chcą czuć męskie usta, na ramion marmurze. Od ramion tak blisko szyjka. Na jej lewej stronie, pieczęć z ognia trza wycisnąć, kiedy we krwi płonie. (...) Lecz gdy pragnę już okazać ukochanie całe, wtedy daję głodnym ustom piersi krągłe, białe. Gdy rozpala się mu we krwi pożar po iskierce, usta same się zsuwają i całują serce...*

Niepozbowiona fantazji poetka kluczy i zwodzi słuchacza. Są „usta kraśne”, ale jest też – łokieć. Każe sobie składać pocałunki na „mięciutkiej dłoni”, by zaraz domagać się „wściekłych i namiętnych” całusów w kolana. W ostatnich strofach tempo wyraźnie przyspiesza.

*Ja tak lubię, jako deser, już nad samym rankiem, syt rozkoszy, gdy całuje pod prawym kolankiem. Wnet wypręża się ramiona, a pot czoło zrosi: Nie dziw przeto, że łakomie, usta wzwyż podnosi. Więc całuje nad kolanem, potem jeszcze dalej...*

Gdzie dokładnie leży ostatni, pięćdziesiąty szósty kawałek? Tej informacji czytelnik się nie doczeka. Kate kończy frywolnie: „Mam ja kilka na swym ciele, cudnych kątków jeszcze. Lecz mi skromność wzbrania pisać, dośpiewajcie resztę”. Dośpiewywać, w pewnym sensie, próbował św. Piotr. W tym samym numerze „Nowy Dekameron” zamieścił historię, w której Bóg Ojciec wysyła swojego wiernego klucznika, by ten sprawdził, co też dzieje się na ziemi w XX wieku. Apostoł w pierwszej kolejności trafia na... wyjątkowo niezdarną parę kochanków:

*Św. Piotr (...) przetarł sobie oczy. Cóż oni robią? To ciekawe, nie*

*mogę odróżnić... Bez wątpienia ze względu na swój młody wiek, nie potrafią, szukają... kochane maleństwa...*

*Co za dziwaczne pomysły mają! To wprost coś nadzwyczajnego. Ja bym nigdy na coś podobnego nie wpadł... Może to grzech, ale w każdym razie ciekawa kombinacja... Kiedy opowiem to Ewie, będzie mnie prosiła o rysunek, rzecz pewna<sup>3</sup>.*

Niestety zbiory archiwalne nie notują poglądowych grafik św. Piotra. Historyk pragnący w fachowy sposób stwierdzić, co kryło się pod adresem „I-szego gościa”, do czego zmierzała Kate i co dokładnie spostrzegł strażnik bram raj, jest zdany na przedwojennych seksuologów. Szczęście w nieszczęściu: poruszone tematy cieszyły się ich głębokim zainteresowaniem. Także nad Wisłą.

## **„Pragnie uzależnić ją od swego prącia”**

Doktor Stanisław Higier, skrupulatny badacz erotyki oralnej, nie miał o niej zbyt wysokiego mniemania. Nie podobała mu się nawet przyjęta w Polsce nazwa. „[*Cunnilingus*] niesłusznie u nas nazywany [jest] minetą” – podkreślał<sup>4</sup>. Przede wszystkim jednak nie podobało mu się to, co Polacy robią w swoich sypialniach. Wyróżniał trzy warianty „dokonywania cunnilingi przez mężczyznę kobiecie”. Tylko pierwszy spotykał się z jego chłodną aprobatą: stosunek oralny „należący do repertuaru pieszczot preliminaryjnych, próbowanych przygodnie lub na stałe, w celu doprowadzenia u obojga partnerów do większego podniecenia seksualnego”. Doktor Higier stawiał jednak warunek. Wszystko musiało znajdować „ujście ostateczne w akcie spółkowania”. Mówiąc prościej: w świetle wiedzy naukowej z 1937 roku seks oralny

mógł być grą wstępną. I niczym więcej.

Kolejne dwa warianty redaktor *Encyklopedii życia płciowego* nazywał już wprost zboczeniami. To przypadki, gdy „*cunnilingus* jest celem samym w sobie” i jest dokonywane z woli mężczyzny (opcja 2) lub na życzenie kobiety (opcja 3). W wypadku drugim Higier był skłonny podejrzewać chwilowe lub stałe problemy z potencją. W trzecim sprawa wydawała mu się jeszcze bardziej jasna. Jeśli kobieta lubiła seks oralny, dowodziło to „bądź nastawienia perwersyjnego u niej, bądź niezdolności jej do aktu płciowego”.

Higier opracował także obszerne hasło na temat *fellatio*<sup>5</sup>. Co ciekawe ukazało się ono dopiero w suplemencie do opasłej *Encyklopedii życia płciowego*, a nie w tomie głównym, jak *cunnilingus*. W tym tekście autor już znacznie mniej pisał o zboczeniach. Podkreślał, że *fellatio* stanowi czynność „bardzo rozpowszechnioną w Europie, zwłaszcza w krajach romańskich”. Sugerował, że praktyka ta może nawet sprawiać seksualną rozkosz kobiecie, co w drugą stronę było rzecz jasna niemożliwe. *Cunnilingus* przyjemny dla wykonującego go mężczyzny stanowił dla Higiera wyraźny dzwonek alarmowy.

„Stwierdza się w całym szeregu przypadków *fellatio* jako wyraz właściwych dyspozycji psychoseksualnych jednostki” – podkreślał autor. Dostrzegał też cały szereg argumentów przemawiających za tą jedną konkretną odmianą miłości oralnej. *Fellatio* uszczęśliwia mężczyznę. Po *fellatio* nie można zajść w ciążę. I nawet specjalistki je polecają. „Często uprawiane jest przez prostytutki, zwłaszcza w odniesieniu do mężczyzn, którzy szukają u nich urozmaicenia po jednostajnym trybie współżycia płciowego w małżeństwie” – referował

Higier.



„Rzecz prosta, można uniknąć przykrości związanych ze zwilżaniem za pomocą śliny, jeżeli ślinę przenieść nie drogą pośrednią, przez palce, lecz bezpośrednią, przez usta” – instruował Theodoor Hendrik van de Velde (rys. „Nowy Dekameron”, 1924).

Niebezpieczeństwa dostrzegał właściwie tylko w skrajnych

przypadkach, a i wtedy niekoniecznie groziły one mężczyźnie. „Osoba, od której wychodzi inicjatywa (...) stałego uprawiania *fellatio* zamiast aktu fizjologicznego jest, w myśl tego, cośmy wyżej powiedzieli, mniej lub bardziej – zboczona” – pisał. A na marginesie dodał jeszcze: „Sporadycznie motywy uprawiania *fellatio* tkwić mogą w pewnym sadystycznym (...) ustosunkowaniu mężczyzny do kobiety, którą pragnie on w ten sposób poniżyć, ujarzmić, »uzależnić« od swego prącia”.

O równym traktowaniu dwóch form erotyki oralnej nie mogło być mowy. W haśle *Cunnilingus* padają wzmianki o seksualnym infantyлизmie i anomaliach psychoseksualnych. Higier ostrzega, że nadmierne oddawanie się tej praktyce może doprowadzać do pogłębiania skłonności homoseksualnych u kobiet oraz do impotencji u mężczyzn. Nawet popularną nazwę Higier chciał zagarnąć na rzecz *fellatio* i wbrew tradycji nazywać je po polsku „minetą”.

Nie znaczy to jednak, że w tunelu nie pojawiło się żadne światełko. Trwała druga, a może nawet i trzecia dekada rewolucji seksualnej. I Higier po prostu musiał z zakłopotaniem stwierdzić: „W sprzeczności z tym zdają się pozostawać przypadki, bardzo częste obecnie, uprawiania *cunnilingi* z ciekawości lub jako jednej z »przypraw« normalnego repertuaru miłosnego w ośrodkach wielkomiejskich”. Rzeczywiście, przypadki stały w sprzeczności, i to niemal ze wszystkim, co napisał warszawski neurolog.

Lepiej nowoczesną sztukę erotyczną rozumiał Theodoor Hendrik van de Velde<sup>6</sup>. Trudno się dziwić. Był przecież jednym z jej kodyfikatorów. Na kartach *Małżeństwa doskonałego* nie straszyl seksem oralnym ani nie próbował obrzydzić go czytelnikom. Zaznaczył

nawet, że celowo nie używa żadnego z technicznych terminów zaczerpniętych z łaciny. Nie chciał, żeby erotykę tego typu kojarzono z patologiami, pisał więc po prostu o „pocałunkach drażniących”. Podkreślał, że są to techniki „dopuszczalne tak pod względem etycznym i estetycznym, jak pod względem higieny. Oczywiście, możliwe (...) tylko w warunkach zupełnego zdrowia i nienagannej czystości”.

Autor polecał przede wszystkim pocałunki składane przez mężczyzn kobietom. Uważał je za świetny środek zwiększenia nawilżenia pochwy. Na pewno lepszy od dostępnych na rynku prototypów „żelów intymnych”. Popularne w sypialniach tłuszcze trudno było zmywać, a przez to wywoływały podrażnienia i infekcje. Środki farmaceutyczne „po intensywnym wcieraniu” mogły prowadzić nawet do stanów zapalnych. Ślina tymczasem żadnych skutków ubocznych za sobą nie niosła. No może poza jednym – zbyt szybko wysychała. Van de Velde wiedział jednak, jak temu zaradzić: „Rzecz prosta, można uniknąć przykrości związanych ze zwilżaniem za pomocą śliny, jeżeli ślinę przenieść nie drogą pośrednią, przez palce, lecz bezpośrednią, przez usta”.

Do całowania mężczyzn przez partnerki holenderski ginekolog podchodził z nieco większą rezerwą. „Z początku przynajmniej, powinna kobieta być bardzo ostrożna” – podkreślał. Chodziło mu o zagrożenia moralne (na które, jak sądził, kobiety były szczególnie narażone), jednak nie tylko. Nawet większą rolę odgrywało ryzyko nadmiernego podniecenia mężczyzny lub – broń Boże – doprowadzenia go do wytrysku. Van de Velde był człowiekiem postępu, ale bez przesady. Stanowczo podkreślał, że „pocałunki drażniące” powinny być pieszczotą na drodze do właściwego stosunku

waginalnego. I niczym więcej.

---

Pozycje są cytowane przy pierwszym wystąpieniu w danym rozdziale. Data ostatniego dostępu do wszystkich źródeł internetowych to 20 lutego 2015 roku.

1 W „*Teatralce*”, „Nowy Dekameron” 1925, nr 5.

2 *Pięćdziesiąt sześć kawałków do całowania*, „Nowy Dekameron” 1925, nr 1.

3 *Ankieta o miłości*, „Nowy Dekameron” 1925, nr 1.

4 Stanisław Higier, *Cunnilingus*, w: *Encyklopedia wiedzy seksualnej*, t. 1, oprac. Max Marcuse, oprac. wyd. pol. Stanisław Higier, Wydawnictwo Lekarskie „Eskulap”, Warszawa 1937.

5 Tenże, *Fellatio*, w: *Encyklopedia wiedzy seksualnej*, t. 4 (suplement), dz. cyt.

6 Theodoor Hendrik van de Velde, *Małżeństwo doskonałe. Jego fizjologia i technika*, J. Przeworski, Warszawa 1935.

## VI / Prędzaj ci serce pęknie





/ Zatykadła, grzybki i cofanki /

## **Po co się zabezpieczać przed niechcianą ciążą?**

Warszawa, schyłek lat dwudziestych. Marian Sękowski, zwyczajny stołeczny taksówkarz, tłumaczy, jak radzić sobie z kryzysem gospodarczym w wielkim mieście. Kiedy podstawowe źródło dochodu zaczyna wysychać (a u taksówkarzy, żyjących z ekscesów klasy średniej, siłą rzeczy wysycha najszybciej), trzeba na gwałt szukać nowych źródeł i studzienek. Choćby ściekowych. Nasz bohater nie ukrywa: najłatwiej zarobić na seksie. „W ślad za roznamiętniającymi wyobraźnię książkami, ci sami sklepikarze zaczęli nam sprzedawać prezerwatywy, popularnie zwane kondony” – wspomina. Był to, co tu wiele mówić, produkt z najwyższej półki: „O różnych wymyślnych kształtach, z końcówkami w formie główek pierrota i innymi przedłużeniami, co miało wzbudzać wyższe doznania u kobiet. Były one w tutkach papierosowych dla zamaskowania”.

Sękowski, jak przystało na profesjonalistę (i na żonatego człowieka z bujnym życiem erotycznym), nie wzbrania się przed testowaniem produktu. Przynajmniej przed wszystkim jednak – opycha go swoim klientom. „Okazało się, że [prezerwatywy] przydawały się nam nie tylko do prywatnego użytku, co dla odsprzedaży pasażerom, a nawet

prostytutkom i to z dobrym zyskiem” – wspomina z dumą.

Zapytany, czy wie coś o zapobieganiu ciąży i czy zna się na antykoncepcji, wybuchnąłby zapewne gromkim śmiechem. Można się domyślić, że we własnym mniemaniu był seksuologiem i ginekologiem w jednej osobie. Podobnie jak każdy zaradny, stołeczny „szofer taksówkowy”<sup>1</sup>.

---

Rok 1929, również Warszawa. Dwudziestotrzyletnia anonimowa mężatka – nazwijmy ją dla porządku Anną – udaje się po poradę lekarską. To matka trójki dzieci, kobieta schorowana pomimo młodego wieku, sterana niemal samotną opieką nad potomstwem i już na pierwszy rzut oka – wynędzniała. Zarobki jej męża, sierżanta Wojska Polskiego, wystarczały na skromne utrzymanie ich dwojga. O zaspokojeniu potrzeb pięcioosobowej rodziny nie pozwalają jednak nawet marzyć. Jakby głodu i nędzy było mało, Anna na dodatek żyje w ciągłym strachu.

Kilka lat po ślubie doskonale zna już mechanizmy rządzące naturą. Za rok przybędzie jej czwarte dziecko. Za dwa lub trzy – niechybnie całej rodziny będzie już siódemka. Przerazona kobieta wie, że musi działać. Jako żona podoficera ma przynajmniej prawo do dobrej opieki medycznej. Skrępowana udaje się do Szpitala Ujazdowskiego – jednego z bardziej renomowanych w mieście. „Nie śmiałam się lekarza spytać, nie miałam odwagi, no i wstydziałam się” – zwierzy się swojej koleżance, która następnie przekaże jej historię Tadeuszowi Boyowi-Żeleńskiemu, tym samym przyczyniając się do opublikowania jej w książce *Piekło kobiet*<sup>2</sup>.

„No ale jakoś – ciągnie dalej Anna – po walce z sobą w końcu pytam. Panie doktorze, co ja mam robić, żeby w ciążę nie zachodzić? Chora jestem, dzieci troje, jedno umarło, pensja mała”. Lekarz patrzy na nią spode łba. „Co robić? Nie spać z mężem” – rzuca wreszcie i wybucha, jak to ujmie Anna, „zdrowym, rubasznym śmiechem”.

„Kobieta ta już w ogóle leczyć się nie chce w Szpitalu Ujazdowskim, a gdzie indziej nie może. Jeszcze się dziś rumieni, kiedy to opowiada” – zrelacjonuje jej koleżanka.

Gdyby jakiś ankieter zapytał Anny, czy wie coś o zapobieganiu ciąży i czy zna się na antykoncepcji, mogłaby chyba tylko się rozpłakać.

## **Dwadzieścia tysięcy powodów**

W dwudziestoleciu międzywojennym w polskiej debacie publicznej po raz pierwszy padły głośne pytania o świadome macierzyństwo. Czy kobiecie wolno używać środków antykoncepcyjnych? Czy kontrolowanie własnej płodności jest moralne albo chociaż dopuszczalne? Próby znalezienia odpowiedzi przez lata rozpały szpalty gazet do czerwoności. A wszystko to było zasługą jednej dziewczyny i jednej nielegalnej procedury medycznej, na skutek której niemal straciła życie.



„Fikle zwierciadła” (rys. „Amorek”, 1924).

W 1923 roku Irena Krzywicka miała dwadzieścia cztery lata. Właśnie zawarła swoje koleżeńskie małżeństwo z Jerzym Krzywickim, ale niewiele to w jej życiu zmieniło. Państwo młodzi nie mogli sobie pozwolić nawet na wspólne mieszkanie – ona gniotła się dalej w ciasnym pokoiku u matki, on całą swoją skromną pensyjkę był zmuszony oddawać despotycznym rodzicom. Kiedy Irena dowiedziała się, że jest w ciąży, nie zastanawiała się długo. Nie miała pracy, oszczędności ani warunków, by założyć rodzinę. „Nieunikniona była

skrobanka” – stwierdziła<sup>3</sup>. Pieniądze na zabieg pomogła jej zebrać matka. Było to pewnie około stu, dwustu przedwojennych złotych<sup>4</sup>. Procedura odbyła się w jej mieszkaniu, „pod narkozą chloroformową”. O swojej aborcji publicystka napisała dopiero siedemdziesiąt lat później, we wspomnieniach opublikowanych niedługo przed śmiercią. W międzywojniu musiała milczeć. Dopuszczała się czynu, za który i jej, i akuszerce przeprowadzającej zabieg groziło pozbawienie wolności na kilka lat. Pod tym względem kodeksy państw zaborczych były zgodne – „spędzenie płodu”, niezależnie od okoliczności, kwalifikowano jako ciężkie przestępstwo. W prawodawstwie porosyjskim matkę czekał trzyletni wyrok. Osobę przeprowadzającą aborcję – nawet sześćioletni. W byłym zaborze niemieckim więzienie groziło nie tylko za dokonanie aborcji, ale też za próbę jej dokonania na kobiecie będącej w ciąży urojonej<sup>5</sup>. W XIX-wiecznej Warszawie surowe przepisy były egzekwowane, choć wyrywkowo. Zdarzało się wręcz, że lekarzy spędzających płody wywożono kibitkami na Syberię<sup>6</sup>. W wolnej Polsce karano już właściwie tylko w przypadku denuncjacji lub kiedy kobieta sama przerwała zмовę milczenia. W tej ostatniej uczestniczył cały kraj. Wybitny specjalista z zakresu medycyny sądowej Wiktor Grzywo-Dąbrowski szacował: „Robi się w Warszawie przypuszczalnie dwadzieścia tysięcy poronień rocznie”<sup>7</sup>. W skali kraju mogło to być dwieście tysięcy, albo i więcej aborcji każdego roku. Miliony na przestrzeni dwudziestolecia. Na każdej ulicy i w niemal każdej rodzinie<sup>8</sup>.

Dla elit to była metoda antykoncepcji – wciąż zdarzało się, że pierwsza i jedyna, o jakiej myślano. Za spędzanie płodu u swoich żon i kochanek zgodnie płacili prokuratorzy, prawnicy, politycy

i pravicowi dziennikarze. Tajemnicą poliszynela było to, kto odwiedził w tym celu jedną z renomowanych klinik stolicy, a kto wyjechał z partnerką do szpitala na prowincji. Tam, gdzie świadczone usługi dla śmietanki towarzyskiej, spokój i dyskrecja były zagwarantowane. Reszta społeczeństwa nie mogła liczyć ani na to, ani nawet na krzytę bezpieczeństwa. Zabiedzone kobiety z warstw robotniczych widziały w aborcji jedyne wyjście pozwalające przeżyć. Przyjęte w latach dwudziestych przepisy o ochronie matek i rodzin były martwym prawem. Samotna kobieta z dzieckiem traciła szansę na jakąkolwiek posadę, niesłubne potomstwo kodeks traktował z tą samą pogardą co w czasach Napoleona, a rodziny pracowników fabrycznych gnieździły się po kilkanaście osób w ciasnych, brudnych izbach. Jedno dziecko więcej mogło już oznaczać różnicę pomiędzy głęboką nędzą a śmiercią z głodu. To były rodziny, w których ojciec, słysząc o narodzinach córeczki, potrafił syknąć: „Będzie jedną kurwę więcej”<sup>9</sup>. Dom przeistaczał się w piekło. „Żona w trzydziestym roku życia schorowana, stara kobieta, odpychająca fizycznie. Mąż ogłuszony piskiem bachorów, widzący żonę albo w ciąży, albo karmiącą, albo jedno i drugie razem, ucieka z domu do szynku, gdzie pijaństwem pogłębia jeszcze nędzę rodziny” – brzmiał opis sytuacji panującej w świecie zwykłych, pozbawionych przywilejów ludzi<sup>10</sup>. Życie na granicy zezwierzęcia, zero potrzeb kulturalnych. Egzystencja sprowadzona do nieustannej reprodukcji. A do tego ciągły strach matek. Bo albo po porodzie czekała je śmierć z wycieńczenia i chorób, albo – więzienie lub zabójcza infekcja na skutek spędzenia płodu. Tylko mężczyźni nie ponosili konsekwencji. W prawie karę za aborcję przewidziano wyłącznie dla niedoszłej matki. I to wszystko miał być standard, a nie przykry

wyjątek.

Śmierć wcześniej lub później, ale zawsze zbierała swoje żniwo. Nikogo nie dziwiło, jeśli z dziesiątki dzieci tylko dwójka lub trójka, skarłała i wychudzona, dożywała dorosłości. Tym bardziej nie mogła zaskakiwać śmierć matki. Z szacunków lekarzy wynikało, że od kilku do nawet 50% aborcji kończyło się zgonem kobiety<sup>11</sup>. Wiktor Grzywo-Dąbrowski wspominał, że on jeden: „sekcjonuje do dwustu zwłok kobiet zmarłych [po spędzeniu płodu] na zakażenie krwi [rocznie], a to jest tylko cząstka”<sup>12</sup>. Po kilku zabiegach, powtarzanych co rok lub dwa, tragiczny koniec był niemal nieunikniony. Szczególnie że „skrobankę” wykonywali partacze i oszuści, brudnymi narzędziami, bez żadnej kontroli i bez odpowiedzialności. I tak sytuacja wyglądała nie tylko na prowincji, ale też w nowoczesnej, europejskiej metropolii, za jaką starała się uchodzić Warszawa.

Krzywicka pragnęła wreszcie przerwać znowę milczenia, szczególnie że była to dla niej sprawa bardzo osobista. Własną aborcję opłaciła załamaniem nerwowym. W pojedynkę nie mogła jednak nic zrobić. Jako młoda, początkująca publicystka, a do tego jako kobieta w dziennikarskim świecie mężczyzn nie miała wystarczającej siły przebicia. Dopiero gdy związała się z Tadeuszem Boyem-Żeleńskim, przekonała go, by to on stanął na czele wielkiej kampanii na rzecz „świadomego macierzyństwa”.

Był rok 1929. O aborcji nigdy wcześniej nie debatowano publicznie. Temat poruszali prawnicy i lekarze, ale w swoim gronie i przyciszonym głosem. Nie było ustalonych obozów, postulatów, sloganów. Trudno było stwierdzić, komu wypada głośno wypowiedzieć swoje zdanie, a kto – ze względu na środowisko

polityczne, zawód, orientację światopoglądową – powinien milczeć lub protestować. Początkowo wydawało się zresztą, że za zniesieniem karalności aborcji jest zdecydowana większość społeczeństwa. „Tylko nie trzeba tego fałszywie rozumieć – podkreślał Boy. – Przeciwnicy karalności uważają, tak samo jak inni, przerywanie ciąży za smutną ostateczność, ale sądzą, że nie na drodze sankcji karnych należy przeciwdziałać temu zjawisku, że kodeks karny (...) szkodzi zamiast pomagać”<sup>13</sup>. Wpływowemu publicyście udało się zdobyć poparcie najwybitniejszych lekarzy, społeczników, legislatorów. Aleksander Mogilnicki, były prezes Sądu Najwyższego i członek komisji przygotowującej nowy Kodeks Karny, stwierdził wprost: „Byłbym za dozwoleciem tego zabiegu lekarzom i za pozostawieniem [decyzji] ich etyce lekarskiej”. Prokurator Sądu Apelacyjnego Kazimierz Rudnicki też szybko doszedł do wniosku, że obowiązująca ustawa „wymierzona jest (...) w ludzi biednych”. I że przynajmniej do trzeciego miesiąca ciąży aborcja powinna być dopuszczalna. Dyrektor rządowego Departamentu Opieki Społecznej stanowczo zadeklarował, że regulowanie sprawy aborcji należy „zostawić życiu”. Nawet przeciwnicy zniesienia zakazu – tacy jak doktor Zofia Garlicka czy były minister sprawiedliwości Waław Makowski – opowiadali się za tym, żeby dopuścić aborcję ze względów społecznych<sup>14</sup>. Nikt z nich nie był „zwolennikiem aborcji”. Także określanie w ten sposób Boya lub Krzywickiej zakrawałoby na absurd. Wszystkim chodziło tylko o to, by zniszczyć monstrualnych rozmiarów podziemie aborcyjne. Chroniony przez hipokryzję całego społeczeństwa wrzód, dzięki któremu setki lekarzy i akuserek bezkarnie zbijało fortuny na spędzaniu płodów, a tysiące kobiet – umierało bezsensowną śmiercią.



Względy religijne na tym etapie odgrywały ograniczoną rolę. Boy przez długie tygodnie nie wspominał o nich w swoich manifestach ani razu. Organizacje chrześcijańskie, takie jak Katolicki Związek Polek czy Narodowa Organizacja Kobiet, protestowały przeciwko zmianie przepisów, ale głównie na gruncie ochrony rodziny i siły narodu – a nie życia poczętego. Sceptycy obawiali się dalszego rozluźnienia obyczajów i brania przykładu z ateuszowskiego Związku Radzieckiego. Szczególnie głośno mówiono też o ryzyku zmniejszenia „populacyjnego potencjału” Polski w starciu z Rzeszą Niemiecką<sup>15</sup>. Znacznie ciszej – o względach religijnych i moralnych<sup>16</sup>. Środowiska kościelne do debaty włączyły się na dobre dopiero, gdy Boy i Krzywicka zrobili kolejny krok. Od mówienia o aborcji przeszli do – promowania antykoncepcji. Chodziło o to, by zapobiegać problemowi, a nie tylko walczyć z hipokryzją. Zgodnie z założeniem, że falę nieudolnych skrobanek i dzieciobójstw uda się powstrzymać dopiero, gdy ciąża przestanie być dopustem Bożym, którego kobiety oczekują ze strachem i bezradnością<sup>17</sup>.

Tutaj zgoda nie była już równie powszechna. Prasa prawicowa, a nawet dziennikarze do niedawna podający się za przyjaciół i zwolenników Boya zaczęli zarzucać mu, że propaguje obmierzłe „życie ułatwione”. To był atak bezpardonowy i zupełnie osobisty. Zaczęto kreować Boya na „amoralistę, namawiającego do rozpusty i ułatwiającego tę rozpustę przy pomocy środków antykoncepcyjnych”<sup>18</sup>. A na dodatek na człowieka nawołującego do czynów sprzecznych z naturą. Antoni Słonimski skomentował ten nagły zwrot w dyskusji w charakterystyczny dla siebie, zjadliwy sposób: „A może metafizyczny grzech wobec natury – to nie tylko

stosowanie środków ochronnych? To pewnie także używanie szkieł, a nawet gotowanie owoców, bo przecież usuwa się w ten sposób moment niebezpieczeństwa tyfusu, a zostaje sama rozkosz żarcia”<sup>19</sup>.

Wojna światopoglądowa wybuchła na dobre i trwała aż do końca epoki międzywojennej. Zakaz aborcji pozostał w prawie, choć z zastrzeżeniem, że nie obowiązuje w przypadku gwałtu lub istotnych wskazań medycznych. Ten drobny sukces nie zadowalał organizatora wielkiej akcji na rzecz świadomego macierzyństwa, której poświęcił swoje dobre imię i lata życia. Dla Boya było jasne, że na zmianę skorzystają tylko świętoszkowate elity. Lekarze znajdują przeciwwskazania wtedy, gdy „zajdzie w ciążę panna hrabianka lub kiedy nie chce się dziecka pani bankierowej”<sup>20</sup>. A dla prostych ludzi wszystko zostanie po staremu. Irena Krzywicka wspominała, że Boy pograżył się w letargu, miał poczucie osobistej klęski, na które nakładał się jeszcze zawodowy ostracyzm i problemy finansowe. Nikt nie chciał drukować jego książek, a po latach lukratywnej pracy w „Kurierze Porannym” (zarabiał tam pięć tysięcy przedwojennych złotych miesięcznie!) z trudem udało mu się znaleźć jakiegokolwiek nowe zatrudnienie. Przede wszystkim jednak czuł chyba, że całe zamieszanie, które wywołał, na nic się zdało. Nie była to prawda.

Po pierwsze, debata na temat świadomego macierzyństwa skłoniła lekarzy i społeczników do podjęcia własnej dyskusji. Nie było sensu spierać się o dopuszczalność antykoncepcji bez rozwiązania znacznie trudniejszego, a dzisiaj zupełnie zapomnianego problemu. Dziewięćdziesiąt lat temu pytanie numer jeden brzmiało: czy przed niechcianą ciążą w ogóle można się uchronić? Polscy specjaliści przystępowali do debaty dobrze przygotowani. Mieli kilkadziesiąt lat na

to, żeby gruntownie przemyśleć sprawę. Podczas gdy na zachodzie Europy już u schyłku XIX stulecia głośno rozprawiano o antykoncepcji, w Polsce uparcie był to temat tabu. Jedną z tych „rzeczy, o których się nie mówi”. Aż do 1929 roku o zapobieganiu ciąży można było co najwyżej szeptać. Zamożne kobiety wyciągały odpowiednie wiadomości od swoich drogich ginekologów. Mniej majątne przekazywały sobie zniekształcone porady z ust do ust. Te zupełnie biedne były zdane tylko na ludowe recepty lub na „niezawodne środki” sprzedawane w ciemnej alejce przez szarlatanów.

Wszystko to zaczęło się zmieniać na przełomie dekad, kiedy milczeć przestali Boy i Krzywicka. Od 1929 roku w postępowej prasie pisano o technikach antykoncepcji, a przynajmniej o potrzebie edukowania kobiet w tym zakresie. Pierwsze broszury poświęcone w całości zapobieganiu ciąży trafiły do sprzedaży trzy lata później. Warszawski lekarz Henryk Kłuszyński wydał *Regulację urodzeń. Rzecz o świadomym macierzyństwie*<sup>21</sup>. Inny doktor prowadzący praktykę w stolicy, Herman Rubinraut, opracował *Skuteczne i nieszkodliwe środki zapobiegania ciąży*<sup>22</sup>. W 1933 roku ukazał się także polski przekład pracy najbardziej cenionych niemieckich specjalistów w dziedzinie antykoncepcji – Magnusa Hirschfelda i Ryszarda Linserta z berlińskiego Instytutu Seksuologicznego<sup>23</sup>. Tamy odgradzające kobiety od informacji o dostępnych sposobach świadomego macierzyństwa powoli pękały.

Potężna, prawicowa prasa wypuszczała setki artykułów bijących w propagatorów „życia ułatwionego”. Ale polskie kobiety zagłosowały nogami. Niezależnie od tego, co mówiono, lub co same mówiły – opowiedziały się za antykoncepcją<sup>24</sup>.

## Wielki strach przed bocianem

- Maniu! Ty ciągle jesteś w towarzystwie mężczyzn.
- Czy cię to dziwi, Olu?
- Nie, ale ja boję się zawsze mężczyzn. Podziwiam więc twoją odwagę.
- Ja mężczyzn się nie boję. Boję się tylko dzieci.

Tak brzmiał dowcip opublikowany w 1924 roku przez erotyczne czasopismo „Amorek”<sup>25</sup>. Żart raczej słaby, za to problem – zupełnie realny. Niemal każda kobieta, a już tym bardziej każda uważająca się za „światową” (czyli wyzwoloną), mogłaby powtórzyć za Manią: „Boję się tylko dzieci”. Prasa o bardziej frywolnym charakterze konsekwentnie odmalowywała obraz społecznej fobii łączącej dziesięć milionów Polek. Doskonale oddaje ją wierszyk wydrukowany w 1925 roku przez dwutygodnik „Nowy Dekameron”:

*Na łączkę, kiedy dziewczę z chłopczykiem wiosną mknie,  
Jej uśmiech w żyłach krew trze, termometr w górę mknie.  
Lecz nagle, gdy bociana, zobaczy, cała drży.  
I mówi: „Proszę pana, wracajmy. Omen zły” <sup>26</sup>.*

Tak długo, jak trwał wielki strach przed bocianem, nie mogło być mowy o rewolucji seksualnej. W warstwach inteligenckich, w wielkich miastach, zaczęło się to zmieniać już u schyłku XIX wieku. Jak wyjaśniał Herman Rubinraut, właśnie wtedy do szerokiego użytku weszły „mechaniczne” środki antykoncepcyjne. Bycie żoną i matką nie musiało się już dłużej wiązać z ciągłą grą w ruletkę z własnymi jajnikami. Dla wielu kobiet z warstw inteligenckich był to impuls do

większej wolności. Ale miliony Polek żyjących na wsi, w małych miasteczkach, w dzielnicach robotniczych dopiero za sprawą Boya i Krzywickiej zyskały możliwość decydowania o tym, jak będą wyglądać ich życie i rodzina. I często nawet nie zdawały sobie sprawy, komu to zawdzięczają. W 1931 roku Antoni Słonimski wyjaśniał, skąd biorą się klientki zakładanych pod wpływem Boya poradni świadomego macierzyństwa – placówek pomagających dobrać metodę antykoncepcji lub przygotować się do przemyślanej i odpowiedzialnej ciąży. „Bywają napaści, które są doskonałą reklamą – wyjaśniał publicysta „Wiadomości Literackich”. – Podobno do poradni (...) przyszło już kilkadziesiąt kobiet z ludu, które, pytane, skąd wiedzą o [jej] istnieniu, odpowiadały: »Ano, ksiądz na Grzybowie wyklinał i napominał, że takie poradnie na Lesznie otworzyli«”<sup>27</sup>.

Niepostrzeżenie zmienił się też rynek wydawniczy. W 1932 roku można już było kupić w specjalistycznych księgarniach książki poświęcone metodom antykoncepcji. To jednak była literatura dla fachowców. Mało która prowincjonalna pani domu ośmieliłaby się poprosić sprzedawcę o *Zapobieganie ciąży. Środki i metody*. W połowie dekady już nie musiała tego robić. Porady z zakresu antykoncepcji zaczęto dołączać do zwyczajnych podręczników higieny, a nawet – do rubasznych senników. Wystarczyło kilkadziesiąt groszy i odrobina chęci, a kobieta zyskiwała dostęp do przynajmniej w miarę rzetelnych wytycznych. Jeszcze tylko musiała wybrać najlepszą metodę dla siebie. I tu zaczynały się schody. Autorzy dostępnych broszur nie byli w stanie dojść do porozumienia w niemal żadnym punkcie. Jeśli jedni gloryfikowali dany środek, to inni przestrzegali kobiety, że jego stosowanie prowadzi do ciężkich chorób. Kiedy pierwsi zapewniali

o stuprocentowej skuteczności określonej metody, drudzy wyśmiewali ją jako chałupniczą samoróbkę. Tylko w jednej kwestii panowała zgoda – ciąży można zapobiec. Ale będzie to kosztowne, bolesne i pracochłonne.

---

Pozycje są cytowane przy pierwszym wystąpieniu w danym rozdziale. Data ostatniego dostępu do wszystkich źródeł internetowych to 20 lutego 2015 roku.

1 Marian Sękowski, *Pamiętnik warszawskiego taksówkarza*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1978.

2 Tadeusz Boy-Żeleński, *Rzeczywistość*, w: Tegoż, *Piekło kobiet*, Alfa, Warszawa 1930.

3 Irena Krzywicka, *Wyznania gorszycielki*, Czytelnik, Warszawa 1995.

4 Takie liczby padają jako przykłady w tekstach Boya. Zob. Tadeusz Boy-Żeleński, *Rzeczywistość*, dz. cyt; Tenże, *Życie mówi*, w: Tegoż, *Piekło kobiet*, dz. cyt.

5 Stanisław Czerwiński, *Zabicie płodu i dzieciobójstwo*, „Głos Sądownictwa” 1929, nr 5.

6 Zob. Stanisław Milewski, *Intymne życie niegdysiejszej Warszawy*, Iskry, Warszawa 2008.

7 Cyt. za: Tadeusz Boy-Żeleński, *Życie mówi*, dz. cyt.

8 Por. szacunki z różnych krajów w: Wiktor Grzywo-Dąbrowski, *Przerwanie ciąży z punktu widzenia społecznego, prawnego i lekarskiego*, Książnica-Atlas, Warszawa-Lwów 1926.

9 Cyt. z listu lekarza z prowincji przytoczonego w: Tadeusz Boy-Żeleński, *Życie mówi*, dz. cyt.

10 Tenże, *Błogosławieństwo boże*, w: Tegoż, *Piekło kobiet*, dz. cyt.

11 Zob. zestawienie statystyk np. w: *Skuteczne środki zapobiegania ciąży i zapłodnieniu*, w: G. Standley, *Miłość we śnie. Tłumaczenie snów erotycznych wedle nauki*, Drukarnia Handlowa, Poznań 1933.

12 Cyt. za: Tadeusz Boy-Żeleński, *Życie mówi*, dz. cyt.

13 Tenże, *Argumenty*, w: Tegoż, *Piekło kobiet*, dz. cyt.

14 Tenże, *Życie mówi*, dz. cyt.

15 Zob. np. Kazimierz Fleszyński, *Zagadnienie spędzenia płodu (na tle debaty*

Zjazdowej), „Głos Sądownictwa” 1929, nr 11.

16 Było tak w każdym razie do roku 1931 i do encykliki Piusa XI poświęconej małżeństwu chrześcijańskiemu. Por. Wiktor Grzywo-Dąbrowski, *Spędzenie płodu i dzieciobójstwo według projektu Kodeksu Karnego Komisji Kodyfikacyjnej Rz.-posp. Polskiej*, „Lekarz Polski” 1932, nr 1.

17 Por. Justyna Budzińska-Tylicka, *Świadome macierzyństwo*, Rój, Warszawa 1935.

18 Cyt. za: Irena Krzywicka, *Wyznania gorszycielki*, dz. cyt.

19 Antoni Słonimski, *Nr 32, 9 sierpnia 1931*, w: Tegoż, *Kroniki tygodniowe. 1927–1931*, LTW, Warszawa 2003.

20 Tadeusz Boy-Żeleński, *Paragraf a lancet*, w: Tegoż, *Piekło kobiet*, dz. cyt.

21 Henryk Kłuszyński, *Regulacja urodzeń. Rzecz o świadomym macierzyństwie*, Księgarnia Robotnicza, Warszawa 1932.

22 Herman Rubinraut, *Skuteczne i nieszkodliwe środki zapobiegania ciąży*, Poradnia Świadomego Macierzyństwa, Warszawa 1932.

23 Magnus Hirschfeld, Ryszard Linsert, *Zapobieganie ciąży. Środki i metody*, Księgarnia Lwowska, Lwów 1933.

24 Debata poświęconą aborcji i antykoncepcji celowo tylko sygnalizuję. Można by poświęcić jej całą osobną książkę, nawet grubszą od *Epoki hipokryzji*. Na ten temat por. np.: Magdalena Marcinkowska-Gawin, „*Boyownicy i boyowniczk*”. *Środowisko „Wiadomości Literackich” wobec problemu regulacji urodzeń*, w: *Kobieta i kultura życia codziennego. Wiek XIX i XX*, red. Andrzej Szwarc, Anna Żarnowska, DiG, Warszawa 1997; Dobrochna Kałwa, *Głosy kobiet w sprawie planowania rodziny w świetle prasy z lat 1929–1932*, w: Tamże.

25 *Podśluchane*, „Amorek” 1924, nr 8.

26 *Zły omen*, „Nowy Dekameron” 1925, nr 5.

27 Antoni Słonimski, *Nr 50, 13 grudnia 1931*, w: Tegoż, *Kroniki tygodniowe. 1927–1931*, dz. cyt.

/ Paryskie pończochy gumowe od polskiego Żyda

/

## Narodziny nowoczesnej prezerwatywy

Czym jest kondom? „[To] pochwa z cienkiej gumy, którą mężczyźni wsuwają na prącie przed spółkowaniem i w niej zatrzymuje się nasienie, które następnie wyrzuca się razem z kondonem”<sup>1</sup>. Definicja zawarta w słowniczku dołączonym do opublikowanego w 1933 roku zeszytu *Miłość we śnie* brzmi znajomo. Nie licząc dość kuriozalnej w tym kontekście „pochwy”, reszta właściwie się zgadza. Na temat prezerwatyw można by napisać oczywiście więcej, nawet całe tomy. Ten środek antykoncepcyjny był w użyciu przynajmniej od epoki nowożytnej, a zdaniem niektórych badaczy – od zarania dziejów. Polscy autorzy woleli jednak ograniczać się do absolutnego minimum. Co tu wiele mówić: oni po prostu nie znosili prezerwatyw. I z rozmysłem zniechęcali do ich używania.

Wileński lekarz Feliks Malinowski wyjaśniał rzeczowo w 1935 roku: „Ujemną stroną kondonu jest, że: 1) Podczas spółkowania może pęknąć i odsłonić prącie. 2) Przy tym kondon zmniejsza uczucie lubieżne. 3) Kondon szpeci estetykę aktu płciowego i dlatego większość mężczyzn odrzuca kondon i woli stosować inne środki”<sup>2</sup>. Właśnie pod



punktem trzecim kryje się sedno problemu. Znaczący antykoncepcji niemal jednogłośnie podawali, że seks w gumce to po prostu nie to samo. Autor słowniczka dołączonego do *Miłości we śnie* stwierdził, że: „Członek męski [w prezerwatywie] jest prawie w tym [samym] położeniu co przy onanizmie”. Paweł Klinger był w swoim *Vita sexualis* mniej dosadny, ale w gruncie rzeczy wyraził tę samą myśl. Przypomniał stary dowcip, w myśl którego kondom jako „środek zapobiegawczy” jest tylko pajęczyną. Jednocześnie jednak działa jak najskuteczniejszy pancerz dla jakichkolwiek łóżkowych rozkoszy. „Co się tyczy orgazmu, to wystarczy nawet najcieńsza błonka kondomu, aby sprowadzić to uczucie do zera” – ubolewał<sup>3</sup>.

To samo pisali inni. Zarazem robili jednak wszystko, by wyszukać lepsze argumenty przeciwko prezerwatywom niż sam fakt, że są niewygodne dla mężczyzn. Bądź co bądź ich broszury były adresowane niemal wyłącznie do kobiet. Potrzebowali powodów, które przemówią do nich osobiście.

Henryk Kłuszyński wybrał drogę na skróty. Stwierdził, że pisząc do niewiast, siłą rzeczy nie będzie marnować farby drukarskiej na zgłębianie męskiego tematu kondomów. Tylko w jednym zdaniu zaznaczył, że prezerwatywa „nie jest najpewniejszym środkiem”<sup>4</sup>. Herman Rubinraut ostrzegał z kolei, że na partnerze seksualnym nigdy nie można polegać: „Egoizm i lekkomyślność mężczyzn, jako strony nienarażonej, przemawia za tym, aby środków ochronnych używała kobieta, tym bardziej, że czyni to bez szkody dla swoich przeżyć seksualnych, podczas gdy dla mężczyzny wszelkie z jego strony zabiegi ochronne są dokuczliwe”<sup>5</sup>. Autor słowniczka z *Miłości we śnie* posunął ten tok rozumowania o krok dalej. Przestrzegł, że prezerwatywa

odbiera dobry orgazm także kobiecie, ponieważ: „nie czuje [ona] wytrysku nasienia, pozbawiona więc jest największej rozkoszy przy spółkowaniu”.

W ten sam bęben bił też o dziwo Paweł Klinger. Tyle tylko że zamiast o rozkoszach pisał o zdrowiu. Wyjaśnił, że w ciele kobiety wytwarzają się pewne „substancje toksyczne hormonalnego pochodzenia”. Złowieszcze „ginecyny” zatrują cały organizm, upośledzając zarówno funkcje fizyczne, jak i umysłowe. „Na tę truciznę kobietą zna natura jedną tylko odtrutkę – wyrokował Klinger – spermę”. Trudno o koncepcję lepiej odzwierciedlającą wszystkie archaiczne wyobrażenia, zgodnie z którymi bez seksu i bez męskiego nasienia każda kobieta jest skazana na obłąkanie. Przy okazji jednak – trudno też o mocniejszy argument przeciwko prezerwatywom.

Paniczną niechęć polskich autorów do kondomów można zrozumieć. Przynajmniej do pewnego stopnia. Jeszcze na początku XX wieku używanie gumek, to było doświadczenie niczym z horroru. Pierwsze gumowe prezerwatywy niewiele się różniły od dętek rowerowych. Wykonywano je z grubego, szorstkiego, źle przylegającego do ciała materiału. Miały nawet, tak jak i dętki, biegnący po bokach chropowaty szew. Beczka wazeliny nic by tu nie dała. Wystarczyło kilka pchnięć i powstawały bolesne otarcia. Specjaliści w rodzaju Klingera czy Rubinrauta najwidoczniej jednak przegapili gnającą właśnie naprzód rewolucję. Podobne narzędzia tortur odchodziły do przeszłości, ustępując miejsca nowoczesnej, lateksowej prezerwatywie. Wynalazkowi, który na dodatek miał bardzo polskie korzenie.

## Konkurencja pęka

Za wszystkim stał prosty chłopak z Konina. Izrael From urodził się w biednej żydowskiej rodzinie w 1883 roku. W wieku dziesięciu lat wyemigrował z rodzicami do Berlina przeżywającego wówczas okres gospodarczego boomu. Bardzo młodo się usamodzielniał. Jako dwudziestotrzylatek poślubił swoją narzeczoną, kiedy ta przedwcześnie zaszła w ciążę. Chyba właśnie ta rodzinna komplikacja podsunęła mu pomysł życia. Pracował nad nim cierpliwie w swoim małym warsztacie w najbiedniejszej, robotniczej dzielnicy miasta. W międzyczasie sprzedawał prowizoryczne gumowe akcesoria i tanie perfumy. Przeistoczył się też z polskiego Żyda Izraela w asymilowanego Niemca – Juliusa Fromma. Wreszcie w 1916 roku złożył w niemieckim urzędzie patentowym wniosek, który miał na zawsze odmienić oblicze seksu. Jak wyjaśniają autorzy jego biografii, Götz Aly i Michael Sontheimer, Fromm uczynił niemal to samo, co twórcy antykoncepcji hormonalnej pięćdziesiąt lat później: „skutecznie oddzielił fizyczne pragnienia i miłość od reprodukcji”<sup>6</sup>.

Z wielomiesięcznych eksperymentów zrodził się zupełnie nowy rodzaj prezerwatywy. Cienkiej, wygodnej, bezszwowej i taniej w produkcji. Tak właśnie powstały „Fromms Act” – pierwsze markowe kondomy z lateksu na świecie. Pomimo szykan ze strony niemieckiego kościoła i niechętniej postawy władz wynalazek Fromma zdobył oszałamiającą popularność. Już w 1919 roku jego fabryki produkowały sto pięćdziesiąt tysięcy „Frommsów” dziennie. Czyli przynajmniej czterdzieści, czterdzieści pięć milionów rocznie. Prawie dwa razy więcej, niż wynosiła ludność całej II Rzeczypospolitej. Wprawdzie w latach

trzydziestych Fromm został zmuszony do odsprzedania swojego kondomiarskiego imperium matce chrzestnej Hermanna Göringa, jednak stworzony przez niego proces technologiczny przetrwał całe dekady. Aż do upadku muru berlińskiego prezerwatywy produkowane w Niemczech Wschodnich niewiele różniły się od klasycznych „Frommsów”. I tak jak one były od środka posypywane talkiem.

Imigrant z Konina stworzył w Niemczech zupełnie nową gałąź przemysłu. W krok za „Frommsami” pojawiły się dziesiątki innych marek. Magnus Hirschfeld i Ryszard Linsert, autorzy pracy *Zapobieganie ciąży. Środki i metody*, wymienili między innymi: „Krokodila”, „Domino”, „Herkulesa”, „NeverRipa”, „Optimosa”, „Mikado” i „Penzerette”. Jak widać, dzisiejsi producenci kondomów mogliby wziąć przykład z tych przedwojennych i nieco urozmaicić nazewnictwo. Określeń na prezerwatywy jako takie też było prawdziwe zatrzęsienie. Cytowani wyżej specjaliści wspominają między innymi o „ochraniaczach”, „kondonach” (przed wojną równie często pisano to słowo przez „n”, co przez „m”), „paryskich pończochach gumowych” czy po prostu – „gumkach”. Podobno Francuzi nazywali prezerwatywy „płaszczami angielskimi”. Anglicy z kolei – „listami francuskimi”<sup>2</sup>. Sprawa zupełnie jak z pierogami ruskimi. Na Ukrainie też je jedzą. Tyle tylko, że tam są to pierogi polskie.

Sukces „Frommsów” wynikał między innymi z prostoty ich użycia. Wbrew pozorom w czasach, gdy prezerwatywy bardziej kojarzyły się z oponami samochodowymi niż z upojną nocą, nie było to takie oczywiste. Tymczasem ulotka dołączana do słynnych akcesoriów Juliusa Fromma (promowanych hasłem: „*Die Konkurrenz platzt*” – Konkurencja pęka) rzeczywiście nie pozostawiała żadnych wątpliwości:

*Prezerwatywę „Fromms Act” naciąga się na członek w ten sposób, że na szczycie pozostaje jeszcze przestrzeń wolna na szerokość kciuka. Przed aktem zwilża się prezerwatywę wodą, przez co osiąga się wrażenie naturalności oraz ochronę gumy od pęknięcia przy suchej pochwie. Przestrzegamy przed użyciem śliny zamiast wody.*

Aż trudno sobie wyobrazić, ile trzeba byłoby śliny do skrupulatnego nawilżenia z dwóch stron całej prezerwatywy. No ale – upomniany klient, to bezpieczny klient. Nieoficjalnie polecano zresztą raczej tłuszcze niż zwykłą wodę. N.J. Safonow, autor książki *Mężczyzna i kobieta w życiu płciowym*, sugerował na przykład, by gumki smarować świeżą słoniną<sup>8</sup>.

Producent wyliczał tymczasem jeszcze kilka zaleceń dotyczących codziennego użytkowania:

*Przechowywać należy je w ciemnym, przewiewnym i chłodnym miejscu. Unikać wilgoci (...). W portfelu lub w kieszeni od kamizelki niszczy się nawet najlepsza guma, bo podlega promieniowaniu ciepła ciała ludzkiego. Najlepiej pozostawić nasze prezerwatywy w ich przewiewnym opakowaniu, a jeżeli wypada nosić je przy sobie, to w zewnętrznej kieszeni surduta (...).*

*Przy zakupie nie należy się wstydzić, lecz żądać stale tylko świeżego towaru!*



Julius Fromm. Polski Żyd z Konina i wynalazca pierwszej nowoczesnej prezerwatywy.

Cytat pochodzi z niemieckiej wersji ulotki<sup>9</sup>. Polska – jeśli dystrybutorzy w ogóle takową dołączali – musiała wyglądać podobnie. Dzisiaj trudno to sprawdzić, bo rynek kondomów w II Rzeczypospolitej był rozproszony i pozbawiony jakiejkolwiek kontroli. Pozostał po nim ślad w postaci najrozmaitszych reklam prasowych. Prezerwatywy sprzedawano przede wszystkim jako środki zapobiegające chorobom wenerycznym, a nie ciąży, tak więc nie były na cenzurowanym nawet w latach dwudziestych.

**Choć jest bieda, to bez „Olla” żyć się nie da**

„MILION DOLARÓW warta jest pewność prezerwatyw nabytych

w Perfumerii S. Federa, SYKSTUSKA 7 (...). Kto zaś jeszcze w to wątpi, raczy się sam przekonać” – zachęcał lwowski drogerzysta. Inny sprzedawca wołał straszyć: „Od najgorszych Pląg Ludzkości Chroni Jedynie 100% pewna prezerwatywa Ultra”. Szczególnie intensywnie promowano produkty marki „Olla” („Olla-Gum”). Frywolne hasła i wierszyki łatwo zapadały w pamięć. „Choć jest kryzys, choć jest bieda, lecz bez »Olla« żyć się nie da!” – krzyczała jedna z reklam. „Kto zdrowie szanuje, ten »Olla« kupuje” – dodawano w innej. Zabawne slogany wychodziły poza szpalty gazet. Nawet na ulicach zaczęto podśpiewywać sparodiowaną wersję słynnego *Sex-appealu* Eugeniusza Bodo: „Olla-Gum to nasza broń kobieca, Olla-Gum to coś, co was podnieca...”<sup>10</sup>.

Wielkiej kampanii reklamowej dawali się porwać także gimnazjaliści. Stanisław Grzesiuk, pisarz z warszawskiego Czerniakowa, wspominał, że pewnego razu w szkole „ktoś narysował na tablicy Piłsudskiego, a drugi dopisał pod rysunkiem: »Nawet marszałek używa Olla gum«. Co to była za chryja! Wzywali wszystkich kolejno do kancelarii”<sup>11</sup>.



Reklamy prasowe przerwatyw „Olla”.

Z przerwatywami wiąże się także głośny, a zarazem zagadkowy slogan „Prędzej serce ci pęknie”. Przeróżni publicyści wyjaśniają, że jest to przedwojenne hasło reklamowe – i to jedno z najpopularniejszych w całej epoce. Zajmował się nim „Focus”, „Wprost”, „Puls Biznesu”, a nawet współczesne podręczniki marketingu<sup>12</sup>. Informacje o pomysłowym sloganie są jednak zadziwiająco sprzeczne. Według jednych wymyślił go geniusz reklamy Melchior Wańkowicz – odpowiedzialny także za takie one-linery, jak „Cukier krzepi” czy „LOT-em bliżej”. Literatura fachowa raczej tego nie potwierdza.



Przykładowo Ryszard Walczak, autor pracy *Prawne aspekty reklamy*, podaje tylko, że wymienione „niekonwencjonalne reklamy” powstały w podobnym czasie. Biografie Wańkowicza również milczą w sprawie pękającego serca. Trudno nawet ustalić, co właściwie promował cytowany slogan: prezerwatywy „Eros”, „Polgum” czy „Olla”. Każda z tych wersji pozostaje w obiegu<sup>13</sup>. Jak na rzekomo tak sławne hasło, „Prędzej ci serce pęknie” okazuje się wyjątkowo nieuchwytnie. Sytuację jeszcze bardziej komplikuje felieton Stanisława Sapocińskiego z 1938 roku<sup>14</sup>. Ten popularny łódzki dziennikarz i satyryk żartował sobie na łamach „Echa”: „Na przykład wpadłem niedawno na świetny pomysł nazwy reklamowanych »środków ochronnych«. Na kopertach należy umieścić następujący napis: »Prędzej ci serce pęknie!«”. Z tekstu jasno wynika, że autor o żadnej wielkiej kampanii z wykorzystaniem tego samego sloganu nie słyszał. Podkreślił nawet: „Prawa autorskie zastrzeżone! To tak na wszelki wypadek. Może ktoś zechce skorzystać, a ja będę stratny. Ludzie przecież niechętnie tracą. Każdy woli zyskać”<sup>15</sup>. Pytanie, czy ktoś zyskał kosztem Sapocińskiego, pozostaje otwarte.

W każdym razie liczba punktów sprzedających prezerwatywy rosła z roku na rok. Autor adresowanego do szerokiego odbiorcy mini-poradnika *Skuteczne środki zapobiegania ciąży i zapłodnieniu* wyjaśniał zdawkowo: „Kupować zawsze droższe i lepsze gatunki. To się opłaci. Dostać można w aptekach lub drogeriach”<sup>16</sup>. Już od lat dwudziestych prowadzono także handel wysyłkowy kondomów. Reklama zamieszczona w ogólnopolskim tygodniku „Światowid” zachwalała produkty marki „Panzerette”: „GUMA HYGJEN stanowi zupełną nowość. Aby każdy mężczyzna mógł się przekonać, wysyłamy

za przedstawieniem poniższego kuponu 1 sztukę BEZPŁATNIE”<sup>17</sup>. Za kolejne egzemplarze i opakowania trzeba już było słono zapłacić. A jak podkreślał Herman Rubinraut, gumowe prezerwatywy do tanich środków nie należały. Według ogłoszeń prasowych tuzin gumek kosztował od czterech do nawet dwunastu ówczesnych złotych.

Mniej zamożni klienci mogli postawić zamiast tego na wersję *classic*. W sklepach wciąż znajdowały się naturalne prezerwatywy wielokrotnego użytku. N.J. Safonow jeszcze w 1935 roku instruował: „W sprzedaży nazywają je prezerwatywami z rybiego pęcherza, aczkolwiek w rzeczywistości wyrabiane są z owczych jelit. Prezerwatywy te sprzedawane są nie zwinięte, lecz w postaci woreczków. Są one trwalsze od gumowych”. Dla pewności dobrze było użyć dwóch kondomów naraz. Berliński higienista Alfred Grotjahn dokładnie opisał, jak osiągnąć zamierzony skutek: „Prezerwatywę zwilża się dobrze wodą, następnie naciąga luźno na członek. To samo czyni się z drugą prezerwatywą, którą należy też nieco natłuszczyć. Po użyciu przepłukuje się obie prezerwatywy, po czym bada ich szczelność. Następnie wypycha się każdą z nich gładkim sukniem i tak suszy”<sup>18</sup>.

Może i doznań erotycznych nie będzie żadnych – ale za to pewność niemal stuprocentowa.

---

Pozycje są cytowane przy pierwszym wystąpieniu w danym rozdziale. Data ostatniego dostępu do wszystkich źródeł internetowych to 20 lutego 2015 roku.

<sup>1</sup> G. Standley, *Miłość we śnie. Tłumaczenie snów erotycznych wedle nauki*, Drukarnia

Handlowa, Poznań 1933.

2 Cyt. za: Aleksander Parczewski, *Życie płciowe kobiety. Tajemnice (bólczki) małżeńskie. Co? – co? – co? Co panna przed ślubem, mężatka po ślubie wiedzieć powinna!*, nakł. autora, Warszawa 1935.

3 Paweł Klinger, *Vita sexualis. Prawda o życiu płciowym człowieka*, Księgarnia Karola Neumillera, Łódź 1930.

4 Henryk Kłuszyński, *Regulacja urodzeń. Rzecz o świadomym macierzyństwie*, Księgarnia Robotnicza, Warszawa 1932.

5 Herman Rubinraut, *Skuteczne i nieszkodliwe środki zapobiegania ciąży*, Poradnia Świadomego Macierzyństwa, Warszawa 1932.

6 Götz Aly, Michael Sontheimer, *Fromms. How Julius Fromm's Condom Empire Fell to the Nazis*, Other Press, 2009.

7 Magnus Hirschfeld, Ryszard Linsert, *Zapobieganie ciąży. Środki i metody*, Księgarnia Lwowska, Lwów 1933.

8 N.J. Safonow, *Mężczyzna i kobieta w życiu płciowym. Przewodnik dla doskonałych małżeństw*, Księgarnia Popularna, Warszawa 1935.

9 Cyt. za: Magnus Hirschfeld, Ryszard Linsert, *Zapobieganie ciąży...*, dz. cyt.

10 Marian Feldman, *Z Warszawy przez Łuck, Syberię, znów do Warszawy*, „[Lulu.com](http://Lulu.com)” 2009.

11 Stanisław Grzesiuk, *Boso, ale w ostrogach*, Książka i Wiedza, Warszawa 1972.

12 Zob. np. Artur Górski, *Reklama krzepi*, „Focus.pl”, 29 maja 2010; Jacek Zalewski, *Stomil – przedwojenny monopolista*, „Pb.pl”, 28 listopada 2014; Małgorzata Michalik, Henryk Mruk, Bogna Pilarczyk, *Marketing strategiczny na rynku farmaceutycznym*, Wolters Kluwer, Warszawa 2011.

13 Zob. np. Ryszard Walczak, *Prawne aspekty reklamy w ustawodawstwie polskim, europejskim i międzynarodowym: orzecznictwo*, Iuris, 2001; Paweł Rzewuski, *Warszawa – miasto grzechu: Prostytucja w II RP*, Promohistoria, Warszawa 2014.

14 Zob. Artur Ossowski, *Stanisław Sapociński (1904–1939). Pozostało pióro i bilet...*, „Biblioteka Kroniki Miasta Łodzi” 2013, t. 10.

15 Jerzy Krzycki [pseudonim Stanisława Sapocińskiego], *Kraterczki. Sobota w niedzielę. Wygrana stawka*, „Echo”, 9 kwietnia 1938, nr 99.

16 *Skuteczne środki zapobiegania ciąży i zapłodnieniu*, w: G. Standley, *Miłość we śnie*, dz. cyt.

17 Cytowane w rozdziale ogłoszenia reklamowe pochodzą także m.in. z „Głosu Porannego” i „Ilustrowanego Kuryera Codziennego”.

18 Cyt. za: Magnus Hirschfeld, Ryszard Linsert, *Zapobieganie ciąży...*, dz. cyt.

/ Chemia gospodarcza w twojej pochwie /

## **Początki kobiecej antykoncepcji**

„Nie chcesz zachorować? Zawsze zakładaj czapeczkę”. Brzmi jak porada dla przedszkolaków? Niekoniecznie. Przedwojenni specjaliści z powodzeniem rozciągnęli powyższą zasadę także na życie płciowe, polecając pacjentkom tak zwane pesaria. Dzisiaj te osobliwe prezerwatywy dla kobiet funkcjonują na absolutnym marginesie nowoczesnej antykoncepcji, a XXI-wieczny *pessar* to przede wszystkim narzędzie medyczne, stosowane w przypadku ciąży zagrożonej. Przed wojną sytuacja wyglądała zgoła inaczej. Żaden środek antykoncepcyjny nie występował w równie wielkiej liczbie odmian i pod takim zatrzęsieniem marek, co właśnie pesarium.

Magnus Hirschfeld i Ryszard Linsert porachowali, że w samych tylko Niemczech opatentowano osiemdziesiąt aparatów tego rodzaju<sup>1</sup>. Do tej liczby należałoby dodać kolejne kilkadziesiąt, mniej lub bardziej szalonych wariacji na temat pesarium oraz wszystkie podejrzane ersatze rozprowadzane przez pokątnych handlarzy. Różnorodnych pesariów musiały więc być setki. I to mimo że stojąca u ich podstawy idea była wyjątkowo prosta. Chodziło o zamknięcie drogi pomiędzy pochwą kobiety i macicą, tak by żaden plemnik nie mógł prześliznąć się do środka. Pomysł ten znajduje doskonałe odzwierciedlenie w polskich,

fachowych określeniach na pesarium. Dla Henryka Kłuszyńskiego były to „czapeczki ochronne”<sup>2</sup>. Dla Hermana Rubinrauta – po prostu „zatykadła”<sup>3</sup>.

W użyciu było przede wszystkim tak zwane pesarium miękkie. Autor *Skutecznych i nieszkodliwych środków zapobiegania ciąży* opisał je następująco: „wygląda jak czapeczka, jak pół gumowej piłeczki”. Zastosowanie środka było zdaniem wszystkich polecających go autorów bajecznie proste. W *Zapobieganiu ciąży. Środkach i metodach* autor zapewniał: „W praktyce mojej spotkałem tylko cztery kobiety, które nie mogły, czy nie chciały, wyuczyć się sposobu używania tego aparatu”.

Cały proces został zwięźle opisany przez Hermana Rubinrauta: „Aby nałożyć pesarium trzeba dwoma palcami wymacać szyjkę macicy, ów twarde wyrostek, który tkwi na dnie pochwy, jak korek w butelce”. Na korek należy nałożyć czapeczkę – i to już wszystko. Zamontowana na niej sprężyna zegarowa sama zadba, aby mechanizm pozostał na swoim miejscu. A przynajmniej: powinna zadbać.

Czapeczkę można pozostawić przez całą noc, a wyjąć dopiero rano. Ważne tylko, by nie zostawiać jej na stałe. Doktorzy Hirschfeld i Linsert tłumaczyli, że to jak ze sztucznymi zębami – ich też nie trzyma się w ustach bez przerwy i bez czyszczenia. „Szkłanka, miska i ciemny kąk wystarcza, aby wykonać zabieg szybko i dokładnie, nie będąc przez nikogo zauważoną” – zapewniał swoje czytelniczki Herman Rubinraut, przytomnie odnotowując, że wiele kobiet ukrywało fakt stosowania antykoncepcji przed swoimi mężami. Jedno pesarium, regularnie czyszczone i niezbyt intensywnie używane, miało starczyć nawet na kilka lat. Można je było zakładać i ściągać zupełnie samodzielnie i tylko

za pierwszym razem potrzebna była interwencja lekarza, by dobrać właściwy rozmiar.

## **Jak korek w butelce**

W sprzedaży znalazły się także tak zwane pesaria twarde – przeznaczone dla kobiet, którym zakładanie i ściąganie „zatykadła” przy okazji każdego stosunku wydawało się zbyt uciążliwe lub zbyt niepewne. Bądź co bądź sukces zabezpieczenia w niebagatelnym stopniu zależał od zręczności użytkownika. Twarde pesaria zakładał lekarz po każdej menstruacji. Rola kobiety ograniczała się do zdjęcia czapeczki „przed periodem” i umówienia wizyty u ginekologa. Z pozoru wszystko wyglądało niemal tak prosto, jak przy pesariach gumowych. Różnica polegała na tym, że zamiast zakrywać szyjkę macicy – zamykały ją. „Modele twarde wytwarzane są przeważnie ze srebra, z aluminium, z cellulozy. Mają formę miseczki, którą nakłada się na szyję maciczną, jak napastrzek na palec” – wyjaśniał Henryk Kłuszyński. Autorzy *Zapobiegania ciąży* tłumaczyli z kolei, dlaczego przy pesariach twardych konieczna jest interwencja lekarza. Chodziło nie tylko o zagwarantowanie skuteczności, ale też – o zniwelowanie frustracji. Kapturek tego rodzaju: „Wygląda jak kapelusz męski. Jakkolwiek łatwo jest nasadzić kapelusz na głowę, to jednak trudniejszą jest sprawa z nasadzeniem kapelusza na szyjkę macicy”.

Napastrki i meloniki? Nie brzmi to wszystko szczególnie groźnie, a ginekolodzy bez większych oporów stosowali opisany zabieg u tysięcy kobiet. Dopiero w latach dwudziestych pojawiły się pierwsze głośne protesty. Wreszcie ktoś zauważył, że trzymanie przez miesiąc

ostrego, twardego i podatnego na złamania kawałka metalu wewnątrz jednego z najczulszych organów ciała niekoniecznie jest dobrym pomysłem.

Henryk Kłuszyński przyznawał, że pesarium twarde może powodować „podrażnienia, zapalenia, upławy cuchnące”. Zaraz jednak zaczął uspokajać, że ranki szyjki macicy nie mają rzecz jasna „nic wspólnego z rakiem”. „Wspominam o tym, ponieważ wielu osobom zależy na rozgłaszaniu opinii o szkodliwości środków zapobiegawczych. Nawet pesaria twarde większych szkód nie wyrządzają” – podkreślał. Inni lekarze szli tym samym tropem: aby nie zaciemniać obrazu sytuacji i nie dawać przeciwnikom antykoncepcji broni do ręki, woleli udawać, że problemu nie ma. Ten jednak był i to z każdym rokiem coraz większy.

Do sprzedaży trafiały kolejne innowacyjne wynalazki. Można by określić je mianem morderczych prototypów współczesnej wkładki wewnątrzmacicznej. Na temat jednego z nich, „aparatu z Silku”, Aleksander Parczewski pisał w broszurze *Życie płciowe kobiety*:

*Dr Pust z Jedny wprowadził aparat w postaci gwiazdki z cienkich nitek jedwabnych, przytwierdzonych do szklanego guzika ze specjalnego gatunku szkła (...).*

*Po wprowadzeniu aparatu „Silku” do macicy kobieta zaczyna odczuwać uczucie ucisku niekiedy nawet ostrego bólu, następnie zjawiają się uporczywe bóle i stałe krwawienie. Na tle chronicznego podrażnienia błony śluzowej macicy przez aparat silkowy wytwarzają się: a) polipy maciczne; b) a nawet czasem złośliwe nowotwory<sup>4</sup>.*

Podobnie działały „grzybki”, nazywane też „spinkami”. Od zwykłych

pesariów różniły się tym, że od „kapelusza” biegła w głąb macicy długa „nóżka”. Hirschfeld i Linsert ostrzegali, że stosowanie tych mechanizmów „pociąga za sobą ciężkie, a nawet śmiertelnie przebiegające schorzenia miejscowe i ogólne”.

„Znaczna ilość kobiet stosowała środki te z bezsprzecznie dobrym skutkiem. Niektóre natomiast musiały szukać pomocy lekarskiej, gdyż długotrwały ucisk wywierany przez ciało obce na błonę śluzową lub obrażenia narządów przy wprowadzaniu instrumentu groziły im ciężkimi uszkodzeniami zdrowia” – pisali dalej. Herman Rubinraut, najbardziej poważany wśród polskich specjalistów od antykoncepcji, bez wątpienia znał tę opinię, ale sam żadnego problemu nie dostrzegał. Na temat środków wewnątrzmacicznych pisał, iż „dowodzione zostało, że w normalnych warunkach nie wywołują stanów zapalnych”, a poza tym „przewyższają wszystkie inne [metody]”. I bądź tu człowieku mądry.

Mimo coraz liczniejszych ludzkich tragedii oraz oczywistych przeciwwskazań „grzybki”, „silki” i „naparstki” biły rekordy popularności. Zamiast zareagować na głosy krytyki i wycofać inwazyjne środki ze sprzedaży, ich producenci szukali coraz to nowych dróg rozwoju. Wprowadzono na przykład metalowe pesarium przeznaczone do nieprzerwanego uciskania szyjki macicy. Kobieta nie musiała go nigdy ściągać. Należało tylko pamiętać, żeby przed menstruacją otworzyć paznokciem specjalny zaworek. Tym samym jeden problem zastąpiono drugim. Groźba zranienia ciała przy manipulowaniu krążkiem znikła, a na jej miejsce wszedł chroniczny stan zapalny<sup>5</sup>.

Mnogość bolesnych i niebezpiecznych metod może tłumaczyć,



dlaczego kobiety wciąż sięgały po bardziej tradycyjne rozwiązania. Były to przede wszystkim przeróżne tampony antykoncepcyjne – swoiste „zatykadła” w wersji *light*. Tak zwane tampony Krulla opisali autorzy *Zapobiegania ciąży*: „Są to gąbki morskie lub gumowe, wielkości jaja kurzego, osłonięte lekko muślinem lub fazą, poza tym napojone płynem i wprowadzane do pochwy”. Częściej tampony wytwarzano po prostu z waty. W wersji aptekarskiej były to „kłębki otoczone delikatną siateczką nicianą”. W chałupniczej – zbita garść zwyczajnej, sklepowej waty. Skuteczność zarówno pierwszych, jak i drugich była śladowa. Trudno też uznać te preparaty za szczególnie higieniczne. Henryk Kłuszyński stwierdził brutalnie: „Wiemy z doświadczenia, że tampon znajdujący się w pochwie przez kilka godzin nabiera odrażającego zapachu”.

Przynajmniej ten zapach nie zabijał. Albo raczej – nie miał prawa zabijać aż do chwili nasączenia waty środkami plemnikobójczymi.

## **Bakterie zginą. Plemniki też**

W wojnie z męskim nasieniem nie obowiązywały żadne konwencje haskie. Wytwórcy środków antykoncepcyjnych byli gotowi sięgnąć nawet po najmocniejsze i najbardziej wyniszczające środki – byle osiągnąć zamierzony skutek. Lub przynajmniej sprzedać produkt. Listę kilkunastu substancji chemicznych najczęściej stosowanych dopochwowo w celu zapobiegania ciąży podał w *Regulacji urodzeń* Henryk Kłuszyński. Niektóre brzmią niegroźnie – kwas borny (borowy) czy kwas mlekowy występują naturalnie w układzie rozrodczym kobiety. Od innych – włos jeży się na głowie. To między

innymi przeróżne preparaty rtęciowe w rodzaju sublimatu, kwas salicylowy, mrówczany (mrówkowy), lysol (lizol). Każdy z nich miał skutecznie mordować albo przynajmniej obezwładniać plemniki.

Sublimat to bardzo silny środek dezynfekujący, a zarazem – trucizna. Mieszkańcy przedwojennej Polski doskonale zdawali sobie sprawę z tej drugiej właściwości. Wypicie sublimatu stanowiło jedną z najczęstszych metod samobójstwa i wzmianki o podobnych wypadkach niemal codziennie trafiały do gazet. W mniejszym stężeniu sublimat podany doustnie wywołuje ślinotok, krwawą biegunkę, przyspieszone tętno i uszkodzenia układu nerwowego. Łatwo wchłania się także przez błony śluzowe<sup>6</sup>.

Lysol to przynajmniej równie toksyczny, żrący dla skóry środek. Dawniej stosowano go do czyszczenia toalet, wyszedł jednak z użycia ze względu na swój intensywny, przyprawiający o mdłości zapach. Przy zetknięciu z błoną śluzową pochwy (lub dowolną inną partią ciała) wywołuje bolesne podrażnienia i piekące bąble. W zbyt dużym stężeniu może prowadzić do poparzeń, a nawet śmierci. Moda na lysol jako środek antykoncepcyjny przywędrowała do Polski ze Stanów Zjednoczonych. Za oceanem był to w epoce wielkiego kryzysu najpopularniejszy i najszerzej promowany preparat przeciwciażowy. Ze względu na obowiązujące przepisy lysol reklamowano niejednoznacznie jako środek do „higieny kobiecej” przeciwdziałający „strachowi przed kalendarzem”. Mimo to Amerykanie wydawali na tę oraz pokrewne substancje dwieście milionów dolarów rocznie. I najwidoczniej nikomu nie przeszkadzał fakt, że co najmniej kilkaset osób umarło po użyciu lysolu<sup>7</sup>. W Polsce podobne restrykcje nie obowiązywały. Otwarcie pisano o lysolu (lizolu), że jednocześnie

można nim dezynfekować sedes i chronić się przed ciążą.

Na tym tle kolejne substancje z listy wydają się wręcz niewarte wzmianki. Kwas mrówkowy dopiero w większym stężeniu jest żrący dla błon śluzowych, wywołuje wymioty i zawroty głowy. Kwas salicylowy także ma żrące właściwości – zresztą do dzisiaj używa się go na przykład do wypalania brodawek.

## **Konieczny rynsztunek toaletowy**

„Środki te stosuje się w tabletkach, kulkach, pigułkach, czopkach, maściach i w innych postaciach” – wyjaśniał Henryk Kłuszyński, szybko przechodząc do podstawowej zalety wszelkich metod chemicznych. „O ile preparat jest niewielkich rozmiarów, można go łatwo i niepostrzeżenie wprowadzić do pochwy przed spółkowaniem” – podkreślił. Producentom środków antykoncepcyjnych ten akurat walor wcale nie odpowiadał. Woleli preparaty kosztowne i skomplikowane. Nic dziwnego, że na rynku był dostępny cały asortyment narzędzi służących do skutecznego wprowadzania morderczego proszku, globulki lub maści w zamierzone miejsce. Magnus Hirschfeld i Ryszard Linsert opisali jeden z takich rozpylaczy na kartach *Zapobiegania ciąży*:

*Przyrząd składa się z balonika gumowego, który wdmuchuje proszek do wziernika. Wziernik jest zaopatrzony w kilka otworów, przez które proszek ten przedostaje się do pochwy. Aby proszek nie zatykał otworów, otacza wziernik czteroramienna korona druciana, która za pokręceniem śrubki rozszerza się kielichowato, przez co wyrównuje fałdzistą błonę śluzową, umożliwiając równomierne*

### *działanie proszku.*

Podobny gadżet nie był obowiązkowym rekwizytem pani domu. Ta jednak powinna bezwzględnie posiadać na podorędziu inne intymne urządzenie: irygator.

Właściwie każda polska broszura zalecała, by kobiety pragnące zabezpieczyć się przed ciążą dokładnie przemywały pochwę zaraz po stosunku, tak by wypłukać z niej spermę. Autor miniporadnika *Skuteczne środki zapobiegania ciąży i zapłodnieniu* stwierdził wręcz, że stawia tę metodę antykoncepcyjną „na pierwszym miejscu”<sup>8</sup>. Brytyjskimi badaniami, według których „stosowanie wszelkich natrysków w 73,5% zawiodło”, nikt się nie przejmował<sup>9</sup>.

Do przepłukiwania służył przyrząd opisany szczegółowo przez Hirschfelda i Linserta: „Jest to naczynie blaszane, emaliowane, porcelanowe, szklane lub gumowe, o pojemności dwóch-trzech litrów. Na dnie tego znajduje się ściek, do którego jest przytwierdzony wąż gumowy, długości około dwóch metrów. Na końcu węża jest umieszczona kanka [konewka – przyp. KJ] ze szkła lub z gumy”. Z opisu jasno wynika, że nie było to ani urządzenie szczególnie małe, ani dyskretne. Ale też – nie musiało takie być. W przeciwieństwie do prezerwatyw czy pesariów nikt nie wstydził się kupować irygatora, będącego zarazem narzędziem antykoncepcyjnym, jak i higienicznym. Z polskich broszur, które konsekwentnie pomijają jakąkolwiek definicję tego aparatu, można wręcz wyciągnąć wniosek, że funkcjonowanie irygatora było oczywiste dla zwyczajnej kobiety. A większość pewnie nawet posiadała własny. Potwierdzają to poniekąd słowa Pawła Klingera: „Irygator powinien należeć do koniecznego rynsztunku toaletowego każdej niewiasty”.

Dzisiejszym czytelniczkom, dla których sprawa może być nieco mniej oczywista, z pomocą przychodzi instruktaż sporządzony przez Marię Winter w 1927 roku:

*Siada się na miednicy, przyciąga kolana do brzucha i opiera się grzbietem o ścianę. Następnie zwalnia się wąż gumowy z ucisku, opuszcza się trochę wody do miednicy i wprowadza kankę tak głęboko do pochwy, aż natrafi na opór, potem cofa się ją nieco, aby woda mogła swobodnie wpływać. Poleca się również zewrzeć silnie ręką wargi sromowe, aby woda nie odpłynęła. W ten sposób rozciąga ona pochwę i wnika w każde wgłębienie. Następnie rozkłada się nogi, aby woda powoli odpływała. Kilkakrotne powtarzanie tego zabiegu wypłukuje dokładnie nasienie męskie<sup>10</sup>.*

Podobnie jak przed stosunkiem, także w trakcie irygacji stosowano przeróżne środki chemiczne. Paweł Klinger pisał w *Vita sexualis* między innymi o occie drzewnym i nadmanganianie potasu<sup>11</sup>. Henryk Kłuszyński zalecał ze swojej strony jedną „łyżeczkę kawową” esencji octowej lub „jakiś silny środek dezynfekujący”. Czyli wszystko to, co opisałem już powyżej.

W przypadku octu sprawa była prosta. Wystarczyło pójść do sklepu spożywczego. Kupienie złożonych preparatów chemicznych nastęczało w Polsce więcej kłopotu. Jak wyjaśniał Herman Rubinraut: „preparatów tych, jak i znanych nam preparatów amerykańskich, trudno u nas dostać, a przy tym są one bardzo drogie”. Dla kobiet był to problem, ale też błogosławieństwo. Polki w znacznie mniejszym stopniu niż na przykład Niemki były narażone na przekręty chciwych sprzedawców i producentów. Hirschfeld i Linsert podają w swojej pracy przykłady iście paskarskiego podejścia do cen. Wiele preparatów

antykoniecznych rozprowadzano w detalu za kwoty zawyżone dziesiątki, a nawet setki razy. Z drugiej strony skład chemiczny zachwalanych preparatów pozostawał najczęściej słodką tajemnicą ich wytwórców. Próby kontroli ze strony lekarzy prowadziły zwykle do ponurych wniosków. W jednym z popularnych środków znaleziono na przykład „glony i drobne robactwo”.

Ludzie podający się za genialnych wynalazców bezdusznie żerowali na strachu i desperacji kobiet, szukających niezawodnego sposobu na uchronienie się przed ciążą. Takich delikwentów nie brakowało również w Polsce. Niejaki Aleksander Parczewski, warszawski doktor specjalizujący się w ekspresowym leczeniu każdej dolegliwości, od impotencji, przez łysienie, po samogwałt<sup>12</sup>, zalecał jedyny skuteczny środek antykoncepcyjny: „Maść Doktora Parczewskiego”. Nie dość, że zapobiegała ciąży, to jeszcze chroniła przed wszelkimi chorobami wenerycznymi. Bez żadnych pesariów i bez kondomów. Podobno broszura promująca niesamowitą maść rozeszła się w trzystu tysiącach egzemplarzy. Podobno samej maści kupowano miesięcznie trzysta tysięcy tubek. „W Polsce i Za granicą, szczególnie w Ameryce” – zachwalała reklamowa publikacja. O skuteczności rewolucyjnego środka, który właśnie podbijał świat, każdy mógł się przekonać przy ulicy Żurawiej 3. W dni powszednie do godziny dziewiątej wieczorem, a w niedziele do piątej.

Herman Rubinraut sugerował swoich czytelnikom, by poszli raczej do zwykłego doktora lub do poradni świadomego macierzyństwa: „Lekarze przepisywać mogą czopki przygotowywane w aptekach według recepty. Czopki, które pacjentka sama może wprowadzić głęboko do pochwy czysto wymyтыми palcami”.

Takie rozwiązanie nie dawało gwarancji powodzenia. Nie mogło dać, bo większość środków chemicznych była nie tylko szkodliwa dla zdrowia, ale też zwyczajnie nieskuteczna. Przykładowo po użyciu lysolu można było umrzeć. Ale jeśli kobieta przeżyła, to nic nie stało na przeszkodzie temu, by zaszła w ciążę.

## **Potrójne uderzenie**

Polscy specjaliści byli zgodni, że sam kondom, pesarium lub środek plemnikobójczy nie wystarczą. Bój przeciwko niechcianemu zapłodnieniu przedstawiali tak, jak dzisiaj pisze się o walce z upartymi plamami lub z próchnicą. Konieczne było „potrójne uderzenie”. Autor miniporadnika *Skuteczne środki zapobiegania ciąży i zapłodnieniu* polecał, by nie tylko zakładać „zatykadło”, ale też smarować jego brzegi substancją plemnikobójczą. Co więcej, po stosunku należało natychmiast dokonać skrupulatnej „irygacji”, najlepiej z dodatkiem środków chemicznych. „Przy jednoczesnym użyciu tych trzech środków pewność jest stuprocentowa” – przekonywał. Herman Rubinraut był niemal równie optymistyczny. Jego zdaniem dało się osiągnąć skuteczność antykoncepcji na poziomie 96, 97%.

Na papierze wyglądało to doskonale. Nawet XXI-wieczna pigułka antykoncepcyjna w realnym użyciu nie zapewnia podobnego poziomu bezpieczeństwa<sup>13</sup>. Oczywiście prawdziwa skuteczność przedwojennych środków pręcej wynosiła 60 czy 70% niż 100. Była wystarczająco wysoka, by pozwolić kobietom na zerwanie z ciasnym gorsetem XIX-wiecznej moralności. Na tyle jednak niska, że zapobieganie ciąży wiązało się z ciągłymi wyrzeczeniami. Zdobyć spokoju ducha

i bezpieczeństwa finansowego wymagało znoszenia bólu, niewygód i niszczenia własnego zdrowia. Większość kobiet, mniej lub bardziej świadomie, godziła się na taki pakt z diabłem. Paweł Klinger pisał stanowczo na temat sytuacji panującej w zamożniejszych rodzinach w 1930 roku: „Doszliśmy dziś do tego, że poczynając od drugiego dziecka, a czasem już od pierwszego każde niemowlę przychodzące na świat, to jakieś fiasko środka zapobiegawczego. Nowoczesne dzieci zawdzięczają swój byt nie woli rodziców, a niedoskonałości środków ochronnych”.

Antykoncepcja stała się powszechna. Razem z nią upowszechniły się również marzenia o zdrowym, niezawodnym i nieinwazyjnym rozwiązaniu, które wreszcie uczyni seks zupełnie wolnym. Właśnie w dwudziestoleciu międzywojennym pojawiła się pierwsza fala zainteresowania „kalendarzykiem” i sposobami naturalnymi. Gdziegdzie dało się zauważyć powrót do metod ludowych. Hirschfeld i Linsert wspominali z dezaprobatą o konowalach, według których kobieta powinna zaraz po seksie zrobić dziesięć przysiadów i trzykrotnie obieć pokój, a na pewno uchroni się przed zapłodnieniem. Z kolei Aleksander Parczewski z nieskrywanym podziwem opowiadał o talentach kobiet pierwotnych, które wprawiają swoje ciało w takie „ruchy wahadłowe”, że samodzielnie „wyciskają” z siebie całe nasienie. „Ale cywilizowana kobieta tego nie potrafi” – ubolewał.

Także postępowy Paweł Klinger szukał lepszego rozwiązania problemów z antykoncepcją. Stanowczo opowiedział się za stosunkiem przerywanym – jako metodą darmową, bezpieczną i skuteczną. Już w dwudziestoleciu międzywojennym doskonale wiedziano, że tylko pierwsza z tych cech jest prawdziwa. Specjaliści od antykoncepcji



podkreślali, że to, co w języku polskiej seksuologii określano mianem „cofanki”, wywołuje frustracje, zaburza naturalny przebieg stosunku i utrudnia kobietom osiągnięcie zdrowego orgazmu. Wiedzano też już o istnieniu płynu ejakulacyjnego zawierającego plemniki i pozwalającego na zapłodnienie nawet bez wytrysku<sup>14</sup>. Jak na warunki 1935 roku sugestia Klingera wydawała się równie zacofana i nieżyłowa, co dzisiaj. Trudno ją jednak krytykować. Obecnie pary mają do dyspozycji cały wachlarz bezpiecznych środków. Osiemdziesiąt lat temu często decydowały pomiędzy stosunkiem przerywanym i wlewaniem kwasu do pochwy. Nawet najwybitniejsi specjaliści mieli prawo się wahać, która opcja jest gorsza.

---

Pozycje są cytowane przy pierwszym wystąpieniu w danym rozdziale. Data ostatniego dostępu do wszystkich źródeł internetowych to 20 lutego 2015 roku.

1 Magnus Hirschfeld, Ryszard Linsert, *Zapobieganie ciąży. Środki i metody*, Księgarnia Lwowska, Lwów 1933.

2 Henryk Kłuszyński, *Regulacja urodzeń. Rzecz o świadomym macierzyństwie*, Księgarnia Robotnicza, Warszawa 1932.

3 Herman Rubinraut, *Skuteczne i nieszkodliwe środki zapobiegania ciąży*, Poradnia Świadomego Macierzyństwa, Warszawa 1932.

4 Aleksander Parczewski, *Życie płciowe kobiety. Tajemnice (bólczki) małżeńskie. Co? – co? – co? Co panna przed ślubem, mężatka po ślubie wiedzieć powinna!*, nakł. autora, Warszawa 1935.

5 Zob. Magnus Hirschfeld, Ryszard Linsert, *Zapobieganie ciąży...*, dz. cyt.

6 Zob. np. Janet Farrell Brodie, *Contraception and Abortion in Nineteenth-century America*, Cornell University Press, 1997.

7 Carole R. McCann, *Birth Control. Politics in the United States, 1916–1945*, Cornell University Press, Ithaca 1999; Rose Eveleth, *Lysol's Vintage Ads Subtly Pushed Women to Use Its Disinfectant as Birth Control*, „Smithsonian Magazine”, 30 września 2013.

8 Skuteczne środki zapobiegania ciąży i zapłodnieniu, w: G. Standley, *Miłość we śnie. Tłumaczenie snów erotycznych wedle nauki*, Drukarnia Handlowa, Poznań 1933.

9 Chodzi o badania Normana Haire'a. Zob. Magnus Hirschfeld, Ryszard Linsert, *Zapobieganie ciąży...*, dz. cyt.

10 Cyt. za: Tamże.

11 Paweł Klinger, *Vita sexualis. Prawda o życiu płciowym człowieka*, Księgarnia Karola Neumillera, Łódź 1930.

12 Por. np. Aleksander Parczewski, *Odmładzanie starych mężczyzn*, nakł. autora, Warszawa 1936; Tenże, *Co każdy łysy wiedzieć powinien? O tajemnicach regeneracji (odrastania) włosów*, nakł. autora, Warszawa 1933.

13 Statystycznie w pierwszym roku typowego używania skuteczność antykoncepcji hormonalnej wynosi ok. 91%. Zob. Robert Anthony Hatcher, *Contraceptive Technology*, Ardent Media, New York 2011.

14 Badania w tym kierunku prowadził Norman Haire. Zob. Magnus Hirschfeld, Ryszard Linsert, *Zapobieganie ciąży...*, dz. cyt.

## VII / Cena odmienności



/ Synowie innego boga /

## **Homoseksualiści**

Rok 1954. Przerazona gospodyni natrafia na martwe ciało swojego pracodawcy Alana Turinga. Wybitny matematyk, człowiek, bez którego nie byłoby ani komputerów w dzisiejszym rozumieniu, ani badań nad sztuczną inteligencją, umarł po zjedzeniu jabłka zatrutego cyjankiem. Miał za sobą niespełna czterdzieści dwa lata życia, złamaną karierę, poniżający proces i wielomiesięczną, przymusową terapię hormonalną. Zniszczyła go jedna chwila nieuwagi. Nieopatrznie zdradził się ze swoim związkiem z innym pełnoletnim mężczyzną. Kodeks Karny Wielkiej Brytanii nie miał dla podobnych mu ludzi żadnej litości<sup>1</sup>.

Rok 1945. Zagłodzeni, wycieńczeni i schorowani więźniowie Auschwitz odzyskują wolność. Tylko jeden z nich na marne wyczekuje wyzwolenia. Osadzono go w obozie z paragrafu 175 – za homoseksualizm. Tak od niego, jak i od wszystkich „zwyrodnialców” zesłanych do obozów koncentracyjnych alianci oczekują, że odsiedzą wyroki do samego końca. Nawet dekadę później władze NRD i RFN wciąż będą odmawiać homoseksualistom statusu ofiar nazizmu<sup>2</sup>.

Rok 1938. W amerykańskim stanie Illinois wchodzi w życie „Ustawa o psychopatach seksualnych”. W myśl nowych przepisów

każdej osobie podejrzewanej o dewiacje natury płciowej, w tym homoseksualizm, grozi bezterminowa izolacja w murach zamkniętego zakładu dla osób umysłowo chorych<sup>3</sup>.

Rok 1930. Polski lekarz i wpływowy publicysta Paweł Klinger nawołuje: najwyższa pora zacząć traktować osoby homoseksualne z szacunkiem i zrozumieniem. Jak każdego innego człowieka<sup>4</sup>. Nad Wisłą nie jest to ani myśl nowa, ani przełomowa. Lekarze, felietoniści i prawnicy powtarzają ją już od chwili odzyskania przez Polskę niepodległości.

---

Czasem pojedynczy człowiek może zmienić historię. Dokładnie tak było w przypadku Karla Heinricha Ulrichsa. O tym, jak potoczyło się jego życie, przesądził jeden akt odwagi i cywilnego nieposłuszeństwa. W 1862 roku, jako trzydziestosiedmiolatek, wyjawił swoim bliskim, że jest homoseksualistą. Bardzo możliwe, że był to pierwszy w dziejach „*coming out*” w nowoczesnym rozumieniu. Ulrichs miał wszystko do stracenia. Był poważanym prawnikiem i teologiem. Studiował na uniwersytetach w Getyndze i Berlinie, a w swoim rodzinnym Hanowerze pełnił funkcję asesora sądowego. Ryzykował już w chwili ujawnienia prawdy rodzinie. W połowie XIX wieku homoseksualizm był powszechnie uważany za oznakę umysłowej degeneracji. W Niemczech był także przestępstwem w świetle Kodeksu karnego. Więzienie albo szpital psychiatryczny – dla zбочeńców nie było trzeciej drogi. Ulrichs, odcytany poliglota i wzięty orator, nie czuł się jednak wariatem, a tym bardziej zbrodniarzem. I nie zamierzał dłużej akceptować obłudnej rzeczywistości.

Rozpoczął wieloletnią kampanię na rzecz praw podobnych sobie ludzi. Zaczął od stworzenia nazwy. Takiej, która nie brzmiałaby jak termin karny ani medyczny i nie budziłaby odrazy. „Jestem urningiem” – stwierdził w nawiązaniu do antycznych rozważań Platona nad potomstwem boga Urana i nad odmianami miłości. To była prekursorska deklaracja. W latach sześćdziesiątych XIX wieku nie znano jeszcze terminu „homoseksualizm”. Miłość jednopłciowa była zjawiskiem zbyt wstydliwym, by pisać o nim otwarcie. Niedookreślonym zwyrodnieniem wrzucanym do jednego worka z kazirodztwem i zoofilią. Teraz „uranizm” stał się ogłoszonym publicznie faktem.

Postulaty Ulrichsa, wydrukowane w 1870 roku, niewiele różnią się od programów organizacji walczących o prawa gejów i lesbijek w XXI wieku. Autor podkreślał, że urning jest takim samym obywatelem jak każdy. Ma prawo do osobistego szczęścia i do prywatności, a to, co robi w zaciszu swojego domu, po prostu nie jest sprawą państwa. Za życia Ulrichs nie znalazł posłuchu ani zrozumienia. Jego książki były konfiskowane, on sam stracił pracę, stał się obiektem szyderstw, ataków i dochodzeń karnych. Wreszcie, zaszczuty, zdecydował się na emigrację do Włoch. Umarł w 1895 roku. Do samego końca twierdził, że niczego nie żałuje<sup>5</sup>. I to mimo że prawodawca pozostał na jego postulaty zupełnie głuchy. Za homoseksualizm w Niemczech nadal można było trafić do więzienia. Nie zmieniło się to ani w Republice Weimarskiej, ani tym bardziej w Trzeciej Rzeszy.

Z chwilą śmierci Ulrichsa nie nastąpił żaden niesamowity zwrot akcji. Nie stał się męczennikiem, a jego przykład nie natchnął pokolenia naśladowców. Na dobrą sprawę XIX-wieczna Europa nie była

świadkiem drugiego równie głośnego „wyjścia z szafy”. Trudno było jednak udawać, że odważny asesor nigdy nie istniał. Przez lata tworzył, opublikował kilkadziesiąt prac. Jego argumenty prawne odznaczały się nienaganną logiką i głęboką podbudową formalną. W dyskusjach filozoficznych potrafiłby zawstydzić wybitnych profesorów. Można było zgadzać się z jego poglądami lub nie, ale po prostu nie dało się już dłużej powtarzać, że miejsce każdego homoseksualisty jest w wariatkowie.

Nic dziwnego, że to właśnie nazwisko Ulrichsa otwierało niemal każdy polski tekst poświęcony urningom. Dla prawników i lekarzy było jak tarcza. Poruszali kwestię drażliwą, obłożoną tabu i sankcją karną. Powołanie się na niemieckiego obrońcę homoseksualistów i na jego niezwykły życiorys ich samych chroniło przed oskarżeniami o sianie zgorzenia. Dzięki Ulrichsowi mogli bez obaw powiedzieć to, co myślą. Stwierdzić, że wyrażał „cały szereg niesłusznych poglądów”, a na koniec – nieśmiało zgodzić się z nim w najważniejszych punktach. Wpierw musieli tylko znaleźć wydawcę, gotowego wydrukować ich słowa. Na przełomie stuleci nie było to łatwe.

## **Groźna infekcja psychiczna**

Leon Wachholz, wybitny lekarz i autor pierwszego w Polsce podręcznika medycyny sądowej, wspominał popłoch, jaki w poważnych redakcjach wywołał jego artykuł na temat „uranicznego poczucia płciowego”. Prawdopodobnie najwcześniejszy taki tekst w rodzimym piśmiennictwie. Od wydawcy jednego z czasopism medycznych otrzymał: „po długich namysłach odpowiedź, że

z przykrością musi mi odmówić gościnności w swych łamach, albowiem pismo to rozchodzi się między słuchaczami [czyli studentami – przyp. KJ] praw, a ci mogliby uwagi me wyzyskać »w innym kierunku, niż to było przez autora zamierzonym«”. Jak widać, nawet lekarze wciąż szczerze wierzyli, że samo przeczytanie o homoseksualizmie może doprowadzić do zarażenia się tą groźną chorobą umysłową. Jak na ironię, ten właśnie mit Wachholz obalał w swojej pracy. Artykuł w pełnej wersji ujrzał wreszcie światło dzienne około 1900 roku<sup>6</sup>. Autor nie krył, że do napisania tak drażliwej rozprawy popchnęło go współczucie. „Najświętszym obowiązkiem naszych prawników jest zaznajomić się z przyrodą urninga, aby go byli w stanie zrozumieć, a nie jak dotychczas wyszydzać i potępiać” – postulował.

Przede wszystkim należało ustalić fakty. Czy zjawisko homoseksualizmu naprawdę stanowi wrzód wyniszczający zdrowie publiczne, podkopujący poziom moralny społeczeństwa i zagrażający liczbie ludności? Wiele autorytetów w Europie wciąż tak uważało. Ale zdaniem Wachholza na wszystkie pytania mogła być tylko jedna rzetelna odpowiedź: stanowcze nie. Na temat ryzyka zarażenia się cudzą orientacją seksualną pisał: „Nie ma w tym względzie ani jednego przykładu, który by dowiódł zmiany raz obudzonego, heteroseksualnego popędu”. Za podobny absurd uważał karanie homoseksualistów dla ich własnego dobra. Urningów uważano powszechnie za ludzi rozstrojonych nerwowo, podatnych na myśli samobójcze i łatwo ulegających chorobom psychicznym. Autor ze wszystkim tym się w gruncie rzeczy zgadzał. Tyle tylko że źródła problemów szukał nie w orientacji seksualnej urningów, ale – w ich



dyskryminacji. Życie i zdrowie homoseksualistów niszczyła „opinia publiczna, piętnująca ich działanie, zagrażająca im sromotną karą”. Wystarczyło dać im spokój. A państwo mogło zamiast tego zająć się na przykład walką z prostytutką.

Wachholz nie liczył rzecz jasna na żadną odpowiedź na swoje postulaty. Kto miałby jej udzielić? Car Mikołaj II telegramem z Petersburga? Temat mógł nabrać prawdziwego znaczenia dopiero w 1918 roku. Rzeczpospolita odziedziczyła przepisy dotyczące homoseksualistów po zaborcach. W wolnym Poznaniu karano ich identycznie jak w zaborze niemieckim. Więzieniem na tak długo, jak tylko sąd uzna to za stosowne. W Warszawie było jak za cara. Też więzienie, na nie mniej niż trzy miesiące. Wreszcie w Krakowie, który przejął ustawy po Galicji – ciężkie więzienie, bez granic czasowych.

Urningowie mieli szczęście do obrońców. Miejsce szanowanego Wachholza zajął cieszący się równie wielkim autorytetem Antoni Mikulski. W 1920 roku wydał broszurę *Homoseksualizm ze stanowiska medycyny i prawa*<sup>2</sup>. W tym czasie pełnił funkcję dyrektora szpitala psychiatrycznego „Kochanówka” pod Łodzią. Trudno byłoby o lepszego człowieka do ostatecznego zamknięcia kwestii: to w końcu homoseksualiści są degeneratami, czy nie? Mikulski opinię miał taką samą jak jego poprzednik, natomiast argumenty formułował znacznie ostrzej.

Bardzo wiele uwagi poświęcił kwestii zaraźliwego charakteru homoseksualizmu. Wątpliwość, która już dwadzieścia lat wcześniej wydawała się rozstrzygnięta, wróciła do świata nauki ze zdwojoną siłą. Różni, mniej i bardziej nieudolni naśladowcy doktora Freuda straszili seksualnymi sugestiami i podświadomą fikcją. Niemiecki

psychoanalityk Ernst Ziemke przytaczał historię „dwunastoletniego chłopca, który bawił się z dziesięcioletnim kuzynem w menażerie i siedząc na jego plecach, wykonywał ruchy jeźdźca; wystąpiło przy tym podniecenie płciowe i wytrysk nasienia”. Efekt? Spora plama, trochę wstydu i... choroba homoseksualna na całe życie. „Homoseksualizm może się rozwinąć wskutek ślepego trafu!” – podkreślał Ziemke<sup>8</sup>. Taką samą opinię wyrażał jego warszawski kolega Jan Nelken. Kiedy dziennikarze „Expressu Wieczornego” zapytali go, czy od drugiego człowieka można złapać ciągoty do mężczyzn, odparł bez wahania: „Tak, oczywiście w sensie infekcji psychicznej”<sup>9</sup>. I Mikulskiemu ten pomysł wydawał się po prostu śmieszny.

„Czy istotnie można przypuszczać choć na chwilę, by widok prącia w wychodku lub łazience wywarł kiedykolwiek na normalnego mężczyznę tak wstrząsający wpływ? – pytał ironicznie. – Nikt wszak nie przypuści, że u normalnego chłopca lub młodzieńca popęd do kobiet powstał dlatego, że się zobaczyło kobietę nagą lub się jej dotknęło. *Po tym nie znaczy wskutek tego*”<sup>10</sup>. Autor przytoczył też sporo życiowych argumentów. Na przykład – nagie kąpiele dzieci. „Co roku, w ciągu miesięcy letnich, przechodząc koło stawów i rzek, widzimy gromady kąpiących się chłopców wiejskich. Niepodobna jest przypuścić, by doznawali oni pobudzenia na widok organów płciowych swoich towarzyszy, gdyż mielibyśmy na świecie więcej homo- niż heteroseksualistów” – konstatował Mikulski.

Zostawała jeszcze kwestia psychicznej kondycji umingów. Mikulskiego nie dziwił fakt, że wśród homoseksualistów, których przebadali psychiatrzy, jest pełno osób chorych umysłowo. Prosta sprawa: zdrowi umingowie nie mieli żadnego powodu, by iść po

poradę do Tworek albo Kochanówki.

Po latach o wkładzie Antoniego Mikulskiego w debatę na temat praw mniejszości seksualnych zupełnie zapomniano. Tymczasem zrobił on dla sprawy więcej niż ktokolwiek inny. Rzeczowe, a zarazem niepozbawione humoru i zjadliwości argumenty przemawiały do wyobraźni. Powtarzano je na lekarskich sympozjach i w ministerialnych dyskusjach. Konieczność zniesienia karalności homoseksualizmu w nowym kodeksie stawiała się dla ludzi władzy coraz bardziej oczywista. Nie należy się jednak spodziewać, że jakakolwiek organizacja LGBT zaproponuje powieszenie tablicy upamiętniającej dyrektora Kochanówki. Mikulski walczył o godność osób o odmiennej orientacji, ale był człowiekiem swojej epoki. W ostatnich zdaniach broszury stwierdził: „Homoseksualistów prawo powinno pozostawić w spokoju i nie przeszkadzać naturze w osiągnięciu celu, którym jest być może wymarcie »odmiany homoseksualnej«. Jeżeli przyroda ma ten mądry cel, to należy go poprzeć”.

Nawet najwięksi obrońcy urningów stawali po ich stronie głównie po to, by się ich pozbyć. Równe prawa i tolerancja miały zadziałać jak szczepionka. Oczekiwano, że homoseksualiści przestaną żenić się i płodzić dzieci dla ukrycia swojej orientacji. W efekcie – w ciągu kilkudziesięciu lat znikną z powierzchni ziemi. I taki cel niemal wszystkim odpowiadał<sup>11</sup>.

---

Opinie o homoseksualistach sprzed stu lat:

*Szczera i prawdziwa miłość między ludźmi dojrzałymi i dorosłymi,*

*bez względu na to, do jakiej płci należą i czy działa ona duchowo czy cieleśnie, zawsze okazuje się korzystną i twórczą.*

Doktor Magnus Hirschfeld<sup>12</sup>

*Nigdy nie można dopuścić, aby homoseksualizm był bezkarny, i nigdy nie może dojść do zgody między homoseksualistą i heteroseksualistami: jedni lub drudzy muszą zwyciężyć.*

Doktor Joseph Mayer<sup>13</sup>

## **Hipnoza czy przeszczep jąder?**

Polska medycyna już w latach dwudziestych doszła do wniosku, którego sformułowanie zajęło Amerykańskiemu Towarzystwu Psychiatrycznemu kolejne pół stulecia: homoseksualizm nie jest chorobą umysłową. „Jest zjawiskiem biologicznym, wrodzonym, absolutnie od woli człowieka niezależnym” – podkreślał kolejny przeciwnik karania urningów, Paweł Klinger. Na tym jednak postępowe spojrzenie się kończyło. Homoseksualizm jednogłośnie uznawano za przypadłość zdrowotną – po prostu innego rodzaju.

Mikulski twierdził, że to „chorobliwe zboczenie organów, nie uwidoczniające się na razie ani makro, ani mikroskopowo”. Klinger referował, że zdaniem „pewnych uczonych” rozchodzi się „o gruczoły dokrewne, które wydzielają hormony seksualne nieodpowiednie dla płci ich nosiciela”. Często pisano też o hermafrodytyzmie homoseksualistów lub nawet o reprezentowaniu przez nich swoistej „trzeciej płci”. To ostatnie stanowisko wiele mówi o przedwojennej nauce. Lekarze konsekwentnie starali się oddzielić urningów od reszty

społeczeństwa. Szukali sztywnej, sprecyzowanej formy, do której dałoby się włączyć wszystkich bez wyjątku. Mogło to być zaburzenie chemiczne albo niedorozwój narządów wewnętrznych. W każdym razie czynnik, który występował u nich, ale normalni ludzie byli od niego wolni. A tym samym – byli bezpieczni.

Bardziej chyba nawet chodziło o uspokojenie społeczeństwa niż o naukowe fakty. Freudyści wciąż straszili, że w każdym człowieku drzemie pierwiastek biseksualizmu. Tym samym nad każdym wisiała groźba zboczenia. Seksuolodzy zapewniali, że bez odpowiednich predyspozycji się nie obejdzie, a dla pewności usunęli z obrazu wszelkie odcienie szarości. Ktoś mógł być tylko homoseksualistą prawdziwym lub udającym. Nie istniało żadne seksualne spektrum, żadne stany pośrednie.

Taka perspektywa ułatwiała dyskusję nad opracowaniem kuracji na homoseksualizm. Często pisze się, że przed wojną nikt nie pytał, CZY leczyć umingów, a wszyscy tylko zastanawiali się, JAK ich leczyć. Nie jest to prawdą. Pytanie numer jeden brzmiało: czy według obecnego stanu medycyny w ogóle da się cokolwiek zrobić?

Mikulski był bardzo sceptyczny. Przestrzegał, że chwilowy sukces terapii zwykle należy zrzucić „na karb sugestii”. Do takich zawodnych środków zaliczał na przykład podawanie pacjentowi spermy będącej, zgodnie z nazwą, składnikiem męskiego nasienia.

„Jak dotąd hipnoza i psychoterapia są jedynymi środkami, które pewną pomoc okazać mogą. Naturalnie nie należy sobie zbyt wiele obiecywać. (...) O trwałym wyleczeniu istotnego homoseksualizmu jak dotąd nie możemy myśleć” – pisał.

Paweł Klinger wspominał jeszcze o organoterapii, czyli „podawaniu

preparatów z brakujących gruczołów dokrewnych”. Czy też raczej: podawaniu substancji, co do których lekarze mieli niejasne podejrzenie, że może ich brakować. Publicysta wzdragał się przed bardziej radykalnymi terapiami. Tak jak Mikulski, wolał czekać. Inni doktorzy nie byli równie cierpliwi. Amerykanin William A. Hammond wspominał, że pewnemu zdesperowanemu homoseksualiście aplikował bromek sodu – trzy razy dziennie po jednym gramie. Wprawdzie u pacjenta „zjawiło się lekkie zatrucie bromem”, ale za to „wraz z nim zniknął i nienaturalny pociąg do mężczyzn”. Dla pewności lekarz zapisał jeszcze roztwór siarczanu strychniny i kwasu podfosforowego (trzy razy dziennie po dziesięć kropli). Ten pierwszy preparat homoseksualizmu raczej nie leczył, za to był uznawany przed wojną za środek dopingowy<sup>14</sup>. Pacjentowi pomógł prawdopodobnie dopiero trzeci element terapii: kauteryzacja, czyli przypalanie chorego miejsca. Można przypuszczać, że Polaków też kurowano w taki sposób. Książka Williama A. Hammonda, *Niemoc płciowa u mężczyzn i kobiet*, wydana w oryginale w 1890 roku, osiemnaście lat później doczekała się polskiej edycji<sup>15</sup>. I chyba nikt nie zauważył, że jest już mocno przeterminowana.

Za skuteczne metody leczenia uważano także obmywanie ciała zimną wodą (zupełnie jak w terapii przeciw samogwałtowi), piesze przechadzki i jazdę konną. A wreszcie: transplantację jąder. W latach dwudziestych wielu lekarzy wierzyło, że właśnie ta kuracja już niedługo pozwoli pozbyć się wszystkich homoseksualistów. Jeśli winny ich przypadłości był niedorozwój narządów płciowych, to należało usunąć je lub też wymienić na pobrane od osobnika nieobciążonego uranizmem. Mikulski ekscytował się, że wiedeński chirurg Ernst

Steinbach zdążył już przejść od prób na zwierzętach do testów na ludziach. Pierwsze efekty były – rzekomo – bardzo obiecujące. W 1918 roku operował pacjenta, który „był homoseksualistą, biernym pederastą. Po operacji już dwunastego dnia wystąpiły erekcje i pacjent oświadczył, że odczuwa popęd seksualny. W szóstym tygodniu po operacji po raz pierwszy miał stosunek z kobietą, wielokrotnie potem powtarzany”. Dziesięć lat później Paweł Klinger wciąż z nadzieją wyczekiwał wprowadzenia rewolucyjnego zabiegu do praktyk medycznych na całym świecie. Nie wiedział, że skompromitowany Steinbach dawno zarzucił swoje próby. „Pomiędzy 1916 i 1921 rokiem operacji poddano co najmniej jedenastu mężczyźn. Eksperymenty zakończyły się porażką” – podaje opublikowany w 1995 roku *Textbook of Homosexuality and Mental Health*<sup>16</sup>.

Zostawała jeszcze ostatnia deska ratunku dla urningów. Postępowi naukowcy uważali ją za absurd, a nawet zbrodnię. Ale społeczeństwo wciąż wierzyło, że nie ma to jak ślub, miesiąc miodowy i harmonijne życie z kobietą u boku. Nawet jedna z autentycznych obrończyni praw osób homoseksualnych Irena Krzywicka pisała: „Oni w końcu się żenią i są podobno lepszymi od innych mężami”<sup>17</sup>. Rzeczywiście – żenili się. I w efekcie niszczyli życie zarówno sobie, jak i zakochanym w nich kobietom.

---

Powody zawierania małżeństw przez urningów według niemieckiej ankiety z początku XX wieku. Odpowiedzi udzieliło pięciuset mężczyzn:

1. W celach leczniczych.
2. Wskutek niewiedzy.
3. Za namową rodziny i przyjaciół.
4. Na życzenie rodziców.
5. Z chęci uniknięcia kursujących plotek.
6. Z chęci posiadania własnego domu.
7. Z chęci zdobycia posagu.
8. Za radą lekarza<sup>18</sup>.

## Polski publicysta na temat stosunków urningów z kobietami:

*Nie mogą obcować seksualnie z kobietą, chyba że sobie żywo wyobrażają przy tym obraz ukochanego mężczyzny. Pewien właściciel baru (...) podaje, że zawsze bezpośrednio przed stosunkiem ze swą żoną musi dobrze wyczałować swego oberkelnera. Również pod wpływem alkoholu potrafią żyć z osobami drugiej płci.*

J. Pruszyński, *Mniejszości seksualne*, 1931.<sup>19</sup>

## **Dziesięć milionów niebieskich kołderek**

Specjaliści roztrząsali sytuację homoseksualistów z coraz większym zapamiętaniem. Psychiatrzy, prawnicy, seksuolodzy – każdy miał coś do dodania. Doskonale widać to już po liczbie określeń na osoby homoseksualne. Mnożyły się jak grzyby po deszczu. Do urningów dołączyli „jednacy”, „samcołożnicy”, „kynedzi”, ludzie „równopłciowi”<sup>20</sup>. W całej debacie brakowało tylko głosów jednej



grupy: samych zainteresowanych. Taki stan rzeczy utrzyma się aż do wybuchu II wojny światowej. Nawet kiedy do dyskusji włączą się popularni piewcy postępu, jak choćby Tadeusz Boy-Żeleński czy wspomniana Irena Krzywicka, środowiska urningów wciąż będą milczeć. „Liczne grono [ich] homoseksualnych znajomych nie podjęło tematu, raczej wyśmiewano te inicjatywy” – komentował Krzysztof Tomasik, autor książki *Homobiografie*<sup>21</sup>. Efekt był łatwy do przewidzenia. Nie mając na podorędziu prawdziwego urninga, polscy naukowcy wciąż widzieli w homoseksualistach zestaw okazów laboratoryjnych wymagających sklasyfikowania, a nie grupę myślących i czujących ludzi.



Irena Krzywicka w stroju pазia. Fotografia z 1914 roku.

Trudno, nawet trudniej niż dzisiaj, było stwierdzić, ilu właściwie osób dotyczy cały temat. Karl Heinrich Ulrichs twierdził, że tylko jeden mężczyzna na pięciuset jest urningiem. Mikulski sugerował, że nie więcej niż jeden na stu. Z każdą kolejną pracą naukową procent rósł.

Próbowano nawet zebrać twarde dane. U schyłku XIX wieku niemiecki seksuolog Magnus Hirschfeld rozesłał ankietę do trzech tysięcy studentów. Dopytywał, z kim wolą uprawiać seks – z kobietami czy z mężczyznami. 1,6% respondentów przyznało, że są homoseksualistami. Zarazem jednak połowa ankietowanych w ogóle nie udzieliła odpowiedzi<sup>22</sup>. *10 milionów homoseksualistów „praktykuje” w spółczesnej zblazowanej Europie* – to już nagłówek artykułu opublikowanego w 1926 roku przez łódzki tygodnik „Ilustrowana Republika”. Autor tekstu (anonimowy, ale z literkami „dr” przed inicjałami) twierdził, że „prawdziwi homoseksualiści stanowią w przybliżeniu 2% całej ludzkości”<sup>23</sup>. I ta właśnie liczba przyjęła się na całe lata.

O homoseksualistach krążyło wiele uproszczonych, a często z gruntu błędnych opinii. Mikulski twierdził na przykład, że każdego urninga można dość łatwo rozpoznać. „Często się perfumują, pudrują, używają szminek, różują sobie usta (...). O ile mogą, nakładają suknie kobiece; gdy to jest niemożliwe, noszą pod ubraniem męskim kobiecą bieliznę, lub nakładają gorset” – wyliczał. Transwestytyzm, transseksualizm, *cross-dressing* – wszystkie te pojęcia w 1920 roku dopiero raczkowały. Jeśli jeden urning przejawiał określoną tendencję, przypisywano ją każdemu. Dla porządku, Mikulski argumentował: „Niedawno pewien rzemieślnik, badany sądowno i stale przeczący zarzutowi homoseksualizmu, przybył do mnie uperfumowany i upudrowany, zdradzając tym swoje zboczenie”. Doprawdy, śledztwo godne Sherlocka Holmesa.

Wierzono, że homoseksualne tendencje przejawiają się także w otoczeniu urninga, a szczególnie – w jego domu. „Mieszkania swoje

urządzają (...) na modłę kobiecych buduarów. (...) Pościel mają obszytą koronkami, lubią niebieskie kołderki” – ciągnął Mikulski. I co ważne, nie miał na myśli wybranych przypadków, ale każdego bez wyjątku homoseksualistę. Inni specjaliści posuwali się jeszcze dalej, rozciągając swoje dociekania nie tylko na pościel, ale też na to, co urning trzymał pod nią. Jedni pisali, że u homoseksualistów następuje „zaostrzenie”, inni że „spłaszczenie żołądka”. Wystarczyło spojrzeć na krocze i wszystko stawało się jasne. Choć dyrektor Kochanówki twierdził, że to akurat jest „zupełnie mylny pogląd”. Skąd sceptycyzm? Zaburzenie budowy narządów płciowych w wyniku ich „nadużywania” wydawało się w świetle przedwojennej nauki zupełnie prawdopodobne. W tym przypadku można jednak przypuszczać, że pan profesor po prostu nie znał żadnego czynnika, który byłby w stanie wpłynąć na członki urningów. Przecież niemal żaden z nich nie uprawiał seksu analnego.

Specjaliści sprzed stulecia konsekwentnie odróżniali „homoseksualizm” od „pederastii” – rozumianej właśnie jako skłonność do seksu analnego. I twierdzili, że do tej drugiej większość urnignów „czuje wstręt”. Zwykle powściągliwy w swoich sądach Magnus Hirschfeld w tym przypadku pisał stanowczo, że „pederastia nie ma nic wspólnego z prawdziwym homoseksualizmem”<sup>24</sup>. Na potwierdzenie tej opinii Mikulski i Wachholz przytaczali przykłady z życia. U pierwszego pojawia się opowieść „pewnego homoseksualisty”. „Wśród dwudziestu siedmiu mężczyzn, z którymi miał on stosunki płciowe, tylko jeden uprawiał pederastię, a wśród dziewięciuset sześćdziesięciu pięciu mężczyzn, z którymi miał stosunki jego przyjaciel, do pederastii przyznawało się pięćdziesięciu siedmiu” – relacjonował autor.

Wprawdzie bliska tysiąca liczba partnerów seksualnych wydała mu się zawyżona, ale nie zamierzał odrzucać przez nią całej relacji. Po prostu odczytał w tej liczbie zamiłowanie homoseksualistów do kabały. A także ich tendencję do „przedstawiania swego zбочenia jako bardzo rozpowszechnionego”. Wachholz wybrał przykład bardziej przyziemny. Przytoczył fragment pamiętnika zwyczajnego urninga. Podobno pisał on: „We wszystkich tych stosunkach nie było prawdziwej pederastii... Takim człowiekiem brzydziłbym się. Wszystkich takich uważam za zwyrodniałych, mam do nich wstręt i odrazę”.

Dane starał się uporządkować Paweł Klinger na kartach *Vita sexualis. Prawdy o życiu seksualnym człowieka*. Opierał się prawdopodobnie na badaniach Magnusa Hirschfelda, który przez lata zdołał dotrzeć aż do dziesięciu tysięcy niemieckich urningów. „Na stu homoseksualistów – 40% znajduje seksualne zadowolenie we wzajemnym akcie onanistycznym, 40% uprawia *coitus per os* [czyli seks oralny – przyp. KJ], wreszcie pozostałe 12% stosuje *coitus inter femora* [stosunek udowy – przyp. KJ]” – tłumaczył Klinger. Wyłącznie 8% urningów uprawiało jego zdaniem stosunki analne. Czy też raczej – praktykowało *immissio penis in anum*, bo to był jeden z tym terminów, których w 1930 roku nawet w podręczniku do seksuologii nie wypadało zapisywać po polsku.

Przytoczone liczby nie wzbudziły u autora żadnych wątpliwości. Nie wziął pod uwagę, że przez całe lata to właśnie *immissio in anum*, a nie samo bycie homoseksualistą podlegało sankcji karnej w większości kodeksów. Może i ankiety były anonimowe, ale i tak wymagały w tym punkcie jasnego stwierdzenia: tak, łamię prawo. Chyba nie każdy był gotowy do takiej deklaracji. Społeczne skojarzenia

też odgrywały rolę. Wprawdzie seksuolodzy od dawna nawoływali do tolerancji i zrozumienia, ale dziennikarze brukowców niewiele sobie z tego robili. Na myśl o urningach przed oczami stawały im męskie prostytutki, obskurne burdele i seks analny w ciemnych uliczkach śródmieścia. Wszystko to rzecz jasna w sensacyjnym sosie zbrodni i świętoszkowatego oburzenia. Dokładnie taką wizję rzeczywistości przekazywali czytelnikom.

## **Nazistowscy zboczeńcy w białych pończochach**

Jest wiele sposobów na zohydzenie bohatera publice. Można go przedstawić jako wyrodnego ojca albo męża-sadystę. Można przemycić sugestię, że lubi się zabawiać z nieletnimi dziewczynkami, a w wolnych chwilach podczytuje Marksa. Najlepiej jednak zrobić z niego homoseksualistę. Nie wierzycie? Wystarczy spytać dowolnego przedwojennego dziennikarza.

Znany francuski pisarz zginął z ręki szaleńca? Nagłówki już krzyczą: „Zwyrodniały nacjonalista, fałszywy purytanin był homoseksualistą”<sup>25</sup>. W biurze podróży Orbis doszło do przekrętu – sporego, ale nie tak dużego, by ekscytować się przez cały miesiąc? Wystarczy dodać adnotację: główny podejrzany „był w swoim czasie zamieszany w głośną lwowską sprawę homoseksualistów”<sup>26</sup>. Ostatnie słowa rzecz jasna wytłuszczone. Pismacy wierzyli, że homoseksualny motyw doda polotu nawet artykułowi o niepełnosprawności. „Kaleki mężczyzna wobec tłumionego seksualizmu, skłonny jest do przestępstw przeciw moralności, jak ekshibicjonizm, czyny niemoralne z nieletnimi, homoseksualizm (...). Takim jest oblicze duchowe kaleki-zbrodniarza”

– straszył Adam Konarski na łamach „Ilustrowanej Republiki”<sup>27</sup>.

To już prawdziwa dziennikarska kumulacja. Homoseksualizm, a do tego – szczypta grozy. Najlepiej oczywiście działało straszenie obcymi. Stąd w prasie endeckiej homoseksualizm jako przypadłość typowo żydowska. A w każdej innej – jako niemiecka. W 1931 roku „Echo” ekscytowało się: *60-letni generał w stroju baletnicy! Szczegóły nie miały znaczenia – wszystko, co ważne, mówił sam podtytuł: Berlin stolicą zboczeńców*<sup>28</sup>. Kilka lat później ten sam tabloid poświęcił kilka szpalt *Zimnej perwersji* nad Sprewą i Hawelą. „W żadnym kraju europejskim seksualna przewrotność – w tym wypadku homoseksualizm – nie należy do objawów tak nagminnych, jak w Niemczech” – podkreślał korespondent gazety Mieczysław Kwiatkowski<sup>29</sup>. Mógł nawet mieć trochę racji. Historycy przyznają, że chyba tylko w Paryżu kultura homoseksualna rozkwitała w latach dwudziestych na podobną skalę, co w stolicy Republiki Weimarskiej. Tyle że opowiadając o Mieście Świąteł, polscy dziennikarze zachwycali się swobodą i postępem. Berlin wywoływał u nich wyłącznie uczucie zgorszenia.

Tendencja do przypisywania zachodnim sąsiadom homoseksualnych ciągót przybrała jeszcze na sile po dojściu Hitlera do władzy. Reporterzy z pasją pochylali się nad biografią każdego nazistowskiego polityka podejrzanego o uranizm. Wszystkie partyjne gierki, czystki i prześladowania były dla nich wyłącznie sprzeczkami w gronie nadpobudliwych zwyrodnialców. *Homoseksualizm – choroba hitleryzmu. Ohydne zboczenia obrońców czystej rasy* – brzmiał tytuł demaskatorskiego tekstu w żydowskim dzienniku „Głos Poranny”. Autor, doktor Aleksander Krakowski, przypominał, że

homoseksualistów jest w Niemczech 2%. I zaraz dodawał: „Prawdopodobnie lwią część przypada na klikę rządzącą”<sup>30</sup>. Pogląd ten podzielał też Antoni Sobański – publicysta i arystokrata, spisujący na gorąco wrażenia z przejścia władzy przez Hitlera. W głośnym reportażu *Cywil w Berlinie* pisał: „Wszyscy transwestyci schronili się do SA i tylko, jak powiadają, skarżą się na trudność chodzenia na niskich obcasach. Za to wśród ludzi stojących najbliżej Hitlera jest kilku takich, których brak instynktu »podtrzymywania rodzaju« jest notorycznie znany (...). Wolno się kochać choćby w kacze, byle kaczką była zupełnie prawomyślna”<sup>31</sup>. Co ciekawe, o samym Sobańskim także sądzono, że należy do osób „kochających inaczej”. Bliscy przyjaciele pisali, że „gnie się trochę pederastycznie”<sup>32</sup>.

Stopniowo w języku prasy homoseksualista stawał się synonimem nazisty. Fakt, że oba słowa miały taką samą końcówkę i brzmiały dość podobnie, tylko w tym pomagał. Kilka lat później krakowski „Nowy Dziennik” nie musiał już nawet tłumaczyć, o co chodzi. W artykule na temat Czechosłowacji na marginesie padał komentarz: „Uprawiający homoseksualizm studenci z partii Henleina noszą białe pończochy i w mrocznych piwiarniach śpiewają *Horst-Wessel-Lied*”. Słowo „hitlerowcy” nie pada, bo i po co. Dla czytelników „studenci uprawiający homoseksualizm” i „naziści” to dokładnie to samo<sup>33</sup>. Jak na ironię, artykuł poszedł do druku w czasie, gdy w Niemczech trwała wielka nagonka na homoseksualistów. Aresztowano nawet dziesięć tysięcy osób rocznie. Kilka do kilkunastu tysięcy umińców zesłano do obozów koncentracyjnych<sup>34</sup>. Ale tego polscy dziennikarze nie zauważyli.

Inne „izmy” także miały wzięcie. Jeśli w Niemczech umińg był



nazistą, to nic nie stało na przeszkodzie, aby w Rosji stał się komunistą. Nie bez przyczyny dziennikarze straszili czytelników rozwiązłym radzieckim prawodawstwem, w którym akceptowano rozwody, aborcję, a nawet – czy też przede wszystkim – pederastię<sup>35</sup>. Rykoszetem oberwali również polscy komuniści. W 1925 roku głośno zrobiło się o zdemaskowaniu jako urninga Stefana Królikowskiego<sup>36</sup>. Był on posłem na Sejm Rzeczypospolitej, a zarazem jednym z przywódców Komunistycznej Partii Robotniczej Polski. Prawdopodobnie wcale natomiast nie był pierwszym gejem w naszym parlamencie. To był po prostu brudny, polityczny atak.

## **Pensjonariuszki w spodniach**

Trudno się dziwić, że w takiej atmosferze osoby homoseksualne wolały nie wychodzić z cienia. Szczególnie że obok bezpodstawnych insynuacji trafiały się także materiały dotyczące problemów rzeczywiście trapiących środowisko umingów: stosunków z nieletnimi i męskiej prostytucji. Krzysztof Tomasik wyjaśnia w *Homobiografiach*, że przed wojną nie istniał żaden model wspólnego życia dwóch dorosłych mężczyzn. Nie mogli ze sobą mieszkać. Nawet liberalne, miejskie otoczenie nie zaakceptowałoby takiego skandalu. Wizyty w kinie, teatrze czy kawiarni też wymagały ostrożności. Nie wolno było wychodzić za często. A jeśli już – to w większym gronie niż tylko we dwójkę. Nagminnie opisywana i wyszydzana skłonność homoseksualistów do ciągłego zmieniania partnerów nie wynikała z natury, ale przede wszystkim – z konieczności. Byli skazani na przelotne, skryte związki. Lub – na

korzystanie z usług męskich prostytutek<sup>37</sup>.

„We wszystkich stolicach świata, nie pomijając i Warszawy, znajdują się, poza licznymi domami rozpusty, również i specjalnie urządzone lokale, gdzie »pensjonariuszkami« są mężczyźni, a gośćmi – płeć męska!” – wyjaśniali dziennikarze „Ostatnich Wiadomości Krakowskich” w artykule z 1933 roku<sup>38</sup>. Aby nikt nie miał wątpliwości co do skali problemu, dopowiadali: „Spelunki te cieszą się nie mniejszym powodzeniem niż »domki kobiece«, a nawet w niektórych stolicach są one bardziej popularne”. Kilka lat wcześniej „Ilustrowana Republika” zajęła się dwoma konkretnymi przybytkami tego rodzaju. Tytuł oczywiście był zakrojony na wywołanie sensacji. *Wykrycie „klubu” homoseksualistów – krzyczał nagłówek. – W tajemnych jaskiniach oddawano się zwyrodniałej „miłości”.* Zwyrodniałej, a zarazem wziętej w cudzysłów<sup>39</sup>.

Po pierwsze, miejsce akcji. Reporterzy donosili: „Wywiadowcy lotnej brygady warszawskiego urzędu śledczego zauważyli nienormalne zachowywanie się niektórych przechodniów w okolicach Dworca Głównego, placu Napoleona, jak również popularnej »Udziałowej«”. Plac Napoleona to dzisiejszy plac Powstańców Warszawy. Z kolei „Udziałowa” była modną kawiarnią przy Nowym Świecie. Dzisiaj w tym samym lokalu znajduje się Empik. Co konkretnie zainteresowało policjantów? Ano fakt, że obserwowani mężczyźni zawierali na ulicy znajomości z innymi mężczyznami.

*Udawali się oni razem z nimi do lokali, które podejrzewano, że są domami schadzek. Po bliższym zbadaniu jednak okazało się, że do tych lokali nie wchodziły kobiety, lecz sami mężczyźni. Innym razem udawano się do hoteli, do kąpieli itd.*

*Szczególną uwagę kierownika brygady lotnej (...) zwróciły dwa lokale, mianowicie: Jana Sadowskiego krawca (Chmielna 24) i Kaz. Stasiaka (Nowogrodzka 39).*

Budynku przy Nowogrodzkiej dzisiaj już nie ma. Przy Chmielnej 24 znajduje się natomiast restauracja. Ścisła obserwacja obydwu miejsc dała „nadszpiewane” rezultaty. Ujawniono, że „kręcący się w pobliżu szaletów stręczyciele (...) ułatwiali czynnym amatorom homoseksualizmu, czyli tak zwanym w ich języku »ciotom« zawieranie znajomości z odpowiednimi egzemplarzami o charakterze pasywnym. Po zawarciu znajomości udawano się do owych nor na Chmielną lub Nowogrodzką”. Na miejscu właściciele inkasowali od każdej pary opłatę za pokój: od pięciu do piętnastu złotych.

Dziennikarze uspokajali, że na szczęście w zbereźnych praktykach brało udział bardzo wąskie grono „wyznawców tego sokratyzmu”. W ich opinii cała milionowa Warszawa liczyła zaledwie... stu pięćdziesięciu homoseksualistów. Co więcej, stanowili oni „jeden jakby klub towarzyski”, a nawet – spotykali się wszyscy na wspólnych zabawach. „W swoim czasie w jednym z lokali przy ul. Kruczej odbył się bal, w którym uczestniczyło osiemdziesięciu mężczyzn, z których połowa była poprzebierana za kobiety” – napomknięto na sam koniec. Co ciekawe, ta sama „Ilustrowana Republika”, która w 1927 roku szczyła czytelników na homoseksualistów, publikowała też artykuły postępowych seksuologów broniących praw urningów. Stale współpracował z nią na przykład Paweł Klinger<sup>40</sup>. Artykuły o zwyrodnialcach i ich „tajemnych jaskiniach” najwidoczniej sprzedawały się jednak lepiej. Bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że jeden uczciwy i wyważony tekst przypadał na dziesięć, dwadzieścia albo

i pięćdziesiąt paszkwili przeciwko pederastom?

Poza spotkaniami w lokalach, takich jak te przy Chmielnej i Nowogrodzkiej urningom zostawał tylko jeden możliwy rodzaj relacji: mistrz – uczeń. „Ówcześni homoseksualiści realizowali w dużej mierze model znany ze starożytnej Grecji, gdzie ideałem był związek młodzieńca z dojrzałym mężczyzną” – wyjaśniał Krzysztof Tomasik. W wielu przypadkach chodziło nawet nie tyle o młodzieńca, co o dziecko. Znana jest historia związku wybitnego polskiego kompozytora Karola Szymanowskiego z Rosjaninem Borysem Kochno. Po latach Szymanowski wspominał przyjacielowi: „W Kijowie (...) spotkało mnie największe szczęście – żyłem w niebie. Poznałem młodego człowieka niezwyklej urody, poetę o głosie brzmiącym jak muzyka i on, Arturze, kochał mnie. Tylko naszej miłości zawdzięczam, że mogłem napisać tyle muzyki”<sup>41</sup>. W romantycznym wyznaniu pianisty nie dałoby się dzisiaj dostrzec nic kontrowersyjnego, gdyby nie wiek Borysa. W chwili nawiązania romansu miał piętnaście lat. Szymanowski – trzydzieści siedem.

Poza światem artystycznym podobne związki wychodziły na jaw właściwie tylko w kontekście kryminalnym. I co ważne, prasa niemal nigdy nie odróżniała homoseksualizmu od pedofilii. Terminów używano wymiennie, z naciskiem raczej na ten pierwszy<sup>42</sup>. Przykładowo w 1929 roku „Hasło Łódzkie” informowało: *Homoseksualista na ławie oskarżonych. Sierżant orkiestry wojskowej zmuszał do uległości podwładnych mu żołnierzy*<sup>43</sup>. Z tytułu wynikało, że chodzi o relacje pomiędzy dorosłymi. Dziennikarze precyzowali jednak:

*Akt zarzuca uprawianie czynów lubieżnych z małoletnimi członkami*

*orkiestry, w której [oskarżony] zastępował kapelmistrza (...). [Aleksander] Fabisiewicz wprost terroryzował młodocianych żołnierzy, wywlekając ich po pracy czy to do ogrodu, czy też poszczególnych ubikacji w koszarach, gdzie gwałcił ich, zmuszając do milczenia, grożąc w przeciwnym razie zabójstwem.*

Nic nie wskazuje na to, by podobne, odrażające przestępstwa miały charakter powszechny. O środowisku homoseksualnym mówiły zapewne nie więcej niż sprawa Rity Gorgonowej o wszystkich polskich kobietach<sup>44</sup>. O masowej skali można mówić chyba tylko w przypadku prostytucji dziecięcej. Endeckie pismo „Orędownik” alarmowało: „Ostatnio okazało się (...), iż [homoseksualizmowi] oddaje się w Warszawie paruset uczniów gimnazjalnych i to częściowo w celach zarobkowych”<sup>45</sup>. Bardzo możliwe, że było to prawdą. Z tym, że skala heteroseksualnej prostytucji wśród uczennic była kilka razy wyższa.

Wydawcy prasy mieli na temat kryminalnego podłoża homoseksualizmu zupełnie inne zdanie. Widać to nie tylko w artykułach, ale nawet w powieściach odcinkowych. Weźmy na przykład *Szatana Łodzi. Powieść awanturniczo-obyczajową z życia łódzkiego*. Drukował ją w 1923 roku „Express Wieczorny Ilustrowany”. Czytelnik dowiadywał się, że odgrywająca kluczową rolę w fabule grupa trzymająca władzę to w rzeczywistości szajka homoseksualistów. W pełnym napięcia rozdziale *Na tropie zwierzyny* jeden z bohaterów powieści przestrzegł drugiego:

*Pan jest, panie Stübel, człowiekiem ogromnie porywczym, a niedoświadczonym. Nie zna pan tajemnic życia tej bandy, która pana otacza. Zbrodnia, podłość i perwersja, podały tam sobie rękę. Wzrusza pana jeszcze fakt, że rodzina pańska jest systematycznie*

*okradana przez dyrektorów. Boli pana, że w tak cyniczny sposób wyrażają się o kobietach. Dla mnie nie ma w tym nic nowego. Jestem pewny, a nawet mam w ręku dowody, że wśród tych ludzi wyzutych z sumienia i czci krzewi się homoseksualizm<sup>46</sup>.*

Jan Kowalski (albo i Jan Nowak) czytał i wyciągał wnioski. A autor, Ludwik Starski, za zasługi dla narodowej kultury dostał nawet własne hasło w Polskim Słowniku Biograficznym<sup>47</sup>.

## **Rybka połyka haczyk**

Od głośnego „*coming outu*” Ulrichsa minęło ponad pół wieku. Wiele przez ten czas powiedziano. Ale bardzo niewiele – zrobiono. Gdyby w 1930 roku Ulrichs mógł raz jeszcze zaapelować do urningów o ujawnienie swojej orientacji, gdyby na dodatek mógł to zrobić w Polsce, efekt byłby zapewne identyczny jak w 1870 roku. Wielkie milczenie. Jawny homoseksualizm w II Rzeczypospolitej był jak analfabetyzm – wykluczał z niemal każdej ścieżki kariery i awansu społecznego. Czytania i pisanie przynajmniej można było się nauczyć. Orientacja seksualna to było piętno na całe życie. I nie brakowało ludzi próbujących na tym zarobić.

Paweł Klinger nazywał ich „pseudohomoseksualistami”. Był absolutnie przekonany, że w rzeczywistości nie przejawiali żadnego pociągu do własnej płci. Po prostu zachłanność pomagała im na moment o tym zapomnieć:

*Ci zawodowi pедераści czatują na swe ofiary zazwyczaj w publicznych ubikacjach, gdzie starają się nawiązać bliższy*

*kontakt z prawdziwym homoseksualistą, a kiedy „rybka” połknie haczyk, wówczas klamka zapadła.*

*Wyzyskiwacz, grożąc ciągle doniesieniem karnym, niemiłosiernie szantażuje swą ofiarę nieraz przez dziesiątki lat, doprowadzając ją wreszcie do kompletnej ruiny materialnej lub do samobójstwa.*

Klinger nie znał skali zjawiska. Stwierdził tylko, że jest to „najciemniejsza strona” całego zagadnienia homoseksualizmu. O pladze „zawodowych pederastów” pisali też inni. Tadeusz Boy-Żeleński stwierdzał krótko: „Nie uleczy prawo ani jednego homoseksualisty, ale pomnaża ich liczbę o kadry »normalnych« spekulantów, wyzyskujących paragrafy do celów szantażu”<sup>48</sup>. Lista zagrożonych zawodów była długa. Autor wyliczał:

*Wszakże ten tajemniczy kaprys przyrody może wziąć sobie za przedmiot swej złośliwości wysokiego urzędnika, sędziego, prokuratora, kapłana. Co za życie! Niewinni w duszy, a gnieceni brzemieniem hańby społecznej, wciąż pod groźą jakiejś katastrofy, wciąż z niezaspokojonym głodem serca, ukrywający wstydliwie swoje życie, ot los!*<sup>49</sup>

Najczęściej jednak ofiarami szantażystów padali chyba homoseksualni politycy i dyplomaci. Broniąc urningów, Boy rzucił mimochodem, że oni i tak już opanowali ministerstwa spraw zagranicznych – w Polsce i poza nią. Nie był to chyba żart. Motyw urningów w dyplomacji często przewijał się w literaturze, szczególnie tej tworzonej przez artystów dobrze zorientowanych w stołecznych ploteczkach. W *Murzynie warszawskim*, sztuce Antoniego Słonimskiego wystawianej w 1928

roku, jednym z bohaterów był właśnie młody urzędnik służby zagranicznej o wyraźnie homoseksualnych skłonnościach. Była to rzecz jasna komedia, ale reakcje na tę jedną postać musiały zniesmaczyć nawet dość gruboskórnego autora. Widzowie głośno szydzili, wydawali małpie odgłosy i rzucali na głos nieprzyzwoite żarty. To wszystko w teatrze, przybytku kultury. Tej jednej dziedziny ludzkiej działalności, która w dwudziestoleciu międzywojennym uchodziła za azyl dla osób o innym spojrzeniu na życie miłosne.

Wspominano o tym zarówno w dowcipach, jak i w tekstach o czysto bojówkarskim wydźwięku. Tadeusz Boy-Żeleński naigrywał się, że zniesienie przepisów zakazujących pederastii automatycznie zmniejszy liczbę homoseksualistów: „Odpadną wszystkie snoby”<sup>50</sup>. Ale czy rzeczywiście w latach trzydziestych można było z dumą podawać się za urninga? Paradoksalnie nie brakowało ludzi, którzy tak myśleli. Weźmy na przykład pamiętniki Anny Iwaszkiewiczowej. O swoim homoseksualnym przyjacielu Janie Lechoniu pisała: „Najśmieszniejsze jest już to pozowanie na tego rodzaju »przyjaźń«, jak (...) robi to Leszek. Przecież ten człowiek stale obnosi się z jakimś chłopakiem (...) jedynie po to, aby mówiono, że to jego kochanek. Chce koniecznie uchodzić za bardziej chorego nerwowo i zdegradowanego, niż jest rzeczywiście”<sup>51</sup>.

Iwaszkiewiczowa miała wszelkie predyspozycje, żeby zrozumieć osoby o innej orientacji: obracała się w towarzystwie nielicznych w Polsce urningów, którzy byli świadomi swojej tożsamości płciowej. Ktoś mógłby powiedzieć – pierwszych polskich gejów. Mimo to uważała homoseksualizm za coś odrealnionego. Raczej żarcik przy kawiarnianym stoliku i artystyczną zgrywę niż autentyczną, wrodzoną



tendencję. Trudno jej było zaakceptować, że mogą istnieć mężczyźni zainteresowani wyłącznie innymi mężczyznami. Nawet o Szymanowskim, który kobiety potrafił darzyć co najwyżej przyjaźnią, pisała: „Ten erotyzm Karola »na obie strony« jest rzeczywiście przerażający”. A przecież strona była tylko jedna. Bolesnie przekonała się o tym Zofia Nałkowska. Jednocześnie świadoma homoseksualizmu Szymanowskiego i ślepo w nim zakochana. Przez wiele miesięcy łudziła się, że to tylko „chłód” wymagający „przełamania”. Jakże typowe w tej epoce podejście. Nawet gdy skapitulowała przed niemożliwym zadaniem, wciąż do końca nie wierzyła. Pisała o „skazie” potwierdzonej, ale jednak „takiej wymyślnej, takiej niesamowitej”<sup>52</sup>.

## **Pokolenie pederastów**

Krytycy homoseksualizmu też nie byli w stanie zaakceptować istnienia „prawdziwych” urningów. Zarazem nie mieli żadnych wątpliwości co do tego, że udawanych pederastów są całe zgraje. Prawicowy „Orędownik” z powagą ostrzegał: „Homoseksualizm grasuje nagminnie w średnim pokoleniu literatów, w młodszym pokoleniu aktorskim i w kołach sportowych”<sup>53</sup>. Jeszcze ostrzej wypowiedział się francuski pisarz Georges de La Fouchardière, cytowany w 1929 roku przez dziennikarzy „Głosu Polskiego”:

*Mieliśmy pokolenie poetów suchotników (...), mieliśmy pokolenie powieściopisarzy neurastenicznych, mieliśmy pokolenie pisarzy alkoholików... Potem trzeba było (...) palić opium i pchać do nosa kokainę... Dzisiaj trzeba być pederastą*<sup>54</sup>.

To była rzecz jasna karykatura rzeczywistości. Liczba homoseksualistów w kulturze wcale nie wzrosła. Po prostu dopiero teraz zaczęto ich zauważać. Jak na ironię, częściej zauważali ich konserwatyści pokroju La Fouchardière'a niż sami urningowie. Oni wciąż bali się poruszać w swoich sztukach i powieściach homoseksualne motywy. Jeśli takie się trafiały – to głównie jako zakamuflowana wzmianka na marginesie lub parodia prawdziwego uczucia. Choćby w formie dwóch budzących politowanie „zbożników” na statku z fabularyzowanego reportażu Zbigniewa Uniłowskiego:

*Różowy kucharz stał oparty o barierę, a steward zbliżył się do niego i objął go w pól. Ale to nie było takie objęcie przyjacielskie, bo i kolanem, i biodrem. A ten nic, palił sobie obojętnie i słuchał, co mu ten szeptał do ucha<sup>55</sup>.*

Być może szeptał, że autentycznych emocji trzeba szukać gdzie indziej. Wybitni twórcy pierwszej połowy XX wieku widzieli w sobie urningów, ale nie zamierzali się uzewnętrzniać. Kopalnia uczuć, pragnień i oczekiwań tej mniejszości seksualnej tkwi w zupełnie nieoczekiwanym miejscu: w zbiorach homoseksualnych opowiadań erotycznych. Słabych literacko, naiwnych, ale – uderzająco szczerych.

Tadeusz Boy-Żeleński zebrał fragmenty tych opowiadań w swoim głośnym felietonie z 1930 roku pt. *Literatura „Mniejszości seksualnych”*<sup>56</sup>. Głośnym tak bardzo, że nie tylko szturmem wprowadził do języka termin „mniejszości”, ale też został – zresztą niesłusznie – zapamiętany jako pierwszy w polskiej debacie głos w obronie homoseksualistów. Boy chciał, żeby ludzie dostrzegli

w urningrach swoje własne odbicie. Znajome obawy i marzenia. Żeby przestali się bać, ale też – przestali udawać, że „oni” nie istnieją. Teksty, przytaczane w krótszych i dłuższych fragmentach, pochodziły z nielegalnych niemieckich czasopism dla urningów. I co znamienne, znacznie więcej w nich było miłości niż seksu.

Weźmy na przykład opowiadanie o bogatym przemysłowcu, który został niesłusznie oskarżony o molestowanie nieletnich. Boy streszcza:

*Wychodzi z więzienia zrujnowany. Ale nie to sprawia mu najwięcej bólu. Hans, jego przyjaciel, jego ukochany, nie dał znaku życia, nie zjawił się nawet na rozprawę. Wspomina sposób, w jaki się poznali, spotkanie na sportowej wycieczce w samotnej chatce alpejskiej, zasypanej śniegiem, gdzie odcięci na parę dni od świata, przeżyli cudowne chwile...*

*Naraz, gdy tonie w gorzkich refleksjach, spogląda, oczom nie wierzy: Hans! Hans, to naprawdę ty? Mogęż w to wierzyć, to nie sen? Przyszedeś? Czekaleś na mnie? Pochylił się nad wąskimi rękami Hansa i przycisnął do nich wargi.*

Obrazek drugi: *W kąpielni*. „Wśród igraszek w pływalni dwaj młodzi ludzie obserwują się z daleka, ale żaden z nich nie śmie się zbliżyć. Naraz (...) kąpiący się wrzucili jednego z nich z nienacka do wody: zanurzył się i – nie wypłynął. Drugi skacze, daje trzy razy nurka, wydobywa go, przywraca do zmysłów. I znów oczy ich spotykają się: Tyś mi uratował życie? – szepce ów ocalony”. Ciąg dalszy jest łatwy do przewidzenia. Wyznanie miłosne, porozumienie dusz, *fin*.

Boy z rozmysłem dobiera historie do bólu proste. We wszystkich samotność miesza się z niepewnością i ze strachem przed odtrąceniem. Celem bohaterów jest tylko odrobina stabilności i szczęścia. Odległym

marzeniem: sen o tym, by któregoś dnia urningowie mogli żyć ze sobą otwarcie i bez wstydu. A także – żeby mogli stanąć przed ołtarzem i wyznać sobie miłość. Boy cytuje fragmenty opowiadania *Samotny kościółek* gdzie para homoseksualnych mężczyzn bierze potajemnie ślub w odciętej od świata, zagubionej pośrodku lasu świątyni. Już dziesięć lat wcześniej Antoni Mikulski wspominał, że do podobnych przypadków dochodziło też w rzeczywistości. Choć znane były tylko te zakończone policyjną obławą.

Czy Polscy urningowie śnili o tym samym? Nie wiadomo. Prawdopodobnie jedyny bezkompromisowy utwór poświęcony sytuacji osób homoseksualnych wyszedł na początku lat dwudziestych spod pióra Karola Szymanowskiego. Sam autor pisał o *Efebosie*: „Jeżeli za coś zasługuję na pomnik (od współwyznawców), to za tę szczerą i śmiałą apologię”<sup>57</sup>. Ale gdy tekst był już gotowy, nie odważył się go opublikować. Maszynopis spłonął w 1939 roku podczas kampanii wrześniowej. Znane są wyłącznie jego fragmenty. I wiadomo, że była w *Efebosie* uczta na wzór platońskich sympozjonów. Tych samych, do których sięgał Karl Heinrich Ulrichs, ogłaszając publicznie: „Jestem urningiem”.

---

Pozycje są cytowane przy pierwszym wystąpieniu w danym rozdziale. Data ostatniego dostępu do wszystkich źródeł internetowych to 20 lutego 2015 roku.

<sup>1</sup> Andrew Hodges, *Alan Turing. The Enigma*, Burnett Books, London 1983. Nie jest to jedyna wersja wydarzeń funkcjonująca w literaturze – zdaniem części autorów Turing zmarł w wyniku nieszczęśliwego wypadku, nie zaś samobójstwa.

<sup>2</sup> Bohdan Piętka, *Więźniowie z różowym trójkątem w KL Auschwitz*, „Dzieje

Najnowsze” 2014, nr 2. Przeczytaj więcej w artykule: *Ilu dokładnie gejów trafiło do Auschwitz?* w portalu [Ciekawostkihistoryczne.pl](http://www.ciekawostkihistoryczne.pl/?p=24758/) [[www.ciekawostkihistoryczne.pl/?p=24758/](http://www.ciekawostkihistoryczne.pl/?p=24758/)].

3 Lucinda Fleeson, *The Gay '30s*, „Chicago Magazine” 2005, nr 11.

4 Paweł Klinger, *Vita sexualis. Prawda o życiu płciowym człowieka*, Księgarnia Karola Neumillera, Łódź 1930.

5 Zob. Karl Heinrich Ulrichs, *The Riddle of „Man-manly Love”: the Pioneering Work on Male Homosexuality*, Prometheus Books, 1994; *Karl Heinrich Ulrichs: Urning Pride and the First Known Gay Activist*, tłum. i oprac. Michael A. Lombardi-Nash, Urania Manuscripts, Jacksonville 2008.

6 Leon Wachholz, *Krytyczne uwagi w sprawie uranicznego poczucia płciowego*, „Krytyka Lekarska” 1900, nr 7–8.

7 Antoni Mikulski, *Homoseksualizm ze stanowiska medycyny i prawa*, nakładem „Gazety Lekarskiej”, Warszawa 1920.

8 Cyt. za: Tamże.

9 *Homoseksualizm i miłość lesbijska*, „Express Wieczorny”, 22 lutego 1924, nr 44.

10 W tekście dosłownie: „*Post hoc nie jest propter hoc*”.

11 Jednym z nielicznych wyjątków była Irena Krzywicka, stanowczo pisząca, że „nikt nie ma prawa wtrącać się do homoseksualizmu, jeżeli jest on wynikiem naturalnych skłonności”. Zob. Irena Krzywicka, *Miłość w więzieniu*, w: Tejże, *Kontrola współczesności. Wybór międzywojennej publicystyki społecznej i literackiej z lat 1924–1939*, Feminoteka, Warszawa 2008.

12 Cyt. za: Antoni Mikulski, *Homoseksualizm ze stanowiska medycyny i prawa*, dz. cyt.

13 Cyt. za: Tadeusz Boy-Żeleński, *Literatura „mniejszości seksualnych”*, w: Tegoż, *Zmysły... zmysły...*, Biblioteka Boya, Warszawa 1932.

14 Zob. np. Jere Longman, *The Deafening Roar of the Shrug*, „The New York Times”, 29 lipca 2007,

[[http://www.nytimes.com/2007/07/29/weekinreview/29longman.html?\\_r=0](http://www.nytimes.com/2007/07/29/weekinreview/29longman.html?_r=0)].

15 William Alexander Hammond, *Niemoc płciowa u mężczyzn i kobiet oraz sposoby jej zaradzania*, M. Ziemkiewicz, Warszawa 1890.

16 *Textbook of Homosexuality and Mental Health*, red. Robert Paul Cabaj, Terry S. Stein, American Psychiatric Association, 1996.

17 Cyt. za: Krzysztof Tomasik, *Homobiografie*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2014.

18 Cyt. za: Antoni Mikulski, *Homoseksualizm ze stanowiska medycyny i prawa*, dz. cyt.

19 J. Pruszyński, *Mniejszości seksualne*, „Głos Poranny”, 19 lipca 1931, nr 195.

20 Zob. Wojciech Szot, *Urningi i trybady. Słownik*, „[Homiki.pl](http://Homiki.pl)”, 13 października

2001, [[www.homiki.pl/index.php/2011/10/urningi-i-trybady-sownik/](http://www.homiki.pl/index.php/2011/10/urningi-i-trybady-sownik/)].

21 Krzysztof Tomasik, *Homobiografie*, dz. cyt.

22 Antoni Mikulski, *Homoseksualizm ze stanowiska medycyny i prawa*, dz. cyt.

23 10 milionów homoseksualistów „praktykuje” w społecznej zblazowanej Europie, „Ilustrowana Republika”, 22 listopada 1926, nr 323.

24 Cyt. za: J. Pruszyński, *Mniejszości seksualne*, dz. cyt.

25 Zgon Hugona Bettauera, „Republika”, 27 marca 1925, nr 85.

26 Afera łódzkiego „Orbisu”, „Głos Poranny”, 1 sierpnia 1931, nr 208.

27 Adam Konarski, *Kaleka mści się za swe upośledzenie*, „Ilustrowana Republika”, 26 lutego 1932, nr 57.

28 60-letni generał w stroju baletnicy, „Echo”, 29 grudnia 1931, nr 354.

29 Mieczysław Kwiatkowski, *Zimna perwersja Berlina*, „Ilustrowana Republika”, 28 października 1928, nr 298.

30 Aleksander Krakowski, *Homoseksualizm – choroba hitleryzmu*, „Głos Poranny”, 16 sierpnia 1934, nr 225.

31 Antoni Sobański, *Cywil w Berlinie, Sic!*, Warszawa 2006.

32 Irena Krzywicka, *Wyznania gorszytelki*, Czytelnik, Warszawa 1995.

33 S.L. Schneiderman, *W kraju, gdzie słowo antysemityzm jest zniewagą...*, „Nowy Dziennik”, 20 listopada 1937, nr 319.

34 Zob. np. Heinz Heger, *The Men with the Pink Triangle. The True Life-and-Death Story of Homosexuals in the Nazi Death Camps*, Alyson Books, 1994.

35 Rosja sowiecka reformuje przepisy karne o przestępstwach seksualnych, „Gazeta Lwowska”, 26 stycznia 1929, nr 22.

36 Zob. np. *Homoseksualizm pos. Królikowskiego*, „Republika”, 11 stycznia 1925, nr 11.

37 Por. Katarzyna Sierakowska, *Listy Józefa Rajnfelda. Kilka uwag o homoseksualizmie w dwudziestoleciu międzywojennym*, w: *Kobieta i rewolucja obyczajowa. Wiek XIX i XX*, red. A. Żarnowska, A. Szwarz, DiG, Warszawa 2006.

38 Zbrodnia homoseksualisty. Wstrząsający dramat wśród zbrojeńców, „Ostatnie Wiadomości Krakowskie”, 25 października 1933, nr 299.

39 Wykrycie „klubu” homoseksualistów, „Ilustrowana Republika”, 5 grudnia 1927, nr 334.

40 Zob. np. Paweł Klinger, *Poligamja – zjawiskiem naturalnym?*, „Ilustrowana Republika”, 4 sierpnia 1928, nr 214; *Noście krótkie włosy!*, „Ilustrowana Republika”, 12 września 1930, nr 250.

41 Cyt. za: Krzysztof Tomasik, *Geje i lesbijki sprzed lat*, „Replika” 2006, nr 5.

42 Zob. np. *Aresztowanie bandyty i degenerata w jednej osobie*, „Krytyka”, 7 lipca 1928, nr 5; *Zdarzenia i wypadki ubiegłej doby*, „Echo”, 16 czerwca 1935, nr 166.

- [43](#) *Homoseksualista na ławie oskarżonych. Sierżant orkiestry wojskowej zmuszał do uległości podwładnych mu żołnierzy*, „Hasło Łódzkie”, 7 marca 1929, nr 65.
- [44](#) Na temat sprawy Rity Gorgonowej pisałem krótko we wstępie do innej swojej książki: *Upadłe Damy II Rzeczypospolitej*, Znak, Kraków 2013.
- [45](#) *W sprawie zdziczenia seksualnego*, „Orędownik”, 14 kwietnia 1936, nr 93.
- [46](#) Julian Starski, *Szatan Łodzi. Powieść awanturniczo-obyczajowa z życia łódzkiego*, odc. 12, „Express Wieczorny Ilustrowany”, 17 listopada 1923, nr 83.
- [47](#) Artur Patek, *Starski Ludwik*, w: *Polski Słownik Biograficzny*, t. 42, Wydawnictwo Towarzystwa Naukowego Societas Vistulana, Kraków 2004.
- [48](#) Tadeusz Boy-Żeleński, *Walka o reformę seksualną*, w: Tegoż, *Zmysły..., zmysły...*, dz. cyt.
- [49](#) Tenże, *Literatura „mniejszości seksualnych”*, dz. cyt.
- [50](#) Tenże, *Nieco pedagogii*, w: Tegoż, *Zmysły..., zmysły...*, dz. cyt.
- [51](#) Anna Iwaszkiewiczowa, *Dziennik i wspomnienia*, Czytelnik, Warszawa 2005.
- [52](#) Zofia Nałkowska, *Dzienniki 1930–1939*, Czytelnik, Warszawa 1988.
- [53](#) *W sprawie zdziczenia seksualnego*, dz. cyt.
- [54](#) *Homoseksualizm w literaturze powojennej świata*, „Głos Polski”, 24 marca 1929, nr 82.
- [55](#) Zbigniew Uniłowski, *Pamiętnik morski*, J. Przeworski, Warszawa 1937.
- [56](#) Tadeusz Boy-Żeleński, *Literatura „mniejszości seksualnych”*, dz. cyt.
- [57](#) Karol Szymanowski, *Z listów*, Państwowe Wydawnictwo Muzyczne, Kraków 1958.

/ „Tu jest Warszawa, a nie wyspa Lesbos” /

## **Lesbijki**

*W odmętach wielkowiejskiej rozpusty. Potworna tajemnica eleganckiego mieszkania przy ul. Mazowieckiej.* To tylko dwa pierwsze nagłówki artykułu opublikowanego 16 listopada 1923 roku przez „Express Poranny” – popularną stołeczną bulwarówkę. Łącznie tekst miał aż pięć tytułów. Wszystkie wytłuszczone, wszystkie wołami. Tak żeby każdy czytelnik z miejsca rozumiał, że chodzi o historię zupełnie wyjątkową. Było w niej wszystko, czego dusza zapagnie: emocjonujący pościg samochodowy, porwanie dziecka, potajemne dochodzenie i zrozpaczony ojciec. A na dodatek (o czym krzyczały trzy kolejne tytuły): były też lesbijki.

Autor tekstu wyjaśniał, że przy ulicy Mazowieckiej znajduje się tajemniczy gabinet medyczny prowadzony przez niejaką „dr S.”. „O domu tym dziwaczne krążyły wersje, niepokojąc opinię, alarmując policję...” – budował napięcie. Podejrzenia narastały od lat. Teraz wreszcie mogły ustąpić miejsca faktom. Wszystko za sprawą pana Sz. – potrójnie nieszczęśliwego męża. Żona go porzuciła i jeszcze próbowała podstępem odebrać mu dzieci. A jakby tragedii było mało, wszystko zrobiła za sprawą niecnych knowań pokątnej lekarki:



*Oto była ona ofiarą zbrodni, choroby, była stałą „klientką” dr S. w domu przy ulicy Mazowieckiej. To zeznanie p. S. było właściwie pierwszym impulsem do wykrycia potwornej tajemnicy. Równocześnie prawie napływać zaczęły do policji różne anonimowe doniesienia, jedno potworniejsze od drugiego.*

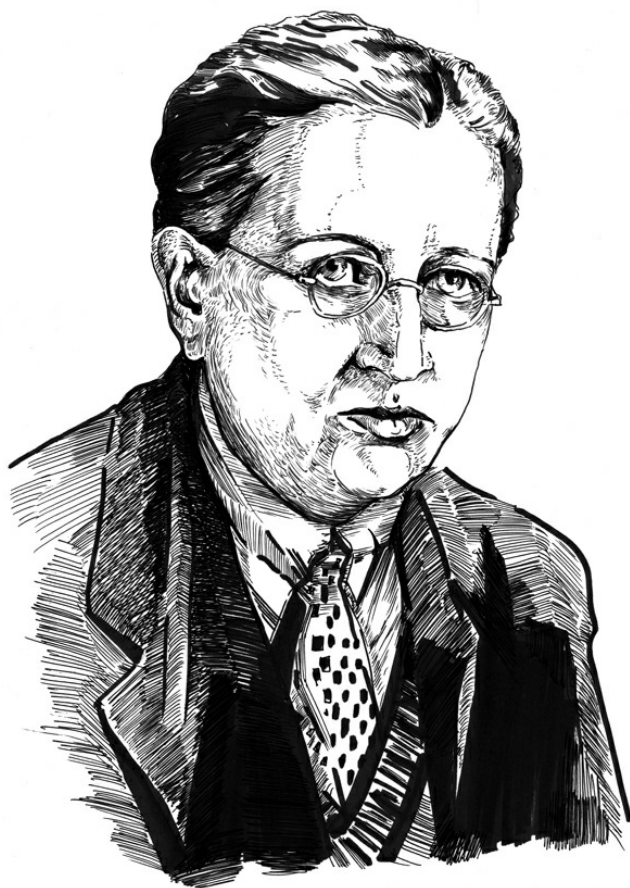
*Autorami (...) byli przeważnie mężowie, skarżący się na to, że (...) żony ich po dłuższych wizytach u dr S. na Mazowieckiej, zdradzały wyjątkowe wyczerpanie, zniechęcenie, nerwowy niepokój, że z rozkochanych żon i dobrych matek stawały się kobietami przygnębnymi, zniechęconymi do rodzinnego życia...*

*Nadszedł wreszcie do policji anonim o dwóch śmiertelnych wypadkach. Autor tego anonimu pisał, że w mieszkaniu dr S. odbywają się orgie tzw. safizmu. Kobiety narkotyzowane tajemnymi środkami lekarskimi przez dr S. dochodzą do jakiegoś obłądu miłosnego, szaleją nienaturalną żądzą... W jaskini tej giną młode ofiary, która bowiem z kobiet podekscytowana narkotykiem odda się raz niezdrowemu popędowi, zgubiona jest raz na zawsze dla męża, dla domu, dla świata<sup>1</sup>.*

O takiej aferze Polska jeszcze nie słyszała. Wykorzystywanie seksualne kobiet przez inną kobietę. Przymusowe podawanie narkotyków. Homoseksualne orgie. Potajemne morderstwa, których ofiarami miały paść „znana aktorka teatrów warszawskich” oraz „osoba z wyższego towarzystwa warszawskiego”. Wszystko za drzwiami apartamentu z niewinnie brzmiącą tabliczką „Lekarz chorób wewnętrznych”. Nie doszło do żadnych aresztowań, ale dziennikarz zapewniał, że policja jest na tropie. I nie odpuści.

Historia rozprzestrzeniała się po kraju lotem błyskawicy. Tego samego dnia pisały o niej stołeczne popołudniówki. Temat zdążyły też

podchwycić gazety w Łodzi<sup>2</sup>. Nazajutrz – Kraków, Poznań, Katowice. Dwa dni później nawet rolnik spod Stanisławowa znał historię tajemniczej „dr S.”. Społeczeństwo domagało się szczegółów. „Express Poranny” podawał przecież, że w gronie pacjentek (kochanek? ofiar?) Sadowskiej są „żony wybitnych osobistości ze świata politycznego i arystokratycznego”; że to „najbardziej znane w Warszawie i kraju” nazwiska. W artykule nie padły dane osobowe podejrzanej, był jednak adres. Pod kamienicę przy Mazowieckiej 7 zaczęły ściągać tłumy. Ciekawscy nie musieli długo szukać. W budynku znajdował się wyłącznie jeden gabinet lekarski. „Dr S.” była w rzeczywistości doktor Zofią Sadowską. Nie była natomiast ani morderczynią, ani burdelmama<sup>3</sup>.



Zofia Sadowska. Rysunek oparty na zdjęciu bohaterki głośnego skandalu. Copyright © by Beata Sosnowska.

Kobiety z wysokich sfer bywały u niej – ale na zabiegach i badaniach. A nie na orgiach. I chyba trudno dziwić się ich wyborowi. Sadowska miała doskonałą renomę jako lekarz. Teraz nikt o tym nie pamiętał, ale parę lat wcześniej gazety zachwycaly się, że jako pierwsza Polka w Imperium Rosyjskim otrzymała tytuł doktora medycyny<sup>4</sup>. Prawdę musiała znać policja. Wbrew sugestiom „Expressu” Sadowskiej

nie postawiono żadnych zarzutów. Nikt chyba nawet jej nie przesłuchiwał.

Sprawa została wyssana z palca. Historyczka badająca życie Sadowskiej, Agnieszka Weseli, tłumaczy: „Dwóch panów postanowiło jej zaszkodzić. Jeden twierdził, że uwiodła mu siostrę i siostrzenicę, drugi – że odbiła mu żonę. Wynajęli detektywa, który roznosił donosy – do Izby Lekarskiej, na uniwersytet, do prasy bulwarowej. Były tam oskarżenia o uwodzenie nieletnich, podawanie narkotyków, prowadzenie lesbijskiego domu schadzek”<sup>5</sup>.

W całej historii zgadzał się tylko jeden fakt. Sadowska rzeczywiście była lesbijką i wśród warszawskich elit nigdy się z tym szczególnie nie kryła. Żyła chyba w przeświadczeniu, że nie ma takiej potrzeby. Jest XX wiek. Epoka postępu i tolerancji, w której przynajmniej w Warszawie nikt nikomu do łóżka nie zagląda. Jeśli relacje jednopłciowe budziły konsternację, to tylko w odniesieniu do mężczyzn. Homoseksualnymi kobietami nikt się nie przejmował.

Sadowska była o tym tak silnie przekonana, że postanowiła bronić swojego dobrego imienia. Pozwała wydawcę oraz redaktora naczelnego „Expressu Porannego” do sądu za zniesławienie. I w pierwszej chwili wydawało się nawet, że dobrze zrobiła.

## **Niezmiernie pikantne szczegóły... normalności**

Jest 23 listopada, kilka dni po tym, jak warszawscy pisarze rozpętali całą aferę. Łódzkie pismo „Express Wieczorny Ilustrowany” (zbieżność nazwy z „Expressem Porannym” przypadkowa) publikuje artykuł pt. *Dr Zofia Sadowska i jej kochanki. Co to jest „miłość lesbijska”*.

Tekst równie dobrze mógłby się ukazać w dowolnym nowoczesnym podręczniku do seksuologii:

*Znany psychopatolog prof. Krafft-Ebing odróżniał tzw. perversion od perversitat. Tylko to ostatnie jest tym, co my nazywamy perwersją, a więc sztucznie wyrafinowanym erotyzmem, pierwsze zaś oznacza co prawda zboczenie, ale tylko w sensie pewnego odgałęzienia naturalnego uczucia erotycznego (...).*

*Z tego tylko punktu widzenia traktują wszyscy już obecnie przedstawiciele świata naukowego miłość homoseksualną<sup>6</sup>.*

„Odgałęzienie naturalnego uczucia”? A do tego miłość homoseksualna bez cudzysłowu? Nie brzmi groźnie. Po tym fragmencie można by wręcz pomyśleć, że dziennik opowiada się po stronie Sadowskiej. Autor tekstu uspokajał jednak czytelników, że świat nie stanął na głowie. I że „Express Wieczorny Ilustrowany” wywiąże się z obowiązków brukowca.

*Sprawa głośnego skandalu erotycznego (...) zatacza coraz szersze kręgi (...). Aby poinformować naszych czytelników o szczegółach owego głośnego skandalu, „Express” zaangażował w Warszawie specjalnego detektywa, który zebrał materiał niesłychanie obfity, a w treści swej wprost rewelacyjny.*

*W szeregu numerów zamieszczać będziemy niezwykle interesujące relacje (...) w wyczerpujący sposób charakteryzujące całą aferę, obfitującą w szczegóły niezmiernie pikantne.*

Ujmując rzecz krócej: wiemy, czego chcecie. Będziemy pluć na Sadowską i grzebać w jej prywatnych brudach. Dla uciechy tłumy. Liczył się seks i ploteczki, a nie to, kto miał rację. Jeszcze mniejsze

znaczenie przywiązywano do opinii lekarzy na temat homoseksualizmu. Od kolejnego numeru „Express Wieczorny Ilustrowany” będzie gnoić zбочoną Sadowską jak każda inna gazeta. Czy też raczej: jak każda, poza tytułami wydawanymi przez Dom Prasy S.A., bo tam skala kłamstw i insynuacji przekroczy granice absurdu.

Sadowska nie przewidziała, że pozywając „Express Poranny”, jednocześnie wypowiada wojnę całemu koncernowi medialnemu. Do tego samego właściciela należały „Kurier Czerwony”, „Express Wileński”, „Kurier Podlasia”, „Express Pomorski”, „Dziennik Białostocki”, „Express Wileński”, „Express Kujawski” i „Nowy Dziennik Kresowy”<sup>2</sup>. Wszystkie te tytuły sprzymierzyły się teraz przeciwko walecznej pani doktor. Takiej bitwy po prostu nie dało się wygrać.

Dom Prasy z łatwością odwrócił role. Wmówił czytelnikom, że to wydawnictwo jest oskarżycielem, a rozpustna lesbijka – podejrzaną. „Dotknięta rewelacjami »Expressu Porannego« (...) dr Z. Sadowska dowodzić będzie przed sądem swej niewinności” – informowano w lutym 1924 roku<sup>8</sup>. I ta wersja już została. Nawet znana z przenikliwości Irena Krzywicka będzie wspominać po latach głośną sprawę lekarki „oskarżonej o praktyki lesbijskie”<sup>9</sup>. Uwierzył chyba nawet sąd. Proces szybko przemienił się w kuriozalną debatę na temat seksualnych gustów powódki<sup>10</sup>. Wprawdzie w pierwszej instancji Sadowska odniosła częściowy sukces, w drugiej jednak wydawca został uwolniony od wszystkich zarzutów<sup>11</sup>. Był rok 1925 i nikt już nie pamiętał, że lekarka przystąpiła do boju tylko po to, aby ochronić swoją godność. Prasie nie udało się zdemonizować Sadowskiej. Zamiast tego – do reszty ją ośmieszono.

## Dziewczyny nie wiedzą, czego im brak do szczęścia

Erotyczne pismo „Amorek” podawało na początku 1925 roku całą garść doniesień na temat najbardziej znanej lesbijki w Rzeczypospolitej. Podobno, „chcąc położyć kres plotkom”, zwolniła kucharkę i pokojówkę, a na ich miejsce przyjęła mężczyzn. Podobno „w Klubie Pań Życiem Znudzonych” postulowała, że kobiety powinny siłą przejąć kontrolę nad wszystkimi redakcjami w mieście, by wreszcie położyć kres jej problemom. Podobno kręcono nawet film o niej, i to w ekskluzywnym „atelje przy ulicy Mazowieckiej”. Planowany tytuł: *O tym się nawet nie gwizdże*<sup>12</sup>. Jedna bzdura goniła drugą i wszystkim było do śmiechu. A w każdym razie – wszystkim poza samą Sadowską. Niepostrzeżenie stała się nie tylko głośną homoseksualistką, ale wręcz: twarzą homoseksualizmu. Dla Polaków w 1925 roku nazwisko Sadowska równało się słowu „lesbijka”. Lub odwrotnie.

W innym numerze „Amorek” przytaczał żartobliwy wierszyk. Narzekania amanta, który odkrył, że wybranka jego serca jest nieosiągalna:

*Jest tak piękna jak marzenie. Ma toczony, śliczny biust,  
Czarujące ma spojrzenie i anielski wykrój ust.  
Nie wyliczyłbym wszystkiego, co posiada ten twór boski,  
Lecz niestety, cóż mi z tego... Gdyż pacjentką jest Sadowskiej*<sup>13</sup>.

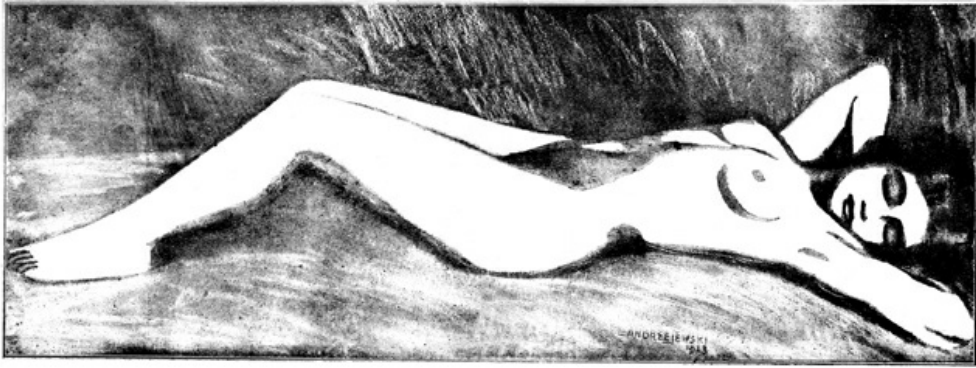
Trend stawał się coraz wyraźniejszy. Podczas gdy o męskim homoseksualizmie w ogóle nie wypadało zbyt wiele pisać, homoseksualizm kobiet przekształcił się w temat frywolnych dowcipów. „Świat dziś idzie za modą” – oznajmiał na początku 1925

roku „Nowy Dekameron”. Nawet biblijnej Ewie w XX wieku nie chciałoby się zdradzać Adama i igrać z wężem kusicielem. „Przebieglejszą nad węże jest przecież niewiasta. Więc siostrę swą do grzechu przywodzi i basta” – biegły strofy wiersza *Lesbijska miłość*<sup>14</sup>.

Mniej więcej dwa miesiące wcześniej „Nowy Dekameron” opublikował także erotyczną historię św. Piotra. Autor, zapewne Polak, ale podpisujący się francuskim pseudonimem „Bouchor”, wyjaśniał, że ślepący na starość Bóg Ojciec postanowił wysłać swojego zaufanego odźwiernego na Ziemię. Wszechmogący poinstruował go, że trzeba sprawdzić, co też się dzieje tam na dole. Normalnie po prostu wychyliłby się ze swej chmury i sam popatrzył, ale od dobrego tysiąca lat nawet stroje tych małych ludzików zlewały mu się w jedną wielką plamę. Piotr wypełnił polecenie... i trafił prosto na wyznawczynię „nowych mód” w miłości.

„Te dwie kobiety, brunetka i blondynka są niezwykle miłe, mają zapewne dobre serca, jak sądzić można z pieśczęt i pocałunków, których sobie nie szczędzą – konstatował święty na widok pary lesbijek. – Dusze mają przeznaczone do miłości. Ale one również szukają...”. Również, bo wcześniej zdezorientowany Apostoł natknął się na parę obmacujących się mężczyzn. Wniosek mógł być tylko jeden: „Mój Boże, więc na tym świecie panuje niewinność. Te dwie młode dziewczyny nie wiedzą, czego im brak do szczęścia? Uświadomię je w tym względzie, będą mi bardzo wdzięczne...”. I pomyślawszy to, zaprowadził dwie lesbijki prosto na randkę z dwoma urningami...<sup>15</sup>





„Kult kobiety w sztuce” (rys. „Nowy Dekameron”, 1924).

Jeszcze jeden przykład: opowiadanie pt. *Rozwód* wydrukowane przez „Amorka” w 1924 roku. Występują: mąż Waław i żona Haneczka. Historia rozpoczyna się jak wiele innych – zarówno realnych, jak i literackich. Mąż zdradza żonę z Kaktusią, młodą i powabną aktorką kabaretową. Żona przypadkiem natrafia na notatnik, w którym Waław zapisuje wszystkie wydatki na sponsorowaną mużę, w tym wypłacaną jej regularnie pensyjkę. Prawda wychodzi na jaw. Zamiast jednak robić awanturę, bohaterka opowiadania udaje się prosto do utrzymanki męża – trzeźwo proponuje, że zapłaci jej więcej, byle tylko rzuciła Waława. Kaktusia zgadza się, ale spokój Haneczki jest tylko chwilowy. Ni stąd, ni zowąd – mąż żąda unieważnienia małżeństwa przed sądem konsystorskim. Powód? Tym razem to Waław znalazł notatnik prowadzony przez połowicę i doznał olśnienia: „Żona uwiodła mi kochankę”!

Sędzia odczytuje z notesu Haneczki: „Dla Kaktusi z Teatru *Caprice* gotówką 1000 zł. Puder dla Kaktusi – 24 złote. Dwa kapelusze dla

Kaktusi – 370 złotych...”. Bez wahania orzeka rozwód, nie pozwalając Haneczce dojść do głosu. „Tu jest Warszawa, a nie wyspa Lesbos. Żegnaj Panią!” – oznajmia kategorycznie<sup>16</sup>.

Trudno śmiać się z tej komedii pomyłek, bo podobne historie zdarzały się też w rzeczywistości. Tadeusz Boy-Żeleński wspominał sposoby wykorzystywane przed polskimi sądami kościelnymi. Kobieta pragnąca rozejść się z mężem mogła poddać się specjalnej operacji chirurgicznej, odtwarzającej błonę dziewiczą. Mogła też – udawać homoseksualistkę.

*Niedawno rozmawiała ze mną pewna zamożna ziemianka i opowiadała mi dzieje swojego niedoszłego rozwodu. Ni mniej, ni więcej, tylko adwokat konsystorski zaproponował jej, aby się podała za lesbijkę (widać z przywróceniem dziewictwa były trudności), po czym mąż zezna, iż z powodu jej przewrotnych gustów zmuszony był ją opuścić<sup>17</sup>.*

Jeśli takie rozwiązania przedkładano żonom, to mężom – zapewne też. I raczej nie wszyscy z nich pytali swoje partnerki, czy mają ochotę zagrać we własnej wersji opowiadania z „Nowego Dekameronu”.

## **Niepoważne zboczenie**

„Kobieta o zboczeniu seksualnym. Do mężczyzny czuje odrazę, traktuje go jak rywala, natomiast kocha się w innych kobietach”<sup>18</sup>. To cała definicja lesbijki z mało wyrafinowanego słowniczka terminologii seksualnej, dołączonego do sennika erotycznego z początku lat trzydziestych. Dla porównania – na opis urningów w tym samym

leksykonie strawiono łącznie ponad pół strony. I tak było wszędzie. Zarówno w publikacjach fachowych, jak i zupełnie niepoważnych. J. Pruszyński, autor odważnego tekstu *Mniejszości seksualne* opublikowanego w 1931 roku w „Głosie Porannym”, homoseksualnym mężczyznom poświęcił całą stronę wielkoformatowej gazety. Na temat lesbijek zdobył się tylko na parę krótkich, kuriozalnych komentarzy i uogólnień. Pisał na przykład: „Często nie znoszą mężczyzn. Podają różne przyczyny. Pacjentka Stekla uważa wszystkich mężczyzn za brutalne zwierzęta, bo jej wuj dawał jej często do trzymania swój członek w stanie erekcji. Lesbijki mają często nieprzepartą potrzebę noszenia stroju męskiego. Taka potrzeba (...) nazywa się transwestytyzmem”<sup>19</sup>.

Lesbianizm po prostu nie wydawał się psychiatrom i seksuologom równie interesujący, co uranizm. Homoseksualnych kobiet niemal nikt nie próbował leczyć. Dziewczynie czującej pociąg do kobiet co najwyżej sugerowano, żeby wyszła za męża, to przestanie wygadywać głupoty. Nikt też nie liczył lesbijek, nie przeprowadzał szczegółowych ankiet. I to mimo że zupełnie powszechne było przekonanie, iż co najmniej co setna kobieta jest orientacji homoseksualnej.

Antoni Mikulski wyłącznie mimochodem zaznaczył: „Rzecz jasna [homoseksualizm] zdarza się nie tylko wśród mężczyzn, lecz i wśród kobiet. Jak twierdzą niektórzy – nawet u kobiet częściej. Pewna bardzo wykształcona powieściopisarka, która te stosunki specjalnie badała, potwierdziła to (...), mówiąc, że każda prostytutka ma jednego mężczyznę do kieszeni, a jedną kobietę do serca. Również i Havelock Ellis twierdzi, że homoseksualizm wśród kobiet zdarza się nie rzadziej niż u mężczyzn”<sup>20</sup>. Mikulski na pewno chciał dobrze. Ale jego

skompresowany wywód zabrzmiał zupełnie tak, jakby stawiał znak równości między lesbijkami i prostytutkami.

Być może brak zainteresowania specjalistów należałoby tłumaczyć wstydem. Pisanie o kobiecej seksualności, a tym bardziej seksualności nienormatywnej, przychodziło im z ewidentnym trudem. Zwyczaje intymne urningów rozkładali na czynniki pierwsze, dzielili na grupy i opatrywali liczbami. A praktyki lesbijek? Antoni Mikulski nie miał nawet odwagi napisać o nich w ojczystym języku. Do swojej pracy wrzucił kilka linijek po łacinie. I tylko na koniec zacytował hasło ze *Słownika lekarskiego*, tłumacząc, że *cunnilingus* to „lizanie części płciowych kobiecych”.

Istnieje też inne wyjaśnienie. Po fali żartów z Zofii Sadowskiej lesbianizm nawet specjalistom wydawał się zboczeniem cokolwiek niepoważnym. Dobrze widać to w wypowiedziach warszawskiego psychiatry Jana Nelkena. Na pytanie dziennikarzy, czy lesbijki są bardziej zwyrodniałe od urningów, odpowiedział: „Niewątpliwie miłość lesbijska posiada bogatsze formy perwersji. Sam fakt, że mężczyzna może liczyć na ostateczne wyładowanie się seksualnego napięcia, podczas gdy kobiecie brak zawsze tej *petite difference*, przemawia za tym dobitnie”<sup>21</sup>. Innymi słowy: homoseksualistki staczają się w otchłań zwyrodnienia, ponieważ bez pomocy mężczyzny niczego nie są w stanie osiągnąć. Nawet dojść do orgazmu.

Dla samych lesbijek – nazywanych w przedwojennej Polsce także safistkami lub trybadami – przyczyny ignorancji nie miały znaczenia. Można zgadywać, że wręcz cieszyły się z krótkowzroczności luminarzy nauki. W przeciwieństwie do homoseksualnych mężczyzn funkcjonowały w swoistej szarej strefie. Zarówno prawnej, jak

i obyczajowej.

Wspólne prowadzenie domu przez dwóch urningów było nie do pomyślenia. Przez dwie kobiety – wręcz przeciwnie. Często zdarzało się, że mieszały ze sobą niezamężne panny lub owdowiałe przyjaciółki. Nikogo to nie szokowało. Ze społecznym sprzeciwem tym bardziej nie spotykały się przypadki przyjmowania przez zamożne kobiety lokatorek, przedstawianych jako dalekie krewne lub przyjaciółki z dzieciństwa. Z tej formy kamuflażu korzystała między innymi Maria Rodziewiczówna – niezwykle popularna autorka romansów, a zarazem kontrowersyjna postać życia społecznego (w międzywojniu zawsze mówiła o „rządzie w Polsce”, a nie „rządzie polskim”; związała się blisko ze skrajną prawicą, działała przez jakiś czas we władzach Obozu Zjednoczenia Narodowego). Krzysztof Tomasik, autor książki *Homobiografie*, jest przekonany, że miała także drugą, nieznaną twarz: lesbijki żyjącej przez długie lata w trójkacie miłosnym z dwiema innymi kobietami. Jedną trzymała w swoim dworze na wsi, druga mieszkała w jej warszawskim apartamencie. Tajemnica pisarki nie wyszła na jaw za jej życia. Nawet gdyby tak się stało, mogłaby się spodziewać wyłącznie oburzenia publiki. Ze strony prawa niewiele jej groziło<sup>22</sup>.

XIX-wieczni prawodawcy nie różnili się od seksuologów z początku XX stulecia – oni też nie dostrzegali lesbijek. Paweł Klinger pisał w 1930 roku: „[Prawo] każe tylko męskich homoseksualistów, robiąc gest galanterii i niekonsekwencji w stosunku do żeńskich homoseksualistek, których zboczenia karze nie podlegają. *Nota bene*, muszę zaznaczyć, że opinia publiczna w stosunku do kobiet-homoseksualistek (lesbijek) jest również pobłażliwsza”.

Wyjątek stanowił jedynie kodeks poaustriacki. W artykule 192 pisano o „czynie lubieżnym, przeciwnym naturze, z osobą tej samej płci”. Inne kodeksy, obowiązujące na terenie byłych zaborów niemieckiego i rosyjskiego, nacisk kładły przede wszystkim na pederastię. W efekcie chyba jedyną warszawianką ukaraną w dwudziestoleciu za homoseksualizm była Zofia Sadowska. Niedługo po tym, jak przegrała w sporach z „Expressem Porannym”, postępowanie przeciwko niej wytoczyła stołeczna Izba Lekarska. Odebrano jej na rok prawo wykonywania zawodu. Za „czyny niezgodne z etyką lekarską”<sup>23</sup>.

## Rewolucja wrześniowa

Więzienie za homoseksualizm? W wolnej Polsce to się niemal nie zdarzało – i to zarówno w odniesieniu do lesbijek, jak i urningów. Dzięki staraniom Antoniego Mikulskiego i Leona Wachholza przepisy gnębiące homoseksualistów umarły na długo przed tym, jak wycofano je z kodeksów. „Gazeta Lwowska” pisała o tym jesienią 1930 roku przy okazji omawiania nowego prawa karnego:

*Licznym zmianom uległy przestępstwa seksualne. (...) Zniesiono karygodność homoseksualizmu i to zupełnie słusznie. Z jednej strony i dziś pozostawał on bezkarnym, gdyż lekarze stale zmuszeni byli stwierdzać, że u danej jednostki homoseksualizm był popędem tak silnym, że mu się oprzeć nie była w stanie. Z drugiej zaś strony, figurując w ustawie karnej jako zbrodnia, stawał się źródłem szantażu.*

*Wedle [nowego] projektu, karze podpadnie tylko mężczyzna,*

który z chęci zysku ofiaruje się innemu mężczyźnie do celu nierządneho <sup>24</sup>.

Kodeks wszedł w życie we wrześniu 1932 roku. obrońcy mniejszości homoseksualnych z niecierpliwością wyczekiwali tego momentu. Liczyli, że usunięcie paragrafów pozwoli także usunąć ludzkie uprzedzenia. Już w 1927 roku Tadeusz Boy-Żeleński pisał:

*Każdy dzień, powtarzam, czyni wyłom w tradycyjnych pojęciach, uświęconych paroma tysiącami lat. Kwestie, o których dawniej nie mogło być mowy, lub, jeśli była mowa, to pod ilomaż osłonkami, wciskają się w literaturę. (...). A cóż dopiero będzie niedługo!*

*Jesteśmy w przededniu stworzenia kodeksu polskiego (...). Czy podobna sobie wyobrazić, jak doniosły to znowuż spowoduje przewrót w obyczajach! Skoro zniknie odium ciężące na pewnych naturalnych – jak twierdzi dziś nauka – skłonnościach, pokaże się rychło, że sfera uczuć ludzkich szersza jest niż to próbowano jej wmówić. Od wieków zmuszano je, aby się kryły pod ziemią, skazując najlepsze nieraz jednostki na hańbę, prześladowanie, wydając je na pastwę szantażu i brudu. (...)*

*Jesteśmy w przededniu (...) nowej ery. (...) Nie ulega wątpliwości, że będzie ona wyzwoleniem żywej siły, dotąd ukrytej pod ziemią<sup>25</sup>.*

Kodeks wszedł w życie i szybko zapomniano o zmianach, które ze sobą przyniósł. Spod ziemi nie wyszła żadna nowa siła. Jeśli spełniło się jakieś proroctwo, to raczej sformułowane przez Antoniego Mikulskiego ponad dekadę wcześniej. „Niektórzy homoseksualiści marzą o tym, by im zezwolono na zawieranie związków małżeńskich pomiędzy sobą. Gdyby nawet ten cudaczny pomysł zyskał sankcję prawodawczą, to

wątpliwą jest rzeczą, czy wiele osób zechciałoby z tego prawa korzystać. Opinia publiczna zbyt niedwuznacznie się wypowiada względem homoseksualistów, którzy zawsze ze swym zboczeniem kryć się będą” – pisał. W II Rzeczypospolitej nigdy nie przedstawiono projektu związków partnerskich, a co dopiero małżeństw homoseksualnych. Członkowie mniejszości seksualnych nie odważyli się nawet stworzyć żadnej organizacji, która walczyłaby o ich prawa. Zbyt dobrze wiedzieli, co zwykli Polacy myślą o urningach i lesbijkach. Społeczeństwo miało w głowach nie wizję Boya-Żeleńskiego, ale raczej Jana Starskiego i jego brukowej powieści *Szatan Łodzi*. W jednym z ostatnich odcinków tego zapomnianego arcydzieła do zbrodniczej bandy homoseksualnych mężczyzn dołączyła także zdradziecka lesbijka. Autor pisał: „Ładna rodzinka. Ojciec i syn mają wspólną kochankę, która jest jednocześnie kochanką... Klary. Klara Stübel jest lesbijką, a mimo to wałęsa się po domach schadzek (...). Fabryka znajduje się faktycznie w rękach tych odbiorców, którzy są dostawcami dziewczynek Hansowi Stüblowi i jego dyrektorom. Bagno!”<sup>26</sup>.

Bagno? Wiele osób powiedziało by raczej, że polski homoseksualizm w pigułce.

---

Pozycje są cytowane przy pierwszym wystąpieniu w danym rozdziale. Data ostatniego dostępu do wszystkich źródeł internetowych to 20 lutego 2015 roku.

<sup>1</sup> Cyt. za przedrukiem tekstu w jednej z lokalnych mutacji gazety: *W odmętach wielkowiejskiej rozpusty...*, „Dziennik Białostocki”, 17 listopada 1923.

<sup>2</sup> Zob. np. *Skandal w warszawskim „high-life”*, „Republika”, 16 listopada 1923, nr 302.



- 3 Zob. np. Krzysztof Tomasik, *Homobiografie*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej Warszawa 2014.
- 4 Zob. Stanisław Łoza, *Czy wiesz, kto to jest?*, Drukarnia Wydawnicza, Warszawa 1939.
- 5 Magdalena Dubrowska, *Przedwojenna skandalistka. Świeczka dla wymazanej z pamięci*, „Gazeta Wyborcza. Warszawa”, 6 listopada 2011.
- 6 Dr Zofia Sadowska i jej kochanki. *Co to jest „miłość lesbijska”*, „Express Wieczorny Ilustrowany”, 23 listopada 1923, nr 88.
- 7 Zob. Wiesław Władyka, *Krew na pierwszej stronie. Sensacyjne dzienniki Drugiej Rzeczypospolitej*, Czytelnik, Warszawa 1982.
- 8 Cyt. za: Wojciech Szot, *Zofia Sadowska w relacjach prasy brukowej*, „Homiki.pl”, 7 listopada 2011, [[www.homiki.pl/index.php/2011/11/zofia-sadowska-w-relacjach-prasy-brukowej-1/](http://www.homiki.pl/index.php/2011/11/zofia-sadowska-w-relacjach-prasy-brukowej-1/)].
- 9 Irena Krzywicka, *Wyznania gorszycielki*, Czytelnik, Warszawa 1995.
- 10 Zob. np. *Tajemnica gniazda miłości lesbijskiej*, „Republika”, 15 lutego 1924, nr 45.
- 11 Zob. np. *A więc jednak p. Sadowska przegrała...*, „Republika”, 6 stycznia 1925, nr 6.
- 12 *Życie i salon. Najzłośliwsze plotki*, „Amorek” 1924, nr 11.
- 13 *Cóż mi z tego...*, „Amorek” 1924, nr 1.
- 14 *Lesbijska miłość*, „Nowy Dekameron” 1925, nr 4.
- 15 *Ankieta o miłości*, „Nowy Dekameron” 1925, nr 1.
- 16 *Rozwód*, „Amorek” 1924, nr 2.
- 17 Tadeusz Boy-Żeleński, *Mędrzec wśród bogaczy*, w: Tegoż, *Dziewice konsystorskie*, Księgarnia Robotnicza, Warszawa 1929.
- 18 G. Standley, *Miłość we śnie. Tłumaczenie snów erotycznych wedle nauki*, Drukarnia Handlowa, Poznań 1933.
- 19 J. Pruszyński, *Mniejszości seksualne*, „Głos Poranny”, 19 lipca 1931, nr 195.
- 20 Antoni Mikulski, *Homoseksualizm ze stanowiska medycyny i prawa*, nakładem „Gazety Lekarskiej”, Warszawa 1920.
- 21 *Homoseksualizm i miłość lesbijska*, „Express Wieczorny”, 22 lutego 1924, nr 44.
- 22 Krzysztof Tomasik, *Homobiografie*, dz. cyt.
- 23 Zob. biogram w serwisie Agnieszki Weseli: „SprawySadowskiej.pl” [<http://sprawysadowskiej.pl/index.php/sadowska/11-biogram>].
- 24 *Nowe polskie prawo karne*, „Gazeta Lwowska”, 18 października 1930, nr 241.
- 25 Tadeusz Boy-Żeleński, *Przedwiośnie?*, w: Tegoż, *Reflektorem w mrok*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1985.
- 26 Julian Starski, *Szatan Łodzi. Powieść awanturniczo-obyczajowa z życia łódzkiego*,

odc. 74, „Express Wieczorny Ilustrowany”, 4 lutego 1924, nr 28.

# Poradnia ginekologiczna doktora Frankensteina / **Epilog**



„Naświetlanie promieniami Rentgena jest zawsze zabiegiem prostym (...). Od szeregu lat lecę następującą metodą: naświetlam kilkakrotnie seriami brzuch względnie mosznę, aby wywołać stopniowe i zupełnie niebolesne porażenie, a nawet zniszczenie jajników względnie jąder”<sup>1</sup>. Wszystko po to, aby pacjent mógł przez kilka tygodni lub miesięcy uprawiać seks bez obaw o powiększenie rodziny. Przytoczone beztraskie słowa wyszły w 1914 roku spod pióra berlińskiego lekarza Manfreda Fraenkela. Autor tryskał entuzjazmem i nie ma się czemu dziwić. Był przekonany, że trzyma w garści św. Graala nowoczesnej antykoncepcji: metodę prostą, tanią i bezbolesną. A przede wszystkim w 100% skuteczną.

Jego ekscytacja udzieliła się całemu pokoleniu lekarzy i społeczników. Propagatorzy świadomego macierzyństwa przede wszystkim jednak podzielali jego niecierpliwość. Od testów na wąskiej grupie pacjentów i doskonalenia aparatury chcieli wreszcie przejść do masowych terapii. „Rozwiązanie problemu [skutecznej antykoncepcji] jest kwestią niewiele lat, może miesięcy. Jasne i oczywiste jest, że tuż, tuż, a ludzkość wejdzie w nową fazę swego istnienia” – wieszczył w 1932 roku Tadeusz Boy-Żeleński, będący nie tylko felietonistą, ale też dyplomowanym lekarzem<sup>2</sup>.

Co z tego, że na podobne zapowiedzi było o dekady za wcześnie. Specjaliści na całym kontynencie zaczęli wprowadzać w życie niesprawdzone i niebezpieczne terapie. W pogoni za sukcesem zapomnieli o leżącej u podstaw medycyny zasadzie: Po pierwsze, nie szkodzić. Żeby pomóc kobietom, byli gotowi je zabić.

## **„Syrop działał doskonale. Aż odpadła mu szczeka”**

Promieniowanie rentgenowskie, którym tak bardzo zachwycił się Manfred Fraenkel, niespełna dwadzieścia lat później nadal uchodziło za innowacyjny środek numer jeden. To o nim myślał Boy-Żeleński, przepowiadając rychły przełom. „Osiągnięto już niezwykle wyniki w sterylizacji czasowej tak mężczyzn, jak i kobiet, za pomocą promieni Rentgena” – pisał. Także Herman Rubinraut, współzałożyciel pierwszej polskiej poradni świadomego macierzyństwa, twierdził, że jest to „metoda najbliższej przyszłości”.

Literatura medyczna nie pozostawia wątpliwości. Ginekolodzy beztrąsko testowali ten środek na setkach, jeśli nie tysiącach kobiet. Tu i ówdzie podnosiły się głosy krytyki, ale dotyczyły przede wszystkim problemów z precyzyjnym zaaplikowaniem terapii. Ćwierćwiecze eksperymentów nie wystarczyło do ustalenia, jaka dawka promieniowania zabezpiecza przed ciążą na tydzień, jaka na miesiąc, a jaka na całe życie. „Nie można ściśle oznaczyć okresu niepłodności” – przestrzegali Magnus Hirschfeld i Ryszard Linsert, autorzy szacownej pracy *Zapobieganie ciąży. Środki i metody*<sup>3</sup>.

Zarazem niemal nikt nie zawracał sobie głowy zdrowotnymi skutkami niszczenia narządów płciowych. To była kwestia drugo, a może i trzecioplanowa. Z podobną nonszalancją traktowano też napływające zewsząd informacje o szkodliwości promieni Rentgena. Specjaliści od antykoncepcji widzieli w tych doniesieniach oszczerstwa wymierzone w najważniejszy wynalazek epoki. I uparcie je bagatelizowali. „Nawet po powrocie miesiączkowania przebiegały ciąże nieprawidłowo, poronnie” – przyznawali Hirschfeld i Linsert na

marginesie swojego wywodu. Makabryczne konsekwencje terapii wcale ich jednak nie zrażały. „Promienie Rentgena są w ręku lekarza ważnym środkiem, którym można łatwo posługiwać się dla czasowego lub trwałego zapobiegania ciąży” – instruowali kolegów po fachu.

Z uznaniem propagatorów postępu spotkała się także inna metoda radiologiczna. Ostatni krzyk ginekologicznej mody i prawdziwa terapia przyszłości – wprowadzania radu do macicy. W porównaniu z nią naświetlanie promieniami Rentgena można uznać za niewinny, wręcz kosmetyczny zabieg.

*Wyjałowienia promieniami radu nie można przeprowadzać ambulatoryjnie, wymaga ono opieki klinicznej. Stosowanie radu jest dla pacjentki bolesne i niewygodne, wymaga też ewentualnie krótkiej narkozy na czas rozszerzenia kanału szyjki [macicy].*

*Zdarzają się czasem podwyżki temperatury, jako następstwo wprowadzenia radu do macicy (...). Schedel zaobserwował w 66% swoich przypadków lekkie mdłości, brak apetytu, nieznaczny ból głowy.*

Pomimo całej tej litanii skutków ubocznych Hirschfeld i Linsert pozostawali optymistami: „Są to niezbyt ważne przeszkody w używaniu radu”. Problem widzieli nie w chorobie popromiennej, ale w wysokich kosztach terapii. Rad był po prostu zbyt drogi, aby szerokie warstwy społeczeństwa mogły poznać jego zbawienne działanie. Inny autor, Polak Aleksander Parczewski, też zwracał uwagę wyłącznie na przeszkody techniczne. Rad działał nieprzewidywalnie – mógł ubezpłodnić chwilowo lub na całe życie. I ten drobny szczegół należało dopracować przed oficjalnym wprowadzeniem metody do użytku<sup>4</sup>.

W międzyczasie producenci środków antykoncepcyjnych oferowali

rozwiązania połowiczne. W Niemczech opatentowano na przykład specjalne porcelanowe pesarium, wypełnione substancją radioaktywną. Zapobiega i leczy – zachwalał jego wytwórca. Dla klientów pragnących zasmakować metod przyszłości, jak znalazł. Szczególnie że te metody miały zniknąć, jeszcze zanim na dobre zadomowiły się w medycynie.

W połowie lat trzydziestych rentgen i rad jako sposoby zapobiegania ciąży niemal z dnia na dzień wyszły z mody. Lata badań, wskazujących na wyniszczający charakter promieniowania jonizującego, nie wystarczyły, by obrzydzić te środki publice. Szalę przechyliła chyba dopiero sprawa Ebena Byersa. Amerykański milioner, sportowiec i wynalazca umarł, bo robił to, co w tej epoce uchodziło za rzecz nowoczesną i wysmakowaną: stosował rad jako środek na każdą dolegliwość. Pierwiastek odkryty przez Marię Skłodowską-Curie od lat dodawano do drogich napojów, farb, lekarstw i suplementów diety. Byers upodobał sobie jeden z takich środków – syrop Radithor. Przyjmował go w zastraszających ilościach, by być silnym i zdrowym. Pod wpływem odkładającego się w organizmie radu kości Byersa zaczęły się rozsypywać, jego szczeka niemal całkowicie odpadła, w czaszce pojawiły się ziejące dziury. Zabiły go wreszcie dziesiątki złośliwych guzów nowotworowych, obrastających całe ciało. Podobnych przypadków było w przeszłości wiele, nigdy jednak nie dotyczyły osoby tak znanej i wpływowej. Rząd Stanów Zjednoczonych natychmiast zakazał sprzedawania środków zawierających rad. Wszystkie terapie opierające się na działaniu promieniowania poddano skrupulatnej kontroli. W kraju wybuchła prawdziwa radowa panika<sup>5</sup>.

W Polsce reakcje były mniej jednoznaczne. Doskonale widać to w artykule dziennika „Ilustrowana Republika” przedstawiającym sprawę

Byersa. Tekstu nie otwiera amerykański milioner, ale polska noblistka. Ze względu na Skłodowską-Curie tak tytułowi, jak i samej treści brakuje pazura. „Rad uśmierca i uzdrawia” – stwierdzali niepewnie dziennikarze<sup>6</sup>. Ale jednak już nikt nie chciał, by uzdrawiał także ze strachu przed ciążą.

Łącznej liczby ofiar „zawsze prostego zabiegu” antykoncepcyjnego nikt nawet nie próbował szacować. To byłoby karkołomne zadanie. Pacjentki doktora Fraenkela i jego następców mogły umierać nawet po kilku, kilkunastu latach. Ich chorób nowotworowych nikt nie łączył z innowacyjną i dawno zapomnianą terapią zapobiegającą ciąży.

Zainteresowanie radem i rentgenem w kontekście antykoncepcji utrzymało się właściwie tylko w Niemczech. Jeden z tamtejszych badaczy postanowił wykorzystać nową koniunkturę polityczną. Zaproponował, by mimo wszystko używać promieniowania i to na masową skalę. Ale wyłącznie do kastrowania Żydów. Miał to być prostszy i bardziej humanitarny środek przeprowadzenia Holocaustu. Nikogo nie trzeba było zabijać. Starczyło naświetlić i odczekać czterdzieści, pięćdziesiąt lat. Po narodzie żydowskim w III Rzeszy zostałyby wyłącznie wspomnienia. Ale Hitler był na to zbyt niecierpliwy<sup>7</sup>.

## **Trąbki, powrózki i łyżeczowanie macicy**

Lekarze polecający stosowanie radu i rentgena konsekwentnie powtarzali, że nawet jeśli metody te niosą ze sobą pewne niepożądane skutki, to i tak są o niebo lepsze od alternatyw. W tym jednym punkcie mieli rację. Alternatywę stanowiła przede wszystkim inna promowana



z uporem maniaka moda: sterylizacja chirurgiczna.

Wiktor Grzywo-Dąbrowski, autor pracy pt. *Sterylizacja i kastracja z punktu widzenia lekarskiego, eugenicznego i prawnego*, podawał, że pierwszej operacji przecięcia i podwiązania „powrózków nasiennych” u mężczyzny dokonano w 1897 roku. Zabieg ten już w międzywojniu uznawano za stosunkowo prosty i bezpieczny. Zgoła inaczej rzecz się miała ze sterylizacją kobiet. Pierwszą próbę „wycięcia części trąbek i ich podwiązania” przeprowadzono bardzo wcześnie, bo już w 1823 roku. Mimo to sto lat później procedura nadal uchodziła za poważną i ryzykowną<sup>8</sup>. Nic dziwnego. Wymagała otwarcia jamy brzusznej i daleko posuniętej ingerencji chirurgicznej. Tymczasem w okresie międzywojennym nawet udoskonalane od lat i ćwiczone na co dzień cesarskie cięcie wciąż zabijało tysiące kobiet. Według danych ze Stanów Zjednoczonych i Kanady nie przeżywało go od 8 do nawet 30% operowanych<sup>9</sup>. Statystyka umieralności wśród sterylizowanych kobiet nie jest znana. Musiała jednak wynosić przynajmniej kilka procent.

Lekarze nie byli w stanie dojść do porozumienia nawet w kwestii tego, jaki wariant zabiegu jest najlepszy. Wciąż szukano rozwiązania długotrwałego, ale jednak odwracalnego. Tak by nie skazywać kobiety na bezpłodność do końca życia. Dzisiaj na samą myśl o terapiach, którym poddawano ludzkie króliki doświadczalne, cierpnie skóra. Nowojorski ginekolog Robert Dickinson doradzał, by „powodować zarośnięcie ujść jajowodów do macicy, działając na nie substancją żrącą”. Theodoor Hendrik van de Velde, duński autor bestsellerowego poradnika *Małżeństwo doskonałe*, zalecał „wszycie jajnika w fałd otrzewnej”. Inną łatwą w zastosowaniu i niezawodną metodą

dysponował niemiecki ginekolog Heinz Zikel:

*Zabieg ten polega na usunięciu błony śluzowej ze ścian macicy. Dzięki zniszczeniu błony śluzowej, plemnik nie ma oparcia na pustych przestrzeniach macicy, nie zatrzymuje się nigdzie, tylko spływa z powrotem. Błonę śluzową usuwa się przez wyłżeczkowanie, z następującym potem przyżeganiem ścian i wnętrza macicy jodem. Usunięta błona śluzowa odradza się dopiero po roku lub nawet po kilku latach. Po tym czasie trzeba zabieg powtórzyć<sup>10</sup>.*

Na występujące w wyniku operacji stany zapalne, zbliznowacenia i infekcje autor nie zwracał uwagi. Miażdżąca większość terapii sterylizacyjnych była adresowana do kobiet, ale Hirschfeld i Linsert wspominają także o metodzie stworzonej z myślą o panach. „Instrument antykoncepcyjny Malthus” opracowany u schyłku XIX wieku składał się ze strzykawki z cienką igłą, służącą do wprowadzania chemikaliów prosto w głąb męskiej cewki moczowej. Powodzenia rynkowego nie zdobył.

Tego samego nie można powiedzieć o klasycznej, nieodwracalnej sterylizacji. Na początku lat trzydziestych promowano ją jako prawdziwe panaceum. Środek zapobiegający ciąży, ratujący zdrowie i regenerujący ciało. A przy okazji – działający jak viagra na sześćdziesiąt lat przed jej wynalezieniem. „Następstwem jest odmłodzenie całego organizmu. Uczucie rozkoszy w stosunku płciowym jest zachowane, potencja wzmacnia się lub, jeśli została utracona, powraca” – zachwalali niemieccy specjaliści.

Pomimo ryzyka grożącego operowanym kobietom, Hirschfeld i Linsert proponowali, by ze sterylizacji uczynić procedurę niemalże

obowiązkową. „Byłoby błogosławieństwem, gdyby każda kobieta, urodziwszy dwoje, troje dzieci (...), poddała się zabiegowi przecięcia jajowodów” – pisali. Tadeusz Boy-Żeleński także marzył o masowym wyjaławianiu, tyle że nacisk kładł w pierwszej kolejności na operowanie panów. „To nad-mężczyźni, samce wyższego typu, to może przysłała arystokracja ludzkości!” – zachwycał się wysterylizowaną na początku lat trzydziestych grupą Austriaków<sup>11</sup>.

Oponentom wypominał, że postępu nie da się zatrzymać. I że gros ludzi i tak nie powinno mieć w sprawie własnej płodności nic do gadania. „Już dziś dwadzieścia trzy stany w Ameryce przyjęły przymusową sterylizację z przyczyn natury eugenicznej” – podkreślał. Było dla niego oczywiste, że niedługo w Europie odżyją spartańskie obyczaje, w nowoczesnej, XX-wiecznej oprawie. Przepowiadał:

*Jednostka niezdrowa i nienadająca się do wydania potomstwa będzie musiała się temu poddać, w przeciwnym razie dziecko będzie zniszczone jako embrión lub też po jego urodzeniu będzie orzeczone, czy ma żyć, czy też nie. Byłby to powrót do starożytności. Dzieci kalekie lub niewydarzone będą zabijane po urodzeniu, oczywiście w sposób najbardziej humanitarny.*

Za ten akapit nie atakowano go ani nie wyzywano. Nie stał się zarzewiem narodowego sporu, jak wcześniejsze postulaty na temat rozwodów, aborcji i antykoncepcji. Był rok 1933. Świat fascynował się eugenicznymi teoriami, a Hitler wydawał się nieszkodliwym demagogiem, o którym za parę lat nikt nie będzie pamiętać. Nawet jeśli ktoś dostrzegał zagrożenia związane z wprowadzaniem w życie polityki udoskonalania i oczyszczania rasy, to nie widział powodu, by o tym

dyskutować. Przecież to był temat zupełnie odległy i abstrakcyjny. Nie pierwsza i nie ostatnia ułuda rozkochanego w futurologii felietonisty.

## **Jedna kropla spermy na tydzień**

Przedwojenni ginekolodzy nie wiedzieli, co to absurd. Próbowali każdego, najbardziej nieprawdopodobnego środka. Nawet kiedy chodziło o szczepienia ze spermy – nikt nie wołał, że jest to szaleństwo. Brytyjski lekarz Norman Haire instruował:

*Zazwyczaj używa się do tego celu nasienia męża, a w razie jego choroby nasienia innego zdrowego mężczyzny. Uzyskuje się je przez masturbację, następnie chwyta w wyjałowione naczynie, gdzie pozostaje przykryte w temperaturze krwi, aż ustąpi zmętnienie. Potem rozcieńcza się je stukrotnie wodą wyjałowioną i ogrzewa na łaźni wodnej do temperatury wrzenia, utrzymując je w tej temperaturze przez pięć minut.*

*Roztwór ten wstrzykuje się raz na tydzień, zaczynając od jednej kropli i podnosząc co tydzień dawkę o jedną kroplę. Daje się takich iniekcji dwanaście.*

Kliniczne badania opisanej metody przeprowadził w 1929 roku specjalista z Denver, Morris Baskin. Dwudziestu kobietom podał podskórną szczepionkę ze spermy ich mężów. Wyniki były rewelacyjne. W przeciągu kolejnego roku żadna z pacjentek nie zaszła w ciążę. Badania prowadzono także z wykorzystaniem spermy zwierzęcej, między innymi byków i szczurów. Paweł Klinger, autor podręcznika *Vita sexualis. Prawda o życiu płciowym człowieka*, pisał z entuzjazmem, że terapia ta może się w przyszłości okazać „idealna

w skutkach”<sup>12</sup>.

Jeszcze większe nadzieje wiązał z wynalazkiem pewnego insbruckiego fizjologa Ludwiga Haberlandta. W drugiej, uzupełnionej edycji swojej książki, wydanej w 1935 roku, Klinger tłumaczył: „Kiedym [w 1930 roku] pisał słowa powyższe (...), wiedziałem już o pracach prof. Haberlandta w tym kierunku, lecz nie mogłem o nich wspomnieć (...), albowiem nie były one oficjalnie podane do wiadomości publicznej”. Na polu antykoncepcji jest to wyjaśnienie zupełnie niezwykle. Niemiecki badacz, jak nikt inny, krył się ze swoim odkryciem. Miał ku temu dobre powody.

Z jednej strony nie był nawet specjalistą od zapobiegania ciąży. Na co dzień zajmował się fizjologią serca, a pomysł nowej terapii antykoncepcyjnej przyszedł mu na myśl zupełnym przypadkiem. „Ta idea opanowała mnie nagle, pewnej nocy w lutym 1919 roku” – będzie wspominać<sup>13</sup>. Po drugie, jego badania natychmiast spotkały się z żywiołowymi protestami. Podczas gdy pędzlowanie macicy jodem i umieszczanie w niej radu nikogo nie bulwersowało, ścieżka obrona przez Haberlandta zyskała mu opinię lekarza działającego wbrew naturze. A nawet – mordercy życia poczętego.



„Niebezpieczeństwo huśtawki” (rys. „Nowy Dekameron”, 1924).

Paweł Klinger udawał, że nie wie nic o kontrowersjach. Zarazem dołożył starań, aby jego entuzjazm udzielił się także czytelnikom *Vita sexualis*. Językiem zrozumiałym dla każdego laika wyjaśniał:

*Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że kobieta będąca w ciąży,*

*powtórnie w ciążę nie zachodzi; to samo dotyczy zresztą i zwierząt. Pochodzi to z tej prostej przyczyny, że jajniki ciężarnej (...) nie wytwarzają jaj koniecznych do zapłodnienia; tworzą natomiast tzw. ciało żółte (...).*

*Wprowadzając wyciąg z ciała żółtego [do organizmu] samicy ciężarnej drogą wstrzykiwań (...), osiągnął prof. Haberlandt całkowitą bezpłodność na pewien okres czasu.*

Klinger podał, że eksperymenty zostały przeprowadzone na krowach. Wypada dopowiedzieć, że nie były to pierwsze testy. Wcześniej Haberlandt sprawdzał swoją metodę na królikach. W 1921 roku przeszczepił jajniki ciężarnej samicy drugiemu, niezapłodnionemu zwierzęciu. Sukces był stuprocentowy: obiekt laboratoryjny nr 2 uzyskał całkowitą ochronę przed ciążą. Środowisko naukowe nie było jednak zachwycone. W latach dwudziestych transplantologia dopiero raczkowała. Dla wielu lekarzy to, co zrobił Haberlandt, było nieodpowiedzialną i niemoralną zabawą w Boga. Kolejne badania insbruckiego fizjologa też odbiły się ponurym echem.

Paweł Klinger pisał dalej na temat ekstraktu z ciała żółtego:

*Niestety do ludzi nie można było odkrycia tego zastosować, gdyż otrzymywanie tych hormonów z maleńkiego ciała żółtego człowieka w dostatecznej dla osiągnięcia sterylizacji ilości, było dość trudne [Czyli ktoś próbował? – przyp. KJ]. Prócz tego wydobywanie żółtego ciała z jajników też nie należy do rzeczy łatwych [Czyli ktoś próbował?! – przyp. KJ].*

*Na szczęście udało się Haberlandtowi (...) wykryć obecność tych hormonów seksualnych również i w łożysku zwierząt ciężarnych.*

Problem masowej produkcji serum został rozwiązany. „O łożyska nietrudno” – podkreślał Klinger. Pozostawała jeszcze kwestia dostarczania leku do organizmu. Doustnie nie mógł on działać, ponieważ rozpuszczał się w kwasach żołądkowych. Po wielu próbach Haberlandt zdołał opracować specjalny rodzaj pastylek. Testy na myszach potwierdziły, że zaledwie cztery setne grama ekstraktu wystarczają do wywołania niepłodności na sześć tygodni. Po tym czasie działanie układu rozrodczego wracało do normy.

Haberlandt był zachwycony. Podobnie jak Fraenkel paręnaście lat wcześniej czuł, że lada dzień zmieni obraz świata. Hormony powinny tak samo działać na organizm ludzki, co na zwierzęcy. Należało tylko odpowiednio dobrać dawki. Wydawało się, że wynalazca jest przygotowany na każdą okoliczność. „Należy przypuszczać, iż próby na ludziach powiodą się również – pisał Klinger. – Gdyby jednak wbrew oczekiwaniom substancja z łożysk krowich okazała się u człowieka bezskuteczna, wówczas nic nie stałoby na przeszkodzie do wydobywania jej z łożysk ludzkich, których w klinikach położniczych mamy wszak pod dostatkiem”.

Haberlandt nie przewidział tylko tego, jak wielki będzie opór społeczny. Stał się czarną owcą medycyny. Środowisko naukowe traktowało go jak powietrze. Zamknięto mu drogę do jakichkolwiek nowych badań niezwiązanych z antykoncepcją i do aktywności w prasie specjalistycznej. Ucierpiała też jego rodzina. Wystawiono ją na ciągłe szykany prasy i szyderstwa sąsiadów. Mimo to profesor nie składał broni. W 1930 roku rozpoczął badania kliniczne na ludziach. We współpracy z budapesztańskim koncernem farmaceutycznym Gedeona Richtera doprowadził do opatentowania i produkcji swojego



środka hormonalnego. Nadał mu nazwę „Infecundin”. To był jego największy, ale też ostatni sukces.

W 1932 roku nie był już w stanie dłużej znosić presji przeciwników. Nie wyrzekł się efektów swojej pracy, ale przestał walczyć. 22 lipca popełnił samobójstwo. Kiedy trzy lata później Klinger relacjonował efekty jego pracy (a zarazem zρέcznie przemilczał śmierć profesora), historia „Infecundinu” była właśnie tym – historią. Nikt nie zdecydował się kontynuować badań Haberlandta. Nawet związany z nimi koncern Richtera wolał skupić się na produkowaniu tabletek przeciwbólowych. Do dzisiaj zresztą jest to największa firma farmaceutyczna na Węgrzech. Badania nad szczepionkami ze spermy nie miały równie tragicznego epilogu, ale też zabrnęły w ślepią alejkę. W 1937 roku środek został zatwierdzony przez amerykański urząd patentowy. Nigdy jednak nie trafił do sprzedaży<sup>14</sup>.

Z dzisiejszej perspektywy zarówno zastrzyki z nasienia, jak i pastylki z ekstraktem z krowiego łożyska wydają się idealnie pasować do pozostałych, makabrycznych metod przedwojennej antykoncepcji. Łatwo zbagatelizować je jako zacofane i odstręczające wynalazki kolegów doktora Frankenstein. Tak też przez dziesiątki lat robiło środowisko naukowe na całym świecie. Dopiero w latach siedemdziesiątych badacze odważyli się przyznać, że to właśnie Ludwig Haberlandt był prekursorem nowoczesnej antykoncepcji hormonalnej. Bez jego pracy i odkryć nie byłoby ani „pigułki”, którą codziennie zażywa sto milionów kobiet na świecie, ani obyczajowego przewrotu lat sześćdziesiątych. Pierwsza rewolucja seksualna utorowała drogę tej drugiej.

Przyszłość może okazać się jeszcze dziwniejsza. Po półwieczu

zapomnienia z medycznych archiwów wyciągnięto także badania Morrisa Baskina. Dzisiaj są przytaczane w dziesiątkach rzetelnych prac naukowych<sup>15</sup>. Niewykluczone, że ten ślepy zaułek nauki okaże się jeszcze kamieniem węgielnym „pigułki antykoncepcyjnej dla mężczyzn”. To dopiero byłaby ciekawostka.



---

Pozycje są cytowane przy pierwszym wystąpieniu w danym rozdziale. Data ostatniego dostępu do wszystkich źródeł internetowych to 20 lutego 2015 roku.

1 Cyt. za: Magnus Hirschfeld, Ryszard Linsert, *Zapobieganie ciąży. Środki i metody*, Księgarnia Lwowska, Lwów 1933.

2 Tadeusz Boy-Żeleński, „Krucjata przeciw nędzy”, w: *Zmysły..., zmysły...*, Biblioteka Boya, Warszawa 1932.

3 Magnus Hirschfeld, Ryszard Linsert, *Zapobieganie ciąży*, dz. cyt.

4 Aleksander Parczewski, *Życie płciowe kobiety. Tajemnice (bólczki) małżeńskie. Co? – co? – co? Co panna przed ślubem, mężatka po ślubie wiedzieć powinna!*, nakł. autora, Warszawa 1935.

5 Roger M. Macklis, *The Great Radium Scandal*, „Scientific American” 1993, nr 269.

6 *Rad uśmierca i uzdrawia*, „Ilustrowana Republika”, 22 października 1932, nr 292.

7 Robert N. Proctor, *The Destruction of „Lives Not Worth Living”*, w: *Deviant Bodies: Critical Perspectives on Difference in Science and Popular Culture*, red. J. Terry, J. Urla, Plenum Press, New York 1995; Adele Clark, *Disciplining Reproduction: Modernity, American Life Sciences, and „the Problems of Sex”*, University of Carolina Press, Berkeley-Los Angeles-London 1998.

8 Wiktor Grzywo-Dąbrowski, *Sterylizacja i kastracja z punktu widzenia lekarskiego, eugenicznego i prawnego*, Warszawa 1936.

9 Wendy Mitchinson, *Giving Birth in Canada. 1900–1950*, University of Toronto Press, Toronto 2002.

10 Cytaty za: Magnus Hirschfeld, Ryszard Linsert, *Zapobieganie ciąży*, dz. cyt.

11 Tadeusz Boy-Żeleński, *Błogosławieństwo boże*, w: Tegoż, *Piekło kobiet*, Alfa, Warszawa 1930.

12 Paweł Klinger, *Vita sexualis. Prawda o życiu płciowym człowieka*, Księgarnia Karola Neumillera, Łódź 1935.

13 Edda Haberlandt, *Ludwig Haberlandt. A Pioneer in Hormonal Contraception*, „Wiener Klinische Wochenschrift” 2009, t. 121, nr 23–24.

14 Zob. Rajesh K. Naz, *Antisperm Contraceptive Vaccines: Where We Are and Where We Are Going?*, „American Journal of Reproductive Immunology” 2011, t. 66, nr 1.

15 Zob. np. *Gamete Biology: Emerging Frontiers in Fertility and Contraceptive Development*, red. S.K. Gupta, K. Koyama, J.F. Murray, Nottingham University Press, 2008; S.K. Gupta, *Reproductive Immunology*, Springer Science & Business Media, 2000; Rajesh K. Naz, *Status of Contraceptive Vaccines*, „American Journal of Reproductive Immunology” 2009, t. 61, nr 1.

/ Czym nie jest ta książka? /

## Nota autora

W połowie lat trzydziestych zespół lekarzy skupionych wokół Stanisława Higiera podjął się zadania stworzenia kompleksowej, polskojęzycznej encyklopedii seksu. Fundament publikacji stanowiła monumentalna praca niemieckich i austriackich specjalistów – wydana pod kierunkiem Maxa Marcuese i przy wsparciu Zygmunta Freuda *Handwörterbuch der Sexualwissenschaft*. W polskiej edycji uzupełniono ją jeszcze, dostosowano do lokalnych realiów, opatrzone aneksami i erratą. Wyszło z tego prawdziwe monstrum. Łącznie niemal dwa tysiące stron tekstu podzielonego na cztery opasłe tomy. W teorii dotykał on każdego obszaru ludzkiej płciowości. A jednak *Encyklopedia wiedzy seksualnej* już w chwili publikacji była uznawana za zbyt ogólnikową, pełną uproszczeń i przemilczeń. To nie była biblia przedwojennego seksu, ale raczej – wstęp do zagadnienia.

Tym bardziej taką biblią nie może być (ani nie powinno być) popularnonaukowe opracowanie, liczące niespełna pięćset stron. Moim celem ani przez chwilę nie było powiedzenie wszystkiego o życiu płciowym przedwojennych Polaków. Trzeba znać miarę rzeczy. Ta

książka to tylko próba przedstawienia pewnego zarysu rzeczywistości – innej wizji II Rzeczypospolitej niż ta znana z podręczników. Odważniejszej, miejscami niewygodnej lub wstydlivej, ale autentycznie bliskiej ludziom żyjącym osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt lat temu.

Z rozmysłem skupiałem się na obyczajach seksualnych, poglądach i doświadczeniach zwykłych Polaków. *Epoka hipokryzji* traktuje po pierwsze o podejściu do seksu zwykłej Kowalskiej lub Nowaka, a nie – o zawilej historii seksuologii, o problemach przestępczości seksualnej czy też naturze przedwojennego seksbiznesu. Każdemu z tych tematów można by z powodzeniem poświęcić osobną, przynajmniej równie obszerną książkę, nie mówiąc już nawet o historii bojów o „świadome macierzyństwo”, prawo do antykoncepcji i depenalizację aborcji. Wolałem jednak pochylić się przede wszystkim nad tym, o czym dotąd nie pisano w ogóle. *Epoka hipokryzji* nie jest też historią Zygmunta Freuda i jego wpływu na XX-wieczną Europę – donośnego, a jednak nagminnie przecenianego. Swoją uwagę skoncentrowałem na tym, co mówili, pisali i czytali Polacy. Nie licząc pojedynczych, jasno sygnalizowanych wyjątków, opierałem się na publikacjach dostępnych w języku polskim. Napisanych przez specjalistów z kraju lub z zagranicy, ale wydanych nad Wisłą przed 1939 rokiem. Wbrew wyobrażeniom o przedwojennej pruderii takich książek, broszur i artykułów wcale nie brakowało. Polacy mieli swojego Pawła Klingera, Stanisława Kurkiewicza, Iżę Moszczeńską czy Walentego Miklaszewskiego. Nie potrzebowali Freuda, by rozpętać pierwszą rewolucję seksualną. Irena Krzywicka – jedna z osób najbardziej zasłużonych dla polskiego wyzwolenia obyczajowego – przyznała zresztą, że nigdy nie zapoznała się z pracami ojca psychoanalizy. Bo

i po co. „Kiedy teraz czytam w zachodnich pismach lawinę artykułów dotyczących tych spraw, myślę z żalem: »Myśmy przecież byli pierwsi«” – komentowała u schyłku życia. *Epoka hipokryzji* to także historia myśli i poglądów tych właśnie „pierwszych”: krakowskiego odkrywcy kobiecego orgazmu, urodzonego w Koninie twórcy nowoczesnej prezerwatywy czy wreszcie publikującego swoje tezy jeszcze przed Freudem, lwowskiego obrońcy autoerotyzmu. To zarazem próba pokazania rzeczywistości prostej i przyziemnej. Po opinii i poglądy zwykłych Polaków sięgnąłem do wspomnień, opowiadań, ale też – przedwojennej prasy erotycznej.

Podczas pracy nad książką dołożyłem starań, by dotrzeć do jak najszerszej podstawy źródłowej, uwzględnić sprzeczne opinie i przedstawić rzetelne wnioski. Odsłonięcie erotycznego oblicza dawno minionej epoki stanowi jednak zadanie karkołomne, tym bardziej w sytuacji, gdy jest to temat niemal nieobecny w badaniach naukowych. Publikacja ta na pewno zawiera – jak każda książka historyczna – pewne uproszczenia, braki i przekłamania. Czytelników zachęcam do dyskusji na stronach portalu [„Ciekawostkihistoryczne.pl”](http://www.ciekawostkihistoryczne.pl)

([www.ciekawostkihistoryczne.pl/EpokaHipokryzji](http://www.ciekawostkihistoryczne.pl/EpokaHipokryzji)) i do zgłaszania uwag lub propozycji uzupełnień. Najwyższa pora odczarować historię intymności. Sama wzmianka o niej wciąż budzi rumieńce wstydu, ironiczne uśmieszki i komentarze o braku powagi. A przecież to obszar życia dotyczący każdego człowieka. I wart badań w nie mniejszym stopniu niż historia karabinów lub traktatów politycznych.

# Wybrana bibliografia

## CZASOPISMA

„Amorek”, 1924.

„Czystość”, 1906.

„Dobry Wieczór! Kurier Czerwony”, 1932.

„Duszpasterz”, 1937.

„Dziennik Poznański”, 1932.

„Dziennik Białostocki”, 1923.

„Dziennik Poranny”, 1936.

„Echo”, 1929–1938.

„Express Poranny”, 1930.

„Express Wieczorny Ilustrowany”, 1923–1924.

„Gazeta Lwowska”, 1929–1930.

„Gazeta Poniedziałkowa”, 1924.

„Głos Polski”, 1929.

„Głos Poranny”, 1931–1934.

„Gazeta Sądowa Warszawska”, 1934.

„Ilustrowany Kuryer Codzienny”, 1925–1927.

„Jutro Pracy”, 1931.  
„Kobieta w Sejmie”, 1919.  
„Kosmetyka”, 1908.  
„Kronika Lekarska”, 1888–1889.  
„Krytyka”, 1904.  
„Krytyka Lekarska”, 1900.  
„Myśl Narodowa”, 1932.  
„Nowe Tory”, 1906.  
„Nowości Ilustrowane”, 1924.  
„Nowy Dekameron”, 1924–1925.  
„Nowy Dziennik”, 1937.  
„Opiekun Społeczny” 1939.  
„Orędownik”, 1936.  
„Ostatnie Wiadomości”, 1931.  
„Ostatnie Wiadomości Krakowskie”, 1931–1933.  
„Polonista”, 1931.  
„Praca Obywatelska”, 1928–1930.  
„Przegląd Hygieniczny”, 1908.  
„Republika”/„Ilustrowana Republika”, 1925–1932.  
„Rodzina i Dziecko”, 1937.  
„Ruch Pedagogiczny”, 1930.  
„Stołeczny Kurier Wieczorny”, 1925.  
„Światowid”, 1927.  
„Wiadomości Literackie”, 1928–1933.  
„Wiadomości Parafialne”, 1938.  
„Wytworny Styl”, 1936.



„Zagadnienia Rasy”, 1938.

## WSPOMNIENIA I PAMIĘTNIKI

Czapska Maria, *Europa w rodzinie*, Znak, Kraków 2004.

Dawidowiczowa Alicja z Chwistków, *Zeschnięte liście i kwiat*,  
Wydawnictwo Literackie, Kraków 1989.

Dąbrowska Maria, *Dzienniki 1914–1945*, Czytelnik, Warszawa 1998.

Dołęga-Lewandowska Maria, *Pamiętnik „szantażystki”*, t. 1, nakł. E.  
Dołęga-Lewandowska, Poznań 1932.

Feldman Marian, *Z Warszawy przez Łuck, Syberię, znów do  
Warszawy*, [Lulu.com](http://Lulu.com), 2009.

Friedland L., *Tajemnica gabinetu lekarza. Pamiętniki wenerologa*,  
Minerwa, Warszawa 1935.

Grzesiuk Stanisław, *Boso, ale w ostrogach*, Książka i Wiedza,  
Warszawa 1972.

Iwaszkiewiczowa Anna, *Dziennik i wspomnienia*, Czytelnik,  
Warszawa 2005.

Koprowska Irena, *O moim życiu i medycynie. Wspomnienia*,  
Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1998.

Krzywicka Irena, *Wyznania gorszycielki*, Czytelnik, Warszawa 1995.

Nałkowska Zofia, *Dzienniki 1930–1939*, Czytelnik, Warszawa 1988.

*Pamiętnik pacjentki*, oprac. Adam Wizel, Księgarnia F. Hoesicka,  
Warszawa 1928.

Przybora Jeremi, *Przymknięte oko opatrności. Memuarów cz. I*,  
Tenten, Warszawa 1992.

- Samozwaniec Magdalena, *Maria i Magdalena*, Świat Książki, Warszawa 2010.
- Sękowski Marian, *Pamiętnik warszawskiego taksówkarza*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1978.
- Szymanowski Karol, *Z listów*, Państwowe Wydawnictwo Muzyczne, Kraków 1958.
- Tarczewska Aleksandra, *Historia mego życia. Wspomnienia warszawianki*, oprac. Izabela Kaniowska-Lewańska, Ossolineum, Wrocław 1967.
- Wisłocka Michalina, *Miłość na całe życie. Wspomnienia z czasów beztroski*, Bertelsmann Media, Warszawa 2002.
- Wojciechowski Jakub, *Życiorys własny robotnika*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1971.
- Zumbach Jan, *Ostatnia walka. Moje życie jako lotnika, przemysłowca i poszukiwacza przygód*, Oficyna Wydawnicza Echo, Warszawa 2014.

## **PROZA I PUBLICYSTYKA**

- Bal Stanisław, *Godzina życia mężczyzny*, Księgarnia Łódzka „Czytaj”, Łódź 1930.
- Boy-Żeleński Tadeusz, *Dziewice konsystorskie*, Księgarnia Robotnicza, Warszawa 1929.
- Boy-Żeleński Tadeusz, *Marzenie i pysk*, Rój, Warszawa 1930.
- Boy-Żeleński Tadeusz, *Piekło kobiet*, Alfa, Warszawa 1930.
- Boy-Żeleński Tadeusz, *Pijane dziecko we mgle*, Instytut Wydawniczy

„Biblioteka Polska”, Warszawa 1928.

Boy-Żeleński Tadeusz, *Reflektorem w mrok*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1985.

Boy-Żeleński Tadeusz, *Zmysły..., zmysły...*, Biblioteka Boya, Warszawa 1932.

*Chcemy całego życia. Antologia polskich tekstów feministycznych z lat 1870–1939*, red. Aneta Górnicka-Boratyńska, Res Publica, Warszawa 1999.

Krzywicka Irena, *Kontrola współczesności. Wybór międzywojennej publicystyki społecznej i literackiej z lat 1924–1939*, Feminoteka, Warszawa 2008.

Słonimski Antoni, *Kroniki tygodniowe. 1927–1931*, LTW, Warszawa 2003.

Sobański Antoni, *Cywil w Berlinie, Sic!*, Warszawa 2006.

Starski Julian, *Szatan Łodzi. Powieść awanturniczo-obyczajowa z życia łódzkiego*, powieść odcinkowa publikowana przez „Express Wieczorny Ilustrowany” 1923–1924.

Uniłowski Zbigniew, *Pamiętnik morski*, J. Przeworski, Warszawa 1937.

Wiech [Stefan Wiechecki], *Zakochany złodziej*, Vis-à-vis/Etiuda, Kraków 2013.

## **LITERATURA PRZEDMIOTU (Z EPOKI)**

Amoreczek, *Sztuka przypodobania się młodym mężczyznom. Zarazem osiągnięcia miłego i porządnego małżonka, uczynić go*

- stałym i otrzymać go dla siebie*, E. Bartels, Weissensee 1910.
- Antoszka, *Przy kądzieli. Pogadanki dla kobiet o ważnych sprawach*, Księgarnia Polska, Warszawa 1922.
- Ashkenazy Zygmunt, *Leczenie ruchowe i mięsienie (massage)*, Drukarnia W.A. Szyjkowskiego, Lwów 1892.
- Bańkowska Cecylia, *Jak uświadomiłam mojego syna*, Warszawa 1925.
- Blumenfeld Antoni, *Choroby płciowe. Prostytucya i higiena płciowa*, Księgarnia H. Altenberga, Warszawa 1906.
- Boswer J.A., *Jak unikać zdrady i rozczarowań w małżeństwie*, Lwów 1936.
- Braun Jonathan, Benjamin Rosenblum, *Samogwałt (onanizm) u mężczyzn i kobiet i jego skutki. Środki wyleczenia się z onanizmu bez pomocy*, Księgarnia Popularna, Warszawa 1908.
- Bruk Grigorij, *Ku zdrowemu życiu płciowemu. Praktyczne rady i wskazówki*, Księgarnia Popularna, Warszawa 1935.
- Brzostyński Adam, *Ochrona religii i tępienie pornografii przez ustawodawstwo polskie*, Drukarnia i Księgarnia św. Wojciecha, Poznań 1937.
- Budzińska-Tylicka Justyna, *Hygiena kobiety i kwestje społeczne z nią związane*, S. Orgelbranda Synowie, Warszawa 1909.
- Budzińska-Tylicka Justyna, *Świadome macierzyństwo*, Rój, Warszawa 1935.
- Bystroń Jan Stanisław, *Szkoła i społeczeństwo*, Naukowe Towarzystwo Pedagogiczne, Lwów 1930.
- Ceysingerówna Halina, *Za mało policjantek!*, „Praca Obywatelska”

1928, nr 2.

Chodźko Witold, *Prostytucja i choroby weneryczne jako zjawiska społeczne*, „Opiekun Społeczny” 1939, nr 3.

Czerwiński Stanisław, *Zabicie płodu i dzieciobójstwo*, „Głos Sądownictwa” 1929, nr 5.

Dryjski Albert, *Zagadnienia seksualizmu dziecka i młodzieży szkolnej. Biologia, psychologia, pedagogika*, Nasza Księgarnia, Warszawa 1934.

Eksner M. [Exner Max], *Hygiena miodowych miesięcy czyli Etyka stosunków płciowych. Poradnik dla młodych małżeństw*, Wiedza Współczesna, Warszawa 1936.

Eksner M. [Exner Max], *Życie seksualne i życie miłosne mężczyzny. O czym każdy mężczyzna wiedzieć powinien*, Wiedza Współczesna, Warszawa 1936.

*Encyklopedia wiedzy seksualnej*, t. I–IV, oprac. Max Marcuse, oprac. wyd. pol. Stanisław Higier, Wydawnictwo Lekarskie „Eskulap”, Warszawa 1937.

Fayolle Marthe, *Miłość kobiety! Życie kobiety! Cierpienia kobiety!*, Łódź 1933.

Fleszyński Kazimierz, *Zagadnienie spędzenia płodu (na tle debaty Zjazdowej)*, „Głos Sądownictwa” 1929, nr 11.

Foerster Friedrich, *Etyka płciowa i pedagogika. Nowe uzasadnienie prawd starych*, Gebethner i Wolff, Kraków-Warszawa 1911.

Forel Auguste, *Myśli utopijne o idealnym małżeństwie przyszłości*, „Czystość” 1906, nr 5.

Gabriow M., *Kult błony dziewiczej*, Księgopol, Warszawa 1934.

- Gelsen Carl, *Hygiena miodowych miesięcy. Wskazówki dla nowożeńców*, Księgarnia Popularna, Warszawa 1909.
- Gercen Aleksandr Aleksandrovič, *Odezwa do męskiej młodzieży. Odczyt D-ra Aleksandra Herzena wypowiedziany w Lauzannie i Genewie*, M. Arct, Warszawa 1904.
- Giedroyć Franciszek, *Wiekowe spory o błonę dziewiczą. Studium historyczno-lekarskie*, Warszawa 1934.
- Granville Joseph Mortimer, *Nerve-Vibration and Excitation as Agents in the Treatment of Functional Disorder and Organic Disease*, wyd. J&A. Churchill, London 1883.
- Grzechy młodości. Jak uchronić siebie od przedwczesnego wycięczenia i upadku sił*, Wino 1928.
- Grzędzielska Maria, *O wychowaniu dziewcząt*, Lwowska Biblioteczka Pedagogiczna, Lwów 1938.
- Grzywo-Dąbrowska Maria, *Psychologia prostytutki. prostytutka w literaturze pięknej, w świetle badań naukowych i obserwacji szpitalnej*, Polskie Lekarskie Towarzystwo Wydawnicze, Warszawa 1928.
- Grzywo-Dąbrowski Wiktor, *Przerwanie ciąży z punktu widzenia społecznego, prawnego i lekarskiego*, Książnica-Atlas, Warszawa-Lwów 1926.
- Grzywo-Dąbrowski Wiktor, *Przestępstwa w związku z zaspokajaniem popędu płciowego*, „Ruch Prawniczy, Ekonomiczny i Socjologiczny” 1936, nr 2.
- Grzywo-Dąbrowski Wiktor, *Spędzenie płodu i dzieciobójstwo według projektu Kodeksu Karnego Komisji Kodyfikacyjnej Rz.-posp. Polskiej*, „Lekarz Polski” 1932, nr 1.

- Grzywo-Dąbrowski Wiktor, *Sterylizacja i kastracja z punktu widzenia lekarskiego, eugenicznego i prawnego*, Warszawa 1936.
- Haluschka Helene, *Słuchaj Ewo! Nowoczesnym pannom ku rozwadze*, Wydawnictwo Księży Jezuitów, Warszawa 1938.
- Hammond William Alexander, *Niemoc płciowa u mężczyzn i kobiet oraz sposoby jej zaradzania*, M. Ziemkiewicz, Warszawa 1890.
- Higier Henryk, *Niemoc płciowa i bezpłodność u mężczyzn i kobiet ze stanowiska neurologa*, Książnica-Atlas, Warszawa-Lwów 1928.
- Higier Stanisław, *Nerwice płciowe*, Wydawnictwo Lekarskie „Eskulap”, Warszawa 1938.
- Higier Stanisław, *Niemoc płciowa i bezpłodność u mężczyzn*, Wydawnictwo Lekarskie „Eskulap”, Warszawa 1934.
- Hirschfeld Magnus, *Sexualizm a Kryminalistyka. Przestępstwa i choroby na tle płciowym*, Instytut Wydawniczy „Renaissance”, Warszawa 1930.
- Hirschfeld Magnus, Ryszard Linsert, *Zapobieganie ciąży. Środki i metody*, Księgarnia Lwowska, Lwów 1933.
- Hodann Max, *Poradnictwo seksualne*, Udziałowa Spółka Wydawnicza, Kraków 1935.
- Hojnacka Konstancja, *Współzycie z ludźmi. Kodeks towarzyski*, nakł. i dr. A. Krzycki, Żnin 1939.
- Jaf i Saldo [Jean Fauconney], *Miłość małżeńska w świetle nauki*, Księgarnia Popularna, Warszawa 1931.
- Jaxa-Bykowski Ludwik, *Figle i psoty młodzieży szkolnej*, Poznańskie Towarzystwo Psychologiczne, Poznań 1933.

- Jezierski W., „Drażliwe kwestje” w nauczaniu szkolnym, „Nowe Tory” 1906, nr 3.
- Jordan Henryk, *Nauka położnictwa dla użytku uczniów i lekarzy. Dział pierwszy*, Druk. Pobudkiewicza, Kraków 1881.
- Kāmasūtram Vātsyāyany. Indyjska ars amatoria wraz z kompletnym komentarzem*, Kultura i Sztuka, Lwów 1922.
- Karl Heinrich Ulrichs: Urning Pride and the First Known Gay Activist*, tłum. i oprac. Michael A. Lombardi-Nash, Urania Manuscripts, Jacksonville 2008.
- Karwowski Adam, *O seksualnym wychowaniu młodzieży*, „Przegląd Hygieniczny” 1908, nr 5–6.
- Key Ellen, *Miłość i małżeństwo*, Księgarnia Polska B. Połanieckiego, Lwów 1905.
- Klinger Paweł, *Vita Sexualis. Prawda o życiu płciowym człowieka*, Księgarnia Karola Neumillera, Łódź 1930 (wydanie drugie: 1935).
- Kłuszyński Henryk, *Regulacja urodzeń. Rzecz o świadomym macierzyństwie*, Księgarnia Robotnicza, Warszawa 1932.
- Kowalski Zdzisław, *Stan zdrowia i warunki higieniczne studentów Uniwersytetu Warszawskiego w świetle cyfr*, Warszawa 1899.
- Kurkiewicz Stanisław, *Ludzkie życie płciowe jako gałąź wiedzy lekarskiej wzgl. wiedzy ogólnej, jako gałąź lekarskiej praktyki – i jako ruch społeczny: oświatowy, zapobiegawczy, i t.p.*, nakł. autora, Kraków 1916.
- Kurkiewicz Stanisław, *Moja dola lekarska (Zwierzenia się i uwagi, przed ludźmi dobrej woli)*, nakł. autora, Kraków 1919.
- Kurkiewicz Stanisław, *Podziwiajmy dary urody*, nakł. autora, Kraków



1915.

Kurkiewicz Stanisław, *Samieństwo („Onania”): określenie, istota, znaczenie, skutki i t.p.*, nakł. Autora, Kraków 1917.

Kurkiewicz Stanisław, *Słownik płciowy. Zbiór wyrażeń o płciowych właściwościach, przypadłościach i t.p.*, nakł. Autora, Kraków 1913. Kurkiewicz Stanisław, *Z docieków (studyów) nad życiem płciowym. Luźne osnovy (tematy). 2. Szczegółowe odróżnienie czynności płciowych*, nakł. autora, Kraków 1906.

*Kwestie drażliwe w oświetleniu etycznym. Cz. IV. Z estetyki pożycia małżeńskiego*, „Kosmetyka” 1908, nr 11.

Lamprecht Z., *O prostytucji w małżeństwie*, „Ster” 1907, nr 1.

Lechicki Czesław, *W walce z demoralizacją*, t. I–II, Towarzystwo św. Michała Archanioła, Miejsce Piastowe 1932–1933.

Ligisz [Artur] S., *Maltuzyanizm w polityce ekonomicznej i higieny społecznej. Rzecz o zastosowaniu sztucznej niepłodności kobiety*, nakł. autora, Lwów 1903.

Lindsey Ben, *Bunt młodzieży*, Renaissance, Warszawa 1930.

Lindsey Ben, *Małżeństwa koleżeńskie. Cz. 1*, Retor, Warszawa 1932;

Lindsey Ben, *Małżeństwa koleżeńskie. Cz. 2. Dokończenie*, Retor, Warszawa 1932.

Łazowski Tadeusz J., Konrad Siwicki, *Życie płciowe warszawskiej młodzieży akademickiej według ankiety z roku 1903*, Księgarnia Naukowa, Warszawa 1906.

*Marnopłcenie – Onanizm (samogwałt, samienie się, nijactwo). Objawy, przyczyny, następstwa, zapobieganie, leczenie. Wedle najnowszych postępów naukowych*, oprac. August Czarnowski,

Hygiea, Berlin 1914.

Macko Józef, *Prostytucja. Nierząd – handel „żywym towarem” – pornografja ze stanowiska historii, etyki, higieny i prawa*, Polski Komitet Walki z Handlem Kobietami i Dziećmi, Warszawa 1927.

Margiel Edmund, *Niemoc płciowa u mężczyzn i jej racjonalne leczenie*, Warszawa 1934.

Martin William, *Racjonalne życie płciowe*, Minerwa, Warszawa 1936.

Męczkowska Teodora, *Szkoły mieszane. Koedukacja*, Wydawnictwo M. Arcta, Warszawa 1920.

Męczkowska Teodora, *Wychowanie seksualne dzieci i młodzieży*, Nasza Księgarnia, Warszawa 1934.

Mężyński Piotr, *Do młodej matki (kilka uwag z higieny kobiety)*, Wydawnictwo Sekcji Społecznej Warszawskiego Towarzystwa Ginekologicznego, Warszawa 1933.

Miklaszewski Walery, *Odezwa do młodzieży dojrzewającej*, odbitka z „Nowych Torów” 1906.

Miklaszewski Walery, *Życie płciowe w małżeństwie*, „Czystość” 1908, nr 5.

Mikulski Antoni, *Homoseksualizm ze stanowiska medycyny i prawa*, nakładem „Gazety Lekarskiej”, Warszawa 1920.

Misiewicz Michał, *Samogwałt (onanizm) i jego skutki. Przewodnik dla młodzieży i rodziców*, K. Fiszler, Warszawa 1906 (wydanie drugie: oprac. Aleksander Parszewski, Siła, Warszawa 1929).

Mizerówna Jadwiga, *Czego wymagać może kobieta od mężczyzny jako rzecznika interesów swoich, rodziny i społeczeństwa?*

*Odczyt wygłoszony na Kółku studentek „Czytelni Akademickiej” we Lwowie dnia 24 lutego 1906 r., Towarzystwo Młodzieży „Ethos”, Lwów 1906.*

Moszczeńska Iza, *Cnota kobieca*, „Krytyka” 1904, nr 10.

Moszczeńska Iza, *Czego nie wiemy o naszych synach*, Księgarnia Naukowa, Warszawa 1904.

Nelken Jan, *Kokainizm i homoseksualizm*, Wydawnictwo „Rocznika Psychjatrycznego”, Warszawa 1931.

Nyström Antoni, *Życie płciowe i jego zasady*, S. Orgelbranda Synowie, Warszawa 1907.

*O zawieraniu małżeństwa przez ludzi nerwowych i psychopatycznych*, „Kosmetyka” 1908, nr 19.

Parczewski Aleksander, *Niemoc Płci i jej leczenie*, nakł. autora, Warszawa 1929.

Parczewski Aleksander, *Życie płciowe kobiety. Tajemnice (bólczki) małżeńskie. Co? – co? – co? Co panna przed ślubem, mężatka po ślubie wiedzieć powinna!*, nakł. autora, Warszawa 1935.

Piasecki Eugeniusz, *W sprawie higieny płciowej młodzieży szkolnej. (Garść uwag wygłoszonych w pogadankach rodzicielskich w Gimnazjum III. i IV. we Lwowie)*, „Przegląd Higieniczny” 1906, nr 5.

Piwożński Marian, *W obronie ładu moralnego*, „Duszpasterz” 1937, nr 2.

*Pornografia. Głosy polskie w najważniejszej sprawie moralności społecznej*, Towarzystwo im. Piotra Skargi, Lwów 1909.

Queyrat Louis, *Miłość i Małżeństwo*, Księgarnia K. Fiszlera,

Warszawa 1907.

Ribbing Seved, *Życie płciowe przed małżeństwem. Książka o higienie seksualnej*, Eros, Warszawa 1924.

Rosenthal Jakub, *Poradnik lekarski dla kobiet*, Warszawa 1875.

Rosset Edward, *Prostytucja i choroby weneryczne w Łodzi*, Wydział Zdrowotności Publicznej Magistratu m. Łodzi, Łódź 1931.

Rubinraut Herman, *Prostytutka i my, ludzie porządni*, „Wiadomości Literackie” 1933 nr 7.

Rubinraut Herman, *Skuteczne i nieszkodliwe środki zapobiegania ciąży*, Poradnia Świadomego Macierzyństwa, Warszawa 1932.

Russell Bertrand, *Małżeństwo i moralność*, Rój, Warszawa 1931.

Safonow N.J., *Mężczyzna i kobieta w życiu płciowym. Przewodnik dla doskonałych małżeństw*, Księgarnia Popularna, Warszawa 1935.

Siegel Zygmunt, *Niechęć czy impotencja? Odczyt z dnia 8 listopada 1933 w Krak. Towarzystwie Lekarskiem*, nakł. autora, Kraków 1934.

Siemieńska H., *Policja kobieta*, „Praca Obywatelska” 1930, nr 8.

Sieńko Ksawery, *Zagadnienia seksualne*, Polskie Towarzystwo Eugeniczne, Warszawa 1937.

Spencer Herbert, *Rozwój stosunków płciowych*, Księgarnia Popularna, Warszawa 1925.

Sperry Lyman, *Rady poufne dla młodzieży. Część I. Dla chłopców*, Księgarnia K. Fiszlera, Warszawa 1907.

Sperry Lyman, *Życie płciowe zwierząt i ludzi*, Księgarnia K. Fiszlera, Warszawa 1908.

- Standley G., *Miłość we śnie. Tłumaczenie snów erotycznych wedle nauki*, Drukarnia Handlowa, Poznań 1933.
- Stosunki płciowe. Co o nich młodzież nasza wiedzieć może, a małżeństwo każde wiedzieć powinno*, przedm. Lew Tołstoj, tłum. Anna L., i Zygmunt Stankiewicz, K. Fiszler, Warszawa 1906.
- Surmacka Irena, *Czynniki prostytucji oraz charakterystyka prostytutek. Ankieta zebrana wśród prostytutek warszawskich*, Warszawa 1939.
- Szenwic Wilhelm, *Niepłodność i niemoc płciowa u kobiet*, Wydawnictwo Lekarskie „Eskulap”, Warszawa 1934.
- Szkoła czystości życia według dzieła Emmy Reichenbach-Pieczynskiej*, oprac. Jadwiga Surzycka-Chałubińska, Posiew, Warszawa 1909.
- Tangey Kanut, *Zboczenia płciowe w świetle nauki: na podstawie badań teologii indyjskiej E. Lamairesse’a i pism Krafft-Ebing’a, J. Guyot’a i P. Garnier’a*, E. Bartelsa, Weissensee 1912.
- Tardieu, *Sztuka przypodobania się kobietom*, Księgopol, Warszawa 1934.
- Trzeciak Stanisław, *Pornografia narzędziem obcych agentur*, Biblioteka „Jutra Pracy”, Warszawa 1938.
- Turzyma Maria, *Wyzwalająca się kobieta*, Kraków 1906.
- Uhma Czesław Józef, *Popęd płciowy i niektóre jego zboczenia*, Towarzystwo Wydawnicze, Lwów 1901.
- Ulrichs Karl Heinrich, *The riddle of „man-manly love”: the pioneering work on male homosexuality*, Prometheus Books, 1994.

- Van de Velde Theodoor Hendrik, *Małżeństwo doskonałe. Jego fizjologia i technika*, J. Przeworski, Warszawa 1935.
- Vātsyāyana, *Kamasutra. Oryginalny tekst przepisów religijnych hinduskich, normujących stosunki erotyczne w pożyciu małżeńskim i prostytucji publicznej*, Księgopol, Warszawa 1933.
- Wachholz Leon, *Krytyczne uwagi w sprawie uranicznego poczucia płciowego*, „Krytyka Lekarska” 1900, nr 7–8.
- Weychert-Szymanowska Władysława, *W sprawie reglamentacji prostytucji*, „Kobieta w Sejmie” 1919, nr 3.
- Welfle Tadeusz, *Życie płciowe młodzieży akademickiej*, „Zagadnienia Rasy” 1938, nr 2.
- Wernic Leon, *Zboczenia płciowe a małżeństwo. Cykl „o poradach przedślubnych”*, Polskie Towarzystwo Eugeniczne, Warszawa 1928.
- Zaleski Waław, *Prostytucja powojenna w Warszawie*, Stowarzyszenie Pracowników Księgarskich, Warszawa 1927.
- Życie płciowe i jego znaczenie ze stanowiska zdrowotno-obyczajowego*, oprac. August Czarnowski, Wydawnictwo „Przewodnika Zdrowia”, Berlin 1904.

## **LITERATURA PRZEDMIOTU (WSPÓŁCZESNA)**

- Aly Götz, Michael Sontheimer, *Fromms. How Julius Fromm's Condom Empire Fell to the Nazis*, Other Press, 2009.
- Babik Marek, *Polskie koncepcje wychowania seksualnego w latach 1900–1939*, Wyższa Szkoła Filozoficzno-Pedagogiczna

„Ignatianum”/Wydawnictwo WAM, Kraków 2010.

Barlak Agnieszka, *Dawne pocztówki barwione erotyką*, „Biuletyn Informacyjny Biblioteki Narodowej” 2004, nr 3 (170).

Blobaum Robert, „*Panika moralna*” w polskim wydaniu. *Dewiacje seksualne i wizerunek przestępczości żydowskiej na początku XX wieku*, w: *Kobieta i rewolucja obyczajowa. Wiek XIX i XX*, red. A. Żarnowska, A. Szwarc, DiG, Warszawa 2006.

Bojko Szymon, *Pocztówki spod znaku Erosa*, „Fotografia” 1984, nr 3.

Brodie Janet Farrell, *Contraception and Abortion in Nineteenth-century America*, Cornell University Press, 1997.

Clark Adele, *Disciplining Reproduction: Modernity, American Life Sciences, and „the Problems of Sex”*, University of Carolina Press, Berkeley-Los Angeles-London 1998.

Cwetsch-Wyszomirska Małgorzata, *W drodze ku „małżeństwu doskonałemu”*. *Małżeństwo na początku wieku XX w świetle „Czystości” i „Kosmetyki”*, w: *Kobieta i małżeństwo. Społeczno-kulturowe aspekty seksualności. Wiek XIX i XX*, red. A. Żarnowska, A. Szwarc, DiG, Warszawa 2004.

Dziki Sylwester, Marek Glogier, *Czesław Lechicki (1906–2001) – religioznawca, prasoznawca*, „Rocznik Historii Prasy Polskiej” 2001, t. 4, z. 2.

Eksteins Modris, *Święto wiosny. Wielka wojna i narodziny nowego wieku*, Zysk i S-ka, Poznań 2014.

Filar Marian, *Pornografia a prawo*, „Prawo i Życie” 1982, nr 23.

Foucault Michel, *Historia seksualności*, Czytelnik, Warszawa 1995.

- Gawin Magda, *Kobieta na plaży. Przemiany modelu seksualności kobiecej w latach międzywojennych*, w: *Kobieta i kultura czasu wolnego. Wiek XIX i XX*, red. A. Żarnowska, A. Szwarc, DiG, Warszawa 2001.
- Gawin Magdalena, *Rasa i nowoczesność. Historia polskiego ruchu eugenicznego (1880–1952)*, Neriton, Warszawa 2003.
- Gertzman Jay A., *Bookleggers and Smuthounds: The Trade in Erotica 1920–1940*, University of Pennsylvania Press, 2011.
- Grata Paweł, Patrycja Bielec-Cząstka, *Misje dworcowe w byłej Galicji jako element opieki nad kobietą w podróży w Drugiej Rzeczypospolitej*, w: *Galicyjskie drogi i bezdroża. Studium infrastruktury, organizacji i kultury podróżowania*, red. Jolanta Kamińska-Kwak, Instytut Historii Uniwersytetu Rzeszowskiego, Rzeszów 2013.
- Haberlandt Edda, *Ludwig Haberlandt. A pioneer in hormonal contraception*, „Wiener klinische Wochenschrift” 2009, t. 121, nr 23–24.
- Hatcher Robert Anthony, *Contraceptive technology*, Ardent Media, New York 2011.
- Human Sexuality. An Encyclopedia*, red. Vern L. Bullough, Bonnie Bullough, Routledge, New York 2014.
- Imieliński Kazimierz, *Medycyna i seks*, Instytut Wydawniczy Związków Zawodowych, Warszawa 1987.
- Izdebski Zbigniew, *Seksualność Polaków na początku XXI wieku*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2012.
- Janicki Kamil, *Pierwsze damy II Rzeczypospolitej*, Znak, Kraków 2012.



- Janicki Kamil, *Upadłe damy II Rzeczypospolitej*, Znak, Kraków 2013.
- Kałwa Dobrochna, *Głosy kobiet w sprawie planowania rodziny w świetle prasy z lat 1929–1932*, w: *Kobieta i kultura życia codziennego. Wiek XIX i XX*, red. Andrzej Szwarc, Anna Żarnowska, DiG, Warszawa 1997.
- Kałwa Dobrochna, *Kobieca seksualność w świetle teorii Michela Foucaulta. Spojrzenie na Polskę międzywojenną*, w: *Kobieta i rewolucja obyczajowa. Wiek XIX i XX*, red. A. Żarnowska, A. Szwarc, DiG, Warszawa 2006.
- Kapuścińska-Kmieciak Nina, *Zdrada małżeńska w dziewiętnastowiecznych pałacach i dworach ziemiańskich*, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2013.
- Kopeć Agnieszka, *Książka zakazana w opinii Kościoła i odbiorze czytelnicznym w okresie dwudziestolecia międzywojennego*, „Kieleckie Studia Bibliologiczne”, t. 5 (2000).
- Kotowski Robert, *Dziewczęta w mundurkach. Młodzież żeńska szkół średnich w Polsce w latach 1918–1939*, Muzeum Narodowe w Kielcach, Kielce 2013.
- Lachendro Jacek, *Prasa województwa krakowskiego w latach 1918–1939*, Historia Iagellonica, Kraków 2006.
- Leśniewski Marcin, *Narodziny seksuologii – zarys stanu wiedzy lekarskiej o seksualności człowieka na przełomie XIX i XX wieku*, w: *Kobieta i małżeństwo. Społeczno-kulturowe aspekty seksualności. Wiek XIX i XX*, red. A. Żarnowska, A. Szwarc, DiG, Warszawa 2004.
- Laskowska Małgorzata, *Postulaty etyczne dla mediów w publicystyce ks. Stefana Wyszyńskiego*, „Kultura Media Teologia” 2010, t. 3.

- Łagosz Zbigniew, *Mit polskiego satanizmu. Czesław Czyński – proces, którego nie było*, „Hermaion” 2012, nr 1.
- Macklis Roger M., *The Great Radium Scandal*, „Scientific American” 1993, nr 269.
- Maines Rachel P., *The Technology of Orgasm. „Hysteria”, the Vibrator, and Women’s Sexual Satisfaction*, The Johns Hopkins University Press, 2001.
- Marcinkowska-Gawin Magdalena, „Boyownicy i boyowniczk”. Środowisko „Wiadomości Literackich” wobec problemu regulacji urodzeń, w: *Kobieta i kultura życia codziennego. Wiek XIX i XX*, red. Andrzej Szwarc, Anna Żarnowska, DiG, Warszawa 1997.
- McCann Carole R., *Birth Control. Politics in the United States, 1916–1945*, Cornell University Press, Ithaca 1999.
- McConnachie James, *The Book of Love: In search of the Kamasutra*, Atlantic Books, London 2007.
- Milewski Stanisław, *Ciemne sprawy dawnych warszawiaków*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1982.
- Milewski Stanisław, *Ciemne sprawy międzywojnia*, Iskry, Warszawa 2002.
- Milewski Stanisław, *Intymne życie niegdysiejszej Warszawy*, Iskry, Warszawa 2008.
- Mitchinson Wendy, *Giving Birth in Canada. 1900–1950*, University of Toronto Press, Toronto 2002.
- Nead Lydia, *Myths of Sexuality. Representations of Women in Victorian Britain*, Basil Blackwell, Oxford 1988.

Nieć Grzegorz, Grażyna Wrona, „Walka z lekturą zakazaną”. *Bibliologiczne spojrzenie na dyskusje wokół książki „zakazanej” i jej wpływu na dzieci i młodzież w końcu XIX w. i na początku XX w.*, „Toruńskie Studia Bibliologiczne” 2013, nr 2.

Ogas Ogi, Sai Goddam, *A Billion Wicked Thoughts. What the Internet Tells Us About Sexual Relationships*, Plume, 2012.

Olkuśnik Marek, *Kobieta w podróży na przełomie XIX i XX wieku. Między próbą emancypacji a presją „podwójnej moralności”*, w: *Kobieta i małżeństwo. Społeczno-kulturowe aspekty seksualności. Wiek XIX i XX*, red. A. Żarnowska, A. Szwarc, DiG, Warszawa 2004.

Paczoska Ewa, *Idea czystości i piekło mężczyzn w literaturze drugiej połowy XIX wieku*, w: *Kobieta i rewolucja obyczajowa. Wiek XIX i XX*, red. A. Żarnowska, A. Szwarc, DiG, Warszawa 2006.

Piątkowska Monika, *Życie przestępcze w przedwojennej Polsce*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2012.

Pietrzak Michał, *Reglamentacja wolności prasy w Polsce 1918–1939*, Książka i Wiedza, Warszawa 1963.

Priest Robert J., *Missionary Positions. Christian, Modernist, and Postmodernist*, „Current Anthropology” 2001, t. 42, nr 1.

Proctor Robert N., *The Destruction of „Lives Not Worth Living”*, w: *Deviant Bodies: Critical Perspectives on Difference in Science and Popular Culture*, red. J. Terry, J. Urla, Plenum Press, New York 1995.

Rzewuski Paweł, *Warszawa – miasto grzechu: Prostytucja w II RP*, Promohistoria, Warszawa 2014.

- Sierakowska Katarzyna, *Listy Józefa Rajnfelda. Kilka uwag o homoseksualizmie w dwudziestoleciu międzywojennym*, w: *Kobieta i rewolucja obyczajowa. Wiek XIX i XX*, red. A. Żarnowska, A. Szwarc, DiG, Warszawa 2006.
- Sierakowska Katarzyna, *Rodzice, dzieci, dziadkowie... Wielkomięjska rodzina inteligencka w Polsce 1918–1939*, Wydawnictwo DiG, Warszawa 2003.
- Sikorska-Kulesza Jolanta, „Skąd się wziął twój braciszek?”. *Początki dyskusji o wychowaniu seksualnym dzieci i młodzieży na ziemiach polskich*, w: *Kobieta i małżeństwo. Społeczno-kulturowe aspekty seksualności. Wiek XIX i XX*, red. A. Żarnowska, A. Szwarc, DiG, Warszawa 2004.
- Sikorska-Kulesza Jolanta, „W niewoli ciała i ducha” – organizacje kobiece wobec problemu seksualności na początku XX wieku, w: *Kobieta i rewolucja obyczajowa. Wiek XIX i XX*, red. A. Żarnowska, A. Szwarc, DiG, Warszawa 2006.
- Sikorska-Kulesza Jolanta, *Zło tolerowane. Prostytycja w Królestwie Polskim w XIX wieku*, Mada, Warszawa 2004.
- Simmons Christina, *Making Marriage Modern: Women's Sexuality from the Progressive Era to World War II*, Oxford University Press, 2009
- Szwarc Andrzej, *Spory o granice pornografii – XIX i początek XX wieku*, w: *Kobieta i rewolucja obyczajowa. Wiek XIX i XX*, red. A. Żarnowska, A. Szwarc, DiG, Warszawa 2006.
- Textbook of Homosexuality and Mental Health*, red. Robert Paul Cabaj, Terry S. Stein, American Psychiatric Association, 1996.
- Tomasik Krzysztof, *Geje i lesbijki sprzed lat*, „Replika” 2006, nr 5.

- Tomasik Krzysztof, *Homobiografie*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2014.
- Tytkowska Anna, *O modernistycznej demonizacji miłości i kobiecości*, w: *Kobieta i rewolucja obyczajowa. Wiek XIX i XX*, red. A. Żarnowska, A. Szwarc, DiG, Warszawa 2006.
- Urbanek Bożena, *Poradniki medyczne o seksualności kobiet i mężczyzn w XIX wieku*, w: *Kobieta i małżeństwo. Społeczno-kulturowe aspekty seksualności. Wiek XIX i XX*, red. A. Żarnowska, A. Szwarc, DiG, Warszawa 2004.
- Wood Ann Douglas, „*The Fashionable Diseases*”: *Women's Complaints and Their Treatment in Nineteenth-Century America*, „*The Journal of Interdisciplinary History*” 1973, t. 4, nr 1.

/ Aneks /

# Przedwojenny sennik erotyczny

„Sen jest zjawiskiem, w którym przyszłe życie przejawia się pod postacią znaków, przepowiedni, ostrzeżeń. Zadaniem niniejszego dziełka jest ujęcie tych przepowiedni w system, pozwalający każdemu NIEOMYLNIE odsłonić własną przyszłość” – oznajmiał autor wydanego na początku lat trzydziestych i wznawianego przynajmniej czterokrotnie brukowego bestsellera *Miłość we śnie. Tłumaczenie snów erotycznych wedle nauki*.

Tytuł mówi wszystko. Osobliwy sennik nie pomagał w zgłębieniu tajemnic istnienia. Na nic też by się nie przydał osobom pragnącym ustalić numery loterii państwowej na następny tydzień. Jednak dla śmiazków, chcących wyczytać z nocnych marzeń swoje nieświadomione perwersje i pragnienia – był, jak znalazł. A przy okazji niezawodnie przepowiadał czytelnikowi, kogo ten zaciągnie do łóżka przy najbliższej okazji.

Jeżeli we śnie...

**widziałaś AGRAFKE** – czeka cię sprzeniewierzenie w małżeństwie na skutek zabiegów zalotnej kobiety.

**oglądałeś ALBUM** – najwidoczniej lubujesz się w pornografii.

**byłeś ALFONSEM** – miłość zboczona ma dla ciebie urok.

**jadłeś ARBUZA** – czeka cię sprzeniewierzenie żony.

**widziałaś BANDYTÓW** – blondyn czyha na twoją cnotę.

**widziałeś BECZKĘ DZIURAWĄ** – zapragniesz zbliżenia z tą kobietą.

**kupowałeś BLASZANE WYROBY** – czekają cię zmysłowe pocałunki.

**byłeś BOHATEREM** – najwidoczniej masz nieprzepartą skłonność do małoletnich. Unikaj obcowania z nimi.

**chodziłaś BRZEGIEM RZEKI** – będziesz napastowana przez złego mężczyznę. Unikaj go za wszelką cenę.

**CAŁOWAŁEŚ w rękę** – spotkasz kobietę, która nie uznaje normalnych stosunków.

**pojawiła się CEBULA** – potraktuj to jako przestrożę. Trzymaj się czysto, gdyż w bliższym pożyciu małżeńskim osoba ukochana może się tobą zrazić.

**ugniatałeś CIASTO** – spodziewaj się częstych, ale bezcelowych miłostek.

**błądziłeś w CIEMNOŚCIACH** – najwidoczniej twoja żona wymaga dużo erotyki w miłości.

**widziałeś CIĘŻARNĄ KOBIETĘ** – masz skłonności do obcowania fizycznego z kobietami ciężarnymi.

**dźwigałeś CIĘŻARY** – ktoś złoży ci niemoralną propozycję.

**byłeś na CMENTARZU** – przejawiasz skłonność do nekrofilii.

**uprawiałeś CUDZOŁÓSTWO** – jest to przepowiednia choroby wenerycznej. Wystrzegaj się stosunków z osobami bliżej nieznanymi.

**widziałeś DEPILOWANĄ kobietę** – twoja przyszła żona będzie obcego pochodzenia.

**złał cię ulewny DESZCZ** – nie wyolbrzymiaj następstw samogwałtu. Przy dobrych chęciach – wyleczysz się!

**widziałeś otwarte DRZWI** – oznacza to żeńskie organa płciowe. Mężczyźni powinni interpretować ten sen jako oznakę pociągu do podlotków.

**byłeś na DWORCU** – znajdziesz się w towarzystwie, w którym stale przebywa hermafrodyta.

**trzepałeś DYWANY** – w sprawach miłosnych masz skłonność do sadyzmu.

**widziałeś DZIUPŁĘ** – upodobania twoje do szczupłych kobiet zmieniają się na inne.

**napotkałeś EGZEKUTORA** – ktoś bliski twojemu sercu nie ma szlachetnych uczuć względem ciebie. On tylko pragnie cię pojąć.

**widziałaś EKSHIBICJONISTĘ** – unikaj samogwałtu. Może cię on doprowadzić tylko do złego.

**oglądałeś EMBRIONY przez mikroskop** – otrzymasz zmysłową i płodną żonę.

**miałeś EREKCJĘ** – nadarzy ci się sposobność do cudzołóstwa. Unikaj tego.

**uprawiałaś FECHTUNEK** – zbałamucisz cudzego męża.

**załatwiałeś FIZJOLOGICZNE POTRZEBY** – unikaj w miarę



możności stosunku ze sprzedajnymi kobietami. Grozi ci to niechybną zgubą.

**grałaś na FORTEPIANIE** – nie podniecaj mężczyzn, bo sama przez to wpadniesz.

**byłaś u FRYZJERA** – będziesz mieć do czynienia z depilowaną kobietą.

**widziałaś GENITALIA** – czekają cię odwiedziny ukochanego i zaręczyny.

**widziałeś GLINIANE NACZYNIA** – możesz mieć pewność, że twoja żona przed ślubem nie знаła mężczyzn.

**myślaś GŁOWĘ** – zaprzestań spółkowania nienaturalnego, gdyż może odbić się to na twoim zdrowiu.

**słuchałaś GRAMOFONU** – mąż złapie cię *in flagranti*.

**sadziłaś GROCH** – nie zadowalałaś swojej żony, więc ma skryte pragnienia.

**GWAŁCIŁEŚ kogoś** – nie martw się. Jeszcze się na czas ożenisz.

**oglądałaś HAREM** – masz skłonność do wielożeństwa.

**poznałaś HOMOSEKSUALISTĘ** – odczujesz pociąg lesbijski.

**widziałaś JAJKO** – twój przyszły mąż będzie stuprocentowym mężczyzną.

**widziałaś JASTRZĘBIA** – uważaj. Zły mężczyzna ostrzy na ciebie swoje szpony.

**widziałaś JĄDRA** – strzeż się brudnych stosunków.

**wdepnęłaś w KAŁ** – czeka cię dużo szczęścia i miłości w małżeństwie.

**piłaś KAWĘ** – zniszczysz sobie zdrowie, jeśli będziesz stosować tajemne praktyki zapobiegające poczęciu.

**jadłaś KIEŁBASE** – twój mąż będzie pochodzenia żydowskiego.

**widziałeś KLEPISKO** – przejawiasz skłonność do sodomii.

**ogłądałeś KOBIETE** – z powodu zbytniego erotyzmu czeka cię niemoc (impotencja).

**kupowałaś KONDONY (KONDOMY)** – unikaj anormalnych stosunków i wyrafinowanych pieścizot.

**jadłeś KONFITURY** – masz skłonność do pederastii. Będziesz mieć nieprzyjemności z tego powodu.

**wiązałeś KRAWAT** – spotkasz kobietę, która unika normalnych stosunków.

**byłaś w KSIĘGARNI** – unikaj spędzania płodu, gdyż grozi ci to komplikacjami.

**macałaś KURY** – okazuje się, że wolisz podniety od zdrowego stosunku.

**odczuwałaś LESBIJSKI POCIĄG** – poznasz homoseksualistę i poniesiesz konsekwencje tego poznania.

**widziałeś LUSTRO** – cechuje cię nieprzeparta chęć oglądania nagich ludzi.

**widziałeś MARCHEW (lub RZODKIEW)** – unikaj samotności i złych myśli erotycznych. Inaczej popadniesz w samogwałt.

**myłaś NACZYNIA** – mimo skłonności do spółkowania w okresie menstruacji unikaj tego. To szkodzi zdrowiu.

**widziałeś NAPARSTEK** – oznacza to sutki. Przygotuj się do zaznania pierwszej rozkoszy.

**widziałeś NARZĄDY KOBIECE** – najwidoczniej masz skłonność do niewinnych pańienek i do uwodzenia.

**widziałaś NOS** – doświadczysz zgorszenia na skutek nierządu i rozpusty.

**byłeś w OBORZE** – oznacza to *bestialitas* (zoofilię) i skłonność do tego zboczenia.

**spotkałaś OFICERA** – miej się na baczności. Możesz zostać uwiedziona.

**czyściłaś OKNO** – masz skłonność do upławów. Zgłoś się do lekarza.

**nosiłeś OKULARY** – najwidoczniej masz skłonność do miłości platonicznej.

**wpadł ci w ręce PĘDZEL** – spotkasz kobietę o silnym owłosieniu. Wystrzegaj się jej.

**spotkałeś PIJAKA** – cechuje cię skłonność do sodomii.

**bawiłeś się PIŁKĄ** – zaprzestań natychmiast samogwałtu.

**byłeś na POCHODZIE** – masz skłonność do przedwczesnej ejakulacji.

**pojawił się POCIĄG KOLEJOWY** – jest to oznaka męskich organów płciowych. Jeśli pociąg stał w miejscu, czeka cię niemoc płciowa.

**widziałeś PODNÓŻEK** – cechują cię miłosne pragnienia o nieco zboczonym zabarwieniu z dziedziny masochizmu.

**spotkałeś POLICJANTA** – żona zbije cię za miłostki, o których dowie się przypadkowo od sąsiadki.

**miałeś POLUCJĘ** – najwyższy czas się ożenić.

**pojawiły się POŃCZOCHY** – jest to oznaka zboczenia seksualnego. Pończochy na nodze świadczą u mężczyzn o zamiłowaniu do miłości perwersyjnej. U kobiet – do miłości lesbijskiej.

**widziałaś SIECI RYBACKIE** – wystrzegaj się, gdyż możesz wpaść w ręce handlarzy żywym towarem.

**jadłeś SŁONE POTRAWY** – jest prawdopodobieństwo, że popadniesz w impotencję, jeśli się natychmiast nie opanujesz.

**pojawiły się SŁUPY TELEGRAFICZNE** – w przypadku mężczyzn jest to oznaka długotrwałej erekcji. U kobiet – zwiastun waginizmu (pochwicy).

**widziałeś SŁUŻĄCĄ** – nie zapominaj o prezerwatywach, które cię nieraz w biedzie poratują.

**grałaś na SKRZYPCACH** – możesz oczekiwać, że obie strony doznają zadowolenia estetycznego i erotycznego.

**widziałeś SOSNĘ** – spotkasz na swej drodze dziewicę. Uszanuj ją.

**jadłaś SZYNKĘ** – spodziewaj się, że mąż zbije cię za twoje miłostki.

**znalazłaś się na ŚLIZGAWCE** – twój mąż spędzi noc w hotelu ze swoją kochanką.

**widziałeś ŚPIĄCĄ KOBIETĘ** – masz skłonność do nekrofilizmu.

**widziałaś ŚWIECĘ** – twój narzeczony będzie mieć wybuchające kształty.

**widziałaś TAPCZAN** – uważaj na swoją narzeczoną, gdyż ma skłonność do nierządu.

**widziałaś TORBĘ** – oznacza u kobiet osunięcie się macicy.

**spotkałaś UŁANA** – spodziewaj się zadowolenia seksualnego.

**widziałeś WANNĘ** – spodziewaj się nieprzyzwoitej rozrywki, w której weźmiesz udział.

**obciąłaś WARKOCZE** – stoisz chwilowo na złej drodze fetysyzmu. Zgłoś się do lekarza.

**byłeś chory WENERYCZNIE** – koniecznie zgłoś się do lekarza.

**zastrześlię ZAJĄCA** – będziesz mieć okazję obcować z kobietą, która ci się od dawna podoba.

**widziałem dzikie ZWIERZĘTA** – przyjdzie okres, w którym z wielką natarczywością odezwą się w tobie żądze.

**widziałem ŻABY** – spotkasz niewinnego młodzieńca, którego wtajemniczysz w sprawy miłosne.

# Spis treści

Karta redakcyjna	2
Karta tytułowa	4
Dla Taty,	7
Wszyscy jesteśmy zбочeńcami / PROLOG	8
I / Bunt młodzieży	52
„Służąca się nie opierała” / DOROSŁE ZABAWY GIMNAZJALISTÓW	53
„Zarys pączkujących piersi” / ŻYCIE SEKSUALNE DZIEWCZĄT	79
„Po prostu żyją ze sobą” / SEKS PRZED ŚLUBEM I SEKS BEZ ŚLUBU	104
„Panny zdeflorowane psychicznie” / GRA WSTĘPNA I NIE TYLKO	118
II / Pokusy samotności	138
„Żywe trupy” / ZGUBNA PLAGA SAMOGWAŁTU	139
„99% to robi. A ten setny kłamie” / POLACY ODKRYWAJĄ AUTOEROTYZM	165
„Wibracja to życie!” / ZABAWKI EROTYCZNE	180
III / Naga prawda	207
To był tylko seks / NOWE OBLICZE ZDRADY MAŁŻEŃSKIEJ	208
„Koza na Marsie” / GDZIE SIĘ WOLNO KOCHAĆ, A GDZIE NIE WYPADA?	239
Podwiązka w tunelu / EROTYKA W PODRÓŻY, SEKS NA WAKACJACH	262
Utopia nad Wisłą / ULICZNICE, SYFILIS I KRAJ BEZ PROSTYTUCJI	273
IV / Kultura rozpusty	294

Moda na nagość / KULT CIAŁA CZY PORNOGRAFIA?	295
„Taką tanią moralność sprzedają na raty” / SEKS NA ŁAMACH PRASY	322
„Tresowany osioł i trzydzieści nagich ślicznot” / EROTYKA W FILMIE I NA SCENIE	332
„Och, mój skarbie, rozpustniku!” / POLSKI PRZEMYSŁ PORNOGRAFICZNY	344
<b>V / Przedwojenna Kamasutra</b>	<b>369</b>
„Pełna wrażeń pierwsza noc” / REGUŁY SEKSU I NOC POŚLUBNA	370
Liczy się technika / POZYCJE DLA POCZĄTKUJĄCYCH I ZAAWANSOWANYCH	386
„Wąż kusiciel” / JAKI POWINIEN BYĆ MĘŻCZYZNA W ŁÓŻKU?	404
Gdzie się podziały tamte prywatki... / SEKS ZBIOROWY	422
„W pocałunkach chciał ją zjeść” / MIŁOŚĆ FRANCUSKA	432
<b>VI / Prędziej ci serce pęknie</b>	<b>440</b>
Zatykadła, grzybki i cofanki / PO CO SIĘ ZABEZPIECZAĆ PRZED NIECHCIANĄ CIAŻĄ?	441
Paryskie pończochy gumowe od polskiego Żyda / NARODZINY NOWOCZESNEJ PREZERWATYWY	456
Chemia gospodarcza w twojej pochwie / POCZĄTKI KOBIECEJ ANTYKONCEPCJI	468
<b>VII / Cena odmierności</b>	<b>483</b>
Synowie innego boga / HOMOSEKSUALIŚCI	484
„Tu jest Warszawa, a nie wyspa Lesbos” / LESBIJKI	520
Poradnia ginekologiczna doktora Frankensteina / EPILOG	539
Czym nie jest ta książka? / NOTA AUTORA	556
Wybrana bibliografia	559

